

FIKCYJNY KRAJ NA GRANICY Z CZEZENIĄ –  
– FIKCYJNI ROSJANIE – NAJPRAWDZIWSZA WOJNA

# ZIEMIA WOJNY



JULIA ŁATYNINA

DZIENNIKARKA WYKŁĘTA PRZEZ ROSYJSKICH NACJONALISTÓW

Feeria  
WYDAWNICTWO

Przekład: Ewa Skórska, Margarita Bartosik (rozdział 1)  
Redakcja: Katarzyna Nawrocka  
Korekta: Maria Zalasza  
Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Copyright © J. Łatynina, 2007  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo JK, 2014

ISBN: 978-83-7229-440-1

Wydanie I, Łódź 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

**Wydawnictwo JK**

ul. Krokusowa 1-3, 92-101 Łódź  
tel. 42 676 49 69, fax 42 646 49 69 w. 44  
[www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# ROZDZIAŁ 1

*W którym zabijają głównego terrorystę republiki w czasie operacji służb specjalnych i w którym opowiada się o tym, jak Dżamałudin Kemirow poznał Arza Hadżijewa.*

**J**angurczy Itlarow marzył w okrążeniu siódmą godzinę. Poderwali ich o dziewiątej rano, a teraz była już czwarta. Ulice otulała szara zimowa mgła i z nabrzmiąłych chmur siąpił deszcz ze śniegiem.

Jangurczy znajdował się w trzeciej linii okrążenia razem z resztą pepeesowców<sup>1</sup>. Linia przebiegała prawie przez środek parku, od asfaltowej ścieżki przechodzącej w placyk przed kinem. Przed nim – w drugiej linii – stali gliniarze, których spędzili tu z całej Torbikały<sup>2</sup>, dalej, na podwórku, kolejni mundurowi. Nie byli to tak naprawdę żołnierze, tylko grupa specnazu Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB)<sup>3</sup> Południe. Przygotowywali się do ataku. Chłopcy z Południa mieli na sobie ciężkie kamizelki kuloodporne i hełmy „sfery”<sup>4</sup>, a gdy Jangurczy patrzył z ukosa w prawo, widział dwóch snajperów siedzących na dachu kina.

Snajperzy byli wyposażeni o wiele lepiej od Jangurczego. Mieli grube ubrania w barwach ochronnych z przypinanymi kołnierzami i porządne buty wojskowe. Buty Jangurczego, noszone od maja zeszłego roku, teraz były doszczętnie przemoczone, a w tym, w którym kilka miesięcy temu pękła zelówka, dosłownie chlupała woda. Jangurczemu tak zmarzły stopy, że prawie ich nie czuł.

Z przodu, za linią okrążenia, sterczał zwykły czteropiętrowy blok mieszkalny, który również z flanków był otoczony przez żołnierzy, a przy wyjeździe z podwórka stał czołg. Chowało się za nim dwóch wojskowych z miotaczami granatów. Mieszkańcy bloku już dawno zostali ewakuowani, a teraz wypędzano ludzi z sąsiednich budynków, wybudowanych na planie litery „U”. Kobiety i dzieci gromadziły się gdzieś za trzecią linią okrążenia i ponuro patrzyły na dom.

Bojownicy okopali się w dwóch mieszkaniach – na trzecim piętrze i na parterze. Ani Itlarow, ani inni pepeesowcy nie zostali o tym poinformowani, ale Itlarow miał przenośnią radiostację i słyszał wszystkie rozmowy pomiędzy dowódcami. Do tego również terroryści posługiwali się milicyjną radiostacją.

Z rozmów w eterze wynikało, że terrorystów było sześcioro: trzech mężczyzn i trzy kobiety. Dowodził nimi Waha Arsajew, który zadekował się na trzecim piętrze. Był to dobrze znany w republice człowiek – tak sławny, iż Jangurczy w głębi serca uważał, że Arsajew jest legendą, jak Basajew czy Umarow. A to dlatego, że nieuchwytnego jak dotąd Arsajewa obwiniano za wszystko, co się działo w republice.

Teraz jednak wpadł i siedział na trzecim piętrze tej ceglanej rudery, w typowym mieszkaniu z sześciometrową kuchnią i zepsutym zsypem, a wokół domu stały czołgi i marzli otaczający go żołnierze.

W odległości dziesięciu metrów od Jangurczego znajdował się kolejny niewielki pierścień okrążenia. Tworzyli go raczej ochroniarze niż żołnierze – pilnowali opancerzonej furgonetki, w której siedział szef MSW republiki. Osobiście prowadził rozmowy z Arsajewem o jego poddaniu się.

Jangurczy usłyszał za swymi plecami zgrzyt kół zatrzymującego się koło furgonetki hummera. Wskoczył z niego niewysoki, żyłasty mężczyzna w kamuflażu i berecie w cętki. Trzymał w ręku komórkę. Jako że znajdował się nieco z tyłu i z lewej strony, Jangurczy zobaczył najpierw ostry smagły profil z lekko wystającym orlim nosem i wysuniętym do przodu podbródkiem, przechodzącym w wydatną kość policzkową. Człowiek w berecie odwrócił się i wtedy się okazało, że jego twarz jest podzielona na dwie części – prawa wyglądała tak, jak ją stworzył Allah, szczerze czerpiąc z zasobów piękna przy lepieniu tego człowieka, nad lewą zaś musiał popracować odłamek granatu.

Pusty lewy rękaw przybysza był zatknięty za pas. Człowiek z połową twarzy nazywał się Arzo Hadżijew, dawniej był dowódcą polowym, obecnie – pułkownikiem służb federalnych, kierującym grupą Południe.

Hadżijew rzucił do telefonu kilka słów po czeczeńsku i się rozłączył. Obok niego wyrósł nagle korpulentny Rosjanin w grubym, wełnianym płaszczu – w okrążeniu mówiono o nim, że to szycha ze służb federalnych z Moskwy – i zaczął biegać w tę i w tę, kręcąc się jak bączek i rzucając co chwile:

– I co? I jak?

Hadżijew odwrócił się w stronę Jangurczego i mimo że parzył nie na milicjanta

z drogówki, tylko na czteropiętrowy blok, Jangurczy poczuł, jakby po jego twarzy przesuwiała się czerwona kropka celownika snajperskiego. Hadżijew miał zupełnie siwe włosy i ciemne oczy, brązowe, prawie czarne – tylko przy samej źrenicy ciemną tęczówkę rozjaśniały czerwone iskierki. Białko lewego oka było całe w popękanych naczynkach.

Jangurczy widział już kiedyś te czarne oczy z iskierkami, będzie je pamiętał do końca życia, a nawet dłużej. Czeczen spojrział na agenta z Moskwy i powiedział, lekko kalecząc słowa:

– Wyuście koety i róicie z nii, co chcecie.

Hadżijew tak długo przebywał z Rosjanami, że mówił bez akcentu, ale z powodu okaleczenia lewej połowy ust połykał dźwięki wargowe.

Drzwi opancerzonej furgonetki otworzyły się i stanął w nich szef MSW republiki. Niewysoki Nogaj przy kości miał koło pięćdziesiątki i był rodakiem Jangurczego. Nazywał się Mahomet Czebakow. Jangurczy zastanawiał się przez chwilę, czy nie podejść do niego i nie powiedzieć o przemoczonych butach, ale wtedy właśnie rozdzwoniła się komórka ministra. Przycisnął ją do ucha i powiedział po rosyjsku:

– To dobrze, Waha, że twoje kobiety chcą się poddać. Ale ja ci nie wierzę, nie wiem, czy to nie jakiś podstęp. Macie tam mnóstwo materiałów wybuchowych... A jak one tym się obwiążą i wysadzą, kiedy je przejmujemy? Dlatego jeśli chcesz, by twoja rodzina przeżyła, zrobimy tak: niech się rozbiorą do naga i wyjdą na balkon, żebyśmy widzieli, że nie mają na sobie żadnych ładunków, a my ściągniemy je z balkonu po drabinie strażackiej.

Propozycja Czebakowa wydała się Jangurczemu dość dziwna. Gdyby siedział teraz zamiast Wahy Arsajewa w tym bloku, w żadnym wypadku nie pozwoliłby swojej żonie paradować nago po balkonie na oczach setek żołnierzy otaczających dom. A przecież Jangurczy był tylko dwudziestoletnim sierżantem żółtodziobem, który nigdy nie był w meczecie, Waha Arsajew zaś modlił się pięć razy dziennie i zabronił swoim bojownikom używania brzydkich słów. Mówiono, że osiem lat temu ludzie Arsajewa jeździli ulicą Czerwonego Października i bili stojące tam prostytutki. Stąd właśnie wziął się ich konflikt z gliniarzami, którzy nad tymi

prostytutkami sprawowali opiekę.

Wątpliwe, by człowiek bijący prostytutki i ich klientów pozwolił swojej żonie wyjść na balkon bez ubrania. Przecież to mąż odpowiada przed Allahem za to, jak się zachowuje jego żona, i w Dniu Sądu Allah nie będzie pytał tej kobiety, dlaczego nago paradowała przed żołnierzami. Spyta tylko, czy była posłuszna swemu mężowi, a za całą resztę odpowie Waha, który liczy na to, że za swoje czyny dostanie pięciogwiazdkowy apartament w raju, i nie zaprzepaści tej szansy, pozwalając, by jego żona biegała goła przed agentami.

Jangurczy myślał, że pułkownik w cętkowanym berecie oburzy się i stanie w obronie swego rodaka, tym bardziej, że to właśnie on dogadał się w sprawie kobiet, ale Czeczen tylko odwrócił się bez słowa i wsiadł do hummera. Ważny agent w szarym płaszczu też nic nie powiedział.

Szef MSW wysłuchał Arsajewa, rozłączył się i rozkazał:

– Zaczynajcie.

Biały hummer przejechał jakieś pięć metrów i stanął obok furgonetki, a jego miejsce zajął czołg. Huknęło tak, że Jangurczemu o mało bębni nie popękały. Całodobowy kiosk parę metrów od czołgu stanął w ogniu wyplutym z lufy. Pocisk uderzył w ścianę parteru, robiąc w niej dziurę metrowej średnicy. Sądząc z tego, że pierwsze piętro nie runęło, wystrzelono „bałwanka”<sup>5</sup>, przygotowując przejście do ataku.

W następnej chwili na balkon trzeciego piętra wyskoczyła kobieta. Nie była całkiem rozebrana, miała na sobie coś w rodzaju koszuli nocnej, założonej, co było widać w podmuchach wiatru, na gołe ciało. Na rękach trzymała malutkie dziecko, roczne albo dwuletnie, i Jangurczy, który miał świetny wzrok, zobaczył jej bladą, wystraszoną twarz.

– Strzelać, kurwa! Ognia! – wrzasnął Czebakow.

Oślupiały Jangurczy patrzył na miotającą się po balkonie kobietę. Widocznie czekała na dźwig strażacki, ale go nie było, więc przechyliła się przez barierkę balkonu z dzieckiem na rękach. Balkon piętro niżej był cały zawalony rupieciami, a na barierce stały szerokie skrzynki z ziemią. Na nie właśnie najwyraźniej kobieta chciała rzucić dziecko.

Tymczasem na balkon wybiegła młoda, pulchna dziewczyna, też w koszuli nocnej. Wydostała się za barierkę balkonu i skoczyła piętro niżej, ale zamiast schować się w mieszkaniu, wyciągnęła ręce do góry, by złapać dziecko koleżanki. Pierwsza kobieta puściła dziecko i to zaczęło spadać. Miało przelecieć mniej niż metr.

Wtedy po lewej stronie Jangurczego rozległ się strzał i pulchna młódka z dolnego piętra poleciała w głąb balkonu. Jangurczy stał na tyle blisko, że mógł zobaczyć, jak prawa część jej twarzy zamienia się w zmiążdżony, krwawy arbuz. Huknął drugi strzał i kula dosięgła dziecka. Zawirowało w powietrzu. Nikt już go nie złapał na drugim piętrze, więc spadało i spadało, trafione dwoma kolejnymi pociskami.

Kobieta na balkonie wydała krzyk rozpaczony i rozłożyła ramiona w kształcie krzyża. Za chwilę w podstawę balkonu trafił fugas wystrzelony z czołgu.

Po godzinie było już po wszystkim. Mieszkanie, w którym okopali się bojownicy, zostało zmiecione celnym strzałem z czołgu. Całe trzecie piętro spłonęło i zawaliło się, śmierdzące czarne pęknięcie ciągnęło się na fasadzie aż do bramy wejściowej. Mieszkanie na parterze zniszczono raketowym miotaczem ognia „trzmieł”. Pożar udało się jakoś ugasić. Wtedy dwóch żołnierzy z oddziału specjalnego przeniosło na noszach mały pakunek z chodnika do karetki pogotowia, która właśnie nadjechała.

Wkrótce ustawiła się do niej kolejka. Wszyscy gliniarze z okrażenia podchodzili do samochodu i oglądali małe ciało leżące przy samych drzwiach.

Jangurczy zbliżył się do karetki i zobaczył, że dziecko nie jest w samochodzie samo. Obok leżała na noszach kobieta w nocnej koszuli, a u jej wezgowia siedzieli szef MSW republiki Mahomet Czebakow i pułkownik Hadżijew. Jangurczy stał i gapił się na kobietę, aż nagle zobaczył, jak się poruszyła. Czebakow też to zauważył.

Odrzucił górę czarnego plastikowego worka, spojrzawszy na palce kobiety drapiące nosze, wyjął pistolet i strzelił leżącej w głowę.

– Jedziemy – rzucił do kierowcy karetki.

Drzwi samochodu się zatrzasnęły i karetka ruszyła na sygnale. Jangurczy został

na dworze. Po ośmiu godzinach na zimnie był całkiem przemarznięty.

Operację na ulicy Południowej pokazano w wiadomościach telewizyjnych. Minister spraw wewnętrznych republiki Mahomet Czebakow powiedział, pozując na tle zburzonego domu, że wszyscy terroryści skończą jak psy. Obok niego stał starszy, gruby mężczyzna w moro. Był to zastępca prokuratora generalnego Rosji skierowany do republiki na stanowisko szefa nowo powstałego Nadzwyczajnego Komitetu Antyterrorystycznego. Trzy miesiące temu w Republice Awarii Północnej – Dargo<sup>6</sup> dokonano zuchwałego zamachu terrorystycznego: w drodze do Szamchalska bandyci wysadzili w powietrze samochód pełnomocnego przedstawiciela prezydenta Federacji Rosyjskiej (FR) w Północnokaukaskim Okręgu Federalnym, Władysława Pankowa.

Jako że śledztwo nie przyniosło spodziewanych efektów, dwa dni temu do republiki przysłano z Moskwy zastęp pracowników służb federalnych. Na wyniki nie trzeba było długo czekać: przywódca terrorystów już nie żył.

Mahomet Czebakow powiedział oschle, że plotki o zabiciu półtorarocznej córki Arsajewa są rozsiewane przez separatystów oraz osoby sprzyjające wrogom władzy, i obiecał lokatorom zburzonego domu wypłatę odszkodowania w najbliższym czasie.

W telewizji upubliczniono zdjęcia zabitych. Nazwisk kobiet nie udało się jak na razie ustalić, za to ciało Arsajewa pokazano w dużym zbliżeniu. Leżał pod kaloryferem, a jego ubranie i skóra były nadpalone, wyglądało to tak, jakby szczątki posypano piaskiem. Widocznie zginał, czołgając się wzdłuż okna w czasie ostrzału. I w tej pozycji się spalił, na klęczkach, z lekko uniesionym tyłkiem oraz łokciami opartymi o podłogę.

Mer miasta Besztoj<sup>7</sup>, znajdującego się dwieście czterdzieści kilometrów od Torbikały, oglądał wiadomości o dziesiątej razem ze swoimi trzema zastępcami.

Mer nazywał się Zaur Kemirow, miał jakieś pięćdziesiąt lat, był raczej korpulentny, trochę poniżej średniego wzrostu. Jego okrągła żółtawa twarz wyglądała tak szelmowsko, że mogła posłużyć za ilustrację do bajek o arabskich kupcach, a na pulchnych palcach ze starannie obciętych paznokciami błyszcząły



dwa pierścienie wysadzone brylantami. Był ubrany w kosztowny ciemnogranatowy garnitur z dopasowanym do niego kolorystycznie krawatem, a żywa, przebiegła twarz w czasie oglądania wiadomości mówiła równie niewiele, co jego krawat.

Mer obejrzał wydanie do końca, włącznie z prognozą pogody, a nawet reklamami – nawiasem mówiąc, była tam reklama mebli produkowanych w jego fabryce, cieszących się dużą popularnością i w republice, i w Czeczenii – i gestem kazał zastępcom wyjść.

Uśmiech natychmiast zszedł z jego twarzy niczym folia z parówki. Siedział chwilę ze wzrokiem wbitym w polerowane biurko, potem sięgnął po komórkę i wybrał numer ministra spraw wewnętrznych. Nie przedstawiwszy się i nie przywitawszy, zapytał wprost:

– Kiedy mogę zabrać ciało?

– Ciała terrorystów nie są oddawane krewnym, Zaurze Ahmedowiczu – odezwał się chwilę później głos po drugiej stronie.

– Trzysta tysięcy – powiedział mer miasta, zupełnie nie troszcząc się o to, że telefon jest na podsłuchu kilku służb specjalnych i nieuprawnionych do tego amatorów.

– Podjedź, porozmawiamy – zaproponował Czebakow.

Zaur Kemirow odczekał parę sekund i wybrał kolejny numer. Sygnał wibrował w słuchawce, jakby miał za chwilę się urwać. Po czterech sygnałach telefon odebrano. Zaur odetchnął z ulgą – obawiał się, że abonent będzie w górach, poza zasięgiem.

– Dżamałudinie – rzucił do słuchawki – słyszałeś wiadomości?

– Tak.

– Natychmiast wracaj do miasta. Nie waż się jechać do Torbikały. Rozwiążę wszystkie problemy. Zrozumiałeś? Wracaj.

– Zaurze, nie słyszę cię.

– Natychmiast przyjedź do mnie.

– Zaurze! Halo, gdzie jesteś?

Słaba łączność zerwała się. Zaur próbował jeszcze kilka razy się połączyć, ale abonent znajdował się poza zasięgiem.

Kirył Władimirowicz Wodrow, zastępca szefa komitetu nadzwyczajnego badającego akty terrorystyczne i dywersyjne na terenie Republiki Awarii Północnej – Dargo i pierwszy zastępca naczelnika zarządu kontrolno-rewizyjnego administracji prezydenta Federacji Rosyjskiej, przyleciał do Torbikały kilka godzin po zlikwidowaniu Wahy Arsajewa.

Kirył Wodrow był niedużego wzrostu i miał tak szczupłą sylwetkę, że patrząc na niego z boku, można go było wziąć za podrostka. Z bliska sprawiał całkiem inne wrażenie. Każdy, kto widział jego twarz – zmęczone zielone oczy, przedwczesną siwiznę i głębokie zmarszczki na wysokim czole – myślał, że Kirył ma o wiele więcej lat niż w rzeczywistości. A był zaledwie trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Ubierał się zawsze bardzo starannie i miał teraz na sobie pod rozpiętym skórzanym płaszczem szary garnitur z cienkiej wełny i krawat w dużą kratę z idealnym węzłem pod śnieżnobiałym, niczym pasta do zębów, kołnierzykiem.

Na lotnisku czekał na niego opancerzony samochód z ochroną i żołnierzami uzbrojonymi w pistolety maszynowe. Dowiedziawszy się, że szef komitetu jest na ulicy Południowej, Kirył kazał się tam zawieźć.

Zniszczony budynek był szczelnie otoczony. Gdy Kirył wchodził po schodach, zauważył, że drzwi większości mieszkań są otwarte na oścież, choć po mieszkaniach nie zostało wiele. Na pierwszym piętrze utknął w prześwicie klatki schodowej porzucony fortepian. Widocznie został skonfiskowany w charakterze dowodu rzeczowego.

W spalonym mieszkaniu nie było już trupów, a przy kaloryferze stały dwie skrzynki z kostkami trotylu. Na jednej ze skrzynek siedział smagły Czeczen z pustym lewym rękawem i oszpeconą twarzą, który obojętnie uderzał o deski antenką przenośnej radiostacji. Bardzo się zmienił od czasu, gdy Kirył widział go po raz ostatni.

Za jego plecami brzuchaty generał o płaskiej twarzy z respektem wtórował Fiodorowi Komissarowowi. Moskiewski inspektor robił duże wrażenie w zimowym futrzanym ubraniu maskującym i z kaburą przy boku. Obok niego krzątała się tęga kobieta, pudrująca Komissarowowi twarz, a dwa metry dalej ustawiono kamerę

telewizyjną na trójnogu.

Z przenośnej radiostacji w ręku Hadżijewa rozległ się trzask i ktoś wypowiedział długie zdanie po czeczeńsku. Hadżijew wstał i wyszedł.

– Mam pytanie do kierownika komitetu nadzwyczajnego Fiodora Komissarowa – zwróciła się do Komissarowa dziennikarka za kamerą. – Nie wydaje się panu, że terroryści wypowiedzieli wam wojnę?

– To ja im wypowiedziałem wojnę – odparł Komissarow.

– Nie żal panu ich krewnych, którym nie wydano ciał dzieci?

– Oczywiście, że żal – powiedział Komissarow – to są przecież również nasze dzieci. Jesteśmy w Rosji jedną wielką zgodną rodziną!

W tym czasie do pokoju wrócił jednoręki Czeczen. Poprosił Komissarowa na stronę i szepnął mu coś do ucha. Komissarow się nachmurzył, przywołał gestem Kiryła i rozkazał:

– Jedź z nimi i załatw sprawę.

Kirył wsiadł do samochodu razem z ministrem spraw wewnętrznych, Arzo zajął miejsce w drugim pojeździe. Po pięciu minutach kolumna złożona z trzech samochodów podjechała do jednopiętrowego żółtego budynku kostnicy, ukrytego na podwórku szpitala miejskiego numer jeden.

Kirył zdążył zauważyć za kutą bramą kilka kobiet w czarnych spódnicach i chustach. Widocznie były to krewnie zabitych. Wodrowowi powiedziano, że Arsajew miał trzy siostry i matkę.

Kostnica, jak z zadowoleniem zauważył Kirył, była pilnie strzeżona. Przy otwartym wjeździe stał ikarus z zasuniętymi zasłonami, a pod drzwiami kostnicy – kilka dżipów. Wzdłuż całej alei prowadzącej do kostnicy ustawieni byli ludzie Arza z czerwonymi naszywkami na rękawach i żołnierze z innego specoddziału, bez naszywek, ale w jednakowych zimowych kamuflażach i wysokich sznurowanych butach, takich samych, jakie mają żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej. Tych bez naszywek było ze dwudziestu.

Najbliżej Kiryła stał wysoki, prawie dwumetrowy niebieskooki blondyn o bladej jak u wikinga skórze. Wyglądem przyciągałby uwagę nawet na Kurfürstendamm. Tu, w kraju zamieszkałym przez ciemnowłosych i smagłych, wyglądał jak pingwin

w tropikach, a jego zadarty podbródek i białe palce pozbawione włosów, w których ścisnął ogromny [wielkokalibrowy karabin maszynowy DSzK<sup>8</sup>](#) z rozczapierzonymi nóżkami, kojarzyły się Kiryłowi z elitarnymi oddziałami SS.

Pośrodku zasypanego liśćmi i śniegiem trawnika sterczał kontener budowlany bez kół, z rozchybotanymi drzwiami. Dwóch mężczyzn w mundurach w mysim kolorze pilnowało wejścia.

Gdy Kirył zeskoczył na zwirową dróżkę, drzwi kontenera otwarły się na oścież i stanął w nich człowiek trochę powyżej średniego wzrostu, bardziej chudy niż szczupły. Na jego zmęczonej, ogorzalej twarzy, raczej szarej, a nie brązowej, niczym rozżarzone głównie gorączkowo płonęły oczy. Miał piękną twarz typowego górala z szerokim czołem i ostrym podbródkiem pokrytym kilkuniedniowym zarostem, a zmarszczka u nasady nosa między gęstymi czarnymi brwiami, nadająca jego twarzy smutny wyraz, upodabiała go do starodawnych wizerunków Jezusa Chrystusa.

Z tym, że Kirył nigdy nie spotkał Chrystusa w kamuflażu i z łuskami naboju przy pasie, a tym bardziej z takim ciężarem na rękach, bo mężczyzna trzymał ciało zabitej wczoraj terrorystki w czarnym plastikowym worku.

Mahomet Czebakow rozstawił szeroko nogi i powiedział:

– Nie oddajemy krewnym ciał terrorystów, Dżamałudinie.

Dżamałudin spojrzał bez słowa na ministra i zrobił krok do przodu. Zabita terrorystka była dość ciężka. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu, a do tego roztyła się po porodzie i ważyła chyba z półtora raza więcej od chudego górala. Mimo to poruszał się lekko i pewnie, jakby nic na rękach nie trzymał.

– Nie oddajemy krewnym ciał terrorystów – powtórzył minister.

Zgodnie szcęknięły zamki karabinów i ludzie w jednakowych mundurach o barwach maskujących i zielono-brązowych butach, którzy jak dotąd obojętnie obserwowali przedstawicieli władzy, opuścili skierowane do góry lufy.

Jasnowłosa Aryjczyk obrócił swój karabin maszynowy, mało nie potrafiwszy Kiryła. Czająca się w lufie śmierć zajrzała w oczy moskiewskiemu inspektorowi. Karabin miał kaliber dwanaście i siedem dziesiątych milimetra i Kirył mógł bez problemu włożyć w lufę mały palec. To wszystko stało się tak niespodziewanie, że

Kirył nie wierzył własnym oczom. „To niemożliwe – przemknęło przez myśl – przecież to jest... To jest regularny oddział! To nie mogą być bandyci, nie mogą być jego przyjaciele, mają jednakowy ekwipunek. A poza tym, kto ich przepuścił, jeśli...”.

Minister zrobił się purpurowy na twarzy.

– Arzo! – krzyknął.

Hadżijew gwałtownie odwrócił się do niego, stukając obcasami. Jego ludzie stali nieruchomo, jakby zupełnie ich nie obchodziło, co się tu dzieje.

To było nie do pomyślenia. Kirył Wodrow, wysoki urzędnik z Moskwy, oraz minister spraw wewnętrznych Republiki Awarii Północnej – Dargo stali pod lufami karabinów i wszystko to działo się nie w czasie wojny, nie podczas operacji służb specjalnych, nie w górach, tylko przy jednej z głównych ulic miasta, dwie przecznice od siedziby rządu. Żołnierze jednostki specjalnej FSB, którzy z nimi przyjechali, przewiesili tylko karabiny lufami w dół i otwarcie się uśmiechali.

Słowa ugrzęzły ministrowi w gardle. Poczzerwieniał i łapał ustami powietrze niczym ryba rzucona na ląd. W aleję wjechała karetka pogotowia. Kobiety za kutym ogrodzeniem ożywiły się jak wrony na widok wysypanego ziarna.

Jasnowłosy Aryjczyk chwycił karabin w jedną rękę, drugą otworzył drzwi karetki i Dżamałudin włożył do środka ciało zabitej, po czym odwrócił się i skierował w stronę kontenera.

Kirył odczekał chwilę i poszedł za nim.

Z nieznanых powodów ciał terrorystów nie zaniecono do kostnicy, tylko do kontenera budowlanego, gdzie nie było ani prosektorium, ani chłodni, ale ponieważ temperatura na dworze wynosiła koło zera, rozkład jeszcze się nie zaczął. Błoto na podłodze kontenera wymieszało się z krwią i szczątki pięciorga zabitych, trzech mężczyzn i dwóch kobiet, leżały wprost w tej brei – nagie, nadpalone, z potwornymi granatowo-czerwonymi ranami. Kirył poszukał wzrokiem dziewczyny, której istnieniu zaprzeczano w radiu, ale jej tu nie było.

Dżamałudin bez słowa kucnął przy jednym z nieboszczyków i odwrócił go na plecy. Musiał to być Waha Arsajew, sądząc po zawieszce na bosej nodze. Jego ciało było doszczętnie spalone. Głowa przypominała czarną pomarszczoną piłkę i gdy

Dżamałudin pociągnął za włosy, część skóry głowy razem z włosami została w jego dłoni.

– I co – rozległ się głos Czebakowa – jego też chcesz pochować?

Dżamałudin rzucił włosy na ciało, wstał i powiedział:

– Nie walczę z umarłymi, walczę z żywymi.

Drzwi kontenera głośno się zatrzasnęły.

Po krótkim namyśle z kontenera wyszedł także Kirył. Była już siódma wieczór, latarnie jarzyły się we mgle zapadającego zmierzchu i w ich żółtym świetle ulica wyglądała na ciemniejszą, niż była w rzeczywistości. Jak tylko Dżamałudin zajął miejsce w jednym z samochodów terenowych, do pojazdów tłumnie załadowali się też jego ludzie. Żołnierze Hadżijewa palili papierosy obok ikarusa.

Dwaj gliniarze przy drzwiach kontenera patrzyli z rozdrażnieniem na wsiadających.

– Mógłby chociaż zapłacić, sukinsyn – powiedział jeden z gliniarzy po rosyjsku.

– Poprzednim razem, jak strzelano na ulicy Abutalibowa, za ciało dawali trzy miliony rubli. A to bandyta!

Po dwóch godzinach kolumna czarnych dżipów wjechała razem z karetką do Besztoju, pokonawszy połowę drogi wybrzeżem Morza Kaspijskiego, połowę zaś górskimi serpentynami.

Dżipy ominęły miasto, jadąc obwodnicą, wzdłuż której ciągnęły się świeżo ustawione płoty magazynów i warsztatów, zostawiły za sobą bazar Erkentli na obrzeżach, a także zniszczony skręt na lotnisko wojskowe i zaczęły ponownie pięć się pod górę.

Ciągnące się w nieskończoność magazyny i miejskie budynki nagle zniknęły, a ich miejsce zajęły oszronione drzewa, za którymi niespodziewanie ukazała się umiejscowiona na łagodnym stoku zasobna wieś z porozrzucanymi niewielkimi domami. Między nimi wyrastały od czasu do czasu ceglane trzypiętrowe pałace z takimi grubymi murami, że nie dałoby się ich zburzyć nawet granatnikiem.

Dwa ostatnie domki były uczepione góry. Droga, niczym popędzany koń, stanęła dęba między skałami i po dziesięciu zakrętach doprowadziła do czarnego łuku

bramy z wieżami strażniczymi po obu stronach. Brama otworzyła się i dżipy wjechały do środka.

Nie był to ani pałac, ani dwór, tylko średniowieczny zamek, który panował nad okolicą jak prawdziwa warownia. Na asfaltowym placu za bramą stało ze dwadzieścia dżipów, a nad nimi, niczym labrador nad pekińczykami, górował świeżo malowany BTR<sup>9</sup>, który błyszczał jakby go naoliwiono. Na prawo od niego asfaltowa dróżka przechodziła w wysypaną grubym żwirem ścieżkę, biegnącą w dół i wijącą się wokół niedziałającej w zimie fontanny.

Na samej górze, na podwórku wyłożonym białym grubym kamieniem, stało kilka złączonych ze sobą bokami domów – jeden większy, pozostałe mniejsze. Trochę dalej wznosił się otoczony zadaszonym przejściem wysoki minaret, niczym gwóźdź, którym przytwierdzono góry do nieba.

Za domami wzniesienie opadało w dół kamiennymi osypiskami, przedzierając się przez kłujące, ośnieżone zarośla z ukrytymi w nich reflektorami i kamerami i wzdymając się na końcu rudawymi głazami, które stoczyły się ze szczytu w zamierzchłych czasach. Za głazami zaczynało się pole minowe, porośnięte sterczącymi ze śniegu chwastami, a za polem widać było kłęby drutu, aluminiowe hangary koszar i prowadzący donikąd betonowy pas startowy lotniska wojskowego w Besztoj.

Karetka zatrzymała się przy jednym z mniejszych domów. Dwóch żołnierzy z karabinami grało koło ganku w tryktraka. Dżamałudin zeskoczył na ziemię i zwrócił się do jasnowłosego żołnierza, który przykuł uwagę rosyjskiego inspektora:

– Pochowajcie ją na Assałyku. Wyrazów współczucia nie będzie. Możecie to przekazać wszystkim, którzy przyjdą.

W domu Dżamałudin zrzucił z siebie ubranie, wyszorował się, umył głowę i starannie się ogolił. Przebrał się w czystą koszulę i spodnie, pomodlił i zszedł na dół, do salonu, w którym krzątała się jego młodsza żona, nakrywając do kolacji, a w głębokim fotelu obok stołu siedział jego brat, mer Besztoju Zaur Kemirow.

– Po co pojechałeś do Torbikały? – zapytał niezadowolony Zaur. – Kazałem ci zostać w mieście.

– Wybacz, bracie. Łączność szwankowała. Przecież byłem w górach.

– Zbyt często masz złą łączność, gdy musisz słuchać starszego brata – odparł Zaur. – Kiedyś zgubisz całą naszą rodzinę.

Podniósł się i wyszedł.

...Sierpień 1992 – maj 1996

Rodzina Kemirowów należała do najznakomitszych w republice. Ze strony matki pochodziła od chunzachskich chanów, ze strony ojca Zaur Kemirow był wnukiem cioteczynym pierwszego przedstawiciela władzy radzieckiej w mieście Besztoj.

Wpływy Kemirowów sięgały daleko poza granice Republiki Awarii Północnej – Dargo. Kuzyn Zaura Kemirowa, Asłudin, studiował w Moskwie w Wyższej Szkole Partyjnej, a po pierestrojce zajął się biznesem. Sprowadzał komputery i eksportował aluminium, sprzedawał vouchery i kupował akcje, aż w końcu pozbył się swoich udziałów w rosyjskich hutach stali za trzysta milionów dolarów i zajął się handlem nieruchomościami w Moskwie.

Drugi kuzyn Zaura, Szapi, też dostał się na moskiewską uczelnię, do Instytutu Krajów Azji i Afryki. W 1991 roku Urząd do spraw Muzułmanów Republiki Awarii Północnej – Dargo wysłał go razem z innymi wykształconymi ludźmi do Kairu i Szapi nie wrócił już do swojej ojczyzny. W 1994 roku przeprowadził się do Turcji, ożenił z córką tamtejszego ministra obrony i został szanowanym biznesmenem oraz znanym członkiem kaukaskiej diaspory.

Gdy w 1991 roku gruchnęła pierestrojka, trzydziestopięcioletni Zaur Kemirow był najmłodszym w republice przedsiębiorcą. Jego nielegalne zakłady produkowały wszystko – od kosmetyków upiększających do twarzy po džinsy Lee Cooper, ale najbardziej znanymi wyrobami Zaura były minidestylarnie do produkcji samogonu, wytwarzane w fabryce, w której zajmował formalnie stanowisko dyrektora administracyjnego. W firmie o nazwie Besztojskie Zakłady Maszynowe produkowano głównie urządzenia dla rafinerii. Aparaty do pędzenia samogonu stały się jednak tak popularne, że nafciarze z Syberii osobiście zamawiali maszyny w Besztoju, żeby tylko odwiedzając kaukaskie góry, dostać w prezencie aparaturę do samogonu.



Opowiadano, że jeden z syberyjskich nafcjarzy wybudował sobie w tym czasie daczę z dwupoziomową piwnicą. Na górze wyglądała jak radziecka rudera, a w podziemiach było pełno czeskich kryształów, chińskiej porcelany i najnowocześniejszego japońskiego sprzętu wideo, który dostarczano wówczas wagonami do ropodajnej Syberii. Pytany przez śledczych o powody zastosowania tego dziwaczego rozwiązania architektonicznego nafcjarz powołał się na wpływy kulturalne Kaukazu, szczególnie miasta Besztoj.

W poszukiwaniu kulturowych zapożyczeń etnografowie w mundurach udali się do dyrektora administracyjnego Besztojskich Zakładów Maszynowych. Wrócili stamtąd z półrocznym dochodem Kemirowa i dwoma starannie zapakowanymi aparatami do pędzenia samogonu w walizkach.

Kemirowowi nie spodobała się przesadna ciekawość śledczych. W 1989 roku, następnego dnia po opublikowaniu ustawy o spółdzielniach, Zaur zarejestrował pierwszą w Związku Radzieckim spółdzielnię.

Kaukaz nie był wtedy jeszcze na pół wojennym, na pół bandyckim regionem, w jaki zamienił się kilka lat później. Był kwitnącą krainą, której bogactwo tworzyły naturalnie ciepły klimat, pracowitość mieszkańców i działające zakłady wojskowe, gęsto poutykane we wszystkich większych i średnich miastach.

Zaur Kemirow rzucił wszystko – nielegalne zakłady, posadę dyrektora, legitymację partyjną i czekające na niego stanowisko w Komitecie obwodowym partii – i otworzył pierwszą w Besztoju prywatną restaurację. Potomek chunzachskich chanów osobiście witał razem z żoną klientów, a gdy kiedyś go zapytano, czy nie wstyd mu kłaniać się byle komu, odparł:

– Wstyd – to gdy musisz kłaniać się śledczym. Klientom kłaniam się z własnej, nieprzymuszonej woli.

Restauracja Zaura była znana w całej Awarii i Czeczenii. Ludzie jechali dwieście kilometrów przez góry, żeby tylko w niej zjeść, a księga gości wyłożona na parterze była otwarta na stronie z podpisami Dudajewa, Auszewa i Chubijewa.

Pół roku po otwarciu restauracji Zaur podliczył dochód i zmartwił się. Zarobił w miesiąc sześć tysięcy rubli – ogromne jak na Związek Radziecki pieniądze, ale w swoich zakładach dostawał cztery razy tyle, zrozumiał więc, że restauracja to za

mało.

Do tego czasu Zaur odwiedził parokrotnie Turcję. W tamtejszych supermarketach zwrócił uwagę na czekoladowe batoniki Mars i Snickers. Szczerze mówiąc, Zaur był strasznym łasuchem i marsy bardzo mu zasmakowały. Niczego podobnego nie było w całym Związku Radzieckim. Zaur uważał, że czekolada Alonka nie dorasta batonikom do pięt.

Jak tylko przeprowadził rozmowy z Anglikami produkującymi marsy, zrozumiał, że ci nie sprzedadzą mu technologii ani receptury, a wykonawszy obliczenia, doszedł do wniosku, że import batoników do Rosji będzie nieopłacalny. Wtedy wynajął rosyjskich technologów i ci za pięćset rubli przygotowali mu batonik nie gorszy od marsa. W Krasnodarze zezłomowano i sprzedano Zaurowi za dwa tysiące rubli linię do produkcji cukierków czekoladowych, którą biznesmen przewiózł do Besztoju i przerobił na linię produkującą batoniki.

W zakładach wojskowych Zaur kupił zapasy folii aluminiowej i zamówił w drukarni kolorowe opakowania do batoników, które były w Rosji absolutną nowością. Żeby batoniki lepiej się sprzedawały, dał im zachodnią nazwę „Rikki-Tikki-Tau”, a jako producenta zarejestrował w mieście Besztoj spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością Rikki-Tikki-Tau Ltd.

W krótkim czasie batoniki Rikki-Tikki-Tau podbiły całą Rosję, od Morza Kaspijskiego po Kamczatkę. Przed bramą firmy ustawiały się kolejki. Batoniki sprzedawały się wagonami. Wszyscy kupujący dziecku cukierek w kolorowej folii byli przekonani, że kupują słodczyce zachodnie, ponieważ nie nazywały się Alonka czy Biełoczka, tylko miały obco brzmiącą nazwę i kolorowe opakowanie, jakiego nigdy w Związku Radzieckim nie widziano.

Tajemnica sukcesu kryła się jednak nie w opakowaniu czy nazwie, tylko w jakości. Zaur produkował batoniki dokładnie według opracowanej dla niego przez specjalistów receptury. Gdy trzeba było dodać kilogram kakao, dodawano kilogram, a nie siedemset gramów czy pół kilo, a gdy potrzebny był kilogram orzechów, brano kilogram. Pracownicę, która wyniosła z fabryki opakowanie jajek, przykuto kajdankami do linii produkcyjnej na tydzień, a potem wyrzucono z pracy. U Zaura nikt niczego sobie nie przywłaszczał. W kraju, gdzie pracownicy zakładów kradli

wszystko, łącznie z częściami maszyn z metali kolorowych, przynosiło to zadziwiające efekty.

W 1992 roku Gajdar zliberalizował ceny i Zaur zrozumiał, że czas batoników Rikki-Tikki-Tau wkrótce się skończy. To znaczy batoniki zostaną jako znak towarowy, ale wyprą je oryginalne marsy i snickersy, poza tym Zaur wiedział, że inni pójną w jego ślady i zaczną produkować podobne łakocie. Przedtem Zaur był jedyny w Związku Radzieckim, teraz będzie jednym z wielu, a on nie lubił być taki jak wszyscy. To zmniejszyło jego dochody. Zaur Kemirow zarobił na batonikach piętnaście milionów dolarów, co w 1991 roku było w Rosji sumą astronomiczną, i nie chciał po czymś takim zajmować się groszowymi interesami.

Zastanowił się, czego jeszcze w kraju brakuje, i doszedł do wniosku, że mebli. Kupił w Jugosławii i Hiszpanii dwa komplety mebli, przywiózł do Besztoju i rozebrał do ostatniej śrubki. Po miesiącu w jego fabryce robiono podobne komplety, które stały w sypialni Ałły Pugaczowej i w jadalni przewodniczącego Rady Najwyższej.

Zaur zdawał sobie jednak sprawę, że epoka meblowa też nie potrwa długo. Chciał produkować coś własnego, niezbędnego wyłącznie w Rosji, według technologii, której nie mógłby skopiować pierwszy lepszy inżynier ze śrubokrętem w jednej i długopisem w drugiej ręce.

W tym czasie najbardziej dochodowym biznesem w kraju był handel benzyną. Cały smaczek polegał na tym, że ropę, z której produkowano benzynę, kradziono w miejscu wydobycia. Gotową benzynę też kradli – z rafinerii, więc ten, kto sprzedał kradzione paliwo nawet za trzy kopiejki, miał dochód równy tym trzem kopiejkom. Problem w tym, że benzynę kradziono osobno, a ropę osobno, a ponieważ wszyscy kradli wszystko, rafinerie miały przestoje, a właściciel kradzionej ropy, dając ją do przetworzenia, nigdy nie był pewny, czy mu jej także nie ukradną, tym razem w rafinerii.

Był to wyjątkowo palący problem w sąsiedniej Czeczenii, ponieważ elita młodej Republiki Czeczeńskiej uważała za dyshonor płacić za coś, co można wziąć samemu, i nawet mało komu z Awarów udawało się wydębić od Czeczena pieniądze bez uprowadzenia mu brata czy rodziców, albo zmusić go w jakiś inny sposób do

szanowania wierzyciela.

Dlatego, mimo że rafineria w Groznm wykorzystywała pełne moce produkcyjne (tak naprawdę zgodnie z dokumentami wytwarzała pięć razy więcej benzyny, niż mogła, ponieważ pod pretekstem dostawy ropy do rafinerii w Groznm wysyłano ją na eksport), prawdziwi właściciele czeczeńskich, awarskich, ale i syberyjskich kiwaków pompujących ropę oburzali się, że nie mają gdzie jej przetwarzać.

Pamiętamy, że Zaur Kerimow był wciąż właścicielem najpopularniejszej na Kaukazie Północnym restauracji, do której wpadali nawet prezydenci sąsiednich republik. Dlatego dobrze znał problem. Po krótkim namyśle sięgnął więc do patentów stosowanych w Besztojskich Zakładach Maszynowych jeszcze w latach siedemdziesiątych. A ponieważ miał ścisły umysł i z wykształcenia był inżynierem nafcjarzem, pokombinował i wymyślił minirafinerię.

Urządzenie przetwarzające ropę było montowane na podwoziu urala o dużej ładowności i, pracując w trybie autonomicznym, przetwarzało dziennie około dwudziestu ton ropy.

To rozumiałe, że takiego urządzenia nie potrzebował jakiś Shell, dla którego z ekonomicznego punktu widzenia miało to tyle sensu, co zaproponowanie pięknym cudzoziemkom, by ręcznie sortowały molekuły: węglowodany o większej wadze wrzucały do jednego pojemnika, a mniejsze – do drugiego. Ale dla odważnego człowieka – Czeczena, Awara czy Lezgina, którego ziemia w rodzimej wiosce była dosłownie przesiąknięta ropą, a on musiał rabować pociągi i podrabiać dokumenty bankowe, żeby utrzymać dzieci, rodziców i dwie żony – taki ural do przetwarzania ropy był jak maszynka do drukowania pieniędzy.

Jeśli myślicie, że Zaur Kemirow sprzedał pierwsze z wytworzonych przez siebie urządzeń, to jesteście w błędzie. Pierwsze trzy urale sprezentował prezydentom trzech sąsiednich republik. Po tygodniu w tych republikach nie było ani jednego członka rady ministrów, który by nie nabył jego urala, a sam Zaur, oprócz pieniędzy, dostał w prezencie niewielki odwiert naftowy.

Tak w ogóle Zaurowi płacono w różnej formie: wódką, orzechami, suszonymi tureckimi morelami, wełną i rurami osłonowymi do wiercenia. Ale największe wrażenie zrobił na Zaurze chłopak z Gudermesu, który przyprowadził na podwórko

jego firmy iza-kabluka [10](#) i z dumą otworzył przed Zaurem tylne drzwi.

– Proszę, patrz – powiedział Czeczen. – Chcę wymienić na twojego urala.

W kabłuku na słomie leżał jakiś matowy stalowy cylinder. Zaur zapytał, co to takiego, a Czeczen odparł, że bomba atomowa. Wyglądało to rzeczywiście groźnie i było trochę radioaktywne. Na nieszczęście dla Czeczena Zaur był nie tylko inżynierem, ale inżynierem nafciarzem, i wiedział, że jest to robocza część urządzenia stosowanego do wykrywania nieszczelności w rurociągach magistralnych.

Zaur pośmiał się z tego i posłał Czeczena w diabły. Dwa lata później ten wcisnął ją FSB w charakterze okupu o wysokości dwóch milionów dolarów i rosyjskie służby długo jeszcze pisały raporty o tym, że zbuntowany generał Dudajew posiada „brudną” broń atomową.

W 1992 roku Zaur Kemirow był już jednym z najbardziej poważanych ludzi na Kaukazie. Do biznesu naftowego i meblowego doszły oczywiście inne. Zaur sprzedawał lody, był właścicielem tysiąca hektarów cieplarni i miał większościowy udział w produkcji wódki. Spirytus do jej produkcji wożono wówczas Baranim Tunelem. Do Awarii Południowej jechały cysterny z benzyną wyprodukowaną w minirafineriach Zaura, a w drugą stronę – spirytus jako zapłata.

Zaur Kemirow miał największy dom w Besztoju, piękną żonę i piątkę zdrowych dzieci. Załatwił swemu średniemu bratu, Mahometowi-Husajnowi, stanowisko dziekana wydziału filozoficznego na Torbikalińskim Uniwersytecie Państwowym, a drugiemu bratu, Mahometowi-Rasułowi, posadę zastępcy naczelnika kolei. Wydał za mąż dwie swoje siostry i znalazł pracę ich mężom – jednemu w swojej firmie, drugiemu na stanowisku wiceministra handlu. I nic by nie zakłócało rodzinnego szczęścia, gdyby nie jego czwarty, młodszy brat.

W roku osiemdziesiątym piątym w Torbikale dokonano napadu w czasie wesela. Zrobiło się o tym bardzo głośno, bo było to wesele pierwszego sekretarza miejskiego komitetu partii i goście przynieśli mnóstwo pieniędzy – ponoć młodzi dostali w sumie dwa miliony rubli. I właśnie te pieniądze zostały zrabowane.

W tamtych czasach takie nieprzyjemne zdarzenie nie mogło pozostać bez echa.

Wkrótce w całej republice nie mówiono o niczym innym, jak tylko o człowieku, który dokonał napadu. Po dwóch miesiącach dyrektor szkoły wezwał Zaura do siebie i poinformował go, że jednym z dwóch szóstoklasistów, którzy stali wtedy na czatach, był Dżamałudin, młodszy brat Zaura.

Zaur zawołał po tej rozmowie do siebie Dżamałudina i zapytał:

– Co wiesz o Hadżim Tiejajewie, który napadł na najznakomitszych w republice gości weselnych?

– Jacy z nich znakomici goście, skoro nie mieli własnej broni? – odparł trzynastoletni Dżamałudin. – I co to za wesele, które można obrabować? Kim byli młodzi – góralami czy baranami?

Ta odpowiedź bardzo się Zaurowi nie spodobała, ale gdy próbował wyciągnąć z Dżamałudina więcej, ten uparcie milczał.

Minął kolejny rok i Zaura znów wezwano do szkoły w związku z pobiciem nauczyciela biologii, któremu Dżamałudin złamał żebro i nos. Zaur przywołał brata i zapytał, co się stało.

– Pobiłem go, bo kłamał. Twierdził, że człowiek pochodzi od małpy – wytłumaczył Dżamałudin.

Zaurowi znów nie spodobała się jego odpowiedź.

– Nie rozumiem, co ci się nie podoba – rzekł Dżamałudin. – Ten człowiek kłamał, że Ewa, zamiast płodzić dzieci z mężem, puszczała się z jakąś małpą. Gdyby powiedział, że nasza matka zadawała się z małpą, zabiłbym go, ale on mówił tak o ludzkiej pramatce, więc tylko mu przyłożyłem, a ty się wkurzasz!

– Dżamalu – powiedział Zaur po chwili milczenia – życie daje człowiekowi Allah i tylko on ma prawo je odebrać. Jeśli chcesz zostać bohaterem, rabując i zabijając, nic z tego. To nie są czasy imama Szamila <sup>11</sup>. Uznają cię za pospolitego bandytę i tyle. Zapamiętaj to sobie, nie będę w kółko powtarzał tego samego.

Przez dwa lata po tej rozmowie panował spokój, ale w noc balu maturalnego chłopak wrócił do domu z przestrzelonym ramieniem. Zaur szybko się dowiedział, że tej nocy banda szesnastoletnich nicponi próbowała obrabować znanego przedsiębiorcę prywatnego. Chłopcy byli niedoświadczeni i ochrona zabiła na miejscu dwóch z nich, reszta uciekła.

Wyciszenie tej sprawy i wysłanie brata na studia na Uniwersytet Moskiewski kosztowało Zaura niemało pieniędzy. Przez dwa lata chłopak miał same piątki, ale potem wybuchnął skandal. Okazało się, że zamiast niego studiował ktoś inny.

Zaur ściągnął dziewiętnastoletniego Dżamałudina z powrotem do Besztoju i zapytał go:

– Co potrafisz robić w życiu oprócz bicia i okłamywania ludzi?

– Potrafię prowadzić samochód – powiedział Dżamałudin. – Sprzedajesz urale, jeśli chcesz, mogę dostarczać je do Groznego.

– Świetnie, ale jeśli liczysz na to, że znajdzie się w moich zakładach jakaś inna praca dla ciebie, to się mylisz.

Dżamałudin Kemirow został zatrudniony w firmie Kemir i stał się odpowiedzialny za przewożenie urali. Odprowadzał je do Piatigorska, do Gruzji, ale najczęściej do Groznego, ponieważ Czeczeni mieli na nie największe zapotrzebowanie. Trwało to miesiąc. Wieczorem Dżamałudin wracał do domu i objaśniał matematykę jedenastoletniemu synowi Zaura, choć znał się na matematyce jak krowa na gwiazdach.

15 sierpnia 1992 roku prowadzony przez Dżamałudina ural został zatrzymany przez milicjantów przysłanych z Rostowa. Działo się to na terytorium Czeczenii, dwa kilometry od granicy administracyjnej. Dżamałudinowi kazano oddać kluczyki i się ulotnić. Chłopak wyciągnął w stronę jednego z gliniarzy plik rubli i powiedział:

– Bierz i odczep się. To ural Zaura Kemirowa, nie radzę z nim zadzierać.

Glina wziął pieniądze i pchnął Dżamałudina lufą w pierś.

– Zaur nie zbankrutuje, jeśli ten ural popracuje na nas. Spadaj stąd – zażądał.

Dżamałudin chwycił lufę i przerzucił gliniarza przez siebie. Wtedy z urala rozległy się serie z karabinu maszynowego. Jak się później okazało, w nadwoziu samochodu wyglądającego jak podzielona na dwie części cysterna, ukryto broń dla Czeczenii i pięcioro przyjaciół Dżamałudina – to na wypadek, gdyby Czeczenom z Groznego przyszło do głowy zapłacić za broń kulami, a nie dolarami.

Trzech milicjantów zginęło na miejscu. Podziurawiony od wewnątrz ural ruszył do ucieczki, ostrzeliwując ocalałych gliniarzy seriami karabinowymi.

Zaur wysłuchał tej opowieści od śledczego prokuratury wojskowej. Najbardziej

zaskoczył go sposób, w jaki Dżamałudin przewoził broń. Chodzi o to, że pięć minut wcześniej urol minął posterunek na granicy administracyjnej, skontrolowany przez stojących tam żołnierzy. Ci ostatni nie zobaczyli w cysternie nic prócz nalanego do połowy oleju napędowego – pod nim właśnie schowano skrzynie z bronią. Jeśli chodzi o kolegów Dżamałudina, prawdopodobnie wydostali się z samochodu i obeszlili posterunek z drugiej strony. Wygląda na to, że bandyci otworzyli ogień zanurzeni po kolana w oleju napędowym i gdyby w cysternie było więcej oparów węglowodorowych, rozerwałoby ich na strzępy.

– No dobrze – powiedział Zaur – a co to ma wspólnego ze mną?

– Przecież to pański brat kradł broń z bazy lotniczej w Besztoju! – zawołał śledczy. – Czy pan sądzi, iż uwierzymy w to, że Dżamałudin był u pana zwykłym kierowcą? I bez pańskiej wiedzy zorganizował sprzedaż broni reżimowi Dudajewa?

– Nie mam brata o imieniu Dżamałudin – odparł na to Zaur.

W tym samym dniu, w którym nastąpiła strzelanina, Dżamałudin ze swoimi towarzyszami wjechał do miasta Grozny. Przemieszczali się cały czas podziurawionym urolem, bo nie mieli innego środka transportu, ale towarzysze Dżamałudina wyleźli oczywiście z cysterny i wcisnęli się do kabiny. Wszyscy mieli na sobie ubrania sportowe i tenisówki założone na bosą stopę.

Dżamałudin zaś był ubrany w ciemnozielony kombinezon roboczy z czarnym wzorkiem. Jako że zerwał z pleców białą naszywkę „Kemir”, odzież wyglądała teraz na wojskową. Podobieństwo stało się jeszcze większe, gdy wetknął za pas makarowa [12](#), którego zabrał glinie.

Sytuacja Dżamałudina była nie do pozazdroszczenia, ponieważ oprócz urola, którym jechali, nie mieli nic, nie licząc oczywiście karabinów i dziesięciu skrzynek z granatami. Oprócz karabinów i granatów mieli też schowany moździerz. Nigdy jeszcze nie wieźli czegoś takiego i gdy do Groznego zostało pięćdziesiąt kilometrów, postanowili go wypróbować.

Wyszli na pobocze, ustawili miotacz, wepchnęli do niego pocisk iglicą do góry i wystrzelili. Wszystko przebiegło jak należy, zabrali więc moździerz i pojechali sobie dalej. A pocisk gdzieś tam poleciał.



Mniej więcej po pięciu minutach minęli jakąś wieś i zobaczyli na drodze lej, a wokół niego mnóstwo Czeczenek wrzeszczących wniebogłosy.

– Co się stało? – zapytał Dżamałudin.

Czeczenki odpowiedziały, że federalny desant, który wylądował pod Groznym, właśnie ostrzelał wieś z moździerza. Ich mężczyźni już wyskakiwali z domów z bronią w rękę. „Nieładnie wyszło” – pomyślał Dżamałudin i postanowił więcej moździerza nie testować. Nie sądził, że pociski mogą lecieć tak daleko.

I oto ural dotarł do Groznego i zajechał prosto pod pałac prezydencki. Zebrał się tam jeszcze większy tłum niż we wsi.

Część żołnierzy stała w tłumie, część siedziała w autobusach, którymi był zastawiony cały plac. Z okien pojazdów wystawały karabiny maszynowe, a nawet granatniki. W jednym autobusie, stojącym tuż obok pałacu prezydenckiego, było pełno ludzi w sportowych ubraniach i tenisówkach.

Dżamałudin zawstydział się, pomyślawszy o mieszkańcach wsi. „Czyżby wszyscy zebrali się tu, by szukać żołnierzy specnazu?” – przemknęło mu przez głowę.

Zatrzymał swojego urala, wyskoczył z niego i podszedł do jednego z Czeczenów w moro.

– Dokąd się wybierają ci wszyscy ludzie? – spytał.

– Czołgi Kitowanego weszły do Suchumi – odpowiedział Czeczen. – Idziemy na pomoc Abchazom.

– A co tu robią ludzie w tenisówkach? – zapytał Dżamałudin, pokazując na autobus, który zwrócił jego uwagę.

– To Kabardyjczycy i Czerkiesi – wyjaśnił Czeczen. – Też chcą iść do Abchazji, ale nie mają broni, więc przyjechali po nią do Groznego.

Tymczasem podszedł do nich jakiś Czeczen w kamuflażu z karabinem i zapytał:

– Kto idzie na spotkanie z Dudajewem?

Trzeba tu przypomnieć, że Dżamałudin miał na sobie ciemnozielony kombinezon. Było to tak naprawdę ubranie służbowe pracowników Kemira, ale po tym jak Dżamałudin oderwał z niego naszywkę, już się z tym nie kojarzyło. Dżamałudin wyglądał więc w nim bardzo przyzwoicie, poza tym jakby ktoś miał wątpliwości, czy to mundur, czy ubranie robocze, po zobaczeniu makarowa za

pasem skłonny był raczej stawiać na mundur.

– Ja idę – odezwał się Dżamałudin.

– Coś za jeden? – zapytał go Czeczen.

– Dowódca awarskiego oddziału ochotniczego – odparł Dżamałudin. – My też chcemy pomóc bratniemu narodowi abchaskiemu.

Spotkanie z Dudajewem odbyło się w pałacu prezydenckim piętnaście minut później. Zasepiony Dudajew szeleścił mapami. Przy stole siedzieli jacyś ludzie obwieszeni bronią i Dżamałudin ze swoim makarowem poczuł się jak kanarek wśród strusi. Jeden z Czeczenów przytargał nawet wielkokalibrowy karabin maszynowy i trzymał go na kolanach przez całe spotkanie. W ogóle było widać, że Czeczeni są bardzo dobrze przygotowani do wojny. Każdy zaczynał swoje przemówienie od zdania: „Mój elitarny oddział specjalny choćby jutro jest gotów odbić Suchumi”, po czym w słowo mu wchodził inny Czeczen, mówiąc: „A mój superelitarny oddział specjalny zrobi to dziś”. Po nim wstawał trzeci: „W tym czasie jak tu gadacie, moi ludzie dzwonili do mnie z informacją, że oni już odbili Suchumi i idą na Kutaisi”. Dudajew, słysząc to, tylko się krzywił i kreślił coś na papierze.

Dżamałudin był spostrzegawczy i wywnioskował z tego, że Dudajew nie bardzo rwie się do tego, by wysłać Czeczenów do Abchazji. Później ktoś mu wyjaśnił, że prezydent trzyma z gruzińskimi władzami. Dżamałudin zauważył też, że Dudajew nie może zanadto rozkazywać swoim dowódcom. Jak by przesadził, mogliby zamiast Suchumi zająć Grozny.

Podczas spotkania Dżamałudin zwrócił uwagę na młodego Czeczena. Miał jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, smagłą jastrzębią twarz z lekko wypukłym czołem i oczami niezwyklego koloru – zupełnie czarne, wydawały się jaśniejsze dzięki lśniącym wokół źrenic czerwonym iskierkom. Jego smukła, wiotka sylwetka przypominała ciasno skręcony zwój drutu. Milczał, gdy przemawiali dowódcy oddziałów i superoddziałów specjalnych. Być może nie odzywał się dlatego, że był najmłodszy na tym spotkaniu, nie licząc Dżamałudina. Cały czas się uśmiechał, błyskając dużymi białymi zębami, co zresztą nic nie znaczyło – tu wszyscy się uśmiechali i rechotali, wszyscy oprócz Dudajewa. Można było pomyśleć, że to wesele, a nie posiedzenie.

Gdy spotkanie się skończyło, Dżamałudin wyszedł za Czeczenem i zobaczył, że na tego czeka autobus, wokół którego siedzieli w kucki uzbrojeni ludzie.

– Wszyscy do autobusu – rzucił Czeczen. – Ruszamy.

– Jedziesz do Abchazji? – zapytał Dżamałudin.

– Tak – odparł Czeczen, odwracając się do niego.

– Weź mnie ze sobą.

Czeczen obejrzał go od stóp do głów i spojrzał na resztę Awarów, stłoczonych za Dżamałudinem. Jak już wspominaliśmy, wszyscy byli bez broni, ubrani na sportowo.

– Nie mam czasu na wożenie turystów – powiedział Czeczen.

Wtedy Dżamałudin machnął ręką i jego kuzyn Ashab podjechał bliżej uralem z cysterną. Czeczen wszedł za Dżamałudinem po drabince na cysternę i zajrzał do otwartego luku. Trzeba powiedzieć, że cysterna miała już wtedy tyle dziur po kulach, że w środku było całkiem jasno i Czeczen zobaczył, że jest zapełniona bronią pływającą w oleju jak szprotki w otwartej puszcze.

Uśmiechnął się, patrząc na broń i dziury w cysternie, zeskoczył z drabinki i zapytał:

– *Chjo chjein wu?*

– Jestem Dżamałudin, syn Ahmeda – powiedział Awar.

– A ja Arzo, syn Andiego – przedstawił się Czeczen.

Kolumna z Arzem Hadżijewem na czele dotarła do Abchazji po trzech dniach. Pojechali przez Kabardię, mówiąc gliniarzom, którzy ich zatrzymali, że przemieszczają się przez Piatigorsk do Tuapse. Kabardyjscy funkcjonariusze ucieszyli się, że nie muszą zatrzymywać uzbrojonej kolumny i że mogą tę sprawę scedować na federalów, ale niedaleko Nalczyka kolumna skręciła ostro w góry.

Tam ochotnicy porzucili samochody i poszli pieszo. Prowadził ich dowódca kabardyjskiego oddziału, który potrafił chodzić po górach nawet po omacku. Gdy kolumna wyjeżdżała z Groznego, było w niej zaledwie trzysta osób, ale gdy znaleźli się niedaleko Przełęczy Kluchorskiej, liczyła już półtora tysiąca ludzi. Prawie nikt z ochotników, oprócz Czeczenów, nie był uzbrojony i ludzie proponowali Dżamałudinowi każde pieniądze za broń. Ale Awar zamiast ją sprzedawać, rozdawał

tym, którzy dołączali do jego oddziału, i wyszło na to, że z Besztoju Dżamałudin wyruszył samochodem, mając dziewięćdziesiąt karabinów, a z przełęczy schodził jako dowódca oddziału liczącego dziewięćdziesięciu żołnierzy.

Abchazów dosłownie замуrowało, gdy cała ta kolumna do nich dotarła. Nie wiadomo nawet, czy się z jej pojawienia cieszyli, ponieważ większość ochotników była bez broni, a nakarmić musieli wszystkich. Ale na widok oddziałów Arza i Dżamałudina naprawdę się uradowali.

Oddział Arza składał się z samych Czeczenów. Jeśli chodzi o Dżamałudina, to wybierał tych, którzy mu się spodobali, i miał u siebie przedstawicieli różnych narodowości. Byli tu Awarowie, Czerkiesi, Kabardyjczycy, a nawet Rosjanie. W sumie, jak już mówiliśmy, dziewięćdziesiąt osób.

Tego samego wieczoru, kiedy zeszli z przełęczy, Arzo Hadżijew podszedł do Dżamałudina i powiedział:

– Myślę, że będą z ciebie ludzie. Proponuję, byś został moim zastępcą.

Dżamałudin spojrział na niego i odpowiedział:

– Wy, *Nochcze*<sup>13</sup>, macie za duże mniemanie o sobie. Dlaczego ty nie zostaniesz moim zastępcą, Arzo?

– Daj spokój! – roześmiał się Arzo. – Widziałeś gdzieś, by Czeczen był zastępcą? Jeśli tak, to znaczy, nie był to prawdziwy Czeczen. Widocznie miał w sobie trochę awarskiej krwi.

Dżamałudin tak się obraził za te słowa, że chciał się z Arzem bić. Z trudem ich rozdzielono.

Następnego dnia Dżamałudin, przyszedłszy rano do sztabu, zobaczył pięciu Abchazów, którzy ładowali do gazika<sup>14</sup> skrzynie z materiałem wybuchowym. Załadunek nadzorował człowiek o nazwisku Ankwab.

– Co robią ci ludzie? – zapytał Dżamałudin.

– Idą wysadzić most pięć kilometrów stąd – powiedział Ankwab – ale potrzebują pomocy na wypadek, gdyby na moście byli Gruzini.

– Oślonię ich – zapewnił Dżamałudin.

Zebrał dwudziestu swoich ludzi, a ponieważ w sztabie nie było innych

samochodów oprócz gazika, musieli iść pieszo. Do gazika wsadzili abchaskiego starca, który był saperem w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej i wiedział, jak minować mosty. W każdym razie Dżamałudin miał nadzieję, że wie. Sam Dżamałudin, szczerze mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, jak to się robi, ale zamierzał nauczyć się tego na miejscu.

Tak się jednak złożyło, że do mostu nie dojechali. Zza ostatniego zakrętu, tuż przed mostem, wyłonił się BWP [15](#), z którego niemal natychmiast otworzono ogień.

Ludzie Dżamałudina rozbiegli się na wszystkie strony, jedni ukryli się za głazami, inni w sitowiu, a sam Dżamałudin zdążył paść do rowu, zanim zastukotał nad nim karabin maszynowy.

Stary Abchaz, który nie miał broni, tylko materiał wybuchowy, wypadł z samochodu i leżał na drodze, a Dżamałudin gapił się tępo na niego, zdziwiony, czemu ten nie czołga się do ukrycia. Potem seria z karabinu maszynowego trafiła w starego raz i drugi, a za trzecim został zdetonowany materiał wybuchowy i na czołganie się było już za późno.

Czas mijał nie wiadomo czemu bardzo powoli, jak we śnie, i Dżamałudinowi wciąż wydawało się, że zaraz się obudzi. Tym niemniej zrozumiał, że jeśli dalej będzie siedział w rowie, do niczego dobrego to nie doprowadzi. Czołgać się do tyłu było mu niewygodnie, dlatego zaczął czołgać się pod górę. Zauważył, że jakieś dwadzieścia metrów nad wzniesieniem biegnie długa skalna półka, i wpadł na pomysł, że pod jej osłoną można by się przemknąć i zejść BWP od tyłu.

Wlazł więc na górkę i przebiegł po półce, a gdy wyjrzał zza niej, zobaczył wóz sto metrów od siebie. Pojazd stał tyłem do Dżamałudina i metodycznie rozstrzeliwał jego ludzi. Po starym na drodze zostały same strzępy. Gazik płonął w rowie.

Dżamałudin patrzył na ten obrazek, zastanawiając się w duchu, czemu nie może się obudzić. Wtedy w luku wozu pokazał się Gruzin. Dżamałudin uniósł karabin i strzelił w jego kierunku. Pocisk odbił się rykoszetem od wieżyczki, a wokół Dżamałudina zagwizdały kule. Dżamałudin bardzo się zdziwił, bo nie widział na drodze innych wrogów oprócz BWP, potem domyślił się jednak, że to strzelają jego ludzie – przecież nie powiedział im, że obejdzie wóz dookoła, a oni nie mogli go rozpoznać z takiej odległości. Widzieli tylko, że ktoś siedzi na górze i strzela w ich

stronę.

Dżamałudin wystraszył się, że zaraz zostanie zabity przez swoich ludzi, ale wtedy z tyłu po prawej odezwał się karabin maszynowy, i gdy Dżamałudin się obejrzał, zobaczył dosłownie dziesięć metrów od siebie niewysoki murek z kamieni, a za nim trzech czy czterech Gruzinów. Jeden strzelał z karabinu, drugi krzyczał i pokazywał na Dżamałudina, który zupełnie nie rozumiał, jak mógł tyle czasu patrzeć w stronę BWP i nie zauważyć tego ogrodzenia za swoimi plecami.

Gruzin z karabinem maszynowym rozejrzał się, zauważył Dżamałudina i skierował lufę w jego stronę, a Dżamałudin zrozumiał, że zostało mu niewiele życia. Z przodu strzelali jego ludzie, z tyłu celował do niego Gruzin cekaemista. Najbardziej było mu żal tego, że nie trafił żołnierza z BWP.

Dżamałudin chwycił granat, wyrwał zawleczkę, by rzucić go w cekaemistę, i wtedy dostał. Został przedziwnie trafiony, w koniuszek małego palca. Pocisk rozorał go, wyszedł z tylnej strony dłoni i uderzył w zamek karabinu, rozpadając się na trzy części – dwie z nich uderzyły Dżamałudina rykoszetem w ramię, a miękka ołowiana kulka odbiła się i trafiła go ciut powyżej brwi. Ponieważ kula długo skakała w różne strony, straciła impet i nie przebiła głowy. Prześlizgnęła się tylko wzdłuż skroni, zdzierając skórę i włosy. Przez tę kulę Dżamałudin upuścił granat i pocisk leżał teraz u jego stóp. Chwycił go szybko lewą ręką i odrzucił jak najdalej od siebie. Gdy go odrzucał, zauważył, że cekaemista ma już go na muszce, a granat leci nie tam, gdzie trzeba, jakieś pięć metrów w lewo od murka.

W następnej chwili za murkiem coś błysnęło, huknęło i Dżamałudin zobaczył, jak cekaemista wylatuje w powietrze razem z kamieniami. Kiedy się tak poruszał niezwykle powoli, Dżamałudin nagle przypomniał sobie, że przeżył już coś podobnego, gdy wypadł z pociągu jadącego na trasie Rostów – Moskwa z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wtedy brzozy z naprzeciwka też przesuwały się w jego stronę bardzo powoli. Dżamałudin często brał udział w bijatykach, ale nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czyjaś pięść poruszała się tak wolno jak brzozy czy cekaemista.

Dżamałudin wpatrywał się zdziwiony, a wtedy murek wyleciał w powietrze po raz drugi, i gdy dym opadł, Awar ujrzał w jego miejscu niewysoką, zwinną postać

w kamuflażu.

– Arzo! – wrzasnął.

Arzo uniósł się zza ogrodzenia, miał na ramieniu granatnik wyglądający jak rynna ściekowa. Za jego plecami buchnęły płomienie i po paru sekundach granat uderzył w bok BWP. Pojazd natychmiast zajął się ogniem i zaczęły z niego wyskakiwać postacie w kamuflażu. Ludzie Arza strzelali do nich z góry. Dżamałudin też chwycił karabin i zaczął strzelać. Nie podobało mu się, i to bardzo, że w dole, z szuwarów, prawie nikt z jego ludzi nie prowadzi ognia.

Gdy pięć minut później zeszli do palącego się BWP, było już po wszystkim. Figurki w kamuflażu leżały twarzą do ziemi, przyszpilone kulami do zakurzonej drogi, a ludzie Arza chodzili między nimi, zbierając automaty. Każdy automat kosztował wówczas bardzo dużo – więcej niż tysiąc dolarów. Wśród ochotników zdarzali się i tacy, którzy strzelali towarzyszom broni w plecy, by zabrać im automat.

Kiedy ludzie Dżamałudina wyczołgali się jakoś z szuwarów, ten z przerażeniem spostrzegł, że prawie wszyscy mają obrażenia. Z dwudziestoosobowego oddziału jedenastu było rannych, a trzech zabitych. Arzo podszedł do Dżamałudina i zapytał:

– Co ci się stało z czołem?

Dżamałudin przesunął prawą ręką po twarzy i zobaczył, że cała jest we krwi.

– Nie wiem – powiedział Awar – to najwidoczniej od kuli.

– Ależ twardy masz łeb – stwierdził Czeczen.

Po czym odwrócił się i krzyknął coś po czeczeńsku. Dżamałudin zrozumiał, że daje rozkaz saperom, by zaminowali most, i zaczął pomagać w wyciąganiu rannych.

Kiedy skończyli z rannymi na moście, Dżamałudin znów wlaź na górkę. Chciał zrozumieć, jak udało mu się przeżyć. Wiedział, że przeoczył ogrodzenie za swoimi plecami, był przecież po raz pierwszy w życiu pod ostrzałem i nie zauważyłby nawet słońca, nie rozumiał jednak, jak to się stało, że Gruzini przez tyle czasu go nie widzieli.

Wspiął się po kamiennym osypisku i zobaczył trzy dywany wewnątrz ogrodzenia. Ręce martwego cekaemisty były całe w tatuażach, a w jego kieszeni Dżamałudin znalazł foliowy pakunek wypełniony jakimiś złotymi przedmiotami.

Dżamałudin wziął go i zszedł na dół, tam, gdzie Arzo wydawał ostatnie rozkazy dotyczące mostu. Podał Czeczenowi foliowy pakunek i powiedział:

– Przekaż Abchazom. Jeśli właściciele tego jeszcze żyją, mogą zabrać swoje rzeczy. I jeszcze coś. Wspominałeś o swoim oddziale...

Arzo uważnie spojrzał na szczupłego Awara z twarzą zalaną krwią. Dostrzegł, że mały palec lewej ręki chłopaka jest w zasadzie całkiem oderwany i trzyma się tylko na jakichś strzępkach tkanek, a na ramieniu widać dużą plamę krwi. Szczerze powiedziawszy, Arzo nie rozumiał, jak jedna kula mogła narobić tyle nieszczęścia. Doszedł do wniosku, że w Dżamałudina trafiono przynajmniej trzy razy. Przecież nieczęsto zdarza się na wojnie, by kula skakała po człowieku niczym piłeczka po stole pingpongowym.

– A co – zapytał Czeczen – zgadzasz się jednak zostać moim zastępcą?

– Nie – odpowiedział Dżamałudin – chcę być szeregowym.

Arzo się roześmiał:

– Nigdy nie spotkałem człowieka, który by tak szybko zmadrzał po trafieniu w głowę. Może strzelę w ciebie jeszcze raz? Będiesz Einsteinem, Dżamal.

Tak oto Dżamałudin został żołnierzem w czeczeńskim batalionie, ale niedługo był szeregowym. Arzo szybko powołał go na dowódcę dziesięciu ludzi, a potem kolejnych dziesięciu i już po miesiącu Dżamałudin dowodził własnym oddziałem. Nie minował już mostów, zanim nie wysłał zwiadowców, i nie łąził po górach bez oglądania się za siebie.

Arzo ganiał go niczym szczeniaka, choć prawdę powiedziawszy, sam miał niewiele więcej wojskowego doświadczenia. Całym jego doświadczeniem były dwa lata w GRU [16](#) i służba w jakiejś Angoli, przez co Arzo nie cierpiał Murzynów. Zadrapania, które Dżamałudin odniósł w pierwszym boju, goiły się na nim jak na psie, tylko mały palec trzeba było odciąć jeszcze tego samego wieczoru.

Kilka miesięcy później Dżamałudin został poważnie ranny, a ponieważ z pogotowiem było w tym czasie krucho, wsadzili go do białego żiguli [17](#) i dziewczyna ze sztabu zabrała go do szpitala.

Pod koniec jazdy Dżamałudin stracił przytomność, a gdy się obudził, zobaczył, że leży na stole operacyjnym i chirurg grzebie mu w brzuchu, a tacę z narzędziami



trzymała ta sama dziewczyna, Żanna, która prowadziła samochód. Dżamałudinowi zrobiło się wstyd, ponieważ kula trafiła go trochę poniżej jelit i nie uśmiechało mu się takie leżenie przed znajomą dziewczyną ze sztabu. Już otworzył usta, by ją przegonić, ale chirurg znalazłszy właśnie kulę, zaczął ją wyciągać i Dżamałudin znów stracił przytomność.

Następnego dnia obudził się i zobaczył, że w sali oprócz niego leży jeszcze dwóch nowych rannych i że krząta się przy nich Żanna.

Wiatr rozwiewał zasłony w otwartych oknach byłego sanatorium, promienie słońca rozsypywały się po sali niczym snop złocistej słomy i gdy Żanna schyliła się nad Dżamałudinem, ten jakby po raz pierwszy ujrzał jej jędrne młode biodra i ufnie szare oczy. Włosy miała gęste, ciemny blond, lekko kręcone na końcach, a cienkie, równe brwi przypominały kształtem skrzydła jaskółki. Miała też niezwykle piękne dłonie z długimi, szczupłymi palcami i płatkami pomalowanymi matowym lakierem paznokci. Trzymała w dłoniach kaczkę.

– Jak się tu znalazłaś? – zapytał ją Dżamałudin.

– Fatima Michajłowna się rozchorowała – odpowiedziała Żanna – i sztab mnie skierował do pielęgnowania rannych.

Tymczasem drzwi się otworzyły i do sali wszedł Arzo. Szeroko się uśmiechnął, stawiając obok łóżka Dżamałudina torebkę z jedzeniem. Dziewczyna zaczerwieniła się i wyszła. Arzo popatrzył w ślad za nią i się roześmiał:

– Szczęściarz z ciebie, bracie.

– O czym ty gadasz? – rzucił Dżamałudin.

– O tym, że przez tę dziewczynę trzech z mojego oddziału mało się nie wystrzelało, a ona na żadnego nawet nie spojrzała. A po tobie gotowa kaczkę wynosić. Co z tobą, bracie? Czyżbyś nie widział nic poza wojną? – zdziwił się Arzo.

Dżamałudinowi nawet uszy poczerwieniały i poczuł płomień w brzuchu na dole – pewnie przez zaognioną ranę.

Wróciwszy dwa tygodnie później do oddziału, Dżamałudin ze zdziwieniem zobaczył, że czeka na niego jakaś poufna przesyłka. Nigdy dotąd nie widział poufnych przesyłek. Nie było ich na tej wojnie, nawet żadnych rozkazów tak

naprawdę nie było. Każdy dowódca wojował w taki sposób, na jaki pozwalała mu własna wyobraźnia. Jeden widział nie dalej najbliższego okopu, inny – dwóch. Arzo widział trzy okopy do przodu, snuć dalszych planów nie było sensu. Diabli wiedzą, do czego można byłoby dojść, widząc więcej niż trzy kolejne okopy.

Dżamałudin otworzył przesyłkę i zdziwił się, spostrzegłszy wezwanie do sztabu Zjednoczonego Frontu podpisane przez niejakiego pułkownika Sapronowa. Nie miał dotąd pojęcia, że istnieje jakiś tam sztab frontu i że dowodzi nim pułkownik Sapronow.

Nawiązawszy kontakt radiowy z Arzem, Dżamałudin zapytał:

– Słuchaj, Arzo, dostałeś może poufny list?

– Dostałem – powiedział Arzo.

– A w nim rozkaz stawienia się w sztabie frontu?

– Tak – potwierdził Arzo.

– I co masz zamiar zrobić?

– Może odwiedzimy najpierw sztab, a potem się zastanowimy?

Jak się okazało, w sztabie frontu, który mieścił się na rosyjskim lotnisku w Gudaucie, czekała na nich przyjemna niespodzianka. Naczelnik działu gospodarczego lotniska, odebrawszy ich spod bramy, zaproponował, by jechali prosto na pas startowy do samolotu transportowego i wzięli stamtąd tyle broni, ile potrzebują.

Nawet obecnie, po pół roku walki, brakowało w Abchazji broni. Żeby rozwiązać jakoś ten problem, Arzo i Dżamałudin ustawili posterunki i rekwirowali na nich wszystkie samochody, których kierowcy nie mieli stosownych dokumentów. Oczywiście takie samochody stanowiły większość, ponieważ wszyscy, oprócz Abchazów, uciekali z wyzwolonych rejonów, a Abchazowie stanowili zaledwie piątą część ludności republiki. Dodatkowo nawet samochody należące dotąd do Abchazów, niekoniecznie teraz były ich własnością, ponieważ zanim Abchazowie wyrznęli wszystkich Gruzinów, Gruzini starali się wyrznąć wszystkich Abchazów.

Krótko mówiąc, jeśli właściciel samochodu nie mógł przedstawić dokumentów, Arzo i Dżamałudin rekwirowali samochód, a następnie wymieniali go na broń w Gudaucie. Tam rozbierano pojazd na części i wysyłano do Rosji. Trąciło to

grabieżą i nie bardzo odpowiadało obu dowódcom, ale nie było innego sposobu na zdobycie broni.

A teraz ten sam naczelnik działu gospodarczego, który targował się z nimi o każde zardzewiałe żiguli, uśmiechał się od ucha do ucha i zachęcał, by brali tyle broni, ile potrzebują.

Jak się wyjaśniło, samolot przyleciał z Naddniestrza, a do tego broń należała do zachodniej grupy wojsk. Arzo i Dżamałudin podjechali ciężarówkami i rozładowali samolot w trymiga. Ich ludzie dosłownie wczepili się w skrzynie niczym panienki w sklepie w pojemnik z koronkowymi pończochami. Następnie obaj udali się na posiedzenie sztabu. Zobaczyli tam mnóstwo rosyjskich wojskowych. Jeden z nich był tak szeroki, że uda zwisały mu po bokach krzesła. Jak się okazało, był to właśnie ów Sapronow.

Oprócz Arza i Dżamałudina znajdowało się tam jeszcze z piętnaście osób, a wśród nich młody Czeczen o imieniu Szamil, duży i z czarną brodą, który uczył Dżamałudina, jak się modlić, jeden Kabardyjczyk i trzech Abchazów. Całą resztę stanowili Rosjanie, żadnego z nich Dżamałudin nigdy przedtem nie widział. Ochotnicy nieufnie zerkali na rosyjskich oficerów. Arzo wyciągnął z kabury swój nowy nabytek, stieczkina <sup>18</sup> znalezionej w samolocie transportowym, pogłaskał go niczym ukochaną dziewczynę i zwrócił się po czeczeńsku do Szamila:

– Świetna przynęta. Zobaczymy zaraz, co z haczykiem.

Tymczasem pułkownik Sapronow odchrząknął, wstał i zaczął mówić, wskazując palcem na rozłożoną na stole mapę. Jak się okazało, przedstawiała ona plan ataku na Gagrę.

Mówił dość długo, aż Dżamałudin mu przerwał.

– Skąd mam w końcu zaatakować? – zapytał.

– Jeszcze raz powtarzam – powiedział pułkownik – Abchazowie atakują tu, a ty ze swoją nieformalną jednostką przypuszczasz atak wzdłuż plaży. – I wbił palec w odcinek, który, jak Dżamałudin wiedział, był dobrze ufortyfikowany i do tego pod obstrzałem zarówno od strony gór, jak i od morza.

Dżamałudin wybuchnął gniewem:

– Skoro mam nieformalną jednostkę, to nie będziesz mi rozkazywał, skąd mam

atakować.

– To jaki masz w takim razie plan?

Dżamałudin nie chciał wyjść na tchórza, unikającego bezpośredniego starcia, i zanim jeszcze zdążył cokolwiek pomyśleć, wycelował palec w mapę i wypalił:

– Wylądujemy tu, od strony morza! I uderzymy w tyły!

Rosjanie wymienili spojrzenia, a pułkownik Sapronow stwierdził tylko:

– Dobrze. Wystarczy, że narobicie szumu. Niech wróg myśli, że jest otoczony.

Dżamałudin miał dwie łodzie. Dużą, do której mieściło się siedemdziesiąt osób, i małą – na dwadzieścia. Resztę swoich ludzi oddał Arzowi i Kabardyjczykom.

Wyruszyli godzinę przed świtem. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że morze było tego dnia bardzo niespokojne, a na dużej łodzi zepsuł się silnik. Wszyscy górale towarzyszący Dżamałudinowi czołgali się do burt i rzygali, a gdy się okazało, że silnika nie da się naprawić, jeden z Abchazów poradził, by desant przełożyć na kiedy indziej.

– Mamy tylko małą łódź – powiedział – do tego jest już zupełnie jasno. Nie zaskoczemy już ich, jest nas za mało, a cała broń znajduje się na dużej łodzi.

Dżamałudin wyobraził sobie, jak będzie składał meldunek o dzisiejszej operacji przed nowym sztabem. Nie chciał się skompromitować.

– Kontynuujemy operację – rozkazał.

Była dziewiąta rano, gdy mała łódź przybiła do brzegu w wyznaczonym miejscu. Walka o Gagrę już trwała. W oddali niczym maszyny do szycia terkotały karabiny maszynowe.

Dzień był pogodny i słońce toczyło się nad morzem niczym żółtko po nagrzanej patelni. Na białej drodze między morzem a skałami stał autobus. Pasażerowie, którzy tłumnie z niego wysiadali, patrzyli, jak łódź z ochotnikami przybija do brzegu. Potem jakby oprzytomnieli, zapakowali się z powrotem do autobusu i odjechali.

Dżamałudin zrozumiał, że ma czas, póki autobus nie dojedzie do gruzińskiego posterunku. I tak się stało. Jego ludzie nie zdążyli jeszcze dotrzeć do plaży, kiedy zobaczyli dwa pędzące w ich stronę BWP.

Awar wylądował dość szczęśliwie, w miejscu, gdzie do morza wpływała jakaś

rzeczka. Rzeczka była przegrodzona betonowym blokiem, a tuż za nią zaczynały się szuwary. Dżamałudin wysłał swoich ludzi w szuwary, żeby obszedłszy samochody, uderzyli z tyłu, a sam okopał się za murkiem.

BWP zbliżały się dość żwawo, cały czas ziejąc ogniem. Żołnierze obsługujący granatnik, których Dżamałudin wysłał w szuwary, strzelili w kierunku tylnego wozu i chociaż pocisk rozerwał się obok, BWP stanął jak wryty. Widocznie upychano do niego rekrutów.

Tymczasem za sprawą drugiego wozu bojowego na szuwary spadł grad pocisków i kilku ludzi Dżamałudina zostało rannych. Jeden z żołnierzy wystrzelił z granatnika, ale chybił. Drugi wystrzelił, lecz też nie trafił. Dżamałudin miał w jednostce starego Abchaza, który znał okolicę. Zresztą to on wskazał im miejsce do lądowania. Dżamałudin nie liczył na to, że dziadek będzie zdolny do walki, ale ten przytaszczył ze sobą granatnik, który był jego własnością i którego nikt nie miał prawa ruszać.

– Strzelaj! – wrzasnął Dżamałudin do dziadka, ten jednak wystraszył się i nie wiedział, co ma robić.

Dżamałudin wyrwał mu granatnik i zobaczył, że broń jest załadowana pociskiem odłamkowym. Szanse na to, by trafić w BWP czymś takim, były marne, ale lepiej robić cokolwiek, niż nic. Dżamałudin wychylił się zza betonowej płyty, wycelował i strzelił.

Udało mu się trafić w łączenie pancernych elementów pojazdu. Przód się oderwał i wyleciał w powietrze, a silnik stanął w płomieniach. Wóz zaczął się wycofywać, ale natknął się na pojazd z tyłu. Z palącego się wnętrza wyskakiwali ludzie, do których od razu strzelali żołnierze Dżamałudina.

Ponownie uruchomiony pojazd ruszył do przodu. Dżamałudin poczuł ogromny zawód – akurat wczoraj po raz pierwszy dostał wystarczającą ilość broni, ale przez awarię większego kutra cała ta broń została na morzu, on zaś siedział z jednym karabinem maszynowym naprzeciw BWP i był bezradny.

Wtedy zobaczył ze zdumieniem, jak wóz z przodu zawraca i jedzie prosto do morza. Znów pomyślał, że kierowca widocznie po raz pierwszy w życiu prowadzi BWP. Tylko dlatego nie wie, że wóz bojowy pływa tylko w filmach. To znaczy potrafi pływać, ale do tego trzeba przez tydzień uszczelniać wszystkie otwory. Wóz

zanurzył się w morzu po wieżyczkę i silnik oczywiście zdechł. Wówczas ze środka zaczęli wylazić gruzińscy ochotnicy. Było ich chyba ośmiu. Pięciu próbowało odpłynąć, ale zastrzelono ich w wodzie, trzech poddało się i, jak później dowiedział się Dżamałudin, ci wieczorem zostali rozstrzelani w sztabie.

Ludzie Dżamałudina pobiegli do przodu, do linii frontu, a ponieważ Gruzinom nawet do głowy by nie przyszło, że oddział atakujący z morza może liczyć zaledwie dwadzieścia osób, myśleli, że jest to przynajmniej batalion. Tak szybko opuścili swoje pozycje, że Dżamałudin prowadzący szturm od morza i Arzo posuwający się od strony gór o mało się wzajemnie nie wystrzelali.

Gagra została zajęta i nic ciekawego tamtego dnia już się nie wydarzyło.

Następnego ranka Dżamałudin zorganizował w sąsiedniej wsi traktor i pojechał wyciągać z morza wóz bojowy, ale gdy dotarł do plaży, okazało się, że się spóźnił. Po pojeździe zostały tylko głębokie koleiny i dół w piasku, w miejscu, gdzie buksowały koła traktora. Dżamałudin plunął i ruszył do obozu. W drodze powrotnej spotkał Arza w świeżo zdobytym BWP. Czeczen miał na sobie spodnie w barwach maskujących i wilgotny od potu podkoszulek na ramiączkach, a przy pasie nóż desantowy.

– Hej, Arzo – zawołał do niego Dżamałudin – czy to nie ten wóz, który wjechał wczoraj do morza?

– Ten sam – powiedział Czeczen. – A co, potrzebujesz go?

Dżamałudin trochę się wkurzył, że Arzo go uprzedził. Już traktował ten BWP jak swoją własność. W końcu strzelano z tego wozu do niego, a nie do Arza, co dawało mu w pewnym sensie prawo do jego posiadania.

– Przydałby się – powiedział Awar.

– Koło przedszkola stoi jeszcze jeden – roześmiał się Arzo. – Jak chcesz, jedź po niego, póki nikt go nie zabrał.

Ostatecznie na rozkaz Arza wozem pancernym pojechał dalej żołnierz z jego oddziału, a on sam postanowił towarzyszyć Dżamałudinowi w drodze do przedszkola.

BWP rzeczywiście tam stał – pośrodku placyku z huśtawkami i piaskownicą. Został porzucony, nie wystrzelono z niego ani razu, nawet zatankowany był do

pełna. Dżamałudin wlaźł do środka, żeby zobaczyć, co i jak, a Arzo Hadżijew wszedł do przedszkola.

Żadnych dzieci tam oczywiście nie było, wychowawców także. Arzo w ogóle miał duże wątpliwości co do tego, by w najbliższym czasie pojawiły się w tym przedszkolu jakieś dzieciaki. Przecież abchaskie maluchy uciekły stąd dawno temu, gdy do miasta weszli Gruzini, o ile oczywiście Gruzini ich nie powyrzynali. A wczoraj uciekły też gruzińskie dzieci, o ile oczywiście nie powyrzynali ich Abchazowie.

Budynek nie był uszkodzony, ani wewnątrz, ani na zewnątrz. W sypialniach stały pościelone łóżeczka. W pokoju zabaw leżały porozrzucone zabawkowe czołgi i transportery opancerzone, a na stoliku obok stał plastikowy wilk z filmu rysunkowego *Wilk i zając*. Wilk miał goły szary brzuch, a na sobie – podartą koszulę.

Gdy Arzo w dzieciństwie oglądał tę bajkę, zawsze był po stronie wilka. Nie podobało mu się, że w filmie zając za każdym razem odnosi zwycięstwo nad wilkiem. W ogóle uważał, że to antycyprzeńska produkcja, i do tego – same kłamstwa. Hadżijew nie rozumiał, dlaczego autorzy filmu rysunkowego tak głupio kłamali. Przecież w rzeczywistości zając nigdy nie jest silniejszy od wilka. Czeczenowi zrobiło się żal wilka i wsadził go do kieszeni. Nie miało to nic wspólnego z szabrem.

Arzo wyjrzał przez okno i usłyszawszy gdzieś zza krzaków zdławione krzyki, wyskoczył na dwór i pobiegł w stronę zarośli. Zupełnie zapomniał, że oprócz noża nie ma żadnej broni.

W krzakach zobaczył trzech mężczyzn i dziewczynę. Leżała na ziemi z zadartą spódnicą. Jeden z mężczyzn gmerał ze spuszczonej spodni przy jej udach, a drugi trzymał dziewczynie nóż przy gardle. Trzeci siedział obok z karabinem maszynowym.

Na widok przybysza ten z karabinem zerwał się i pobladł. Arzo go poznał. Miał na imię Hamzat, dołączył do oddziału całkiem niedawno, jakieś dwa tygodnie temu. Arzowi zupełnie nie podobali się ludzie, którzy ściągali do Abchazji w ostatnim miesiącu. Zbyt przypominali takich, co wykładali okopy dywanami, a helikoptery

transportowe wykorzystywali do wywożenia fortepianów i żiguli, swoich rannych zostawiając Abchazom.

Arzo położył rękę na nożu i powiedział:

– Oddaj broń.

Hamzat przeładował karabin.

– Nie zbliżaj się! – wrzasnął.

Dwóch gwałcicieli odskoczyło od dziewczyny. Ten z nożem na widok Arza zadrżał.

– Ona sama! – wrzeszczał. – Sama chciała! Arzo, klnę się na Allaha!

Kiedy Arzo zrobił krok do przodu, Hamzat oddał serię strzałów w piasek pod jego stopami. Gwałciciel ze spuszczoneymi spodniami wyglądał zupełnie jak pingwin. Pistolet w kaburze miał przyczepiony do pasa, a pas zwisał mu przy kolanach razem ze spodniami. Bandyta próbował wymacać broń, ale nie mógł oderwać wzroku od Arza.

– Strzelaj! – krzyknął zdesperowany do Hamzata. – Strzelaj, przecież on nam nie daruje!

– Przepraszam, Arzo – powiedział Hamzat.

Wtedy nad uchem Arza ryknął silnik i, łamiąc krzaki, na podwórko wjechał BWP z lufą karabinu skierowaną w stronę Hamzata.

Tamten zbladł i uniósł do góry ręce z automatem.

– Tam. – Pokazał Arzo i dwaj gwałciciele potulnie dołączyli do Hamzata.

Dziewczyna podniosła się na czworaka i szybko podpełzła do Arza. Przypominała ślepego kotka. Arzo nie miał ochoty jej dotykać, ale pomógł wstać i popchnął gdzieś za krzaki.

– Rzucić broń – rozkazał. – Cała trójka twarzą do ściany.

– Toż to kurwa ormiańska – wrzasnął Hamzat, podnosząc automat – z burdelu, ona...

W tym momencie kula z KPWT [19](#) trafiła go prosto w brzuch i Arzo zobaczył, jak jego ciało wybucha fontanną kiszek i mięsa. Małe podwórko wypełnił tak potworny huk, jakby trwała tu prawdziwa walka. Ciężkie kule kalibru czternaście i pół milimetra przeszywały ludzi na wskroś i rozwalaly znajdującą się za nimi



ścianę.

Za chwilę było już po wszystkim. Z BWP wyskoczył Dżamałudin, trzymając karabin maszynowy. Dopiero wtedy do dziewczyny dotarło, co się właściwie stało, i zaczęła histerycznie łkać. Czeczen zauważył, że miała najwyżej trzynaście lat. Jeden z ceglanych odłamków dość głęboko drasnął policzek Arza.

– Czemu nie strzelałeś? – zapytał Dżamałudin, skinieniem głowy wskazując na odstającą kieszeń Arza.

Ten wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej plastikowego wilka. Wymienili spojrzenia i zaczęli się śmiać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Dżamałudin usiadł na ciepłym piasku, rechocząc.

– Coś takiego! A ja zachodziłem w głowę, co on tam ma w kieszeni!

Wysoko płonęło oślepiające słońce ogarniętej wojną Abchazji, nad górami rozciągało się bezchmurne niebo, mieli razem ledwie czterdzieści lat, a centralną ulicę Gagry zaścięłały ciała ich wrogów.

Było to pierwsze w ich życiu duże zwycięstwo.

Minęły cztery lata.

Dochody Zaura wciąż rosły. Urale wprawdzie sprzedawały się trochę gorzej, ale za to wódka – o wiele lepiej. Zaur dorobił się bazaru w centrum Besztoju, a w jego zakładach spożywczych poza cukierkami produkowano mleko i sery. Nawiasem mówiąc, nie reklamował się już pod zachodnią nazwą Rikki-Tikki-Tau. Na Kaukazie Północnym produkowane przez Zaura mleko sprzedawano pod marką Fatima, a w Krasnodarze i Stawropolu – pod marką Nataszeńka.

Mahomet-Husajn został prorektorem Uniwersytetu Torbikalińskiego, Mahomet-Rasul – naczelnikiem kolei, a ponieważ był niezwykle ograniczonym człowiekiem, Zaur zarządzał również koleją. W efekcie kolej musiała jeszcze dopłacać firmie Kemir za wożenie jej towarów.

Pewnego razu w 1996 roku do Zaura przyszedł znajomy Czeczen o imieniu Andi. W Torbikale trwał właśnie proces bandy i jednym z oskarżonych był brat Andiego, Asłanbek. Postawiono mu zarzut dokonania pięciu zabójstw i dwudziestu siedmiu rozbojów. Andi był gotów zapłacić każde pieniądze, żeby tylko brat otrzymał

zwolnienie z zakazem opuszczania kraju.

Zaur odwiedził znajomego sędziego Sądu Najwyższego i zapytał go, ile by to kosztowało.

– Sto tysięcy – powiedział sędzia.

Zaur przekazał wiadomość Czeczenowi. Nie bardzo mu się ta kwota spodobała. Wyszedł od Zaura i przez dwa tygodnie próbował dostać się do prokuratury republiki. Podczas spotkania prokurator stwierdził, że będzie to kosztowało dwieście tysięcy.

Po dwóch tygodniach Czeczen przyszedł do Zaura i powiedział:

– Tyle warte są twoje obietnice? Zobowiązałeś się rozwiązać problem, a do tej pory tego nie zrobiłeś! Jeśli mój brat trafi za kratki, będziesz musiał zapłacić mi milion za każdy rok odsiadki!

– Przestań gadać bzdury i dawaj sto tysięcy – odpowiedział Zaur. – Jak tylko sędzia je dostanie, twój brat wyjdzie na wolność.

Zaur umówił się z Andim koło budynku sądu o dziewiątej. Andi miał mu dać sto tysięcy, które Zaur miał z kolei przekazać sędziemu. Ale zamiast przyjechać o dziewiątej, Andi pojawił się o jedenastej i zapytał, dlaczego jego brata do tej pory nie zwolniono.

– Ponieważ nie przywiozłeś pieniędzy na czas – odparł Zaur.

– Co to ma wspólnego z pieniędzmi? Między przyjaciółmi pieniądze nie mają znaczenia! – oburzył się Czeczen. – Mogłeś zapłacić sędziemu, a ja bym później ci oddał! To twoja wina, że mój brat jest w więzieniu!

Zaur odwrócił się i powiedział:

– To nasza ostatnia rozmowa. Rozwiążuj swoje problemy sam i nigdy więcej nie przychodź do mnie z żadną prośbą.

Wtedy Czeczen splunął i dał Zaurowi sto tysięcy, a ten przekazał je w przerwie sędziemu. Sędzia powiedział, żeby Andi się nie martwił i że po drugiej jego brat zostanie zwolniony.

Rozpoczęła się rozprawa. Wszyscy oskarżeni, w liczbie siedmiu, siedzieli w klatce, a na sali zebrali się ich krewni. Strażnicy nie byli zbyt surowi i podsądni mogli odbierać paczki od swoich krewnych, więc żona jednego z nich pięć minut

przed posiedzeniem przekazała do klatki bochenek chleba i bańkę mleka.

Sędzia przesłuchał kolejnych dwóch świadków i już chciał dać znak adwokatowi Asłanbeka Adijewa, kiedy jeden z podsądnych o imieniu Wachit poprosił o pozwolenie skorzystania z toalety. Sędziego to nie zaniepokoiło, ponieważ wszystko już było jasne.

– Zaprowadzić go do toalety – nakazał.

Wachita wyprowadzono z klatki i eskortowano do ubikacji przez salę rozpraw, obok stołu sędziego. Gdy do drzwi zostało około dwóch metrów, Wachit pośliznął się i przewrócił. W czasie upadku uderzył strażnika stopą w kolano tak, że złamał mu nogę, a gdy się wyprostował, trzymał w rękach pistolet, który przyłożył do głowy sędziego.

– Nie ruszać się! – rzucił Wachit.

W tym czasie jeden z podsądnych chwycił ręką strażnika stojącego koło klatki i przycisnął go do prętów, a drugą ręką wyciągnął zawleczkę z granatu i pokazał go strażnikowi. Ten znieruchomiał i nie stawiał oporu, gdy trzeci bandyta zabierał mu klucze.

Wtedy wszyscy widzowie rzucili się do wyjścia, oczywiście oprócz sędziego, który nie mógł nigdzie uciec, ponieważ miał przystawiony do głowy pistolet. A bandyci wybiegli z klatki, w której siedzieli. Wprawdzie w bandzie było w sumie dziewięć osób, ale z sądu zbiegło siedem. Dwóch oskarżonych po namyśle zostało w klatce razem ze strażnikami.

Uciekający wywlekli sędziego na korytarz, wskoczyli do samochodu drogówki, który czekał na zewnątrz, i odjechali.

Było to jak na tamte czasy wyjątkowe wydarzenie, ponieważ nie codziennie podsądni uciekają z klatki, zabierając ze sobą sędziego Sądu Najwyższego. Wszystkie drogi z Torbikały były obstawione, na wszystkich skrzyżowaniach, niczym węgry na skórze, powyskakiwały gliny z drogówki i samochód z uciekinierami został ostrzelany podczas skrętu do dzielnicy na południu miasta. Tak się złożyło, że pojazd się przewrócił, wpadł do rowu i zapalił.

Bandyci wybiegli ze środka i zatrzymali inny samochód. Sędziego znów zabrali ze sobą, chociaż podczas pierwszej strzelaniny został trafiony w głowę.

Pech chciał, że drugi samochód też został po kilku minutach ostrzelany i rozbił się o ścianę czteropiętrowego bloku. Uciekinierzy wyskoczyli z wnętrza i pobiegli w stronę bloku. Tym razem zostawili sędziego w samochodzie, ponieważ było z nim całkiem źle, a zamiast niego wzięli jakąś staruszkę, która siedziała na ławce.

Starucha na nic im się jednak nie zdała. Trzech zbiegów zastrzelono w czasie szturm, kolejnych czterech zabito dwa dni później w rejonie chalińskim.

Był wśród tej czwórki Asłanbek Adijew. Jeśli chodzi o sędziego, zmarł w szpitalu.

Parę miesięcy później Czeczen o imieniu Andi znów się zjawił u Zaura i zażądał od niego pieniędzy zapłaconych za brata, a dodatkowo tyle samo za straty moralne.

– O czym ty mówisz? – oburzył się Zaur. – Gdyby Asłanbek został w klatce razem ze strażnikami, wyszedłby na wolność! Ale on zamiast tego postanowił wziąć ze sobą sędziego w charakterze zakładnika! Te pieniądze straciliście przez własną głupotę. Poza tym miał je sędzia, gdy ciągnięto go do żiguli! Nie wiem nawet, czy spłonęły razem z samochodem, czy ukradły je gliny!

– Ukradłeś pieniądze, które dałem ci dla sędziego – upierał się Andi – i z tego powodu mój brat zginął. Przrzekam, że zapłacisz mi za to.

– Wyrzucicie go stąd – powiedział Zaur.

Trzy dni po tej rozmowie Zaur Kemirow został uprowadzony.

Od czasu, gdy Dżamałudin wyruszył za kierownicą urala do Groznego, nie skończywszy lekcji trygonometrii, bracia ani razu się nie spotkali. Kiedy Zaurowi powiedziano, że jego brat został ranny, nawet tego nie skomentował. Dwa miesiące później doniesiono mu, że Dżamałudin ożenił się z piękną Abchazką i że Ardzinba [20](#) sprezentował młodemu czołg.

– No cóż – odparł – będzie miał teraz na czym rabować gości weselnych.

Dlatego Dżamałudin dowiedział się o uprowadzeniu brata dopiero po trzech tygodniach. Przyjechał do Besztoju następnego dnia, razem ze swoimi przyjaciółmi.

Do miasta zjechała się już cała rodzina, a ponieważ nowy dom Zaura nie był jeszcze skończony, krewni zebrali się w biurze Kemirowa, mieszczącym się w odrapanym budynku biurowym zakładów urządzeń naftowych.

Kuzyn Zaura, Asłudin, przyleciał z Moskwy własnym Tu-134.

– Rozwiążę ten problem – zapewnił. – Już postawiłem wszystkich na nogi. Sam szef FSB Rosji zajął się tą sprawą, a minister spraw wewnętrznych wysłała tu dwóch swoich zastępców. Nie może być tak, że mojego brata kradną jak bieliznę ze sznura.

Drugi kuzyn Zaura, Szapi, przyleciał z Turcji czarterowym challengerem wynajętym przez gminę czerkieską.

– Przyleciało ze mną dwóch przedstawicieli naszej gminy – powiedział Szapi. – Są etnicznymi Czeczenami. To bardzo poważani ludzie w Turcji i każdy ma biznes wart sto milionów dolarów. Są przekonani, że uwolnią brata w ciągu dwóch dni.

Szwagier Zaura, Mahomet-Salam, przyjechał na spotkanie czarnym mercedesem na sygnale. Zaur mianował go niedawno dyrektorem handlowym firmy i Mahomet-Salam był bardzo dumny ze swego samochodu.

– To rozbój – powiedział. – Zajęcie z nas czy co? Zaraz pojedziemy do Czeczenii i zażądamy uwolnienia Zaura. Pojadę ja, Szapi, Wali...

– Jedź – powiedział Dżamałudin. – Dużo tam teraz chłopców z kałachami w żigulach. Przyda im się twój merc.

Jeśli chodzi o dwóch braci Zaura, Mahometa-Husajna i Mahometa-Rasuła, to Mahomet-Rasuł przeszedł właśnie zawał i leżał w szpitalu, a Mahomet-Husajn był przy nim. Wszyscy wiedzieli, że to porządni ludzie, lecz niewiele z nich pożytku.

Gdy trzy dni po przyjeździe Dżamałudina Czeczen o imieniu Andi wychodził od swojej kochanki, obok niego zatrzymał się samochód. Cienie, które z niego wyskoczyły, zapakowały Andiego do worka, a worek wrzuciły do bagażnika.

Zawieziono Andiego do lasu, a gdy zsunięto mu worek z głowy, zobaczył, że stoi na miękkim, pokrytym liśćmi stoku, a obok niego jest Dżamałudin i trzech facetów z karabinami. Dżamałudin rzucił Czeczenowi łopatę i rozkazał:

– Kop.

Czeczen zrobił podłużny dół w ziemi głębokości połowy swego wzrostu, a podczas kopania miał wrażenie, że gałęzie w lesie szepczą nad nim modlitwę żałobną. Kiedy grób był gotowy, Dżamałudin zapytał:

– Gdzie jest mój brat?

– Nie wiem – odpowiedział Andi.

Dżamałudin przyłożył lufę do małego palca Czeczena i strzelił.

– Gdzie jest mój brat? – powtórzył pytanie.

– Nie wiem – zaczął krzyczeć Czeczen. – Już ciągaliby mnie na mentownię<sup>21</sup>, wszyscy wasi myślą, że to ja, ale zaklinam się, że nawet go nie tknąłem.

Dżamałudin znów wypalił z broni i odstrzelił mu serdeczny palec.

– Masz jeszcze osiemnaście palców – powiedział Awar.

Czeczen się rozplakał.

– Oddam ci cały swój biznes i przepiszę na ciebie dwa moje mieszkania, ale przysięgam na imię Allaha, Dżamałudynie, że nie porwałem twojego brata i nikomu go nie sprzedałem!

Dżamałudin walczył już dostatecznie długo, by zyskać pewność, że złapany nie kłamie. Czeczena więc opatrzono i zawieziono do rodzinnej wsi Kemirowów, żeby spełnił swoją obietnicę.

Po kolejnych trzech dniach Dżamałudin Kemirow pojechał do Czeczenii. Czekano na niego w umówionym domu, pod którym stało mnóstwo niw<sup>22</sup> i dżipów, a wokół dżipów gromadzili się ludzie z gęstymi jak las świerkowy brodami.

Na podwórku przy stole z desek siedziało pięciu czy sześciu bardzo znanych dowódców. Dżamałudin po przyjacielsku uściskał się z Arzem Hadżijewem i z jeszcze jednym facetem, z którym wspólnie walczyli w Abchazji.

– Uprowadzono mi brata – powiedział Dżamałudin. – Ten, co to uczynił, złamał nakazy szariatu. Nie uprowadził przecież Ruska czy Żyda? Nabrudził we własnym domu. To tak, jakby porwał brata Arza.

Dowódcy polowi spojrzeli na Arza, a ten powiedział po chwili:

– Walczyliśmy razem. Gdyby nie ty, pochowano by mnie koło przedszkola w Gagrze. Ale wygląda na to, że zdobywając Gagrę, zrobiliśmy to dla Moskwy. Powiedz mi, będziesz walczył przeciwko Rosji?

– Najpierw oddajcie Zaura, potem porozmawiamy – odparł Dżamałudin.

– No cóż – powiedział Arzo – ludzie, którzy porwali Zaura, wykonali swoją robotę, a za każdą robotę należy się zapłata. Sam się dogaduj w sprawie zapłaty, *Siujli*<sup>23</sup>.

– W Gudaucie nie nazywałeś mnie *Siujli* – powiedział Dżamałudin. – Wtedy mówiłeś do mnie „bracie”.

– Kto nie mówi „tak”, mówi „nie” – odparł Arzo. – Ten, kto nie walczy przeciwko Moskwie, nie jest moim bratem. – I dodał za chwilę: – Poproszę razem z moimi przyjaciółmi, żeby wszystko zostało załatwione szybko i pomyślnie.

Następnego dnia po powrocie Dżamałudina z Czeczenii w domu Kemirowów zadzwonił telefon. Operator międzymiastowej poinformował o połączeniu z Gudermesu i gdy Dżamałudin podniósł słuchawkę, na drugim końcu rozległ się głos z czeczeńskim akcentem.

– Trzy miliony dolarów.

– Zanim zapłacę, muszę spotkać się z bratem – odpowiedział Dżamałudin. – Skąd miałbym wiedzieć, że macie u siebie towar?

– Przyślę ci palec jako dowód – obiecał pośrednik.

– Każdemu możesz go uciąć – zaprotestował Dżamałudin. – Dziś w Czeczenii jest tyle trupów i tyle palców, że możesz te palce sprzedawać jako specjalny Papuasom. Możecie uciąć palec nieboszczykowi i powiedzieć, że należał do brata. Chcę zobaczyć brata. Bez tego nie mamy o czym gadać.

– Dobrze – zgodził się pośrednik.

Dwa dni później samochody Dżamałudina podjechały do obwodnicy rowieńskiej, która nie była jeszcze wówczas tak znana jak później, gdy każdego dnia sprzedawano i kupowano na niej ludzi. Było jednak rzeczą oczywistą, że to miejsce na granicy między Czeczenią i Awarią jak najbardziej nadaje się na takie spotkanie. Gdy Dżamałudin przybył na miejsce, zobaczył po przeciwnej stronie posterunku kontrolnego dwa czarne dżipy.

Samochody Dżamałudina zatrzymały się i Dżamałudin sam skierował się w stronę posterunku. Jednocześnie z wozu stojącego po drugiej stronie granicy wyszedł mężczyzna i ruszył w jego stronę. Miał zostać z ludźmi Dżamałudina w charakterze zakładnika, póki Dżamałudin będzie oglądał towar.

Gdy mijali jednocześnie żołnierzy na posterunku, Dżamałudin zobaczył, że był

to Arzo Hadżijew.

– Bardzo się wzbogacisz, *Nochzi* – powiedział Dżamałudin – jeśli sprzedasz każdego swojego brata za trzy miliony.

– Nie mam w tym udziału – powiedział Arzo. – To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Dżamałudin odwrócił się i poszedł dalej.

Wieźli go dość długo, jakieś trzy godziny, posadziwszy z workiem na głowie pomiędzy dwoma bojownikami. Gdy Dżamałudin wyszedł z samochodu, było już ciemno. Stali na niewielkim placyku, znajdującym się niedaleko drogi między dwiema skałami. Góry wokół wyglądały niczym fałdy na poszwie rzuconej przez Allaha, zanim na zawsze opuścił tę ziemię, a pod prawym kołem dżipa ciemniał trójkątny lej po minie.

Jeden z mężczyzn towarzyszących Dżamałudinowi wskazał ręką niwę stojącą po drugiej stronie leja i powiedział:

– Mów tylko po rosyjsku.

Dżamałudin zajął miejsce na tylnym siedzeniu niwy i gdy siedzący obok człowiek odwrócił do niego głowę, zapytał go:

– Gdzie jest mój brat?

Człowiek milczał przez chwilę, jakby nie rozumiał, o co go pytają. Był bardzo wychudzony – ważył ze trzydzieści kilogramów mniej niż Zaur, gdy Dżamałudin widział go po raz ostatni. Miał twarz szarą jak pumeks, w pajęczynie zarostu, i oczy nieboszczyka.

– Zaur? – upewnił się Dżamałudin.

Człowiek niespodziewanie się uśmiechnął i jego poorana zmarszczkami twarz zaczęła przypominać złożoną harmonię.

– Wiesz – powiedział – wybierałem się od jakiegoś czasu do Dubaju, żeby schudnąć. Miało mnie to kosztować ogromne pieniądze. Wygląda na to, że dużo zaoszczędziłem na diecie.

– Jak cię traktują? – zapytał Dżamałudin.

– Nie skarzę się.

Człowiek z przedniego siedzenia lekko chrząknął. Dżamałudin objął brata



i powiedział:

– Wrócę po ciebie.

– *Dir pach'asa arac k'uge* – rzucił Zaur, zanim przerwał mu gardłowy okrzyk.

Dżamałudin wyszedł z samochodu i skierował się w stronę ludzi, którzy go przywieźli. Mimo że Czeczen z przedniego siedzenia miał na sobie czarną czapkę z otworami na oczy, Dżamałudin rozpoznał go po okaleczonym palcu wskazującym prawej ręki – cztery lata temu ten człowiek, będąc w oddziale Arza, mało nie został rozstrzelany za maruderstwo.

Zaur Kemirow zakazał płacenia okupu nie przez swoją dumę. Prawdziwa przyczyna była taka, że sam prowadził rozmowy o swoim uwolnieniu.

Był to ciężki kawałek chleba, ponieważ Zaur nie wiedział, kto go przetrzymuje i gdzie. Ocknął się w całkiem ciemnej piwnicy, bez najmniejszej szczeliny. W dodatku, gdy go wieziono na podłodze żiguli, złamano mu rękę.

Z betonowych płyt piwnicznej ściany wystawały oczka armatury i właśnie do jednego z nich przypięto kajdankami rękę Zaura. Był wtedy nieprzytomny i nikt nie zauważył, że jest połamana.

Dwa dni później wywleczono go z piwnicy, wsadzono do samochodu i dokądś powieziono. Na końcu podróży czekała na niego kolejna piwnica, która różniła się od poprzedniej tym, że oczko w armaturze znajdowało się na podłodze.

Tym razem Zaur nie był sam, obok niego leżał na podłodze jakiś Karaczaj. Obu pilnie strzeżono. Jedzenie podawano im przez okienko, tak by nie mogli zobaczyć twarzy strażników, a gdy pilnujący ich ludzie schodzili do piwnicy, Zaurowi i Karaczajowi kazano odwracać się do ściany i narzucano im worki na głowę.

Gdy minął tydzień od momentu porwania, strażnicy polecili Zaurowi położyć się twarzą do podłogi i czekać bez ruchu. Kładąc się, Zaur narzucił jeszcze na siebie kurtkę, a zaraz potem do piwnicy weszło dwóch facetów.

Założyli Zaurowi worek na głowę i posadzili prosto.

– Jak się czujesz w moim hotelu? – zapytał ten, który stał po prawej.

– Nie narzekam – odparł Zaur.

Niewidoczny rozmówca parsknął:

– To dobrze, że się nie skarżysz. Nie znoszę marud. Kupiłem cię za półtora miliona dolarów, wypuszczę za trzy. Zaraz zdejmą ci kajdanki i napiszesz o tym w liście do krewnych.

Zaur był przekonany, że jego rozmówca kłamie – nie miał półtora miliona dolarów, a gdyby nawet miał, nigdy by tyle za uprowadzonego nie zapłacił.

– Nikt za mnie nie zapłaci trzech milionów – odpowiedział Zaur. – Nie mam takich pieniędzy.

– Jak to nie masz? – oburzył się mężczyzna. – Wszyscy wiedzą, że na samej wódce zarabiasz sto milionów rocznie, na cukierkach nie mniej!

– Skoro wiesz, że jestem biznesmenem – powiedział Zaur – a nie urzędnikiem czy bandytą, doskonale zdajesz sobie sprawę, że biznesmen nie posiada wolnych pieniędzy. Buduję przecież nową fabrykę słodyczy w Krasnodarze i wziąłem w banku kredyt. Jeśli nie zapłacę po miesiącu pierwszej raty, zabiorą mi i linię produkcyjną wódki, i zakład, gdzie produkuję uralę. Nie dostaniesz wtedy ani grosza, a nowi właściciele tylko się ucieszą, że mnie zabito.

– Więc musisz zapłacić trzy miliony, zanim minie miesiąc, jeśli chcesz uratować swój biznes.

– Przecież ci mówię, że nie zbiorę trzech milionów w ciągu miesiąca, a po miesiącu nic nie będę już miał – odpowiedział Zaur.

– Jak to nie zbierasz? W ciągu miesiąca sprzedajesz z dziesięć uralów, a każdy kosztuje sto tysięcy!

– Świetnie – powiedział Zaur – możesz sobie wziąć te dziesięć uralów. Załatwimy je choćby w ciągu dwóch tygodni. Ale nie więcej, ponieważ, po pierwsze, nie jesteśmy w stanie złożyć ich więcej niż dziesięć miesięcznie, a po drugie, nie mogę przecież dać ci aż tyle urządzeń, bo na lata zepsuję sobie rynek!

Dowódca polowy, który kupił Zaura, mocno się zdziwił. Nie po raz pierwszy uprowadzał ludzi, ale ani razu jeszcze się nie zdarzyło, żeby uprowadzeni zamiast okupu proponowali urządzenia do rafinacji ropy naftowej. Tym niemniej pewne aspekty tej propozycji uznał za warte uwagi.

– No cóż – powiedział – mam trochę ropy. Ile pieniędzy miesięcznie można zarobić dzięki uralowi?

– Dziesięć tysięcy dolarów dziennie, ale żeby być bardziej precyzyjnym, muszę obejrzeć twoją ropę i napisać biznesplan. Potrzebuję tylko człowieka, któremu podyktowałbym, co trzeba, bo nie potrafię pisać lewą ręką.

– A czemu nie napiszesz prawą? – zapytał dowódca polowy.

– Twoi ludzie mi ją złamali – odpowiedział Zaur.

Przez jakiś czas Czeczen wahał się między ostrożnością a zachłannością, aż w końcu zwyciężyła ta ostatnia. Pewnego ranka jeńcowi narzucono worek na głowę, wyciągnięto go z piwnicy i zawieziono na miejsce wydobywania ropy. Obejrzał tam odwierty, a ponieważ był doświadczonym inżynierem, dał kilka dobrych rad.

Napisał biznesplan, który dowódca polowy przekazał swemu krewnemu do Moskwy, Ten ostatni miał przedstawić go w Instytucie Ropy Naftowej i Gazu z prośbą o opinię. Opinia była pozytywna, ale w tym czasie dwa rosyjskie bombowce rzuciły pociski na rejon wydobywania i właściciel Zaura doszedł do wniosku, że rafinacja ropy naftowej w warunkach wojny to niepewny interes, nawet jeśli rafineria dzięki swojej mobilności potrafi pokonywać przeszkody terenowe.

Przyszedł więc do Zaura i stwierdził:

– Nie znaleźliśmy żadnych błędów w twoich wyliczeniach, potrzebujemy jednak gotówki, a nie sprzętu. Sprzedaj coś komuś innemu i daj nam pieniądze.

– W zasadzie dużo sprzedawałem – powiedział Zaur. – Dostarczyłem choćby partię mebli o wartości siedmiu milionów dolarów pewnej firmie w Kałmucji. Jestem gotów odstąpić wam dług i jeśli go odzyskacie, możemy pracować w przyszłości razem. Dzisiaj wielu dłużników uchyla się od płacenia, potrzebuję kogoś, kto zmusiłby ich do uregulowania należności.

Propozycja wydała się Czeczenowi kusząca, wysłał więc swoich ludzi do Kałmucji.

Dzięki tym negocjacjom życie jeńca stało się nieco mniej uciążliwe. Żeby dogadać się z Kałmucją, trzeba było nie tylko podpisać papiery, ale i parę razy tam zadzwonić. Za każdym razem Zaura wożono do Gudermesu, gdzie korzystał z telefonu, a strażnicy traktowali go coraz bardziej przyjaźnie. W czasie pertraktacji z Kałmucją Czeczeni nawet zdradzili Zaurowi nazwisko człowieka, który miał tam jechać, ponieważ Zaur musiał je podać przez telefon, i odtąd nie wkładano już

Zaurowi worka na głowę, gdy jego „pan” wchodził do piwnicy.

Trzy dni po tym, jak Dżamałudin ujrzał swego brata na tylnym siedzeniu niwy, chłopak o imieniu Achmad mijął posterunek graniczny między Czeczenią a Republiką Awarii Północnej – Dargo. Jakies dwieście metrów dalej w kierunku Besztoju zobaczył na drodze człowieka w szarych spodniach i żółtej kurtce. Mężczyzna szedł poboczem, rozglądając się dookoła. W ręce trzymał teczkę, jaką noszą zwykle urzędnicy. Na widok „szóstki”<sup>24</sup> Achmada człowiek ów podniósł rękę i zamachał, prosząc o zatrzymanie się.

Achmada zdziwił widok człowieka z teczką. Postanowił, że jeśli okaże się on Czeczenem, podwiezie go, a jeśli Rosjaninem – ukradnie mu teczkę. W skrajnym przypadku zabije i zabierze mu kurtkę i teczkę.

Dlatego zatrzymał się na poboczu i nań zaczekał. Jak tylko mężczyzna wsiadł na przednie siedzenie, Achmad poczuł lufę pistoletu przy swoim boku i znajomy głos powiedział do niego:

– *Salam alejkum*, Achmadzie. Nie masz co jechać dalej, póki nie powiesz mi, gdzie trzymają mojego brata.

Nie było zresztą nawet jak ruszyć, ponieważ w tym czasie zajechały przed jego samochód dwa dziipy. Achmada przesadzono do jednego z nich i powieziono do lasu. Wiedział o Dżamałudynie takie rzeczy, o jakich nie opowiada się w szkółkach niedzielnych, dlatego nie sprzeciwiał się, tylko od razu powiedział:

– Twojego brata kupił dowódca polowy Buwadi Hangerijew. Przedtem trzymali go w domu mojego wuja i nie pozwalali nawet nosa wystawić z piwnicy, ale po twoim spotkaniu z nim gdzieś go zabrali, tylko nie wiem gdzie.

– Powiedz no, czy Arzo maczał w tym palce?

Achmad pokręcił głową.

– Po tym, jak spotkałeś się z mudżahedinami, oni przysli do Buwadiego i zażądali udziału w całym przedsięwzięciu, ale Arzo zrezygnował ze swojej części. A teraz, Dżamałudynie, możesz z czystym sumieniem mnie zabić, bo masz wredny charakter i nie wybacysz mi, że nic więcej nie wiem.

Achmadowi oczywiście nie uwierzono i mocno go pobito, tym niemniej nie udało się z niego wyciągnąć więcej, niż powiedział. Zawieziono go w góry

i wsadzono do tej samej piwnicy, w której siedział już Andi.

Tymczasem negocjacje w sprawie okupu za Zaura wciąż trwały. Do Dżamałudina dzwonili teraz prawie codziennie. Najpierw porywacze zeszli do dwóch i pół miliona dolarów, później – do dwóch dwustu. Gdy cena spadła do dwóch milionów, Dżamałudin Kemirow zebrał krewnych i zapytał ich, jaką sumę są gotowi wyłożyć.

Jako pierwszy odezwał się Asłudin Kemirow.

– Jestem teraz w trudnej sytuacji – powiedział – ale dla rodziny zrobię wszystko. Mogę dać dwieście tysięcy dolarów.

Asłudin rzeczywiście miał trudności – jego nowy moskiewski dom kosztował dwa miliony dolarów i Asłudin strasznie przeżywał, że wyszło tak tanio. Uważał, że musi zamienić go na inny.

Drugi kuzyn, Szapi, zachmurzył się i stwierdził:

– Niestety nie jestem jedynym właścicielem firmy. Oddam wszystkie pieniądze, jakie mam. Sto tysięcy dolarów.

Tego lata Szapi wydał na letni wypoczynek milion dolarów i uważał, że wakacje były marne.

– A co ty powiesz? – zapytał Dżamałudin swego szwagra, Mahometa-Salama.

– Firma jest w kiepskim stanie – wyznał Mahomet-Salam. – Zaur, choć uważany za potężnego biznesmena, podjął wiele decyzji, których nie powinien był podejmować jako biznesmen. Nie ma tak naprawdę żadnych pieniędzy.

W prywatnym sejfie Zaura zawsze leżał milion dolarów w gotówce na wypadek nieprzewidywanych wydatków. Tuż po porwaniu Zaura Mahomet-Salam wezwał ślusarzy i otworzył sejf. Siedemset tysięcy wziął sobie, a za resztę kupił w Torbikale dom i samochód dla kochanki. Kochankę miał kłótliwą i bał się, że może kiedyś poskarżyć się Zaurowi. Prezentem w postaci domu i samochodu zamknął jej buzię i od razu poczuł się pewniej.

Dzień wcześniej Mahomet-Salam, jako dyrektor handlowy firmy Kemir, podpisał kilka dokumentów, na mocy których przekazał główne aktywa firmy

zupełnie innej spółce. Jeśli Zaur wróci, Mahomet-Salam zawsze może powiedzieć, że trzeba było to zrobić, by nie stracić aktywów. A jeśli nie wróci – no cóż, nowa firma była zarejestrowana na samego Mahometa-Salama.

– Jak to nie ma pieniędzy? – zdziwił się Dżamałudin.

– Nie ma i już! Nawet nie wiesz, ilu ludziom jesteście dłużni! Podjąłem już pewne kroki, żeby wyczyścić aktywa, bo inaczej wszystko zabiorą wierzyciele. Chociaż dłużnych nam też jest od cholery! Jakuci są winni dwa miliony dolarów! Dwie firmy w Moskwie – po sześć milionów, a jedna kałmucka – w sumie siedem! Z naszych zakładów nie da się wyjąć ani dolara, jeśli nie chcemy, żeby wszystko runęło. No, może ze dwieście tysięcy.

– Wygląda na to – podsumował Szapi – że za Zaura możemy dać pół miliona. Musisz to brać pod uwagę, prowadząc rozmowy.

Dżamałudin Kemirow uważnie przyglądał się swoim krewnym i Mahomet-Salam poczuł się nieswojo pod jego spojrzeniem. Wiedział od Zaura, że jego szwagier nie zna się na rachowaniu, ale patrząc teraz na szczupłego, krzepkiego górala o oczach koloru próżni, zrozumiał, że ten człowiek zna się na ludziach. Po raz pierwszy przyszło mu wówczas do głowy, że wcale nie będzie łatwo połknąć biznes Zaura i że mogą mu go wyrwać z trzewi razem z flakami.

– Bardzo dobrze – powiedział Dżamałudin. – Mahomecie-Salamie, daj mi listę firm, które są nam dłużne. Może coś od nich wyciągnę?

Zgodnie z listą Mahometa-Salama najwięcej pieniędzy winna im była jakaś spółka z Elisty.

Następnego dnia Dżamałudin otrzymał od Mahometa-Salama upoważnienie, wziął paru przyjaciół i wyruszył do Kałmucji. Żeby nie straszyć ludzi, pożyczył od wuja na tę wyprawę marynarkę i krawat.

Siedziba firmy, do której się udawał, znajdowała się w budynku rządu republiki. W poczekalni Dżamałudin zobaczył drewnianego Budę i człowieka z automatem. Budda mu się bardzo nie spodobał, ponieważ Dżamałudin wykazywał dość nieprzychylny stosunek do pogan.

Dyrektor miał gabinet wykończony dębowym i bukowym drewnem. Spojrzawszy

na upoważnienie Dżamałudina, rozłożył bezradnie ręce.

– Zmówiliście się wszyscy czy co! – zawołał. – Przecież powiedziałem waszemu Zaurowi, że nie możemy zapłacić! A on kolejnego człowieka na mnie nasyła po dwóch dniach!

– A kim jest ten pierwszy? – zapytał Dżamałudin.

– Arsen Hangerijew. Co za bezczelny typ! Co za pyszałek! Groził, że wróci dziś koło drugiej.

Dżamałudin znieruchomiał na dźwięk nazwiska Hangerijew. Zrozumiał, po co w poczekalni usadzono człowieka z karabinem – pewnie dyrektor ściągnął go tu na rozmowę z Hangerijewem. Widocznie sam Budda to na Hangerijewa za mało. Dżamałudin wyciągnął z kieszeni marynarki dziesięć tysięcy dolarów i zapytał dyrektora firmy:

– Chcesz zarobić te pieniądze?

Dyrektorowi aż oczy na wierzch wyszły. A Dżamałudin wyjął oprócz dolarów pistolet, odciągnął zamek, sprawdzając naboje w magazynku, a potem uśmiechnął się i powiedział:

– Pójdę zaraz do pokoju wypoczynkowego i zaczekam tam na Arsena. Gdy przyjdzie, nie strasz go człowiekiem z karabinem, tylko zasugeruj, że sprawę da się załatwić, ale nie tutaj. Powiedz mu, żeby wyszedł z budynku i czekał przy wejściu, a ty podjedziesz po niego białym mercem, zabierzesz do restauracji i wszystko tam omówicie.

Poganin, patrząc to na pieniądze, to na pistolet, skinął głową jak zaczarowany.

Zaur Kemirow siedział w piwnicy i czytał Priszwina, gdy rozległ się zgrzyt zasuw w drzwiach i do środka zajrzał jeden z ochroniarzy.

– Zaurze Ahmedowiczu – zawołał – proszę na górę.

W tym czasie, jak już powiedziano, Zaur korzystał z wielu udogodnień nieprzysługujących zazwyczaj jeńcowi. Gospodarze dawali mu książki do czytania, a raz nawet pozwolili się wykąpać. Buwadi Hangerijew odwiedzał jeńca nie rzadziej niż co tydzień i zwykle rozmawiał z nim w piwnicy godzinę, albo i więcej. Radził się Zaura w różnych sprawach dotyczących prowadzenia interesów. Kiedyś nawet

zapytał, czy warto otworzyć w Moskwie szaszłykarnię, jak podpowiadali mu znajomi Azerbejdżanie.

Właściciel domu, były nauczyciel rosyjskiego, też często schodził do Zaura, by z nim porozmawiać. Nie miał nic wspólnego z bojownikami i nawet nie dostawał od nich żadnych pieniędzy za przetrzymywanie więźnia w piwnicy. Po prostu w całej wsi nie było nikogo, kto odważyłby się sprzeciwić Buwadiemu Hangerijewowi po tym, jak ten spędził na plac dwudziestu rosyjskich żołnierzy. Sześciu z nich przeszło na islam, a reszcie poderżnięto gardło.

Wprawdzie karmiono Zaura wciąż kiepsko, ale to dlatego, że gospodarze sami nie mieli co jeść.

Gdy zaprowadzono go na górę, zobaczył siedzącego z uśmiechniętą miną Hangerijewa i dwóch jego krewnych. Żona gospodarza podawała do stołu. Pośrodku stał talerz z pieczoną kurą ze sterczącymi do góry udkami. Wspaniale pachniała.

– Dzwonił do mnie wczoraj Arsen – powiedział Buwadi. – Mówił, że wszystko załatwione. Wyciągną z Kałmuków trzy miliony w ciągu tygodnia.

Zaur się zdziwił, ponieważ według jego wiedzy kałmucki dług był nie do odzyskania. Zaur nawet swego czasu udał się z tą sprawą do zastępcy ministra spraw wewnętrznych Rosji. Ten przyjął go w łaźni, mając na sobie tylko ręcznik obwiązany wokół pasa oraz złoty łańcuch na szyi. Za odzyskanie pieniędzy zażądał pół miliona. Zaura zdziwiło, że Czeczeni okazali się skuteczniejsi od zastępcy ministra.

Tymczasem jeden z bojowników nałożył Zaurowi całą miskę kaszy, przetarł połą swojego ubrania maskującego leżącą na stole łyżkę i wetknął ją w kaszę.

– Jedz – zachęcił Buwadi.

Zaur zaczął powoli wkładać do ust kolejne porcje kaszy, wiedząc, że w jego stanie za dużo jedzenia może mieć szkodliwy wpływ, a następnie odsunął od siebie opróżniony zaledwie w połowie talerz. Starał się nie patrzeć na drugi koniec stołu, gdzie Buwadi rozrywał kurę rękami.

– Czemu nie jesz? – zdziwił się Buwadi. – Nie jesteś głodny?

– Nie chcę zabierać jedzenia gospodarzom – odparł jeniec.

Czeczeni się roześmiali, a Buwadi powiedział:

– Zaraz przyjedzie Arsen. Mówił, że musisz podpisać jakieś papiery.



– Kiedy w końcu mnie wypuścicie? – zapytał Zaur.

Buwadi wybuchnął śmiechem.

– Jak tylko ściągniemy wszystkie twoje długi, to cię uwolnimy. Kto wypuszcza kure znośną złote jajka?

Zaur siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w stół, gdy z podwórka dobiegły jakieś hałasy. Zaskrzypiały zawiasy bramy, na ganku rozległy się kroki.

– Brat przyjechał – powiedział bratanek Hangerijewa, wstając.

Wtedy drzwi otworzyły się na oścież i człowiek, który w nich stanął, posłał w siedzących przy stole długą serię z automatu. Dwaj z nich zginęli na miejscu. Hangerijewa kula trafiła w bok, odrzucając go razem z krzesłem do ściany. Jedyne pozostałe przy życiu Czeczen rzucił się do okna, ale za chwilę odeń odskoczył, jak sądził Zaur, przerażony widokiem na zewnątrz. Gdy Czeczen upadł, widać było jednak, że ma zamiast twarzy czerwoną miazgę.

Do środka wbiegło trzech mężczyzn. Jeden z nich odepchnął Zaura w kąt i stanął przed nim z karabinem, zasłaniając go swoim ciałem, a drugi popędził do kuchni, szukając żywych. Buwadi poruszył się i sięgnął po steczkina przy biodrze, ale Dżamałudin nadepnął mu na rękę i wyrwał broń z kabury. Gdzieś za ścianą huknęły dwa wystrzały i po dziesięciu sekundach było już po wszystkim.

Do pokoju wepchnięto zmieszane Arseny. Ręce miał skute z tyłu kajdankami, jeden z ludzi Dżamałudina trzymał pistolet przy jego skroni. Buwadi leżał pod ścianą z wykrzywionymi, krwawiącymi ustami. Jego kamuflaż był przesiąknięty z boku krwią.

– Jesteś durniem – powiedział Buwadi do Dżamałudina – już się dogadaliśmy. Zaur wziął mnie na współnika. Powiedz no, Zaurze.

Potwornie wychudzony człowiek z zapadniętymi oczami i splątana gęstwiną brody, ubrany w śmierdzące szmaty, sprzedane mu kiedyś za dwa tysiące funtów w londyńskim Harrodsie, uśmiechając się, stwierdził:

– Można i tak powiedzieć.

– Obawiam się, Zaurze, że popsuję ci interesy – odpowiedział Dżamałudin.

Rozległ się suchy szcęk automatu i z czoła Buwadiego trysnęły kości i mózg.

Do pokoju przywleczono gospodarza domu i jego wyjąca żonę. Dżamałudin po

raz kolejny uniósł karabin.

– Nie trzeba – powiedział Zaur – to dobrzy ludzie. Gdyby mieli jedzenie, nawet by mnie karmili.

Dżamałudin wzruszył ramionami i wystrzelił w Arsena Hangerijewa. To Arsen wskazał miejsce, w którym przetrzymywano Zaura, i zapukał do bramy po wyjściu z samochodu. Szczerze powiedziawszy, po tym, co zrobili mu ludzie Dżamałudina, nie miał innego wyjścia.

– Wychodzimy – rzucił Dżamałudin.

Wybiegli na zewnątrz i Zaur zobaczył dwa dżipy koło otwartej na oścież bramy. Trzeci samochód – niwa z czeczeńskimi numerami – stał na podwórku. Widocznie należał do Arsena. Pod nim widać było dwa trupy.

– Wybacz, że nie było mnie tak długo – powiedział Dżamałudin.

Andi Adijew, ten sam, który pokłócił się z Zaurem z powodu łapówki dla sędziego, zapisał cały swój biznes Kemirowom i wyjechał do Moskwy, gdzie mu długo składano nieprawidłowo zrosnięte kości.

Dwóch Czeczeńów, których przywiózł z Turcji Szapi Kemirow, udało się do Czeczenii w sprawie uwolnienia Zaura i trafiło na półtora roku do czyjejś piwnicy. Za jednego z nich zapłacono okup w wysokości dwóch milionów dolarów, drugiego zaś uwolniono w związku z wizytą Asłana Maschadowa w Turcji. Był to taki dyplomatyczny prezent od Czeczeńskiej Republiki Iczkerii dla Republiki Turcji.

Rodzina Buwadiego długo nie mogła dojść do siebie. Jego starszy brat pojechał, by wyjaśnić sprawę z Kemirowami, i przepadł gdzieś po drodze. Jego zięć, jeden z ochraniarzy Dudajewa, wynajął jakiegoś kilerę – zginął i kiler, i zięć. Dwa miesiące później prowadzenia sprawy podjął się jeden z najbardziej znanych dowódców polowych, który był kuzynem Buwadiego ze strony matki. Miał z Kemirowami na pieńku z dwóch powodów: po pierwsze, Dżamałudin Kemirow zabił jego krewnego, po drugie, jeden z przyjaciół Dżamałudina uprowadził jego siostrę.

Następnego dnia przy posterunku granicznym na obwodnicy rowieńskiej stanęło dwa tysiące uzbrojonych Czeczeńów, a z drugiej strony – dwa tysiące uzbrojonych

Awarów, więc nie bardzo było wiadomo, czy to rozmowy, czy wojna. Obie strony dość długo obrzucały się obelgami, ale skończyło się na tym, że dowódca polowy dostał parę uralów i rozstał się z Dżamałudinem w przyjacielskich stosunkach.

Cała ta historia miała jeszcze jeden komiczny aspekt. Miesiąc po uwolnieniu Zaura jego kuzyn, Asłudin Kemirow, jadł kolację w klubie go-go z zastępcą dyrektora FSB. Był z nimi również niewysoki, tęgi generał. Gdy generał, zażyczywszy sobie prywatnego tańca, oddalił się do kabiny, zastępca dyrektora schylił się do Asłudina i szepnął mu na ucho:

– Ten człowiek, mówię to panu w tajemnicy, brał bardzo aktywny udział w operacji uwolnienia pańskiego brata. A później osobiście zlikwidował dowódcę polowego Buwadięgo Hangerijewa.

—

1. Pepeesowcy (od PPS) – służba patrolowo-wartownicza (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. Torbikała – nieistniejące miasto, wymyślone przez autorkę. [\[wróć\]](#)
3. Specnaz FSB – jednostka specjalnego przeznaczenia podległa Federalnej Służbie Bezpieczeństwa Rosji. [\[wróć\]](#)
4. Tytanowe hełmy „sfery” zaprojektowano dla rosyjskich oddziałów specnazu. [\[wróć\]](#)
5. Bałwanek – pocisk artyleryjski z twardym rdzeniem bez ładunku wybuchowego. [\[wróć\]](#)
6. Dargo – nieistniejąca republika, której prototypem jest Dagestan. [\[wróć\]](#)
7. Besztoj – nieistniejące miasto. [\[wróć\]](#)
8. DSzK – nazwa tego karabinu pochodzi od nazwisk konstruktorów: Diektiarowa, Szpagina i Kolesnikowa. [\[wróć\]](#)
9. BTR – transporter opancerzony. [\[wróć\]](#)
10. Iż – samochód dostawczy produkowany w Iżewskich Zakładach Samochodowych, nazywany kabłukiem ze względu swój kształt, przypominający kabłuk (ros.), czyli obcas. [\[wróć\]](#)
11. Szamil – słynny przywódca kaukaskich górali walczący przeciwko carskiej Rosji w latach 1834–1859 [\[wróć\]](#)
12. Makarow (PM) – radziecki [pistolet](#) samopowtarzalny, którego konstrukcję po drugiej wojnie światowej opracował Nikołaj Makarow. [\[wróć\]](#)
13. Nohcze (czecz.) – Czeczeni. [\[wróć\]](#)
14. GAZ 67 – radziecki samochód terenowy z okresu drugiej wojny światowej i lat powojennych, produkowany w Fabryce Samochodów w Gorkim (obecnie Niżny Nowogród). Inspiracją do jego skonstruowania był amerykański Bantam BRC/Willys MB. [\[wróć\]](#)
15. BWP (ros. bojewaja maszyna piechoty) – bojowy wóz piechoty. [\[wróć\]](#)
16. GRU ([ros.](#) ГРУ, Главное Разведывательное Управление; Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije) – Główny Zarząd Wywiadowczy ZSSR, a później Rosji (wywiad wojskowy). [\[wróć\]](#)
17. Żiguli – model [samochodu osobowego](#) produkowanego w ZSSR w latach 1970–1988 na licencji

- włoskiej firmy Fiat przez [Wołżańską Fabrykę Samochodów](#) (WAZ) w Togliatti. [\[wróć\]](#)
18. Stieczkin – pistolet automatyczny skonstruowany przez Igora Stieczkina. [\[wróć\]](#)
  19. KPWT – wielkokalibrowy karabin maszynowy Władimirowa, podstawowe wyposażenie radzieckich transporterów opancerzonych. [\[wróć\]](#)
  20. Władysław Ardzinba – polityk abchaski. Pierwszy prezydent (w latach 1994–2005) nieuznawanej przez społeczność międzynarodową Abchazji, formalnie znajdującej się w granicach Gruzji. [\[wróć\]](#)
  21. Mentownia (z gwary przestępczej) – milicja. [\[wróć\]](#)
  22. Niwa (łada Niwa) – samochód terenowy produkowany w ZSRR, obecnie w Rosji. [\[wróć\]](#)
  23. Siujli (czecz.) – Awar. [\[wróć\]](#)
  24. „Szóstka” – popularne określenie samochodu Żiguli model 2106. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 2

*W którym moskiewski urzędnik przyjeżdża na inspekcję do miasta, gdzie zamiast drogowskazów stoją tablice z imionami Allaha, i w którym okazuje się, że bogaty i biedny nigdy nie będą na równych prawach, nawet w piwnicy u Czeczena.*

**K**irył Wodrow przyjechał do pracy o dziewiątej rano. Szef komitetu nadzwyczajnego Fiodor Komissarow zajmował w Torbikale stojącą nad brzegiem rzeki willę z wieżą wartowniczą wyposażoną w teleskop. Dziedziniec, wyłożony ciemnym marmurem, schodził do pustego o tej porze roku basenu, przykrytego, niczym grobowiec, grubą niebieską folią.

Fiodor Komissarow siedział w gabinecie, przypominającym pokład niewielkiego lotniskowca, przy owalnym, jak staroegipski kartusz, stole narad. Po jego prawej ręce zasiadał minister spraw wewnętrznych republiki, po lewej prokurator. Trzecim w tym towarzystwie był pułkownik FSB, Misza Sliwoczkin, a czwartym – jakiś czterdziestoletni, ciemnowłosy miejscowy. Miał oczy zabójcy i brzusek bojownika, który zarzucił aktywność fizyczną. Jednak najbardziej zdumiewające w jego wyglądzie były uszy: lewe zostało złamane, a prawe rozwałkowane na płaski placek z grudkami.

– Diabli wiedzą, co to ma być! – odezwał się prokurator. – Wciągnął do swojej bandy dwustu ludzi! Uzbroidł ich w karabiny! Dał im granatniki! Mają nawet BTR! I wiecie, co zrobili tym wozem? Zburzyli pomnik założyciela miasta generała Lisaniewicza!

– Niedobrze – powiedział szef komitetu.

– Idris Abidow – minister wskazał ciemnowłosego uczestnika spotkania – miał w Besztoju dwa kasyna gry. Tydzień temu Dżamałudin przyjechał do Idrisa i poprosił go, żeby sprzedał te kluby. W swojej hojności zaproponował za oba dwadzieścia tysięcy dolarów. Idris odmówił. I co myślicie? Nie minęły nawet trzy dni, a oba kluby rzekomo spalili terroryści. Tylko jeśli to byli terroryści, czemu nie tknęli kasyna brata Dżamałudina?

– Otwarcie się tym przechwała! – rzucił ponuro Idris i Kirył znów zwrócił uwagę

na jego niesamowite uszy. – Mówi, że nakupił broni za dwa miliony dolarów. A jak się go spytać, po co mu tyle broni, stwierdza tylko, że Besztoj to miasto pogranicza, a on strzeże granicy przed Czeczenami!

– Jak można strzec granicy między Awarią i Czeczenią? Czy tu w ogóle jest jakaś granica? Czyżby nie były to dwie pokojowo nastawione wobec siebie republiki wchodzące w skład Rosji? – spytał z urazą Misza Sliwoczkin. – Ten człowiek dyskredytuje Rosję, mówiąc, że wewnątrz niej są granice, które trzeba ochraniać. Podsycy właśnie narodowe!

– Ci bandyci mają kontrolę nad wszystkim, co się dzieje w rejonie – dodał minister spraw wewnętrznych. – Żeby w Besztoju chociaż jeden biznes nie należał do Zaura Kemirowa! Była fabryka wódek – zamknęli! Była cementownia – odebrali! Ludzie Dżamałudina rozbijają się po ulicach i wiecie, jak się zabawiają? Potrafią wyciągnąć człowieka z samochodu, pobić go i spalić mu wóz! Mam u siebie trzy takie skargi, a mogłoby ich być sto!

– Sytuacja etnospołeczna w rejonie besztojskim – włączył się prokurator – należy do wyjątkowo trudnych. Są tam trzy duże narody, kilkanaście mniejszych, są nawet dwie niemieckie wioski! A nowy naczelnik milicji urządził w organach czystkę etniczną. Z tych, których zwolnił, dziewięćdziesiąt procent stanowili Czeczeni, z tych, których wybrał, dziewięćdziesiąt procent to Awarowie i Lakowie.

– To już nie jest miasto – rzekł Czebakow. – To państwo, w dodatku rządzone przez terrorystów! Nikt nie może tam wjechać! Chcieliśmy wysłać kontrolę, z szanownym Nabim Dżaparowiczem na czele. – Szef MSW szerokim gestem wskazał prokuratora. – Pięć minut po podjęciu decyzji dzwoni do niego Dżamałudin i mówi: „Słuchaj, co mamy z tobą zrobić: zastrzelić czy porwać?”. Wyobrażacie sobie? Dzwoni człowiek do prokuratora republiki i oznajmia, że go porwie!

Prokurator wzdrygnął się i spuścił wzrok. Było widać, że do tej pory przeżywa tamtą sytuację.

– Wasz komitet – oznajmił minister – powinien koniecznie znaleźć się w Besztoju. Niech no spróbuje porwać albo rozstrzelać federalów!

Fiodor Komissarow przestał rysować długopisem na kartce papieru i spojrzał na Kiryła. Chwilę później wszyscy uczestnicy narady przenieśli na niego wzrok.

- Pojadę do Besztoju – rzekł Kirył.
- Damy panu ochronę, Kirylo Władimirowiczu – pospieszył z zapewnieniem minister spraw wewnętrznych. – Bez ochrony jechać nie można.
- Kiedy chce pan wyruszyć? – spytał osobnik o imieniu Idris.
- Jutro – odparł Kirył. – Wstanę rano i pojadę.
- Ej, to ja z panem! – zgłosił się Idris. – Nie damy skrzywdzić porządnego człowieka! Bo jeszcze pana... jak ten pomnik Lisaniewicza!

Pół godziny później, po rozmowie w cztery oczy z Komissarowem, członek komitetu nadzwyczajnego Kirył Wodrow wyszedł na podwórze przed willą. Wczorajsza mgła zniknęła, przepadła bez śladu, niczym brudny bezdomny pomieszkujący na dworcu, który ucieka ze swoimi derkami, szmatami i zawiniątkami, zanim pojawi się patrol. Niebo było olśniewająco niebieskie, słońce sunęło po nim jak żółty zuchelek topiącego się masła po rozgrzanej patelni.

Podwórze wyszło. Przy lśniących niczym wypolerowane pancerze mercedesach stali i rozmawiali sobrowcy ministra<sup>1</sup> oraz przyjaciele Idrisa. Ci drudzy różnili się od sobrowców tym, że byli nieco lepiej uzbrojeni.

Czarnowłosy sobowiec otworzył przed Kiryłem stalową furtkę w bramie i zastępca szefa komitetu nadzwyczajnego znalazł się na trójkątnym, wyłożonym kocimi łbami placu. Jego górna część niknęła w małym zaułku. Z boku zaułku stał stary meczet z minaretem zakutym w rusztowania. Po rusztowaniach biegali malarze w żółtych odblaskowych kurtkach.

Kirył przeciął plac i zastukał w okno starego żiguli, zaparkowanego obok meczetu. Wóz wyglądał jak rówieśnik Proroka. Do obitego dachu był przymocowany kogut z emblematem taksówki.

- Do Besztoju zawieziesz? – spytał Kirył.

Kierowca zmierzył wzrokiem człowieka w jedwabnym krawacie i skórzanym płaszczu tak cienkim, że zmieściłby się w damskiej torebce, pocmokał i powiedział:

- Półtora tysiąca rubli.

Kirył znał w Moskwie restauracje, gdzie za takie pieniądze nie dałoby się kupić nawet herbaty.

Droga do Besztoju zajęła prawie pięć godzin. Można by było znaleźć się tam szybciej, ale po drodze Kirył, zajrzawszy do zapisków, poprosił, żeby zajeżdżać do nogajskiej wioski o nazwie Dżarli.

Jak wynikało z dokumentów, które Kirył przeglądał w Moskwie, wieś została zniszczona podczas zeszłorocznej powodzi i władze republiki przeznaczyły na pomoc powodzianom około czterech milionów dolarów. Kirył chciał zobaczyć, jak te pieniądze wykorzystano.

Droga, przy której stał drogowskaz z napisem „Dżarli”, przywiodła ich na brzeg rzeki, gdzie znajdowało się obozowisko namiotów. Sama rzeka, rwąca i spieniona, co prawda nie zamarzła, lecz na jej brzegu leżał niezbyt głęboki, porowaty śnieg. W śniegu grzebały kury, schły tam też wyciągnięte z wody łódki. Do samochodu podszedł młody, smagły Nogaj, mniej więcej dwudziestosiedmioletni. Przedstawił się jako Ahmed.

– Jest ktoś, kto wam przewodzi? – zapytał Kirył, który słyszał, że na Kaukazie naczelnikiem nie zostaje się w młodym wieku, i uznał, że Ahmed jest synem, siostrzeńcem lub bratem naczelnika.

– Niech pan rozmawia ze mną – odparł Ahmed.

– Pieniądze za domy wam wypłacili? – zapytał Kirył.

– Nie.

– A wiecie, że wam się należą?

– Wiemy. Gdy mianowali nowego szefa rejonu, jedna nasza nauczycielka, Farida, poszła do niego i poprosiła, żeby wypłacić jej pensję, której nie dostawała od pół roku. A nowy szef odpowiada: „Nie mogę wypłacić pensji, bo pieniądze, które przyszły do rejonu, wypłaciliśmy wam jako zasiłek po powodzi”. Farida zdziwiła się i powiedziała, że w takim razie chciałaby otrzymać zasiłek. Szef administracji pogrzebał w papierach i mówi: „Nazywasz się Farida Mamajewa?”. Ona na to, że tak. „No to przecież wypłaciliśmy ci pieniądze, dwieście tysięcy rubli. Tu jest twój podpis”. I tak się wszystko wydało.

– Zwracaliście się do prokuratury? – zapytał Kirył.

– Nie – odparł Ahmed.



– Dlaczego?

– Mój naród nie liczy na prokuratora – odparł młody Nogaj. – Mój naród liczy na Allaha.

Kirył milczał przez kilka sekund, a potem wyjął swoją wizytówkę, dopisał numer komórki i wręczył wizytówkę Nogajowi.

– Będę w Besztoju – dodał. – W merostwie. Nie jestem oczywiście Allahem, ale tak tego nie zostawię. Zbierzcie podania i przyślijcie do mnie.

W czasie tej wymiany zdań taksówkarz siedział w samochodzie. Gdy Kirył wrócił, kierowca patrzył na niego zdumiony. Jak się okazało, on też był Nogajem, ale o Ahmedzie nie chciał rozmawiać.

Za nogajską wsią droga ostro poszła w górę. Samochód ślizgał się łysymi oponami na świeżym śniegu, drzewa po obu stronach wąwozu wyglądały jak cukrowe lizaki.

Chmury, które zasnuły niebo, niedługo potem spłynęły na ziemię. Wszystko utonęło we mgle tak wilgotnej, że nawet wewnątrz samochodu powietrze można było wyjąć jak ścierkę. Zniknęły nie tylko góry, ale i droga, w gęstej śmietanie rozmyły się zarysy ciężarówki jadącej z przodu. A potem nagle mgła się skończyła, ukazując czarną dziurę z żółtą żarówką na górze, i samochód wjechał do Tunelu Kurszyńskiego.

Po drugiej stronie tunelu świeciło słońce. Niebo miało barwę indygo, nie było na nim ani jednej chmurki. Po rudobrazowych skałach spływały snopy słonecznego światła. Z wylotu tunelu chlustała woda, świeża asfaltowa jezdnia biegła parabolą w dół. Zaraz za wyjazdem z tunelu stała przyczepa pełniąca funkcję przydrożnej kafejki, a obok niej znajdował się posterunek blokady, przypominający obłożony workami gołębnik. Za workami z piaskiem siedział żołnierz i trzymał automat jak wędkę.

Tuż przed blokadą stał czarny opancerzony merc, elegancki i długi, jak liść turzycy, a obok milicyjne żiguli z migaczem i grubym gaisznikiem <sup>2</sup> w żółtej odblaskowej kurtce. Sterczała tu również zielona tablica informacyjna. Kirył spodziewał się napisu „Rejon Besztojski”, ale gdy samochód podjechał bliżej,

pasażer przeczytał: „Allah akbar”.

Żółty gaisznik machnął pałką, samochód Kiryła zatrzymał się i kierowca podał gaisznikowi prawo jazdy. Ten wsunął głowę do wnętrza pojazdu, spojrzął na Kiryła i poprosił go, żeby wysiadł. Kirył w dobrym nastroju trzasnął drzwiami i poszedł za gliniarzem.

Gruby gaisznik zaprowadził go do mercedesa. Drzwi się otworzyły i Kirył ujrzał za kierownicą najbardziej zdumiewającego osobnika, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać. Miał chyba ze dwa metry, ważył półtora cetnara, przy czym nawet kilograma z tej masy nie stanowił tłuszcz. Oczy i kości policzkowe tego człowieka kryły się w gęstych czarnych kudłach, pięści miały rozmiary dyni. Na kolanach trzymał torbę orzechów włoskich. Brał orzechy, ścisnął skorupkę dwoma płacami i wyjadał zawartość łupiny.

– Siadaj – powiedziano z tyłu.

Kirył obejrzał się i zobaczył, że za jego plecami stoi młody chłopak w wypranym kamuflażu i porządnych jasnobrązowych butach wojskowych. Gość miał ogolony podbródek, automat kałasznikowa i wnikliwe oczy zabójcy.

Pięć metrów za Kiryłem gaisznik w żółtej kurtce coś tłumaczył kierowcy taksówki. Nie był sam, obok niego stał jeszcze jeden chłopak w kamuflażu i z kałachem. Z profilu wydawał się dokładną kopią pierwszego.

Drzwi przydrożnej kafejki otworzyły się i wyszła z nich gruba starucha w czarnej chustce, z wiadrem pomyj w rękach. Zamieniła kilka słów z żołnierzem z blokady i pospieszyła gdzieś w swoich sprawach, mijając czarnego merca i milicyjne żiguli.

– Wsiadaj – powtórzył ten z automatem.

Kierowca Kiryła zawrócił i wjechał do tunelu. Chyba dostał pieniądze.

Zastępca szefa komitetu nadzwyczajnego zajmującego się badaniem zamachów terrorystycznych i dywersji na Kaukazie Północnym wzruszył ramionami i wsiadł do czarnego opancerzonego merca, stojącego pod zieloną tablicą z napisem „Allah akbar”.

Besztoj leżał w wysokich górach, dziewięćset metrów nad poziomem morza. Otaczające miasto szczyty wznosiły się na wysokość trzech, czterech tysięcy

metrów. Zabudowania miejskie, które piętnaście minut później wychynęły zniemacka zza kolejnego zakrętu serpentyny, wydały się Kiryłowi pudełeczkami, rzuconymi na złożone białe dłonie gór.

Czarny mercedes przeciął cały Besztoję w ciągu dziesięciu minut. Mignęły i zniknęły za zakrętami niskie kamienne domki z nagimi gałązkami winorośli, wijącymi się wokół metalowych prętów wiaty, mignęła nowa, jak spod igły, szkoła, a obok dawne kino z dobudowanym minaretem. Przy placu naprzeciw merostwa Kirył zauważył pusty cokół po pomniku i ogromny, cztery razy większy od merostwa, meczet. Po przekątnej stał spalony dwupiętrowy dom.

Mercedes opuścił miasto, ani razu nie zatrzymawszy się na światłach, i wyjechał na czarną śliską jezdnię, oddzieloną od gór nagimi, kostropatymi topolami. Minutę później stanął przed kutym ogrodzeniem. Kierowca zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Wyprostowany, okazał się wyższy od Kiryła o dwie głowy. Ci z automatami również wyskoczyli z wozu, skinieniem głowy zapraszając Kiryła, by szedł za nimi. Kirył przyjrzał im się po drodze – byli jednego wzrostu, mieli jednakowe oczy, identyczne czerwone wargi i nawet dwa jednakowe świeże zacięcia poniżej identycznych pieprzyków nad prawą wargą. Byli niczym dwie fotografie odbite z tego samego negatywu.

Za bramą zaczynała się szeroka aleja cmentarza, po jej obu stronach znajdowały się pomniki i płyty tej samej wielkości. Aleja biegła daleko w przód, w zapadającym zmierzchu Kirył nie widział jej końca. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się identyczne pomniki.

Przypominałoby to cmentarz wojskowy, na którym państwo chowa poległych bojowników, gdyby niektóre nagrobki nie były podwójnej, czy nawet potrójnej wielkości. Pod granitową płytą leżało dwóch lub więcej członków rodziny.

5 kwietnia 2002 roku o godzinie piątej dwadzieścia pododdział bojowników pod dowództwem niejakiego Wahy Hunkarowa zajął besztojski szpital położniczy numer jeden. Trzy i pół godziny później, jeszcze zanim osłupiałe władze zdążyły zareagować, w czasie uzbierania materiału wybuchowego w szpitalu doszło do eksplozji, która zrównała z ziemią całe lewe skrzydło.

Na wszystkich stu siedemdziesięciu czterech płytach nagrobnych widniała ta

sama data śmierci. Na czterdziestu siedmiu data śmierci pokrywała się z datą urodzin.

Na końcu alei, oddzielając stary cmentarz od nowo powstałej części, wznosił się niewielki meczet z rudego kamienia ze strzelistym minaretem. Kirył wspiął się po schodkach i zatrzymał przed drzwiami. W milczeniu patrzył, jak trzech jego towarzyszy weszło do środka po pokrytym prostokątami dywaniku i zatrzymało się pod niską, oblepioną żarówkami obręczą żyrandolu. Nie modlili się długo. Wracając aleją, przywitali się z kobietą krzątającą się przy jednej z mogił.

Dziesięć minut później merc przejechał w mroku przez wieś, cały czas wspinając się pod górę, i od razu za wsią skręcił w bramę, zwieńczoną minaretem wieży wartowniczej.

Za bramą starannie odśnieżona droga wiła się między przyciętymi krzakami i schodziła w dół, oplatając ciemne jezioro z pięciometrową trampoliną. Po prawej stronie jeziora znajdował się żółty piętrowy domek przypominający rezydencję oficjeli. Pod opustoszałą w zimie wiatą szurał łopata ubrany na czarno stróż. Wokół wiaty, przodem do jeziora, stało ze dwadzieścia samochodów. Kirył zwrócił uwagę na potężnego busa z przyciemnionymi szybami. Na drugim brzegu ulokowane były domki z bali.

Merc ruszył czarną dróżką wokół jeziora i dopiero wtedy Kirył spostrzegł, że piętrowy domek tętni życiem. Przed gankiem stało trzech ludzi z bronią. Kiedy jeden z nich otworzył drzwi, Kirył zauważył stojak na automaty i długi stół z desek, przy którym siedziało ze dwudziestu bojowników w kamuflażu. Merc jednak nie zatrzymał się przed domem, lecz pojechał dalej, do jednego z drewnianych domków, z niskim gankiem i świecącym kwadratem zasłoniętych rolet. Na ganku siedział chłopak z automatem.

Samochód stanął przed gankiem, jeden z bliźniaków wysiadł i otworzył drzwi. Chłopak z automatem odsunął się, Kirył nacisnął klamkę i wszedł do domku.

Podłogę i ściany niewielkiego salonu pokrywały dywany. Między oknami wisiało ogromne zdjęcie nocnego, płonącego światłem meczetu. Na niskim stoliku między skórzanymi fotelami stało niewymyślne jedzenie: pomidory, zielenina, placki. W fotelu naprzeciw zdjęcia siedział niewysoki, chudy człowiek

w wygodnych, sportowych spodniach i puszystym swetrze w kratę. Wydawał się jeszcze bardziej zmęczony niż wczoraj. Gdy odwrócił głowę do drzwi, Kirył zobaczył nieogolony podbródek i sińce pod oczami.

Po skosie za stołem siedział Arzo Hadżijew i, nie używając sztućców, jadł ciemnoczerwonego pomidora wielkości małej dyni. Trzecim w tym towarzystwie był ów jasnowłosy chłopak, który poprzedniego dnia tak zręcznie bawił się bronią. Teraz miał na sobie czerwony dres, na jego nadgarstku błyskał platynowy patek-philippe.

– Witaj, Dżamałudinie – powiedział Kirył. – A już myślałem, że mnie wczoraj nie poznałeś.

—

### **...Czerwiec 1997 roku...**

Po historii z porwaniem Zaura Dżamałudin bardzo urósł w oczach swojej rodziny. Mówiło się o nim w całej republice.

Nie chodziło tylko o to, że Dżamałudin wyciągnął brata z niewoli i zastrzelił porywaczy. Po prostu wojna przybliżyła się do awarskich gór i ci, którzy umieli walczyć, zyskali wyższą pozycję w hierarchii. A już tak się złożyło, że z woli Allaha Dżamałudin dorósł na wojnie, a nie w biznesie czy ulicznych strzelaninach. Brzydkie kaczątko przeobraziło się w orła, chuligan – w wojownika.

Wojna nasuwała się na góry, zmiatając odwieczne zasady i zmywając to, czego nie zdołała usunąć władza radziecka, pewne zachowania zaś, przeciwnie, podnosząc z dna. Porwanie Zaura było pierwszą jaskółką – niedługo potem ludzi zaczęto łapać jak kury.

Czasem porywali ich Czeczeni, czasem rosyjscy żołnierze z lotniska nieopodal. Jeszcze częściej porywano samych żołnierzy, którzy z głodu włóczyli się po polach i proponowali miejscowym części zamienne i naboje. Mera miasta, który zresztą pędził bimber, też raz porwali.

Gdy ludzie ginęli, o pomoc w ich odzyskaniu często proszono Dżamałudina. Pewnego dnia porwali w Besztoju stróża ze stacji benzynowej, a ponieważ stróż wart był niewiele, Dżamałudin wykupił go za trzy tysiące dolarów. Dżamałudinowi

łatwiej było wykupić go samemu za cenę rosyjskiego żołnierza, niż prosić o państwowe pieniądze.

Dżamałudin odebrał zakładnika z rówieńskiej obwodnicy i zawiózł do zarządu FSB republiki, a wieczorem zobaczył tego zakładnika w wiadomościach. Major FSB stał obok niego i kładąc mu rękę na ramieniu, opowiadał, jak to stróż odzyskał wolność w efekcie operacji służb specjalnych.

Dwa dni później ojciec stróża wydał wielkie przyjęcie na okoliczność uwolnienia syna i tak się złożyło, że Dżamałudina na to przyjęcie nie zaprosił. Dżamałudin wcale tego nie skomentował, ale tydzień później jego przyjaciel, Taszow, spotkał się z wujem zakładnika na jakimś weselu.

– Czemuście nie zaprosili Dżamałudina na uroczystość? – zapytał Taszow.

– A dlatego, że to porwanie to jego sprawka – odparł wuj zakładnika, właściciel dwóch sklepów w mieście. – Porwał mi siostrzeńca, żeby wejść w biznes mojego brata. W FSB wszystko mi wyjaśnili, są gotowi bronić nas przed Dżamałudinem.

Taszow przekazał te słowa Dżamałudinowi. Ten długo myślał i w końcu rzekł:

– Allah wszystkich rozsądzi.

Często w porwaniach ludzi brali udział milicjanci. Nie można powiedzieć, żeby milicjanci w Besztoju byli gorsi od milicjantów w pozostałej części Rosji, oni po prostu mieli mniejsze możliwości zarobkowania. Gdzie indziej milicjanci mogli nakładać opłaty na biznes, zamykać i otwierać sprawy karne. Generalnie w całej Rosji wiedziono spokojne życie, a im spokojniejsze życie, tym więcej w nim pieniędzy. W Besztoju zaś cały biznes należał do Zaura Kemirowa i każdemu, kto wbiłby zęby w ten interes, wyrwano by odgryziony kawałek razem z zębami. Dlatego milicjanci w Besztoju dorabiali, porywając ludzi.

Kiedyś Dżamałudin wykupił Czeczena od pijanego patrolu, który sprzedał tego człowieka wprost z gazika. Dżamałudin poszedł i pogadał z gliniarzem, który to zrobił, a w trakcie owej rozmowy gliniarzowi spłonął dom. Po tym fakcie szef MSW republiki bardzo obraził się na Dżamałudina. Wystąpił w telewizji z oświadczeniem, że besztojscy bandyci prowadzą celową akcję zastraszenia pracowników organów ścigania.

Trzy tygodnie po tym wydarzeniu dwaj młodzi Kumycy wracali z miasta do wsi

Kursze. Na dziesiątym kilometrze zatrzymali samochód, ponieważ w tym miejscu znajdowała się mogiła szejka, przy której zawsze stawano. Za mogiłą siedziało kilku Czeczenów, którzy świadomi tej funkcji mogiły, pojawili się przy niej w nadziei zdobycia zakładników. Gdy chłopcy się zatrzymali i wyszli z samochodu, Czeczeni wymierzili do nich z automatów, zagonili kopniakami do bagażnika i przejechali bocznymi drogami przez granicę.

Kiedy Czeczeni wyciągnęli chłopców z bagażnika, okazało się, że matka jednego z nich jest wiejską nauczycielką, a rodzina drugiego ma za cały majątek taras na zboczu góry porośnięty hurmami. Co prawda, hurmy były bardzo porządne – hurmy rosnące w Besztoju generalnie uznawano za najlepsze w całej Awarii – ale taras miał może ze sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Prawdę powiedziawszy, Czeczeni liczyli, że trafi im się ktoś bogatszy, i wyraźnie się zaseępi, gdy zrozumieli, że na tych dwóch za bardzo się nie nachapia.

Przemyślawszy sprawę, porywacze pojechali do Besztoju po ubrania dla chłopaków. Kupili zakładnikom nowe buty i porządne dżinsy, przebrali ich, a następnie wybrali się w gości do Arza Hadżijewa i powiedzieli, że mają dwóch kumyckich zakładników i że jeden z nich to dyrektor finansowy w fabryce Kemirowów, a drugi – jego zastępca. Chcieliby dostać za tych dwóch po dwadzieścia tysięcy dolarów, ale boją się zadzierać z Dżamałudinem.

Hadżijew potargował się i kupił obu chłopaków za dziesięć tysięcy dolców. Przed wymianą sprzedawcy pobili chłopaków i kazali im trzymać język za zębami, co okazało się niepotrzebne, bo na czeczeńskim podwórku nikt z zakładnikami nie rozmawiał. Następnie Hadżijew zadzwonił do Dżamałudina i zażądał miliona dolarów za każdego zakładnika.

– Ja ich w ogóle nie znam – odparł Dżamałudin. – Ile zapłaciłeś za nich tym oszustom?

– Trzydzieści tysięcy – odparł Arzo.

– Zapłacę za każdego po trzy tysiące, jak za ruskiego żołnierza, i ewentualnie dołożę drugie tyle za fatygę – powiedział Dżamałudin. – Ale nie dam ani kopiejki więcej.

Arzo był mocno niezadowolony z tej odpowiedzi. Podjął próbę odsprzedania

chłopaków najpierw Achmadowowi, potem Barajewowi, ale do tego czasu już cała Czeczenia opowiadała sobie, jak to Arzo kupił fikcyjnego dyrektora finansowego Dżamałudina, i Kumyków było trudniej upchnąć niż akcje MMM<sup>3</sup>.

Wreszcie Arzo zadzwonił do Dżamałudina i przyjął jego ofertę. Omówili szczegóły, Dżamałudin odłożył słuchawkę, roześmiał się i powiedział do swoich ludzi:

– Biznes po czeczeńsku: zażądać dwóch melonów, złamać życie dwóm matkom, a w efekcie wybić pół kilo zębów i zyskać sześć kawałków.

O wyznaczonej porze Arzo i Dżamałudin podjechali do rowieńskiej blokady. Najpierw zajechali tam snajperzy i położyli się w krzakach, żeby wybawić obie strony od pokusy robienia głupstw, a potem z dwóch samochodów wyszli Arzo i Dżamałudin.

Podeszli do klombu przy posterunku. W poprzek klombu biegła cementowa ścieżka, niegdyś po obu jej stronach wysadzano kwiatami godło ZSRR. Teraz ten klomb uważano za najbardziej odsłonięte miejsce, w które najwygodniej będzie strzelać snajperom, gdyby coś poszło nie tak.

Kiedy Dżamałudin wręczał Arzowi pieniądze, Czeczen poczuł się tak, jakby znów miał dwanaście lat i matka dawała mu dziewiętnaście kopiejek na lody. Wziął forszę i bez słowa wrócił do swoich. Po awarskiej stronie posterunku uwolnionych jeńców już pakowano do samochodu.

Dżamałudin wrócił do swojego cruisera i zobaczył, że obaj Kumycy siedzą biali jak ściana i wciskają ręce między nogi.

– Co z tobą? – spytał tego, który był starszy.

Kumyk nie odpowiedział, tylko spojrzał na Dżamałudina dzikimi oczami. Dżamałudin złapał chłopaka i rozerwał mu koszulę, sądząc, że mocno go pobito. Ale oprócz starych siniaków na chłopaku nic nie było. Wtedy Dżamałudin rozchylił mu spodnie i zobaczył, że ten w miejscu slipek ma ciało owinięte ręcznikiem i że ręcznik jest brunatny od krwi.

Dżamałudin odwrócił się – pierwsza niwa, w której siedział Arzo, odjechała już dość daleko, zaraz skryje się za zakrętem górskiej serpentyny. Do drugiej właśnie wsiadali snajperzy. Dżamałudin otworzył bagażnik cruisera i wyjął miotacz



granatów. Ukląkł na jedno kolano, wycelował i strzelił.

Niwa ze snajperami spłonęła, jeszcze zanim rozbiła się o dno wąwozu. Po tym wypadku stosunki między Arzem Hadżijewem i Dżamałudinem Kemirowem zdecydowanie się pogorszyły.

Latem 1997 roku Dżamałudina wezwano do Moskwy. Znalazł się w gabinecie na dwudziestym siódmym piętrze moskiewskiego wieżowca. Gospodarzem gabinetu był znany w całym kraju oligarcha. Wejście gościa nastąpiło z pewnym opóźnieniem: służba bezpieczeństwa oligarchy dopatrzyła się makarowa za pasem Dżamałudina i nie chciała go wpuścić do gabinetu z bronią.

Szef ochrony klął na czym świat stoi, ale Dżamałudin powiedział tylko:

– Chodzę tak, jak przywykłem. Z równym skutkiem możesz mnie prosić, żebym oddał broń, jak o to, żebym włożył spódnicę. Broni nie oddam, a w spódnicy sam sobie chodź po domu.

I w końcu Dżamałudin wszedł do gabinetu z makarowem u boku.

To był bardzo elegancki gabinet: połyskliwe drewno, nóżki stołu przypominające łapki szlachetnego charta. Oligarcha siedział obok własnych fotografii z prezydentami różnych państw i Dżamałudin pomyślał, że on sam nigdy nie dorobi się takiej kolekcji zdjęć. Co prawda, on też miał album rodzinny, gdzie był na fotografiach z Basajewem i Chattabem, jednak uznał, że to nie to samo.

Obok oligarchy siedział cioteczny brat Dżamałudina, deputowany Dumy Państwowej Asłudin Kemirow, i młody, szczupły mężczyzna, który przedstawił się jako Kirył.

Na widok Dżamałudina oligarcha wstał, zerknął na broń, a potem przywitał się z gościem.

– W Czeczenii zaginął mój syn – powiedział. – Z pierwszego małżeństwa. Powiedziano mi, że możesz go uwolnić.

Dżamałudin zastanowił się.

– Słyszałem o tym – odparł wymijająco. – A jak twój syn się tam znalazł?

Oligarcha nie odpowiedział, a Kirył odparł z krzywym uśmiechem:

– Pojechał po narkotyki. Ćpa i ma kumpli, Czeczenów. Wzięli go ze sobą,

powiedzieli, że w Czeczenii dragi są tanie.

– Co to za kumple?

– Niejaki Waha i Musa Adałłajewowie – odparł oligarcha. – Teraz oczywiście mówią, że Wadika porwali im sprzed nosa, że zatrzymali ich na drodze w górach i wyciągnęli z wozu. Łżą, że nic więcej nie wiedzą.

Dżamałudin uznał, że tak właśnie jest. To znaczy, że Adałłajewowie, wzięwszy pieniądze za Rosjanina, wiedzą teraz o jego losie nie więcej niż sprzedawca w supermarkecie o kostce mydła opchniętej klientowi. Sieć handlowa, w której handlowano towarem pod nazwą „rosyjscy jeńcy”, właśnie dlatego działała bez zarzutu, że istniał w niej ścisły podział zadań. Jedni narajali, drudzy porywali, trzeci odsprzedawali, czwarcy wykupywali i wszystko niezależnie od siebie. Do ostatecznego sprzedawcy trudno było mieć pretensje – on był tylko nabywcą, rzetelnie wykonującym swoje zadanie. Nikogo nie porywał, on jedynie kupował i chciał odzyskać zainwestowane pieniądze.

– Ci dwaj nie mają już z tym nic wspólnego – powiedział Dżamałudin. – Kontaktowali się ze mną ludzie Arbiego Barajewa. Mówili, że chcą za twojego syna dwa miliony. Tamci dwaj puściliby go za dwadzieścia kawałków.

Oligarcha milczał przez chwilę.

– Powiedziano mi – rzekł w końcu – że gdy porwano ci brata, zebrałeś ludzi, odbiłeś go i zabiłeś porywaczy.

– Tak było.

– Jeśli zapłacę ci dwa miliony, zrobisz to samo?

– Nie.

– Dlaczego?

– Twój syn to dla mnie ani brat, ani swat. Nie będę z powodu Rosjanina zabijał Czeczenów.

Oligarcha nie odezwał się, a potem schylił pod stół i wyjął dyplomatkę, pachnącą świeżą skórą. Potem wyjął drugą. Pstryknął zamek i Dżamałudin zobaczył, że w środku leży dziesięć równobocznych cegieł po sto tysięcy dolarów każda. Dżamałudin po raz pierwszy widział, żeby tak wiele pieniędzy zajmowało tak mało miejsca. Gdy kiedyś targał milion dolarów, ten milion ważył czterdzieści kilo

i z trudem mieścił się w worku.

– W takim razie weź te pieniądze i wymień na mojego syna – powiedział oligarcha.

Jak zawsze w takich sytuacjach, gdy są pieniądze i są pośrednicy, uzgodnienie wykupu nie było trudne. Przecież ludzie, którzy uprowadzili Wadika Władkowskiego, nie porywali go po to, żeby paść dla nich kozy. Byłoby głupotą używać człowieka, za którego można dostać dwa miliony dolarów, jak zwykłego niewolnika czy marynować go w zimnej piwnicy. Tylko słoik z ogórkami czuje się dobrze w piwnicy, człowiek mógłby się zepsuć. A komu potrzebny nieświeży towar?

Dlatego zaledwie cztery dni później Dżamałudin Kemirow, Kirył Wodrow, który był wówczas wiceprezesem głównego holdingu należącego do Władkowskiego, i jeszcze jeden Czeczen, Asłan, przyjechali do pogranicznej wsi. Mieli ze sobą dwa wozy uzbrojonych ludzi. Zaur Kemirow został w Moskwie, w biurze oligarchy, jako gwarancja, że jego rodzina nie ucieknie z pieniędzmi.

Gdy dotarli do granicy, zobaczyli po drugiej stronie zwykłą białą „dziewiątkę”, z której wyszedł starzec w papasze. Starzec nazywał się Musa Tiemajew, był ojcem Asłana i jednym z najbardziej szanowanych ludzi w regionie. Za kierownicą białej „dziewiątki” siedział jego siostrzeniec, nikogo więcej z Musą nie było.

Stary Czeczen obejrzał całą zgraję uzbrojonych ludzi, którzy przyjechali z Dżamałudinem, pokręcił głową, przypominającą pieniek, i zapytał:

– Dżamałudinie, jesteś młody, ale słyszałem o tobie wiele dobrego. Dokąd się wybierają ci wszyscy ludzie?

– Donikąd – odparł Dżamałudin. – Zostaną z tobą na granicy, a ja i twój syn pojedziemy po Rosjanina.

– Pojadę z wami – rzekł Kirył.

– Nie masz w Czeczenii nic do roboty – odparł ostro Kemirow.

– Wieziecie ze sobą duże pieniądze – zaprotestował Kirył. – Wład prosił mnie, żebym był blisko nich.

Dżamałudin wyjął z białego dżipa worek z forszą i przerzucił go do „dziewiątki”. Potem podszedł do Kiryła, wyciągnął Rosjaninowi zza pasa glocka i wsunął do

swojej kieszeni.

– Wsiadaj – polecił Dżamałudin.

Godzinę później biała „dziewiątka” wjechała na podwórko niewielkiego domu, należącego do ciotecznego brata Asłana, Ansudiego. Gości przyjęto z szacunkiem, nakryto dla nich stół. Ansudi nie trzymał Wadika, był tylko pośrednikiem, podobnie jak Asłan i sam Dżamałudin. Ten ostatni polecił gospodarzowi nagrzać wody, żeby później umyć Rosjanina i ugotować kaszę.

– Po co kasza? – zdumiał się Kirył, spoglądając nerwowo na zastawiony stół, stojący pod daszkiem z winoroślą. Przykładając wojskową miarę, uznał, że urządzono tu prawdziwą ucztę. Sam zapach kurczaka pływającego w gęstym sosie przyjemnie łechttał mu nozdrza.

– Chłopak będzie w takim stanie, że nie zje nic oprócz kaszy.

Jednak minęła godzina, druga, trzecia, zjedli już kurczaka, pyzate pomidory i kuleczki białego solonego sera, rozpadającego się na duże grudki, a jeńca nie przywożono. Zdenerwowany Kirył co chwila łapał za pustą kaburę. Dżamałudin wzruszył ramionami i poszedł spać, kładąc pod głowę worek z pieniędzmi. Niespokojny Asłan co chwila biegał dokądś dzwonić.

Kiryła, który nie spał do bólu, zmorzył sen. Obudził się, bo ktoś pociągnął go za ramię. Podskoczył, schwycił pustą kaburę i otworzył oczy. Stał nad nim Dżamałudin, wyglądał na spokojnego i odświeżonego.

– Chcą, żebyśmy pojechali do jego wujka – oznajmił Dżamałudin, wskazując Asłana. – Nie pasuje im, że jest z nami Rosjanin. Mówią, że do wymiany dochodzi za blisko granicy.

– Nie podoba mi się to – odparł Kirył.

– Mnie również – rzekł lakonicznie Dżamałudin.

Wyjechali z domu o dziewiątej rano i wkrótce dotarli do wsi niedaleko Urus-Martanu, gdzie mieszkał wujek Asłana. We wsi cała historia się powtórzyła. Dla uwolnionego jeńca zagrzano wodę i ugotowano kaszę, ale Wadika nie przywieziono. Dwa razy przed domem Tiemajewów zatrzymywały się dziwne samochody, zawracały i odjeżdżały. Była już ósma wieczorem, gdy Dżamałudin i Asłan weszli do pokoju, w którym siedział Kirył.

– Kim jest Fiodor Komissarow? – zapytał ostro Dżamałudin.

– To człowiek z FSB... – zaczął zdumiony Kirył.

– Nie pytam, czy go znasz. Pytam, czy zwracaliście się do niego w sprawie pośrednictwa?

– Szczerze powiedziawszy, sam do nas przyszedł – odparł Kirył. – Zapewniał, że ma możliwość wykupienia Wadima. Nie odpowiedzieliśmy mu ani tak, ani nie, ponieważ ty się zjawiłeś.

– Gratuluję. Ten Komissarow wczoraj rozmawiał z Barajewem, zadzwonił do niego prosto do Urus-Martanu. Powiedział, że przywiezie mu trzy miliony i teraz nasze dwa są im na gwizdek.

Nieprzyjemny dreszcz przebiegł po plecach Kiryła. Nagle ujrzał sytuację z przeraźliwą jasnością: byli w sercu Czeczenii, setki kilometrów od najbliższej miejscowości z rosyjską nazwą i rosyjskimi wojskami, z dwoma milionami dolarów w plecaku, a jedyną gwarancją ich bezpieczeństwa był szanowany człowiek o imieniu Musa, który został zakładnikiem ludzi Dżamałudina. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, owa gwarancja szybko traciła na znaczeniu.

Dżamałudin wyjął z kieszeni elegancki glock Kiryła, sprawdził magazynek i podał właścicielowi.

– Wstawaj – powiedział. – Wynosimy się.

– Teraz? W nocy?

– Będziesz czekał do rana? Do dziś połowa Czeczenii wiedziała, że po rejonie urus-martanowskim biegają dwa miliony. Chcesz czekać, aż jutro dowie się o tym cała Czeczenia?

W domu Tiemajewów było podziemne przejście, wychodzące prosto na kozią ścieżkę za granicami wsi. Tym przejściem wyszli, zostawiając białą „dziewiątkę” na podwórku, żeby mogli ją oglądać przypadkowi i nieprzypadkowi obserwatorzy. Kirył zdawał sobie sprawę, że tego przejścia nie wykopano po to, by prowadzić kozy do wodopoju, ale nic nie powiedział. Precisnęli się przez ziemne wejście i pół godziny później byli już w gęstych zaroślach.

Po piętnastu minutach Asłan Tiemajew pewnie skręcił ze ścieżki i zaczął się wspinać po zboczu w górę, kierując się jakimiś sobie tylko wiadomymi znakami.

Chciał przekroczyć niewysokie w tym miejscu przedgórze i zejść do sąsiedniej wsi, a tam wsiąść do dalekobieżnego autobusu. Wiadomość, że w Czeczenii jeżdżą autobusy, zdumiała Kiryła bardziej, niż gdyby usłyszał, że w tutejszych górach trafiają się dinozaury.

Całą noc przemierzali góry. Pierwszy szedł Asłan, dobrze znał te miejsca, za nim Dżamałudin, który niósł plecak z dwoma milionami dolarów, a na plecaku zawiesił automat. Dwa miliony dolarów ważyły dwadzieścia cztery kilogramy i prawdę mówiąc, nie był to najbardziej użyteczny ciężar w górach. Dżamałudin z przyjemnością zamieniłby dwadzieścia cztery kilo dolarów na dwadzieścia cztery kilo nabojów.

Pochód zamykał Rosjanin. Dżamałudin oddał mu pistolet i nawet dał dwa granaty, ale i tak to wszystko podobało się Kiryłowi coraz mniej. Zaczął wietrzyć podstęp. A jeśli Asłan i Dżamałudin zarzną go i podzielą pieniądze między siebie? Niby rodzina Kemirowów była wystarczająco bogata, żeby nie połakomić się na coś takiego, ale kto ich tam wie, tych miejscowych?

Nad ranem wyszli na asfaltową drogę. Autobus, który zabrał ich ze skrzyżowania, był pełen ludzi. Na tylnej platformie beczał baran. Jechali trzydzieści minut. Pojazd dławił się jak astmatyk, góry po prawej stronie oddaliły się, za oknem ciągnęły się zarośnięte chwastami pola. Gdzieś tam między chwastami białły niskie tabliczki z napisem: „Uwaga, miny”.

Kirył siedział w milczeniu. Gdy jakiś stary Czeczen zwrócił się do niego w niezrozumiałym języku, za Kiryła szybko i krótko odpowiedział Asłan. Kiryłowi często zarzucano, że wygląda jak Żyd. Teraz miał gorącą nadzieję, że dwudniowa szczecina na policzkach choć trochę upodabnia go do Czeczena.

Wreszcie za zakrętem ukazał się budynek miejscowych władz. Jakies sto metrów od wjazdu do wioski, przy rozszczepionym słupie z drogowskim stały dwie brudne białe niwy, na masce jednej siedział rudobrody mężczyzna z automatem.

Gdy autobus dzieliło od wozów trzydzieści metrów, rudobrody zrobił krok w bok i strzelił przed autobusem w ziemię. Najwyraźniej obecnie w Czeczenii używano broni zamiast sygnalizacji świetlnej.

Autobus stanął. Ludzie, którzy wysypali się z niwy, weszli do autobusu i zabrali

barana. Potem jeden z nich podszedł do Kiryła, przyjrzał się mu uważnie i o coś spytał.

Kirył nie odpowiedział

Czeczeni wokół roześmiali się, a uzbrojony brodacz powtórzył.

– Co on mówi? – zapytał Kirył.

– Mówi, że Wajnach, który ma taki dobry pistolet, nigdy by nie założył takiej brudnej koszuli – przetłumaczył Asłan.

– Wychodźcie – polecił jeden z żołnierzy po rosyjsku.

Kirył nie odezwał się. Już wiedział, że wpadli jak śliwka w kompot. Przemknęło mu nawet przez myśl, żeby wyciągnąć granat i wrzasnąć, że baby wokół to jego zakładniczki, lecz po namyśle odpuścił. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Rosjanie brali na zakładników autobus z Czeczenkami. Zwykle było na odwrót.

Ich trzech wysadzono z autobusu, zabrano im broń i plecaki. Jeśli Kirył miał jeszcze jakąś nadzieję, że to przypadkowe spotkanie, to wyparowała, gdy do drogowskazu podjechał nowiutki czarny gelandewagen.

Kiryła wsadzili do niwy, cała kolumna zawróciła i pojechała z powrotem.

Pół godziny później Kirył spostrzegł, że samochody przejechały skrzyżowanie, przy którym zeszli z gór. Sto metrów od drogi leżał spalony wrak czołgu. Samochody skręciły w prawo i po czterdziestu minutach wjechały do przedgórskiej wioski. Góra, wystająca z zielonej kopuły lasu, przypominała grzebień dinozaura.

Po podwórku, na które wjechała niwa, kręciło się sporo ludzi. Dwóch rozebranych do pasa robotników ociosywało siekierami słupy do wiaty, między świeżo wykopanymi pod te słupy dołkami parkował BTR, a pośrodku podwórka stało kilka nakrytych stołów. Przy stołach siedzieli ludzie z bronią.

Trzech jeńców wypakowano z samochodu i postawiono przy BTR-ze. Dżamałudin spokojnie siadł na pancernym kadłubie. Kirył, przekrzywiwszy głowę, przyglądał się staremu robotnikowi, który pracował przy słupie. Miał jasne włosy i słowiańską twarz. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, jego skóra zbrązowiła od słońca i potu. Gdy mężczyzna się odwrócił, Kirył zobaczył biegnący przez całe plecy spuchnięty siny ślad.

– Rosjanin? – spytał półgłosem Kirył.

Starzec skinął głową, nie przestając ociosywać słupa. Teraz przeszedł na drugą stronę, żeby mu było poręczniej, i Kirył zobaczył zasinią połowę twarzy i gnijące resztki wybitych zębów. Młody Czeczen stojący kilka metrów od nich zainteresował się rozmową i podszedł bliżej, ale nie huknął na starego i nie przegonił Kiryła.

– Kto tu jest gospodarzem? – zapytał Kirył.

Stary podniósł głowę, spojrział na Kiryła, potem na bojownika i powiedział:

– Kto trzeba, ten gospodarzy.

– Jak was traktują?

Stary po raz pierwszy podniósł na niego oczy i Kirył nagle przypomniał sobie wielkiego karpia łuskowego, którego widział dwa miesiące temu, w Moskwie, na dorogomilskim bazarku. Karp leżał na mokrej gazecie i lekko poruszał pyszczkiem. Gdy go wrzucono do siatki, miał identyczne oczy.

– Dobrze – powiedział stary. Zastanowił się i powtórzył: – Mnie... dobrze. Czeczeni szanują starszych.

W tym momencie brama otworzyła się i przejechał przez nią wojskowy gazik. Z gazika wyskoczył niewysoki człowiek w kamuflażu. Z tempa, w jakim zebrali się wszyscy obecni na podwórzu, Kirył wywnioskował, że to właśnie gospodarz. Najpierw zobaczył profil Czeczena – smagły, trójkątny, z wystającymi kośćmi policzkowymi i czarną kędzierzawą bródką, okalającą pełne czerwone wargi. Potem Czeczen odwrócił się do nich i na Kiryła spojrzały ciemnobrązowe, niemal czarne oczy, o barwie ściętej krwi żyłnej. Kirył nie miał pojęcia, że żywy człowiek może mieć oczy trupa.

Wodrow już wiedział, że ich gospodarz nazywa się Arzo Hadżijew. Imienia Hadżijewa nie wymieniono wśród możliwych pośredników przy wykupie, ale Kirył widział tego człowieka niedawno w telewizji. Nic dobrego o nim nie mówili.

Za jego plecami zakasłał stary.

– Jesteś gliną? – zapytał.

– Nie, nie jestem gliną.

Stary pokręcił głową i rzekł w zadumie:

– Jesteś. Ciebie będą traktować źle.

Całą trójkę zaprowadzono do Hadżijewa. Jeden z Czeczenów postawił przed nim



plecaki jeńców. Arzo rozerwał pierwszy plecak, potem drugi. W końcu przewrócił plecak Dżamałudina i cienkie jak kafelki paczki dolarów wypadły prosto na ziemię pod niedokończoną wiatą. Hadżijew spojrzał na pieniądze, potem na jeńców, uśmiechnął się i powiedział:

– Rzadko się zdarza, żeby po górach biegały trzy barany i miały ze sobą dwa miliony. Co to jest, fałszywa forsa?

Dżamałudin i Asłan milczeli. Kirył odezwał się po namyśle:

– To pieniądze za Wadima Władkowskiego. Prawdziwe.

– Wszyscy słyszeli o tej historii – odpowiedział Arzo po chwili milczenia.

– A ostatnie, co słyszałem, to że za Władkowskiego płacą trzy miliony. Coś nie widzę tu trzech milionów. Ktoś z nas nie umie liczyć, albo ojciec Władkowskiego, albo ja.

– Człowiek, który proponował trzy, kłamał. Nie miał upoważnienia do prowadzenia negocjacji.

– A ty masz?

– Jestem współpracownikiem Władkowskiego – odrzekł Kirył. – Nie sądzę, żeby moje nazwisko coś wam powiedziało, ale zapewne znacie Musę Tiemajewa. To Musa zapewnił nam wymianę i pozostał po tamtej stronie jako gwarancja, że w Czeczenii nic nam się nie stanie.

W kompletnej ciszy rozległ się śmiech Arza. Ciałem Kiryła wstrząsnął dreszcz, zrozumiał, że popełnił straszny błąd.

– Nazwisko Musy mówi mi bardzo wiele – rzekł Arzo. – Jesteśmy wrogami krwi.

Hadżijew uśmiechnął się i wydał półgłosem rozkaz po czeczeńsku. W tym momencie podbiegł do niego młody bojownik, chyba siedemnastoletni, i rzucił się do pakowania pieniędzy do plecaka. Jedna z paczek poleciała pod BTR i bojownik zaczął wymiatać ją spod pojazdu automatem jak szczotką. Wreszcie plecak znowu był pełen i chłopak postawił go przed Hadżijewem.

– Dwa lata temu – zwrócił się do Dżamałudina Hadżijew – porwano ci dwóch pracowników. Nie chciałeś za nich zapłacić, ponieważ byli to Kumycy, a nie Awarowie. A gdy zgodziłem się oddać ich prawie za darmo, powiedziałaś swoim przyjacielom: „Oto biznes po czeczeńsku: zażądać miliona, zniszczyć życie i zęby

i w końcu dostać trzy tysiące dolarów”. Teraz zrobię biznes inaczej. Niepotrzebne mi cudze pieniądze, potrzebni moi wrogowie. Asłan zostanie tutaj, a wy dwaj możecie odjechać z forszą. Ahmed, daj im samochód.

I z tymi słowami rzucił plecak z pieniędzmi pod nogi Dżamałudina.

Dżamałudin pojął, że są już martwi. Zbyt dobrze znał Arza, by nie uświadomić sobie, że jego słowa to czysta obłuda. Arzo wypuszczał ich na oczach wszystkich – ale nie przejadą nawet kilometra, bo przy wyjeździe ze wsi zostaną rozstrzelani z zasadzki. Później gdzieś w lesie ktoś znajdzie ciało Dżamałudina i Arzo rozłoży ręce i powie: „Wypuściłem tych ludzi, nie miałem do nich żalu. Kto mógł przewidzieć, że tak się to skończy? Widocznie ten ruski zabił Dżamałudina i zgarnął pieniądze. Pewnie była to dla niego gruba forsa”.

Dżamałudin zrozumiał również, że źle zrobił. Nie powinien był wtedy mówić tego, co powiedział. Arzo i tak się zhańbił, kupując kurę w cenie barana. Gdyby Dżamałudin nie plótł, co mu ślina na język przyniesie, Arzo nie okaleczyłby tamtych chłopaków. Przecież nie byli Rosjanami i gliniarzami.

Dżamałudin zarzucił plecak z pieniędzmi na ramię i powiedział do Arza:

– Chcę porozmawiać z tobą na osobności.

Arzo skinął głową i wraz z Dżamałudinem wszedł do domu. Kirył, usiadłszy na wozie opancerzonym, wbił wzrok w znajdującą się przed nim górę. Przypominała kawałek połędwicy z rozchodzącymi się żyłkami skał.

Arzo i Dżamałudin weszli do małego salonu z wytartym dywanem i starym telewizorem marki Rubin. Dżamałudin rozejrzył się i dostrzegł na rubinie plastikową figurkę wilka ze spękaną farbą. To był ten sam wilk, którego Arzo przywiózł z Gagry, choć upływ czasu odcisnął na zabawce swoje piętno. Dżamałudin spojrzał na wilka, a potem w oczy Hadżijewa i powiedział:

– Wiem, że Wadik Władkowski jest u ciebie. Adałtajewowie sprzedali go łysemu Chamzatowi, a Chamzat sprzedał go tobie.

Arzo pokręcił głową.

– Nie wiem, gdzie jest ten Wadik, ale słyszałem, że rozmowy o wykupie prowadził Arbi.

– Arbi firmował tylko wszystko swoim imieniem, jak zawsze. Wiecznie mówi:

zwalajcie wszystko na mnie. Nie jestem aż taki głupi, żeby latać po Czeczenii z dwoma milionami. Zanim tu przyszedłem, złapałem młodszego Adałajewa i łysego Chamzata, więc nie wykręcisz się z tej historii. Dogadamy się tu i teraz, a jeśli zrobisz to, co chcesz zrobić, wszyscy się dowiedzą, że zwabiłeś do siebie człowieka, który uratował ci życie, żeby go zabić i zabrać mu pieniądze.

– Zostaw mi te pieniądze. Przywieźcie jeszcze milion i dostaniecie swojego Wadika.

– Miliona nie będzie. Ten łajdak Komissarow zrobił cię w konia. Albo zabierasz kasę i dajesz Wadika, albo przysięgam na Allaha, że odjeżdżam z pieniędzmi. I jeśli mnie zabiją, mój brat będzie wiedział, kto za tym stoi.

Hadżijew zerknął w bok. Dżamałudin zrozumiał, że Czeczen patrzy na plastikowego wilka. Potem Arzo otworzył nogą drzwi do przedpokoju i półgłosem wydał rozkaz.

Wadika Władkowskiego wyprowadzono na podwórze kwadrans później. Już wcześniej był chudy, a teraz ubranie wisiało na nim jak na wieszaku. Cuchnęło od niego niczym z dworcowego klozetu.

– Niech się umyje – zarządził Arzo.

Kiedy Wadik zobaczył znajomą twarz wśród stojących na podwórzu górali, siadł na ziemi i się rozpłakał.

Podczas gdy Wadik się mył, Arzo kazał nakryć do stołu na dworze. Dżamałudin usiadł po prawej ręce Arza, po lewej posadzono Kiryła. Asłana nie zaproszono do stołu, nadal siedział między dwoma ludźmi Hadżijewa przy wozie.

Na nierównych deskach pojawiły się czerwone jak krew pomidory i duże kawałki gotowanego mięsa. Arzo zrobił się nagle bardzo wesoły, żartował po rosyjsku i po czeczeńsku, a potem raptownie wyciągnął zza pasa potężny nóż, nadział na niego dwa kawałki mięsa i zrzucił na pusty talerz Kiryła.

– Jedz, kochany, jedz – zachęcił. – To nie jest ludzkie mięso.

W końcu przyprowadzili Wadika. Był w czystych dżinsach spadających z bioder i kraciastej koszuli z krótkimi rękawami. Postawiono przed nim miskę z bulionem,

jeden z Czeczenów włożył mu łyżkę w dłoń. Wadik odskoczył i wrzasnął dziko. Bojownicy zarechotali.

Po jakimś czasie chłopak uspokoił się, złapał łyżkę i rzucił się na bulion. Dżamałudin spostrzegł na jego rękach czerwone plamki od gaszonych na skórze papierosów i wskazując je Arzowi, rzekł:

– Nieładnie, Arzo. Skoro ty walczysz na ścieżce Allaha, czemu twoi ludzie palą? To *haram*<sup>4</sup>.

Uczta ciągnęła się w nieskończoność. Kirył siedział jak na rozżarzonych węglach. Arzo i Dżamałudin zdawali się zupełnie rozluźnieni. Przy stole coraz częściej rozlegały się gardłowe śmiechy i opowiadane sobie żarty. Asłan pozostawał przy wozie. Gdy Kirył się obejrzał, zobaczył, że na drugim końcu podwórza dwaj rosyjscy jeńcy tęsknym wzrokiem patrzą na stół. Zawinął kawałek mięsa w placek i chciał wstać, ale ręka Arza spadła mu na ramię.

– Siedz – rzekł półgłosem Czeczen i Kirył poczuł, jakby go przyspawali do krzesła.

Długo milczał, zbierając się na odwagę, w końcu spojrzał Arzowi w oczy i powiedział:

– Zawsze sądziłem, że wasz naród szanuje starszych. Czemu twoi ludzie biją człowieka, który mógłby być ich dziadkiem?

– Widzisz tego chłopaka? – zapytał Arzo.

Kirył skinął głową.

– Miał trzech braci – mówił dalej Arzo. – Jeden miał trzydzieści lat, drugi dwadzieścia dwa, a trzeci siedemnaście. Wszyscy nie żyją. Ten chłopak ma szesnaście lat, miesiąc temu ożenił się z dziewczyną rok młodszą od siebie. Wie, że za rok będzie martwy. Gdy śmierć co dzień je z twojego talerza, dostajesz hopla.

– To po co się żenił? – spytał oszołomiony Kirył.

– Trzeba się żenić – odparł Czeczen. – Wojna. Człowiek zginie, a syn pozostanie.

– A pan ma żonę? – zapytał Kirył.

To było jedno z najbardziej nieopatrznych pytań, jakie mógłby zadać Rosjanin. Żona Hadżijewa zginęła półtora roku temu, potem zginęła jego matka i dwóch synów, trzeci stracił obie nogi. Mówiono, że Hadżijew kochał żonę znacznie

bardziej, niż przystało mężczyźnie.

Czeczen długo milczał, w końcu powiedział:

– Jestem wdowcem.

Minęły dwie godziny. Na podwórku znów pojawił się nowy gelandewagen z przyciemnianymi szybami, za nim w szeregu ustawiło się kilka samochodów.

– To twoja dola za Wadika – powiedział Arzo Dżamałudinowi. – Moi ludzie odprowadzą cię do granicy.

Czeczeni w zachwycie krążyli wokół wozu i cmokali. Samochód był najzupełniej nowy, choć na pewno kradziony. Władkowskiego posadzili na tylnym siedzeniu, Kirył siadł obok niego i przytulił chłopaka do siebie.

Dżamałudin usadowił się za kierownicą, włączył silnik i zawołał:

– Asłan, jedziemy!

Asłan Tiemajew wstał z ziemi, ale w tej samej chwili szesnastoletni ochroniarz podniósł automat i lufa znalazła się pół metra od głowy Tiemajewa.

– Asłan zostanie tutaj – rzucił Arzo.

Dżamałudin wzruszył ramionami, zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

– W takim razie ja również – rzekł.

Przystojna smagła twarz Czeczena zbladła.

– Zbyt wiele chcesz – powiedział Arzo. – A kto dużo chce, dostaje kulę w łeb.

– Przyjechaliśmy razem i razem odjedziemy – odparł Dżamałudin.

Arzo milczał przez kilka sekund. Potem machnął ręką.

– Wsiadaj, Asłan. I pamiętaj, że zawdzięczasz życie mojemu bratu.

Arzo i Dżamałudin wstali z miejsc, gdy Rosjanin wszedł do domku z bali. Uścisnęli się i Arzo powiedział:

– Nie musisz mnie odprowadzać. Hagen to zrobi.

Jasnowłosy Aryjczyk ruszył w ślad za Arzem, a Dżamałudin opadł na fotel. Trzasnęły drzwi i na progu domku stanęła pulchna kobieta w długiej czarnej spódnicy i niebieskiej chustce w duże tulipany.

Kobieta sprawnie sprzątnęła stół po tych, którzy wyszli, i chwilę później wróciła z nową porcją jedzenia. Na porcelanowym talerzu lśniły kawałki gotowanego mięsa, przypominające fałdy gór, a z głębokiej białej wazy z chinkali unosiła się aromatyczna para. Dżamałudin siedział w fotelu, odchyłony na skórzane oparcie, z przymkniętymi oczami. Jego palce niespiesznie przebierały paciorki sznura modlitewnego.

– Jedz, Kiryle Władimirowiczu – odezwał się Awar. – Na pewno jesteś zmęczony. Niedobrze, że przyjechałeś do Besztoju sam. Coś się stanie i potem zwałą na mnie.

Kirył siadł na kanapie i wbił widelec w kawał mięsa. Chciał zapytać, po co Dżamałudin wyciął wczoraj taki numer. Do cholery, przecież Kirył osobiście oddałby mu ciało! Wzięłby to na siebie i dał w mordę każdemu, kto by się odezwał. Szesnastoletnia dziewczyna to jeszcze nie terrorystka, nieważne, za kogo wyszła za mąż.

– Podobno była w ciąży? – odezwał się Kirył.

– Tak.

Awar patrzył na niego oczami pozbawionymi wyrazu.

– A gdzie ona... jak się poznali?

Kamil Abidow, za którego Diana wyszła za mąż, miał trzydzieści cztery lata i jeszcze jedną żonę. Pewien milicyjny generał powiedział wczoraj Kiryłowi, że pierwsza żona żyje i wychowuje dzieci, a inny oznajmił, że wysadziła się kilka lat temu razem z jakimiś szahidkami w besztojskim szpitalu położniczym. Generał dodał, że wśród terrorystów w dobrym tonie jest ożenić się z dziewczyną i przekonać ją, żeby została szahidką. To podnosi ich status w oczach Allaha.

– Nie wiem – odparł Dżamałudin.

– Powiedzieli mi, że goniłeś za nią po całej republice. Ogłosiłeś, że jest poszukiwana.

– Nie ogłaszałem. Ale wszyscy wiedzieli, że jej szukam. Gliny wiedziały, FSB wiedziało. Nikt nie miał pojęcia, gdzie ona jest, i wszyscy jej szukali. U nas zawsze tak: jeden powiedział, drugi poprosił i tematem zajmuje się setka ludzi.

– Ale dowiedziałeś się, że wyszła za mąż za Kamila? W przeciwnym razie nie

przyszedłbyś dwa dni temu do Czebakowa i nie zapytał, czemu jej zdjęcie wisi na tablicy „tych ludzi poszukuje milicja” zamiast na tablicy ze zdjęciami osób zaginionych?

Głos Kiryła brzmiał niemal oskarżycielsko. Kiryłowi nie podobało się to, do czego doszło wczoraj. Nie rozumiał dlaczego, ale mu się nie podobało i już. Coś było cholernie nie w porządku w tym, że szesnastoletnią dziewczynkę rozstrzelano pociskiem pancernym. Chociaż niewykluczone, że ta sama dziewczyna bez wahania obwiązałaby się materiałem wybuchowym i tak weszła do szpitala położniczego. Kiryłowi kręciło się od tego wszystkiego w głowie i wiedział już tylko jedno: nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

– Gliniarze szukali jej, żeby wyświadczyć przysługę rodzinie Kemirowów – powiedział Kirył. – A gdy ją odnaleźli i razem z nią Wałę Arsajewa, postanowili zabić Wałę. Sam naprowadziłeś gliny na rodzoną siostrzenicę. A co byś zrobił, gdybyś znalazł ją przed glinami?

Awar spojrzał na zegarek i wstał z fotela, nadal przebierając paciorki. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż wczoraj. W tej samej chwili z wieży wartowniczej za jeziorem rozległ się przeciągły krzyk. Kirył wzdrygnął się, dopiero po chwili pojął, że to tylko wezwanie do modlitwy.

– Poczekaj tutaj – polecił Dżamałudin, narzucając kurtkę.

Już przy drzwiach odwrócił się i powiedział niegłośno, ale wyraźnie, jak dowódcy, których słyhać nie dlatego, że głośno ryczą, a dlatego, że każdy chce usłyszeć ich słowa:

– Zabiłbym ją.

Dżamałudin wrócił nie sam, razem z nim weszło do salonu jeszcze dwóch mężczyzn. Jednym był obecny już wcześniej blondyn w czerwonym dresie, z zębami równymi jak klawisze pianina, o figurze oficera elitarnych oddziałów SS.

– Radżab – przedstawił się Aryjczyk, ściskając swoją dłońią rękę Kiryła jak imadłem. Kirył zdumiał się, doskonale pamiętał, że Arzo nazwał go „Hagen”.

Drugi z przybyłych był o głowę niższy i dwadzieścia lat starszy, jego smagła skóra rozciągnęła się w worki pod oczami. Czarne, krótko ostrzyżone włosy przechodziły w czarną brodę.

– Szapi – przedstawił się.

Zrobił krok i usiadł, szokując Kiryła szybkością ruchów.

– A to Kirył Władimirowicz – oznajmił Dżamałudin. – Członek komitetu szanowanego przez nas wszystkich zastępcy prokuratora Komissarowa. Komissarow wspaniale orientuje się w kwestiach Kaukazu, odebrał też wiele nagród państwowych. Został odznaczony między innymi Orderem Odwagi za uratowanie syna Władimira Władkowskiego. Teraz towarzysza Komissarowa oddelegowano do przeprowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa pełnomocnego przedstawiciela prezydenta FR i Komissarow w ramach tego śledztwa przysłał do nas Kiryła Władimirowicza.

– Szapi, to nie ty zabiłeś przedstawiciela? – zapytał Radżab.

– Nie – odparł Szapi. – A może ty?

– Zajmujemy się nie tylko zabójstwem – wtrącił się Kirył. – Badamy również inne przestępstwa.

– Na przykład? – zainteresował się Dżamałudin.

– Gdy mnie tu wieziono, mijaliśmy merostwo. Było tam spalone kasyno gry ze szklaną piramidką przed wejściem. Czemu spłonęło?

– A kto je tam wie – odparł Szapi.

– Chwilę później mijaliśmy drugi klub, z taką samą piramidką, również spalony. To jak to, oba przypadkiem spłonęły w tym samym czasie?

– Taka była wola Allaha – odparł Hagen-Radżab.

– Oczywiście. Allah ma wiele dziwnych pragnień. Przecież twój brat, Dżamałudinie, też ma kasyno w Besztoju, a jednak ono, z woli Allaha, nie spłonęło razem z zakładami konkurencji?

Dżamałudin wymienił spojrzenia z przyjaciółmi i rzekł:

– Pora spać. Jesteś zmęczony. Zaprowadzą cię do twojego pokoju.

– Nie zostanę tu na noc – odparł Kirył. – Mam zamówiony pokój w ośrodku wypoczynkowym FSB.

Dżamałudin uśmiechnął się i rzekł:

– To właśnie jest ośrodek wypoczynkowy FSB, Kiryle Władimirowiczu. Jeśli pokój nie będzie ci odpowiadał, zadzwoń do mnie.



Poszli we dwóch w stronę zimnego jeziora. Gdy drzwi domku się otworzyły, dżip na drugim brzegu zamrugał światłami i ruszył powoli dróżką. Kirył stał i patrzył na czarną wodę, w której odbijał się księżyc i latarnie.

– Posłuchaj, Dżamałudinie – powiedział nagle Kirył. – Pamiętasz, gdy przyjechaliśmy do Arza, spotkaliśmy tam rosyjskiego niewolnika. W zasadzie było ich dwóch. Wadik siedział w piwnicy, a ci dwaj pracowali w gospodarstwie. Nie wiesz, co się z nimi stało?

Dżip podjechał do Dżamałudina i Awar otworzył drzwiczki.

– Było ich trzech, a nie dwóch – odparł Dżamałudin. – Inżynierowie z Krasnodaru. Arzo porwał ich z budowy w Groznych. Liczył, że ich wykupią, ale rodziny nie miały ani grosza. Temu staremu, o którym mówisz, ścięli głowę, potem zaś zaczęli grać tą głową w piłkę nożną. Egzekucję i zabawę nakręcili, a taśmę przesłali innym na dowód, że nie żartują. Wtedy pozostałych wykupili, trzy tysiące dolarów sztuka.

Kirył spuścił wzrok.

– Biedny i bogaty zawsze będą na nierównych warunkach – dodał Dżamałudin. – Nawet w piwnicy u Czeczena.

Dżamałudin zajął miejsce za kierownicą hummera. Po jego prawej stronie siedział jasnowłosy Radżab, na tylnym siedzeniu Szapi majstrował przy broni.

Samochód wyjechał już za bramę i zaczął wspinać się pod górę, gdy Radżab powiedział:

– Nie podoba mi się ten Kirył. Czy to czasem nie Żyd?

– Allah zabrania obmawiać człowieka za plecami – odparł Dżamałudin.

– To podobno partner Władkowskiego. Trzeba go było porwać – dodał po namyśle Radżab.

– Ponoć Władkowski go wyrzucił – zaprotestował Szapi. – Nie ma teraz ani grosza.

– Jeśli Władkowski go wyrzucił, można by mu zaproponować porwanie Władkowskiego – podsunął Radżab. – Czemu nie pomóc porządnemu człowiekowi?

Nikt nie podjął tej propozycji handlowej. Dżamałudin prowadził tak, że opony piszczały na zakrętach, jego twarz w świetle deski rozdzielczej wyglądała jak twarz trupa.

– Słuchaj – odezwał się po jakimś czasie jasnowłosy Radżab – tak się zastanawiam... Moje nazwisko Hazenstein to może od czeczeńskiego *chuz*?

– Już prędzej od naszego *ch'az* – odparł Dżamałudin i blondyn o imieniu Radżab zamilkł urażony.

Pewnego dnia latem 1995 roku trzech moskiewskich Czeczeńów wpadło na pomysł, żeby porwać biznesmena o imieniu Maurice. Mimo swego zagranicznego imienia Maurice był Tatem. Powód, dla którego Czeczeni chcieli go porwać, był ważki. Maurice miał dwa biznesy: nad jednym opiekę roztaczali Czeczeni, nad drugim – Awarowie, i Maurice stale obiecywał Czeczenom, że będzie im płacił z tego biznesu, za który płaci Awarom, Awarom zaś – że odda im biznes czeczeński. W efekcie Maurice nigdy nie dotrzymywał swoich obietnic i co chwila wpadał w kłopoty.

W końcu Czeczeni postanowili załatwić ten problem raz na zawsze: porwać Maurice'a i zmusić go, żeby przepisał na nich cały posiadany interes.

Kwestie techniczne przedsięwzięcia rozwiązano, jak tylko okazało się, że piątego dnia tego miesiąca Maurice wraz z przyjaciółmi wydaje przyjęcie na cześć jakiegoś Radżaba, nowego mistrza świata w wushu sandzie. Uroczystość miała się odbyć w hotelu Savoy, za wszystko płacił oczywiście Maurice. Maurice generalnie uwielbiał sportowców i dawał im pieniądze zupełnie bezinteresownie. Zdarzyło się kiedyś, że mistrzowi w zapasach podarował mercedesa 600. Gdy tydzień później w mercedesie zepsuła się pompa paliwowa, mistrz przyszedł do Maurice'a i pobił go tak, że ten miesiąc przeleżał w szpitalu. To wydarzenie bynajmniej nie umniejszyło zachwyty Maurice'a sportowcami.

Było wiadomo, że na przyjęcie zjadą się nie tylko Awarowie, lecz także wielu znanych w Moskwie ludzi i niektórzy, rzecz jasna, będą mieli broń. Dlatego do całej akcji wciągnięto gliny. Milicjanci mieli wejść do sali w środku przyjęcia i zgarnąć wszystkich gości. Maurice'a nie wolno było aresztować, należało zostawić go

samego.

Gdy szemrane towarzystwo będzie już w drodze do aresztu, do akcji mieli wkroczyć Czeczeni. Mieli oni wejść i zabrać Maurice'a. Piękno całej kombinacji polegało na skierowaniu uwagi wszystkich na nieszczęsnego Tata. No bo na co będą liczyć aresztowani? Na to, że Maurice pobiegnie z pieniędzmi, by ich wyciągnąć. A co pomyślą, gdy się okaże, że Maurice nie tylko nie rzucił się z pieniędzmi, ale wręcz zniknął bez śladu? Pomyślą, że to właśnie Maurice ich wystawił.

Wszystko szło jak po maśle. Gliny wpadły do Savoyu w środku imprezy, za jednym zamachem realizując miesięczny plan zatrzymania złodziei oraz przechwycenia broni i narkotyków. Wszystkich położyli na podłodze, niektórych wbili w tę podłogę poniżej płytek. Maurice siedział za stołem i czekał ze zdumienia. Niektórzy złodzieje już rzucali mu podejrzliwe spojrzenia: paranoja to choroba zawodowa bandytów i dyktatorów.

Wszystkich zabrali, Maurice został sam pośród nakrytych stołów. W tym momencie do sali weszło trzech Czeczenów. Maurice, przez całe życie cierpiący na nadmierną ufność, nie zrozumiał zupełnie, co się dzieje. Uznał, że nowo przybyli po prostu spóźnili się na przyjęcie i rzucił się do nich ze słowami:

– Asłan! Co tu... Włada zabrali! Kerima zgarnęli, trzeba dzwonić, dogadać się, Asłanczik, jeśli jakieś pieniądze...

Asłan zacisnął usta i wyjął zza pasa pistolet z tłumikiem. Pistolet odpowiadał wyobrażeniom Asłana o pięknie i gabarytami niewiele ustępował działu przeciwlotniczemu. Lufa wbiła się w grubą indyczą pierś Maurice'a.

– Idziemy – rzucił Asłan. – Tylnym wyjściem.

W tym momencie drzwi się otworzyły i na scenie zjawił się nowy bohater. To był wysoki (prawie dwa metry wzrostu) dwudziestoletni chłopak w perłowoszarym garniturze i odpowiednio dobranym krawacie. Chłopak miał bardzo jasne włosy, niebieskie oczy i białą nordycką skórę, opinającą arystokratyczną twarz z pięknie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i małymi ustami.

Przeklęty fryc, który widać przyjechał na jedną z licznych konferencji odbywających się w Savoyu, najwyraźniej pomylił sale. Nie było sensu zabijać cudzoziemca. Asłan odwrócił się, zasłaniając pistolet z tłumikiem. Spodziewał się,

że dokuczliwy przybysz po prostu odejdzie, ale głupi Teuton zamiast zrozumieć, czym tu pachnie, zrobił krok do przodu i w nienagannym narzeczu germańskim zwrócił się do Czeczenów:

– *Bitte entschuldigen, Ich suche...*

Nawet gdyby Aslan znał ten obcy język i tak nigdy nie dowiedziałby się, kogo właściwie szuka owa postać z *Pierścienia Nibelungów*. Chwilę później lewa dłoń Aryjczyka wystrzeliła do przodu – cios był tak potężny, że w jednej chwili zmiażdżył chrząstki i wbił przegrodę nosową głęboko w bezbronny mózg. Czeczen zmarł, nim zdążył paść na podłogę. Nieznajomy chwycił wypadający z jego rąk pistolet, a chwilę później rozległy się dwa suche strzały. Jasnowłosa bestia złapała Maurice'a pod pachę, mówiąc:

– Spadamy stąd. Gdzie ludzie? Co to w ogóle za cyrk?

Kwadrans później roztrzęsiony Maurice siedział w mercedesie naprzeciw 83. komisariatu milicji, dokąd zawieziono zatrzymanych, a jasnowłosa targował się z komendantem, ile ma kosztować wypuszczenie wszystkich aresztowanych. Gliniarz żądał trzystu tysięcy, ale do dziesiątej. „Jeśli po dziesiątej – powiedział – to pięćset”.

Stanęło na dwustu pięćdziesięciu. Jasnowłosa wsiadł do samochodu i rzucił Maurice'owi:

– Jedziemy po hajs. Ruchy.

Maurice oczywiście zdawał sobie sprawę, że pieniądze musi wyłożyć on. Po pierwsze, to on organizował bankiet, po drugie, zawsze jakoś tak wychodziło, że pieniądze brali od niego. Ale najbardziej dziwiło go co innego.

– A pan... tak właściwie... kto? – zapytał Maurice.

– A ja tak właściwie jestem gwiazdą uroczystości. Mam na imię Radżab. I jeśli kiedykolwiek nazwiesz mnie inaczej, naciągnę ci oczy na tyłek i zmuszę do mrugania. Rozumiesz?

Hagen Adrian Maria Hazenstein urodził w małej górskiej wiosce o nazwie Monachium, która znajdowała się czterdzieści kilometrów od Besztoju.

To była jedna z dwóch czysto niemieckich wsi leżących pomiędzy górami Ałatau

i Janałyk. Niemieckich kolonistów osiedlono tam w połowie XIX wieku, żeby nauczyć dzikich górali porządku i jednomyślności, a także, by w miarę możliwości zwrócić ich ku wierze chrześcijańskiej. Wieś składała się z domków pokrytych czerwonymi dachami i kamiennej luterańskiej kirchy na głównym placu. W 1944 roku mieszkańców obu wsi zesłano do Kazachstanu w ramach zapewnienia towarzystwa Czechenom. Babcia Hagen urodziła jego ojca w *tiepluszce*<sup>5</sup> z pomocą dwóch czeczeńskich akuszerok. Zmarła przy porodzie i jedna z Czechenek wykarmiła dziecko.

W 1957 roku Niemcy powrócili, jednak ich wieś była zajęta – w domkach z czerwonymi dachami mieszkali Awarowie, Nogajowie i Grecy. Hazenstein senior stanął na progu swego domu, który odziedziczył po dziadku i pradziadku, popatrzył na czarnowłose dzieci, bawiące się z kotem, usiadł i zapłakał. Ktoś dotknął jego ramienia. Adrian Hazenstein odwrócił się i zobaczył za sobą wysokiego, chudego starca w barankowej czapce i z hakowatym kosturem w ręku.

– Nie martw się – powiedział stary – to wasze domy i to wy będziecie w nich żyć. Przysięgam na Allaha, nie ma większego przestępstwa, niż odebrać człowiekowi dom, w którym żyli jego przodkowie.

Górale dotrzykali obietnicy: wynieśli się z niemieckiej wsi, tak samo, jak odeszli z czeczeńskich wiosek, zajętych przez nich na rozkaz władzy radzieckiej. Nikt nie połasił się na cudze ognisko domowe. Wkrótce potem na przeciwnym zboczcu góry, dziesięć kilometrów od Monachium, wyrosła siostrzana wieś, założona przez tych, którzy oddali domy dotychczasowym właścicielom.

Nic się nie zmieniło we wsi Monachium: tak samo jak dawniej lśniła czerwonymi dachówkami, krowy, wyganiane co rano na pastwisko, nadal dzwoniły śląskimi dzwoneczkami, a nauczycielka w szkole zwracała się do uczniów klas pierwszych w języku Goethego i Schillera. Jedynie kamienna luterańska kircha na głównym placu pozostała meczetem, a noworodki, prócz oficjalnego, zapisanego w dokumentach imienia, coraz częściej otrzymywały drugie, domowe. Na przykład: Hagen i Radżab.

Mały Hagen Adrian Maria Hazenstein dorastał w miejscu, gdzie górali uważało się za braci. Bawił się z chłopcami z sąsiednich wsi, awarskiej i czeczeńskiej,

i często obrywał za swoje jasne włosy i skórę nieprzyjmującą opalenizny. Jedni wołali na niego *chjazach*, inni *łaj* i tak było dopóty, dopóki dziesięcioletni Hagen nie rzucił się na swoich krzywdzicieli ze znalezionym gdzieś kindzalem. Chłopcy się rozbiegli. Ich przywódcę Hagen złapał i wciskając mu szyję między skałę a nóż, powiedział:

– Mam na imię Radżab.

I tak zaczęto go nazywać.

Nie było w okolicznych wsiach chłopca, który wycinałby większe numery niż Hagen. Zwinniej od wszystkich łąził po skałach i wspinał się na najbardziej niebezpieczne stromizny. Swoich przyjaciół odwiedzał nocą, gdy przy górskiej drodze rozlegało się wycie wilków, i nie raz, nie dwa zakładał się, że przepłynie Kara-angę w czasie powodzi, gdy rzeka przypominała rozszalałego byka, rzucającego się na brunatne skalne łachmany.

Hagen miał dwanaście lat, gdy starzec z sąsiedniej wioski, ten sam, który kiedyś oddał dom ich rodzinie, zaczął go uczyć czytać Koran, i piętnaście, gdy na eliminacjach wypatrył go niemiecki trener i zaproponował treningi w Niemczech.

Nie ma antysemitę bardziej zajadłego niż ochrzczony Żyd, nie ma bardziej zagorzałego rosyjskiego nacjonalisty niż Ormianin. Jasnowłosy Hagen Adrian Maria Hazenstein był fanatycznie zakochany w Kaukazie. Nigdy nie opuszczał *salatu* <sup>6</sup> i sumiennie przestrzegał postu w miesiącu ramadan.

Miał dwadzieścia pięć lat, gdy Kemirowowie kupili mu stanowisko zastępcy ministra stosunków gospodarczych z zagranicą w rządzie republiki. Wtedy też Hagen razem z Zaurem Kemirowem pojechał w składzie delegacji omawiać zachodniemieckie inwestycje gospodarcze w Awarii.

Niemcy byli oczarowani nienaganną wymową Hageny i tym, że urzędnikiem wielonarodowościowej republiki jest Niemiec czystej krwi. Wszystko szło idealnie do chwili, gdy na spotkaniu nie zjawiła się deputowana Bundestagu, uważana za bardzo prawdopodobnego kandydata na stanowisko kanclerza. Jasnowłosa Niemka wyciągnęła rękę do zastępcy ministra Republiki Awarii Północnej – Dargo, a ten odezwał się czystą niemiecczyzną:

– Proszę mi wybaczyć. U nas nie podaje się kobietom rąk na powitanie.

I tylko jedna okoliczność okrywała mrokiem życie Hageny Hazensteina – przewisko, nieuchronne jak śnieg zimą na Jałyk-tau. Cała republika mówiła na niego „Aryjczyk”.

Kiryła obudził o pierwszej w nocy jakiś dziwny niepokój, mający źródło w śnie. Długo tarł oczy, a potem narzucił kurtkę i wyszedł z domku na dwór.

Była mroźna, wysokogórska noc: w górze nie było ani obłoczka, a gwiazdy wyglądały jak duże drobniaki, wysypane z żółtej skarbonki księżyca. Za jeziorem po lewej stronie wznosiła się góra o łagodnych zboczach i Kirył w świetle księżyca po raz pierwszy spostrzegł na jej szczycie prawdziwy zamek. Nad pięciometrowymi murami widniały zarysy wież strażniczych.

Dziesięć lat temu Kirył po raz pierwszy pojechał do Włoch i ujrzał podobne zamki na grzbietach Apeninów. Wznosiły się nad starymi miasteczkami i przypominały bożonarodzeniowe zabawki. Reflektory u podnóżu owych zamków świeciły wprost na iglice, zwieńczone flagami jakiejś organizacji chroniącej zabytki.

Tu też były reflektory. Skierowane w dół, bezlitośnie oświetlały każde źdźbło trawy na górze za murami. W bezksiężycowe noce mur miał wyglądać jak mroczna bryła.

Kirył wyziewał resztki snu, usiłując zrozumieć, co go poderwało, gdy nagle pojawił się samochody. Placyk na drugim brzegu jeziora był zupełnie pusty, a przecież wieczorem, gdy kładł się spać, w domu zostało ze trzydziestu ludzi. Zasypiając, Kirył słyszał gardłowe głosy i męski śmiech.

Dróżka nad jeziorem była pocięta szpadami świateł reflektorów, cienie nagich gałęzi poruszały się na niej jak mrówki. Kirył poszedł do głównego budynku. Drzwi były zamknięte, ale on szóstym zmysłem pojął, że pokoje na pierwszym piętrze, gdzie znajdowało się coś na kształt koszar, są teraz puste.

Kirył obszedł budynek dookoła i stanął na ciemnym, odśnieżonym placu ćwiczebnym. Po trzech stronach ciągnął się profesjonalny tor przeszkód: ściana ze śladami wbijanych haków, wąskie belki, bezlitośnie umieszczone na pięciometrowej wysokości, i długi pas piasku, przeoranego brzuchami żołnierzy. Nad pasem rozciągnięto drut kolczasty. Gdy siedemnaście lat temu po takich pasach ganiłi

Kiryła, nad drutem walił jeszcze prawdziwy karabin maszynowy, żeby żołnierzom nie wpadło do głowy unieść tyłek i żeby przywykli do strzałów. Gliniany pagórek na końcu pasa łapał kule.

Bez względu na to, do czego Dżamałudin trenował swoich ludzi, robił to nie po to, by ściągać haracz od sklepikarzy. Sklepikarze płaciliby mu i tak.

Na środku placu widniała wielka zielona deska. Tym razem, dla odmiany, nie umieszczono na niej cytatu z Koranu. Napis głosił: „Kto myśli o konsekwencjach, nie jest mężczyzną. Imam Szamil”.

„Ośrodek wypoczynkowy FSB, niech to szlag!” – pomyślał Kirył i poszedł spać.

—

1. Sobrowcy – członkowie specjalnych oddziałów szybkiego reagowania. [\[wróć\]](#)
2. Gaisznik – milicjant drogówki. [\[wróć\]](#)
3. MMM – rosyjskie przedsiębiorstwo, które tworząc piramidę finansową i obiecując zyski sięgające tysiąca procent, oszukało w latach dziewięćdziesiątych miliony drobnych inwestorów. [\[wróć\]](#)
4. Haram (z arab. dosł.: to, co zakazane) – w [islamie](#) określenie wszystkiego, co jest zakazane (przeciwieństwo [halal](#) – tego, co nakazane); może to dotyczyć zarówno miejsc, jak i czynków. [\[wróć\]](#)
5. Tiepłuszka – ogrzewany wagon towarowy przystosowany do przewozu ludzi. [\[wróć\]](#)
6. Salat (namaz) – [muzułmańska](#) rytualna modlitwa, będąca jednym z pięciu obowiązków każdego muzułmanina (tzw. [filarów wiary](#)). Odmawia się ją pięciokrotnie w ciągu doby, tj. przed wschodem słońca ([Fadžr](#)), w południe ([Zuhr](#)), po południu ([Asr](#)), po zachodzie słońca ([Maghrib](#)) i w pierwszej połowie nocy ([Isza](#)). Salat odmawia się, aby otrzymać błogosławieństwo [Allaha](#) (sawab). [\[wróć\]](#)



## ROZDZIAŁ 3

*W którym syn prezydenta republiki osobiście rozprawia się z własnym kilerem, a Dżamałudin Kemirow gra ostatnią partię w pokera w ostatnim kasynie miasta Besztoj oraz w którym czytelnik jest obecny na sądzie szariatu z powodu kradzieży helikoptera wojskowego.*

**G**dy Kirył obudził się rano w drewnianym domku, słońce przenikało przez firanki i tańczyło na szerokim łóżku. Ośrodek nadal był pusty, na ścieżce przed domkiem nudził się czarny opancerzony mercedes, a przy nim wczorajsza trójka. Dwumetrowy kierowca nazywał się Taszow, a bliźniacy z automatami nosili najbardziej zdumiewające imiona, jakie Kiryłowi zdarzyło się słyszeć. Z początku myślał, że to przezwiska, potem okazało się, że jednak imiona. Jeden nazywał się Abrek <sup>1</sup>, a drugi Szahid <sup>2</sup>.

Abrek i Szahid oznajmili, że mer miasta Besztoj, Zaur Kemirow, czeka na niego w swoim gabinecie. Kirył Władimirowicz może tam przybyć w dogodnej dla siebie chwili.

Kirył zjadł śniadanie przy wielkim stole, który pomieściłby setkę ludzi, wsiadł do samochodu i pojechał do merostwa.

Besztoj, jedno z najstarszych miast Awarii Północnej, został zbudowany za czasów kalifa Al-Mansura. Wtedy to, w 754 roku, namiestnik Jazid as-Sulami przesiedlił około dwóch tysięcy Arabów do twierdzy, którą wznosił na starożytnym szlaku handlowym wiodącym od Morza Kaspijskiego do Gruzji.

Mongołowie zburzyli Derbent, ale do Besztoju nie doszli. Ich konie przeraziły się pionowych skał biegnących w niebo i dzięki temu mieszkańcy Besztoju zachowali wolność. Na początku XVIII wieku miejscowa ludność stanęła po stronie Hadzi-Dawuda, który ogłosił dżihad przeciwko Persom, i wtedy na tamtejszych ziemiach po raz pierwszy pojawili się Rosjanie. Piotr I przybył do Przełęczы Kurszyńskiej, oznajmiając, że idzie z pomocą swojemu przyjacielowi, szachowi irańskiemu Husajnowi.

Na początku XIX wieku Besztoj stał się jednym z głównych ośrodków

handlowych w nadkaspjskich górach. Irańscy i ormiańscy kupcy przyjeżdżali tu wymieniać się towarami, dzicy górale schodzili ze szczytów, żeby nabyć potrzebne im rzeczy od rosyjskich kupców. Każdy naród w mieście miał swoją wspólnotę i swoje obyczaje.

Besztoj był też jednym z głównych ośrodków religijnych. W jego medresie uczono tak czystego języka arabskiego, jakiego próżno by szukać nawet w Egipcie. Właśnie z takich medres *ghazi* nieśli islam do pogańskich wiosek i gór.

Później Besztoj znalazł się pod władzą imama Szamila. Z ulic zniknęły kobiety w kapeluszach i sukniach o europejskim kroju, zamknięto jedyny teatr, zamilkła muzyka. W mieście osiedliło się wówczas wielu zbiegłych żołnierzy rosyjskich, wytwarzających broń i proch dla Szamila. Pewnego dnia imam wezwał ich do siebie i rzekł:

– Niedobrze, że żyjecie bez Boga. Nie zmuszę was, byście przyjęli islam, ale powinniście znaleźć sobie popa i zbudować cerkiew.

I tak w Besztoju powstała pierwsza rosyjska cerkiew. Później bolszewicy urządzili w niej więzienie.

Po upadku imamat w Besztoju ulokował się garnizon rosyjski. Na zboczu Jałyk-tau zbudowano twierdzę Śmiałą. W jej cieniu miasto znowu ożyło i wyrosło. Pod koniec XIX wieku w Besztoju mieszkali Ormianie i Grecy, Awarowie i Kumycy, Czeczeni i Gruzini, Żydzi i Syryjczycy, Kurdowie i Kozacy. Besztoj przemienił się w jeden wielki wschodni bazar, każdy dom był sklepem, każde podwórko kramem, a ulice ciągnęły się jak wielkie pasaż handlowe. Na jednej sprzedawano suszone morele, rodzynki i wędzone ocukrzane owoce, na drugiej – siodła i uzdy oraz wszystko, czego może potrzebować dzygit, czyli jeździec kaukaski, a na trzeciej – wspaniałe kindżały inkrustowane złotem i srebrem, źródło radości bogaczy i przyjezdnych dziejopisarzy. Na czwartej mieścił się skromny, nieduży sklep, w którym można było, jeśli przyszło się z polecenia, kupić długi kindżał w skórzanej pochwie. Kindżał był może mało reprezentacyjny, ale za to nie brzęczał podczas marszu, a spocona ręka nie ześlizgiwała się z rękojeści, gdy przyszło wyciągnąć go w trakcie walki.

Ale tym, z czego Besztoj słynął najbardziej, były konie. Istniała nawet

szczególna besztojska rasa tych zwierząt: niewysokie, wytrzymałe, z głową przypominającą dziób – nie arabski rumak i nie angielski folblut, lecz potężny dziplazik, przystosowany do poruszania się wśród skał i gór.

Bolszewicy oszczędzili połowę kupców, za to rozstrzelali wszystkie konie. W besztojskiej Czece istniał specjalny plan rozstrzelania koni jako elementu klasowo obcego.

Czekiści otaczali wsie i nakazywali, by górale wyjechali z nich na koniach. Potem do koni podchodził weterynarz i oznajmiał, że chorują na dżumę. Następnie konie rozstrzeliwano, a górali z siodłami wypuszczano. W nocy górale wracali i wygradzali to miejsce, tworząc koński cmentarz. Rozumieli, że lepiej, by rozstrzeliwano konie niż ich samych z rodzinami.

Bolszewicy z kolei uważali, że góral bez konia to już nie góral, lecz nowy element klasowy, dostosowany do tworzonego systemu równouprawnienia. Wiedzieli, co robią: komunizm w Besztoju wprowadzał były oficer „Dzikiej dywizji”, zajadły muzułmanin i wróg kozaków, dowódca 1. Czerwonej Dywizji Szariackiej, Amirchan Kemirow.

Rejon besztojski powstał w 1922 roku. Było w nim tyle samo wsi czeczeńskich, co awarskich, jednak, podobnie jak sąsiedni rejon chaliński, znalazł się w granicach Czeczenii. Ale w 1944 roku Czeczenów wysiedlono, a miesiąc później towarzysz Stalin wezwał do siebie pierwszego sekretarza KC Partii Komunistycznej Republiki Awarii Północnej – Dargo i rzekł: „Tak się tu zastanawialiśmy i doszliśmy do wniosku, żeby wysiedlić także Awarów. Co o tym myślicie?”. Sekretarz odparł po namyśle: „Ręczę głową, że nikt z mojego narodu nie wystąpi przeciwko Rosji. Jak będzie trzeba, wszyscy nasi mężczyźni zaciągną się do armii na ochotnika”.

Awarowie bardzo się wystraszyli, że ich wysiedlą, i zaczęli wstępować do wojska.

W rzeczywistości towarzysz Stalin wcale nie miał zamiaru wysiedlać Awarów. Z dwóch sąsiadujących ze sobą narodów zawsze wysiedlał tylko jeden. Bałkarów wysiedlił, Kabardyjczyków zostawił, Inguszy wysiedlił, Osetyjczyków zostawił, Czeczenów wysiedlił, Awarów zostawił. I zawsze ziemie wysiedlonego narodu oddawał temu, który pozostał.

Tak oto rejon besztojski, podobnie jak i sąsiedni chaliński, stał się częścią Awarskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

W latach siedemdziesiątych w Besztoju zbudowano bazę wojskową i dwie fabryki: jedna produkowała elementy rakiet balistycznych, a druga urządzenia dla przemysłu naftowo-gazowego. Ta pierwsza wyzionęła ducha w połowie lat dziewięćdziesiątych, druga ocalała dzięki Zaurowi Kemirowowi. Była i trzecia, produkująca rury wodociągowe. Ona też padła. W jej warsztatach produkowano później systemy naprowadzania pocisków raketowych. W czasie pierwszej wojny czeczeńskiej istniało na nie ogromne zapotrzebowanie. Dzięki nim niekierowany pocisk raketowy, przeznaczony do wystrzelenia z helikoptera, można było odpalić z dowolnego miejsca.

Wraz z fabrykami w Besztoju pojawiła się ogromna liczba Rosjan. W połowie lat dziewięćdziesiątych zostali oni bez pracy i jako pierwsi zaczęli wyjeżdżać z miasta. Im mniej było w Besztoju pracy wymagającej wysokich kwalifikacji, tym tłumniej wyjeżdżali Rosjanie. Im tłumniej wyjeżdżali, tym mniej było w mieście pracy. Poza tym Rosjanie byli najbardziej gnębioną społecznością – to ich się oszukiwało, dokonując transakcji, płacenie im uważano za głupotę.

A potem w Besztoju wybrano na mera ciotecznego wnuka czerwonego zwolennika szariaty Amirchana.

Nad Besztojem znów zaświeciło słońce, różnica temperatur między dniem a nocą była niemal tak duża jak między latem a zimą. Ulicami popłynęły strumyczki, z dachów nie tyle kapła, ile raczej ciekła woda.

Ku zdumieniu Kiryła miasto nie wyglądało na zaniedbane. Oczywiście w porównaniu z jakimś tam Düsseldorfem awarski Besztoj był straszną dziurą, jednak w stosunku do miast rosyjskich epoki skończonej pierestrojki Besztoj prezentował się bardzo przyzwoicie.

Przedmieścia przeistoczyły się w nieskończone szeregi magazynów i składów. Wzrok Kiryła przyciągały cielska ciężarówek widoczne w szeroko otwartych bramach. Za magazynami ciągnęły się domy, otulone *hidżabami* <sup>3</sup> płotów, szerokie bulwary w centrum były starannie zamiecione, sterty żółtych liści wystawały spod

śniegu zalegającego pod ścianami kina przekształconego w meczet. Wokół meczetu znajdowały się, wbudowane bezpośrednio w otaczający go mur, sklepiki i maleńka kawiarnia, za meczetem zaś sterczał wielki drogowskaz – strzałka na prawo wskazywała giełdę samochodową, strzałka w lewo giełdę elektroniczną, a strzałka skierowana na wprost była opatrzona napisem: „rynek Wolny”.

Kirył, zaintrygowany tym ostatnim, kazał pojechać prosto.

Rynek Wolny zaczynał się za placem Wolności i na lewo od merostwa i zajmował cały teren dawnego stadionu piłkarskiego. Połowa rynku mieściła się w kramach, a druga połowa pod wielkim dachem nowego pawilonu. W głębi Kirył spostrzegł powstający budynek supermarketu.

Ludzie płynęli nieprzerwanym strumieniem,. Między rzędami klientów, trąbiąc przeraźliwie, przeciskały się małe ciężarówki. Gdy moskiewski kontroler, któremu towarzyszył Taszow, zatrzymał się w bramie bezkresnego rynku samochodowego, od grupki rozmawiających ze sobą czarnowłosych mężczyzn natychmiast odłączył się niewysoki człowiek. Podeszedłszy do Kiryła, zapytał go, jakiego samochodu szuka, kradzionego czy „czystego”.

– A co za różnica? – zainteresował się Kirył.

Okazało się, że kradziony wóz jest dwa razy tańszy. Ta uczciwość sprzedawców zaskoczyła Wodrowa. Dopiero później powiedziano mu, że sądowe „oczyszczenie” kradzionych wozów było jedną ze specjalności tutejszych gliniarzy, z którą mogło się równać tylko pozyskiwanie ropy z ropociągu. Pewien milicjant tak się wzbogacił na tym „oczyszczaniu”, że nawet kupił sobie stanowisko głównego komornika.

Na bazarze tekstylnym Kirył wstąpił do kramu z męską galanterią i ze zdumieniem spostrzegł niewielką, ale starannie dobraną kolekcję znanych marek, dwukrotnie tańszych od ich moskiewskich odpowiedników. To od razu rozwiązało pewien problem Kiryła – we wczorajszej koszuli czuł się ohydnie.

Gdy robił zakupy, nadszedł czas salatu i Taszow po cichu spytał sprzedawczynię, czy nie znalazłoby się w sklepiku jakieś ustronne miejsce.

Dziewczyna drgnęła, słysząc głos Taszowa, i odwróciła się do niego. Miała niezwykle bladą jak na góralkę twarz, ze wznoszącymi się w górę łukami brwi i czarnymi oczami. Starannie zawiązana pod brodą chustka sprawiała, że jej buzia

wydawała się okrągła, i zupełnie zakrywała włosy. Mimo workowatego stroju dziewczyna sprawiała wrażenie cienkiej jak sznur czarnych pereł.

Wyglądała dokładnie tak jak matka Taszowa na jedynym zdjęciu, jakie mu pozostało, zrobionym przed trzydziestoma laty, gdy sfotografowano ją z ojcem.

Taszow zamarł, a dziewczyna spłonęła rumieńcem i powiedziała:

– Pokażę panu.

Chwilę później Taszow znalazł się w składziku, gdzie wisiały nierozpakowane jeszcze kolekcje ubrań. Była tu również stara wanna, przy nieczynnym kranie stał dzbanek z wodą. Taszow umył ręce i nogi, przygładził dłonią włosy i wszedł dalej.

I tu osłupiał po raz drugi. Cała tylna ściana magazynu, której wcześniej nie widział, była zaklejona jego własnymi zdjęciami. Na jednym z nich stał w białym kimonie z wielkim połączonym pucharem w ręku. Na drugim był razem z prezydentem Asłanowem na jakiejś uroczystości. Taszowa poproszono wtedy, żeby przypiął wszystkie swoje medale – szczerze mówiąc, wyglądał w nich jak buldog na wystawie.

Taszow przypomniał sobie spojrzenie, jakie rzuciła mu dziewczyna w czarnej chustce, i nagle ścisnęło go poniżej tego miejsca, gdzie raniono go miesiąc temu, a raniono go nieco ponad sercem.

Tym razem salat mu nie wyszedł – w czasie modlitwy nie należy myśleć o rzeczach pobocznych.

Kirył przyjechał do merostwa koło południa. Mer Besztoju Zaur Kemirow wręczył gościowi wszystkie dokumenty, których ten zażądał, i oddał do dyspozycji niewielki gabinet na pierwszym piętrze.

Dwie godziny później Kirył wyszedł na korytarz, znalazł pomieszczenie z literą „M” i wszedł do środka. Miał nadzieję, że nie będzie tam bardzo brudno.

Pomieszczenie lśniło czystością. Podzielono je na dwie części: w jednej była drewniana podłoga, w drugiej przykryte dywanem podwyższenie. W drewnianą podłogę wmontowano z boku coś w rodzaju prysznic, stał tu miedziany dzbanek.

Kirył wyszedł na zewnątrz, przyjrzał się uważnie przyległym pokojom z literami „M” i „K” i znalazł pod nimi jeszcze jeden napis: „Pokój modlitewny”. Gdy się

obejrzał, spostrzegł, że stoi za nim niewyobrażalnie stary mężczyzna w papasze i przygląda mu się bacznie. Kirył poczerwieniał jak burak i pospieszył do gabinetu.

Była już trzecia, gdy Kiryła odwiedził w merostwie naczelnik milicji miasta Besztoj. Wodrow chciał go zapytać, jak posuwa się śledztwo w sprawie podpalenia kasyna.

Naczelnikiem milicji był Szapi, mężczyzna, z którym poznał go wczoraj Dżamałudin.

Szapi, wesoły, pulchny, ze swoją żółtawosmagłą twarzą, pokrytą siateczką zmarszczek, przypominał dynię. Nie wszedł, lecz wpadł do gabinetu. Głośno przywitał się z Kiryłem, wydostał się z kurtki niczym niedźwiedź ze skóry, klapnął naprzeciw moskwianina w fotel i od razu zerknął na opatrzoną inicjałami papierośnicę, leżącą na rozłożonych na stole papierach.

– Mój drogi... – zaczął Szapi.

– Tak?

– Może byś schował? Stare nałogi...

Po czym roześmiał się i dodał:

– Jedźmy na obiad.

Kirył spodziewał się, że zjedzą na mieście, ale się pomylił. Po czterdziestu minutach jazdy zasypnymi śniegiem serpentynami czarny, tym razem nieopancerzony džip przywiózł ich do twierdzy Śmiałej, położonej na wysokości dwóch tysięcy metrów na zboczu Jałyk-tau. Twierdza od dawna nie była wykorzystywana do celów wojskowych, ale jej mury zachowały się w dobrym stanie. Za czasów władzy radzieckiej było tu sanatorium KC.

Ponad murami biegł drut kolczasty. Brama znajdująca się tuż obok nowoczesnego posterunku odsunęła się, jak tylko ochrona poznała wóz naczelnika milicji.

Szapi przejechał po odśnieżonym asfalcie do kamiennego budynku przylegającego do bramy, może aresztu, a może magazynu, wyszedł z samochodu i zaprowadził Kiryła na mur. Wodrow spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie – czy to od widoku, który się przed nim rozciągał, czy to od niedoboru tlenu.

Na niebieskim niebie nie było żadnej chmurki, rozpalona korona słońca wisiała nad Jałyk-tau, fałdy śniegu spoczywały na szczycie niczym płaszczy gronostajowy, wyszywany drogocennymi kamieniami. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było pooblamywane szczyty górskie, z białymi zboczami i rudymi, pionowymi skałami. Tylko w oddali po lewej stronie otwierał się widok na część Besztoju, domki i meczety wielkości pudełek od zapalek.

Mur, po którym szli, miał szerokość półtora metra. Jego podstawa tonęła w kolczastych krzewach i zaspach. Pół metra od Kiryła przez otwór strzelniczy wyglądała armata, przypominająca krokodyla na kółkach. Strzelać już nie mogła, ale nadal patrzyła na domy Besztoju.

Przez jakiś czas mur biegł szczytem góry, a w miejscu, gdzie stykał się ze starą cytadelą, spadał w przepaść. Kirył spojrział w górę i zauważył, że stare ściany cytadeli nadbudowano świeżymi ceglami. Cicho buczała klimatyzacja, na drugim piętrze były wstawione plastikowe okna.

Skręcili w prawo i przemierzywszy krytą galerię nad dobudowanym skrzydłem, zeszli do głównego wejścia.

W latach trzydziestych zniszczoną podczas szturmów cytadelę przebudowano, nadając jej cechy stalinowskiej odmiany stylu empire. Przed biało-żółtym kolumnowym portykiem widniały klomby, ze śniegu wystawały suche łodygi. Skrzydło było jedno, po lewej. Szerokie okna kontrastowały z pustymi powierzchniami ścian głównego gmachu. Drugiego skrzydła nie dało się dobudować, tam ziała przepaść.

Czerwone dywaniki pamiętały chyba epokę Breżniewa. W holu wisiały portrety członków KC i podobizna czarnobrodego junaka w czerkiesce z chabrowymi pagonami i nagantem z czasów wojny ojczyźnianej. Z oszklonego ogrodu zimowego, położonego za jadalnią, otwierał się wspaniały widok na góry, które, zgniecione i ciśnięte w dół czyjąś gniewną ręką, wiecznie wyciągają połamane palce w stronę rozpalonego słońca.

Kirył, preferujący kuchnię włoską i japońską, na widok kryształowych karafek i czarnego kawioru zrozumiał, że menu w tym hotelu ułożono w tej samej epoce, co czerwone dywany na podłogach. Stół zastawiono tak, jakby chciano nakarmić do



syta dziesięciu generałów. Kirył obawiał się, że zaczną go poić alkoholem, lecz ku jego zdumieniu Szapi sam nie pił i Kiryłowi nie proponował. Zamiast wódki na stole stała gazowana lemoniada z naklejką „Produkcja: Kemir”, i woda mineralna z etykietką zawierającą tę samą informację.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Szapi – że Zaur Ahmedowicz nie jest z nami. Ma dzisiaj dużo pracy, pojechał do Czeczenii, zawiózł pewnego Awara.

– Po co?

– Awar zabił Czeczena, nożem w serce.

Szapi odchylił się na oparcie fotela, dojadł kawałek mięsa i dorzucił:

– Czeczen chciał go ograbić, na oczach całego targowiska wyjął pistolet, a nasz w niego nożem.

– No i co? – zaciekawiał się Kirył.

– Czeczeni sami machnęli ręką, że niby znają go i wiedzą, jaki jest. Ale zwyczaj to zwyczaj, dlatego Zaur zawiózł go na łańcuchu. Takie mają prawo, że gdy śmiertelnego wroga krwi stawiają przed sądem, prowadzą go na łańcuchu i ten łańcuch oddają ojcu zabitego.

Kirył po raz pierwszy słyszał, żeby do obowiązków mera rosyjskiego miasta należało przewożenie wyborców na łańcuchu.

– I co teraz będzie? – zapytał, zamierając. – Czy oni go... zabiją?

– Ułaskawią – rzekł Szapi z przekonaniem. – W zeszłym roku wozili tak jednego i tamta rodzina go usynowiła. Co tydzień do nich jeździ.

Po chwili milczenia Kirył zapytał:

– A jak posuwa się śledztwo w sprawie podpalenia kasyna?

– A jak ma się posuwać? – zdumiał się Szapi. – Drugi miesiąc u mnie kilerzy siedzą, ten głupek Idris dał na mnie zlecenie.

– I są dowody, że to on?

– Przecież to jego kuzyni – powiedział Szapi.

– I to już wszystkie dowody?

– Waria! – zawołał naczelnik milicji Besztoju. – Warieńka! Przynieś nam herbaty i konfitur... A co, na butelkę mam ich wsadzić, jak Gamzat?

– Jaką butelkę? – spytał oszołomiony Kirył.

– Z szampanem. To znaczy, bez szampana. No, po szampanie.

I naczelnik milicji zarysował rękami kształt butelki, którą syn prezydenta wykorzystywał do rozmów z podejrzanymi. Kirył omal nie udławił się plackiem, a Szapi ziewnął, wrzucił do ust garść orzechów i powiedział:

– A, do licha z tym. Zabiję ich.

Gdy wyszli z hotelu, była piąta po południu

Dwa szczyty Jałyk-tau przypominały dłoń złożoną w łódkę, w tej oslepiająco białej dłoni pluskało się niebieskie niebo. Kamienne grzbiety rozbiegały się na wszystkie strony, rozjeżdżały jak nogi rocznego źrebaka. Gdzieś w dole, u podnóża góry, obok lotniska wojskowego helikopter bezgłośnie miał łopatami powietrze.

Kirył patrzył na bezkresne góry i nie mógł pojąć, dlaczego ludzie tak lubią zabijać się nawzajem w regionie, w którym, aby pojąć prawdziwe miejsce człowieka na ziemi, nie trzeba lecieć w kosmos czy studiować Platona – wystarczy wejść na pobliskie zbocze góry i spojrzeć w dół.

Już wsiadali do samochodu, gdy naczelnik milicji naciągnął czarną wełnianą czapkę, wrzucił do schowka pistolet i powiedział:

– Dziki naród ci Czeczeni. Widzicie ich, na łańcuchu trzeba go przyprowadzić. Widziałeś w jakiejś awarskiej wsi, żeby wroga prowadzili na łańcuchu?

Dopiero potem Kiryłowi powiedziano, że junak w czerkiesce i z pagonami NKWD, którego portret wisiał w holu, nazywał się Amirchan Kemirow. W 1919 roku 1. Czerwona Dywizja Szariacka Kemirowa zajęła twierdzę Śmiałą, ostatnią ostoję kozaków Denikina, a Amirchan kazał wyciąć w pień wszystkie sąsiednie kozackie wsie.

W 1923 roku Amirchana Kemirowa ściągnięto do Moskwy i tam przez jakiś czas zdumiewał swoich partyjnych towarzyszy, rozkładając w czasie posiedzeń Sownarkomu <sup>4</sup> dywanik przed salatem. W 1927 roku, po tym, jak trzech najbliższych przyjaciół Amirchana stało się abrekami, samego Amirchana aresztowano, skazano i rozstrzelano w ciągu tygodnia.

Nazajutrz po wyjeździe Wodrowa do Besztoju szef komitetu nadzwyczajnego Fiodor Komissarow wezwał do gabinetu człowieka, który nazywał się Saparczi

Tiełajew.

Saparczi pochodził ze znanej rodziny. Jego najstarszym bratem był ów Hadzi, który okradł wesele. Średni brat wsławił się tym, że gdy naczelnik aresztu wyzwiał go od najgorszych, wyciągnął nóż samoróbkę i wsadził ją naczelnikowi w brzuch.

Saparczi po raz pierwszy wylądował w więzieniu w wieku trzynastu lat. To znaczy, nic nie zapowiadało, że tego właśnie dnia trafi do więzienia. Po prostu wracał z treningu i tak się złożyło, że na placu spotkał dwóch dorosłych mężczyzn, którzy obrzucili go wyzwiskami. Gdyby byli w jego wieku, Saparczi potraktowałby ich pięściami. Ale ponieważ miał trzynaście lat, wiedział, że jest bez szans przeciwko dwóm dorosłym.

Dlatego poszedł do domu i wrócił kwadrans później, ze strzelbą myśliwską w rękę. Mężczyźni siedzieli w tym samym miejscu i pili. Saparczi wycelował i trafił jednego w brzuch. Drugi, który rzucił się do ucieczki, dostał w ramię.

Rodzinne wpływy i smykałka do interesów, jaką przejawiał sam Saparczi, sprawiły, że szanowano go już na początku pierestrojki. Jednak prawdziwą estymę wzbudził w pierwszych tygodniach dziewięćdziesiątego czwartego roku, gdy wziął udział w operacji zwanej „Fałszywe Awizo”.

Tak właściwie awizami zajmował się nie Saparczi, lecz jego czeczeńscy partnerzy. To oni zakładali lipne firmy i podrabiali kwity, a potem przekonywali kasjerki, by na podstawie fałszywych dokumentów wypłacały miliony dolarów. Tiełajew nie odgrywał w całej operacji znaczącej roli: miał jedynie wypłacić siedemdziesiąt milionów dolarów z kont w Torbikale i zawieźć całą kwotę do Groznego. I rzeczywiście, podjął pieniądze, ale Czeczeni nigdy ich nie dostali. Ten incydent doprowadził do poważnego konfliktu między Saparczim a Czeczenami.

Minęło już pięć lat, odkąd Saparczi Tiełajew został całkowicie sparaliżowany poniżej pasa. Po czterech godzinach dziennie spędzanych w sali gimnastycznej górna połowa jego ciała wyglądała jak ulepszony model Terminatora. W podłokietniki swojego wózka inwalidzkiego kazał wmontować schowki na broń i bardzo był dumny z tego, że dostał się z tym wózkiem do Ameryki. Głupi amerykańscy celnicy nie podejrzewali nawet, że kaleka na wózku przewozi cały arsenał, chociaż żeby się o tym dowiedzieć, wystarczyło zasięgnąć języka

u dowolnego taksjarza w Torbikale.

Ale czego chcieć od amerykańskich pograniczników, ludzi niezbyt rozgarniętych i pozbawionych jakichkolwiek zainteresowań, którzy nauczyli się, jak papugi, kilku linijek z Karty Praw i nawet nie potrafią wskazać na globusie Torbikały?

W chwili, gdy toczy się nasza opowieść, Saparczi stał na czele firmy Awartransfłot. Stał na jej czele przez ostatnie dziesięć lat z krótką przerwą, gdy jego miejsce zajął człowiek o imieniu Hizri. Ponieważ Hizriego Bejbułatowa wysadzono w powietrze trzy miesiące temu razem z pełnomocnym przedstawicielem prezydenta Rosji Pankowem, Saparczi znów został szefem Awartransfłotu.

I tego właśnie człowieka wezwał do siebie szef komitetu nadzwyczajnego Fiodor Komissarow. Komissarow powitał Saparczkiego na progu gabinetu. Długo ścisnął mu dłoń, a potem wskazał gościowi niski stoliczek, ustawiony przy wejściu do pokoju wypoczynkowego. Jeden z foteli był odsunięty, żeby Saparczi mógł podjechać tam swoim wózkiem.

Komissarow zwykle prowadził przy tym stoliku długie, serdeczne rozmowy. Jako doświadczony urzędnik już dawno zauważył, że człowiek siedzący przy oficjalnym stole jest czujny i spięty, jeśli jednak podaje mu się herbatę w głębokim fotelu przy niskim stoliczku, odpręża się i uspokaja.

W przypadku Saparczkiego ta zasada się nie sprawdziła. Tielajew wolał siedzieć przy stole, zza którego widać było tylko jego umięśniony tors i potężne bicepsy – niski stół bezlitośnie eksponował wysokie koła wózka inwalidzkiego i kraciasty koc na chudych kolanach.

Mimo to Saparczi podjechał do stolika, Komissarow zaś usiadł ciężko naprzeciwko niego.

– Szanowny Saparczi Ahmedowiczu – zaczął Fiodor Aleksandrowicz – jak pan wie, mój komitet prowadzi śledztwo w sprawie śmierci pełnomocnego przedstawiciela prezydenta Federacji Rosyjskiej Władysława Pankowa oraz szefa Awartransfłotu Hizriego Bejbułatowa. Pojawiły się przypuszczenia, że zamach zorganizowano, by mógł pan odzyskać Awartransfłot.

Saparczi nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. To prawda, że oddałby każde pieniądze, żeby pozbyć się Hizriego Bejbułatowa, ale tak się złożyło, że ktoś go

w tym wyręczył.

Eksplozja była najprawdziwszym zamachem terrorystycznym, i wszyscy o tym wiedzieli. Mało tego, nazwiska zabójców były powszechnie znane! Gdy przedstawiciela FR wyrzuciło z samochodu i konał na poboczu, podeszło do niego trzech mężczyzn i wsadziło mu po kolei kulkę w łeb. Całą scenę nagrano, a żeby nikt już nie miał żadnych wątpliwości, zabójcy zdjęli maski. W efekcie powstał film reklamowy bojowników, który ludzie przesyłali sobie później z telefonu na telefon.

– Pod samochodem przedstawiciela eksplodował FAB-250 – przypomniał Komissarowowi Saparczi. – Były cztery tego rodzaju eksplozje i śledczym doskonale wiadomo, że wszystkie te bomby podłożyli ludzie Arsajewa.

– Owszem – przyznał Rosjanin. – Ale to właśnie pan uprzedził Arsajewa o czasie i trasie przejazdu samochodu. Mamy zeznania.

Saparczi Tielajew nie miał pojęcia, czy Komissarow faktycznie ma te zeznania, wiedział za to, że jeśli zechce, na pewno je zdobędzie. Aby sfabrykować zeznania, wystarczyło złapać na bazarze dowolnego człowieka i zawieźć go do bazy lotniczej w Besztoju. Trzymano tam specjalne psy z wyrwanymi zębami, przeznaczone do tego, żeby gryźć mężczyzn w różne drogie im części ciała. Gdyby Fiodora Komissarowa zawieziono do bazy i potrzymano tam ze dwa dni, naskładałby zeznań na cztery dożywocia.

– Ile? – zapytał krótko Saparczi.

– Milion – odparł Komissarow. – W końcu to pełnomocny przedstawiciel.

– Milion to by kosztowało, gdybym go tknął chociaż palcem – sprzeciwił się Saparczi. – Trzysta tysięcy.

– Siedemset. Kontaktował się pan z Wahą Arsajewem. Mamy dowód, że podarował mu pan opancerzonego mercedesa.

W końcu stanęło na pięciuset.

Saparczi Tielajew bardzo nie lubił wahabitów<sup>5</sup>. Pozostawał z nimi w stanie nieprzejednanej wrogości od czasów, gdy nie był jeszcze biznesmenem, lecz „autorytetem”. A uważano go za autorytet od bardzo dawna. Już w dziewięćdziesiątym czwartym, gdy Dżamałudina nie było jeszcze w Besztoju,

pomagał rozwiązywać problemy Zaura. Na tej podstawie lubił powtarzać, że jest „opiekunem” Zaura, choć zawsze bardzo uważał, by nie dotarło to do samego zainteresowanego.

W roku 2000 na przedmieściach Besztoju istniał punkt skupu złomu, do którego znoszono wszystko, co tylko służby federalne zostawiły w górach Czeczenii, a zostawiały dużo złomu. Ten punkt znajdował się pod „opieką” Saparczego.

Pewnego dnia, gdy siostrzeniec Saparczego siedział w skupie i przyjmował złom, do bramy podjechał samochód ciężarowy. Z kabiny ciężarówki, w której leżały pozostałości helikoptera, wyskoczył Waha Arsajew. Waha nie był wtedy jeszcze tak sławny jak później, ale już uważany był za emira rejonu besztojskiego i poszukiwany przez federalistów.

Waha przywitał się z siostrzeńcem Saparczego, który nazywał się Dżamal, i zaproponował, żeby ten kupił od niego złom. Dżamal zajrzał do ciężarówki i poczuł, że coś tu nie gra. Ten helikopter był w zbyt dobrym stanie, zwykle przywożono je w workach.

– Skąd ten wrak? – spytał Dżamal.

Waha zaśmiał się i stwierdził, że to nie jest sprawa Dżamala. Z jego odpowiedzi Dżamal wywnioskował, że helikopter dokonał awaryjnego lądowania. Ponieważ nie miał ochoty ścinać się z Arsajewem, zapłacił mu, ale na wszelki wypadek zapisał numery samochodu.

Dwie godziny po tym, jak oddalił się Waha, do bramy podjechało dwóch tajniaków. Szukali spisanego helikoptera, który w nocy ktoś pociął na części i sprzedał. Jak się okazało, był to ten sam helikopter, który wahabici wcisnęli Dżamalowi. Przybyli rozpoznali śmigłowiec i zażądali od Dżamala informacji o sprzedawcy. By się ich pozbyć, Dżamal dał im numery ciężarówki.

Tajniacy pojechali z powrotem do bazy, po drodze jednak skręcili na rynek. I tak się akurat złożyło, że zobaczyli, jak przed kawiarnią naprzeciw rynku zatrzymuje się poszukiwana ciężarówka. Wyszli z niej trzech mężczyzn i skierowali się do kawiarni.

Tajniacy bardzo się ucieszyli i też weszli do zatłoczonej knajpki. Trzech mężczyzn właśnie usiedli przy stoliku najbliżej wyjścia. Widać było, że cieszą się

tu sporym szacunkiem.

Starszy z tajniaków, porucznik Gawrilenkow, podszedł do nich i zwrócił się do starszego z przybyłych:

– To twoja ciężarówka?

– Moja – odparł Waha Arsajew, po czym wstał i wsadził w Gawrilenkova dwie kule z bardzo bliskiej odległości.

Ten incydent wywołał sporo szumu. Ciągali Dżamala, ciągali właściciela kawiarni i wszystkich gości (którzy nic nie pamiętali i nikogo nie poznawali). Cztery dni później gazeta „Wiadomości Penzy” napisała, że mieszkaniec ich miasta, porucznik Gawrilenkow, oddał życie, zatrzymując ciężarówkę wyładowaną toną trotylu, i uratował od eksplozji besztojski rynek. Na podstawie wiadomości zamieszczonych w tym artykule nadano Gawrilenkowowi tytuł Bohatera Rosji.

Potem wszystko ucichło, minął miesiąc, drugi i pewnego dnia przekazano Saparczemu, że szuka go emir rejonu besztojskiego Rasuł.

– Co to za emir Rasuł? – zapytał ze zdziwieniem Saparczy.

– Przedtem nazywał się Waha Arsajew.

Wahę Saparczy znał bardzo dobrze. Kiedyś Arsajew pracował w brygadzie żulików znajdującej się pod „opieką” Saparczego.

Następnego dnia Saparczy spotkał się z Wahą i ten oznajmił:

– Twój krewniak złamał zasady. Płacisz milion za to, że sprzedał mendom ludzi, którzy przywieźli mu towar.

Saparczy zdumiał się:

– Ej, Waha! Jesteś specjalistą od zasad czy od Allaha? Skoro jesteś teraz emirem, i to Rasułem, powinieneś myśleć o Allahu, nie o kasie!

Wtedy waha uśmiechnął się i rzekł:

– Twój krewniak sprzedał bojowników za wiarę, wydał ich kafirom i za to płacisz karę w wysokości miliona dolarów.

Saparczy uświadomił sobie, że tak czy inaczej ponosi winę, ale ponieważ szkoda mu było pieniędzy, przygryzł wargę i rzucił:

– Pogadamy o tym jutro przy wjeździe do miasta.

– Co ty się puszysz? – prychnął Waha. – Kogo możesz wystawić? Dwudziestu

narkomanów, którzy wachają klej i nadają się tylko do tego, żeby straszyć handlarki na bazarze? A ja mogę wystawić trzy tysiące młodych chłopaków, którzy nie piją, nie palą i trenują.

Po chwili zastanowienia Saparczi uznał, że emir rejonu besztojskiego ma rację i żeby załagodzić spór z Wahą, podarował mu w ramach odstępnego opancerzonego merca.

Przez jakiś czas Waha jeździł tym mercedesem po republice, aż w końcu spostrzegł, że od pewnego czasu jest celem ostrzału. Strzelali do niego raz, drugi, trzeci. Początkowo myślał, że to federalowie tak intensywnie go namierzają. Ale po trzecim ataku oddał merca na przegląd techniczny i członkowie džamaatu [6](#) wymontowali z niego lokalizator.

Po tym wypadku Waha nie nazywał Saparczego inaczej, jak munafikiem [7](#), fitnaczem [8](#) i synem szajtana [9](#). Tielajewa uratowało tylko to, że wkrótce potem Waha wyciął swój słynny numer ze szpitalem położniczym.

Tak czy inaczej, w efekcie całej tej historii Saparczi Tielajew, szef Awartransfłotu i jeden z ludzi cieszących się największym autorytetem w republice, stał się zagorzałym przeciwnikiem wahabitów. I wrabianie go w zabójstwo Pankowa było najzwyczajniej w świecie nie fair.

Kirył musiał wyjechać z Besztoju następnego ranka – podobno w górach nieopodal wsi Kursze federalowie stoczyli walkę z grupą bojowników i zajęli bunkier z bronią i literaturą wywrotową. Kirył poprosił Szapiego o konwój i pojechał do wsi.

Jak się okazało, tymi federalami była grupa specjalna Południe. Arzo oznajmił Kiryłowi, że walkę prowadzili jego ludzie i że bojownicy się wycofali. Żadnego bunkra również nie było.

W ogóle nie było nic, prócz stratowanej ziemi, wyglądającej jak legowisko dzików, i dwudziestu puszek po konserwach przy wygasłym, ale jeszcze nieprzysypanym śniegiem ognisku. Na polecenie Arza znów rozpalono ogień i przemarzniętego Kiryła nakarmiono taką samą konserwą.

W górach było minus dziesięć i człowiek czuł się tak, jakby wiatr zdmuchiwał



mu mięso z kości.

Arzo trącił Kiryła w ramię i wskazał na lewo, w miejsce, gdzie las przechodził w spiętrzenie skał przypominające szalejący kardiogram.

– Tam poszli – powiedział. – Do jaskiń. Tam są takie jaskinie, że można by nimi dojść do Ameryki.

– Wejdźmy do nich – zaproponował Kirył.

Federałowie Arza i milicjanci Szapiego popatrzyli na siebie, po czym Arzo rzucił Kiryłowi automat:

– Idź. Jak znajdziesz moją rękę, przynieś. Był na niej dobry zegarek, dowódczy. Siódmy rok ubolewam nad jego stratą.

Czeczeni i Awarowie wybuchnęli gromkim śmiechem. Kirył wystraszył się, że z gór zejdzie lawina.

Mer miasta Besztoj Zaur Kemirow prowadził w swoim gabinecie naradę w sprawie opłaty za usługi komunalne, gdy powiedziano mu, że jego brat wrócił do miasta. Zaur nacisnął guzik interkomu i poprosił sekretarkę, by odszukała Dżamałudina.

Czterdzieści minut później Dżamałudin zjawił się w gabinecie Zaura. Zdążył się już umyć i przebrać, nie miał na sobie kamuflażu, lecz czarne, wygodne spodnie i biały sweter. Był starannie ogolony, a jego ciemne oczy lśniły jak u rysia po udanym skoku.

Zaur przyjrzał mu się uważnie, a potem rozsunął zasłony i pokazał spalone kasyno.

– Nie powinieneś być tego robić – rzekł Zaur.

– Hazard jest zabroniony – odparł Dżamałudin. – A ten człowiek w dodatku kłamał i oszukiwał. Proponowałem mu pieniądze, chciałem odkupić jego biznes, a on odmówił. Cóż, stało się tak, jak chciał Allah.

Oczy Zaura nabrały stalowej barwy.

– Nie myl siebie z Allahem – rzekł mer miasta. – Co teraz ludzie powiedzą? Moje kasyno zostało, a konkurencja spłonęła.

– Nic nie powiedzą, jeśli też zamkniesz biznes.

– Już ty mi nie mów, jak mam prowadzić interesy. – Zaur trzasnął drzwiami i wyszedł do pokoju wypoczynkowego.

Wieczorem tego samego dnia czarny mercedes Dżamałudina zatrzymał się przed kasynem należącym do Zaura Kemirowa. O tej porze kasyno, położone na jednej z głównych ulic miasta, stanowiło jedyny punkt z jasną iluminacją w okolicy. Przed kolorowo rozświetlonymi oknami, oparta kołami o cokół, stała biała niwa, która co miesiąc była nagrodą w kasynie. Obok niej widać było utkaną z żarówek sylwetkę kobiety w wieczorowej sukni. Postać trzymała neonowy napis „Powodzenia”. To samo słowo przebiegało wzdłuż i wszerz szyldu.

Przy karcianym stoliku grało w pokera pięć osób: naczelnik sądu rejonowego Szamil Archagow, właściciel jednego z besztojskich targowisk Stanisław Ażajew, naczelnik besztojskiej bazy lotniczej generał Sieliwierstow i dowódca batalionu specjalnego Południe pułkownik Arzo Hadżijew. Piątym w tym towarzystwie był jeszcze jeden Czeczen, Mowsar. W przeszłości był wpływowym dowódcą polowym, a teraz stał na czele wydziału rejonowego Wspólnej Rosji i rejonowej komisji do spraw wypłaty odszkodowań za zniszczone domy.

Odszkodowania wypłacano w kwocie dwudziestu procent sumy, jeśli dom był, pięćdziesięciu – jeśli nie było. Po sześciu miesiącach od uruchomienia wypłat liczba odszkodowań niemal dwukrotnie przewyższała liczbę mieszkańców rejonu przed rozpoczęcia działań bojowych.

Potem jakaś gnida doniosła na Mowsara, Czeczena wyrzucono za złodziejstwo, a na jego miejsce powołano pewnego Rosjanina. Mowsar przyprowadził Rosjanina do jego gabinetu i przykuł kajdankami do kaloryfera. I tak właśnie wypłacali odszkodowania: Mowsar siedział z boku, a Rosjanin podpisywał. Na noc Rosjanina odpinali i zawozili do domu Mowsara.

Krótko mówiąc, przez ten rok Mowsar odłożył więcej niż przez dwa lata handlu dziennikarzami.

Jedynę, czego Mowsarowi brakowało od czasu, gdy z dziennikarstwa przerzucił się na odszkodowania, to adrenaliny. Dlatego regularnie jeździł do Besztoju, będącego głównym regionalnym bazarem Kaukazu Północnego. W Czeczenii

bazarów nie było w ogóle, a w Torbikale były, ale nie wiedzieć czemu droższe, w związku z tym cała Górna Awaria i Czeczenia zaopatrywały się w Besztoju.

A tam, gdzie są bazary, są też restauracje i kasyna.

Wygrywał Mowsar, stos żetonów przed nim przerósł pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Właściciel targowiska marszczył brwi i przygryzał wargi. Arzo również przegrywał, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona. Arzo mógłby przegrać ostatnią rękę bez mrugnięcia powieką.

Mowsarowi znudziła się gra, ale skoro miał przewagę, nie wypadało mu wstać zza stolika jako pierwszemu. Niedbale klasnął w dłonie, przywołując krzątającego się krupiera, i w tym momencie drzwi otworzyły się, a na progu stanął Dżamałudin.

Nadal był w czarnych spodniach i białym swetrze, za pas spodni wsunął makarowa. Za Dżamałudinem weszło dwóch mężczyzn: jasnowłosy tytan Hagen i czarnobrody dżin Taszow.

– *Salam alejkum*, Dżamalu – powiedział Arzo, podnosząc się i obejmując nowo przybyłego. – Czyżbyś grał w karty?

– Właśnie chciałem spróbować – odparł Dżamałudin.

Arzo spojrzał na niego zdumiony, ale darował sobie jakiegokolwiek komentarze. Właściciel targowiska wstał od stołu i oznajmił, że jutro czeka go wczesna pobudka. Mowsar przesunął wygraną w swoją stronę i powiedział:

– Na stole pięćdziesiąt, za plecami sto.

– Ja dziesięć – oznajmił naczelnik sądu rejonowego. – Za plecami pięćdziesiąt.

Wielu mieszkańców Besztoju wołało rozwiązywać swoje konflikty u mera Kemirowa czy imama głównego miejskiego meczetu i dlatego Szamil Archagow nie był bogatym człowiekiem.

– Na stole pięćdziesiąt – rzekł Arzo – za plecami sto.

Dżamałudin skinieniem przywołał Hagena i ten rzucił na stół całą górę powiązanych sznurkami paczek.

– Dwieście tysięcy – oznajmił Dżamałudin. – Za plecami pięćset.

Wszyscy włożyli do banku po tysiąc dolarów. Dżamałudin dostał szóstkę, po niej króla trefl. Najstarszą kartę miał Mowsar, króla kier.

– Bank – rzekł Mowsar.

Arzo dostał jakieś blotki i spasował. Rejonowy sędzia zajrzał w swoje karty i zobaczył, że ma parę waletów.

– Bank – zgodził się sędzia.

– Bank plus bank – powiedział Dżamałudin.

Rozdano czwartą kartę i Mowsar spostrzegł, że ma trzy króle. Kareta nie mogła mu już przyjść, skoro wśród odkrytych kart Dżamałudina był król trefl, ale trójka to też nieźle. Mowsar dodał do banku jeszcze tysiąc, sędzia zrobił to samo.

– Bank – powiedział Dżamałudin.

Mowsar spojrział na niego zdumiony. Z szóstką i królem Dżamałudin nie mógł liczyć na strita, o karecie również nie było mowy – Mowsar pamiętał, że Arzo też dostał szóstkę. Wyglądało na to, że Awar po prostu blefował. Mowsar z satysfakcją pomyślał, że wybrał sobie na to niewłaściwy czas i niewłaściwych ludzi. Pokerzyści w mieście Besztoj mieli nerwy tego samego kalibru co broń.

Rozdano piątą kartę i Mowsar rzekł spokojnie:

– Bank plus bank.

Sędzia odpadł.

– Bank plus bank – odparł Dżamałudin.

Na stole leżało sto pięćdziesiąt tysięcy.

– Wykładamy – oznajmił Mowsar.

Dżamałudin bez cienia emocji wyłożył swoje karty. Nawet Mowsar nie spodziewał się aż takiej nędzy. „To cię oduczy blefowania” – pomyślał Czeczen, zgarniając pieniądze.

Pomylił się: następne rozdanie przebiegło dokładnie tak samo. Dżamałudin stawiał wysoko, a gdy przyszło do wyłożenia, okazało się, że nic nie ma. Tym razem wygrał Arzo, Dżamałudin przegrał sto tysięcy.

W kolejnym rozdaniu po czwartej karcie Dżamałudin miał siódemkę, ósemkę, dziesiątkę i waleta. Kemirow rozważył swoje szanse. Prawdopodobieństwo, że dostanie dziewiątkę było niewielkie, zwłaszcza że wśród wyłożonych kart były już dwie dziewiątki.

– Bank plus bank – rzekł Dżamałudin przed ostatnim rozdaniem.

Mowsar rozdał karty i... Kemirow dostał dziewiątkę.

– Bank plus bank – rzekł Mowsar.

– Pas – odparł Kemirow i rzucił karty na stół koszulkami do góry.

Jego pół miliona stopniało do zera sześć partii później. Wtedy Dżamałudin wyjął z kieszeni pęk kluczy, odczepił gruby kluczyk z brelokiem alarmowym i rzucił na stół.

– Nie mam przy sobie więcej gotówki, ale pod drzwiami stoi mój mercedes. Pancerny, czwarty poziom ochrony. Kosztował mnie czterysta dwadzieścia tysięcy dolarów, tu obskoczy za dwieście.

Dżamałudin przepuścił go w ciągu pięciu minut. Przewodniczący sądu rejonowego przestał grać, gdy początkowe stawki doszły do pięciu tysięcy. Arzo odpadł, gdy doszły do dziesięciu.

Klucze od mercedesa leżały obok Mowsara.

O wpół do dwunastej drzwi do kasyna otworzyły się i na progu stanął mer Besztoju Zaur Kemirow. Jak zawsze miał na sobie ciemny garnitur, uszyty tak, żeby zatuszować lekką nadwagę. Jego usta uśmiechały się, ale władcze czoło było poorane zmarszczkami. Zaur niespiesznie przeszedł przez salę i stanął przy zielonym stoliku, na którym, oprócz kluczyków do mercedesa, leżały już kluczyki od hummera. Zrzucił ze stołu pieniądze i kluczyki i powiedział:

– Gra się nie liczy. Jedź do domu i przestań robić z siebie pośmiewisko.

– Przysięgam na Allaha – odparł Dżamałudin – że jesteś właścicielem tego kasyna i moim bratem. Nie mam prawa niczego żądać od starszego brata, ale mam prawo co wieczór przychodzić do twojego kasyna i przegrywać w nim tyle, ile zdołam.

– Doskonale – rzekł Zaur – w takim razie poczekam, aż skończysz grać.

Dżamałudin uniósł się nieco z miejsca i rozejrzał wśród ludzi zgromadzonych przy ruletkach i automatach do gry. Obok jednego ze stolików wypatrzył człowieka o imieniu Anatolij. Kiedy na znak Dżamałudina Anatolij podszedł do graczy, Kemirow powiedział:

– Posłuchaj, Mowsarze, w zeszłym roku Anatolij źle się zachował i teraz jest moim dłużnikiem. Jest mi winien pół miliona, ale tu jego dług pójdzie za trzysta. Umowa stoi?

– Stoi – odparł Mowsar.

Dziesięć minut później Mowsar wygrał Anatolija. Potem wygrał jakąś hutę szkła, restauracyjkę w górach i pięciopokojowe mieszkanie w Torbikale. Do tego czasu pozostali gracze w kasynie porzucili już i automaty, i ruletkę. Skupili się wokół stołu i cmokali za każdym razem, gdy Dżamałudin przegrywał kolejne pół miliona.

Większość zgromadzonych zdawała sobie sprawę, że Dżamałudin nie jest szczególnie bogatym człowiekiem. Nie lubił pieniędzy i ich nie liczył, a gdy ktoś prosił go o pomoc i chciał podziękować sklepem czy udziałem, zwykle mówił, żeby ten ktoś sklep i udział oddał starszym braciom.

Trzeba przyznać, że Dżamałudina rzadko oszukiwano. Ostatni raz oszukał go właśnie ów Anatolij, który podjął się doprowadzenia internetu do szkół w górach. Dżamałudin nie znał się na necie, ale gdy zamiast internetu pojawiła się niezarejestrowana kopalnia marmuru należąca do Anatolija, to jej właściciel wpadł w tarapaty. Szef MSW republiki osobiście zwrócił się do Dżamałudina w sprawie pogłosek, jakoby Anatolija miesiąc trzymano w piwnicy. Dżamałudin odparł wtedy oburzony: „W jakiej piwnicy?! Klatka stała na podwórzu!”.

Krótko mówiąc, prócz ludzi, pancernych wozów czy stojących na podwórzu klatek do Dżamałudina należało bardzo niewiele. Wszystko dlatego, że Dżamałudin raz w miesiącu jeździł do pewnego mistrza w górach, który nie pochwałał żądzy gromadzenia bogactw.

Gdy Mowsar wygrał mieszkanie, przeprosił i oddalił się do toalety. Arzo poszedł za nim.

– Co ty wyprawiasz? – zaatakował Czeczena. – Nie widzisz, że on robi to specjalnie? Po co się wcinasz w rozprawę między braćmi?

Mowsar spojrzał na Arza i przypomniał sobie rozmowę z Zaurem Kemirowem. Pół roku temu prosił Zaura, żeby ten podarował mu kawałek ziemi pod targowisko. Wszyscy kupowali ziemię w Besztoju i otwierali tam bazy, ale Mowsar postanowił, że nie będzie kupował. Uważał, że to głupota płacić za coś, co można dostać za darmo. Krótko mówiąc, poprosił o przekazanie ziemi bezpłatnie, na co Zaur mu odpowiedział: „Po co ci ta ziemia, Mowsarze? Przecież wszyscy

potrzebujemy najwyżej dwóch metrów ziemi”.

– A co ja mam do tego? – odparł Hadżijewowi. – Skoro już chce przegrać te pieniądze, niech lepiej przegra je do mnie. I nie myśl sobie, że odzyska moją wygraną.

Gdy Czeczeni wrócili, Dżamałudin wyjął z kieszeni kółko do kluczy i Mowsar zobaczył, że zostały już na nim tylko dwa. Jeden wypasiony, sejfowy, od zamku w pancernych drzwiach, a drugi bardzo zwyczajny, podobny do tego, którym Mowsar zamykał komórkę. Dżamałudin odpiął ten wypasiony, położył go na zielonym suknie i oznajmił:

– Widzisz, Mowsarze, nie mam już ani grosza. Ale jestem właścicielem domu, w którym byłeś trzy miesiące temu. Dwupiętrowego, pięćset czterdzieści metrów kwadratowych. Obok jest hala sportowa i strzelnica. Chciałbym postawić ten dom za pół miliona.

Mowsar odruchowo obejrzał się na starszego brata Dżamałudina. Twarz Zaura nie wyrażała niczego. Dom, o którym mówił Dżamałudin, stał obok budynków należących do pozostałych braci, to był ten sam, gdzie w klatce na podwórzu gościł Anatolij. Rzecz jasna, każdy człowiek, który chciałby bez pozwolenia zamieszkać w rezydencji Kemirowów, mógłby liczyć najwyżej na lokum w owej klatce. Mowsar nie miał zamiaru mieszkać w klatce, ale zdawał sobie sprawę, że Zaur wykupi dom. I że zapłaci wówczas nie tylko za dom, ale również za swoje słowa o dwóch metrach ziemi.

– Stoi – powiedział Czeczen.

Dwie minuty później dom nie należał do dotychczasowego właściciela. Dżamałudin siedział rozluźniony, Aryjczyk za jego plecami pogwizdywał jakąś melodyjkę. Arzo przestał się uśmiechać i wyszedł, żeby wydać rozkazy swoim ludziom.

Dżamałudin znów wyjął kółko z kieszeni, został na nim tylko jeden, zwykły klucz.

– Jak widzisz, Mowsarze, nic więcej już nie mam – rzekł Dżamałudin. – Ale został mi jeszcze ojcowski dom w rodzinnej wsi. Są tam tylko dwa pokoje, w których dorastaliśmy wszyscy czterej. Dom stoi nad brzegiem wąwozu, z jego

okien widać wschód słońca ponad górami, a z podwórka wąska droga prowadzi na cmentarz, na którym pochowani są moi rodzice. Ten dom jest mi droższy niż wszystko na świecie i chciałbym go postawić za milion dolarów.

Z tymi słowami Dżamałudin położył na stole klucz razem z breloczkiem.

– Stoi – powiedział Mowsar.

I wtedy Zaur Kemirow podniósł się i oznajmił:

– Wystarczy, Dżamału. Zamykam kasyno.

Dżamałudin uśmiechnął się szeroko i rzucił karty na stół. Mowsar uśmiechnął się jeszcze szerzej i rzekł:

– Tak nie będzie. Ustaliliśmy, że rozegramy tę partię. Milion za twój dom przeciwko milionowi za całe to barachło, które przegrałeś.

I Mowsar rzucił na stół wszystkie przejęte w grze klucze.

– Nie waż się grać – powiedział twardo Zaur.

Dżamałudin z kamienną twarzą zaczął tasować karty.

– Pięćdziesiąt tysięcy – ogłosił Mowsar stawkę wyjściową.

– Zgoda – odparł Dżamałudin. – Wchodzę.

Pierwsze dwa rozdania dały przewagę Mowsarowi. Doszła mu dziesiątka i walet, wszystko wskazywało na strita. Dżamałudin dostał asa i szóstkę.

Wydano kolejną kartę, Mowsarowi doszedł król.

– Pięćdziesiąt – powiedział Czeczen.

Dżamałudin spojrział w swoje karty.

– Pięćdziesiąt.

Po czwartej karcie Mowsar miał dziesiątkę, waleta, damę i króla. Nie wahał się: gdyby następną kartą była dziewiątka czy as, rozniósłby Awara. Mowsarowi zdarzały się w życiu ryzykowne zagrania, w które wchodził z mniejszą szansą powodzenia.

– Sto – powiedział.

– Sto plus sto – odparł Dżamałudin.

Piątą kartą była dziewiątka.

– Bank plus bank – ogłosił Mowsar.

– Bank plus bank – zgodził się Dżamałudin.



Mowsar wyłożył strita na stół i zapewnił z uśmiechem:

– Zawsze chciałem mieć domek w twojej wsi.

Dżamałudin w milczeniu spojrział na jego karty, a potem powoli wyłożył na stół swoje. Miał karekę asów.

– Zbudujesz go nie wcześniej, niż w tym mieście znów się otworzy kasyno – rzekł Dżamałudin.

I to była ostatnia partia pokera rozegrana w kasynie miasta Besztoj.

Pierwszy zastępca prokuratora generalnego Federacji Rosyjskiej Fiodor Aleksandrowicz Komissarow został wysłany do Republiki Awarii Północnej – Dargo w jednym jedynym celu: przeprowadzić przetarg na stanowisko prezydenta republiki.

Mogłoby się to wydawać dziwne, skoro zaledwie pół roku temu urzędujący prezydent dogadał się z Moskwą, żeby żadnego przetargu nie było. Wtedy, w miesiącu ramadan człowiek, który nazywał się Nijazbek Malikow, zajął budynek rządowy i zażądał rezygnacji prezydenta. Asłanowa uratowało wyłącznie sto pięćdziesiąt milionów dolarów, które zapłacił komu trzeba na Kremlu.

Jednak prezydent Asłanow nie doszedł już do siebie po owej próbie obalenia. Miesiąc później dostał zawału, po operacji zachorował na zapalenie płuc, a w grudniu na uroczystym przyjęciu wydanym na cześć awarskich sportowców olimpijczyków prezydent zachwiał się i upadł na ręce swojego syna Gamzata.

Przyjechali lekarze i stwierdzili rozległy udar. Prezydenta przewieziono do Moskwy, stamtąd do Szwajcarii. Wszelkie informacje o jego stanie zdrowia zostały utajnione, a na fotel prezydenta republiki ogłoszono niejawną konkurs.

Poza tym wszyscy w republice zdawali sobie sprawę, że Asłanow zapłacił już za to, by go nie zdjęli. A to znaczyło, że nie był już potrzebny Kremlowi.

Kandydatów na stanowisko prezydenta było czterech. Pierwszy nazywał się Rasuł Ałhojew. Miał pięćdziesiąt siedem lat, stopień generała majora FSB i przez ostatnie czterdzieści dwa lata ani razu nie był w republice. Rzecz w tym, że jego ojciec pracował na dalekiej północy i dwukrotnie siedział za gwałt. Po odbyciu wyroku wrócił do rodzinnej wsi i się ożenił. Nikt nie znał jego przeszłości. Jednak

pewnego pogodnego jesiennego poranka ojciec Rasuła zwiabił do swojego domu ośmioletnią córeczkę sąsiadów – po dwóch dniach poszukiwań przerażeni ludzie znaleźli ją zakopaną w ogrodzie Ałhojewa.

Ojca Rasuła zamknęli w domu, a dom podpalili. Matka Rasuła uciekła ze wsi z małymi dziećmi, i tak chłopiec wyrósł w nienawiści do ciemnych górali, którzy zabili jego ojca bez sądu i śledztwa.

Określona frakcja Kremla uważała Rasuła Ałhojewa za idealnego kandydata: w republice był człowiekiem obcym. Nad tym, jakie wrażenie wywrze na jej mieszkańcach mianowanie na prezydenta syna gwałciciela ukaranego przez lud, nikt się na Kremlu nie zastanawiał. Z punktu widzenia tej frakcji Rasuł Ałhojew miał tylko jedną wadę: nie mógł zapłacić za swoje stanowisko.

Drugi kandydat miał czterdzieści lat i nazywał się Rezwan. To był dość miły człowiek, były bokser, dobroduszny, z niemal wybitym mózgiem. Rezwan często puszczał w ruch pięści, a tam, gdzie pięści nie wystarczyły, również pistolet. Dlaczego znalazł się wśród kandydatów? Piętnaście lat temu przyjechał do Petersburga na urodziny swojego przyjaciela i o drugiej w nocy wyszedł się przejść po prospekcie Newskim. Tam zobaczył dwa rozbite samochody i pięciu bandytów, którzy szamotali się z okularnikiem wywleczonym z żiguli. Powodowany naturalnym poczuciem sprawiedliwości, Rezwan stanął po stronie okularnika, a gdy bandyci wyciągnęli gnaty, Rezwan okazał się szybszy.

Piętnaście lat później okularnik został jednym z zaufanych ludzi prezydenta Rosji i zapragnął zrobić coś dobrego dla Rezwana. Zazwyczaj, gdy okularnik robił dla kogoś coś dobrego, brał za to pieniądze, lecz Rezwanowi gotów był wyświadczyć przysługę tak po prostu.

Trzeci kandydat był członkiem Rady Federacji, właścicielem włoskiego klubu piłkarskiego i szczęśliwym posiadaczem unikalnej kolekcji samolotów bojowych z czasów drugiej wojny światowej. Rozmiary jego majątku, gdyby były znane, pozwalałyby pretendować do znalezienia się w pierwszej setce „Forbesa”. Pochodzący z małego górskiego rejonu, w wieku dziewiętnastu lat wstąpił do instytutu im. Gubkina i pomyślnie połączył w swoim biznesie inteligencję i pewne tradycje narodowe. Wierność tradycjom nakazał mu konający ojciec, wręczając

rodową szablę.

Ten kandydat znalazł się na liście finalistów z jednego tylko powodu: sądzono, że zapłaci przynajmniej miliard dolarów, żeby nie mianowano go na prezydenta rodzimej republiki – a czy ktoś kiedyś zrezygnował w Rosji z miliarda dolarów?

Czwartym kandydatem był mer miasta Besztoj Zaur Kemirow.

Arzo Hadżijew, dowódca batalionu specjalnego Południe, prowadził duży biznes w republice. To znaczy, dokładniej rzecz biorąc, własnego biznesu Arzo nie miał, jako człowiek doszczętnie pozbawiony żyłki do interesów (czego, w odróżnieniu od wielu awanturników, nie wstydził się przyznać sam przed sobą). Nigdy w życiu nie podjął żadnej decyzji biznesowej, nie przeprowadził żadnej transakcji i nawet nie był prawnym właścicielem żadnego przedsiębiorstwa. On po prostu przychodził i mówił: „płać mi tyle i tyle”, zwykle nie przejmując się nawet, czy wyznaczona przez niego suma była zabójcza dla danej firmy, czy wręcz przeciwnie, stanowiła mizerny procent tego, co owa firma musiałaby oddać innemu, lepiej zorientowanemu udziałowcowi.

Po zeszłorocznej próbie obalenia prezydenta dochody Arza znacznie wzrosły, a byłyby jeszcze większe, gdyby Arzo nie przeleżał w szpitalu ze zmasakrowaną twarzą. Mimo to Hadżijew odziedziczył sporo z majątku buntowników, co więcej, zdobył udział w spółce akcyjnej Awarspirt, która niegdyś była prywatnym folwarkiem syna prezydenta republiki Gamzata Asłanowa.

Gamzat oczywiście nie wybaczył mu tego poniżenia i tylko czekał na dogodną chwilę, żeby odzyskać swoją własność. Gdy do republiki przyjechał Fiodor Komissarow, Gamzat uznał, że ta chwila nadeszła. W pogodny zimowy ranek siedzieli na oszklonej werandzie klubu golfowego po dwóch godzinach gry na polu ze zwiędłą trawą. Gamzat przesunął grubą teczkę między dwoma kuflami bursztynowego piwa i powiedział z prośbą w głosie:

– Fiodorze Aleksandrowiczu, mam tu taką delikatną sprawę. Od czasu, gdy Arzo Hadżijew dostał wytwórnę wódek, wyprawia tam diabli wiedzą co.

– A co, sprzedaje wódkę bez akcyzy? – zainteresował się Komissarow.

– Gdyby tylko sprzedawał bez akcyzy! – westchnął Gamzat. – Ale on spiknął się

z naszym naczelnikiem urzędu kontroli skarbowej i razem z nim konfiskuje „robioną” wódkę od innych wytwórców. Potem przykleja na butelkach swoje etykiety i sprzedaje jako własną. Poza tym, sam pan rozumie, jesteśmy republiką muzułmańską. To rodzi problemy natury politycznej, gdy Czeczen rozpija republikę.

I dopił swoje piwo.

Komissarow zajrzał do teczki i zobaczył, że zawiera plik przekonujących dokumentów – za listami przewozowymi leżało dwieście tysięcy dolarów. Starannie sprasowano je w paczki po dziesięć tysięcy, które zachodziły na siebie, jak kafelki w łazience, ale i tak zajmowały więcej miejsca niż dokumenty.

– Czy to już wszystkie dokumenty? – zapytał Komissarow.

– W zasadzie tak...

– No jakże, skoro widzę najwyżej połowę? Hadżijew to poważny gracz, nie mogę się za niego wziąć, dopóki w papierach czegoś brakuje.

Gamzat spojrział na teczkę, westchnął i rzekł:

– Rzeczywiście, teraz sam widzę, że to tylko połowa. Jutro rano przyślę brakujące papiery.

I następnego ranka przekazał Komissarowowi jeszcze dwieście tysięcy.

Trzy dni później Arzo Hadżijew dostał telefon z wytwórni wódek. Przyjechawszy do zakładu ze swoimi ludźmi, w gabinecie dyrektora zastał trzech rosyjskich śledczych. Rozłożyli na podłodze całą stertę papierów i chodzili po nich jak jedwabnik po liściach morwy.

Arzo podszedł do okna, przechylił się przez parapet, a potem odwrócił do kontrolerów i zapytał:

– Kto tu jest główny?

– Ja – odparł jeden ze śledczych, wstając. Był prawie o głowę wyższy od Arza i ze czterdzieści kilogramów cięższy. Jego białe cielsko wylewało się z drogiego garnituru niczym ciasto z dzieży. Z godnością poprawił krawat i przygotował się do długiej polemiki.

Arzo jedyną ręką złapał śledczego za krawat, zaparł się nogą w jego brzuch i gwałtownie pociągnął go do przodu, jednocześnie się odchylając. Śledczy śmignął

w powietrzu i wyleciał przez okno, wybijając plecami kruchą futrynę.

Arzo zwinnie przekoziółkował przez głowę i zerwał się jak wańka-wstańka. Zszokowani koledzy śledczego podbiegli do okna. Jak się okazało, Arzo trochę się przeliczył. Gabinet dyrektora mieścił się na pierwszym piętrze, okna wychodziły na podwórze i cała przestrzeń między oknami a ścianą fabryki była zastawiona stosami pustych drewnianych skrzynek. Arzo zakładał, że skrzynki odegrają rolę maty i zamortyzują upadek moskwianina. I tak też by się stało, gdyby Arzo nie wyrzucił śledczego z taką siłą, że ten poleciał aż na ścianę, zwieńczoną sprężyną drutu kolczastego. Tam zaczepił nogami o drut i zawisł, uderzając głową o skrzynki. Piramida zachwiała się i zawaliła, a śledczy został na murze, wisząc do góry nogami. Jego marynarka opadła, odsłaniając porośnięty rudymi włoskami wielki brzuch, za to spodnie pojechały w górę, ukazując sprane bokserki w niebieskie kwiatki.

Czeczenni na podwórku omal się nie udusili ze śmiechu.

A na górze Arzo wyjął z kabury stieczkina, odbezpieczył i dwóm pozostałym śledczym wydał krótkie polecenie:

– Za nim.

Śledczy wyskoczyli przez okno, nie czekając na powtórzenie prośby, a Arzo uznał temat za wyczerpany.

Następnego dnia, siedząc w łaźni z Komissarowem, Arzo poskarżył mu się na samowolę jego ludzi. Zastępca prokuratora klasnął w rękę.

– Mój Boże, więc to była twoja fabryka? Sukinsyny, nigdy nie złożą właściwego raportu...

Idris Abidow, pechowy właściciel dwóch kasyn w Besztoju i zastępca szefa administracji rejonu szamchalskiego, był strasznie obrażony na Dżamałudina za tę historię z kasynem.

Miał nadzieję, że rosyjski kontroler, którego przysłano do Besztoju, rozprawi się z jego wrogiem, ale minął dzień, drugi i trzeci, a potem Idrisowi doniesiono, że Rosjanin mieszka w bazie Dżamałudina, jeździ jego opancerzonym mercem, i Idris pojął, że nie doczeka się sprawiedliwości w tej kwestii.

Prócz tego Idris obawiał się, że jego dwaj kuzyni, złapani na gorącym uczynku w czasie przygotowywania zamachu na naczelnika milicji Besztoju, zaczną w końcu sypać i Idrisa wsadzą. Nie spał dzień, drugi i trzeci, rozczarowany i sfrustrowany życiem, a czwartego dnia spotkał się z deputowanym Zgromadzenia Narodowego republiki Gamzatem Asłanowem.

Do spotkania doszło w rezydencji prezydenta Asłanowa w Czegerohu. Wcześniej Gamzat przebywał w swojej własnej willi, luksusem nieustępującej pałacowi króla Salomona, a ochroną – Fortowi Knox. Jednak niewiele to pomogło: w czasie buntu willę podpalili i ograbili jego osobiści ochroniarze i oto już piąty miesiąc Gamzat żył w podmiejskiej rezydencji ojca. Jeśli chodzi o jego willę, to milicjanci z drogówki, zatrzymując samochody w różnych punktach republiki, oznajmiali: mamy zbierać na dom Gamzata.

Przed bramą, przez którą wjechał Idris, stały dwa betonowe bloki, nad bramą była wieża z żołnierzami. Jednak wjazd nie prowadził bezpośrednio do rezydencji, lecz do drugiej bramy, przed którą również stały betonowe bloki i wieża. Za drugą bramą była jeszcze trzecia, gdzie nie było już bloków, lecz dwa wagony z federalnymi omonowcami, przypisanymi do tego miejsca bez prawa do zmiany „pana feudalnego”.

Samochód Idrisa Abidowa minął trzecią bramę i zatrzymał się przed piętrowym budynkiem wbudowanym w skałę – na zewnątrz była tylko fasada z białymi kolumnami i żółtą ścianą. W pokojach przed fasadą mieszkała ochrona Gamzata i jego służba, sam Asłanow zajmował pomieszczenia w bunkrze pod skałą.

Przed wejściem do budynku Idrisa starannie obszukano, a specjalnie wyszkolony pies obwąchał go, sprawdzając, czy nie wnosi trucizny. Gdy ochrona obejrzała go już wzdłuż i wszerz, Idris poczuł się jak po całym dniu w laboratorium medycznym. Wśród przyrządów, którymi go badano, nie było chyba tylko tomografu.

Ochroniarze sprawdzili również jego komórkę. Po republice krążyło kilka nagrań Gamzata Asłanowa w moskiewskim klubie nocnym. Ludzie przesyłali sobie te filmiki z komórki na komórkę i gdy Gamzat się o tym dowiedział, kazał wszystkim gaisznikom republiki sprawdzać nie tylko prawo jazdy, ale również komórki. Gaisznicy szczególnie się tym przejęli, jednak tu, w rezydencji Gamzata, telefony

sprawdzano obowiązkowo. Gdy syna prezydenta spytano w telewizji, czemu wydał takie rozporządzenie, wyjaśnił, że w republice pleni się rozwiązłość i zamężne kobiety ślą SMS-y do swoich kochanków, a on, Gamzat, walczy w ten sposób z niemoralnością.

Idrisa, już przetrzepanego, zaprowadzono do luksusowego salonu, gdzie na dywanie przed telewizorem siedział Gamzat w kamuflażu, ze stieczkinem na boku. Cały pistolet, prócz mechanizmu, wykonano z czystego złota, a po lufie wiły się arabskie napisy: „My wystarczymy jako rozliczający” [10](#).

Gamzat siedział w przyciemnionych okularach i długich białych rękawiczkach, z którymi nie rozstawał się od czasu buntu. Niektórzy uważali, że okaleczono mu rękę, ale lepiej poinformowani wiedzieli, że po pobiciu i niewoli Gamzat bał się dotyku cudzej skóry. Teraz palił fajkę wodną, a pewien osobliwy człowiek opowiadał mu dowcip o zającu.

– Wpada do lasu zając z Awarii, w kamuflażu, w łapach automat, na pasie granat, robi co chce, no i zwierzęta zaczęły się na niego skarżyć lwu. Przychodzi lew i mówi do zająca: Kim ty w ogóle jesteś? – A ty? – odpowiada zając. – Ja jestem królem zwierząt – mówi lew. A zając na to: – A wcale że nie. To Gamzat jest królem zwierząt, a ty jesteś zwykłym kotem.

Gamzat roześmiał się zadowolony, a dwaj jego towarzysze, siedzący naprzeciwko, zawtórowali mu rechotem.

– No i co? – zwrócił się Aślanow do Idrisa. – Przyszedłeś się poskarżyć na zniszczenie kasyna?

– Nie, przyszedłem opowiedzieć, jak to było naprawdę.

– A jak było?

Idris odetchnął głęboko i wypalił, jakby rzucał się w przepaść:

– Chodzi o to, że Dżamal Kemirow chciał mi zlecić zabicie pana. A gdy się nie zgodziłem, z zemsty spalił moje kasyno.

Wszyscy obecni popatrzyli na siebie. Gamzat złożył opięte rękawiczkami dłonie, jego policzki poblady. O oczach nie dało się nic powiedzieć, były ukryte za przydymionymi szklami.

– Mów dalej.

– Wezwał mnie do siebie i mówi: „Jeździsz do Torbikały, kontaktujesz się z Gamzatem. Trzeba go zabić, skończyć wreszcie z tą zarazą”. Powiedział też, że trzeba zabić Tielajewów, Adama i Saparczego. Chciał również załatwić Czebakowa. „To przecież *kufr* <sup>11</sup>, mówi, załatwmy ten kufr. A gdy zabijemy ich wszystkich, weźmiemy władzę w swoje ręce”. Do reszty mu odbiło, Gamzacie Ahmednabijewiczu! Bez przerwy gada o wszechświatowym kalifacie, ma w bazie pełno bojowników i wysyła ich, żeby wysadzali milicjantów! Mówi: chcesz być z nami, wysadź milicjanta! I oni wysadzają, to dla nich jak zaliczenie! Nie ludzie, tylko szajtany! Gotowi wysadzić w powietrze każdego, nawet siebie!

– Jeśli jego ludzie są gotowi dla niego zabijać i umrzeć, czemu chciał zlecić zabójstwo właśnie tobie? – spytał szef ochrony Asłanowa.

– Bo ja mam dojście do Gamzata Ahmednabijewicza – wyjaśnił Idris. – Właśnie dlatego! Ale niech pan sobie nie myśli, Gamzacie Ahmednabijewiczu, ja oczywiście odmówiłem! Wtedy wsadził mi lufę do ust i zagroził: „Jeśli piśniesz choć słowo, zabiję cię”. A z zemsty za to, że odmówiłem, spalił moje kasyno!

Słowa Idrisa Abidowa potwierdziły najczarniejsze obawy Gamzata Asłanowa. Syn prezydenta uważał, że wszyscy chcą go zabić. Co prawda, miał realne przesłanki, by tak sądzić: zamach na jego życie organizowano już trzynaście razy, a zeszłoroczny bunt przeżył wyłącznie cudem. Buntownicy załatwili mu trzy żebra, uszkodzili czaszkę i rozerwali śledzionę. Co działo się z męskimi klejnotami Gamzata, lepiej nie wspominać.

Od tego czasu Asłanow miał bzika na punkcie bezpieczeństwa. O zamach na własne życie podejrzewał nawet stewardesy z British Airlines. Do przykrego incydentu z udziałem jednej z nich doszło dwa miesiące temu, gdy Gamzat leciał na międzynarodowe forum poświęcone przyciągnięciu inwestorów na Kaukaz Północny. Gdy stewardesa pochyliła się, by zaproponować Asłanowowi whisky, ten złapał ze stolika nożyk, który wydawano wszystkim pasażerom pierwszej klasy, i pchnął stewardesę w brzuch.

Na forum już nie udało mu się wystąpić.

Kiedy Idris zaczął opowiadać o kufrze i kalifacie, Gamzat zamarł, jak suseł na stepie, a gdy powiedział o kasynie, wstał i zapytał tonem niewróżącym nic dobrego:



– To czemu do tej pory milczałeś?

Idris stropił się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie mógł przecież się przyznać, że milczał, bo miał nadzieję, że Dżamałudina załatwią Rosjanie albo Czebakow. Idris zapłacił szefowi MSW sto tysięcy dolarów, żeby ten zajął się Kemirowem, i teraz już wiedział, że te pieniądze przepadły. Zwyczajnie go wyrolowali.

Gamzat uderzył go w twarz. Nie był silny, ale na palcu nosił pierścień z wielkim brylantem w platynowej oprawie mającej kształt rogów. Pierścień specjalnie wykonano jak mały kastet i teraz rogi przejechały po policzku Idrisa niczym brzytwa.

– Za co? – zawołał ten.

Gamzat uderzył go znowu i Idris upadł na dywan. Poczłgał się do wyjścia, ale Aślanow rzucił się na niego jak jastrzęb i kopnął w podbródek. Sam przy tym stracił równowagę i zwałił się na swoją ofiarę.

– Za co? – powtórzył Idris.

W czasie upadku Aślanowowi spadły okulary. Gdy się odwrócił, Idris po raz pierwszy zobaczył jego oczy: absolutnie szare, ze źrenicami wielkości śladu po ukłuciu szpilki, nieruchome jak rozbity zegarek. Oczy paranoika, który od dawna sądzi, że życie wszystkich kończy się tam, gdzie zaczyna się jego, Gamzata, wola.

– Czemuś nie przyszedł wcześniej? – wrzeszczał Gamzat. – No?! Liczyłeś, że ci więcej zapłaci? Gdyby dał ci więcej pieniędzy, zabiłbyś mnie? A może zapomniałeś, że zabójstwo to grzech?

– Ja...

Gamzat złapał Idrisa za gardło i uderzył jego głową o dywan. Nikt w pokoju nie śmiał się wtrącić. Szef ochrony Ahmed nawet nie drgnął, przyzwyczajony do takich scen. Gamzat bił swoich ochroniarzy, bił też Ahmeda. Poza tym Ahmed wiedział, że Gamzat nie rozwali Idrisowi głowy: dywan był gruby, a głowa Idrisa mocna. Ponadto Ahmed nie chciał, żeby zamiast Idrisa Aślanow zaczął bić jego.

Tymczasem Gamzat spostrzegł, że nic mu z tego nie wyjdzie, przestał walić głową Idrisa o podłogę i zaczął go dusić.

– Łajdaku! – wrzeszczał. – Fitnacu! Wszyscy jesteście w zмовie! Wszyscy, razem z wahabitami!

Idris zacharczał i spróbował oderwać ręce Gamzata od swojej szyi. Nie udało mu się, więc zebrał wszystkie siły i uderzył syna prezydenta kolaniem w krocze. Ten wrzasnął i odleciał na bok. Wtedy Ahmed podbiegł do Idrisa i zaczął wyciągać go z pokoju. Już otworzył nogą drzwi, gdy usłyszał wysoki, piskliwy krzyk:

– Stać!

Szef ochrony odwrócił się i zobaczył, że Gamzat stoi trzy metry od niego ze złotym stieczkinem w ręku. „Tylko nie to” – przemknęło przez głowę Ahmeda.

Gamzat strzelił.

Strzelał z bardzo bliska, ale był tak wzburzony i tak mu się ręce trzęsły, że pierwsza kula weszła w futrynę nad drzwiami.

– Nie! – krzyknął Ahmed.

Gamzat zrobił krok do przodu i druga kula trafiła Idrisa w ramię. A raczej: przeszła między palcami Ahmeda, zdzierając skórę z jego środkowego palca i poważnie uszkadzając wskazujący, i dopiero potem weszła w ciało nieszczęsnego właściciela kasyna. Ahmed krzyknął i puścił Idrisa.

Trzecia kula trafiła Idrisa w czoło.

Gamzat Aślanow, młodszy syn prezydenta republiki Ahmednabiego Aślanowa, uwielbiał dobrze skrojone garnitury, koniak za trzy tysiące dolarów i konie wyścigowe. W moskiewskich kasynach zostawiał to pięćset tysięcy, to trzy miliony. O sobie mawiał skromnie: „Rzecz jasna, nie jestem pierwszym człowiekiem w republice. Ale i nie drugim”.

Gamzat Aślanow stał na czele Narodowego Banku Awarskiego, federacji jeździeckiej republiki, towarzystwa pamięci imama Szamila i stowarzyszenia filatelistów. Prócz tego był szefem służby bezpieczeństwa prezydenta, liczącej trzystu świetnie uzbrojonych ludzi.

Dochody Gamzata Aślanowa pochodziły z rozległych i różnorodnych źródeł. Jednym z nich był bank narodowy, obsługujący konta przedsiębiorstw budżetowych republiki. Wszyscy ministrowie i szefowie departamentów doskonale wiedzieli, że z żadnego z tych kont nie wolno im wziąć nawet rubla, nie oddawszy dziesięciu kopiejek Gamzatowi.

Drugim źródłem dochodów była sprzedaż stanowisk. Zazwyczaj Gamzat sprzedawał jedno stanowisko dwóm, trzem osobom – a już komu się ono należy, nabywcy rozstrzygali za pomocą karabinu. Gamzat bardzo uważał, żeby sprzedać stanowisko właściwym ludziom. Na przykład, jeśli jakiś człowiek mógł pretendować do roli lidera kumyckiego ruchu narodowego, sprzedawał to stanowisko jemu, a potem innemu człowiekowi, który też miał możliwość ubiegania się o tę funkcję. To była bardzo roztropna decyzja polityczna – w efekcie Kumycy zostawali bez lidera, za to Gamzat z pieniędzmi.

Prócz tego Gamzat Asłanow kontrolował każdy biznes, który pojawiał się w republice. Swego czasu w Torbikale bardzo popularne stały się busy. To był najzupełniej prywatny interes, kilkaset firm, posiadających w sumie kilka tysięcy busów, rozwoziło pasażerów po mieście. Gdy Gamzat Asłanow zdał sobie sprawę, ile zarabiają, założył państwowe przedsiębiorstwo Awartransport, które dostało monopol na przewozy pasażerów. Przedsiębiorstwo nie miało ani jednego busa i nikogo nie woziło, za to wystawiało licencje na przewozy w cenie dwóch tysięcy rubli za busa na miesiąc.

Mniej roztropny człowiek mógłby pomyśleć, że Awartransport wnosił do skarbu państwa wielkie pieniądze: dwa tysiące rubli razy sześć tysięcy busów dawało sto czterdzieści cztery miliony rubli rocznie. Otóż nic bardziej błędnego: kierowcy płacili gotówką za pokwitowaniem, następnie pokwitowania wyrzucano, a pieniądze pakowano do worków, które przywożono Gamzatowi. W efekcie pięć milionów dolarów rocznie nie trafiało do skarbu państwa, lecz do kogoś zupełnie innego.

Cztery miliony dostawał Gamzat, a jeden – wyznaczony przez niego człowiek. Pewnego razu ów człowiek postąpił bardzo nierozsądnie i oddał Gamzatowi trzy miliony zamiast czterech. Wtedy wyciągnięto go z domu i wsadzono do piwnicy Gamzata, gdzie siedział, dopóki nie oddał tamtego miliona i nie uiścił kary. Następnie Gamzat pobił go i złamał mu rękę, a stanowisko odsprzedał komuś innemu.

Przez ostatnie pięć lat Gamzat żył w nieustannym strachu przed śmiercią. Bał się tych, którzy ocaleli z zamachów, i krewnych tych, których zabił. Bał się tych, których na siebie szczył, i tych, którzy spierali się z nim w parlamencie. Bał się

nawet omonowca, któremu kiedyś wsunął pistolet w usta i przestrzelił policzek, chociaż już dawno mu zapłacono i konflikt został załagodzony. W końcu Gamzat nie wytrzymał i polecił swojemu poprzedniemu szefowi ochrony, Szapiemu, zabić i omonowca, i jego brata. Ale najbardziej Gamzat bał się trzech osób: Nijazbeka Malikowa, Saparczego Tielajewa i Dżamałudina Kemirowa.

Pół roku temu Nijazbek Malikow zajął budynek rządowy, a razem z nim swojego byłego szwagra Gamzata Asłanowa. Cała ochrona Gamzata rozbiegła się, przedtem okradłszy i podpaliwszy rezydencję. Samego Gamzata dwa dni trzymano owiniętego taśmą na podłodze w pomieszczeniu sejfowym. Nikt w republice nie wiedział, dlaczego go nie zabili. Wiedział to tylko Gamzat.

Gamzat był najzupełniej pewien, że uratował go Allah.

Przeleżał dwa miesiące w szpitalach i gdy zyskał pewność, że jest wybrańcem Allaha, przedsięwziął następujące działania. Po pierwsze, kazał schwytać swoich ochroniarzy. Niektórych zastrzelił osobiście, a innych zawieziono do bazy lotniczej w Besztoju, gdzie pożałowali, że Gamzat ich nie zastrzelił. Po drugie, wezwał po kolei wszystkich urzędników republiki i każdego obłożył daniną na odbudowę swojej rezydencji. Po trzecie, polecił zbudować nad brzegiem morza meczet na dziesięć tysięcy ludzi.

Pół godziny później ciało Idrisa leżało w piwnicy, Ahmed osobiście usunął wszystkie taśmy z zarejestrowanym zabójstwem (w gabinecie kamery pozostawały włączone przez całą dobę). Gamzat Asłanow wezwał do siebie swojego szefa ochrony.

Był bez okularów, jego twarz pokrywały czerwone i białe pasy. Lecz najbardziej Ahmedem wstrząsnęło to, że Gamzat najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Przecież Idris to nie jakaś tam brytyjska stewardesa. Idris pochodził z szanowanej rodziny, jego starszy brat był pułkownikiem FSB, a młodszy znał Koran na pamięć i biegał po górach z karabinem. Nie można było wykluczyć, że starszy dowie się, kto zabił Idrisa, a młodszy uzna, że w związku z tym trzeba coś zrobić.

Ale zamiast zapytać, co się stało z ciałem, Gamzat zarzucił Ahmeda pretensjami.

– Miałeś zapewniać mi bezpieczeństwo! – krzyczał. – I jak wywiązujesz się z tego zadania?! Sam muszę o siebie dbać! O tym, że jest na mnie zlecenie, dowiaduję się od zabójcy!

Ahmed patrzył w milczeniu na swojego szefa. Był głęboko przekonany, że wszystko, co mówił Idris Abidow, było łągarstwem. To znaczy, Kemirow mógłby dać zlecenie na Gamzata. Ale Dżamal miał ponad setkę bojowników, którzy przeszli takie szkolenie, jakie nie śniło się Wypiełowi [12](#). Ci bojownicy gotowi byli zabijać na jedno słowo Dżamałudina, ba, gotowi byli umrzeć! A człowiek, który gotów jest umrzeć, wart jest dziesięciu gotowych zabić.

Nigdy w życiu Dżamałudin nie poprosiłby jakiegoś tam właściciela kasyna, żeby ten załatwił Gamzata Aślanowa – gdyby w ogóle zdecydował się na taki numer, sam wzięłyby w nim udział. Zabicie człowieka było dla niego niewiele trudniejsze niż wypalenie papierosa.

Inna sprawa, że wypalenie papierosa sprawiłoby Kemirowowi sporą trudność.

Jednak wytłumaczenie tego Gamzatowi w jego obecnym stanie było niemożliwe.

– Mam pięćset ludzi ochrony i muszę sam likwidować kilerów! – wrzeszczał Gamzat. – Co z moim bezpieczeństwem?!

– Zajmę się tym – powiedział krótko Ahmed.

—

1. Abrek – w folklorze [Kaukazu](#) Północnego postać szlachetnego, żyjącego samotnie wojownika. Po rosyjskim podboju Kaukazu na przełomie XVIII i XIX w. terminem tym zaczęto określać powstańców walczących z najeźdźcą. [\[wróć\]](#)
2. Szahid ([arab.](#): świadek i męczennik) – termin wywodzący się z [Koranu](#), oznaczający osobę, która oddaje swoje życie za wiarę, za co ma obiecaną nagrodę wieczną, czyli życie w raju ([Dżannah](#)). W [XXI wieku terroryści](#)-samobójcy powołują się na islam, jednak większość muzułmanów uważa, że porywanie się na własne życie jest [grzechem](#), uniemożliwiającym dostanie się do raju. W [Czeczeniu](#) i [Palestynie](#) mianem szahidów określa się też bojowników o niepodległość kraju. [\[wróć\]](#)
3. Hidżab (z arab. dosł.: kurtyna, zasłona) – określenie, pochodzące od słowa haja (skromność), tradycyjnie odnoszące się do muzułmańskiego skromnego sposobu ubierania się. Obecnie częściej używa się go jako synonimu kwadratowej chusty, noszonej przez kobiety, zakrywającej włosy, uszy i szyję. [\[wróć\]](#)
4. Sownarkom – Rada Komisarzy Ludowych, rząd rewolucyjny, który powstał w czasie rewolucji październikowej w 1917 r. [\[wróć\]](#)
5. Wahabizm – [islamski](#) ruch religijny i polityczny powstały w [XVIII w.](#) na terenie [Arabii](#). Opiera się na [fundamentalizmie](#), głosi powrót do źródeł: pierwotnej czystości islamu, prostoty i surowości obyczajów. [\[wróć\]](#)

6. Dżamaat (od arab.: społeczność, gmina) – zgromadzenie muzułmanów utworzone w celu wspólnego studiowania nauk islamu, odprawiania obrzędów, wzajemnej pomocy. Na przełomie XX i XXI w Rosji dżamaatami zaczęto nazywać tworzone w Czeczenii islamskie grupy terytorialno-narodowościowe, prowadzące zbrojną działalność terrorystyczną. [\[wróć\]](#)
7. Munafik – islamski termin oznaczający obłudnika. [\[wróć\]](#)
8. Fitnacz – tu: wichrzyciel, rozłamowiec (od arab. słowa fitna, oznaczającego wojny wstrząsające arabską ummą w VII i VIII w.). [\[wróć\]](#)
9. Szajtan – zły duch, nazwa diabła związanego z džinnami (Iblisa). [\[wróć\]](#)
10. Koran, rozdział 21, al-Anbiya, 48. [\[wróć\]](#)
11. Kufr (arab.: niewiara) – termin, którym oznacza się w islamie najstraszniejszy grzech – brak wiary. [\[wróć\]](#)
12. Wypieł (ros.: porozec) – Zarząd „W” Centrum Specjalnego Przeznaczenia FSB, jednostka specjalna. Zadania bojowe: prowadzenie działań terrorystycznych, poszukiwanie i zatrzymywanie zbiegów rosyjskich służb specjalnych, indywidualna likwidacja wroga, rozpoznanie struktur siłowych obcego państwa i ich niszczenie, udział w najtrudniejszych działaniach wojennych. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 4

*W którym Kirył Wodrow w nocy poluje z Dżamałudinem, a rano dostaje polecenie zbadania sprawy ataku terrorystów na wieś Tlenkoj.*

**K**irył wrócił do ośrodka wypoczynkowego przed ósmą wieczór. Umył się, przebrał i postanowił pójść na strzelnicę, mieszczącą się, jak wcześniej zauważył, tuż za poligonem z przeszkodami do ćwiczeń. Zestaw broni na strzelnicy nie ustępował najbardziej wymagającym kolekcjom Łubianki. Po zastanowieniu Kirył zdecydował się na berettę. Małomówny autochton z protezą w miejscu prawej nogi wydał mu słuchawki i naboje. Rzecz jasna, ostre.

Na strzelnicy było kilka osób. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna w dżinsach i szarym swetrze umieszczał kule ze stieczkina w samym środku celu. Wykończył magazynek, włożył nowy, poprawił słuchawki i odwrócił się do Kiryła.

To był Dżawathan Askerow.

Półtora miesiąca temu ten człowiek, wraz z dwoma współnikami, strzelił w głowę umierającemu na poboczu pełnomocnemu przedstawicielowi prezydenta FR Pankowowi. Całą scenę nagrano i żeby nikt nie pomylił prawdziwego sprawcy z kimś innym, Dżawathan przed morderstwem zdjął z głowy maskę.

Ten człowiek był zwolennikiem walki bez jakichkolwiek zasad. Walczył w Czeczenii z Basajewem i Chattabem.

Filmik, na którym strzela w głowę Rosjaninowi, stał się czymś w rodzaju reklamy separatystów. Przesyłano go z telefonu na telefon i władze nie wiedziały już, jak z tym walczyć. W czasie kontroli dokumentów usuwano to nagranie (podobnie jak film z Gamzatem Asłanowem), ale niewiele to pomagało.

Kirył widział kilka takich filmów z udziałem Dżawathana Askerowa. Ten, który krążył między komórkami, wcale nie był najbardziej drastyczny.

I teraz poczuł, że ma nogi jak z waty. Członek komitetu nadzwyczajnego do spraw badania zamachów terrorystycznych i dywersyjnych na Kaukazie Północnym stał w odległości pięciu metrów od człowieka, który dokonał najgłośniejszego zamachu w republice w ciągu ostatniego półrocza. I w rękach tego człowieka był

nabity stieczkin, a w rękach Kiryła – pusta beretta. Magazynek Wodrow miał w kieszeni spodni.

Pistolet w dłoni Dżawathana zmienił nieco położenie: teraz celował prosto w czoło Kiryła. A najśmieszniejsze było to, że nikt nie zwróciłby nawet uwagi na strzał – w końcu po to się przychodzi na strzelnicę.

W kieszeni Kiryła zadzwoniła komórka, ale on nawet nie drgnął. Dżawathan stał i patrzył na Rosjanina z mieszaniną zdziwienia i pogardy. Kirył pomyślał, że jego położenie przedstawiałoby się całkiem inaczej, gdyby naładował i odbezpieczył broń jeszcze tam, przy ladzie. Ale w tej sytuacji nie miał zamiaru stawiać oporu. Zresztą Dżawathan Askerow mógłby mu skrócić kark i bez stieczkina, co do tego Kirył nie miał najmniejszych wątpliwości.

Za plecami Wodrowa skrzypnęły drzwi i dość cichy, zdumiony głos, z lekką metaliczną dźwięcznością zwrócił się do stojącego naprzeciw mężczyzny:

– Dżawathanie, prosiłem cię, żebyś nie włączył się po terenie.

Czyjaś ręką wyjęła berettę z dłoni Kiryła, Dżawathan zawahał się, wsunął stieczkina za pas i szybko wyszedł innymi drzwiami. Wychodząc, musiał się pochylić.

Kirył odwrócił się – za nim stał Dżamałudin. Telefon nadal dzwonił, w końcu Kirył odebrał.

– Halo? – powiedział. – Halo, Fiodorze Aleksandrowiczu, nie słyszę pana! Jest słaby zasięg, oddzwonię później!

– Chodźmy – powiedział Awar.

Ale nie poszli, tylko pojechali. Dżamałudin wskazał mu przednie siedzenie swojego opancerzonego hummera. Wsiadając, Kirył zaczepił o karabin ze skróconą kolbą. Broń leżała na skos, lufą wpierając się w podłogę, rękojeść spoczywała dogodnie przy skrzyni biegów.

Hummer wyjechał za bramę. Nie towarzyszył im żaden wóz. Kirył ze zdumieniem spostrzegł, że on i Dżamałudin są w pojeździe sami.

Wodrow odchylił się na twarde oparcie i w milczeniu patrzył przed siebie, gdzie przed żółtymi światłami reflektorów rozstępowały się drzewa. Pokryte szronem



gałęzie przypominały koralowce.

Rosjanin nie wiedział, dokąd go wiozą, ale rozumiał, że po spotkaniu z Dżawathanem Askerowem jego szanse na znalezienie się w rowie z poderżniętym gardłem wzrosły astronomicznie. Własna siostrzenica, nawet jeśli wyszła za mąż za niewłaściwego człowieka, to jedno, a terrorysta, za którego głowę Moskwa dawała milion dolarów, to już zupełnie co innego. Dżawathana Askerowa w żaden sposób nie można było nazwać pokojowo nastawionym cywilem. Jego zdjęcie widniało na każdym posterunku, tuż obok podobizny Wahy Arsajewa. Fotografie Askerowa opatrzone napisem: „Dorwiemy cię”, pod zdjęciem Arsajewa znajdowała się informacja: „Zastrzelony jak pies”.

Po raz pierwszy Kirył zrozumiał, że na tym terenie, formalnie podlegającym Federacji Rosyjskiej, jego życie zależy wyłącznie od kaprysu Dżamałudina. Kemirow mógł zabić lub porwać dowolnego człowieka w Besztoju, nie ponosząc żadnych konsekwencji. „Da Komissarowowi pół miliona i powie, że to zrobili terroryści” – pomyślał Kirył.

Za zakrętem drogi mignęła kamienna wieża, dżip z piskiem skręcił, kierując się ku szczytowi. Domy zniknęły, w świetle księżyca Kirył widział wysoką górę, którą tarasy przemieniły w piramidę schodkową. Każdy fragment ziemi został starannie oczyszczony z kamieni. Bryły skalne ułożono z boku, sadzonki drzewek brzoskwiniowych osłonięto drewnianymi skrzynkami.

Zielone drogowskazy z imionami Allaha stały teraz na każdym zakręcie, jakby kierując przejeżdżających do nieba. Ostatni odcinek drogi zalewało światło tysiącwatowych reflektorów, bijące ze ścian zamku.

Na wieży nudzili się żołnierze z karabinami. Brama rozjechała się na boki, wpuszczając hummera. Kirył i Dżamałudin wjechali na teren zamku i zatrzymali się przed tylnym gankiem dość niepozornego, dwupiętrowego domu.

Kirył przypomniał sobie powtarzaną w Besztoju wypowiedź Dżamałudina, że nikogo nie trzyma w piwnicy, bo klatki stoją na dworze. Ciekawe, jak to jest, czuć się panem życia i śmierci każdego człowieka w tym rejonie? Nic dziwnego, że federalowie nie mogą dorwać współników Arsajewa, skoro ci siedzą w bazie wypoczynkowej FSB.

– Wysiadaj – polecił Dżamałudin.

Kolacja czekała w salonie na pierwszym piętrze.

Od stosu szaszłyków, ułożonych na półmisku, bił odurzający aromat, obok świeżych placków z twarogiem stała cała bateria butelek smakowej i mineralnej wody Kemir – produkowanej, jak wynikało z nazwy, przez firmę Zaura.

Kirył usiał przy stole, a Dżamałudin nalał mu do szklanki wody mineralnej. Wodrow zwrócił uwagę, że metalowy kapsel Dżamałudin zdjął palcami.

– I co masz zamiar zrobić? – spytał Kemirow.

– Wiesz, co powinienem zrobić – odparł Wodrow.

– On wyjedzie. Jeszcze dziś w nocy. Wyrobią mu papiery i wyjedzie. Zrobił to, co musiał zrobić, i teraz nie chce walczyć po żadnej stronie.

– A po czyjej stronie ty walczysz?

Dżamałudin nie odpowiedział, tylko wybrał soczysty szaszłyk i położył na talerzu Kiryła.

Baranina smakowała wyśmienicie, jedli w skupieniu. Porcelanowy półmisek był już prawie pusty, gdy drzwi stanęły otworem i do salonu weszła z tacą dwudziestokilkuletnia kobieta. Miała na sobie czerwoną suknię, wyszywaną białymi i czerwonymi kwiatami, i białą chusteczkę, opinającą pełną twarz o regularnych rysach, mięsistych wargach i ciemnobrązowych oczach z bursztynowym odcieniem. Na widok kobiety zmęczona twarz Dżamałudina rozjaśniła się od wewnątrz, jak abażur, pod którym zapalono lampkę. Kemirow nie wstał jednak, nie objął kobiety, a jedynie powiedział coś ostro po awarsku.

Kobieta postawiła na stole pękaty czajniczek, pokryty zielonymi zawijasami arabskich słów, ustawiła filiżanki i opuściła pokój. Po jej wyjściu twarz Awara znów zgasła. Podniósł się, w milczeniu nalał herbatę. Mięśnie, rozpierające krótkie rękawy podkoszulka, kontrastowały z niemal chorobliwą chudością jego ciała i ciemnymi, jakby zapatrzonymi w nicość oczami.

– Chcę cię o coś spytać – odezwał się Kirył. – Po tamtej stronie tunelu, na równinie, jest nogajska wieś Dżarli. Zniszczyła ją powódź, a przekazane później pieniądze na jej odbudowę rozkradziono.

– To nie pierwsze pieniądze skradzione w republice – zauważył Dżamałudin.

– Zgoda, ale tym razem to była żywa gotówka. Cztery miliony dolarów żywej gotówki. Nie przesyłane na rachunek podstawionej firmy, lecz wypłacane do rąk własnych, za pokwitowaniem. Szef administracji podrobił podpisy mieszkańców i wziął za nich pieniądze. Nawet jak na waszą republikę to już przesada. Dwukrotnie byłem u tych ludzi, ale oni nie chcą napisać podania. Dlaczego?

– Bo już pisali – odparł Dżamałudin.

– I co?

– Szef administracji to stary przyjaciel Gamzata Asłanowa. Gamzat dostał szau na wieś, że ten ukradł cztery miliony i się z nim nie podzielił. Wsadził go więc do piwnicy i trzymał dopóty, dopóki przyjaciel nie oddał mu miliona.

– A wieś?

– Gdy Nazim oddał milion, Gamzat wezwał prokuratora Nabijewa. Prokurator przysłał do wsi kontrolę. Cała wioska żyje z połowu ryb, zwykle kłusownictwo. Kontrola zajęła wszystkie rybackie łajby i Nogajowie wycofali skargi. Poza tym teraz, po tej kontroli, od każdej łódki płacą po dwa tysiące rubli prokuratorowi.

– A wcześniej?

– Wcześniej płacili tylko milicji rejonowej – odparł Dżamałudin.

Kirył nie skomentował.

– Gdyby należeli do waszego rejonu, nie doszłoby do tego? – zapytał jeszcze.

Dżamałudin podniósł wzrok i spojrzał badawczo na Rosjanina. Jego twarz wyrażała mniej niż wyłączony telewizor.

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj, Dżamałudynie. Wiem, co sądzisz o Komissarowie. Ale ja nie jestem głupi i nie przyjechałem tutaj po łapówki. Mógłbym napisać w swoim raporcie bardzo dużo. Że w mieście, będącym lokalnym ośrodkiem handlu, ze wszystkich bazarów przez rok do budżetu wpłynęło zaledwie trzydzieści tysięcy dolarów. Że ktoś zbudował w granicach miasta cementownię, której śladu nie ma w dokumentach, a na giełdach samochodowych są oddzielne cenniki na wozy kradzione i „czyste”. Ale przejrzałem dokumenty i dowiedziałem się, że Besztoj, mający trzysta tysięcy mieszkańców, dostał w tym roku dwadzieścia milionów dolarów z budżetu republiki. A Mesken-Jurt, na przykład, w którym mieszka pięć

tysięcy ludzi, dostał pięć milionów. Mało tego, zauważyłem pewien interesujący fakt. Dwa lata temu twój brat zapłacił dwadzieścia milionów dolarów podatku i miasto otrzymało szesnaście milionów. W zeszłym roku twój brat zapłacił dwadzieścia cztery i do kasy miasta wpłynęło dwadzieścia. Można odnieść wrażenie, że między prezydentem Asłanowem a merem Besztoju jest cicha umowa, zgodnie z którą wszystko, co Zaur wpłaca do budżetu, wraca do Besztoju pomniejszone o udział prezydenta, wynoszący dwadzieścia procent. Wychodzi na to, że Besztoj nie dostaje innych pieniędzy oprócz tych, które płaci Zaur.

Awar z uśmiechem rozgryzł ocukrzony orzeszek.

– Przeszedłem się po mieście – mówił dalej Kirył. – Rzecz jasna, wedle miar jakiejś tam Finlandii to dziura, ale jak na rosyjskie standardy miasto rozkwita. Wszedłem do nowego szpitala. Z dokumentów wynika, że kosztował sześć milionów, i już przyjmuje pacjentów. Widziałem identyczny szpital w Torbikale – włączono w niego dwadzieścia siedem milionów, a budowa nie wyszła poza fundamenty. W waszej republice kradną wszyscy. W waszej republice szef administracji może przywłaszczać sobie cudze pieniądze, podrabiając podpis żyjącego człowieka. Nie przypuszczam, żeby twój brat okradał republikę. Myślę raczej, że to on utrzymuje miasto.

– I co w tym złego? – spytał Dżamałudin.

– Boję się. Boję się bardziej niż w nogajskiej wsi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że twój brat utrzymuje nie tylko miasto, ale i armię. Po co ci dwustu ludzi z AGS-ami? Po co ci twój osobisty specnaz? Szef MSW nazywa cię bandytą, ale ja jeszcze nie widziałem bandytów z granatnikami – żeby wyciągnąć kasę od sklepikarza, wystarczyłoby żelazko! A skoro potrzebujesz granatników do ochrony miasta przed terrorystami, to co terrorysta numer dwa, zaraz po Arsajewie, robi w twojej bazie?

Dżamałudin wstał i gestem poprosił, żeby Kirył udał się za nim. Drzwi z salonu prowadziły do niewielkiego pokoju z ukośnym oknem mansardowym. Jak wszystko w tym domu, pokój nosił piętno ascetyzmu. Nie było tu nic prócz wąskiego łóżka, szafy z lustrem i białych ścian. Za szafą stał wysoki stolik, na nim leżała stara

arabska książka. Nawet domek gościnny w bazie wypoczynkowej wydawał się bardziej luksusowy.

– To mój pokój – oznajmił Dżamałudin. – Dzisiaj będziesz tu spał. Nie chcę, żeby coś się przydarzyło moim gościom.

– A co się przydarzyło kasynu twojego brata?

– Widzisz, my, ludzie gór, angażujemy się całym sercem. Zdarzało się, że ktoś przegrywał dom albo i cały majątek. Chciałem sprawdzić, na czym polega opętanie przez szajtana, i niestety sam uległem pokusie. Dobrze jeszcze, że mój brat, przerażony, że mógłbym przegrać wszystko, zamknął swoje kasyno.

– Idris mówił, że spaliłeś jego kasyno, żeby odebrać mu biznes.

– To nieprawda.

Kirył odezwał się po chwili milczenia:

– Czułbym się lepiej, gdyby to była prawda.

– Dlaczego?

– Podobno ludzie Arsajewa osiem lat temu pobili prostytutki i ich klientów. Co w takim razie różni cię od Arsajewa?

Chudy mężczyzna średniego wzrostu, z zapadniętymi policzkami i ciemnymi, krótko ostrzyżonymi włosami, odpowiedział po dłuższej chwili:

– To, że nie jestem po jego stronie.

W oddziale Dżamałudina był chłopak o imieniu Taszow. Mistrz świata w kickboxingu w wadze superciężkiej miał dwa metry osiem centymetrów wzrostu, ważył sto pięćdziesiąt kilo i każdy gram tej wagi stanowiły kości i mięśnie, tłuszczu nie było w nim w ogóle. Jednym słowem, robił duże wrażenie.

Taki wygląd przysparzał Taszowowi niemało kłopotów: każdy człowiek, który przychodził do Taszowa z pretensjami, natychmiast zdawał sobie sprawę, że nie zdoła go pobić, i od razu zaczynał strzelać. Na widok takiej góry mięśni nawet nie próbował nic mówić, tylko ze strachu od razu wyciągał broń.

Do Taszowa strzelano pięć razy, za każdym razem z jakiegoś kompletnie nieistotnego powodu. Jednak kule nie zrobiły mu krzywdy, nawet ta, która weszła w skroń, nie spowodowała większych uszkodzeń. Jedynym efektem było to, że, jak

głosiła obiegowa opinia, Taszow nabrał rozumu.

Taszow miał dwie siostry, które dobrze wydał za mąż, i matkę staruszkę, którą kochał nad życie. Nawet uparł się, żeby matka nie mieszkała z zamężnymi siostrami, tylko z nim, co było bardzo niespotykane.

Tej zimy Taszow zabrał matkę na *hadż*<sup>1</sup>. Tak się złożyło, że w autobusie, którym jechali do doliny Mina, było kilku Czeczenów, a kierowca autobusu też był Czeczenem. Ci Czeczeni byli bardzo dobrze ubrani i każdy z nich miał dużą torbę z napisem „Fundusz im. Kadyrowa”, na kurtkach zaś widniało: „Pamięci Achmata-Hadżiego Kadyrowa”. I chociaż jechali do doliny Mina, więcej mówili o Kadyrowie niż o Allahu. Opowiadając później o tej podróży, Taszow zawsze się dziwił, że na Koranie, który każdy Czeczen wiózł w białej torbie, widniał napis: „Wydano ze środków Fundacji Kadyrowa” zamiast „Wydanie poprawione i uzupełnione przez Kadyrowa”.

Ale mniejsza z tym. Taszow zauważył, że jak tylko autobus z pielgrzymami wjechał do doliny, jeden z Czeczenów zaczął uzgadniać coś z kierowcą. I choć kierowca po drugiej wojnie czeczeńskiej zamieszkał obok Mekki, a pasażerowie mieli torby od Kadyrowa, dość szybko znaleźli wspólny język. W końcu wszyscy mówili przecież po czeczeńsku.

Jakiś czas potem Taszow spostrzegł, że autobus mija tabliczkę z przekreślonym napisem „Mina” i jedzie dalej.

– Stój! – zawołał Taszow. – Dokąd my jedziemy?

Okazało się, że kierowca autobusu ma dziś wesele siostry i na wieść o tym Czeczeni postanowili mu towarzyszyć.

– Bardzo to wszystko pięknie – powiedział Taszow – ale ja osobiście nie przyjechałem tu na czeczeńskie wesele. Przyjechałem, żeby ukamienować szatana i inni pasażerowie przybyli w tym samym celu. Dlatego jeśli nie chcecie, żebyśmy zamiast szatana ukamienowali wasze wesele, jedźcie tam, dokąd mieliście jechać.

Ludzie w autobusie zaczęli się spierać: Czeczeni chcieli na wesele, inni pasażerowie chcieli kamienować szatana i w końcu ci drudzy wygrali spór.

Do bijatyki jednak nie doszło – przecież autobus jechał nie gdzieś tam, lecz doliną Mina, i nie wypadało bić się w świętym miejscu. Poza tym, przyjrząwszy się

Taszowowi, uznano, że bijatyka z tym gościem nie ma sensu, ani w świętym miejscu, ani w żadnym innym.

I tak Taszow hadzi odwiedził Mekkę, bardzo zadowolony, a jego matka była wprost przeszczęśliwa. Mieszkali sobie, jak dawniej, w dwupokojowym mieszkaniu na przedmieściach Besztoju, Taszow dzień i noc trenował w bazie Dżamałudina, a rano i wieczorem robił matce zakupy. Krążyły plotki, że nawet pomaga w kuchni i robi pranie.

Jednak jeden z Czeczenów z tamtego autobusu okazał się bardzo pamiętliwy. Nazywał się Ismaïł, i co najciekawsze, w ogóle nie był z Czeczenii. Pochodził z sąsiedniego rejonu chalińskiego – cała jego rodzina mieszkała w dużej czeczeńskiej wiosce o nazwie Nowokarskie. Pewnego dnia Ismaïł przyjechał do Besztoju i wynajął dwóch narkomanów, żeby ci dali nauczkę Taszowowi. Zapłacił im jakieś grosze, bo nie chodziło o to, by go zabili, a tylko trochę obili.

Narkomani zaczęli się na Taszowa i gdy rano wyszedł z mieszkania, żeby kupić chleb, przydybali go na klatce schodowej. Taszow był bez broni, w klapkach na grubych skarpetach, ale jak już powiedzieliśmy, każdy człowiek, który go ujrzał, od razu tracił chęć do bójki – trudno jest pobić koparkę.

Dlatego na widok Taszowa jeden z narkomanów szybko zbiegł na dół do wyjścia, a drugi wyciągnął broń i zaczął strzelać. Pierwsza kula trafiła Taszowa w nogę, druga w bok, trzecia musnęła głowę. W tym momencie matka Taszowa, słysząc strzały za drzwiami, wyskoczyła na klatkę z łyżką wazową.

I czwarta kula trafiła matkę Taszowa.

Na Taszowie kule nie zrobiły żadnego wrażenia i gdy drugi Czeczen to zobaczył, również rzucił się do ucieczki. Taszow pognał za nim.

Czeczeni wskoczyli do żiguli i odjechali, jednak Taszow nie odpuścił. Gdy zrozumiał, że nie dogoni jednak samochodu, złapał z pobocza kawał betonowej rury, która tam akurat leżała, i rzucił nią w pojazd. Rura uderzyła w wóz z taką siłą, że ścięła prawe światło i wgniotła bok.

Taszow zawrócił do domu i tam z przerażeniem zobaczył, że matka leży na klatce bez ruchu. Przez całe swoje życie Taszow został trafiony tyle razy, że zdążył zapomnieć, że od kul można umrzeć.

Chwycił matkę na ręce i pobiegł z nią do szpitala, tak jak stał, w klapkach i skarpetach. Szpital był bardzo blisko, trzy ulice od domu. W połowie drogi Taszow wpadł na dwóch chłopaków Dżamałudina. Pobiegli razem z nim do szpitala i tam zaczęli „ustawiać” lekarzy. W pewnym momencie Taszow wyjrzał przez okno i zobaczył na dole żiguli „szóstkę” z wgniecionym bokiem.

Tak się złożyło, że jednym z najętych narkomanów był syn lekarza naczelnego szpitala. Po tym, jak Taszow rozbił im światło, bali się jeździć po mieście, dlatego wjechali na podwórko, wysiedli z samochodu i zaczęli się kłócić.

Na ten widok Taszow wyskoczył przez okno i popędził w stronę napastników. Narkomani dopadli samochodu i rzucili się do ucieczki. Taszow biegł za nimi jeszcze z kilometr, a potem wrócił do szpitala, gdzie w końcu padł i stracił przytomność. Jak już mówiliśmy, jego ciało przeszyły trzy kule, jedna trafiła w nogę, druga w klatkę piersiową, trzecia w głowę i wszystkie trzy rany były dość poważne. Dla wielu ludzi mogłyby się okazać śmiertelne, jednak Taszow nie tylko nie zmarł, ale jeszcze gonił kilerów przez dwadzieścia minut, ustanawiając tym samym absolutny rekord ofiary uganiającej się za swoim zabójcą. Gdyby była taka dyscyplina olimpijska, kolejny złoty medal Taszow miałby w kieszeni.

Odzyskał przytomność następnego dnia, a do zdrowia wracał przez trzy tygodnie. I przez całe te trzy tygodnie nikt nie odważył mu się powiedzieć, że jego matka nie żyje. Że zmarła jeszcze na klatce schodowej. Kula weszła prosto w serce, z którego nawet nie wypłynęła krew.

Góry mają pewną zdumiewającą specyfikę: wszystko widać jak przez szkło, a słyszać jak w Teatrze Wielkim. Można zataić, co się chce, niemal w każdym miejscu na ziemi: wydarzenia w biurze politycznym, incydenty w sypialni amerykańskiego prezydenta, jednak tego, co się stało między jednym góralem a drugim, ukryć się nie da.

Dwa dni po śmierci matki Taszowa cała Awaria i cała Czeczenia wiedziały, kto tę kobietę zabił i dlaczego. Znano okoliczności zamachu i nazwisko zleceniodawcy, znano nazwiska obu narkomanów, wiadano, kim są ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie.



Szapi Czarachow, naczelnik milicji miasta Besztoj, rzecz jasna również wiedział to wszystko. Zresztą, co tam Szapi! Te trzy nazwiska znał każdy pryszczaty gliniarz, który przy wjeździe do miasta zarabiał na wesele siostry. Jednak ani Szapi, ani żaden z jego podwładnych nie podjął w tej sprawie żadnych działań.

Jak już powiedzieliśmy, zleceniodawca nazywał się Ismail i mieszkał w rejonie chalińskim. Przez trzy dni po strzelaninie ukrywał się, lecz gdy usłyszał, że Taszow nieprędko wyjdzie ze szpitala, pojechał do rodzinnej wsi. Głównie po to, żeby zabrać żonę i dzieci.

Na podwórzu powitał go ojciec. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat i cieszył się we wsi poważaniem. W rękach trzymał strzelbę myśliwską, tak starą, że jej rudy pas rozsechł się i popękał. Na dumnie podniesionej głowie Musy tkwiła czarno-biała barankowa czapka.

– Wejdz do domu – powiedział Musa. – Chcę z tobą porozmawiać.

Ismail spojrział na boki, spodziewając się zasadzki, ale na ulicy nie było ani śladu obcych samochodów. Zdjął buty i wszedł do izby. Była tak niska, że Ismail nie mógł tam stać wyprostowany, nie ośmielił się jednak usiąść przy ojcu i został tak, zgięty, przy lodówce.

Tymczasem ojciec Ismaila przeładował broń, wycelował w syna i zapytał:

– Prawda to, żeś się pokłócił w czasie hadżu z Taszowem hadżim i wynająłeś dwóch narkomanów, żeby go zabili?

– Wcale nie po to, żeby go zabili! – zaprotestował Ismail. – Chciałem tylko dać mu nauczkę!

– Nigdy nie było z ciebie nic dobrego. I nie to mnie dziwi, że żyjesz, tylko że żyje jeszcze cała nasza rodzina – oto, co mnie dziwi. Nie będę czekał, aż twoi bracia zginą, próbując pomścić śmierć takiego łajdaka jak ty. Już lepiej będzie, jak wezmę wszystko na siebie.

Z tymi słowami ojciec Ismaila nacisnął spust. A potem wyszedł z domu i zwrócił się do dwóch młodszych synów:

– Zabierzcie to, co leży w naszej kuchni. I niech nikt nie przychodzi z kondolencjami.

Ismaila, winnego śmierci starej Hadizat, zabił jego własny ojciec, a drugiego Czeczena, tego, który strzelał, zarżnięto tydzień po tym, jak Taszow wyszedł ze szpitala.

Po kolejnych dziesięciu dniach do Dżamałudina przyjechał były komendant polowy Arzo Hadżijew. Przyjechał wstawić się za trzecim uczestnikiem całego zdarzenia, tym, który był z zabójcą. Chłopak był synem naczelnego lekarza szpitala miejskiego, a z kolei ów lekarz, chirurg – dalekim krewnym Arza Hadżijewa – tak dalekim, że gdyby nie był znanym człowiekiem, nie uważano by go za krewnego. Ale ponieważ był bardzo dobrym chirurgiem i szanowanym człowiekiem, Arzo przyznawał się do pokrewieństwa.

Hadżijew przywiózł prezenty dla młodszego syna Dżamałudina i jego drugiej żony, długo jedli przy wspólnym stole, a po wieczornym salacie obaj weszli na piętro do skromnie urządzonego salonu. Tam usiedli po dwóch stronach małego stolika do szachów, na którym stał talerzyk z orzeszkami i serwetnik, i Arzo powiedział:

– Przyjechałem do ciebie w imieniu mojego krewnego Dżabraiła, żeby wstawić się za jego synem. Taszow gotów jest zmywać talerz, z którego jesz, i pić wodę po twoim obmyciu. Po śmierci matki tylko ty jesteś dla niego autorytetem. Poproś go, żeby wybaczył Rusikowi, a całą resztę Dżabraił bierze na siebie.

– To sprawa Taszowa – odparł Dżamałudin. – Będzie tak, jak on zdecyduje.

– Posłuchaj, Dżamalu – rzekł Arzo. – Wiesz dobrze, że Rusik nikogo nie zabijał i nie na to się pisał. To jedyny syn Dżabraiła, a teraz ukrywa się po norach... Jego stara matka zaniemogła na serce.

– Lepiej nie mieć żadnego syna niż takiego.

– Dżabraił wyciągnął z Taszowa trzy kule. Taszowowi zostało wtedy w ciele z pół litra krwi. Dżabraił zajął się nim, choć wiedział, że operuje człowieka, który zabije mu syna. Taszow i Rusik są teraz jak bracia, życie podarował im ten sam człowiek.

– Współczuję nieszczęściu Dżabraiła. To porządny gość. Ale co wart jest ojciec, który nie umie wychować własnych dzieci? Nie będę się wtrącał do tej sprawy.

Arzo długo milczał, w końcu wyprostował rękę, wziął z melchiorowego

wazonika serwetkę i zaczął rysować na niej jakiś plan.

Najpierw pod ołówkiem Arza pojawiły się zarysy dwóch równoległych ulic i ich nazwy. Potem równe trójkąty gór. Potem kwadracik z napisem „wójt”. Na samej górze Arzo dopisał „Tlenkoj”. Pokazał serwetkę Dżamałudinowi, wyjął z kieszeni zapalniczkę i pstryknął. Trzymał serwetkę bez ruchu, aż dopaliła się do samych palców.

– Kulawy Isa. I jego brat – powiedział cicho Czecen. – O niczym nie słyzałeś.

Dżamałudin w milczeniu patrzył na popiół po serwetce. Potem wstał i stwierdził:

– Porozmawiam z Taszowem.

Dżamałudin odprowadził Arza do samochodu i objął go na pożegnanie, a następnie poszedł do sali bankietowej, rozmiarami przypominającej suchy dok dla atomowych okrętów podwodnych. Siedziało tam pięciu ludzi. Jedni oglądali telewizję, inni, jak Hagen i Szapi, grali w szachy. Taszow, który wylizał się już z ran, siedział na stopniach prowadzących na pierwsze piętro i nożem desantowym wycinał jakiś posążek.

Dżamałudin podszedł do Aryjczyka i półgłosem wydał polecenia.

– Ilu ludzi? – zapytał Hagen.

– Wystarczą ci, którzy mają dyżur. Skontaktuj się z Hadżimuratem. Powiedz, żeby sprawdził drogę. Rosjanin śpi?

Hagen skinął głową.

Gdy dziesięć minut później hummer Dżamałudina wjechał do bazy, na placu przy poligonie stało dziesięciu bojowników. Drugi pluton już wyjechał w góry.

Cały świat spał, prócz wartowników na wieży. Padający w ciągu dnia deszcz zamarzał i spadał dużymi, leniwymi śnieżynkami. Krzaki i szczeciniasta trawa znów były białe. Plama światła przed bojownikami wyglądała jak żółtko jaja wśród świeżo spadłego śniegu.

Dżamałudin podniósł rękę, dając znak „do wozów”, i w tej samej chwili do kręgu światła wszedł szczupły człowiek w welwetowych spodniach i skórzanej kurtce.

To był Kirył Wodrow.

Dżamałudin wymienił spojrzenia z Hagenem. Kirył obrzucił wzrokiem ludzi

z granatnikami i snajperkami, wzdrygnął się z zimna i powiedział:

– Będziesz mnie musiał albo zastrzelić, albo wziąć ze sobą.

Dżamałudin spojrział uważnie na Rosjanina. Bez wątpienia nie żartował. Z tym federalem było coś dziwnego... A najbardziej zdumiewało Kemirowa to, że do tej pory nie poprosił go o pieniądze. Nawet po historii o Dżawathanem.

– Masz zwyczaj pchania się za mną tam, gdzie nie trzeba – powiedział Dżamałudin i wskazał jednego z bojowników zostających w bazie, który wzrostem i budową przypominał Wodrowa. – Masz czterdzieści sekund, żeby się przebrać i wziąć broń.

Po dwóch kilometrach od wyjazdu z bazy trzy dżipy zjechały z trasy i znalazły się na górskiej łące przeciętej drogą gruntową. Kirył w pierwszej chwili pomyślał, że to ta sama droga, którą wożono ropę, ale potem zrozumiał, że nie: tutaj nie było posterunków.

Ominęli jeszcze trzy wzgórza i wjechali w niskie zarośla, gałęzie szorowały po dachu samochodu. Dopiero wtedy Kirył uświadomił sobie, że jadą tą samą drogą, którą terroryści przyszedli do szpitala położniczego, tylko w przeciwnym kierunku. Poruszali się bez świateł, kierowca z noktowizorem na głowie przypominał cyborga.

Droga nie była patrolowana, raz tylko Kirył zobaczył przy krzaku dwie sylwetki z bronią. Nim zdążył się wystraszyć, jedna z nich podniosła rękę w powitalnym geście – Wodrow zrozumiał, że to ludzie Dżamałudina.

Potem droga wychynęła ze zwisających nad nią krzaków i ostro ruszyła w górę. Wiła się jak trasa slalomu. Gdy wjechali na przełęcz, noc była już tak gęsta, jakby cały świat zalano bitumem i oświetlono powierzchnię martwym żółtym światłem księżycowego reflektora. Ludzie Dżamałudina zdjęli z wozów tablice rejestracyjne i wrzucili je do bagażnika. Z tego samego bagażnika Dżamałudin wyjął puszysty zielony dywanik, sprawdził na kompasie kierunek, w którym znajdowała się Mekka, rozpostarł dywanik i zaczął się modlić. Jego ludzie uklękli za nim, większość zamiast dywaników rozłożyła kurtki.

Podczas gdy ludzie Dżamałudina powtarzali salat za imamem, Kirył siedział w wozie i w milczeniu gniótł niezapalonego papierosa. Nie mógł uwolnić się od myśli, że cztery lata temu w tym samym miejscu być może tak samo modlili się

ludzie Wahy Hunkarowa.

Pół godziny później dwa cruisery i niwa bez tablic zjechały z przełęczy i pokonawszy dwa kilometry drogi gruntowej, znalazły się na zniszczonej drodze w jakiejś wsi. Pierwszy dżip skręcił w zaułek, pozostałe wozy minęły dwa ogrodzenia i stanęły przed zamkniętą bramą jednego z domów. Wszyscy naciągnęli wełniane kominiarki z wycięciami na oczy.

Z niwy twardym krokiem wyszedł Hagen z rurą na ramieniu. Wycelował i strzelił – bramę z hukiem zerwało z zawiasów, a język płomienia za plecami Hageny liznął betonowy słup po drugiej stronie drogi.

Kirył pobiegł za Dżamałudinem. Na podwórku, jak to zwykle bywa na Kaukazie, stał nie jeden dom, lecz kilka. Na małeńki placzyk między nimi ledwie mogły się wcisnąć dwa samochody.

Główny budynek znajdował się po lewej stronie. Zbudowany w czasach radzieckich, teraz wyglądał na podniszczały. W cegle wykuto rok: 1971. Pomędzy domem a ogrodzeniem, po lewej stronie, stała wiata, w której suszyły się cebula i ziemniaki, wąskie przejście wiodło do wygodki. Z przodu, po prawej stronie był jeszcze jeden piętrowy, niski domek. Przed uchylonymi drzwiami, na dywaniku, stały dwie pary znoszonych butów. Gdy Kirył wbiegł na podwórko, drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich zgarbiona osiemdziesięcioletnia starucha.

Dżamałudin dwoma susami przeskoczył na kamienny ganek i wpadł do głównego budynku, a Kirył, sam nie wiedząc dlaczego, pobiegł za Hagenem do domku z kapciami. Może z obawy o staruszkę.

Przebiegł obok kobiety, która zaczęła krzyczeć po czeczeńsku, i znalazł się w pomieszczeniu będącym ni to kuchnią, ni to sienią, z poszarzałą lodówką i drewnianym stołem, na którym stała miska z mlekiem z wkruszonym chlebem. Z kuchni wychodziło dwoje drzwi, na prawo i na lewo. Hagen szarpnięciem otworzył pierwsze, Kirył drugie.

Za drzwiami była sypialnia, wąska niczym tramwaj, z dwoma żelaznymi łózkami po dwóch stronach wąskiego jak przedział przejścia. Na jednym siedział stary Czeczen, boso, ale w papasze. Kiryła uderzył w nos nieznośny smród biedy i brudnych naczyń, wszędzie taki sam, czy to w moskiewskim mieszkaniu

komunalnym, czy to w czeczeńskiej szopie.

Wodrow zrozumiał nagle, że to właśnie są gospodarze, tylko mieszkają w małym domku, bo duży, kamienny, jest przeznaczony dla synów i dla gości.

Na dworze huknął strzał, potem drugi i Kirył zobaczył w oknie magnezową poświatę granatu hukowo-błyskowego.

Hagen odsunął Kiryła, pchnął starego lufą w brzuch i wrzasnął:

– Gdzie Isa? Gdzie jest Isa, mów szybko, bo ci flaki wypruję?

Stara Czeczenka podbiegła do Kiryła z tyłu, chwyciła go za rękę. Wodrow pchnął ją łokciem tak, że odleciała na łóżko, ale zerwała się od razu, teraz wrzeszczała jeszcze głośniejsze. Za płotem terkotały strzały.

Kirył wybiegł na dwór i zobaczył, jak z głównego domu Dżamałudin wyciąga bosego chłopaka w spodniach moro i białym podkoszulku. Ciągnął chłopaka po ziemi jak worek, chyba ogłuszonego. Na podwórzu tyłem wjeżdżał dżip. Dżamałudin wrzucił chłopaka pod tylne siedzenie. Od razu wskoczył za nim Taszow, lufa jego broni wbiła się w chłopakowi w kark.

Kirył spostrzegł, że za głównym budynkiem jest ślepy zaułek, w którym stoi czarny, wypucowany dżip bmw. To był pierwsza oznaka dostatku, jaką Kirył tutaj zobaczył. Przez otwarte drzwi głównego domu dojrzał jeszcze kobierce na ścianach i biegnące na górę schody. Na dywanie, twarzą do podłogi, leżało trzech ludzi, nad nimi stali z automatami Abrek i Szahid.

– Wynosimy się – rozkazał Dżamałudin.

Hagen wypadł z domu i wskoczył na przednie siedzenie dżipa, Kirył siadł z tyłu, nad nogami jeńca. Samochód już wyjeżdżał z bramy, gdy Rosjanin obejrzał się i zobaczył, że Dżamałudin stoi pośrodku podwórza i strzela do bmw. Za drugim razem trafił w bak i wóz stanął w płomieniach.

Ze wsi wyruszyli w takim pędzie, że wydawało się, iż nie tyle ludzie, ile raczej przydrożne kamienie wciskają się w ziemię podczas jazdy. Czterdzieści minut później wyjechali na przełęcz, a po dwóch godzinach na równą asfaltową drogę.

Minęli Besztoj, zatrzymali się dwa kilometry od miasta, przy odległym końcu cmentarza. Dopiero wtedy Kirył zorientował się, że wzięli nie jednego jeńca, lecz dwóch. Pierwszy, bosy, w spodniach moro, jechał pod nogami Kiryła. Jak

z urywanych zdań wywnioskował Kirył, to był właśnie ów Isa, którego szukał Hagen. Drugiego wyciągnięto z dżipa, który wjechał na równoległą ulicę. Kirył przypomniał sobie strzelaninę w tamtej części wsi i domyślił się, o co chodzi. Drugi chłopak nie mógł iść, próbował skakać na jednej nodze, ale upadł na ziemię. Taszow przerzucił go sobie przez ramię i niósł jak zwinięty dywan.

Szli odśnieżonymi drózkami między jednakowymi, jak na wojskowym cmentarzu, grobami, z identycznymi granitowymi płytami, z jednakowym dniem, godziną i minutą śmierci. Za Czeczenem, który wisiał na ramieniu Taszowa, ciągnął się łańcuszek kropli krwi, odcinających się od bieli śniegu. Isa szedł lekko, jakby ze wzgardą. Wydawało się, że jest mu wszystko jedno.

Doszli do cmentarza, do meczetu z minaretem, podobnym do kłosa pszenicy.

Pięć metrów od meczetu zaczynało się pustkowie ze ściętymi niedawno pniami drzew. Jasnowłosy Hagen podszedł do potężnego pnia półmetrowej średnicy i rozszczepił go dwoma uderzeniami siekiery. Pęknięcie doszło niemal do korzenia. Jeden z ludzi Dżamałudina wbił w nie kołek.

Dwaj bojownicy ściągnęli z młodszego Czeczena spodnie i posadzili go okrakiem na pniu tak, żeby genitalia znalazły się w szczelinie. Obok stanął człowiek z kamerą, widocznie nadającą się do kręcenia w trybie nocnym. Isę zmuszono do ukłęknięcia obok.

Kirył stanął bokiem i zasłonił oczy ręką. Nie chciał patrzeć, jak tego człowieka będą przesłuchiwać w takiej pozycji, to było zbyt poniżające.

W chwilę później rozległo się trzaśnięcie wybijanego klina i zaraz po nim nastąpił dziki wrzask. Kirył spojrział w stronę, z której dochodził. Isa, na kolanach, szarpał się w rękach oprawców. Młodszy chłopak leżał na pniu bez ruchu. Kirył pomyślał, że ofiara straciła przytomność, ale w tym momencie Taszow wziął chłopaka pod pachy, wyciągnął jak rzepę z grządki i rzucił na śnieg.

Jeniec był martwy. Miedzy nogami miał czarną miazgę. Twarz, wykrzywiona bólem, przemieniła się w straszliwą maskę. Patrząc na nią, człowiek wolałby umrzeć każdą śmiercią, tylko nie tą, jaką zginął chłopak. Miękki śnieg pod trupem szybko zabarwiał się na czerwono i różowo.

W pień znowu wbito klin. Dżamałudin i Hagen złapali Isę za ręce i powlekli do

pnia.

– Nie! Nie! – wrzasnął Isa.

Dżamałudin podniósł ręce i jeniec padł na ziemię. Najbardziej przerażające było to, że człowiek z kamerą nadal nagrywał.

– Potrzebuję Ashaba i Rudego. Powiesz, gdzie są, i umrzesz jak mężczyzna – rzekł Dżamałudin.

– Nie wiem... Naprawdę nie wiem, gdzie jest Ashab. Widziałem go dwa lata temu. Mówią, że go zabili, w Moskwie, że zginął w walce. Rudy był z Doku. Podobno wrócił na miesiąc do domu, a potem zgarnęli go federalowicze, w czasie jakiejś kontroli. Podobno teraz jest w bazie. Żona chodziła go wykupić, chcieli dziesięć tysięcy.

– Wykupiła?

– Nie wiem.

– Gdzie Borys Natuchajew?

Kirył drgnął, słysząc kabardyjskie nazwisko. Wiedział, że bojownicy, którzy zajęli szpital położniczy, wywodzili się z różnych grup narodowych, znalazło się wśród nich nawet dwóch Rosjan. Był tam też jeden Kumyk, dwóch Karaczajów, z dziesięciu Awarów i jeden Kabardyjczyk. I właśnie ten Kabardyjczyk nazywał się Natuchajew. Jeśli wcześniej, gdy mówiono o Ashabie i Rudym, nie był jeszcze pewien, o co chodzi, teraz nie miał już wątpliwości.

– W Torbikale. Cały czas był z Wahą, miał dokumenty na nazwisko Dzojew, wydane we Władykaukazie. Nazywał się Borys, Borys Dzojew. Dwa tygodnie temu widziałem go na ulicy. Przysięgam, nie rozmawiałem z nim, szedł z jakąś kobietą. Chciałem go zagadnąć, a potem pomyślałem, że to nie ma sensu.

– Gdzie ta ulica?

– Sklep z pamiątkami, naprzeciwko drugiego komisariatu. Właśnie wyszli ze sklepu, dokładnie pamiętam.

– Jak wyglądała dziewczyna?

– Miejskowa. Przy tuszy, trzydzieści lat. Blondynka, farbowana.

– Ty zaminowałeś piwnicę?

– Ja.



– Jak był uzbrojony materiał wybuchowy?

– Przecież widziałeś.

Dżamałudin uderzył Czeczena ręką noża desantowego i powiedział:

– Zła odpowiedź.

– Prawie nie mieliśmy materiałów wybuchowych. Trzy butelki. Plastikowe, dwulitrowe. Kulki i trotyl. Zakładaliśmy, że jak zajmiemy bazę, to przechwycimy bomby lotnicze. Tam jest FAB-500, materiał wybuchowy w ogóle nie był potrzebny. Kiedy wpadliśmy do szpitala, Waha zszedł do piwnicy, zobaczył tam butle z gazem i mówi: „To nie gorsze od FAB, minujcie”. Od przygotowywania wybuchu było trzech: ja, Rustam i Kazbułat. Kazbułat powiedział: „Zwariowałeś!”, a Waha przystawił mu steczkina do głowy i wywalił mózg. Potem stwierdził: „Jeśli taka będzie wola Allaha, z głowy dzieci nie spadnie nawet włos. Stanie się tak, jak zechce Allah”. Ja i Rustam nie sprzeciwialiśmy się już, tylko zaminowaliśmy piwnicę.

– Ile było tych butli?

– Cztery. Szpital zbudowano w latach sześćdziesiątych, wierciłem w ścianach jak w spróchniałym pniu.

– Co zrobiliście?

– Po prostu przykleiliśmy plastik wybuchowy do butli. Dwa obwody, niezależne od siebie. Podczas naciągu – wybuch. Pociągnąłem kable z piwnicy, podpiąłem do zapalników i oddałem je Kerimowi.

– Co było potem?

– Po twoim odejściu Waha był zirytowany. Zdenerwował się waszą rozmową. Kręcił się po piwnicy, a potem kazał wziąć jedną butlę i zanieść na górę, żeby zaminować salę szpitalną.

– Dalej.

– Ja i Rustam wzięliśmy butlę i zanieśliśmy do sali. Postawiliśmy przy ścianie nośnej. Nie miałem już plastiku, więc dałem Rustamowi granat, cytrynkę. Rustam zaczął go patroszyć, a ja wyszedłem na korytarz i wtedy obok mnie przewieźli kobietę. Akurat zaczęła rodzić. Wszystkie pielęgniarki nieprzytomne, lekarz wskazał mnie palcem i mówi: pomożesz. Poszedłem za nim, trzymałem mu naczynie z wodą... Nie chcieliśmy tego zrobić, przysięgam, nikt tego nie chciał...

– Mówią, że Natuchajew miał drugi zapalnik.

– Nie, Borys był obok mnie. Ja trzymałem naczynie, Wołodia ciągnął dziecko, a Borys trzymał broń, żeby nikt nie wyciął żadnego numeru.

– A Rustam?

Isa nie odpowiedział.

– Rustam zajął się granatem, prawda? – spytał poufnie Dżamałudin. – Choć był jedynie twoim pomocnikiem. To ty jesteś zawodowcem. Wysadziłeś więcej federalów niż jest ziarenek w makówce. Z zamkniętymi oczami mógłbyś usunąć i zamocować fugas. Ale gdy miałeś zaminować szpital położniczy, wystraszyłeś się i poleciałeś trzymać miskę, a zaminowanie sali, w której leżało dziesięć kobiet, zostawiłeś Rustamowi, który uczył się u Chattaba może ze dwa tygodnie, a potem nawiał, bo mu było za ciężko.

– Tak.

– Gdzie jest Waha?

– Nie wiem. Nikt nie wie. On zawsze sam mnie znajdował.

Podnieśli Isę szarpnięciem i powlekli przez cmentarz. W odległym, wolnym jeszcze rogu było miejsce oczyszczone od łopianów, w świeży śnieg wbito łopatę. Czeczenowi zdjęto kajdanki, jego prawa ręką wisiała pod dziwnym kątem.

– Kop.

Isa wziął łopatę w lewą rękę i spróbował kopać. Teraz już nie płakał i nie poniżał się. Kirył miał dziwne wrażenie, że ten człowiek przemówił nie tylko dlatego, że na jego oczach brutalnie, bez żadnych rozmów, bez przesłuchania zabito towarzysza. Może faktycznie wysadzenie szpitala go przerosło? Chociaż nie przeszkodziło mu to po tamtym zamachu przeprowadzać kolejne.

Isa wbił łopatę w ziemię, ale szybko stało się jasne, że naprawdę nie może kopać. Posadzono go przy najbliższym grobowcu, a za łopaty chwycili dwaj ludzie Dżamałudina. Pół godziny później wszystko było gotowe.

Dwóch bojowników zmusiło jeńca do uklęknienia. Klęczał na przyprószonej śniegiem granitowej płycie, między dwoma plastikowymi wazonami ze sztucznymi kwiatami i na wprost przed oczami miał dwie fotografie: twarz młodej, roześmianej dziewczyny z czarnymi włosami i noworodka, może dziewczynki, a może chłopca,

bez włosów, z poważnymi, szeroko otwartymi oczami. Daty urodzin dzieliło osiemnaście lat, data śmierci była identyczna.

– Wystarczy – powiedział półgłosem Kirył. – Tego człowieka trzeba oddać prokuraturze. To cenny świadek.

Zamiast odpowiedzi Dżamałudin wyciągnął zza pasa nóż desantowy i złapał jeńca za włosy.

– Posłuchaj – mówił dalej Kirył. – On ma dwadzieścia pięć lat!...

Dżamałudin wskazał zdjęcie dziecka i powiedział:

– Ona nie miała nawet dwóch godzin.

Ostrze noża zaślnięło w świetle księżyca i w chwilę później jeniec padł na granitową płytę. Z szyi płynęła krew, czarna w ciemnościach. Isa kilka razy poruszył się jak karp wyjęty z wody i znieruchomiał. Na znak Dżamałudina dwóch bojowników podniosło ciało i wrzuciło do wykopanego dołu.

Już zbliżali się do samochodu, gdy Dżamałudin, zostawszy dwa metry z tyłu, zrównał się z Taszowem.

– Taszow – powiedział bardzo cicho – tych ludzi oddali nam zamiast Rusika. Zrozumiałeś?

Kiryła obudził o wpół do jedenastej przenikliwy dzwonek komórki. W małej sypialni domku gościnnego było ciepło jak w lecie. Jasne słońce biło przez firanki, drewniane ściany miały kolor miodu, a z uchylonego lufcika płynął zapach gór i świeżego siana.

– Śpisz? – spytał chmurnie Komissarow. Sądząc z tonu, był pewien, że Wodrow wczoraj długo i namiętnie pił. – Weź ochronę i jedź do Tlenkoju.

Kirył niejasno kojarzył, że Tlenkoj to pięcioletnia czeczeńska wieś w rejonie chalińskim.

– Bojownicy zabili siostrzeńca wójta i jeszcze jakiegoś chłopaka. Podjechali w nocy dżipami i wyciągnęli ich z domu jak barany. Strzelali, pobili starą kobietę, spalili dżipa. Jednym słowem, znów sobie pozwalają.

– I mieszkańcy naprawdę mówią, że to sprawa bojowników?

W słuchawce zapanowała cisza.

– Miejscowi – odezwał się w końcu szef komitetu nadzwyczajnego – jak zawsze twierdzą, że to robota federalów. Starucha rozpowiada, że ci dwaj, którzy ją bili, mieli jasne włosy. Ale my musimy wykazać, że to byli bojownicy. Osobiście rozmawiałem z tamtejszym wójtem dwa tygodnie temu, on i cała jego rodzina są całkowicie lojalni rosyjskiej władzy.

W przekładzie oznaczało to, że na wójta przyszedł donos o jego kontaktach z bojownikami i ten wykupił się u Komissarowa adekwatnie do swojego statusu.

– Naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, żeby wykryć to przestępstwo popełnione na cywilach – mówił Komissarow. – Nie możemy tak tego zostawić. Staniesz na czele grupy śledczej.

Kirył spróbował sobie wyobrazić, jak może się skończyć jego wizyta w Tlenkoju – po dwunastu godzinach od ostatniej bytności w nocy. A jeśli starucha go rozpozna?

– Dobrze – powiedział Kirył i się rozłączył.

Dżamałudina znalazł w merostwie. Był z bratem przy wejściu. Przed nimi stała kobieta z torbą na zakupy i się o coś wyklócała. Z daleka Kirył wziął ją za staruszkę, ale gdy podszedł bliżej, spostrzegł, że może mieć najwyżej czterdzieści lat. Miała rozczochrane włosy, krótką spódnicę i najwyraźniej była pijana. Krzyczała na mera świdrującym głosem, mieszając rosyjskie słowa z tureckimi. Z rosyjskiej części jej wypowiedzi Kirył zrozumiał tyle, że nie chcą przyjąć jej dziecka do przedszkola.

Gdy Kirył wysiadł z samochodu, kobieta odwróciła się i rzuciła do niego, ale Zaur w milczeniu wziął ją za ramiona i przekazał jednemu z ochroniarzy.

– Zawieź ją do domu – polecił. – I niech przyjmą jej dziecko do przedszkola.

Kobieta uśmiechnęła się i pozwoliła wsadzić do samochodu, a Zaur wyciągnął rękę do Kiryła i zapytał:

– Pan do mnie?

– Nie, nie, chciałem porozmawiać z pańskim bratem – odparł Kirył. – Dziś w nocy był atak bojowników w Tlenkoju i teraz mnie tam wysyłają. Chciałem się skonsultować...

Zaur Kemirow nadal się dobrodusznie uśmiechał, tylko teraz nie patrzył już na Kiryła, lecz na brata. Wodrow nie był pewien, czy on już wie, co się wydarzyło

minionej nocy na cmentarzu. Chociaż trudno byłoby tego nie wiedzieć: ścierali się na świeżym śniegu jak stado dzików, wszystko tam było brudne od krwi i błota.

– Chodźmy – powiedział Dżamałudin.

Gabinet Dżamałudina znajdował się na drugim piętrze. Na tabliczce widniał napis: „Społeczny pomocnik mera miasta”, sam gabinet zaś skojarzył się Kiryłowi ze sztabem operacyjnym. Pośrodku dużego pomieszczenia stał długi dębowy stół konferencyjny z rozłożonymi mapami, na zsuniętych bezładnie krzesłach siedziało kilku abreków, pośrodku stołu leżała wypasiona, markowa snajperka.

Dżamałudin zwrócił się do swoich ludzi po awarsku i wszyscy wyszli.

Kirył usiadł na pierwszym lepszym krześle, Dżamałudin dalej, na fotelu naczelnika, stojącym pod wielką zieloną flagą z wizerunkiem wilka. „Ciekawe – pomyślał Kirył – co się stało z wczorajszym nagraniem?”. Przerazająca była myśl, co mogliby zrobić z Dżamałudinem, gdyby nagranie trafiło do prokuratury...

– Jak się nazywał ten pierwszy chłopak? Ten, którego... no...

– Andi. Ksywka: Strzelec.

– On też był w szpitalu?

– Tak. To cioteczny brat Isy.

– Dlaczego nie oddałeś ich władzom? Mogliby wiele opowiedzieć.

– Usłyszałem wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Ale on... ja...

Kirył urwał. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego w szpitalu położniczym stało się to, co się stało. Dopiero wczoraj, na cmentarzu, ujrzał z przeraźliwą jasnością cały straszliwy ciąg wydarzeń. Jeśli lider bojowników zastrzelił jednego sapera, a drugi postawił zamiast siebie żółtodzioba...

Tygrysie oczy Dżamałudina, o tęczęwce prawie czarnej przy źrenicy i prawie żółtej przy obwodzie, patrzyły prosto na Rosjanina. Kirył z przerażeniem zobaczył, że zwykle zmęczona twarz Awara, z wysokim czołem i lekko zwężonym podbródkiem, wygląda teraz na gładką i młodą. Skóra utraciła swój popielaty kolor i wypełniła się krwawą opalenizną.

– Pierwszego, którego złapałem, oddałem w ręce władz. Nie miałem takiego

zamiaru, tak wyszło. Wieźliśmy go i skrzeczeliśmy przez krótkofalówki jak sroki, gliny nas usłyszały i zażądały, żeby go oddać. Odmówiłem, oni przycisnęli Zaura, a Zaura nie mogłem nie posłuchać. Złapany przesiedział dwa miesiące w więzieniu FSB. Ponieważ zgodnie z wersją oficjalną żaden z terrorystów, którzy zajęli szpital, nie wyszedł z tego żywy, o nic go nie pytali. A że nic prócz szpitala na niego nie mieli, jego wujek przyjechał i wykupił go za dwadzieścia tysięcy dolców. Potem namierzaliśmy go przez pół roku.

– Ilu terrorystów uciekło?

– Piętnastu.

– A ilu jeszcze żyje?

– Trzech. Nie licząc przywódcy.

– Wahy Hunkarowa?

– Wahy Arsajewa.

Oszołomiony Kirył milczał przez kilka sekund. Nie wiedział, od czego zacząć.

– Ale... ale przecież atakiem dowodził Hunkarow!

– Hunkarow dowodził jednym z oddziałów. Dowódcą całej operacji był Arsajew. Hunkarow zginął i dlatego wszystko zvalili na niego. Jeden Waha i drugi Waha, co to dla federalów za różnica? Teraz rozumiesz, dlaczego nikt nie chce łapać ludzi, którzy brali udział w tamtym ataku terrorystycznym?

– Ale Arsajew nie żyje!

– Żyje.

Przed oczami Kiryła stanęło ohydnie skurczone ciało, przysypane własną złuszczoną skórą.

– To... to niemożliwe – wykrztusił w końcu Wodrow. – Ty sam... nie... on by się przecież pojawił! Opowiadałby, jak to wykiwał federalów...

– Mnie boi się bardziej od federalów. On żyje. I to bardzo dobrze, bo mam do niego wiele pytań.

W tym momencie drzwi gabinetu się otworzyły i wszedł starszawy Kumyk w towarzystwie dwóch ludzi Dzamałudina. Kemirow wstał, a Kirył pożegnał się krótko i wyszedł.

Schodząc po schodach, Kirył zobaczył otwarte drzwi gabinetu mera miasta. Zaur stał w pokoju prowadzącym do właściwego pomieszczenia, głośno tłumacząc coś przez telefon, a wokół niego tłoczyła się ochrona i petenci. Kirył zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

– Zaurze Ahmedowiczu, wyjeżdża pan?

– Nie. Chce pan porozmawiać?

– Szczerze powiedziawszy, już dawno chciałem obejrzeć pańską fabrykę.

Nalana, żółtawa twarz mera rozjaśniła się uśmiechem.

– Sam ją panu pokażę.

Fabryka, w której produkowano urządzenia wykorzystywane w przemyśle naftowo-gazowym, wywołała zaskoczenie Kiryła. Nie chodziło o to, że pomieszczenie dyrekcji zostało odremontowane i pomalowane, a pnie drzew wystające z mokrych klombów były starannie pobielone. Nie chodziło o nowe szafki w szatni i nawet nie o biały sedes w męskiej ubikacji, chociaż zamontowanie sedesu w fabryce było fenomenem w republice, gdzie nawet w toalecie opery znajdowała się jedynie porcelanowa dziura w podłodze.

Chodziło o to, że w fabryce wymieniono całe wyposażenie. Całe. Jeśli nie liczyć starego martenowskiego pieca i jakiejś prasy, wywiezionej z Niemiec w ramach kontrybucji, w zakładzie nie było ani jednej maszyny wyprodukowanej przed 1996 rokiem. Stare radzieckie warsztaty wypatroszyli jak kaczkę, pomalowali w środku i na zewnątrz i nadziali lśniącymi automatycznymi liniami produkcyjnymi z nielicznymi pracownikami, przechadzającymi się między maszynami.

Po wielkim magazynie jeździły tam i z powrotem żółte wózki widłowe z wirującą lampką i wysuniętymi ramionami. Dźwigały jakieś pudła opatrzone angielskimi napisami. Pod sufitem leniwie sunął dźwig.

Kirył popatrzył na ten magazyn i przypomniał sobie wczorajszą noc na cmentarzu. Cmentarz i magazyn pochodziły z dwóch różnych nie tyle stuleci, co tysiącleci. Potem podniósł głowę i zobaczył w odległym końcu magazynu dwie znajome litery „M” i „K”, a pod nimi napis: „Pomieszczenie do salatu”. Kirył gwałtownie wciągnął powietrze przez zęby i zachwiał się.

– Co się stało? – spytał Zaur Kemirow.

– Ee, nic... Ja... źle wczoraj spałem.

– Wiem.

Kirył odwrócił się. Mer Besztoju stał nieco z tyłu, z rękami wsuniętymi w kieszenie szarego wełnianego palta. Na tle białych betonowych ścian jego twarz wydawała się nalana i stara jak słabo świecący księżyc.

– I co pan na to?

Zaur odpowiedział po dłuższej chwili.

– Dżamala wychowywał mój dziad. Mnie wychowywał ojciec, ale zmarł, gdy Dżamal miał siedem lat, a nasz dziad właśnie wrócił z łagru. Był ciotecznym bratem Amirchana i poszedł w góry w dwudziestym siódmym. Amirchana komuniści rozstrzelali, a dziada, jak go złapali, tylko posadzili. To on uczył Dżamala, jak zabić człowieka nożem i jak to zrobić dwoma palcami. W samym tylko łagrze uśmiercił dwudziestu siedmiu ludzi. Gdy Dżamal miał trzynaście lat, zabrałem go do miasta i mówię: „Dżamalu, jesteś dumny ze swoich przodków. Mówisz, że Awarowie to wojownicy, a Rosjanie – barany. Ale kto kogo pokonał? Kogo jest więcej, Rosjan czy Awarów? Komu się lepiej żyje? To nie są czasy imamaty. Tutaj, po drodze do Nazarowska, jest martwa wioska w górach. W niej wszyscy wyrznęli się nawzajem, bo czterdzieści lat temu starsi nie mogli się ze sobą dogadać. Jeśli chcemy, żeby nas szanowano, musimy przestać żyć tak, jakby wszyscy nadal chodzili w baranich czapkach”. Rok później Dżamala wyrzucili ze szkoły, ponieważ pobił nauczyciela biologii. Nawiasem mówiąc, nauczyciel był pretendentem do tytułu mistrza bokserskiego.

– No i co?

Zaur Kemirow patrzył na rozległe podwórze zastawione kontenerami. Nocny śnieg znowu stopniał i wiosenne słońce, zawieszony nad Jałyk-tau, rozpuszczało bezlitośnie jego resztki. Taki tu już był klimat w tych górach, że w nocy zima, a w dzień – lato.

Fabryka Zaura, w porównaniu z zakładami Władkowskiego, nie była duża. Nie była duża nawet w stosunku do wielkości tutejszego budżetu. Kirył na oko ocenił nowe linie na sto, sto pięćdziesiąt milionów dolarów. W ciągu pięciu lat istnienia federalnego programu rozwoju przemysłu maszynowego prezydent Asłanow i jego



rodzina rozwinęli przemysł maszynowy na osiemset milionów dolarów. Kiryłowi nie udało się jednak znaleźć żadnego śladu tych pieniędzy w przyrodzie.

– Widział pan dzisiaj rano tę kobietę, prawda? – zapytał nagle Zaur. – Tę, której dziecka nie chcieli przyjąć do przedszkola?

– Wydawało mi się, że jest pijana – stwierdził Kirył.

– Ona nie ma dziecka. Zginęło w szpitalu. Chodzi po całym mieście i opowiada o swoim dziecku. Tydzień temu przyniosła mi jego zdjęcie: opakowanie od czekoladki Alonka. Kto w takim razie miał rację, ja czy mój brat?

I mer Besztoju, nie oglądając się, poszedł do wyjścia z magazynu.

--

1. Hadż – pielgrzymka do Mekki. [\[wróć\]](#)

# ROZDZIAŁ 5

*W którym Arzo Hadżijew próbuje wyzwolić Besztoję spod jarzma niewiernych i w którym okazuje się, że tylko samobójca może brać na siebie wszystkie idiotyzmy, jakie popełnia władza w tym kraju.*

**...maj 1998 – sierpień 1999...**

**W** 1998 roku Dżamałudin przyszedł do Zaura i oznajmił: – Posłucha członków naszego narodu porywają jak kury. Nie ma tygodnia, żeby ktoś nie przybiegł do mnie po pomoc, a potem jeszcze obmawiają mnie za plecami, że byłem w zмовie. Czas z tym skończyć.

Zaur spojrział badawczo na brata. Nie można powiedzieć, żeby te plotki były zupełnie bezpodstawne. Sam Zaur wiedział przynajmniej o jednym tego rodzaju przypadku. Jego brat oddał mianowicie Arzowi jakiegoś francuskiego działacza pokojowego, który wymyślił sobie, że będzie handlował pomocą humanitarną. Ta historia narobiła dużo szumu, a w wyniku całej akcji Dżamałudin przejął wszystkie pieniądze, które w przeciwnym razie ukradłby Francuz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Zaur.

– Ludzi porywają dlatego, że nie ma władzy, a władzy nie ma dlatego, że mer to baran. Ty musisz zostać merem.

Zaur odparł po namyśle:

– Nie pleć głupstw, Dżamalu. Nasza rodzina zawsze obroni swój honor i swój biznes. A brać na siebie wszystkie bzdurne decyzje i działania, które podejmuje władza w tym kraju, mógłby jedynie samobójca.

Trzy tygodnie później do Besztoju przyjechał prezydent republiki Ahmednabi Aślanow ze swoim synem Gamzatem. Przecięli wstęgę na nowej fabryce Zaura, zajrzeli do gospodarstwa mlecznego, a wracając z niego, Gamzat powiedział ojcu:

– Ten człowiek jest zbyt bogaty, by słuchać władzy. Trzeba nasłać na niego kontrolę i zabrać mu biznes.

– Milcz – rzekł Ahmednabi Asłanow. – Nie masz pojęcia o polityce.

Wieczorem, odpoczywając w majątku Kemirowów, prezydent zagaił:

– Zaurze Ahmedowiczu, a może zostałby pan merem miasta? Zaprowadziłby pan porządek, skarb państwa by nie ucierpiał...

Zaur nie mógł dać prezydentowi republiki takiej odpowiedzi jak młodszemu bratu. Asłudin Kemirow, który był już wtedy deputowanym Dumy Państwowej i członkiem komisji budżetowej, powiedział, że spróbuje wyciągnąć na ten cel od państwa dodatkowe środki.

Ówczesny mer Besztoju nazywał się Andi Szawłuchow. Był Kumykiem i właścicielem wytwórni wódek. Od czasu jednak, gdy Szawłuchowa porwano, wytwórnia chodziła na sznurku Czeczenów.

Czeczeni i Awarowie stanowili w sumie dwie trzecie ludności rejonu besztojskiego. Na pozostałą część składali się Kumycy, Karaczajowie, Nogajowie, Rosjanie, Tatowie, Ormianie i Niemcy. Niemców w rejonie były dwie wsie, przeniesione tu jeszcze w 1857 roku. Jedna wieś nazywała się Düsseldorf, druga – Monachium, i Niemców bardzo szanowano. Oprócz Hagena w oddziale Dżamałudina było jeszcze dwóch Niemców, którzy strzelali ze stieczkina i biegali po górach nie gorzej od jakiegoś tam Wahy czy Musy.

Czeczeni bardzo się oburzyli na wieść, że Zaur Kemirow chce zostać merem. Już i tak jego rodzina była najbardziej wpływowa w rejonie: zakłady Zaura zapewniały dwie trzecie wpływów do budżetu i utrzymywały jedną trzecią ludności pracującej, a ludzie Dżamałudina robili w mieście, co chcieli. Niemal cały pozostały biznes kontrolowali Czeczeni, którzy sądzili, że gdy Zaur zostanie merem, przejmie ich interesy. Tych, których nie kupi Zaur, zabije Dżamałudin.

Dlatego Czeczeni pojechali do syna prezydenta republiki i zaproponowali mu milion dolarów za przekonanie Zaura, żeby nie startował w wyborach. Gamzat Asłanow rozpromieniony poszedł do ojca i oznajmił:

– Chamzat Pasza proponuje nam milion dolarów, żeby wycofać Zaura z wyborów. Według mnie to świetna oferta. Pozbędziemy się Zaura i odbierzemy mu biznes.

– Milcz – odparł prezydent Asłanow. – Nie masz pojęcia o polityce. Jeśli utracimy Zaura, przepadnie sześćset milionów dolarów z programów federalnych. Według ciebie, co jest większe, jeden czy sześćset?

Czeczeni podnieśli cenę do półtora miliona, potem do dwóch, a gdy prezydent odmówił przyjęcia również tej kwoty, pojechali do Moskwy, zapłacili sto tysięcy i do Besztoju przysłano kontrolę z prokuratury.

Prezydent republiki wcale nie miał zamiaru robić z Zaura Kemirowa mera Bosztoju. Był przerażony rozmachem jego biznesu nie mniej niż syn i uważał za niesłuszne, że ten biznes znajduje się w rękach nie jego rodziny, lecz rodziny Kemirowa. Prezydent Asłanow nie mógł pozwolić, żeby biznes odpowiadający za jedną czwartą wpływów do budżetu republiki znajdował się poza jego kontrolą, zwłaszcza jeśli pozostałe trzy czwarte pochodziły z Moskwy.

Prezydent republiki wiedział jednak, że jeśli pchnie Zaura w politykę, jakby wyciągał szczura z nory, to zniszczy go jedną szybką kontrolą, za którą zapłaci ktoś inny.

Do wyborów mera Besztoju pozostał miesiąc, gdy Duma Państwowa zatwierdziła budżet na następny rok, a kontrola dała Zaurowi Kemirowowi trzy miliardy rubli domiaru.

Wówczas prezydent Asłanow wezwał Zaura na naradę rządu i przy wszystkich powiedział:

– Zaurze, widzisz, jak się przedstawia sytuacja. Kiedy poparłem twoją kandydaturę, myślałem, że jesteś uczciwym biznesmenem, a tu się okazuje, że nie płaciłeś podatków. Bardzo cię proszę, żebyś wycofał swoją kandydaturę.

– Nie mogę tego zrobić – odparł Zaur. – Wtedy mnie zniszczą.

Prezent Asłanow uderzył pięścią w stół i zawołał:

– Spójrzcie tylko na tego człowieka! Udaje uczciwego, a sam okradł nasz naród na trzy miliardy rubli! Występuje przeciwko narodowi! Występuje przeciwko mnie! Chcę, żeby wszyscy wiedzieli: nie ma mowy o żadnym poparciu dla takiego kandydata! Ten człowiek nie rozumie, czym jest decyzja prezydenta! Już my go nauczymy szanować takie decyzje!

Po rządowej naradzie Zaur nie wsiadł do wozu Dżamałudina, lecz do samochodu ochrony. Dżamałudin podszedł do niego i powiedział:

– Jedźmy razem, pogadamy po drodze.

– Nie – odparł Zaur. – Pojedziemy oddzielnie. I do końca wyborów będziemy oddzielnie jeździć i oddzielnie mieszkać. Jeśli jednego wysadzą, drugi zostanie żywy.

– To moja wina – rzekł Dżamałudin. – Wybacz mi, bracie.

– Ty postąpiłeś słusznie – odparł Zaur. – Innej drogi i tak nie było.

Tego, co wydarzyło się później, w żaden sposób nie można by określić mianem demokratycznych wyborów: bo demokracja jest nie wtedy, gdy wygrywa większość, lecz wtedy, gdy przestrzega się praw przegranych.

A tu było jasne, że jeśli Kemirowowie przegrają, stracą wszystko: wpływy, majątek, życie swoje i krewnych. Ich przeciwnicy rozumieli, że w analogicznej sytuacji z nimi stanie się to samo. Stary mer może by i sprzedał wygraną Zaurowi, ale wiedział, że wtedy zabiliby go Czeczeni.

Zaur Kemirow wcale nie był faworytem wyborców. Rzecz jasna, głosowaliby na niego wszyscy Awarowie, ale oni nie stanowili większości w Besztoju. Było ich niewiele więcej od Czeczenów, a ponieważ lider Czeczenów Chamzat Pasza poparł dotychczasowego mera, wszyscy Czeczeni głosowaliby na niego. Poza tym stary mer był Kumykiem, więc głosowaliby na niego również Kumycy.

Pozostawali jeszcze Rosjanie, Żydzi, Ormianie i Grecy. Ludzie w kamuflażu stukali do ich mieszkań z urną w jednej ręce i karabinem w drugiej, proponując głosowanie przedterminowe. Pewnego dnia dwie takie „delegacje” spotkały się na klatce schodowej – na polu bitwy zostały dwie urny i jeden trup.

Na placu obok merostwa zgromadził się tłum stronników dotychczasowego mera, pięć tysięcy ludzi, a na sąsiednim placu, pod biurem firmy Kemir, zebrała się druga grupa, zwolennicy Zaura. Pomiedzy tymi placami stała milicja, a ponad głowami gliniarzy latały kamienie i przekleństwa. Czeczeni robili *zikr*<sup>1</sup>, Awarowie zaś rozkołysali się na siedząco.

Trzeciego dnia tej próby sił Zaur Kemirow zadzwonił do prezydenta Aślanowa i spytał:

– Zdajesz sobie sprawę, że w mieście dojdzie do rzezi? Nie zdołam dłużej powstrzymać narodu.

– To nie powstrzymuj – odparł prezydent i się rozłączył.

Liderem Czeczenów był człowiek, którego zwali Chamzat Pasza. Trudno by było określić go mianem biznesmena, ale cieszył się powszechnym szacunkiem. Mer miasta Andi Szawłuchow często czekał na niego przed bramą domu, żeby pograć w nardy.

Ich znajomość zaczęła się w 1992 roku, gdy Szawłuchow jeszcze nie był merem, tylko dyrektorem handlowym firmy Szelest. Otóż gdy pewnego dnia Szawłuchow i jego starszy współpracownik Anatolij siedzieli w gabinecie i liczyli zyski, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Chamzat Pasza. Był w dresie, a zamiast dowodu osobistego miał u boku stieczkina.

– Ty jesteś Anatolij? – spytał Chamzat Pasza.

– Ja – odpowiedział ten.

– No, to słuchaj – powiedział Czeczen. – To moja ulica. Będziesz mi płacił dwadzieścia tysięcy, co miesiąc, pierwszego.

Anatolij nie protestował. Po pierwsze, byłoby mu trudno – prócz Chamzata Paszy w gabinecie znalazło się trzech jego braci. Po drugie, nie chciał tego robić z bardziej ogólnych względów – wiedział, kim jest Chamzat Pasza.

I tak Anatolij płacił Chamzatowi Paszy w lutym, marcu, kwietniu i maju – pierwszego dnia miesiąca osobiście zawoził mu pieniądze do biura. Chyba nawet się zaprzyjaźnili, bo pewnego dnia widziano ich razem w restauracji.

Jednak kiedy zbliżał się kolejny termin płatności, Anatolij postanowił odrobinę przytrzymać pieniądze. Chciał je, rzecz jasna, oddać, ale wydawało mu się krzywdzące, że wszyscy jego wierzyciele czekają miesiącami, a Chamzat Pasza dostaje pieniądze co do godziny. Zresztą było w tym coś poniżającego. I oto nadszedł drugi czerwca, dziesiąta rano, i Andi Szawłuchow siedział znów z Anatolijem w swoim gabinecie. Właśnie nalali koniaku do kieliszków, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanął Chamzat Pasza. Znów był w czerwonym dresie, ze stieczkinem u boku.

Anatolij na jego widok zerwał się z miejsca. Już miał go uspokoić w kwestii pieniędzy, gdy przybysz wyjął stieczkina z kabury i strzelił mu w czoło. Anatolij odleciał na ścianę i osunął się po niej, zostawiając na tapecie czerwony podłużny ślad. Stieczkin w rękach Chamzata Paszy zwrócił się w stronę Szawłuchowa.

– Za co? – zdołał wyjąkać Andi.

– Powiedziałem: „pierwszego”. A dziś jest drugi. Z niego był żaden handlowiec. Jak człowiek może być biznesmenem, skoro nie zagląda do kalendarza?

Andi Szawłuchow stanął na czele firmy Szelest i już nigdy nie pomylił pierwszego dnia miesiąca z drugim.

Chamzat Pasza miał otwarty umysł i był człowiekiem ciekawym świata, rozumiał więc, że techniki demokratyczne nie sprowadzają się do strzelaniny przy urnach. Po tygodniu zamieszek ulicznych postanowił dowiedzieć się, jakie są inne sposoby wygrywania wyborów. Ściągnął w tym celu z Moskwy specjalistę od kampanii wyborczych. Przyjaciele proponowali, że przywiozą go w bagażniku, ale Chamzat Pasza bał się, że w bagażniku specjalista zgłupieje, i dlatego przywieziono go nie w bagażniku, lecz w opancerzonym mercu, z obietnicą dwustu tysięcy dolarów honorarium.

W trakcie wizyty eksperta w miejskiej willi Chamzata Paszy gospodarz zapytał, jak w Rosji wygrywa się wolne demokratyczne wybory.

– Najlepsze, co można zrobić, to załatwić przeciwnikowi czarny pijar – oznajmił specjalista.

– Co to za lichy? – spytał Chamzat Pasza.

Specjalista spojrzał nerwowo na Chamzata Paszę i jego braci, obecnych przy rozmowie, i rzekł:

– No, na przykład można napisać w ulotce, że jest mordercą. Zabił kogoś?

– No pewnie – odparł Chamzat Pasza. – Buwadiego Hangerijewa.

– Kim on był? – zainteresował się ekspert.

– A, to taki idiota, który porwał nie tego, kogo trzeba. Zabili Buwadiego, a potem jego brat przychodził to wyjaśniać i oni zabili tego brata i wszystkich, którzy z nim przyszli. A potem przyjechali jeszcze do wsi innego brata Buwadiego i zabili wszystkich oprócz matki.

Specjalista nie wierzył własnym uszom.

– Chce pan powiedzieć, że wyróżnili całą rodzinę?!

Chamzat Pasza i jego bracia zgodnie pokiwali głowami.

– Ależ to znakomicie! – rozentuzjzmował się specjalista. – Napiszemy o tym w ulotce! Nawet to, czego nie sposób udowodnić, odmalujemy soczystymi barwami! Niech naród wie, jakiego potwora chce wybrać na mera!

Czeczeni popatrzyli na siebie zakłopotani, a Chamzat Pasza powiedział:

– Czegoś tu nie rozumiem. Ludzie już i tak codziennie zachwycają się tą historią, miałbym jeszcze chwalać Zaura za swoje własne pieniądze?

Specjalista pojął, że z tym zabójstwem trochę mu nie wyszło, więc zaproponował:

– W takim razie można obudzić w ludziach zazdrość. Jak rozumiem, pański oponent jest bogatym człowiekiem?

– Najbogatszym w republice – odparł Chamzat Pasza – nie licząc naszego byłego prezydenta. Nawet obecny prezydent nie jest aż tak bogaty, bo piastuje to stanowisko dopiero dwa lata. Zaur ma zakład budowy maszyn, fabrykę słodyczy i mebli, produkuje całą smakową wodę w republice i połowę zwykłej.

– Ależ to doskonale! – ucieszył się Rosjanin. – I o tym właśnie napiszemy w ulotce! Ludzie nigdy nie wybiorą na mera człowieka, który wycisnął z narodu tyle forsy!

Czeczeni spojrzeli na siebie zdumieni, a Chamzat Pasza stwierdził:

– Czegoś nie rozumiem. Ludzie i tak ciągle gadają: Zaur kupił to, Zaur kupił tamto, a ty mi proponujesz, żebyśmy rozpowiadał, jaki to on mądry, i to za moje własne pieniądze?

Specjalista wydawał się zbity z tropu. W czasie wyborów na rosyjskiej prowincji nie było lepszego sposobu na zniesławienie człowieka niż przedstawienie go jako oligarchy. Westchnął więc tylko i rzekł:

– W takim razie można napisać coś takiego, co go oczerni. Na przykład, że Zaur Kemirow siedział za deprawowanie chłopców. Można nawet zmontować zdjęcia.

Wtedy Chamzat Pasza wstał z kanapy, ponury i przerażający. Gdy pochylił się nad ekspertem, ten miał wrażenie, że zawisł nad nim ciężki śmigłowiec bojowy Mi-



24 w pełnym uzbrojeniu.

– Ty, co, chcesz, żeby mnie zabili?! – ryknął Czeczen. – Chcesz, żeby zabili moje dzieci? Gdyby on o mnie napisał coś takiego, wyrznięłbym cały jego ród, nie licząc matki!

I Chamzat Pasza zaczął się wraz z braćmi naradzać, co zrobić ze specjalistą od wyborów: przegonić na cztery wiatry czy sprzedać do Czeczenii, żeby zwrócił się transport. Ponieważ z upływem lat Chamzat Pasza złagodniał, po prostu wyrzucili go za drzwi.

– Czegoś nie kumam w tej całej demokracji – powiedział potem. – Jeśli to, o czym opowiada ten goguś, jest demokracją, to nam takiej demokracji nie trzeba.

Specjalista wrócił do Moskwy, a że był człowiekiem mądrym, rozumiał, ile miał szczęścia. Nazajutrz zaś podczas spotkania wyborczego Dżamałudin wszedł na trybunę w środku wystąpienia mera Szawłuchowa, objął go i powiedział:

– Ej, Andi, a może lepiej opowiesz, jak to cię Czeczeni porwali?

Po tym skończyła się przemowa, a rozpętała bójka.

Na trzy dni przed wyborami Chamzat Pasza zadzwonił do Zaura Kemirowa.

– Musimy się spotkać – powiedział.

– Podjedź do fabryki maszyn – odparł Zaur.

Chamzat Pasza wybrał się do fabryki, a ponieważ miał powody, żeby obawiać się Zaura, wziął ze sobą ludzi. W sumie przyjechało z nim trzystu bojowników, jeśli jednak liczyć każdego mężczyznę z karabinem za dwóch, to było ich sześciuset.

Gdy Czeczeni zbliżali się do fabryki, spostrzegli, że przed bramą zakładu też stoi tłum, a gdy Chamzat Pasza dotarł na miejsce, zobaczył coś, co mu się zupełnie nie spodobało. Otóż tłum składał się z pracowników fabryki, wśród których było wielu Rosjan i cała masa kobiet. Poza tym wzdłuż ściany, pod którą stał Chamzat Pasza, były zamontowane kamery. Chamzat zrozumiał, że jeśli jego ludzie teraz zaatakują tłum, to przez cały następny tydzień federalne kanały telewizyjne będą pokazywać, jak to uzbrojeni Czeczeni strzelają do bezbronych kobiet. Chamzat Pasza był mądrym człowiekiem i nie chciał, żeby w telewizji pojawiła się o nim taka relacja.

– Zostańcie tutaj – polecił swoim ludziom, wysiadł z samochodu i podszedł do

wejścia do budynku.

– Jak możesz iść do tych łajdaków sam jeden? – zaprotestował młodszy brat.

Chamzat Pasza wzruszył ramionami:

– Nic gorszego od tego, co się stało, już się nie stanie.

Gabinet Zaura wyglądał wówczas bardzo skromnie: białe ściany, skórzane fotele wyprodukowane w fabryce Kemirowa i nowoczesny komputer z płaskim monitorem. Taki wystrój był rzadkością w republice. W gabinecie prezydenta republiki, na przykład, stały fotele z epoki Ludwika XIV, komputera zaś w ogóle nie było. A gdy komputer w końcu przyniesiono, prezydent obejrzał go i rzekł: „Telewizor zostawcie, resztę zabierajcie”.

Chamzat wszedł do gabinetu i zobaczył, że Zaur siedzi w fotelu przy plastikowym, okrągłym stole narad, a obok, w takim samym fotelu, siedzi Dżamałudin. Dżamałudin wydawał się spokojny i rozluźniony. Jego oczy kameleona były jaśniejsze niż zwykle, a szczupłe, silne palce przebierały koraliki sznura modlitewnego zakończonych puszystym chwostem.

Trzecią osobą w gabinecie był Hagen Hazenstein, zwany Aryjczykiem. Miał na sobie czarną koszulę, a na niej skrzyżowaną jasnobrązową uprząż podwójnej kabury. Spod pach wystawały rękojeści pistoletów.

Chamzat Pasza wszedł do gabinetu, odwrócił jedną ręką fotel stojący naprzeciwko Zaura, ale nie usiadł, lecz wsparł się na oparciu i spytał Dżamałudina, celowo ignorując jego brata biznesmena:

– Gdzie moja matka i synowie?

Dżamałudin uśmiechnął się z lekka.

– Są dobrze traktowani. Poleciałem, żeby niczego im nie żałowano. Jeśli się dogadamy, nie masz się o co martwić.

– Przekroczyłeś granice – odparł Chamzat Pasza.

Wtedy odezwał się Zaur Kemirow:

– Posłuchaj, zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Skończy się tym, że się pozabijamy. Ty to wiesz, ja to wiem i wie o tym Ahmednabi Ahmedowicz. Więcej, właśnie na to liczy. Proponuję ci dwadzieścia milionów dolarów za cały twój biznes. Mogę wypłacić dziesięć milionów teraz, a dziesięć dzień po wyborach, jeśli przestaniesz

popierać Andiego.

Chamzat Pasza spojrział zdumiony na Zaura. Chamzat miał wiele udziałów w różnych firmach, ale nigdy nie wyciągnął z tych przedsiębiorstw sumy choćby odlegle przypominającej tę wymienioną przez Zaura. Prawdę powiedziawszy, najbardziej intratny biznes Chamzata polegał na tym, że wymieniał paliwo, które wyciekało z bazy lotniczej Besztoj-10, na heroinę, która leciała do Moskwy. Zresztą, nawet ten interes przynosił rocznie mniej niż dwa miliony. Poza tym nie był uwzględniony w umowie. Chamzat nie przypuszczał nawet, że Zaur Kemirow zarabia tyle pieniędzy. Mało tego: w głębi duszy wiedział, że jeśli wygra wybory i wykończy Kemirowa, nie wycisnie z jego przedsiębiorstw nawet jednej trzeciej podanej sumy.

– Skoro jesteś gotów dać mi pieniądze – zwrócił się do Zaura – po co było porywać moją rodzinę?

– Potraktuj to jako zaproszenie do negocjacji – odparł Dżamałudin.

Wybory mera Besztoju przebiegły bez jakichkolwiek ekscesów. Zaur Kemirow zdobył osiemdziesiąt procent głosów – razem z firmami Chamzat odsprzedał Zaurowi również urny z przedterminowo oddanymi głosami. Po odzyskaniu swojej rodziny Chamzat zyskał pewność, że Dżamałudin nie kłamał. Jego synów i matkę trzymali w osobnym domku w rodzinnej wsi Kemirowów. Pięciu karabinierów spełniało wszystkie ich pragnienia: samych zabawek nakupili dzieciom dwa worki. Chamzat Pasza nabył dom w Emiratach, przewiózł tam rodzinę i do końca życia wypowiadał się o Dżamałudynie w samych superlatywach. Zresztą nie trwało to długo: dwa lata później, znudzony stabilizacją, przyjechał do Czeczenii i zginął pod Aczchoj-Martanem.

Jako brat mera Dżamałudin miał jeszcze więcej swobody i teraz jeździł do Czeczenii znacznie częściej niż przedtem.

Pewnego razu Maschadow zaprosił go do Groznego na jakieś spotkanie przeciwników wahabizmu i Dżamałudin pojechał. W stolicy Dżamałowi najbardziej spodobało się to, że granatniki i karabiny sprzedawano wprost na bazarze.

W Besztoju nie było aż takich „swobód” i dlatego broń była tu prawie dwa razy droższa. Za to wszystkie pozostałe towary znacznie tańsze.

Z mitingu Dżamałudin wracał razem z Arzem. Wśród bojowników Arza wypatrzył niewysokiego chłopaka, wyglądającego jak czternastolatek, i tak chudego, że można by go ścisnąć dwoma palcami.

– Po co ciążasz ze sobą dzieciaki? – spytał Dżamałudin, Arzo zaś uśmiechnął się chytrze i rzekł:

– Ten dzieciak strzela lepiej od ciebie. Zakład?

Założyli się o tysiąc dolarów i na krawędzi dwóch kawałków dykty umocowali po pięć monet pięciorublowych. Umowa brzmiała: zwycięża ten, kto z dwustu metrów wybije więcej monet, strzelając z SWD.

Dżamałudin wybił trzy, a smarkacz wszystkie pięć. Wzburzony Dżamał wyjechał bez pożegnania.

Przyjechał tydzień później i rzekł:

– Gdzie ten twój snajper? Bo przywiozłem swojego. Stawiam dziesięć tysięcy.

Tym razem zawodnicy mieli strzelać do monet z trzystu metrów. I znowu Awar przegrał, a czeczeński zamorek wygrał. Dżamałudin wypłacił pieniądze, a ponieważ zrobiło się późno, pojechał do domu Arza. Dla bojowników nakryto wielki stół. Dżamałudin wraz z kilkoma wyróżnionymi osobami usiedli oddzielnie w dużym pokoju. Kemirow spostrzegł, że małego strzelca tu nie ma.

– A gdzie twój snajper? – spytał. – Niech usiądzie z nami.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – spytał Arzo, a jego oczy zaświeciły się, jakby ktoś puszczał na nie zajączki.

– Oczywiście!

Arzo wstał i poszedł na górę, a kobiety tymczasem przyniosły bojownikom gorące mięso, kaczkę i pilaw.

– Oto i twój snajper, Dżamałudynie – rozległ się z tyłu głos Arza.

Awar obejrzał się i osłupiał. Obok jego kunaka stała dziewczyna, czy raczej dziewczynka, czternastoletnia, w długiej niebieskiej sukni, z pasem obwiązanym wokół talii tak wąskiej, że Dżamałudin mógłby ją objąć dłońmi. Dziewczyna miała czarne, bezdenne oczy, zadarty nosek i wysokie jasne czoło ponad strzałami brwi.

Na głowę zarzuciła przezroczystą chustkę, która niemal nie skrywała jej ciała, w odróżnieniu od wełnistej oponczy gęstych, rozsypanych na plecach włosów.

– To moja córka Madina.

Dżamałudin poczerwieniał z gniewu:

– Głupio robisz, Arzo, że uczysz dziewczynę męskich zajęć. Jej mąż będzie musiał wybijać z niej te bzdury pięściami.

Czeczenka zaśmiała się, a jej śmiech brzmiał jak trele słowika. Dżamałudin zaczerwienił się jeszcze bardziej i wkrótce wyjechał.

Jednak to, że dziewczynka pokonała go w strzelaniu, nie dawało mu spokoju. Przez dwa tygodnie nie wychodził ze strzelnicy, a potem przyjechał do Arza i powiedział:

– Spróbujmy jeszcze raz!

Dżamałudin wybił cztery monety z pięciu, dziewczyna, tym razem w spódnicy i bluzce – pięć.

– Dawaj ze stieczkina! – zaproponował Awar.

To nie było uczciwe – Dżamałudin liczył, że Madina nie zdoła tak samo dobrze strzelać z ręki ciężkim pistoletem jak w pozycji leżącej z SWD. Tak też się stało: w strzelaniu do tarczy z pięćdziesięciu metrów Madina przegrała o cztery oczka. Dżamałudin, bardzo z siebie zadowolony, wsunął pistolet do kabury i powiedział:

– Mówiłem, że to nie dla kobiet.

Po strzelaniu na podwórku nakryto do stołu. Gdy Dżamałudin przechodził obok wiaty w głębi podwórka, niespodziewanie zauważył Madinę. Stała oparta o słupek i płakała. Dżamałudin tak się stropił, że nie wiedział, co powiedzieć.

– Posłuchaj – zaczął – jesteś zaręczona?

– Nie – pociągnęła nosem dziewczynka.

– No to niech Arzo szybko znajdzie ci narzeczonego Wyjdz za niego, urodź mu dzieci, a głupotami się nie zajmuj.

Gdy dziewczyna rozplakała się jeszcze bardziej, Kemirowa wymiotło.

Zakład był, co prawda, rozstrzygnięty, lecz Dżamałudin spostrzegł, że nie może zapomnieć o Madinie. W czasie następnej bytności u Arza przywiózł jej lalkę i korale, czym prędeż podkreślając, że to nagroda za strzelanie.

Minęły dwa miesiące, podczas których Dżamałudin pojawiał się u kunaka z regularnością lisa odwiedzającego kurnik. A gdy usłyszał, że Arzo szuka męża dla Madiny i że lada chwila oddadzą ją synowi zastępcy przewodniczącego sądu szariatu, zupełnie utracił spokój. W końcu poszedł do starszego brata i powiedział:

– Posłuchaj, Zaurze, jesteś dla mnie jak ojciec. Pogadaj z Hadżijewem. Zakochałem się w jego córce i gotów jestem dać za nią każdy wykup.

Dwa dni później Zaur Kemirow pojechał do Arza.

Dawno minęły czasy, gdy Zaura wożono po Czeczenii w bagażniku. Do wioski wjechał korowód dziesięciu wozów, wypełnionych uzbrojonymi Awarami. Arzo ze swoim ojcem powitał potężnego mera Besztoju przed bramą. Gdy oni się obejmowali, ich bojownicy mierzyli się wzrokiem.

Do Arza tego dnia przyjechało również pięciu wpływowych Czeczenów. Rozmowa przeciągnęła się do późnego wieczoru i gdy nastał czas salatu, wszyscy razem uklękli. Zaur jako najstarszy klęczał z przodu.

Wszyscy już szli spać, gdy Zaur dał do zrozumienia, że chciałby pogadać z Arzem sam na sam. Usiedli na piętze i Zaur, patrząc Arzowi w oczy, powiedział:

– Przyjechałem w imieniu mojego brata. Skończył dwadzieścia siedem lat i ma już jedną żonę, ale od czasu, gdy zobaczył Madinę, zupełnie utracił spokój. Podaj swoje warunki, a my je spełnimy.

Arzo milczał bardzo długo.

Rzecz jasna, pokrewieństwo z Kemirowami bardzo by mu schlebiało, a z pewnych względów, o których za wcześniej było mówić Zaurowi, byłoby wyjątkowo wskazane. Sam Arzo miał już dwie żony i teraz myślał o trzeciej, jednak był bardzo znany w Czeczenii – co ludzie powiedzą, gdy odda córkę jako drugą żonę człowiekowi trzynaście lat od niej starszemu?

– Niech się rozwiedzie – rzekł w końcu Arzo.

– Sam nakazujesz ludziom żyć wedle zasad szariatu – oburzył się Zaur. – Za kogo uważasz mojego brata? Wydałbyś córkę za człowieka, który porzucił kobietę z czwórka dzieci?

– Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy – odparł Arzo.

Zaur wyjechał wcześniej rano, dosłownie pół godziny przed tym, jak do

Hadżijewa przybyli komendanci.

Narada zaczęła się o jedenastej i trwała prawie pięć godzin. Do wieczora jedenastu ludzi zebranych w domu Arza ustaliło plan i datę wtargnięcia na terytorium Republiki Awarii Północnej – Dargo, dzieląc między siebie odcinki frontu. W zasadzie to nie nazywano tego „wtargnięciem”. Z jedenastu ludzi dwóch było Awarami, dwóch Lakami, a jeden był Lezginem – i oni prosili swych czeczeńskich braci, by pomogli im uwolnić ojczyznę od jarzma niewiernych.

W sierpniu 1999 roku niewielki oddział dowodzony przez Arza Hadżijewa przekroczył administracyjną granicę czeczeńsko-awarską i skierował się do starej bazy raketowej Chindach, opuszczonej jeszcze w 1991 roku. Z bazy wywieziono wówczas wszystko, zostawiając tylko druty kolczaste i tablice, a to, czego nie zabrali Rosjanie, rozkradli mieszkańcy sąsiedniej wsi.

Arzo zimował w bazie trzy lata temu. Wtedy używał jej jako schronu, a teraz, po naradzie z innymi dowódcami, uznał, że będzie to idealny punkt wypadowy dla atakujących oddziałów. Górowała nad terenem, zamykając dojsście do trzech pogranicznych wsi, a leniwi rosyjscy pogranicznicy nie przejmowali się tym, że w bazie nocują małe oddziały bojowników – szkoda życia.

Jednak gdy tego dnia Hadżijew dotarł do bazy, czekała go niespodzianka: budynki zostały wyremontowane, a teren ogrodzony, między aluminiowymi hangarami zaś kręciła się ochrona. Na widok Czeczenów wartownicy się rozproszyli, a w hangarach Arzo odkrył magazyny i linie produkcyjne wódki.

Następnego ranka pełniący wartę Czeczen dostrzegł kilka dżipów zbliżających się do bazy. Gdy pierwszy pojazd zatrzymał się przed bramą, wyskoczył z niego Dżamałudin, w dresie, lecz z karabinem w ręku. Nie widzieli się od czasu, gdy Arzo odmówił Kemirowom ręki Madiny.

Hadżijew wyszedł do niego w otoczeniu swoich ludzi.

– *Salam alejkum*, Arzo! – zawołał Dżamałudin. – Robotnicy przybiegli do nas i powiedzieli, że zaatakowałeś zakład mojego brata. Przyjechałem sprawdzić, czy to prawda.

– *Wa’alejkum assalam*, Dżamalu – odparł Arzo. – To jakaś bzdura. Chciałem

tylko pomieszkać tu kilka dni. Nie wiedziałem, że należy do twojej rodziny.

– A więc, skoro już wiesz, musisz stąd odjechać.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne.

– Odjedziesz. Bo jeśli tu zostaniesz, przyjdą federalowie i zniszczą nasz zakład.

I jeszcze powiedzą, że jestem z tobą w zмовie.

– Będę nocował tam, gdzie zechcę – odparł Arzo. – A jeśli spróbujesz mi przeszkodzić, będziesz musiał strzelać do własnego zakładu.

– Przysięgam na Allaha – rzekł Dżamałudin – że jeśli nie odejdziesz, otworzę do ciebie ogień i spalę ten zakład razem z tobą, a potem obciążę kosztami tych, którzy przeżyją, i ich rodziny. Nocuj w innym miejscu.

Tu trzeba powiedzieć, że Dżamałudin nieźle blefował. Ludzi miał tyle samo co Arzo, ale oni stali na dole, u podnóża skał, w dodatku na otwartej przestrzeni, a ludzie Arza mierzyli do nich zza gładów i betonowych ścian na górze. Hadżijew mógłby bez trudu wystrzelać cały kordon Dżamałudina, lecz tego Kemirowa, będącego jego kunakiem, słuchały trzy rejony, które Czeczeni chcieli wyzwolić z rosyjskiego ucisku. Nie byłoby dobrze zaczynać tę operację od zabójstwa najbardziej szanowanych w regionie ludzi. To by się źle skończyło.

– Dobrze. Znajdę inny nocleg.

Bojownicy Arza odeszli, nie zniszczywszy i nie spaliwszy niczego, a Dżamałudin i Hagen wspięli się na górę, która znajdowała się po prawej stronie bazy, położyli się na nagranych słońcem kamieniach i patrzyli przez lornetkę, dokąd idą Czeczeni.

– Coś mi się zdaje – odezwał się Dżamałudin – że nie o nocleg im chodzi. Weź ze sobą Taszowa i śledź ich.

– Nie powinniśmy uprzedzić federalów? – spytał Hagen.

– To moja i twoja ziemia. Jeśli Czeczeni wejdą na naszą ziemię, to przysięgam na Allaha, że zdołamy ją obronić bez pomocy Rosjan.

Siódmego sierpnia Mahomet Hasanow, były traktorzysta kołchozowy ze wsi Chosoł, wyprawiał we wsi wesele swojemu synowi Ashabowi. Ashab należał do najlepszych partii w tej wsi. Był prymusem w szkole, kandydatem na bokserskiego



czempiona i mistrzem w górskiej wspinaczce. Pięć lat temu, gdy zaczęła się wojna w Czeczenii, Ashab opuścił dom. Wszyscy wiedzieli, że walczył w oddziale Hadżijewa.

Ze strony matki Ashab Hasanow był dalekim krewnym Kemirowów.

Ashab wrócił do domu inny, niż zwykle wracają z wojny żołnierze. Nikt nie słyszał, żeby klął czy zwracał się niegrzecznie do rodziców. Przywiózł ze sobą nowy kolorowy telewizor, a stary, czarno-biały, oddał sąsiadom. „My mamy dwa telewizory, a oni ani jednego” – wyjaśnił matce.

Modlił się pięć razy dziennie i choć był bardzo młody, gdy się modlił z innymi, zawsze proszono go, żeby był imamem.

Gdy na początku maja dwudziestopięcioletni Ashab zaręczył się z szesnastoletnią piękną Narizat, wesele urządzono wedle bardzo surowych zasad. Nie było alkoholu, nie było tańców, a kobiety i mężczyźni siedzieli oddzielnie.

Wersety Koranu na weselu czytał nie miejscowy imam, lecz młody Awar o imieniu Sajgid. Uczył się w Syrii, a potem walczył razem z Arzem i dlatego nikt się nie dziwił, że razem z Sajgidem na wesele przyjechało wielu Czeczenów, a w dniu wesela we wsi zjawiał się sam Arzo Hadżijew. Arzo objął Ashaba i powiedział głośno:

– Allah, Pan Światów, powiedział, że nie dostąpią szczęścia ci prawowierni, którzy żyją pod władzą kafirów. Bracie! Walczyłeś o wolność mojej ojczyzny! Jeśli taka będzie wola Allaha, zdołam spłacić mój dług.

Czeczeni otaczający Arza wydali aprobujące okrzyki, a wójt i jego brat, naczelnik miejscowej milicji, którzy również byli wśród gości weselnych, odwrócili wzrok.

Chosoł, duża wieś położona wysoko w górach na granicy Awarii i Czeczenii, w odróżnieniu od bazy rakietowej nie górowała nad okolicą, ale w razie konieczności mogła stać się niedostępna. Dziesięć lat temu Chosoł był ośrodkiem odrębnego rejonu, ale na początku lat dziewięćdziesiątych rejon chosolski przyłączono do beszojskiego.

Po weselu Sajgid i Arzo zostali w domu Hasanowów i w piątek Sajgid wygłosił

po modlitwie piękną przemowę, na którą przyszło półtora tysiąca ludzi.

Ludzi Arza ciągle przybywało, więc szef milicji wkrótce wraz z żoną opuścili Chosoł i pojechali do Torbikały. Z milicjantów we wsi zostało tylko dziesięciu rosyjskich omonowców przysłanych ze Smoleńska. Omonowcy zamknęli się w budynku milicji i wychodzili do sklepu grupami. Chłopcy rzucali w nich kamieniami, a ludzie Arza patrzyli na to i się śmiali. Pewnego razu kamień rzucony przez jakiegoś chłopca omal nie wybił oka dowódcy oddziału. Dowódca zadzwonił do Torbikały i poprosił o wsparcie. Wówczas z Torbikały zadzwoniono do wójta.

– Co się tam u was dzieje? – zapytał szef MSW.

– A nic – odpowiedział ten. – Omonowcy bez przerwy piją. Omal nie wystrzelali chłopców, którzy bawili się pod sklepem.

Wójt bał się, że jeśli powie, co się tak naprawdę dzieje, to przydarzy mu się nieszczęście – albo zastrzeli go Arzo, albo zwolni go Torbikała. Zwierzchnik lokalnej administracji nie wiedział, co konkretnie się stanie, ale na wszelki wypadek wolał milczeć.

Chosoł liczył pięć tysięcy mieszkańców, tam zaś, gdzie żyje pięć tysięcy ludzi, rzadko zdarza się tydzień bez pogrzebu, a ponieważ wszyscy się znają, na pogrzebie jest zawsze wielu żałobników. Tym razem stało się tak, że ósmego dnia po przybyciu Arza do Chosołu byłemu księgowemu kołchozu zmarł brat i cała wieś przyszła na stypę. Księgowy chciał poprosić Sajgida o czytanie Koranu nad zmarłym, ale jego żona i wdowa byli przeciwni. Gdyby na pogrzeb zaproszono Sajgida, to nieboszczyka na cmentarz trzeba by nieść biegiem, a trzy dni później Sajgid zażądałby zakończenia żałoby. Prócz tego Sajgid nie wzięłby pieniędzy za pogrzeb i w ogóle domagałby się ograniczenia wydatków, a kobiety nie chciały, by mówiono, że oszczędzają na nieboszczykach.

Dlatego w dniu pogrzebu nakryły do stołu i zrobiły dwieście paczek z jedzeniem, które należało rozdać przybyłym. Gdy imam miejscowego meczetu przyszedł czytać Koran nad nieboszczykiem, najpierw zajrzał do swojej paczki i zobaczył, że prócz mięsa i kaszy są w niej cukier i butelka z olejem rzepakowym.

– Wyjmij cukier i włóż cukierki – polecił kobiecie. – A dlaczego olej jest rzepakowy? Ma być słonecznikowy, bo twój nieboszczyk zostanie bez należytych

słów.

Jak już powiedzieliśmy, Chosoł był kulturalną wsią i nawet przez jakiś czas pozostawał ośrodkiem rejonowym. To znaczyło, że we wsi przez dziesięć lat nie było meczetu, za to był dom kultury z kółkiem makramy. A gdy meczet znów otworzono, imamem został były księgowy domu kultury. Pokończył kursy i nauczył się czytać arabskie pismo, choć tak naprawdę na arabskim znał się nie lepiej niż na księgowości.

Imama we wsi szanowano. Dobry był z niego człowiek, nawet jeśli miał słabość do cukierków. Dlatego wdowa poszła do sąsiadów poprosić o cukierki i włożyła je do paczki zamiast cukru.

Cmentarz w Chosole leżał nieco powyżej wsi, oddzielony wąską, brukowaną drogą. Jako że zmarły był człowiekiem szanowanym, na cmentarz odprowadzało go trzysta czy czterysta osób. Przyszli również Czeczeni z Sajgidem.

Trumnę spuszczone do grobu i zrobiło się tak cicho, jakby na górze stali sami nieboszczycy, i w tej ciszy imam otworzył wielką księgę, i zaczął szybko czytać po arabsku. W pewnym momencie przez tłum przecisnął się Sajgid. Podszedł do imama, wyrwał mu księgę z rąk i zawołał:

– Co ty czytasz, oszuście?!

Tłum zahuczał, ale zanim stropiony imam zdążył odpowiedzieć, Sajgid cisnął księgę na ziemię i podeptał ją.

– Ten stary dureń drwi sobie ze zmarłych! – zawołał. – To nie święty Koran, lecz podręcznik do geografii!

Imama zatkało. Jak już wspomnieliśmy, w dotychczasowym życiu zajmował się księgowością – skąd miał wiedzieć, co czyta? Księga, którą wziął, była największa i najpiękniejsza ze wszystkich, jakie znalazł w zamkniętym meczecie. Jak mógł przypuszczać, że to nie Koran?

Wybuchł straszny skandal. Imama przegonili i omal nie pobili, a na powtórny pogrzeb, dzień później, do czytania Koranu zaproszono Sajgida. Na piątkową modlitwę przyszło go posłuchać trzy tysiące ludzi.

Następnego dnia po modlitwie, w niedzielny wieczór, trzech chłopcy, Rasuł,

Gamzat i Nuhi, grzali się na słońcu po kąpeli w Kara-Angu, sto metrów od dolnego międzyśluzia chosolskiej zapory i rozmawiali o piątkowym kazaniu. Rasuł i Gamzat mieli po jedenaście lat, a Nuhi dziewięć. Ich rówieśnicy w Moskwie czy Atlancie rozmawialiby pewnie o dziewczynach czy grali na komputerze, ale Rasuł, Gamzat i Nuhi dyskutowali o piątkowym kazaniu.

To było bardzo dobre kazanie. Podkreślano w nim, że ziemie niewiernych są podzielone, a ziemia muzułmanów od wieków była jedną całością – dokądkolwiek muzułmanin przyszedł, napotykał te same prawa i zwyczaje. Mówiło się w nim o dżihadzie obronnym i atakującym, sprytnie obalając argumenty tych kaznodziei, którzy lubili twierdzić: „Jeśli muzułmanie nie mają siły równej sile kafirów, to nie wolno porywać się na kafirów, bowiem wynik walki może nie być korzystny dla muzułmanów”. W kazaniu była mowa o tym, że dżihad jest drogą, na którą trzeba wejść, że zwycięstwo daje Allah, a my powinniśmy tworzyć odpowiednie podwaliny. Bezczynność na pewno nie doprowadzi do zwycięstwa.

Chłopcy nie wszystko zrozumieli ze słów imama, ale Gamzata najbardziej zaintrygował fragment wypowiedzi mówiący o tym, że jeśli muzułmanin porywa się na niewiernych, nie licząc się ze swoimi siłami, to jego klęska tylko uraduje kafirów, a przysparzania radości kafirom zakazuje sam Allah. I cały czas Gamzat próbował wyjaśnić to swoim kompanom.

– No bo zobacz – mówił Gamzat – to jest rzeka, a to zaporą. – Wskazał odległą tamę, nad którą unosiła się tęczowa mgiełka. – Wyobraź sobie, że ktoś by przyszedł i poprosił Nuhię, żeby w imię Allaha skoczył z tamy do rzeki. Ten człowiek byłby sługą szajtana i łajdakiem, albowiem wie, że Nuhi ma dziewięć lat i nie wypłynie. Taki człowiek tylko zasłania się imieniem Allaha, a tak naprawdę gubi ludzi. Oto, co znaczy stwierdzenie: „Nie ma zobowiązania bez możliwości wykonania”.

– Ale nikt nie nauczy się skakać z tamy, jeśli będzie siedział na brzegu!  
– zaprotestował Rasuł.

Mały Nuhi wysłuchał ich i powiedział:

– Nic nie zrozumieliście! Nowy imam właśnie o tym mówił, że kto siedzi na brzegu, ten nie nauczy się pływać, a kto skacze z tamy dla wygłupu, ten utonie. Wszystko trzeba robić w imię Allaha! I ten, kto skacze z tamy z imieniem Allaha,

przeżyje, ponieważ tworzy podstawy dla zwycięstwa, a samo zwycięstwo może dać tylko Allah!

I tak spierali się przez jakiś czas, a potem pobiegli na zapórę sprawdzić, czy można z niej skoczyć w imię Allaha – mały Nuhi od dawna przeżywał, że starsi chłopcy skaczą z tamy, a jemu bracia zabronili nawet o tym myśleć, dopóki nie skończy dwunastu lat.

Tak się jednak złożyło, że zmierzając do zapory, musieli minąć byłą siedzibę rejonowej rady. Gdy przechodzili obok niej, ujrzeli około dwudziestu ludzi zgromadzonych wokół Sajgida. Jeden z Czeczenów, z karabinem za plecami, słuchał Sajgida i cały czas powtarzał:

– *Wach!* Właśnie tak!

Chłopcy błyskawicznie opracowali nowy plan. Nuhi i Rasuł stanęli za Czeczenem i też słuchali imama, a Gamzat gałązką zahaczył pasek i przyciągnął karabin do siebie.

Karabin był wprost cudowny: stary, duży, z wytartymi uchwytami na pasek i czarnym granatnikiem podlufowym, lśniącym od wewnątrz stałą. Chłopcy, zachwyceni, że udało im się zdobyć broń, chcieli się nią jak najszybciej pobawić, zanim dorośli się zorientują w sytuacji, ale gdy Gamzat zajrzał do lufy, czekało go rozczarowanie: broń nie była nabita. Widocznie dlatego Czeczen tak bez troski się z nią obchodził. Rasuł przypomniał sobie, że u niego w domu są naboje i chłopcy pędem po nie pognali. Niestety okazało się, że naboje nie pasują do karabinu.

Gdy chłopcy tak stali na drodze i deliberowali, zatrzymał się przy nich czarny dżip i z wozu wyszedł Szapi Czarachow. Szapi w tym czasie nie był już czekistą, ale jeszcze nie został milicjantem. Razem z przyjaciółmi przyjechał do Chosołu na stypę, a przy okazji chciał sprawdzić, co się dzieje we wsi. Kiedy zobaczył u Rasuła karabin, zapytał:

– A co ty tu masz?

– Tylko się bawimy.

– To nie zabawka.

Wtedy Rasuł wymierzył do niego z karabinu i potrząsnął lufą, a Szapi z zaskakującą przy jego wadze lekkością przeskoczył przez *duwał*<sup>2</sup> i ruszył za

chłopcem. Dzieci niczym jaszczurki wbiegły w górę po zboczu, a Szapi, ciężko dysząc, zawrócił do dżipa i pojechał dalej.

Tymczasem chłopcy, znalazłszy się na grzbiecie, zobaczyli, trzech rosyjskich żołnierzy wychodzących z posterunku milicji i kierujących się do sklepu. Po krótkiej naradzie postanowili zrobić im kawał. Zeszli na dół po skale, z niej przemknęli się na dach wrośniętego w zbocze sklepiku, położyli się na brzuchach i patrzyli.

Omonowcy opuścili sklep. Dwóch przyciskało do piersi butelki z wódką, trzeci trzymał się karabinu jak rozbitek koła ratunkowego. W tym momencie Rasuł zeskoczył z dachu, wycelował do omonowców i zawołał:

– Tratatata!

Sekundę później rosyjski milicjant, od tygodnia żyjący w ciągłym napięciu, puścił w chłopca długą serię. Pierwsze dwie kule trafiły Rasuła w głowę, odrzucając jego lekkie ciało na drugą stronę drogi. Trzecia zrykoszetowała o kamienie ulicy i uderzyła w ramię wysuniętego z dachu Gamzata. Potem od długiej strzelaniny lufę zadarło w górę i pozostałe pociski przeszły nad wąwozem.

Arzo i jego ludzie wyskoczyli z podwórka, jak tylko usłyszeli strzały, lecz Awarowie ich wyprzedzili. Gdy Arzo przybiegł na plac przed sklepem, było tam już ze dwadzieścia osób i tłum ciągle narastał. Ludzie rozstąpili się przed Arzem. Wszedłszy między miejscowych, znalazł się nad ciałem dziecka. Pięć metrów od niego stało trzech rosyjskich żołnierzy, dwóch nadal ścisnęło wódkę.

Arzo przez kilka sekund stał, patrząc na chłopca, a potem podniósł wzrok i zapytał:

– Kto to zrobił?

– Ja – odparł ten omonowiec, który trzymał w ręku broń.

Arzo strzelił z biodra. Dwaj pozostali żołnierze puścili wódkę i złapali za automaty, ale dwoma strzałami z ramienia Arzo skończył również z nimi.

– Długo jeszcze będziecie żyć pod władzą niewiernych? – zawołał Arzo, zwracając się do tłumu. – Długo jeszcze będziecie patrzeć, jak zabijają wasze dzieci i gwałcą wasze kobiety?

Tłum ryknął ogłuszająco.

Wtedy na środek placu wyszedł Mahomet Hasanow. Mając osiemdziesiąt dwa

lata, Mahomet był jednym z najstarszych mężczyzn we wsi i po radę przyjeżdżano do niego z całego rejonu.

– Posłuchaj – zwrócił się do Arza – ja także chcę, żeby zabójca dziecka został ukarany, ale kto jest jego prawdziwym zabójcą? Przez te wszystkie dni, kiedy byliście tutaj, szczuliście chłopców i uczyliście ich rzucać kamieniami w żołnierzy, a automat, który miał przy sobie chłopak, został dziś ukradziony twojemu bojownikowi. Chcesz, bym uwierzył, że twoi ludzie przez nieuwagę zostawili nienabity karabin bez nadzoru? Przyszedłeś do nas z zarzewiem, a teraz dziwisz się, skąd się wziął pożar. Mało ci, że twój kraj zmienił się w pogorzelnisko, chcesz walczyć z niewiernymi naszymi rękami? Wracaj, skąd przyszedłeś, a tobie, Ashabie, zabraniam iść z nimi!

Ashab Hasanow, stojący za plecami Arza, krzyknął cicho i opuścił broń.

– Zwariowałeś, starcze – powiedział Hadżijew i jeszcze wypowiadając te słowa, pojął, że popełnił błąd. Ludzie bardzo szanowali Mahometa.

Wtedy wystąpił Szapi.

– Hej, Arzo! – krzyknął. – Jeśli to, co się stało, to tylko zbieg okoliczności, to co robisz w tej wsi z setką uzbrojonych ludzi? A jeśli przyszedłeś tu na wesele, co robiłeś z tymi ludźmi w naszej bazie, skąd wykurzyliśmy cię z Dżamałudinem? Chcesz, żeby Chosoł został starty z powierzchni ziemi tak jak Bamut?

– Chcę, żeby muzułmanie przestali żyć pod władzą niewiernych – odparł Arzo – albowiem najwyższym obowiązkiem muzułmanina zaraz po wierze w Allaha jest walka z wrogiem!

– W Koranie napisane jest: „Rozdawajcie na drodze Boga! Nie rzucajcie się własnymi rękami ku zatraceniu!”<sup>3</sup>. A skoro muzułmanie są dużo słabsi, taka walka to pewna śmierć!

– O tym, czy jesteśmy słabsi, czy nie, wie jedynie Allah – zripostował Arzo.

– Na pewno nie kadrowy oficer KGB, który dzieli się z własnym resortem pieniędzmi pochodzącymi z handlu ludźmi!

Szapi w milczeniu wyjął pistolet i wycelował w Arza, ale któryś ze stojących obok Czeczenów uderzył go w rękę. Szapi odwrócił się doń i strzelił z bliska, a potem uciekł z placu razem ze swoimi ludźmi. W tym czasie na plac ścigało

coraz więcej osób. Ścisłu jeszcze nie było, ale tłum gęstniał i trzech towarzysze Dżamałudina prawie bez przeszkód precyzyjnie się między ludźmi, zanim tamci zdążyli zrozumieć, co się dzieje. Ludzie Arza strzelali do Szapiego, ale że bali się kogoś zranić, mierzyli ponad głowami.

– Gdzie? Co? – wołali wszyscy.

Główną ulicą, podskakując na wybojach, pędził biały cruiser Szapiego. Jego szesnastoletni syn Hadżimurat, rozbiwszy tylną szybę, strzelał do ścigających ich dżipów.

Właśnie wtedy na wjeździe do wsi pojawił się BTR i jadący za nim GAZ-66. To Torbikała wreszcie zareagowała na rozpaczliwie sygnały wysyłane przez omonowców i przysłała wsparcie. Land cruiser chciał zmieścić się pomiędzy BTR-em a wystającym podbródkiem skały wiszącej nad drogą, ale BTR skręcił w prawo. W efekcie cruiser wbił się pyskiem w skałę, a chwilę potem BTR przejechał mu kołem po zadku, wciskając w pylistą drogę rozdzierane żelazo. Szapi i jego syn wyskoczyli z wozu, przemknęli między nim a gazikiem, dali susa za duwał i pobiegli w dół.

Ścigające ich dżipy zatrzymały się. BTR wyhamował, a żołnierz obsługujący PKWT<sup>4</sup> przytulił się do celownika. W chwilę później Czeczen, który na wszelki wypadek trzymał wartę na ściętym wierzchołku skały, cisnął granat kumulacyjny prosto w zielony bok BTR-a.

Żołnierze jeszcze nie zdążyli wyskoczyć z gazika, gdy w brezentowy dach wozu trafił puszczonego zza duwała „trzymiel”<sup>5</sup>.

Trzy godziny później było już po wszystkim. Na budynku dawnej rady gminnej łopotała zielona flaga, a pod nią, na okapie, wisiały nagie ciała trzech omonowców. Trupy były w opłakanym stanie. Gdy już skończyli z nimi Czeczeni, wziął się za nie tłum. Z jednego żołnierza została tylko połowa.

Wójta zamknięto w jego własnej piwnicy, a jego zastępcę, którego nikt we wsi nie lubił, pobito tak, że Arzo musiał siłą wyrwać go tłumowi. Wydział rejonowy spalono, dibirem wsi jednogłośnie wybrano Sajgida, Ashab zaś stanął na czele ochotniczej grupy bojowej.



Tłum szalał i wołał: „Allah akbar”, ale Arzo nie mógł nie zauważyć, że na placu pojawiło się tylko siedmiuset mężczyzn z prawie dwóch tysięcy mieszkających we wsi, a gdy przyszła pora zaciągania się do oddziału, wielu po cichu czmychnęło do domu.

Pierwsza wiadomość o buncie dotarła do Torbikały o dwunastej pięć, gdy oblężeni w budynku posterunku milicji omonowcy zadzwonili do dyżurnego w MSW. Dyżurny nie uwierzył i zaczął wypytywać o szczegóły, ale wtedy w słuchawce rozległy się strzały, łączność została zerwana, a potem nie zdołano się już dodzwonić do Chosołu.

Wiadomość o zamieszkach przeciekła do dziennikarzy. Zwrócili się oni do MSW z żądaniem skomentowania tej informacji. Rzecznik prasowy ministerstwa, występując na wizji, powiedział, że w rejonie besztojskim obok wsi Chosoł omonowcy otoczyli dużą bandę bojowników.

Prezydent republiki po obejrzeniu serwisu informacyjnego odetchnął z ulgą, ale wtedy przyszła wiadomość z pogranicznej wsi Mesken-Jurt, położonej trzydzieści kilometrów od Chosołu. Otóż do owej wsi, przekroczywszy granicę, wszedł oddział bojowników złożony z czterystu ludzi. Rosyjskich pograniczników wzięto bez jednego strzału, a wójt wyszedł na plac i razem z liderem bojowników wciągnął na maszt zieloną flagę. Lider bojowników nazywał się Chanpaszi Hadżijew i był młodszym bratem Arza.

Prezydent Asłanow jako człowiek przenikliwy rozumiał, że nic więcej nie da się już zwalić na „otoczoną bandę”. Nie było pewności, co dokładnie się wydarzyło w rejonie besztojskim, czy był to bunt, czy inwazja, ale jedno wiadomo było na pewno: trzeba tam wysłać czołgi.

Ahmednabi Asłanow zadzwonił do dowódcy Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego, ale ten był na urlopie i dla takiej drobnostki jak dwie górskie wsie nie miał zamiaru wracać. Zresztą, nawet gdyby wrócił i tak niewiele byłoby z niego pożytku – Asłanow jeszcze nigdy nie widział go trzeźwego.

Prezydent zatelefonował następnie do szefa zarządu FSB republiki. Okazało się jednak, że ten poleciał do Moskwy.

Asłanow zadzwonił do szefa MSW, lecz komórka ministra nie odpowiadała, a gdy w końcu odebrał ochroniarz, powiedział, że samochód ministra trzecią godzinę stoi przed bramą jakiegoś prywatnego domu w Torbikale i że minister, kierując się do tego domu, najsurowiej zabronił, aby ktokolwiek za nim szedł.

„Toż to spisek!” – pomyślał prezydent Asłanow.

Zwołał naradę i nakazał wszczęcie poszukiwań szefa MSW bez względu na wszystko. Specjalny oddział szybkiego reagowania wyważył stalową bramę i wpadł do środka, spodziewając się, że zastanie ministra porwanego i związanego. Minister faktycznie był związany, ale nie tak, jak sądzili sobrowcy. Siedział na krześle, w kajdankach, całkiem nagi i chłostany batem przez tlenioną blondynkę, ubraną w skórzane buty, których cholewki kończyły się przy kroczu.

O piątej po południu w gabinecie prezydenta Asłanowa rozpoczęło się posiedzenie nadzwyczajne. Szef MSW był ponury, postrzegając ostatnie wypadki jako próbę pozbawienia go stanowiska. Moralność w Torbikale cechowała się patriarchalną prostotą i skórzanych pejczy jeszcze nikomu nie wybaczone.

Kiedy polecono mu, aby przedstawił sytuację, oświadczył z marszu, że powierzone mu siły prowadzą w rejonie beszojskim operację likwidacji bandy Arza Hadżijewa. Stwierdzeniu temu natychmiast kategorycznie sprzeciwił się zastępca szefa zarządu FSB – utrzymywał on, że grupa specjalna FSB zlikwidowała Hadżijewa miesiąc temu.

Prokurator republiki oznajmił:

– To nic innego, jak spisek przeciwko naszemu prezydentowi! Spójrzcie tylko, co się dzieje! Jeszcze nie wiadomo, czy Czeczeni wkroczyli na naszą ziemię, czy nie, a na placu już zgromadziło się dwa tysiące ludzi i Tielajew z Malikowem rozdają broń! Mówią, że chcą walczyć z Czeczenami! Gdy Moskwa wypowiedziała wojnę Groznemu, czy ludzie zbierali się na placu Czerwonym i żądali, by ich uzbroić? Nie, w Rosji i tak ma kto walczyć! Ci ludzie to bandyci, którzy, korzystając z zamieszania, chcą zdobyć broń i obalić naszego prezydenta! Trzeba natychmiast w oficjalnym telewizyjnym wystąpieniu zabronić samowoli bandytom!

O piątej po południu, w tym samym czasie, gdy wśród zebranego w Torbikale

tłumu rozdawano broń, a prokurator republiki żądał przerwania zamieszek, Dżamałudin i jego ludzie zajęli dogodną pozycję piętnaście kilometrów od Chosołu, ponad głębokim wąwozem prowadzącym do Kurszy.

Dżamałudin nie był jedynym z awarskich przywódców gotowych walczyć z Czeczenami. Po prostu inni znajdowali się dwieście kilometrów do Chosołu, a on – dwadzieścia.

Z Dżamałudinem było zaledwie sześciu ludzi. Za mało, by podjąć walkę, ale pozostali byli zdaniem Kemirowa bardziej potrzebni w innych miejscach. Dżamałudin rozstawił ich tak, jak uznał za stosowne.

– Czemu myślisz, że Arzo wyjdzie dzisiaj z Chosołu? – zapytał Szapi, niezadowolony z decyzji młodego towarzysza. – Dziś ma niewielu ludzi, jutro będzie ich znacznie więcej.

– Arzo to doświadczony dowódca i wie, że teraz o wszystkim decyduje czas, nie liczba – odparł Dżamałudin. – Jeśli zaczeka jeszcze trzy dni, przyjdą rosyjskie czołgi. A jeśli zajmie Tunel Kurszyński już teraz, czołgi zostaną po tamtej stronie gór. Dlatego przejedzie tędy dzisiaj, najpierw zajmie Kursze, a potem tunel – bo nie da się dojść do tunelu, nie wchodząc do wsi.

– Czemu w takim razie nie czekamy na niego przy tunelu?

– Zostaniemy tutaj.

– Żebyśmy tyko nie zostali tutaj na zawsze – mruknął Szapi.

– Wszystko w rękach Allaha – odparł Dżamałudin.

Arzo nie spodziewał się, że wypadki potoczą się tak szybko. Potrzebował jeszcze dwóch, trzech dni, żeby ściągnąć do Chosołu więcej ludzi i rzucić ich do walki. Ale iskra przeskoczyła między okładkami kondensatora wcześniej, niż Arzo zaplanował, i dwie godziny po buncie w Chosole czterystu Czeczenów pod dowództwem młodszego brata Arza weszło do Mesken-Jurtu, czeczeńskiej wsi, liczącej dziewięć tysięcy ludzi, leżącej na zachodzie rejonu besztojskiego.

O siódmej wieczorem, wysławszy przodem zwiadowców, Arzo wsadził pięćdziesięciu bojowników w dwa gaziki, sam wsiadł do białej niwy i wyjechali z Chosołu. Jego celem była niewielka wieś Kursze.

W tym miejscu ziemie republiki awarskiej wgrzyzały się głęboko w ziemie wajnachów, tak jak pysk rekina wgrzyza się w soczyste mięso. Cały rejon besztojski przypominał długi jęzor, wyciągnięty w kierunku Czeczenii. Mesken-Jurt i Chosoł stanowiły jakby dwa wierzchołki trójkąta równoramiennego, którego podstawa wchodziła w Awarię, czubek zaś wbijał się w Czeczenię. Odległość między czeczeńskim Mesken-Jurtem a awarskim Chosołem wynosiła zaledwie trzydzieści kilometrów, chociaż cały ten rejon miał prawie siedem tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni. To znaczy, jeśli liczyło się, uwzględniając wskazania mapy, bo prawdziwej powierzchni rejonu besztojskiego policzyć się nie dało – teren w tym miejscu nie układał się równo jak serweta na stole, lecz miotał się jak linia na wyświetlaczu oscyloskopowym, w górę i w dół. Tutejsze góry, serce Kaukazu, uważane były za bardziej surowe od lesistych wzgórz Czeczenii. Odległości między poszczególnymi miejscami wydawały się nieobliczalne i doprowadzały do szału wędrowców. Często dwie wioski, oddzielone centymetrem na mapie, w rzeczywistości dzieliła wieczność: krzemienne topory skał ucinają wszelkie kontakty, dwa auły zostawały w różnych epokach, z różnymi językami.

Góry, rzucone na siebie jak kawałki krwistego mięsa, łączyła rzadka siatka drogowych naczyń krwionośnych. Kursze leżały dwadzieścia kilometrów do Chosołu, dokładnie na linii łączącej dwie pograniczne wsie – zajmując te trzy wioski, odcinało się rejon besztojski od reszty Awarii. A najważniejsze było to, że tuż za Kurszami znajdował się czterokilometrowy tunel, w latach trzydziestych wydrążony w skale grzbietu Tlarach-kol. Tunel Kurszyński był jedyną drogą, którą rosyjskie czołgi mogły dostać się do Besztoju.

Jednak przewagę dawały Arzowi nie same góry, lecz ludzie, którzy w nich mieszkali. Arzo mógł wkroczyć na równinny rejon szachdacki, żyzne ziemie Kumyków i Nogajów, otwierające przejście do Torbikały. Mógł wybrać rejon chaliński, niegdyś zasiedlony przez Czeczenów. Ale wybrał właśnie serce gór.

Tu nawet w czasach radzieckich nie zamykano meczetów. Tu kobiety nie wychodziły z domu bez chustki na głowie, a starcy bez papachy. Tu nie było bezrobocia, przestępstw i władzy radzieckiej. Tu gwałcicieli palono razem z domem, a spory ziemskie rozstrzygano u imama w meczecie. I nie dlatego, że mieszkańcy

tych wsi byli wahabitami – a dlatego, że byli góralami.

Arzo rozumiał, że zajmując tunel, zajmie tym samym cały rejon. Miejscowi zostaną otoczeni z dwóch stron Czeczenią, z odciętą pępowiną, łączącą ich z pozostałą częścią republiki, i rzućni na kamienną huśtawkę wzbijających się w niebo gór i spadających na dno piekła wąwozów. Nielicznych przedstawicieli oficjalnej władzy wyróżną czeczeńscy mudżahedini lub zbuntowana lokalna ludność.

Jedynym punktem oporu mogła być baza lotnicza w Besztoju, choć ona w zasadzie i tak stanowiła jedynie lotnisko pomocnicze, z którego nie dałoby się przerzucić na terytorium Czeczenii ciężkiego sprzętu. Już z samą wysokością nad poziomem morza wiązały się liczne problemy, poza tym, jaki byłby sens budować lotnisko zdolne do przyjmowania ciężkich transportowców na płaskowyżu otoczonym przez góry, których nie pokonają czołgi.

Dlatego Arzo nie planował zdobywać Besztoju-10, baza miała się poddać sama. A nawet jeśli podczas zbliżającej się wojny miałyby z niej startować samoloty bombardujące awarskie wioski, to tym lepiej. Arzo wiedział, że tej ziemi, tak jak Czeczenii, podbić się nie da, ponieważ tak samo jak w Czeczenii, tutaj walczy się nie z państwem, ale z plemieniem. Plemienia zaś nie można pokonać, można je tylko przeciągnąć na swoją stronę – a rosyjskie bombowce nad górskimi wsiami doprowadzą do tego szybciej niż jakikolwiek imam.

Zwiad dojechał do Kurszy bez żadnych przeszkód, nie napotkawszy po drodze nic groźniejszego od stada owiec, i dokładnie tak samo, bez żadnych przygód, pokonywały tę trasę wozy Arza.

Droga najpierw biegła między wzgórzami, ale szybko weszła w góry. Po obu stronach wznosiły się skały o barwie piasku, inne niż w Czeczenii, pozbawione zieleni i lasów, omotane różnobarwnym lizajem traw. Z przodu pokazał się wysoki grzbiet górski, przypominający obgryziony kręgosłup jesiotra. Słońce jeszcze płonęło na jego kościanym szczycie, ale w wąwozie, którym jechali Czeczeni, zalegał już chłodny cień.

Droga zanurkowała w dół, zbliżając się czarnego kryształu rzeki Kara-Angu, i wreszcie przed nimi pojawił się most, biegnący po zaporze elektrowni.

Zapora, zbudowana w latach trzydziestych, utrzymywała w owym miejscu

wilgoć. Dzięki temu po jednej stronie wąwozu, nad rzeką, wyrósł gęsty, biegnący niemal do szczytu las. Leżąca naprzeciw góra była z kolei prawie naga – czarne cienie skakały między kamiennymi osypiskami i nasuwającymi się na siebie pęcherzami skał.

Jak tylko pierwszy gazik z wyciem silnika wjechał na most, Arzo zauważył na lewej, obsypanej zwałami skał górze błysk wystrzału i usłyszał świst PPK<sup>6</sup>.

Pocisk sterowany przewodowo, poruszał się na tyle wolno, połyskując stalowym bokiem w zachodzącym słońcu, że Arzo mógł prześledzić tor jego lotu. Ale zbyt szybko, by kierowca gazika mógł uniknąć kierowanej rakiety.

Pocisk wszedł w przednią szybę i wybuchł w środku, pod dachem, gdzie siedziało dwudziestu czterech bojowników. W mgnieniu oka na miejscu ciężarówki wybuchła ognista kula.

Arzo wyskoczył z niwy i leżąc na przydrożnych kamieniach, strzelał krótkimi seriami w miejsce, z którego wyszła rakietka.

Huknęła „mucha”<sup>7</sup>, Hadżijew odwrócił się i zobaczył, jak granat wybucha przed ciężarówką zamykającą kolumnę. Fala wybuchu poderwała wóz, odwróciła go kołami do góry, pottrzymała chwilę w powietrzu i po namyśle opuściła na ziemię. GAZ wylądował na kołach, prawe przednie rozpadło się i ciężarówka przechyliła się na bok. Po chwili zaczęli z niej wyskakiwać ludzie.

Arzo puścił serię, przeturlał się za drugi głaz i w miejsce, w którym leżał przed chwilą, uderzył granat z granatnika. Arzo znów strzelił w nagą górę, tam, gdzie w zmierzwionych kolczastych trawach i kamiennych zagłębieniach skał krył się człowiek z PPK, a potem sturlał w dół, pod tamę. Łysa góra zniknęła z jego pola widzenia, teraz mógł obserwować tylko to, co działo się przy leśnym zboczu.

Kolejny granat uderzył w drugi gazik, ale większość bojowników zdążyła z niego wyskoczyć. Arzo widział tych, którzy biegli na górę, w las, strzelając do niewidzialnego wroga. Trzech potknęło się i upadło (jednego, jak zauważył Arzo, rzucił do przodu strzał w plecy), ale pozostali dotarli do linii drzew i poczołgali się w górę, częściowo wyrównując szanse z przeciwnikiem.

Walka nie trwała długo, ze trzy minuty, ale efekty były przerażające. Dwudziestu pięciu ludzi spłonęło z ciężarówką na tamie, nawet nie zdążywszy zrozumieć, co się

dzieje. Zabitych było w sumie trzydziestu jeden, rannych – trzech. Spłonęły dwie ciężarówki.

Trafili w klasyczną zasadzkę – krzyżowy ogień po obu stronach wąwozu. Identyczne Arzo uwielbiał urządzać rosyjskim żołnierzom. Jej efekty były równie tragiczne.

Rannych Hadżijew wysłał do Chosołu ocalałą niwą. Po dwóch godzinach męczącego marszu dwudziestu ludzi pod dowództwem Arza doszło do Kurszy i tam, kilometr od wsi, połączyło się z trzema setkami bojowników, którymi dowodził młodszy brat Hadżijewa, Chanpaszi.

Nie udało im się zaatakować z zaskoczenia. Jak tylko doszli do wsi, od razu ich ostrzelano. Styl był ten sam – ogień karabinowy spoza zamkniętej na głucho bramy, bezładna strzelanina, która nie tyle zadała Czeczenom dotkliwe straty, ile zmusiła ich do wskakiwania do uśpionych domów, kładzenia seriami zwierząt obudzonych nie w porę oraz kładzenia na podłodze, ciosami i groźbami, mieszkańców wsi.

Arzo zupełnie się nie zdziwił, gdy w jednym z atakujących, postrzelonym przed budynkiem szkoły, rozpoznano dalekiego krewnego Dżamala Kemirowa.

Oddział bojowników przeszedł przez wieś i zrywem ruszył do przodu, w stronę tunelu – lecz było już za późno. Okazało się, że opór w samej wsi był słaby nie dlatego, że Kemirowowi zabrakło ludzi, lecz dlatego, że wszystkie siły skupił przed tunelem. Dwie godziny, jakie minęły od zasadzki nad Kara-Angu, Dżamałudin wykorzystał na przemianę wąskiego dostępu do tunelu w dobrze umocnioną linię obrony.

To nie było trudne, biorąc pod uwagę, że przed tunelem droga zwężała się i biegła między dwoma ścianami stromego wąwozu, w górze porośniętego lasem. Arzo nie mógł się pochwalić wnikliwą znajomością historii wojskowości, ale historię trzystu Spartan pod Termopilami znał bardzo dobrze. A przecież król Leonidas nie miał granatników.

Wyczerpany, lekko ranny Arzo wrócił do Kurszy o dziewiątej rano. Po ulicach wałęsały się kury, pod szkołą zawodziły baby. Okazało się, że Chanpaszi zgonił wszystkich mężczyzn ze wsi na szkolne podwórko i ustawił naprzeciw nich

bojowników z karabinami. Arzo wpadł w szal i zaczął wrzeszczeć.

– Przecież do nas strzelali! – protestował Chanpaszi.

Mało brakowało, a Hadżijew zabiłby go na miejscu.

Ktoś ostrożnie pociągnął Arza za rękaw. Czeczen odwrócił się i zobaczył za sobą osiemdziesięcioletniego starca.

– Mogę iść za potrzebą? Bo jakoś tak niezręcznie przy ludziach – powiedział stary.

– Idź, dokąd chcesz – odparł Arzo.

W nocnej walce zginęło trzech przeciwników. Jednym z nich był ów siostrzeniec Dżamałudina, pozostałymi dwoma – federalowie, pogranicznicy z blokady za wsią. Ogólnie wśród obrońców było więcej miejscowych niż Rosjan, ale miejscowi mieli więcej doświadczenia i dlatego przeżyli.

Jeszcze jeden człowiek był ranny. Leżał nieopodal szkoły, przy schodach prowadzących do sklepu. Zebrało się nad nim kilku Czeczenów i parę kobiet. Ranny był Rosjaninem, miał porcelanową cerę z ogromną ilością piegów i słomiane włosy. Wyglądał na osiemnaście lat. Leżał, oddychając płytko i zaciskając ranę nad kolanem. Spodnie miał mokre od krwi i moczu.

Gdy Arzo podszedł do niego, chłopak spojrzał na niego rozszerzonymi przerażeniem oczami i powiedział:

– Nie zabijajcie mnie.

Chociaż Arzo Hadżijew zyskał sławę jednego z najbardziej okrutnych komendantów polowych, nie od zawsze zabijał żołnierzy. Niegdyś, na początku wojny, gdy rosyjskie czołgi weszły do Groznego, puszczał jeńców wolno. Oddawał ich matkom albo po prostu puszczał, wymieniał też federalów na tych, którzy byli w Chankale. Nawet wtedy, gdy w Chankale zabito już wszystkich Czeczenów i nie było na kogo wymieniać, Arzo puścił dwudziestu jeńców, po których przyjechały matki.

A potem jego ciężarna żona pojechała do krewnych. Gdy Arzo ją odnalazł, rozkładającą się w piwnicy, w jej brzuchu był pięciomiesięczny płód. I potem Arzo nie puszczał już nikogo.

– Nie zabijajcie mnie – powtórzył pogranicznik. – Ja już więcej nie będę.



Arzo zachnął się rozgniewany. Co to niby miało znaczyć „więcej nie będę”? Co on, przeprasza, że rozbił słoik konfitur? Kobiety wokół szeptały, a Hadżijewowi strasznie działała na nerwy ta blada gęba. Żeby chłopak choć trochę przypominał górala!

– Jak się nazywasz? – spytał niespodziewanie dla samego siebie.

– Siergiej.

– Kim jesteś?

– Co?

– Pytam, jakiej narodowości!

– Wepsem.

Arzo osłupiał.

– Co takiego?

– Taki naród. Wepsowie. W Karelii.

Hadżijew uznał, że chłopak z niego kpi. Nigdy nie słyszał, żeby w Rosji żyli jacyś Wepsowie. Awarowie – tak, Czeczeni – jak najbardziej. Czerkiesi, Osetyjczycy, Kałmucy, Lezgini, Bałkarzy, Karaczajowie... Ale Wepsowie?

– To powiedz coś w swoim języku – zażądał Czeczen.

– Nie umiem – odparł chłopak. – Zostało nas dwadzieścia domów. W czasie spisu chcieli nas podciągnąć pod Rosjan, ale dziadek nie pozwolił: nie, mówi, my jesteśmy Wepsowie. Zawsze tam mieszkaliśmy, miejscowość nazywa się Dykwa.

Hadżijew patrzył w milczeniu na pogranicznika. To był jeszcze smarkacz i Arzo w tej właśnie chwili zrozumiał, że chłopak nigdy nie wyrośnie na mężczyznę. Jeśli teraz go puści, to już zawsze będzie latał z mokrymi spodniami. To jakoś tak było widać w tych szarych oczach. Lecz jednocześnie Arzo czuł, że nie chce zabijać tego chłopca. Pewnie niepotrzebnie z nim porozmawiał, Arzo nigdy nie rozmawiał z jeńcami, najwyżej im rozkazywał.

– W co wierzyliście, zanim podbili was Rosjanie? – zapytał jeszcze.

– Modliliśmy się do kamieni – wyznał szczerze chłopak.

– Jak przyjmiesz islam, przeżyjesz.

Przerażony Weps skinął głową. Było jasne, że gotów jest zostać wyznawcą judaizmu, gotów czcić ogień, byle tylko przeżyć.

– Opatrzcie go, do licha – polecił ochryple kobietom, odwrócił się i odszedł.

Arzo Hadżijew leżał na zboczach góry, za starym duwałem. Za jego plecami był niewielki trzypokojowy domek z płaskim dachem i dobudowaną z boku wiatą, po lewej wąska brukowana droga, prowadząca na miejscowy cmentarz.

Przeciwnie z boku góry przypominało ogon pawia: zielone krzewy, żółte porosty i czerwone skały lśniły tysiącem iskier w różowym świetle wschodzącego słońca. Za ściętymi skałami w dolinie znajdowało się jezioro tak niewiarygodnie szmaragdowe, jakby ktoś rozpuścił w nim kamienie szlachetne. Ze szczeliny między skałami spadał wodospad. Gdy Arzo przyłożył oko do celownika optycznego, miał wrażenie, że pienne strugi leżą się metr od jego twarzy. To był bajeczny widok.

Główny powód, dla którego Arzo wybrał właśnie to stanowisko, był taki, że jeśli już miał umrzeć, to w tym pięknym miejscu.

Minęło siedem dni, a oni nadal siedzieli we wsi Kursze. Człowiek koordynujący inwazję, z którym skontaktował się Arzo, zabronił mu opuszczać wieś. Obiecał, że uderzy w tyły rosyjskich wojsk, podchodząc od drugiej strony tunelu, ale nie spełnił obietnicy. A potem było już za późno na odwrót: trzystu bojowników zablokowały rosyjskie czołgi i oddział awarski.

Większość mieszkańców uciekła, pozostałych Arzo zmusił do kopania okopów. Siódmego dnia Czeczeni zagonili ludzi na plac. Arzo wyszedł do nich, powiódł po nich spojrzeniem i powiedział:

– Rosjanie przywieźli „grad”<sup>8</sup>. Uciekajcie ze wsi.

Godzinę później w Kurszach zostało tylko kilkadziesiąt osób i tuzin omonowców, których Chanpaszi wziął do niewoli w Mesken-Jurcie. Na wszelki wypadek na razie ich nie zabito.

Dwie godziny później Arzo zobaczył zbliżającego się do wsi białego hummera. Z wozu wysiadł Dżamałudin. Arzo, po zastanowieniu, zszedł do niego na dół, do obrzeży wsi. Dżamałudin poprosił Hadżijewa, żeby ten wypuścił wszystkich mieszkańców. Arzo odparł, że Dżamałudin może przejechać przez wieś i zabrać tych, których zdoła przekonać.

– Ci, którzy zostali, sami nie chcą uciekać – powiedział Arzo. – Uważają, że gdy

federalowie tu wpadną, wszystko rozgrabią. Myślisz, że trzymam ich tu siłą? Nie mam zamiaru chować się za plecami ludzi.

Wtedy Dżamałudin poprosił, żeby Arzo puścił omonowców.

– Nie – odparł Czeczen.

– Przecież nie chcesz się chować za plecami ludzi.

– Powiedziałem „ludzi” – nie żołnierzy.

Awarowie odjechali, a Hadżijew wspiął się wąską ścieżką na polankę za duwałem i znów patrzył przez celownik na spienione bryzgi.

Kiedyś Arzo słyszał opowieść o tym, jak to nieopodał Przełęczą Kurszyńskiej szajtan – władca Burzy walczył z szajtanem – władcą Nieba i gdy od błyskawic zapaliły się okoliczne lasy, pan Nieba stworzył wodospad, by ugasić pożar. Lasy i tak spłonęły. Teraz czerwone, żółte i szare skały były jedynie przetykane plamami zieleni, a spieniona woda wpadała do zielonego jeziora i huk szedł taki, że nawet z tej odległości zagłuszał buczenie rosyjskich czołgów.

Arzo nie czułby żalu, gdyby miał polec w bitwie, po której jego imieniem nazywano by wodospady. Ale bitwa, w której dziś zginie, nie będzie godna, by na jej pamiątkę nazwać choćby kałużę przy szosie.

Hadżijew obserwował przez celownik kolorowego ptaka, który uwił sobie gniazdo gdzieś za pianą wodospadu i co rusz przelatywał obok białych strug. Tak się na niego zapatrzył, że omal nie przegapił cichych kroków. Z boku podszedł do niego Ashab.

Młody Awar przez cały ten czas trzymał się bardzo dzielnie. Lepiej, niż trzymałby się sam Arzo, gdyby ojciec przy wszystkich nazwał go zdrajcą i wygonił z domu. Ashab usiadł na ciepłej ziemi, porośniętej krótką, szczeciniastą trawą, zdjął z pasa manierkę z wodą, upił łyk i podsunął naczynie Arzowi.

Kiedy Czeczen pokręcił głową, Ashab schował manierkę.

– Czemu Szamil nie przyszedł nam z pomocą? – zapytał.

– Szamil nie potrzebuje zwycięstwa – odparł Arzo. – On potrzebuje tylko wojny, bo bez wojny jest nikim. Rosjanie są głupi i zarozumiali i nigdy nie przyznają, że pomogli im Awarowie. Nawet sami tego nie rozumieją, uznają, że nauczyli się walczyć. Wedrą się do Czeczenii i znowu będą wyrzynać wieś, a Szamil znów będzie

wielkim wojownikiem.

Ashab milczał.

– Poza tym on mnie nie lubi – dodał Arzo. – Jeszcze z czasów Abchazji. A dowódca, który ma złe stosunki z przełożonymi, często ląduje w zasadzce. My, *Nochzi*, nie lubimy się między sobą zabijać, zwłaszcza jeśli możemy wyręczyć się Rosjanami.

Arzo nie miał zamiaru się poddawać. Trzy lata temu federalowie otoczyli go w dużym podgórskim aule. Większość oddziału zdołała uciec wyschniętym korytem rzeki. Tylko czterdziestu bojowników zostało we wsi, udając obecność dużych sił. Rosjanie zaproponowali im amnestię, a ponieważ Czeczeni wykonali swoje zadanie, poddali się.

Z tych czterdziestu, którzy oddali się do niewoli, Arzo nie spotkał potem ani jednego. Później przyjaciele z Moskwy przysłali mu nagranie, na którym widać było, jak wyładowano bojowników z więźniarki. Wszyscy byli nago, niektórzy mieli obcięte uszy i wargi. Arzo zapamiętał swojego dalekiego krewnego o imieniu Rasuł. Siedemnastoletni chłopak szedł, niosąc przed sobą w rękach sine wnętrzności.

Arzo nie miał zamiaru wyłazić goły z ciężarówki, jedną ręką osłaniając przyrodzenie, a drugą zbierając własne kiszki. W zupełności odpowiadał mu ten duwał, zbudowany jeszcze za czasów imama Gaziego Muhammada, oślepiające szczyty gór i cykanie świerszczy, zlewające się z hukem wodospadu i buczeniem czołgów.

– Wiesz – powiedział Ashab – byłem w szkolnej bibliotece. Tu w szkole mają dużo książek. Rzeczywiście był taki naród, Wepsowie. Ugrofiński. Udmurci, Czudowie i Wepsowie. Rosjanie przyszli i osiedlili się na ich terenach. Nawet Moskwa, jak się okazuje, nie jest rosyjskim słowem. A Wepsowie zniknęli. Ci, którzy poddają się Rosjanom, znikają z powierzchni ziemi. Nie chciałbym, żeby mój prawnuk skomlał przed wrogami jak ten żołnierz. I to w języku tych, którzy zgubili jego naród.

– Byli poganami i dlatego zniknęli – odparł Arzo. – Modlili się do kamieni. I co, czy kamienie ich uratowały?

Minęły kolejne dwie godziny i na drodze do wsi znów pojawił się biały hummer.

Tym razem Dżamałudinowi towarzyszył jasnowłosy mężczyzna w kamuflażu bez pagonów. Arzo zszedł do nich z Ashabem i wysłuchał jasnowłosego, przyglądając się tańczącemu na górskich szczytach słońcu.

– Nie rozumiesz, Arzo – mówił Rosjanin – że cię wystawili? Szamil nie potrzebuje zwycięstwa, tylko wojny. Poza tym nie lubi cię, uważa za rywala. Wy, Czeczeni, wolicie nie zabijać się nawzajem, jeśli mogą to zrobić Rosjanie.

Hadżijewa drażniło, że ten człowiek mówi do niego po imieniu. Gdy ludzie na Kaukazie się kłócą, nigdy nie zwracają się do siebie po imieniu. Nie godzi się nazywać wroga ludzkim imieniem. Arzo odwrócił głowę i polecił Ashabowi:

– Idź no i powieś naszych omonowców.

– Możesz przejść na naszą stronę, Arzo – mówił dalej Rosjanin. – Uratujesz życie swoim ludziom i ludziom swojego brata. Zostawimy ci broń.

Arzo odwrócił się i wskazał górę, gdzie za duwałem rozbłysnął w słońcu celownik SWD.

– Stamtąd jest piękny widok – rzekł. – I tam umrę. Możesz już zacząć celować.

Jasnowłosy mężczyzna, który towarzyszył Dżamałudinowi, był pułkownikiem i nazywał się Argunow. Dowodził jednym z pododdziałów Alfy i grupy bojowej powołanej do obrony Tunelu Kurszyńskiego.

Kwadrans po zakończeniu rozmowy Dżamałudin i Argunow przyjechali do niewielkiej górskiej wsi, wspinającej się po skałach po drugiej stronie tunelu.

Hummer wjechał drogą nadającą się raczej dla górskich kozic niż dla samochodów i wkrótce zatrzymał się na wzgórku przed starym kamiennym domem. Dalej i tak nie można było pojechać: wyłożona kamieniami droga zwężała się i szła ostro w górę. Przy niej, jak korale na sznurku, wisały nierówne kamienne domy. Ulica pełna była żołnierzy i bojowników.

W izbie, wyściełanej dywanami, przy długim drewnianym stole siedział głównodowodzący operacją. To był Saprnow, którego Dżamałudin widział w Abchazji, tylko teraz nie był pułkownikiem, lecz generałem lejtnantem.

Saprnow był teraz jeszcze grubszy, a w tej chwili pijany w sztok.

Wszystko z powodu wczorajszej nieudanej operacji w rejonie kelebskim:

piechota przy wsparciu BWP próbowała zająć równinną wioskę, w której stacjonowali Czeczeni, ale ci spalili wóz, a piechotę wystrzelali. Zasadniczo piechota miała atakować ze wsparciem czołgów, a nie wozu bojowego, ale czołgi utknęły w górach, a jedyny, jaki pozostał, wysłano po wódkę dla dowódcy.

Sapronow siedział rozkraczony pośrodku izby, w zabłoconych butach i wrzeszczał.

Przed nim stały dwie osoby, chłopak i dziewczyna. Dziewczyna miała spodnie, końską szczękę i kościstą twarz zagranicznego korespondenta wojennego. Chłopak trzymał pod pachą potężną kamerę.

– Wasza mać! W te i nazad! – darł się Sapronow. – Kto was wpuścił na front! Tu jest linia ognia! Tu żeśmy Czeczenów własną pierśią zatrzymali!

I Sapronow wskazał palcem podłogę pod nogami, co było o tyle dziwne, że w końcu między nim a Czeczenią leżał masyw górski, którego generał nie miał zamiaru przekraczać. Jeszcze ani razu nie pojawił się osobiście na pierwszej linii, choć zdążył przyznać już kilka nagród za dokonane tam bohaterskie czyny. Jedną generalskiemu kucharzowi, drugą człowiekowi, który organizował Sapronowowi panienki i saunę, a trzecią dowódcy batalionu czołgów, który pierwszy podszedł do wsi Kursze.

Ów dowódca był dzielnym człowiekiem i szedł do Kurszy przekonany, że tunel zajęli Czeczeni i że zaraz oberwą mu i traki, i wieżyczki. Gdy jednak dotarł do wsi, zastał tam front i okopy, a w okopach jakichś brodatych chłopów, mówiących w niezrozumiałym języku i z pozoru nieróżniących się od Czeczenów.

Dowódca był w kropce. Musiał zameldować coś przełożonym, a nie mógł przecież napisać, że Czeczenów zatrzymały jakieś nieupoważnione typy z granatnikami. Dlatego zameldował, że Czeczenów zatrzymały jego czołgi. Ale ponieważ był nie tylko dzielny, ale i porządnym człowiekiem, czuł się z tym źle i starał się we wszystkim słuchać zdania Dżamałudina.

– *Mais* – powiedziała kobieta twardo i pogardliwie, co doprowadziło Sapronowa do szału.

– Cisza! Wy...! Jesteście szpiegami! Zaraz was wyprowadzą i rozwalą zgodnie z prawem wojennym!

Operator i dziewczyna nic nie zrozumieli, a Sapronowowi bardzo się ten pomysł spodobał. Przejechał wzrokiem po izbie i zatrzymał się na Dżamałudinie:

– Ty! – wrzasnął Sapronow. – Wykonać!

Dżamałudin nie ruszył się z miejsca.

– Do kogo mówię!? Tych tutaj, rozstrzelać!

Dżamałudin bez słowa zgarnął dziewczynę prawą ręką, a operatora lewą i wyprowadził na dwór. Oszupiały Argunow wybiegł za nim.

– Wsiadaj – powiedział Dżamałudin do operatora.

Ten spiesznie wsiadł do samochodu. Może i nie rozumiał po rosyjsku, ale pistolet, który Szapi wsadził mu w bok, nie wymagał przekładu.

Hummer, prowadzony przez Dżamałudina, jechał powoli w dół. Jak już powiedzieliśmy, we wsi znajdowało się masę ludzi i sprzętu. Prócz Rosjan były tu setki Awarów i nie wszyscy podlegali Dżamałudinowi. Niektórzy od lat żyli w Moskwie, a do ojczyzny przylecieli na wieść o walkach.

Był nawet jeden gość, który mieszkał we Francji i przylatywał do Torbikały samolotem czarterowym na weekendy – w tygodniu nie mógł zostawić interesów. W dni robocze siedział więc w biurze, a w sobotę przylatywał na wojnę i szedł ze wszystkimi do okopów. Tak latał z miesiąc, aż wreszcie w jakiś piątek Interpol zgarnął go z lotniska Le Bourget i wsadził na dwadzieścia lat za handel narkotykami.

To już lepiej by zrobił, gdyby przez cały czas siedział w okopie.

Ale ten incydent nastąpił jakiś czas po opisywanych zdarzeniach.

Dziś z powodu przyjazdu Sapronowa drogich wozów było szczególnie dużo i Dżamałudin jechał powoli drogą, szukając odpowiedniego. Wreszcie zatrzymał się przy srebrnym dżipie, z karabinem maszynowym wystającym z okna. Dżip należał do ciotecznego brata Taszowa, który miał w Torbikale kilka sklepów. Wnioskując z tego, że dżip stał obok wsi sztabowej, a nie po tamtej stronie tunelu, jego właściciel niespecjalnie rwał się na pierwszą linię. Dżamałudin objął na powitanie właściciela dżipa, a potem wskazał dziennikarzy:

– Taszow, zabierz tę dwójkę i jedź z bratem do Torbikały. Kupcie im bilety i nie spuszczaście z oka, dopóki nie odlecą. Wszystko jasne?

– *Mais c'est inouï!* – powiedziała korespondentka. – *Vous êtes brutes, des*

*générales...*

– Co ona, nie rozumie po rosyjsku? – spytał Dżamałudin.

– Nie – odparł Argunow.

– I bardzo dobrze.

Dziesięć minut później Argunow i Dżamałudin wrócili do sztabu. Pijany głównodowodzący chrapał na stole, jego świta dopijała wódkę. Hagen i Hadżimurat siedzieli w kącie, całkiem trzeźwi. Obok nich siedział jeszcze jeden trzeźwy Rosjanin. Przyjechał z generałem i nazywał się Fiodor Komissarow.

Dżamałudin i Argunow wymienili spojrzenia. Mieli zameldować generałowi o wyniku rozmowy z Arzem, ale nie było już komu meldować. Chcieli wyjść, gdy Sapronow otworzył oczy. Skupił wzrok na Awarze, czknął, uniósł się i powiedział:

– Napij się z nami.

Dżamałudin nie odpowiedział.

– Prawda, przecież ty nie pijesz. Jak te czeczeńskie psy.

Dżamałudin zrobił krok w stronę stołu i powiedział spokojnie:

– Skoro to psy, to idź na przedzie swojego wojska i zabij chociaż jednego.

Generał Sapronow przez jakiś czas przetrwał tę wypowiedź. Słowa Dżamałudina złożyły się w długi, mało zrozumiały ciąg, więc znowu czknął i powiedział:

– Na kogo ty ogonem machasz?! Kim ty niby jesteś, czarna dupo? Ja cię tu zaraz...! Pier... w te i nazad, twoja mać!...

I tu z ust generała popłynął tak doborowy zestaw wojskowych bluzgów, że wszyscy obecni zamarli. Dżamałudin przechylił się przez stół, złapał generała za nos i powiedział:

– Powiedziałeś – wykonaj.

– Że co?

Pułkownik Argunow zmartwiał. Był w Czeczenii na tyle długo, by wiedzieć, że tu, na Kaukazie, traktuje się przekleństwa znacznie poważniej niż w Rosji. W jego pododdziale było dwóch Kabardyjczyków – rzucali się na wszystkich, którzy ich wyzywali, nie wyłączając wysokich oficerów, dopóki nie wbili otoczeniu do głowy jednej prostej zasady: mieszkańca Kaukazu nie obrzuca się wyzwiskami.



A w porównaniu z miejscowymi Kabardyjczycy byli bardziej cywilizowani niż Finowie.

– Powiedziałaś – wykonaj – powtórzył Dżamałudin. Był blady jak śmierć. Na jego skroniach Argunow spostrzegł krople potu.

Generał zaczął się powoli podnosić z krzesła w ślad za swoim nosem.

– Aa! – krzyknął. W chwilę później jego but zahaczył o nogę stołu, generał zachwiał się, Kemirow go puścił i Rosjanin padł z głośnym plaskiem – nie na podłogę, lecz na stół, pośrodku mapy sztabowej, zastawionej butelkami i zakąską. Padł i zachrapał.

Dżamałudin odwrócił się gwałtownie i wyszedł, a za nim pokój opuścili inni Awarowie. Pułkownik Argunow zastanowił się i wyszedł za nimi.

Ulica, na której znajdował się „sztab”, w tym miejscu załamywała się gwałtownie i biegła stromo w dół obok starego meczetu. Dlatego, gdy pułkownik wyszedł na dwór, znalazł się na czymś w rodzaju placyku ogrodzonego kamieniami, wiszącego nad widoczną w dole ulicą.

Argunow spojrział w dół i spostrzegł Dżamałudina. Ten stał w otoczeniu kilkunastu ludzi i mówił coś po awarsku. Gdy skończył, jego ludzie zaczęli się rozchodzić. Dwóch bojowników podeszło do podjeżdżającej niwy, pełnej żołnierzy. Zatrzymali ją i zaczęli coś opowiadać. Jeden zagadał do starca w papasze, powoli zmierzającego w stronę meczetu. Stary zatrzymał się i z godnością oparł o kostur. Przy nim i bojownikowi stanęło jeszcze z sześciu ludzi.

Argunow doskonale zdawał sobie sprawę, że już za kwadrans o tym, że rosyjski głównodowodzący zwyzywał Dżamałudina, będą wiedzieli wszyscy. Szybkości rozpowszechniania informacji pozazdrościłaby im Agencja Reutera.

Pułkownik był odważnym człowiekiem, a mimo to po karku przebiegł mu dreszcz. Na własnej skórze przekonał się, czym jest Kaukaz i kaukaskie wioski: odpowiedzialność zbiorowa, powszechna milcząca nienawiść, która w dzień przemieniała twarze w nieprzeniknione maski, a w nocy przeradzała się w snajperskie kule. Cieszył się, że tym razem to Czeczeni natrafili na to, na co natrafiali zazwyczaj federalowicze, i że Arzo Hadżijew po raz pierwszy w życiu poczuł to, co cztery lata temu czuł sam Argunow, przyciśnięty nawałą ogniwą do asfaltu

na placu Minutka w Groznych.

Jeszcze kilka takich sytuacji i ci ludzie dojdą do wniosku, że walczą po złej stronie. A może dochodzą do tego właśnie teraz, siedząc w kucki przed meczetem, niespiesznie snując rozmowę i zerkając na nielicznych rosyjskich żołnierzy...

Było prawie wpół do drugiej. Ludzi na placu, na którym stał rosyjski pułkownik, wciąż przybywało, niemal wszyscy mieli przy sobie broń. A potem, niemal nad samą głową Argunowa, rozległo się wezwanie do modlitwy i ludzie uklękli, żeby odbyć salat.

Rosjanin zorientował się, że górali było tak wielu, iż wszyscy nie zmieściliby się w meczecie, a przecież budynek był obliczony na dwa tysiące mężczyzn.

Pułkownik Walerij Argunow, kawaler Orderu Odwagi, urodzony w małej syberyjskiej wiosce, zagubionej w nieprzebytej tajdze na północy Kraju Krasnojarskiego, w milczeniu stał przed kamienną balustradą i patrzył, jak modlą się do Allaha ci, którzy godzinę temu obejmowali się z jego żołnierzami i częstowali ich chlebem i mięsem.

Salat dobiegł końca, ludzie wstali z dywaników i Argunow zauważył w niskich drzwiach meczetu chudą, pochyloną postać Dżamałudina Kemirowa. Był jak zawsze skupiony, a jego ciemne, pozbawione uśmiechu oczy patrzyły gdzieś ponad głową pułkownika. Argunow wiele by dał, żeby dowiedzieć się, o co modlił się Dżamałudin.

Lider Awarów podszedł do Rosjanina i powiedział krótko:

– Jedziemy.

– Dokąd?

Dżamałudin spojrzał uważnie na dowódcę Alfę.

– Myślisz, że Arzo faktycznie szykuje się na śmierć? Znam go siedem lat i wiem, że jeśli na moich oczach ten wilk wsuwa łapę we wnyki, to znaczy, że łapa jest drewniana.

O szóstej wieczorem, gdy słońce przeświecało przez szczelinę, którą płynął wodospad, malując wodę cynobrem i złotem, Arzo spostrzegł, że za wodospadem kręcą się jakieś postacie. Szybko zniknęły w lesie, a półtorej godziny później do

Arza przyszedł Chanpaszi i dwóch chłopców z Kurszy. Jeden miał lat dwanaście, drugi czternaście. Młodszemu dwa lata temu w pasiece zabito siostrę. W toku śledztwa wyjaśniło się, że zrobili to pijani żołnierze.

Wczoraj Arzo kazał tym samym chłopakom spadać, ale dogadali się z Chanpaszim i dziś w ciągu dnia dokąds go zaprowadzili.

– Za wodospadem znajduje się jaskinia – mówił teraz Chanpaszi. – Tyle tylko, że tam jest bardzo wąsko, ja się nie przecisnę. Nawet on nie przejdzie – i Chanpaszi wskazał czternastolatka.

Oddział, który wyszedł z Arzem, liczył osiemnastu ludzi. Nie mieli przy sobie ani zapasów jedzenia, ani śpiworów, nie mieli nic oprócz broni, latarek, lin i prostego sprzętu do wspinaczki. Żaden z bojowników nie ważył więcej niż sześćdziesiąt pięć kilogramów, sam Arzo ważył wtedy sześćdziesiąt dwa.

Przed pierwszą w nocy, przemoknięci do suchej nitki, dostali się do zimnej jaskini. W wąskim promieniu światła latarki Arzo widział mokre czarne kamienie i przypominające penisy stalaktyty, półprzezroczyste, czerwonawe, z nabrzmiałymi naciekami. W głębi usianej ostrymi zębami paszczy jaskini cienie spadały w dół, w bitumiczną otchłań skalnego przewodu pokarmowego.

Jeśli chłopak pamięta drogę i nie pomyli niezliczonych korytarzy i zakrętów, za pięć godzin dojdą do kanału wentylacyjnego Tunelu Kurszyńskiego. Dalsze plany Arza zależały od tego, czy przez tunel przejdzie ciężki sprzęt, i od tego, jak dobrze ochraniane jest tylne wyjście z tunelu.

Najgorszy był pierwszy kilometr. Wąskie przejście szybko zmieniło się w szczelinę skalną. Na pierwszym odcinku stała woda, a potem szczelina spadała ostro w dół, aż do piekła. Ludzie szli powoli, rozczapierzeni, zapierając się butami o ściany, zdzierając palce do krwi, żeby nie spaść i nie utknąć na wieki.

Potem korytarz wspiął się nieco w górę, rozszerzył i nagle stanął dęba. Skała kruszyła się pod uderzeniami Arza, gdy wbijał stalowe haki. W końcu Hadżijew dostał się na górę i wciągnął na linie pierwszego bojownika. Potem odpoczywał, a bojownik wciągnął kolejnego.

Znaleźli się w okrągłej jaskini z kopułowym sklepieniem, tam zrobili krótki

postój i napili się wody z czarnego, gładkiego jak lustro jeziorka. W świetle latarki Arzo zauważył na sklepieniu jakieś rysunki. Z jaskini wychodziły trzy odnogi, chłopak prowadził ich najszerszą. Teraz już szło się znacznie łatwiej. Jaskinia rozczłonkowała się jak korzenie drzewa, szli chyba starym chodnikiem. W pewnej chwili chłopiec dyskretnie pociągnął Arza za rękaw i wskazał w górę. Wysoko, wysoko lśniła jasna śnieżynka gwiazdy, Arzo poczuł świeże górskie powietrze.

Awarski chłopak o imieniu Sałaudin trzymał się bardzo dobrze. Miał zaledwie dwanaście lat i jak wielu chłopców w tym wieku myślał o bohaterskich czynach, a nie o śmierci. Czeczen obiecał sobie, że jeśli wyjadą z tego żywi, wychowa tego chłopaka na drugiego Szamila.

Znów znaleźli się blisko powierzchni. Ich twarze musnęły powiew, Arzo poczuł pod palcami śliskie porosty, widać za dnia wpadało tutaj światło. Potem znowu musieli sunąć jak węże, wciągając brzuch i wlokąc za sobą karabin, omotany szmatami, żeby nie postukiwał o kamienie.

Arzo i Sałaudin jako pierwsi zeskoczyli z dwumetrowej wysokości do długiego tunelu, śliskiego i mokrego, ze ściętą, płaską ścianą i resztkami przegniłych stempli pod kamiennym sklepieniem.

– Ciszej – powiedział Sałaudin, podnosząc rękę i wyłączając latarkę.

Obok nich miękko zeskoczył kolejny bojownik. Potem jeszcze jeden. A potem Arzo przesunął się o krok – i w miejsce, w którym przed chwilą stał, uderzył granat wystrzelony z granatnika.

Fala uderzeniowa odrzuciła Hadżijewa w głąb sztolni. Odtoczył się pod skałę, zerwał z pasa raketnicę i wystrzelił. Ani on, ani jego ludzie nie mieli noktowizorów, Arzo żywił głęboką nadzieję, że przeciwnicy mieli.

Piekąco białe światło chlusnęło we wszystkie kąty podziemia, na chwilę oświetlając przegniłą konstrukcję tunelu i figurki zastygłych w nim ludzi. Wydawało się, że zwisali ze sklepienia jak nietoperze. Jedna z postaci wrzasnęła po awarsku, Arzo szarpnął na siebie Sałaudina, zgarniając chłopca z ostrzeliwanej przestrzeni. Ostatnie, co zobaczył, gdy chłopiec wyciągnął ręce i padł na brzuch, jakby nurkując w śmierć, to było to, o co potknął się Sałaudin. Wąski drut, przecinający tunel na

wysokości kostek, drut, o który jakimś cudem, może wiedziony szóstym zmysłem, nie zaczepił w kompletnych ciemnościach sam Arzo.

A potem huknął pocisk wbijający się w skałę i na Czeczena posypały się tony kamieni.

Gdy Arzo się ocknął, było już jasno.

Przez dziurę nad jego głową wciskał się wąski promień słońca. Hadżijew odniósł wrażenie, że w sumie nie był nieprzytomny zbyt długo. Wiedział jednak, że to złudzenie – człowiek nigdy nie wie, jak długo był nieprzytomny.

Leżał, do połowy przysypany ziemią i kamieniami. Obok, spod białej w podłóżę skały sterczała dziecięca dłoń i spłaszczona lufa. Dwunastoletni Sałudin umarł, nie wystrzeliwszy kuli we wroga, ale też nie wypuściwszy broni z rąk.

Arzo próbował wstać, ale okazało się, że lewa ręka go nie słucha.

Zaczął odsuwać kamienie prawą ręką i gdy oczyścił z nich obszar wokół siebie, zobaczył, że lewa ręka od łokcia w dół jest przygnieciona przez tę samą skałę, która stała się grobowcem Sałudina. Nie było co marzyć o tym, żeby jakoś usunąć skałę, zresztą z ręki pewnie i tak nic nie zostało. Za to Hadżijewowi udało się wygrzebać spod odłamków nieuszkodzonego kałasznikowa.

Arzo wyciągnął z wojskowych butów nóż desantowy i rozciął złachmanioną kamizelkę taktyczną. Zwinął ją w mocną linę, z całej siły obwiązał ramię i ścisnął. A później zaczął odcinać to, co zostało z ręki. Zajęło mu to dwie godziny. Potem przez jakiś czas leżał, dochodząc do siebie, w końcu wstał i poszedł po przegniłych podkładach, biegnących w górę tunelu.

Przy wyjściu ze sztolni nie było żywego ducha. Arzo znalazł się w górskim lesie, tak gęstym, że mógł wybrać tylko dwa kierunki, w górę i w dół. Zrozumiał, że znajduje się na zachodnim zboczu Jałyk-tau, zwróconym w stronę wsi, i że do kanałów wentylacyjnych tunelu rzeczywiście powinno być nie więcej niż pół kilometra.

Po pół godzinie marszu Arzo usłyszał czyjeś kroki i awarską mowę. Udało mu się skryć w krzakach, patrol go minął.

Pod wieczór znów wpadł na ludzi, tym razem federalów. Przeleżał dwie godziny

w górskiej szczelinie, trzy metry pod nim kilku oficerów Alfry zrywało kółka z wieczek samorozgrzewających się puszek, przypominające zawleczeni granatów, i jadło suchy prowiant. Gdy alfowcy odeszli, Arzo wysunął się ze szczeliny i dojadł resztki.

Wieczorem, kiedy słońce zaszło, góra pod nogami Arza zadrżała, gdzieś w dole rozległ się świst i wybuchy „gradu”. Hadżijew szedł, orientując się po gwiazdach, a w dolinie za jego plecami stu pięćdziesięciopięćmilimetrowe pociski rozrywały na strzępy jego brata i oddanych mu ludzi. Arzo nie wiedział wtedy, że pociski specjalnie spadają za blisko, służąc tylko demonstracji siły, i że ten nocny ostrzał na zawsze zmieni rzeźbę góry, pod którą chciał umrzeć, niszcząc skalną grodzę, utrzymującą szmaragdowe jezioro w jego granitowym łozu.

Tej nocy Arzo pokonał niewielki grzbiet, lecz gdy weszło słońce, okazało się, że Czeczen sam zapędził się w koziego róg. Kierunek wybrał dobrze, ale wyszedł nad wąską przepaść, która dzieliła góry na dwie połowy, jak nóż rozcina kawałek mięsa. Był zbyt słaby, żeby pokonać przepaść, a gdyby udał się na południe, doszedłby do awarskich wsi.

W ciągu dnia Arzo ukrył się w jakiejś szczelinie, zjadł jaszczurkę, która straciła czujność, wygrzewając się na słońcu, i zamiast wody wyssał przesiąknięty krwią zacisk. Ocalały fragment ręki zdrętwiał zupełnie.

Wieczorem Arzo znów ruszył przed siebie. Szedł na północ wąwozem. Skręciwszy razem z nim na zachód, wreszcie znalazł miejsce, gdzie mógłby zejść, ale nieprawidłowo ocenił swoje siły i z wysokości trzech metrów spadł na ostre kamienne osypisko.

W dole wąwozu biegła wygodna droga, pachnąca solarką i czołgami. Sto metrów przed sobą Arzo spostrzegł rosyjski czołg. Nie był trafiony, po prostu coś w nim naprawiano. Hadżijew zszedł do samej wody i dołem minął czołg. Trzy kilometry dalej wspiął się nieco nad szosę i znalazł się na starej drodze, którą kiedyś kładli pod ostrzałem żołnierze Paskiewicza. Droga w niektórych miejscach miała kilometr szerokości, w innych zupełnie się osypała, przemieniając się w ścieżkę między skałami.

Arzo szedł nią do trzeciej w nocy, a potem zaczął się wspinać na przełaj pod

górze. Do tego czasu droga weszła już głęboko w las. Miejsce kostropatych dąbków zajęły smukłe topole i Arzo po kostki zapadał się w grubą warstwę przegniłych liści.

Kilka razy przewracał się i tracił przytomność, ale zawsze na krótko. Gdy ją odzyskiwał, widział nad sobą te same gwiazdy. Wielka Niedźwiedzica wskazywała mu kierunek do rodzinnej wsi. Nie pamiętał już, jak się nazywa i dokąd idzie. Szedł w ciemności nocy, ale widział każdy listek na drzewie i każdą plamkę porostów na szarych skałach. Liście płonęły błękitem, porosty pomarańczą i Hadzijew miał wrażenie, że nie idzie po górach, lecz po rozkołysanym czarodziejskim kobiercu.

Z drzew, pod którymi wędrował, zwisały niesamowite owoce, fosforyzujące jabłka wielkości główki dziecka, pod krzewami rozwieszono złote dzwoneczki. Dzwoneczki dzwoniły, kołysząc się na wietrze, i przy ich dźwięku na zalanym księżycową glazurą grzbiecie tańczyły dziewczęta w przezroczystych strojach. Arzo zrozumiał, że znalazł się w raju i że raj faktycznie jest piękniejszy niż spieniony wodospad i szmaragdowe jezioro.

Chciał zerwać jeden z owoców, żeby ugasić pragnienie, lecz w jego dłoni owoc przemienił się w kłującą szyszkę. Arzo rzucił szyszkę i poszedł dalej.

Potem las się skończył i Arzo znów znalazł się na skałach. Skały poruszały się pod jego nogami, ich boki wznosiły się i opadały, jakby ziemia była olbrzymim wielorybem, oddychającym miarowo w niebieskim oceanie. Gdy Arzo podniósł oczy do gwiazd, zobaczył, że gwiazdy zeszły do niego. Były wielkie jak gilzy od cekaemu. Księżyc zdjął z siebie srebrny pas i podał jego koniec Arzowi. Hadzijew szedł, uśmiechając się promiennie, a gdy nogi się pod nim ugięły, poczołgał się, przytulając do ciepłej, szorstkiej skały.

Była szósta rano, gdy Arzo wspiął się na grzbiet i zobaczył ziemię Czeczenii. Nowo narodzone, czerwone słońce wstawało ze swego jedwabnego łoża, ze spiętrzonych poduszek obłoków i chmur, i we wszystkie strony biegły od niego promienie, pokrywając doliny i skały feerycznym światłem. Duszę Arza zalało to samo światło i ciężko mu było pojąć, gdzie kończy się słońce, a zaczyna jego dusza.

Wzrok Hadzijewa wyostrzył się na tyle, że widział wszystko do najmniejszego szczegółu. Widział żmijkę, niespiesznie sunącą po plamistej skale dwa kilometry w dół wąwozu, i krople rosy na srebrzystych koronach drzew. Widział czerwone

pnącza przy pylistej białej drodze i dwa owczarki z krótkimi ogonami, trzymające się dalekiego stada owiec. Widział to nie tylko z zewnątrz, lecz i od wewnątrz. Był i kroplą rosy, i zmięką, cieszącą się z nadejścia nowego dnia, i trzyletnim psem, którego gospodarz rano nakarmił sycącą zupą. Był skałą pod łapami tego psa i niebem ponad tą skałą. Cienka granica między Arzem a otaczającym go światem, granica o nazwie skóra, zniknęła i Hadżijew z niejakim zdumieniem patrzył z góry na jednoręką figurkę w kamuflażu zalanym krwią, która, potykając się, brnęła po białym, zakończonym ostro grzbiecie.

Arzo padł na kolana i zaczął się modlić. Udało mu się odmówić jeden rikat, ale gdy spróbował wstać, siły opuściły go i padł na twarde skały, ściskając karabin w prawej, zdrowej ręce. Przekręcił się, żeby znów spojrzeć na Czeczenie, i słońce uderzyło go prosto w oczy, przeciągając zwodzony most promieni do szahida, który przewyciężył śmierć. Arzo wydostał się z brudnej, znoszonej skóry swego ciała jak motyl wydostaje się z kokonu i ruszył w górę, do wiszącego mostu.

Już chwycił jego poręcz, gdy czyjaś noga stanęła mu na nadgarstku, przyciskając dłoń z karabinem do kamieni. Arzo nie protestował, przecież ciało zostało daleko od niego, a broń nie była mu już potrzebna.

Przekręcono go na plecy i słoneczny most zniknął, zastąpiony oślepiającą pustką nieba, i w tej błękitnej pustce ponad nim stał Dżamałudin. Kałasznikow trzymany przez Awara wbijał się w pierś Czeczena.

– Ci, którzy poszli z tobą do jaskini, nie żyją – rzekł Dżamałudin. – Twój oddział siedzi w Kurszach jak mysz w słoiku. Przyszedłeś z bronią na moją ziemię, lecz kiedyś uratowałeś mi życie. Przysięgnij, że przejdziesz na stronę federalów, a ja im powiem, że sam się poddałeś.

Ale Arzo nie słyszał jego słów. Zagłuszała je cudowna muzyka, która płynęła od splecionych nici słonecznego mostu. Ludzie Dżamałudina nie byli sami na tej skale, między zmęczonymi bojownikami do Arza szły półprzejrzyste dziewczęta w zwiewnych strojach. Jedna z nich pochyliła się nad Czeczenem, żeby go pocałować, i gdy jej twarz była coraz bliżej, z każdą chwilą piękniejąc i napełniając się życiem, twarze ludzi w kamuflażu topniały, rozplływały się na niebieskich wyżynach.



Arzo Hadżijew ocknął się dwa tygodnie później w Moskwie, w szpitalu im. Burdenki. Przy aparacie do sztucznego oddychania dyżurowało dwóch ponurych kafirów z karabinami i major z Alfy. Arzo z pewnym zdumieniem usłyszał, że jego brat i trzy setki uwięzionych w Kurszach mudżahedinów przeszli na stronę Rosjan w ramach gwarancji Dżamałudina Kemirowa, który przysięgał, że Arzo poddał się jego ludziom, i prosił, by wymieniono jego życie na życie brata.

Hadżijew dobrze wiedział, dlaczego jego bojownicy uniknęli losu, jaki spotkał ich braci trzy lata temu, i co konkretnie powodowało Dżamałudinem, prócz pamięci o starej bojowej przyjaźni. Dwa miesiące po tym, jak Arzo przeszedł na stronę federalistów, jego piękna piętnastoletnia córka wyszła za mąż za Dżamałudina Kemirowa. Wesele nie było huczne, a ojciec zrezygnował z wykupu za pannę młodą.

1. Zikr (arab.: wspomnianie) – w islamie oznacza rozmyślanie o Allahu. Może też odnosić się do pewnych czynności mających na celu utrzymanie świadomości jego istnienia. W zikr często wykorzystuje się subhę – odpowiednik katolickiego różańca. [\[wróć\]](#)
2. Duwał – gliniane ogrodzenie, rodzaj wysokiego muru z surowej gliny, otaczającego zabudowania mieszkalne. [\[wróć\]](#)
3. Koran, 2:195. [\[wróć\]](#)
4. PKW – wielkokalibrowy karabin maszynowy (KPWT to wersja pokładowa). [\[wróć\]](#)
5. 3M6 Trzmiel – pierwszy produkowany seryjnie radziecki przeciwpancerny pocisk kierowany. [\[wróć\]](#)
6. PPK – przeciwpancerny pocisk kierowany. [\[wróć\]](#)
7. Mucha – tu: RPG-18, radziecki jednorazowy ręczny granatnik przeciwpancerny. [\[wróć\]](#)
8. BM-21 Grad – radziecka polowa wyrzutnia raketowa. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 6

*W którym Hagen nie może zrozumieć, dlaczego moskiewski inspektor interesuje się zamachem na syna prezydenta, nie będąc jego krewnym, i w którym okazuje się, że należy żyć tak, jakby się już umarło.*

Nazajutrz po historii na cmentarzu Taszow Alibajew o ksywce Cetnar znów pojechał na bazar, do kramu z męską odzieżą. Trochę pokręcił się po sklepiku, nieuważnie przeglądając marynarki i swetry, w końcu zbliżył się do lady, za którą poprzednio stała dziewczyna w czarnej chustce. Tym razem jej nie było. Zamiast niej siedział tam trzynastoletni chłopiec na wózku inwalidzkim. Taszow zdumiał się – handlowanie na bazarze nie należało do typowo męskich zajęć, zwłaszcza wśród Czeczenów. A że dziewczyna jest Czeczenką, Taszow pojął od razu.

Pospiesznie zdjął z wieszaka największy sweter, jaki zdołał znaleźć, i podszedł z nim do kontuaru. Gdy chłopak pakował, Taszow spytał:

– A gdzie twoja siostra?

– Ona jest tutaj tylko w weekendy. W poniedziałek wylatuje czarterem do Turcji, a w piątek wraca z towarem. I tak handel najlepiej idzie w weekendy, więc w tygodniu w sklepie siedzę ja.

– To jak ty się uczysz? – zapytał jeszcze Taszow.

Chłopiec zaczerwienił się i zasłonił ręką książkę, którą czytał. Taszow spostrzegł, że to podręcznik jakiegoś języka obcego.

– Nie gorzej od innych – odparł wyzywająco chłopak.

Taszow wyszedł ze sklepu mocno speszony.

Trzeba tutaj powiedzieć, że Taszow Alibajew był zasadniczo człowiekiem nieśmiałym, szczególnie wobec dziewcząt. Pierwszym powodem były jego ogromne rozmiary. Jak już wspominaliśmy, Taszow mierzył dwa metry osiem centymetrów, ważył półtora cetnara i wiecznie uderzał głową o futrynę i zahaczał ramionami o drzwi.

Drugi powód był taki, że Taszow Alibajew, mistrz świata w kickboxingu w wadze superciężkiej, uważał się za niezgrabnego i choć może się to wydać dziwne,

mniemanie to nie było bezpodstawne.

Taszow był bez wątpienia jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. W sparingu bez trudu pokonywał i Dżamałudina, i Hagen, a dwa lata temu na turnieju amatorskim znokautował samego Nijazbeka Malikowa. Pierwszy raz w historii ktoś w taki sposób pokonał Nijazbeka – powszechnie było wiadomo, że on walczy na śmierć i życie. Malikow przeleżał nieprzytomny pięć minut, a gdy się ocknął i Taszow poprosił go, żeby został jego trenerem, Nijazbek odparł ze złością: „Najpierw ze mną przegraj”.

Jednak swoje zwycięstwa Taszow zawdzięczał nie tyle technice czy prędkości, ile raczej ogromnej wadze i zdumiewająco wysokiemu progowi bólu. W pojedynku z Nijazbkiem otrzymał co najmniej trzy ciosy, które położyłyby byka, a jednak z boku wydawało się, że Malikow wali w betonową ścianę.

Wiedzieli o tym komentatorzy sportowi, wiedział i sam Taszow. Trenował godzinami, próbując podnieść umiejętności, ale na próżno: i Hagen, i Hadżimurat, nawet jednoręki Hadżijew byli szybsi od wielkiego Taszowa.

Taszow bardzo się tym przejmował i wręcz bał się zbliżyć do dziewczyn. Poza tym opieka nad chorą matką wypełniała mu cały wolny czas. Dlatego gdy wtedy poszedł pomodlić się na zaplecze sklepiku i na wewnętrznej stronie drzwi ujrzał swoje zdjęcia z masą medali, jak u pudła, bardzo się wzruszył – tym, że ktoś mógł wieszać na drzwiach jego podobiznę. I bardzo, bardzo chciał, żeby te zdjęcia powiesiła czarnooka Czeczenka, a nie jej brat inwalida.

A kupiony naprędce wielki czerwony sweter oczywiście okazał się zdecydowanie za mały.

I w końcu Kirył nie pojechał do Tlenkoju.

Wybrał się z Zaurem na czyjeś wesele, a stamtąd z jego bratem udał się na wieczorny salat, do meczetu na skrzyżowaniu ulic Amirchana i Marksa. Dżamałudin zniknął w ozdobionej kaflami bramie, a Kirył został w dziupie. Chciał posłuchać muzyki, ale na płytach Dżamałudina był jedynie arabski recytatyw.

Wreszcie wysiadł z samochodu i ruszył ulicą Amirchana. Za meczetem dojrzał szpital położniczy numer jeden.

Szpital otaczało czarne ogrodzenie, sięgające mu do pasa, za ogrodzeniem zaczynał się plac, wyłożony szarymi płytkami. Na placu płonęły okrągłe gazowe latarnie, a na każdej widniało imię. Latarni było sto siedemdziesiąt cztery, dokładnie tyle, ilu zabitych.

Znaczna część budynku runęła, ocalało jedynie prawe skrzydło, spalone i przykryte dachem z pleksiglasu.

Kirył przeszedł się po placu i zajrzał do środka. W zwęglonej drewnianej podłodze było pełno dziur, na ścianach widniały szczyby po kulach. Teraz, cztery lata po rzezi, wyglądały zupełnie nieszkodliwie, jak ślady na twarzy po dawno przebytej ospie. Do ram pozbawionych szyb okien przywiązano kolorowe tasiemki.

Na końcu wypalonego korytarza Kirył ujrzał starca modlącego się na dywaniku. Stary musiał mieć chyba ze sto lat, ubrany był w papachę i kurtkę moro. Wodrow patrzył, jak ten człowiek się modli, i wydawało mu się, że w tym zburzonym budynku, z ramami, przewiazanymi kolorowymi tasiemkami, za plecami starca ktoś stoi i tym kimś jest Najwyższy. Było nie do pomyślenia, że szpital położniczy numer jeden jest, a Najwyższego nie ma.

Stary skończył modlitwę, wstał i spostrzegł Kiryła.

– *Salam alejkum* – rzekł Kirył.

Z jakichś nie do końca jasnych względów chciał powiedzieć: „Wybaczcie nam”, ale powiedział tylko: „Salam alejkum”.

Stary przyjrzał mu się.

– Jesteś muzułmaninem?

Kirył pokręcił głową.

– A więc nie mów „salam alejkum”. I ja nie mogę odpowiedzieć ci „wa’alejkum assalam” – rzekł starzec, wstał i przeszedł obok federala, ubranego w skórzany płaszcz i drogi krawat.

Gdy Dżamałudin wrócił, Kirył już siedział w samochodzie i palił papierosa, pochylony nad deską rozdzielczą.

Dżamałudin spojrział na Kiryła, wyjął mu z dłoni papierosa, wyrzucił przez okno i ruszył. Pod skórzaną, zbyt lekką jak na tę porę roku kurtką Awar miał tylko cienki

czarny sweter. Jak zwykle wzbudzał niejasne poczucie zagrożenia, niczym oswojony ryś, któremu przycięto pazury i którego przeniesiono z woliery do domu.

– Kim są Ashab i Rudy? – spytał Kirył.

Stalowy hummer jechał wąską, opadającą pod kątem trzydziestu stopni uliczką, z trudem pokonując brukowane zakręty. Dżamałudin wyjął z kieszeni portfel, zwykły przetarty portfel, w jakim znajomi Kiryła nosili karty kredytowe albo grube pliki banknotów. Dżamałudin jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą szperał w portfelu. Kirył patrzył na jego palce, długie i mocne, z różowymi półksiężycami krótkich paznokci. Mały palec prawej ręki był wyraźnie krótszy od lewego. Czternaście lat temu w Abchazji Dżamałudinowi urwało palec, który potem mimo wszystko odrósł, wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy.

Dżamałudin w końcu znalazł to, czego szukał, i podał Kiryłowi dwa zdjęcia. Na jednym był młody chłopak, wysoki, zwinny, z oczami w kolorze morskiego piasku i jasnorudymi kędziorami. Drugi mógł mieć dwadzieścia pięć lat, był wysoki i gruby, porośnięty drobnymi czarnymi włosami. W prawej ręce trzymał karabin, z przyspawaną do lufy stalową nóżką. Tę nóżkę mężczyzna wbijał w ziemię, używając karabinu jak kuli, bez obaw, że zapcha lufę.

Kirył przekreślił zdjęcia. Jedno podpisano „Ashab Hasanow”, na podobiznie Rudego widniało „Mahomet Diekuszew”.

– Czeczeni? – zapytał Kirył.

– Mahomet tak, Ashab to mój daleki krewny. Przeszedł ze mną całą Abchazję.

Kirył milczał, czekając na dalszy ciąg. Kolumna wyjechała wreszcie z wąskich uliczek na szeroką aleję i Dżamałudin wdusił pedał gazu.

– Gdy zaczęła się wojna, ja nie pojechałem do Czeczenii, a on tak – mówił Awar.

– Cały czas kręcił się przy Arzie, dostał jobla na punkcie tego ich dżihadu. Gdy w 2001 roku wrócił do Besztoju, pomogłem mu się urządzić. To on wprowadził wszystkich do szpitala, był dyrektorem finansowym.

Kirył uważnie przyjrzał się zdjęciu.

– Mogę je zatrzymać? – spytał.

– Bierz. Tylko Ashab teraz jest dużo chudszy. On w ogóle zawsze był chudy, tak jak ja.

– A co go tu rozwaliło?

– Mina. Jak wychodzili z Groznego. – Dżamałudin zawahał się i dodał: – On i jego dowódca mieli za zadanie rozminować korytarz do przejścia. Przed nimi było pole minowe, za nimi kolumna trzech tysięcy ludzi. U schyłku nocy ci, którzy wyjmowali miny, zrozumieli, że nie zdążą. Mieli za sobą ludzi i wiedzieli, że jak się rozwidni, federalowie ich nakryją. Dlatego zdecydowali się pójść przodem. Kto wybuchnie, ten wybuchnie, a korytarz i tak wytyczą, własnymi ciałami.

– I wielu wybuchło?

– Tamtej nocy piętnastu. Szamil stracił nogę, Ashab miał uszkodzony kręgosłup. Wtedy Szamil wysłał Ashaba po deski, żeby torować nimi drogę. Powiedział, że nie pójdzie dalej, dopóki Ashab nie przyniesie desek. Ashab wrócił, patrzy, a Szamil już wybuchł.

– A czemu to dowódcy wybuchali? – zapytał Kirył.

Dżamałudin patrzył na drogę przed sobą. Kirył, siedząc nieco z boku, widział jego ciemny, jakby odlany z brązu profil i czarne, gęste brwi nad oczami koloru khaki.

– Ci ludzie zdecydowali się pójść przez miny – odezwał się w końcu Awar. – Według ciebie mieli wysłać przodem innych? Tylko rosyjscy dowódcy uważają, że jak zwierzchnik, to znaczy, że bardziej wartościowy od pozostałych. Na Kaukazie dowódcę wyróżnia jedna właściwość – jest najodważniejszy.

Kirył w milczeniu patrzył na fotografię. Słyszał już tę historię o wyjściu z Groznego, Fiodor Komissarow opowiedział mu ją z pięć razy. Z jego słów wynikało, że bojownicy natknęli się na miny, ponieważ mieli fałszywą mapę pól minowych, sprzedaną na ciche polecenie samego Komissarowa przez pewnego majora sił federalnych. Fiodor Komissarow zawsze powtarzał, że była to jedna z najbardziej udanych operacji rosyjskich służb specjalnych. Częściej niż tym chwalił się jedynie Orderem Męstwa za uwolnienie syna Władkowskiego.

– Słyszałem inną wersję tej historii – rzekł.

– Tak, wasi generałowie nie umieją onuc porządnie zawinąć, za to lubią opowiadać, że walczą z przygłupami. Tylko nie widziałem, żeby ci generałowie wysyłali swoją ochronę po deski – zwykle wysyłają ją po wódkę.

Kolumna leciała przez miasto, żiguli i pojedyncze dżipy zjeżdżały z drogi pancерnej kawalkadzie. Kirył wsunął zdjęcie do kieszeni na piersi i niespodziewanie dla siebie poprosił:

– Posłuchaj, daj... obejrzeć pozostałych.

Dżamałudin podał mu portfel. Intuicja nie zawiodła Kiryła: w portfelu nie było ani pieniędzy, ani kart kredytowych, ani nawet fotografii żon czy dzieci. Nie było nic prócz dwudziestu zdjęć. Ku zdumieniu Kiryła były tu nie tylko podobizny terrorystów. Na jednej fotografii widniały dwie osoby: spalony bojownik i niemowlę. Leżeli głowa przy głowie, tak jak upadli, gdy bojownik upuścił dziecko, i nie było wiadomo, czy zasłaniał się nim od kul, czy wyciągał je z piekła. Na drugim zdjęciu inne niemowlę leżało pod jakąś belką, kula oderwała mu pół głowy. Było tam również zdjęcie wczorajszego bojownika, nie tego z poderzniętym gardłem, lecz tego pierwszego. Na pniu.

Kirył spojrział kątem oka na Awara i po raz pierwszy pomyślał, że człowiek, który nosi w kieszeni na piersi taki pakiet, nie może być w pełni normalny.

Do licha, a jeśli go aresztują? Jeśli tak po prostu go zgarną, gdzieś w Torbikale albo na jakimś weselu, gdzie nie zdoła stawiać oporu, i wyciągną mu z kieszeni tę scenkę rodzajową na pniu – jak się z tego wykaraska?

A może sądzi, że wykręci się ze wszystkiego? Może myśli, że wolno mu dzwonić do prokuratora republiki i mówić: mamy cię porwać czy zabić? I nigdy mu za to nic nie zrobią? Że może zamknąć w Besztoju wszystkie kasyna, zniszczyć pomnik rosyjskiego generała, napisać na drogowskazach „Allah akbar” i nikt nigdy nie odważy się go wydać federalom ani zrobić czegokolwiek innego w tej sprawie?

Kirył oddał portfel.

– Posłuchaj... – zaczął. – Pamiętasz, po Władkowskiego pojechał z nami Asłan Tiemajew. Arzo powiedział wtedy, że to jego wróg krwi. Przejrzałem listę bojowników, których Arzo zabił w ciągu ostatnich dwóch lat, i na tej liście był Asłan Tiemajew. Zabił go dwa miesiące po tym, jak zabił jego ojca, Musę. Asłan miał cioteczne brata, u którego zatrzymaliśmy się we wsi, nazywał się Ansudi. On również jest na tej liście. Wychodzi na to, że twój teść zabija w Czeczenii wyłącznie wrogów krwi?

– A kogo innego miałyby zabijać? – spytał Dżamałudin.

I hummer płynnie wjechał przez bramę stojącego na górze domu.

To był pierwszy wieczór, który Kirył spędził jak gość, a nie jak moskiewski inspektor czy potencjalny jeniec.

W domu było dużo ludzi, po wieczornym salacie przyjechał Arzo i przywiózł kunakowi wspianały prezent: węgierskiego „geparda”, kaliber 14,5 mm. Gepard był czymś pomiędzy karabinem snajperskim i armatą przeciwlotniczą, miał dwa metry długości, a zamiast kolby cały agregat z hamulcem hydropneumatycznym. Posłana z tej broni kula przebijała pancerz o grubości 25 mm z odległości 600 metrów.

Mężczyźni skupili się na podwórku obok geparda, kładli się przy nim po kolei, jak przy kobiecie, i cmokali z zachwytem. Skądś zleciało się całe stadko chłopców i Hagen zaczął im wyjaśniać, jak strzela się z takiej broni. W końcu mężczyźni geparda rozłożyli i umieścili w bagażniku mercedesa, ustalając, że z samego rana pojedą nim postrzelać.

Później wszyscy przenieśli się do sali bankietowej z kamienną podłogą, długim stołem i szerokimi kanapami. Arzo grał w nardy z Hadżimuratem, wysokim dwudziestotrzyletnim synem Szapiego Czarachowa. W kącie szemrał cicho telewizor, w którym leciał jakiś turniej zapasów w stylu wolnym. Taszow siedział przed telewizorem w kucki, uważnie śledząc walkę.

Rozmawiano o tym i o owym. Naczelnika sąsiedniego rejonu niedawno postrzelono w czasie pikniku, podchodząc z morza na szybkiej łodzi. Arzo z Hadżimuratem spierali się: Arzo chwalił zabójców, bo to był pierwszy przypadek w historii republiki, żeby kilerzy nie tylko uciekli na łodzi, ale również z niej strzelali, a Hadżimurat twierdził, że zabójcy zachowali się głupio, bo łódź dzieli od lądu zbyt duża odległość i strzał jest niepewny, gdy kołysze w górę i w dół.

– No i co w tym dobrego? – mówił syn naczelnika milicji miasta Besztoj.  
– Wsadzili w niego trzy kule, a on nadal żyje.

– Zgadzam się – odezwał się jego ojciec. – Morzem trzeba uciekać, strzelanie z morza nie ma sensu. Ty, Hadżimuracie, pamiętaj: jak będziesz strzelał z morza, a jeszcze w czasie sztormu, nigdy nie trafisz.



Była już dziesiąta wieczór, gdy drzwi się otworzyły i do sali wbiegły dzieci. Za nimi weszła Madina, w niebieskiej luźnej sukni i białej chustce. Wtedy Kirył znów ujrzał innego Kemirowa: odprężonego i uśmiechniętego, jakby całą sforę ścigających go demonów zostawił na podwórku, razem z pancernym mercedesem i gepardem w bagażniku. Kirył patrzył na bawiące się dzieci, na dorosłych krewnych Dżamałudina, na grubą, starszawą kobietę nakrywającą do stołu, chyba teściową, i nagle przypomniał sobie chłodny moskiewski penthouse z widokiem na Sobór Zbawiciela, chichocące dziewczyny na imprezach kawalerskich i pełne galanterii uśmiechy kelnerów w drogich restauracjach. Pomyślał, że pewnie nigdy nie będzie brał na siebie odpowiedzialności za tylu krewnych i przyjaciół, a krewni i przyjaciele nie będą się czuli w obowiązku, aby odpowiadać za niego.

Dżamałudin usadowił się w fotelu przy kominku i rozstawił figurki na stoliku szachowym. Jeden z nastolatków siadł naprzeciwko.

Inny chłopiec, sześciolatek, podbiegł do wielkiego Taszowa, który siedząc w kucki, przypominał wkopany w ziemię BTR, wdrapał mu się na plecy i zaczął walić go po głowie kasetą w kolorowym opakowaniu. Taszow ostrożnie zabrał mu kasetę, która w jego wielkiej łapie wyglądała jak czekoladka.

– Ja chcę kreskówkę! – zażądał chłopiec. – Ja chcę *Wilka i zająca!*

– Ejże! – powiedział Arzo, odrywając się od gry. – Kto cię nauczył oglądać ten idiotyczny, szkodliwy film? Rosjanie specjalnie wymyślili go po to, żeby nabruździć Czeczenom. Zając pokonuje wilka! Nie mogę pozwolić, żeby mój wnuk oglądał takie filmy!

– Ależ Arzo Andijewiczu – odezwał się Kirył – co mają do tego Czeczeni? To tylko kreskówka o zwierzętach.

– To czemu nie zrobili kreskówki o swoim niedźwiedziu? – spytał pułkownik FSB i Bohater Rosji Arzo Hadżijew. – Trzeba było nakręcić film o tym, jak jeden wilk spalił w czołgu stado niedźwiedzi. Po co było robić o naszym wilku?

Kirył stropił się, nie wiedząc, jak zareagować na to filmoznawstwo stosowane, a wtedy do rozmowy włączył się Szapi.

– A niby z jakiej racji wilk ma być wasz? – spytał naczelnik milicji Besztoju.

– A popatrz na naszą flagę.

– Już nie miałbym co robić, tylko się gapić na waszą flagę. Gdy awarski wilk był na awarskich flagach, Czeczeni płacili daninę chanowi Umarowi! Ukradliście nam naszego wilka!

– Przysięgam na Allaha – rzekł Arzo – że wilk jest czeczeński, tak samo jak ziemie Besztoju są czeczeńskimi ziemiami. A może z tym też się nie zgadzasz?

Kirył spał się. Dyskusja rozgorzała nagle, niczym węgle polane benzyną. Jednak wówczas w sali zjawił się chłopak z komórką i Dżamałudin sięgnął po podany telefon.

– Tak? – powiedział. – Tak.

Skończył rozmowę i rzucił w przestrzeń:

– Zabili Mahometa-Husajna. Chalińskiego. Strzelali z placyku nad tunelem.

Kirył już miał zapytać, jak lepiej strzelać: z łodzi na morzu czy z placyku nad tunelem, ale spojrzał na twarze obecnych i ugryzł się w język. Najwidoczniej Mahometa znano tu znacznie lepiej niż ocalałego naczelnika rejonu i nikt nie miał zamiaru omawiać technicznych umiejętności zabójców.

– Mówiłem mu, żeby jeździł wozem opancerzonym – stwierdził ponuro Szapi.

– Daj spokój, sam jeździsz bez pancerza – odparł Dżamałudin.

– Ja jestem gliną.

– A on niby kim?

Po wiadomości o zabójstwie nieznanego Kiryłowi Mahometa-Husajna spotkanie przygasło. Kobiety zabrały dzieci, Hagen, Szapi i Hadżimurat odjechali. Dżamałudin pożegnał się z gośćmi i poszedł spać.

W pokoju gościnnym zostały trzy osoby: Taszow, którego po śmierci matki Dżamałudin umieścił w domku gościnnym, Kirył, który tej nocy spał w majątku, i Arzo Hadżijew. Będąc kunakiem Dżamałudina, obraziłby go śmiertelnie, gdyby zanocował gdzie indziej.

Kirył, rozparty, oglądał telewizję, kątem oka zerkając na Arza. Jednoręki mężczyzna z okaleczoną twarzą pozostawał dla niego zagadką. Poddał się federalom, wykonywał ich najstraszniejsze rozkazy. Dostał Bohatera Rosji za wojnę z własnym narodem i pół Czeczenii straszło dzieci jego imieniem. A jednak, chociaż ten wilk stracił jedną łapę, Kirył wątpił, czy nauczył się obcinać pazury na

tej, która mu została.

Arzo i Taszow tymczasem wyszli na środek sali i zaczęli walczyć. Jednoręki Czeczen nie miał żadnych szans. Był lżejszy od mistrza świata o dobry cetnar i mimo całej zwinności po minucie zaliczył straszny cios w korpus, po którym przeleciał przez stół jak suchy liść. Arzo wstał, znowu ruszył do walki i znów dostał w żebra. Kirył nie rozumiał, po co Arzo zaczął tę niebezpieczną i poniżającą dla niego zabawę.

Taszow wyprowadził cios po raz trzeci i Czeczen przez pięć minut leżał na dywanie, dochodząc do siebie. Był niczym kot, który wpadł w łapy rottweilera. Kirył podszedł do niego, podał rękę.

– Może wystarczy? – spytał.

Arzo łysnął oczami.

– Hej, Taszow – powiedział. – Nie będę już z tobą walczył. Powalczę z kimś innym. Może z Kiryłem?

Arzo chwycił wyciągniętą dłoń Rosjanina i sprężysto wstał. Jego czarne oczy z czerwoną iskrą patrzyły prosto w oczy Kiryła. Dziwna rzecz, ale teraz, gdy Wodrow stał naprzeciwko Czeczena, ten nie wydawał mu się już jednorękim chudzielcem wagi piórkowej. Był niczym bicz, spleciony ze skóry bawoła: sprężysty, cienki i chłoszczący na śmierć.

Kirył wiedział już, po co Arzo zaczął walczyć z mistrzem świata w kickboxingu. Pojął też, że teraz oberwie za wszystko, włączając szturm Groznego, niedawną kontrolę tarkienckiej wytwórni wódek i oszczerczą kreskówkę *Wilk i zając*, poniżającą godność narodu czeczeńskiego.

Ale w tym momencie źrenice Arza drgnęły ze zdumieniem i Kirył odwrócił się, żeby zobaczyć, na co ten patrzy.

Przy balustradzie z boku wysokiej sali stał Dżamałudin. Oczy miał szeroko otwarte, dłonie ścisnęły poręcz. Kirył od razu jednak pojął, że z Awarem coś jest nie tak. Świadczył o tym już sam strój – Dżamałudin stał jedynie w slipach. A on nie pozwoliłby sobie na paradowanie półnago przed kimkolwiek. Nawet w hali sportowej nosił długie szorty i podkoszulki z krótkimi rękawami.

Kemirow zszedł po schodach i pewnym krokiem minął swoich przyjaciół. Nikt

nie drgnął i nikt go nie zawołał, ale gdy Dżamałudin wyszedł na podwórko, cała trójka po cichu ruszyła za nim. Dżamałudin zbliżył się do mercedesa, otworzył bagażnik i zaczął w nim grzebać. Kiedy się wyprostował, trzymał w rękach prawie dwumetrową lufę geparda. Postawił karabin na ziemi i zaczął go składać. Ruchy miał tak pewne, jakby odmawiał salat.

A potem, z karabinem w rękę, tym samym pewnym krokiem wrócił do domu i wszedł na piętro. Kirył i Arzo podążyli za nim. Dżamałudin wkroczył do swojego pokoju, który niegdyś zaskoczył Kiryła ascetyzmem, wślizgnął się z karabinem pod kołdrę i od razu zasnął, przytulając geparda jak ukochaną kobietę.

Czeczen i Rosjanin popatrzyli na siebie. Żaden nie odważył się odebrać Awarowi broni. I żaden nie wiedział, co powiedzieć mu następnego dnia rano, gdy się obudzi, obejmując karabin o wadze dwudziestu kilogramów.

Nazajutrz Kirył pojechał do bazy lotniczej Besztoj-10.

Nad bazą z ogłuszającym rykiem schodził do lądowania samolot czarterowy z Turcji, przed bramą stała kolejka ciężarówek i autobusów. Szef bazy generał Sieliwierstow chrapał w gabinecie przy butelce wódki.

Kirył rozejrzał się, zawahał i mimo wszystko kazał przyprowadzić kogoś z wojskowego kontrwywiadu. Na wezwanie stawił się czterdziestoletni przepity facet. W jego oczach nie było nic ludzkiego. Nazywał się major Raczkowski.

– Jest taki człowiek, Mahomet Diekuszew. Dwadzieścia pięć lat, rudy, szare oczy – oznajmił Kirył. – W toku śledztwa otrzymaliśmy informację, że może być przydatny naszemu komitetowi. Jak wynika z moich danych, może przebywać w Besztoju.

– Nie ma u nas żadnego Diekuszewa. – Major pokręcił głową.

Kirył bez słowa położył na stole zdjęcie, major długo mu się przyglądał.

– To Kozdojew. Podawał się za Kozdojewa – rzekł w końcu. – Faktycznie, był.

– Gdzie go wzięliście? – zapytał Kirył.

– We wsi. W Banditkale.

Banditkała nie była ani wsią, ani nawet oficjalną nazwą. Tak przezwano jedno z czeczeńskich osiedli na przedmieściach Besztoju. Oficjalnie osiedle nazywało się

Leninowskie.

Major zawahał się.

– Tam siedział, dostaliśmy cynk... Ale on wziął i uciekł. Trzech zastrzelił. No to pojaliśmy sąsiada.

– Czemu sąsiada?

Major zaśmiał się dziwnie. Albo był wcięty, albo upalony.

– Skarżyli się, sukinsyny – wyjaśnił. – Wrzeszczeli, żeśmy im niwę zmiądzzyli.

Kirył spytał po chwili milczenia:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, przyjechaliście do Banditkały w celu schwytania bojownika. Ten uciekł, a wy wzięliście człowieka z sąsiedniego domu, ponieważ pod tym domem wasz BTR rozjechał ładę niwę?

Major przez kilka sekund patrzył na Kiryła, a potem jego usta uniosły się w uśmiešku, ukazując żółte od nikotyny zęby. Raczkowski nachylił się do moskiewskiego kontrolera, złapał go za węzeł jedwabnego krawatu, zaśmiał się i powiedział:

– Litujesz się, co?

Kirył nagle wyobraził sobie scenę podobną do tej, jaka rozegrała się wczorajszego wieczora. Zobaczył dorosłych przy nardach i stadko dzieci na takim samym podwórku. No, może nie na takim samym. Na biedniejszym. Bez mercedesa. I bez geparda w mercedesie.

– Założmy – odparł sucho Kirył.

– Ja też... się litowałem – powiedział major. – Raz... W Itumkale... Na przystanku. Dziewczyna tam siedziała, Czeczenka. Duże czarne oczy, siedzi, trzęsie się. Źle się czuła, ósmy miesiąc. Mówię chłopakom: „Podrzucie ją do szpitala”. Wsadziłem ją do gazika, a sam poszedłem piechotą. Zdążyłem przejść sto metrów – a gazik za moimi plecami rozerwało na kawałki. Po tej Czeczenie został tylko pantofel, tyle sobie na brzuch nawinęła.

Twarz majora wykrzywiła się.

– Rozumiesz? Ty się litujesz, a oni się nad tobą nie zlitują. W tym domu czy w innym, co za różnica? Wszyscy oni są tacy sami, jak ta baba... z trotylem...

– Wracając do Kozdojewa – rzekł Kirył. – Gdzie on jest?

– Wykupili go wczoraj. Pieniądze dali i wykupili. Dziesięć kawałków. Sieliwierstowowi.

Kirył zaklął pod nosem, domyślając się, jak ta wiadomość rozwścieczy Dżamałudina.

– Kto? Rodzina?

– Pewnie tak... Przez tych, Kemirowów. W każdym razie zabrał go Aryjczyk, wczoraj.

Kirył podziękował za tę wiadomość i wyszedł z gabinetu. Już schodził z ganku, gdy drzwi za nim otworzyły się z takim hukiem, że z daszku na schody spadło ptasie łajno. Kirył obejrzał się odruchowo. W drzwiach stał rozczochrany Raczkowski. W jednej ręce trzymał butelkę z mętnym płynem, bardziej przypominającym mocznik niż wódkę.

– Ty, krawacik... Wracaj do swojej Moskwy... Przysyłają tu obrońców prawa... Niwę mu rozjechałem, spokojnemu obywatelowi!? Wszyscy oni spokojni, jak siedzimy w beteerze, jak jesteśmy bez, to już po nas. Spokojni to oni są wtedy, jak są martwi. Oni się rodzą ze szponami, rozumiesz? Ich wszystkich by trzeba powybijać, tych wilków! A nory zalać chlorem!

– To może lepiej odejść?

– Co?

– Jeśli wokół są tylko wilki, to jak sprawować nad nimi kontrolę? Może trzeba je zostawić w spokoju, niech sobie same żyją?

Major zaśmiał się pijacko i zrobił krok z ganku. Jego oczy znalazły się pół metra od twarzy Kiryła. Były tak samo szkliste jak oczy nieboszczyka Isy. Ręka majora szarpnęła się, omal nie upuścił bimbru. Kirył przypomniał sobie, że za robotę Raczkowski i jego ludzie dostawali po siedemdziesiąt tysięcy. Za takie pieniądze można by pić coś lepszego niż samogon.

– Z ciebie to miłośnik zwierzyny – powiedział major. – Uważaj, żeby ci uszy nie wyrosły. I ten, no... ogon.

Kirył w milczeniu odwrócił się i wyszedł spod daszku. Dopiero wtedy zauważył, że dżipa, którym przyjechał, przy ganku nie ma.

Gdy Kirył rozmawiał z wojskowymi, Taszow, który siedział za kierownicą dżipa, przejechał kawałek i znalazł się przy pasie startowym. Na pustym pasie stał AN, podobny do kolby kukurydzy, a czarne figurki niczym mrówki taszczyły po rozwartym trapie wielkie torby z towarem. To był ten czarter, który w piątki przylatywał z Turcji. Cały pas był zastawiony starymi ciężarówkami.

Wśród tego zbiorowiska rozklekotanych wozów potężny czarny lincoln navigator z przyciemnianymi szybami, którym podjechał Taszow, wyglądał niczym przybysz z innej planety.

W Besztoju było dużo bazarów i niewielu bandytów. Każdy właściciel besztojskiego bazaru był w stanie i zapewnić ochronę, i pozbyć się jej. Dżamałudin nie interesował się bazarami, w każdym razie nie po sprawie ze szpitalem położniczym. Pięć lat temu, gdy Kemirowowie jeszcze zajmowali się wódką, doszło do kilku nieprzyjemnych sytuacji, ale od tamtej pory Dżamałudin bardzo się zmienił. Kiedyś dwóch chłopaków z jego oddziału poszalało sobie na giełdzie samochodowej i od tamtej pory nikt ich nie widział. Dlatego właśnie Taszow bazarów nie lubił i jak działały, nie wiedział.

I teraz był nieprzyjemnie zaskoczony dużą liczbą kobiet, które pracowały, zamiast siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Autobusy i ciężarówki jeździły tam i z powrotem, żołnierze dźwigali torby i Taszow w końcu zauważył znajomą Czeczenkę. Siedziała tyłem do dżipa, wśród czterech wielkich toreb, wyższych od niej, a obok kręcił się jakiś wojskowy.

Ciężki dżip podjechał cicho i gdy znalazł się dwa metry od bagaży, Taszow opuścił szybę, żeby posłuchać rozmowy. Najwyraźniej Czeczenka nie miała nikogo, kto by ją odebrał, i teraz targowała się o miejsce w wojskowej ciężarówce. Ton rosyjskiego kierowcy bardzo się Taszowowi nie spodobał: facet zachowywał się tak, jakby miał przed sobą nie góralkę w chustce, lecz prostytutkę w miniówce.

W tej samej chwili trzasnęły drzwi, Taszow obejrzał się i zobaczył, że do dżipa wsiadł Kirył Wodrow. Federal był wściekły i Taszow domyślał się dlaczego.

- Gdzie ty sobie jeździsz? – spytał ostro Kirył. – Od półgodziny cię szukam!
- A bo tu... Znajoma... – odparł nieśmiało Taszow.
- No to rusz się, pomóż! Sama ma to dźwigać?

Oślupiały Taszow nie wiedział, co odpowiedzieć. Wtedy rosyjski żołnierz wziął Czeczenkę za rękę, ta szarpnęła się oburzona. Kirył otworzył drzwi i zawołał:

– Hej, proszę wsiąść do nas!

Kierowca wojskowej ciężarówki odwrócił się, gotów przegonić konkurentów, i zobaczył dwa metry od siebie czarnego lśniącego lincolna navigatora na tablicach besztojskiej milicji. Po lewej od dżipa stał jakiś federal pod krawatem, a po prawej Taszow Alibajew, zwany Cetnarem. I najwyraźniej mistrz świata był u tej szychy za szofera.

Dziewczyna krzyknęła cicho. Nawet człowiek tak niedoświadczony w tych sprawach jak Taszow zrozumiał, że ona nie widziała czarnego dżipa ani koguta na dachu, ani federala w krawacie – widziała tylko Taszowa.

I nie wierzyła własnym oczom.

Hagen Adrian Maria Hazenstein w sporcie miał dużo więcej szczęścia niż w biznesie. Wprawdzie próbował robić interesy, ale kompletnie mu nie szło.

Gdy został mistrzem Europy w wushu-sandzie, wziął w banku kredyt na sto tysięcy dolarów. Minęły dwa lata i okazało się, że kredyt trzeba spłacić. To bardzo zdumiało Hagen, który nie zdawał sobie nawet sprawy, że kredyty się oddaje. Uważał, że wystarczy oddać dziesięć procent temu, kto kredyt przyznał.

Hagen przyszedł z przyjaciółmi do banku, żeby wyjaśnić sprawę kredytu, ale okazało się, że bank należy do syna prezydenta republiki Gamzata Aślanowa, więc rozmowa się nie kleiła. Gdy przyjaciele Hagen wyjęli broń, z sąsiedniego pokoju wyskoczyli sobrowcy i było po zawodach. SOBR wygrał walkowerem.

Hagen przesiedział dwa tygodnie w areszcie, a gdy go wypuścili za poręczeniem, uświadomił sobie, że siedział nie za to, że nie oddał kredytu, lecz za to, że stawiał opór pracownikom milicji w czasie aresztowania. I że kredyt ciągle trzeba spłacić.

Hagen nie wiedział już, co ma robić i wtedy wezwał go Szapi, szef służby bezpieczeństwa Gamzata Aślanowa.

– Słuchaj, Aryjczyku – rzekł. – Ty jesteś porządny chłop. Jak to się stało, żeś przeżarł tyle forsy?

– Wcale jej nie przejadłem – zaprotestował Hagen. – Kupiłem dwa mieszkania



swoim dwóm siostram, bo wychodziły za mąż.

– To niedobrze. Teraz bank zabierze te mieszkania i twoje siostry wylądują na ulicy. Poza tym grozi ci spory wyrok. Naszemu szefowi działu kredytów bardzo się nie spodobało, że przywaliłeś mu w skroń ręką pistoletu, a on jest krewnym śledczego, który prowadzi twoją sprawę.

Hagen nie mógł pozwolić, by jego siostry wyrzucono na bruk – nie po to przecież kupował im mieszkania. Zapytał, czy można coś z tym zrobić, a Szapi odparł:

– Bez problemu. Jest taki człowiek, Zagir Rasułow. To szef kolei republiki i straszne bydlę. Jak on zniknie, umorzemy ci kredyt.

Hagen pojechał do bazy lotniczej Besztoju i kupił tam dwa fugasy, a dwa tygodnie później opancerzony mercedes Zagira Rasułowa rozerwało na kawałki wraz z zawartością.

Nikt w republice nie mógł zrozumieć, kto i dlaczego zabił Rasułowa. Obciążali jednego, potem drugiego, a tymczasem jego fotel Gamzat Asłanow sprzedał za pół miliona dolarów człowiekowi, który nazywał się Achwerdiław Adajew.

Minęło pół roku i okazało się, że nie był to najlepszy wybór. Achwerdiław Adajew szybko piął się w górę, na domiar złego na posiedzeniu parlamentu cisnął w Gamzata papierową kulką. Tydzień później Szapi znów odwiedził Hagen.

– Podobno narobiłeś długów i przegrałeś sporo pieniędzy. Gotów jestem dać ci dziesięć tysięcy teraz i dwieście po robocie.

Hagen znów pojechał do Besztoju-10 i znowu kupił tam fugas. Dwa tygodnie później opancerzony mercedes Achwerdiława wyleciał w powietrze, wraz z zawartością.

Wszyscy znów się dziwili, a fotel Achwerdiława Gamzat sprzedał za milion dolarów człowiekowi, który nazywał się Mahomet-Szapi.

Wkrótce potem Hagen ponownie został mistrzem Europy i poznał Dżamałudina, a ponieważ przypadli sobie do gustu, Hagen stał się wreszcie posiadaczem sklepiku na besztojskim bazarze. Sklepem zawiadowała jego żona, która była cioteczną siostrzenicą Dżamałudina, a udział Hagen w kierowaniu sklepem polegał na tym, że od czasu do czasu zajeżdżał tam z przyjaciółmi i brał dla nich różne rzeczy, za nic nie zapłaciwszy. Generalnie w życiu Hagen było wiele sklepów, z których brał

rzeczy dla przyjaciół. Trzeba jednak przyznać, że pod tym względem nigdy nie robił różnicy między sklepem swoim a cudzym.

W 2001 roku Hagen znów kupił fugas. Dżamałudin, dowiedziawszy się o tym, zapytał:

- Czy ty czasem nie szykujesz tego na mnie?
- Oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie masz, za łajdaka?

Dżamałudin zaśmiał się i dał spokój, a gdy dwa tygodnie później w Torbikale wyleciał w powietrze zastępca mera, powiedział Hagenowi, żeby więcej tego nie robił. Hagen nie ośmielił się przeciwstawić Dżamałudinowi i więcej nie kupował fugasów.

I oto tydzień po tym, jak Idris Abidow doniósł Gamzatowi o planowanym zamachu, do Hageny zadzwonił człowiek o imieniu Ahmed, nowy szef ochrony Asłanowa. Poprzedniego, Szapiego, zabito pół roku wcześniej. Spotkali się i Ahmed oznajmił:

- Masz zabić Dżamałudina Kemirowa.

Hagena zatkało, Ahmed zaś wyjął z biurka teczkę i położył przed nim.

– Tu są nagrania twoich rozmów z Szapim, a tu nagranie, jak kupujesz samochód, w którym umieszczono fugas i w którym potem zginął Achwerdiław. Jeśli nie zrobisz tego, czego żądam, wsadzą cię na dwadzieścia lat.

– Przecież w sądzie wyjdzie na jaw, że zleceniodawcą wszystkich tych zabójstw był syn prezydenta republiki! – zawołał Hagen.

– Ależ skąd – odparł Ahmed. – Z tych taśm wynika tylko, że zleceniodawcą był Szapi. Kto go tam wie, dlaczego nie spodobali mu się ci ludzie? A Szapi teraz nie żyje i na nim ślad się urywa.

Hagen był wstrząśnięty istnieniem tych taśm. Poza tym dobrze wiedział, że wcale nie trzeba było iść z nimi do sądu. Gamzat mógł wezwać braci Achwerdiława i oddać taśmy im. Bracia poprzysięgli znaleźć zabójcę i Hagen był pewien, że uwierzą Gamzatowi, jeśli ten odda im taśmę i zareczy, że nie miał pojęcia o zleceniu Szapiego. Zemsta zemstą, ale braciom Achwerdiława znacznie łatwiej byłoby wziąć odwet na Hagenie niż na Gamzacie, a w takich sytuacjach ludzie wolą mścić się na tym, na kim łatwiej.

– Jeśli zabijesz Dżamałudina – mówił dalej Ahmed – dostaniesz dwieście tysięcy dolarów. Jeśli tego nie zrobisz, miej pretensje do siebie.

Jasnowłoso góral ze wsi Monachium zastanawiał się długo, w końcu powiedział:

– Zgoda.

Na początku marca Hagen i jego młodszy brat Ferdynand pojechali odwiedzić znajomego chorążego w bazie Besztoj-10. Chorąży przywitał ich serdecznie – w końcu Hagen i Ferdynand byli jego stałymi klientami. Chorąży sprzedał im w sumie pięć fugasów i dwadzieścia kilo materiałów wybuchowych. Kiedyś nawet udało mu się sprzedać spisany transporter opancerzony, ten, który obecnie stał na podwórku Dżamałudina.

Hagen i Ferdynand dobrze zapłacili chorążemu, kupili od niego fugas i załadowali do bagażnika. Już mieli odjeżdżać, gdy Hagen spytał:

– A to co za dziwo?

Dziwo, które zwróciło uwagę Aryjczyka, stało przed hangarem pod zielonym brezentem i wyglądało jak potężny transporter. Jak się okazało, był to zestaw raketowy toczka-U, zamontowany na platformie samochodowej<sup>1</sup>. Stała na nim sześciometrowa rakiet balistyczna z głowicą bojową ważącą pół tony i minimalnym zasięgiem rażenia wynoszącym dwadzieścia kilometrów.

Toczka-U mogła strzelać również pociskami jądrowymi, ale te, które były na lotnisku w Besztoju, miały głowicę kasetową lub fugasową. Przywieziono je na lotnisko jeszcze w 1999 roku, w czasie interwencji czeczeńskiej.

Chorąży wyjaśnił im, co to za dziwo. Bracia obejrzeni maszynę wzdłuż i wszerz, zachwycając się skomplikowaną aparaturą jak dzieci. Trzeba powiedzieć, że zachwyty Ferdynanda był w dużej mierze udawany: służbę wojskową odbywał w wojskach raketowych i mógłby kierować zarówno toczką, jak i jej poprzedniczką, łuną-M.

Hagen i Ferdynand zapłacili chorążemu, który miał na imię Maksym, i odjechali.

Wrócili trzy dni później, zwracając się do Maksyma z wielką prośbą. Pewien ich przyjaciel w Torbikale miał wkrótce urodziny i z tej okazji chcieli na kilka dni wypożyczyć toczkę.

– Ma dom nad brzegiem morza – tłumaczył Hagen. – Przywieziemy ją tam,

strzelimy w morze, a nazajutrz oddamy.

W pierwszej chwili Maksym się wystraszył. Przecież, żeby zawieźć toczkę do Torbikały, trzeba było przejechać dwieście czterdzieści kilometrów obok przeróżnych posterunków! Nawet worka ziemniaków nie sposób tamtędy przewieźć, żeby nie zapłacić cła, a co dopiero osiemdziesięciometrowe bydlę na kołach większych od kół białych! Maksym nie był nawet przekonany, czy toczka wjedzie w Tunel Kurszyński.

Ale bracia obiecali mu najpierw tysiąc dolarów, potem trzy, a przy pięciu Maksym się zgodził. Pomyślał, że w końcu nic się nie stanie, jeśli machina przejedzie się tam i z powrotem. Poza tym nie był pewien, czy jubilat, który, jak powiedzieli bracia, był zastępcą ministra rolnictwa, zdolny jest kierować czymkolwiek, choćby rolnictwem.

Urodziny wypadły siódmego marca i tego dnia Maksym za pięćset dolarów osobiście wyprowadził toczkę za bramę bazy lotniczej.

Droga zajęła pięć godzin, ale dojechali, o dziwo, bez przygód. Gliniarzom na posterunkach, zatrzymującym rdzewiejące żiguli i wypasione dżipy, nawet do głowy nie przyszło, żeby pytać o dokumenty na wielką machinę, przed którą jechał samochód milicyjny z kogutem. Skoro jedzie, to znaczy, że może. Znaczy, powinna. Sam kaliber rakiety, sześćdziesiąt centymetrów średnicy, wykluczał jakiegokolwiek obiekcje co do legalności przewozu. Takie maszyny bez pełnomocnictw się nie ruszają.

O piątej popołudniu, nie dojeżdżając do Torbikały, Maksym skręcił nad morze i wkrótce wjechał wozem milicyjnym przez gościnnie otwartą bramę wielkiego domu. Dopiero wtedy poczuł, że coś jest nie tak. Dom był niezamieszkały. Więcej: był niedokończony. Ciemne otwory okien wзираły żałośnie z gołych cegieł, ukazując ciemniejsze niebo. Robotników nie było, wszędzie walały się materiały budowlane i w żółtym dole przed domem leżał zbity, nieroztopiony śnieg.

Maksym wyłączył silnik i odwrócił się do Hagen, który siedział obok.

– Co tu się dzieje?

Zamiast odpowiedzi Hagen wsadził mu w serce długi nóż.

Pół godziny później żiguli, które prowadził Hagen, zatrzymało się przed

rezydencją Gamzata, znajdującą się dwadzieścia pięć kilometrów od niedokończonego domu na wybrzeżu. Hagen zadzwonił do Ahmeda, szefa ochrony, i powiedział, że chciałby się z nim spotkać.

Ahmed odparł, że będzie za godzinę. I rzeczywiście: podjechał razem z konwojem Gamzata Asłanowa, który mu zawsze towarzyszył. Hagen patrzył w milczeniu, jak cały łańcuszek pancernych samochodów wjeżdża w najeżoną snajperami bramę.

Wysadzenie w powietrze Gamzata Asłanowa w sposób przyjęty w republice – to znaczy za pomocą fugasa zamocowanego w zaparkowanym wozie – było całkowicie niemożliwie i wiedziało o tym każde dziecko. Po pierwsze, w samochodzie Gamzata przez cały czas działała blokada zapalnika uruchamianego drogą radiową, a na całej trasie jego przejazdu na dachach domów wystawiano snajperów, którzy mogliby dostrzec człowieka z kablami. Po drugie, w konwoju zawsze były dwa albo trzy jednakowe mercedesy i nigdy nie było wiadomo, którym z nich pojedzie Gamzat. Prócz tego często zdarzało się, że cały konwój był lipą – samochody pędziły główną ulicą z piskiem opon, a Gamzat w tym czasie przyjmował gości w swoim bunkrze.

Hagen poczekał jeszcze pół godziny, wreszcie Ahmed wyszedł za bramę i wsiadł do jego samochodu.

– Po jakie licho żeś tu przyjechał? – zapytał Ahmed.

– Żeby ci powiedzieć, że za to, o co prosisz, dwieście tysięcy to za mało – rzekł Hagen. – Potrzebuję trzystu.

– Nie masz wyjścia – odparł twardo Ahmed.

– Posłuchaj, nawet za Achwerdiława zapłacili mi trzysta, a ja tu ryzykuję, można powiedzieć, nawet nie głową, a wszystkim, czym można i nie można.

– Dobrze, niech będzie trzysta – rzucił zirytowany Ahmed, myśląc w duchu, że tym razem zamiast honorarium Hagen i tak dostanie kulkę.

– Sto kawałków z góry.

Ahmed zaklął siarczyście, ale co było robić. Zły, kazał Hagenowi przyjechać do rezydencji, gdzie miał czekać w wozie. Pięć minut później przyniósł mu sto tysięcy.

– Zjeżdżaj stąd, ale już – polecił. – I zrób, co obiecałeś.

Trzy godziny później, gdy w rezydencji Gamzata był tylko on i jego ochrona, dwutonowa rakietka z fuzajową głowicą bojową wystartowała z niedokończonego domu, oddalonego (morzem) o dwadzieścia pięć kilometrów.

Aparatura maszyny pozwalała na samodzielne wykonanie dowiązania topograficznego do terenu. Idealną dokładność namierzenia zagwarantował Hagen: operator „dowiązał się” do nadajnika zostawionego w bagażniku podjeżdżającej do rezydencji „szóstki”.

Na ostatnim odcinku toru lotu rakietka zeszła pionowo w dół. Jej głowica wybuchła w chwili, gdy zetknęła się z żółtym piętrowym budynkiem, wbudowanym w podstawę skały.

Uderzenie rakietki, przeznaczonej do niszczenia niewielkich celów strategicznych, w tym ukrytych głęboko w ziemi bunkrów sztabowych, było potworne w skutkach. W promieniu stu metrów fala uderzeniowa zniszczyła wszystko, włączając trzy ogrodzenia, autobus z omonowcami i garaże, w których stały dwa nowe porsche cayenne i stuningowana corvetta za siedemset tysięcy dolarów. Łódź, kołysząc się przy cumowisku, rozerwało na kawałki. BTR w zagrodzie z betonowych płyt przewróciło do góry kołami, płyty cisnęło w morze.

Stajnia, gdzie pośród innych koni stał podarowany Gamzatowi arabski źrebiec czystej krwi, przeistoczyła się w końską mielonkę z drzazgami. W sąsiednim prywatnym domku, za czwartą betonową ścianą, zawalił się dach i przygniótł ludzi pijących herbatę.

Z białych marmurowych kolumn fasady nie został kawałek większy od napatka. W domu spłonęło siedemset garniturów od Gucciego i Valentino, dziewięćset pięćdziesiąt krawatów i dwa tysiące siedemset par butów. Gamzat miał kompletnego świra na punkcie butów, szyto mu je ręcznie, nigdy nie zakładał dwa razy tej samej pary.

Zginęły dwadzieścia trzy osoby.

Gamzat Asłanow, przebywający w bunkrze na głębokości trzech pięter pod ziemią, przeżył.

Po Hagen Hazensteina przyszli następnego ranka, do domu tego samego

zastępcy ministra, na którego urodziny bracia pojechali jakby nigdy nic.

A raczej: próbowali to zrobić. Porucznik milicji, który dostał polecenie zatrzymania Hagen, oraz informację, że Aryjczyka widziano poprzedniego dnia na weselu ministra rolnictwa, przyjechał do zastępcy ministra zapytać, czy to prawda, i ku swojemu zdumieniu zastał tam Hazensteina. Porucznik próbował go zatrzymać, ale Hagen wyprowadził cios, wskoczył do samochodu i tyle go widzieli.

Na wieść o tym Ahmed rzucił się w pogoń. Liczył, że Hagen, zatrzymają w Szamchalsku na posterunku, ale posterunek postanowił nie zadzierać z Aryjczykiem. „Wy go ścigacie, to wy go zatrzymujcie – wyjaśnił szef posterunku swoje stanowisko. – Jeszcze by tylko brakowało, żeby prócz wahabitów wysadzali nas ludzie Dżamałudina”.

Była jeszcze możliwość, że uda się zatrzymać Hagen przed Tunelem Kurszyńskim, ale problem polegał na tym, że tamtejszy posterunek miał charakter czysto formalny. Nigdy nie siedział tam więcej niż jeden człowiek, a i ten częściej niż za workami z piaskiem siedział w przydrożnej kafejce, którą prowadziła rodzina Kumyków. W miastach i we wsiach na równinach posterunki były duże, bo tam było stosunkowo bezpiecznie, ale obok tunelu, stanowiącego obiekt strategiczny i klucz do całej Górnej Awarii, posterunek de facto nie istniał. Jakoś tak się składało, że poważne posterunki się tam nie utrzymywały.

Krótko mówiąc, pogoń trwała trzy godziny i gdy samochody Ahmeda dotarły do posterunku przy wjeździe do Besztoju, procesja wyglądała już jak orszak weselny. Do tego czasu do Ahmeda dołączył autobus z komandosami z Regionalnego Centrum Antyterrorystycznego, dwóch zastępców szefa MSW i zastępcę zwierzchnika zarządu FSB republiki.

Po tamtej stronie posterunku ścianą ustawili się besztojscy milicjanci, a za nimi czarne dżipy i ludzie Dżamałudina. Było ich czterdziestu, wszyscy uzbrojeni.

Ahmed, czekista oraz obaj zastępcy ministra wysiedli z samochodów i podeszli do posterunku, gdzie czekał na nich szef milicji Szapi Czarachow. Szapi, jak zawsze, był spokojny i flegmatyczny. Ahmed miał pod okiem wielkiego siniaka i rękę w bandażach. Wczorajszą noc spędził w bunkrze, w pokoju obok sypialni Gamzata i do rana wygrzebywał się na powierzchnię. Jednak siniak nie był efektem wybuchu,

lecz ciosu Gamzata. Kara za niezapewnienie bezpieczeństwa.

– Jakież problemy? – zainteresował się Szapi.

Ahmed uważnie zlustrował szeregi besztojskich stróżów porządku i zrozumiał, że pokonali tę drogę niepotrzebnie.

– Chcemy porozmawiać z Zaur Ahmedowiczem – oznajmił Ahmed.

Sapi uśmiechnął się uprzejmie.

– Już pomyślałem, że gnaliście tak za dżipem Aryjczyka, a tu się okazuje, że po prostu zapomnieliście, którądy się jedzie do Besztoju.

Zaur Kemirow przyjął szefa biura ochrony Gamzata Aślanowa, dwóch zastępców ministra MSW, zwierzchnika centrum „T” i zastępcę szefa FSB republiki kwadrans później.

Mer Besztoju siedział za połyskliwym stołem w ciemnym jednobarwnym garniturze i brązowym krawacie. Nad jego głową wisiał portret prezydenta Rosji, a po prawej stronie opadały fałdy dwóch flag: czerwono-biało-niebieskiej rosyjskiej i flagi miasta Besztoj, z czarnym wilkiem na zielonym tle. Zasłony w gabinecie były rozsunięte, wiosenne słońce pląsało po ścianach, a przez lśniąco czystością szyby było widać, jak na podwórzu merostwa, na miejscu zburzonego pomnika Lisaniewicza, stoją uzbrojeni ludzie Dżamałudina.

Gdy delegacja weszła do gabinetu, było południe i w telewizji zaczęły się wiadomości. Na ekranie pojawiła się wyrzutnia raketowa stojąca obok niedokończonego domu, a potem pokazano Gamzata Aślanowa. Gamzat trzymał w rękach portret prezydenta Federacji Rosyjskiej. Uniósł go nad głowę i powiedział:

– Uratowaliśmy się razem: ja i portret, który wisiał na ścianie. Uważam, że przeżyłem tylko dlatego, że ten portret tam był. Ja i prezydent gramy w jednej drużynie – terroryści nas nie zastraszą!

Wszyscy obecni w gabinecie popatrzyli z szacunkiem na portret, który uratował życie Gamzatowi, a następnie mer spytał, co sprowadza do Besztoju tak znamienitą delegację.

Ahmed rzucił na stół zdjęcia z miejsca wybuchu.

– To sprawka Aryjczyka. Wydaj nam go.



– Czyś ty zwariował, Ahmedzie? – zdumiał się Zaur. – Przychodzisz do mnie i prosisz, bym zdradził przyjaciela? A może nie jesteś już góralem? Nigdy nie dostaniesz ani Hagen, ani żadnego z moich przyjaciół. Odejdź i więcej tutaj nie przychodź.

– Jeśli nie oddasz Aryjczyka, uznamy, że to ty jesteś zleceniodawcą.

– Możecie sobie uznać, co chcecie.

Szef biura ochrony Gamzata Aślanowa, zwierzchnik centrum „T”, dwóch wiceministrów MSW i zastępca szefa FSB republiki opuścili gabinet mera o godzinie dwunastej pięć.

Po skończonej rozmowie Zaur Kemirow nacisnął przycisk interkomu i polecił:

– Znajdźcie mi Dżamala i Hagen.

Polecenie mera spełniono w trzy minuty – tak się złożyło, że Hagen przyjechał do merostwa chwilę po Dżamałudinie.

Hagen przywiózł ze sobą brata, ale zostawił go w poczekalni i wszedł do merostwa sam. Ubrany był tak jak zwykle: w czarne spodnie i czarną koszulę, przeciętą na krzyż jasnobrązowymi pasami z kaburami pistoletów. Lubił, żeby pistolety były dwa. Zawsze żartował, że gdy nosi jeden, przechyla go na jeden bok.

Gdy wszedł do gabinetu, Zaur i jego młodszy brat już siedzieli przy długim stole narad. Zaur niespiesznie przeglądał zdjęcia z miejsca zamachu. Dżamałudin wyglądał na zdumionego.

– Co to ma być? – spytał Zaur.

Hagen bez słowa położył na stole kasetę. Na znak brata Dżamałudin włożył ją do odtwarzacza. To było nagranie wczorajszej rozmowy Hagen i Ahmeda.

Dżamałudin wyjął kasetę i oddał Zaurowi, a ten schował ją do sejfie.

– Co to jest? – spytał Zaur.

– Dostałem zlecenie na Dżamala – wyjaśnił Hagen. – Więc pomyślałem, że można ten problem rozwiązać inaczej. No, przecież nie wykonałbym tego zlecenia.

– Dlaczego Ahmed zwrócił się właśnie do ciebie?

– Mają nagranie, jak Szapi nakazuje mi zamordowanie Achwerdiława. Powiedzieli, że jeśli nie zabiję Dżamala, wsadzą mnie na dwadzieścia lat.

Dżamałudin uniósł lekko brwi. Już wcześniej podejrzewał, że Achwerdiława zabił Hagen i dostał za to pieniądze, ale nigdy z nim o tym nie rozmawiał.

– To czemu się z nami nie naradziłeś? – spytał Zaur.

– A co, ja dziecko jestem, żeby lecieć na skargę? – obruszył się Hagen. – I beze mnie macie dość problemów.

Dżamałudin przy starszym bracie nic nie powiedział. Zaur wstał ze swojego miejsca, twarz miał szarą i straszną.

– Czy ty w ogóle wiesz, coś narobił?! – krzyknął. – Zamordowałeś dwadzieścia trzy osoby! Tam jest jatka! Rzeź! Tam... tam jest jak w szpitalu!

I przez stół rzucił Hagenowi zdjęcia z miejsca zamachu.

– Wielkie rzeczy – odparł Aryjczyk. – To przecież ochroniarze Gamzata, a u niego nie pracowałyby żaden porządny człowiek.

– Tam były konie! Dziesięć pięknych koników! Tam były psy, tam gołębie z nieba spadały!

Na wieść o koniach Aryjczyk sposepniał. Psy go nie interesowały, psy to zwierzęta nieczyste, ale konie lubił. I szczerze mówiąc, do głowy mu nie przyszło, że w czasie eksplozji mogą ucierpieć jakieś zwierzęta.

– Tam była rodzina w sąsiednim domu – mówił dalej Zaur. – Mężczyzna, dwóch synów i stara matka, osiemdziesięcioletnia! Siedzieli przy stole i nadal tam siedzą, martwi! Czy ty dawałeś im życie, by je odbierać? Kto dał ci prawo rozstrzygać, kto ma umrzeć, a kto nie? Czy rozumiesz, że trafisz za to do piekła? Co powiesz na Sądzie Ostatecznym?

Wiadomość o staruszce zmartwiła Aryjczyka. Nie miał najmniejszego zamiaru pozbawiać życia starych kobiet. Zabijanie ich nie było w porządku. To było sprzeczne z zasadami i z nauką Allaha, co do Sądu Ostatecznego Zaur miał absolutną rację. Hagen ściągnął brwi i utkwiał wzrok w podłódze, a potem uniósł podbródek i powiedział:

– Z tego, co zrobiłem, Zaurze Ahmedowiczu, sam wytłumaczę się przed Allahem, a jeśli nie zdołam tego zrobić, ukarze mnie tak, jak uzna za stosowne. A jeśli Ahmed znów się tu zjawi, proszę pokazać mu tę kasetę. Niech pan powie, że jeśli będzie mnie prześladował, wyślemy kasetę Asłanowowi, a ja publicznie

oświadczę, że Ahmed namawiał mnie do zabicia Gamzata. Że mówił, jak się go boi, że ten zachowuje się jak nienormalny i zabija wszystkich dookoła. Nie sądzę, żeby Ahmed tego chciał. Przecież Gamzat naprawdę jest stuknięty. Jeśli chodzi o własne życie, uwierzy we wszystko.

Z tymi słowami jasnowłosy esesman odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Po namyśle Dżamałudin wyszedł za nim.

Na korytarzu Hagen Hazenstein wpadł na Kiryła Wodrowa, zastępcę szefa komitetu nadzwyczajnego. Ten właśnie przechodził z teczką. W czarnym garniturze i białej koszuli ładząco przypominał pingwina. Na widok Hagen i Kemirowa stanął jak wryty, podniósł rękę i powiedział:

– Dżamałudynie, muszę z tobą pogadać.

– O czym? – zdumiał się Kemirow.

– O zamachu na Gamzata Aślanowa.

– Przecież to podpucha! – powiedział głośno Dżamałudin. – Żadnego zamachu nie było, sam siebie zaatakował, żeby podniósł się szum i żeby miał możliwość aresztowania, kogo popadnie. Myślisz, że by przeżył, gdyby sam tego nie zorganizował?

– Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to zamach terrorystyczny na najwyższego dostojnika – odparł sucho Kirył.

Hagen obejrzał Rosjanina od stóp do głów i zapytał:

– A co cię to obchodzi, kto urządził zamach na Gamzata? Co on ci, swat albo brat?

Z tymi słowami Hagen i Dżamałudin zeszli po schodach. Kirył w milczeniu patrzył z okna, jak wsiadają do samochodu. Całe podwórko było wypełnione ludźmi Dżamałudina, wszyscy byli uzbrojeni po zęby i kręcili się jak pszczoły w ulu, do którego wsadzono płonące polano.

W dniu zamachu na Gamzata Aślanowa szef komitetu nadzwyczajnego Fiodor Komissarow był w Moskwie. Ze względu na wypadki tego dnia syn prezydenta i najważniejszy moskiewski urzędnik republiki spotkali się dość późno. Fiodor

Komissarow pogratulował Gamzatowi ocalenia, a Gamzat jeszcze raz opowiedział historię o portrecie prezydenta, który pomógł mu przewyciężyć intrygi terrorystów. A potem Asłanow westchnął:

– Republika stoi nad skrajem przepaści, do której próbuje ją zepchnąć grupa terrorystów służąca swym zagranicznym panom. Mój ojciec stracił zdrowie na służbie Rosji, i teraz, gdy jest chory, ci łajdacy przeszli do ataku! Ludzie Dżamałudina Kemirowa to zwykli terroryści! Zburzyli pomnik rosyjskiego generała! Porywają się na życie prawdziwych przyjaciół Rosji!

Fiodor Komissarow wysłuchał tej tyrady i zapytał uprzejmie:

– Gamzacie Ahmednabijewiczu, ma pan dowody, że ten zamach jest dziełem Kemirowów?

Gamzat ugryzł się w język.

Od czasu nieudanej obławy na Hagen minęły trzy dni i Gamzat zdążył już nieco się uspokoić. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet Komissarow aresztuje Hagen, to potem pójdzie i wyciągnie pieniądze od Kemirowów, a następnie przyjdzie i wyciągnie kasę od niego, Gamzata, ponieważ Hagen może opowiedzieć takie rzeczy, za które można będzie wyciągnąć od Gamzata kasę.

Asłanow nie był człowiekiem odważnym, był za to bystry i rozumiał, że Fiodor Komissarow przyjechał do republiki nie po to, żeby handlować sobą, lecz by handlować tymi wszystkimi, których ktokolwiek zechciałby kupić. Dlatego zamiast wystawić szefowi komitetu Hagen, Gamzat zaśmiał się krótko.

– Kemirowowie to najwięksi terroryści w republice – stwierdził. – Należałoby zbadać, dlaczego do zajęcia szpitala położniczego doszło właśnie w Besztoju!

Fiodor Komissarow skrzywił się na wspomnienie tego zamachu, a Gamzat skorzystał z okazji i pociągnął wątek:

– Wie pan, że dyrektor szpitala Ashab Hasanow, który dowodził jedną z grup terrorystów, jest ciotecznym bratem Dżamałudina? Razem walczyli w Abchazji!

Szef komitetu nadzwyczajnego pokiwał z zaciekawieniem głową, Asłanow zaś uderzył pięścią w stół.

– Mój ojciec przez dziesięć lat opierał się naciskom bandytów – stwierdził stanowczo. – A teraz, gdy jest ciężko chory, terroryści przeszli do ataku! To, iż

stałem się ich głównym celem, najlepiej świadczy, że uważają mnie za jedyne kontynuatora dzieła mojego ojca.

Fiodor Komissarow w skupieniu przyglądał się szmaragdowej skuwce swojego parkera.

– No cóż – rzekł w końcu – skoro tak się sprawy mają, czemu nie poprosi pan ojca, by polecił pana jako swego następcę?

Wieczorem jedenastego marca Gamzat Asłanow przyleciał do niewielkiej prywatnej kliniki w górach Tyrolu, gdzie trzeci miesiąc leżał jego ojciec Ahmednabi Asłanow.

Prezydent miał oddzielną salę z pomieszczeniami dla ochroniarzy i pielęgniarek. Wszystko lśniło bielą, a u wezgłowia chorego siedział starszy brat Gamzata, Gazi-Mahomet. Od czasu, gdy ojciec zachorował, Gazi-Mahomet oddalał się tylko po to, by się pomodlić. Nawet spał na dywaniku przy łóżku.

Sam Ahmednabi leżał w śnieżnobiałej pościeli. Z jego chudej ręki ciągnęła się w górę rurka kroplówki. Prezydent miał szeroko otwarte oczy, lecz nie odwrócił wzroku, gdy wszedł młodszy syn.

Gamzat podszedł do ojca i oznajmił:

– Ojczy, oto twoja petycja do prezydenta Rosji. Musisz ją podpisać.

Ahmednabi Asłanow nadal wpatrywał się w sufit. Z prawego kącika ust pociekła ślina. Gazi-Mahomet podniósł się i wytarł ją chusteczką.

Gamzat powiedział z naciskiem:

– Ojczy, to apel o mianowanie mnie prezydentem. Jeśli go nie podpiszesz, nasz ród straci wszystko. Zabiją nas.

Milczenie Ahmednabiego uświadomiło Gamzatowi, że jego ojciec nie rozumie, co się do niego mówi. Prezydent Asłanow nie był ani żywy, ani martwy, żył w swoim świecie, jakby Allah, Pan Światów, miłosierny dla wszystkich na tym, a tylko dla muzułmanów na tamtym świecie, nie zdecydował jeszcze, czy uznać tego człowieka za muzułmanina, czy za kafira, i trzymał go w areszcie tymczasowym piekła.

Gamzat podał bratu kartkę przyklepioną do twardej podkładki, siadł obok ojca

i włożył w jego prawą rękę złoty parker z herbem republiki na skuwce.

– Potrzymaj – polecił bratu i podniósł rękę ojca do kartki. Ścisnął jego palce i przymierzył się do poprowadzenia podpisu, który tyle razy widział na dokumentach.

Jednak gdy zbliżył pióro do papieru, ręka ojca szarpnęła się i zamiast starannego podpisu całą kartkę od prawego dolnego rogu do lewego górnego przecięła gruba czarna krecha.

Wszepochpotężny niegdyś pan Republiki Awarii Północnej – Dargo z martwym, zalanym krwią mózgiem, człowiek, który od dwóch miesięcy robił pod siebie i nie wymówił jednego sensownego słowa, odwrócił głowę i powiedział:

– Ja jestem prezydentem.

A potem znowu przełożył głowę na miejsce i zasnął.

Pod koniec marca, gdy na przełęczach szalały jeszcze zamiecie, a morele i wiśnie w sadach pod Besztojem już pęczniały różowymi kwiatami, Dżamałudin zabrał Kiryła w góry. Na wycieczkę, jak wyjaśnił. Kirył był zły sam na siebie, że przyjął to zaproszenie.

Tym razem rzeczywiście była to wycieczka. Nikogo nie porywali i nie sadzali na pniu, nikomu nie podrzynali gardła. Po prostu wybrali się na trzy dni w góry, na koniach. Od razu pierwszego dnia spokojna klacz Zara, na której posadzono Kiryła, przechodząc przez obrośnięty lodem strumień, straciła równowagę, zaczęła bić wodę kopytem, a potem położyła się w tej wodzie, z Kiryłem w siodle. Całemu zajściu wtórował ogłuszający śmiech piętnastu zbrojnych górali. Kirył, czerwony ze wstydu, sechł później przez dwie godziny.

Szli, nie przestrzegając zbytnio administracyjnej granicy z Czeczenią, ale głównie po ziemiach Awarii, i szukali tworzących się grup bojowników. Ku niejkiej uldze Kiryła, nikogo nie spotkali, chociaż wypatrzyli jakieś stare, jeszcze zimowe ogniska, tak jak myśliwy zauważa stare legowiska dzika. Oba punkty znajdowały się blisko wsi. Było widać, że ludzie odeszli ze wsi, żeby nie przyjechały tam BTR-y, ale cała wieś wie, gdzie oni są, i zanoszą im jedzenie.

Kirył na równi ze wszystkimi dbał o konie, a w czasie modlitwy siedział z boku.

Wszyscy udawali, że nie dostrzegają, iż Rosjanin się z nimi nie modli, oprócz Hagen, który kilka razy zaczepiał go i żartował, że niewierny spłoszył wszystkie dzikie zwierzęta. Hagen generalnie nie lubił wielu narodów. Na jego czarnej liście figurowali Żydzi, Amerykanie, Anglicy, Gruzini, Czeczeni i Karaczajowie. A przy tym dla przedstawiciela danego narodu, którego Hagen znał osobiście, obowiązkowo robiony był wyjątek.

Drugiej nocy Kirył kręcił się w ciepłym śpiworze, pod czarnym aksamitem nieba, przybitym do sklepienia gwoździkami gwiazd. Obok niego leżał Dżamałudin. Kiryłowi udało się już więcej nie spaść z konia, ale czuł się tak, jakby połamano mu wszystkie kości powyżej kolan.

– Czy to prawda, że Władkowski cię wyrzucił? – zapytał nagle Kemirow.

Kirył skrzywił się. Ostatni raz widział Władkowskiego półtora roku temu. Oligarcha nie przebywał już wtedy w Rosji, a Kirył był wówczas przedstawicielem Federacji przy ONZ. Kiryła przywieziono na jacht cumujący przy Wielkiej Rafie Koralowej i na śnieżnobiałym pokładzie Władkowski wręczył mu plik dokumentów.

– To jest bomba! – oznajmił. – To ich załatwi na amen! Musisz przedstawić tę sprawę w ONZ!

Kirył przejrzał papiery. Wynikało z nich, że nowy prezydent Rosji wyprał w bankach Sankt Petersburga dwa miliardy dolarów kolumbijskiej mafii narkotykowej. Problem polegał na tym, że dokumenty były fałszywkami, w dodatku topornie spreparowanymi.

– To przecież lipa – odparł Kirył.

– A co za różnica, lipa czy nie! – zawołał Władkowski. – Złożysz zawiadomienie?

– Nie.

Do Moskwy Kirył wracał dziesięć dni. Na wyspę dostarczono go samolotem Władkowskiego, z powrotem leciał kukuruźnikiem. Kukuruźnik latał raz w tygodniu z sąsiedniej wyspy, do której można się było dostać tylko pirogą.

Gdy Wodrow dotarł do Moskwy, okazało się, że wszystkie firmy, w których załatwił sobie udział przed przyjęciem stanowiska dyplomatycznego, odsprzedały ten udział kolejnym firmom. Co gorsza, osobą, która podpisała niezbędne

dokumenty, była Olga Wodrowa, była sekretarka Władkowskiego, była – już teraz – żona Kiryła. Rozwścieczony Władkowski walił na oślep. W ostatnim czasie często się wściekał. Uważał, że wszyscy go zdradzili, i robił co się dało, żeby zdradzili go również ci, którzy jeszcze pozostali mu wierni.

– Bez Włada byłbym nikim – odparł Kirył. – Nie zostawił mnie.

Być może była to nawet prawda. Kirył nie dowiadywał się, czy Olga dzwoniła do Włada, czy nie. Ustalenie tego nie byłoby trudne, raczej przykre. Kirył nie lubił stawiać kropki nad „i”, w przeciwieństwie do swojego rozmówcy, który stawiał takie kropki zawsze, z makarowa.

– A ty jego?

Kirył odezwał się po chwili milczenia:

– Wszystkich, którzy przeżyli... wozisz na cmentarz?

– Tak. Pewien człowiek w górach powiedział mi, że jeśli przywiezie się tam wszystkich morderców, nowonarodzeni zmartwychwstaną.

W głosie Dżamałudina nie było cienia ironii, zwykłe stwierdzenie faktu. Kirył omal się nie zakrztusił. Już miał spytać, co na temat wskrzeszenia mówi Koran, ale w porę ugryzł się w język. Nawiązywanie do Koranu przy Dżamałudinie mogło być niebezpieczne.

– Wiesz, że są na ciebie źli w Torbikale? Ciągłe mówi się o tym, jak to porywasz ludzi dla pieniędzy.

Dżamałudin prychnął w ciemności.

– Życie przypomina granatnik: ma wylot z obu końców, ale człowiek, który uzna, że z obu można strzelać, wyleci w powietrze razem z bronią. Jeśli czegoś nauczyłem się w tym życiu, to tego, że dzieła Allaha nie należy utożsamiać ze swoim. Patrolowałem te góry pięć lat temu. W tym czasie moi ludzie patroszyli cysterny ze spirytusem. W końcu właścicielom spirytusu to obrzydło i pogonili nas. A gdy doszło do zamachu w szpitalu, Waha przeszedł po tych samych miejscach, nad którymi my mieliśmy nadzór. Nie można robić jednego, a jednocześnie czegoś innego. Ja to już rozumiałem, twoi szefowie nadal nie rozumieją.

Dżamałudin zamilkł. Czarne niebo nad nimi było podbite szarym futrem skał i wykończone białą koronką śniegu.



– Kiedyś przynieśli mi książkę z rozmyślaniami pewnego samuraja – ciągnął Dżamałudin. – Tam było napisane, że samuraj powinien żyć tak, żeby w każdej chwili być gotowym na śmierć.

– I tak właśnie żyjesz?

– Nie – odparł Dżamałudin. – Przecież samuraje to poganie. Skąd poganin miałby znać prawdę? Trzeba żyć tak, jakbyś już umarł. To jest *hadis*<sup>2</sup>, a przekazał go ibn Umar<sup>3</sup>.

Z tymi słowami Awar wcisnął się w śpiwór i chwilę później już spał. Kirył też szybko zasnął. Śniła mu się Olga w luźnej czerwonej sukni i białej chustce, a także ich synowie, którzy mogliby przyjść na świat, gdyby Olga nie trzęsła się tak o swoją figurę.

Następnego ranka, gdy zwijali obóz, Kirył spytał Hageny:

– Powiedz, gdyby twój najbliższy przyjaciel poprosił cię, żebyś zrobił podłość, a ty byś odmówił, to stałbyś się zdrajcą czy nie?

Hagen spojrzał na niego jak na idiotę.

– Przyjaciel to taki człowiek, dla którego trzeba zrobić wszystko, o co poprosi. Zrobić dobrą rzecz można dla każdego, a podłość – tylko dla przyjaciela.

Następnego dnia Kirył, wieziony dżipem przez Taszowa, jechał do Torbikały. Ponieważ nikt z nogajskiej wsi Dzarli w końcu go nie odwiedził, Kirył poprosił Taszowa, by do niej zajechali.

Spędzili we wsi ponad cztery godziny. Przez dwie godziny Kirył rozmawiał z naczelnikiem o imieniu Ahmed, przez kolejne dwie zbierał podania od mieszkańców. Gdy już mieli ruszać, Ahmed niespodziewanie poprosił, żeby go zabrać.

Młody Nogaj zupełnie nie przypominał ludzi Dżamałudina. Był drobny i po dziecięcemu kanciasty, a przy wielkim Taszowie wyglądał jak mopsik przy nowofunlandczyku. Wydawało się niewiarygodne, że są przedstawicielami tego samego gatunku.

Kirył nie potrafił zrozumieć, na czym opiera się, zaskakujący jego zdaniem, autorytet Ahmeda we wsi, dopóki nie wyszło na jaw, że Ahmed zna Koran na pamięć

i przez siedem lat uczył się w Arabii Saudyjskiej.

Kiryłowi nie spodobało się to i spytał w zadumie:

– I co myślisz o tych, którzy chcą tu zbudować państwo islamskie?

– Państwo islamskie nietrudno jest zbudować – tylko skąd wezmą do niego muzułmanów? Czy dzięki temu, że zamiast prezydenta będzie tu kalif, przestaniemy zabijać i kłamać? Istnieje mały dżihad przeciwko wrogom i duży dżihad przeciwko własnym namiętnościom. Ile z tych namiętności pokonali ci, którzy biegają po górach z karabinami?

– A Dżamałudin Kemirow? Czy on pokonał swoje namiętności?

Po chwili milczenia padła odpowiedź, która zaskoczyła Kiryła.

– Islam to wolność od wszystkich, prócz Najwyższego. Muzułmanin nie powinien być niczym niewolnikiem, nieważne, czy innego muzułmanina, czy niewiernego. Muzułmanin to człowiek wolny od niewolnictwa. I Dżamałudin Kemirow taki właśnie jest.

Tak się złożyło, że Saparczi Tiełajew, szef firmy Awartransfłot, jeden z najpotężniejszych ludzi w republice, nie miał synów. Jednego z jego synów zabili po pijanemu w Moskwie, drugiego po pijanemu w Nalczyku. Trzeci syn zabił się, jadąc górską drogą z wyłączonymi światłami, z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Co prawda tym razem nikt nie mógł powiedzieć, że stało się to po pijanemu.

Droga biegła nieopodal Nożaj-Jurtu i ponieważ federalowcy upodobali ją sobie do prowadzenia ostrzału, wszyscy normalni ludzie jeździli tamtędy bez świateł. Sałam również tak jechał, a gdy zaczął się ostrzał, nacisnął gaz, żeby pokonać niebezpieczny odcinek jak najszybciej, wypadł z trasy i zginął. A ojciec, który siedział obok, uszkodził sobie kręgosłup.

Saparczi stracił wszystkich synów, co się zaś tyczy córki, to wyszła za mąż za bardzo głupiego człowieka. Zresztą, on również zginął.

Saparczi miał ciotecznego siostrzeńca, Adama Tiełajewa, który rósł na cichego, dobrego człowieka. Nawet gdy został mistrzem Europy w taekwondo, wszyscy, jak leci, wykorzystywali jego dobroć.

Wkrótce po tym, jak Saparcziemu Tielajewowi zabili zięcia, ulokował Adama w swoim domu. Miesiąc po antyprezydenckim buncie Adam dostał stopień pułkownika MSW (trenował w klubie sportowym Dynamo) i został wybrany na deputowanego Zgromadzenia Ustawodawczego republiki z rejonu szugińskiego.

Jakiś czas później Adam zaczął zalecać się do siedemnastoletniej córki Gamzata Asłanowa. Adam nie był jedynym, któremu piękna Żanna wpadła w oko. Drugim jej adoratorem był Hadżimurat Czarachow, syn Szapiego Czarachowa, naczelnika milicji w Besztoju. Dwudziestotrzyletni Hadżimurat był zastępcą szefa służby celnej i żadnych pagonów nie miał – zajmując to stanowisko, samodzielnie opłacał jednak nie tylko trenera, ale i wszystkie podróże reprezentacji republiki. Był medalistą mistrzostw świata w zapasach w stylu wolnym w wadze półciężkiej.

W tym czasie Moskwa stworzyła w republice Regionalne Centrum Antyterrorystyczne, nadając stanowisku szefa centrum ministerialną rangę. Saparczi Tielajew postanowił kupić to stanowisko swojemu siostrzeńcowi Adamowi. Drugim kandydatem był naczelnik milicji Besztoju Szapi Czarachow i wielu rozumiało, że to mocniejsza kandydatura.

Po pierwsze, Czarachow był kiedyś oficerem KGB, działał w Syrii, znał świetnie arabski i dostał nawet Order Męstwa – po tym, jak w 1999 roku został otoczony przez Czeczenów z dwudziestoma żołnierzami permskiego OMON-u. Szapi wyprowadził omonowców do Czeczenii i przez cztery dni chodził z nimi po górach, dopóki nie przedostał się do swoich. Omonowcy byli bardzo zdziwieni, bo myśleli, że Szapi chce ich sprzedać Czeczenom. Za te cztery dni Szapi dostał Order Męstwa, a pułkownik, który posłał omonowców w miejsce, gdzie zostali otoczeni, otrzymał Bohatera Rosji.

Poza tym nie można było powiedzieć, że Szapi nie walczy z wahabitami. Głowa pewnego emira, który chciał zabić Szapiego, przeleżała dwa dni w rowie przy posterunku milicji. I choć połowa najważniejszych osób w republice przyjeżdżała na nią popatrzeć, nikt nie zdecydował się wszcząć procedury wyjaśniającej, jak ta głowa się tam znalazła.

Jednym słowem, w sytuacji podobnych możliwości finansowych, należało wybrać Czarachowa, bo Czarachow był starym wygą, a Adam? Cóż Adam? No,

niezły sportowiec. No, dobry chłopak.

Wtedy Saparczi Tiełajew wziął swojego siostrzeńca, wsiadł w samochód i pojechał do Besztoju, do Czarachowa.

– Posłuchaj, Szapi – zaczął. – Ty jesteś Lakiem i ja jestem Lakiem. Co się będziemy kłócić? Niech twój syn odstąpi mojemu Adamowi Żannę, a w zamian oddam ci stanowisko szefa centrum „T”.

Szapi uznał ten układ za intratny i polecił synowi zostawić w spokoju wnuczkę prezydenta. Miesiąc później Adam i Żanna urządzili wesele, a po kolejnym miesiącu Adama Tiełajewa mianowano szefem centrum „T”.

Szapi Czarachow bardzo się obraził i na posiedzeniu rady ministrów republiki zapytał wprost, co z obiecany stanowiskiem.

– Jakie dziwne rzeczy mówi ten człowiek! – zdumiał się Saparczi. – Jak myślisz, kto powinien być szefem centrum? Zięć Gamzata czy jakiś łysy gliniarz z Besztoju?

Najbardziej przykre w całej historii było to, że i Czarachow, i Tiełajew byli w połowie Lakami i jako bardzo znani ludzie obaj pretendowali do godności lidera lackiego narodu. Rzecz jasna po tym, jak Saparczi załatwił Szapię, Czarachow nie miał już co marzyć o przywództwie.

Gdy Gamzat Aślanow dowiedział się, że jego ojciec umiera, zrozumiał, że nowy prezydent odbierze mu wszystko. I że musi to zrobić, z trzech powodów.

Po pierwsze, gdyby nie odebrał wszystkiego Gamzatowi, oznaczałoby to, że nie ma żadnych wpływów. Po drugie, nie miałyby czym wynagrodzić sobie wydatków na mianowanie. I po trzecie, gdyby tego nie zrobił, po co zostawałby prezydentem Republiki Awarii Północnej – Dargo?

Początkowo Gamzat myślał o tym, żeby wyznaczyć na prezydenta krewnego lub kogoś, komu może zaufać. Miał wielu ludzi, którzy dawali mu pieniądze i zlizywali plwociny z podłogi, ale że był bystry, to wiedział, że każdy, kto się do tego posuwa, będzie to robił dopóty, dopóki sam nie zostanie prezydentem. Aślanow nie wątpił, że taki człowiek nie zapomina smaku podłogi ani smaku śliny i tylko czeka, żeby zmusić Gamzata do zrobienia tego samego.

Dlatego wiedział, że prezydentem musi zostać on sam, a tego nie da się zrobić

bez sojuszników. I dlatego wkrótce po ślubie przyszedł do Saparczego i rzekł:

– Posłuchaj, a może Adam zostałby przewodniczącym rady ministrów republiki? Jest, co prawda, młody, ale ma czystą duszę. Taki człowiek jest bardzo potrzebny na tym stanowisku, żeby uniknąć niepotrzebnych zawirowań i zagwarantować utrzymanie dotychczasowego kursu.

Rzecz jasna Tielajew wolałby sam zostać szefem rządu, ale on nie był zięciem Gamzata, tylko Adam. Jednym słowem, umówili się, że gdy Gamzat zostanie prezydentem, Adama mianują szefem rządu. Gamzat zapewnił sobie poparcie jednego z najpotężniejszych ludzi republiki i zaczęło się promowanie Adama. Saparczi zorganizował wielki turniej teakwondo, który wygrał Adam Tielajew. Stworzono fundację im. Adama Tielajewa, wspierającą młodych sportowców. Adam zaczął pojawiać się w telewizji. Szefa centrum „T” pokazywano, jak z podwładnymi modli się w meczecie, jak rozmawia z dziećmi w szkole sportowej i jak uderza w worek w czasie treningu. Adam prezentował się wtedy bardzo dobrze, miał dwadzieścia siedem lat, metr osiemdziesiąt wzrostu i był doskonale zbudowany. Miał dużą twarz z brązowymi oczami, twardą szczęką i złamany nos. W tym czasie zaczął się strzyc na zero i za jego uchem widać było różową bliznę, od noża.

Wszystkich zdumiało, jak Adam obchodził Kurban Bajram <sup>4</sup>: ludzie zarzynali barany, a Adamowi specjalnie przywieziono z Ameryki Południowej lamy o długiej sierści. Lamy zostały zarżnięte wedle wszelkich prawideł, a mięso rozdano sąsiadom.

W całym tym wspianym planie był tylko jeden słaby punkt, a mianowicie sam Adam. Któż nie ucieszyłby się, że ma zostać drugą osobą w republice, szczególnie jeśli zaledwie trzy miesiące wcześniej szczytem jego marzeń tej osoby było wygranie turnieju i otrzymanie białej łady szóstki?

Nic więc dziwnego, że Adam się ucieszył.

Pierwsza chmurka pojawiła się na horyzoncie w połowie stycznia, gdy jakieś żiguli omal nie wbiło się na zakręcie w mercedesa Adama. Adam przycisnął żiguli do chodnika, wyskoczył z mercedesa i pobił kierowcę tak, że ten trafił na oddział reanimacyjny. Ale na to jeszcze nie zwrócono większej uwagi, takie rzeczy działy się bez przerwy.

Dwa tygodnie później Adama zatrzymali omonowcy. Gdy rozpoznali szefa centrum, przeprosili i zaszalutowali, Adam zaś wszedł do samochodu, wcisnął pedał gazu i jednemu z funkcjonariuszy połamał kości.

To już miało poważniejsze następstwa: przewodniczący Sądu Najwyższego republiki wezwał Adama i oznajmił, że ten musi przeprosić rodzinę omonowca.

Wtedy Adam, jeszcze na rozprawie, wyjął pistolet i zaczął strzelać sędziemu pod nogi. Strzelał, dopóki nie opróżnił całego magazynku, a sędzia tańczył to na jednej, to na drugiej nodze. To już było skończone świństwo, ponieważ przewodniczący był dwadzieścia siedem lat starszy od Adama. Poza tym nie powiedział nic takiego, żeby do niego strzelać.

Po tej historii przewodniczący Sądu Najwyższego republiki śmiertelnie obraził się na szefa centrum antyterrorystycznego.

Ale najgorsze wrażenie zrobiła historia z Szamilem Salimchanowem, byłym kolegą Adama z reprezentacji. Szamil był ciotecznym bratem znanego terrorysty Mahometsalicha Salimchanowa i nawet ukrywał go przez pewien czas. Żadnych innych czynów Szamil nie miał na swoim koncie, chyba tylko to, że kiedyś razem z Adamem napadali na inkasentów. Uważając, że ta stara znajomość daje mu fory, Szamil zadzwonił do Adama i zaczął się dogadywać w sprawie amnestii. Jednak gdy przyszedł na wyznaczone spotkanie, trafił w zasadzkę i ledwie zdołał uciec.

Historia z Szamilem wydarzyła się w lutym, a w marcu Adam ze swoimi ludźmi przejął w porcie partię telefonów komórkowych wartych dwanaście milionów dolarów. Telefony należały do różnych dużych firm, i to nie tylko z Torbikały, ale z całego Kaukazu.

Komórki były rzecz jasna kontrabandą. Na terenie Federacji Rosyjskiej nie było ani jednego sprowadzonego legalnie telefonu i diler, któremu przyszyłoby do głowy, żeby wwozić taki towar oficjalnie, zbankrutowałby z powodu niekonkurencyjności.

Właściciele telefonów, znalazłszy się w kropce, przyszli do Adama się potargować.

– Zróbmy tak – powiedzieli – my damy ci dwa miliony dolarów, a ty oddasz nam telefony.

– Dobrze – odparł Adam. Dostał dwa miliony i w zamian podał adres magazynu,

w którym miały leżeć skonfiskowane aparaty.

Gdy właściciele komórek przyjechali pod wskazany adres po towar, okazało się, że nie ma domu z takim numerem. Pokręcili się, pokręcili i wrócili do Tielajewa.

– Adamie – powiedzieli – podałeś nam zły adres magazynu.

– Jakiego magazynu?

– Tego, w którym leżą telefony.

– Jakie telefony?

– Te, za które zapłaciliśmy ci dwa miliony!

– Jakie dwa miliony? – zdumiał się główny pogromca terrorystów w republice.

Saparcziemu Tielajewowi takie postępowanie bardzo się nie spodobało. Wezwał do siebie Adama i zapytał:

– Powiedz, czy zarejestrowałeś firmę, która będzie sprzedawać telefony i masz umowy z operatorami?

Adam był zaskoczony:

– Nie, a bo co?

– To co w takim razie chcesz zrobić z tymi telefonami?

– No, sprzedawać. Już sprzedałem prawie wszystkie i dostałem półtora miliona dolarów. Razem z tamtymi dwoma to prawie trzy i pół!

– A zastanowiłeś się, co zrobisz za miesiąc, gdy będziesz potrzebował kolejnego półtora miliona?

– Oczywiście – powiedział Adam. – Zajmę następną partię.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wszystkie te firmy kupują telefony od producentów, Nokii, Siemensu i Samsunga. To starzy klienci, a starym klientom się ufa i sprzedaje im się na kredyt. Nabywcy wiozą je do Rosji, tam one przechodzą cło, a potem je sprzedają i płacą zachodnim producentom. Zgarnąłeś telefony za dwanaście milionów dolarów w detalu, a to znaczy, że zachodni wytwórcy nie dostaną swoich sześciu milionów. Na pewno bardzo im się nie spodoba, że ich towar został zajęty w Rosji. Gdybyś miał oficjalnego dilera, to twoi ludzie poleciliby na Zachód wyjaśnić, że towar należy od teraz wozić za ich pośrednictwem. Sprzedałbyś przez swojego dilera telefony za dwanaście milionów i miałbyś firmę kontrolującą cały rynek. A ty spuściłeś wszystko za półtora i takiej kasy za miesiąc już nie będzie, bo

zachodni producenci nie sprzedają już telefonów tym importerom, a importerzy nie przewiozą ich przez nasz port.

Szef centrum „T” wysłuchał tego wykładu ekonomicznego i odparł:

– Słuchaj, a co ty mnie tu uczysz? Po co mi jakieś firmy-szmirmy? Ja bez żadnych tam głupot wygarnąłem półtora melona, a jak komórek nie będzie, to znajdę coś innego! Niech się nauczą nie łamać prawa!

Saparcziemu ta odpowiedź zupełnie nie przypadła do gustu.

W marcu w Republice Awarii Północnej – Dargo doszło do wielkich przemian. Było powszechnie wiadomo, że Fiodor Komissarow przybył z Moskwy, żeby wybrać nowego prezydenta. Wielu ludzi uznało, że trzeba się dogadać z Komissarowem, a jeszcze więcej bało się, że Komissarow dogada się z ich wrogami. Dlatego wszyscy biegali do Komissarowa na wypródkę i skarżyli się na swoich wrogów.

Fiodor Aleksandrowicz nie odmawiał nikomu. Bardzo chętnie wysłuchiwał wszystkich historii związanych z łamaniem federalnych praw, zwłaszcza jeśli towarzyszyły im konkretne dowody. A potem równie chętnie słuchał tłumaczeń oskarżonych, zwłaszcza jeśli im również towarzyszyły konkretne dowody.

Dlatego wkrótce w każdym przedsiębiorstwie i ministerstwie republiki przeprowadzono kontrolę. Łączną wartość dowodów, w których posiadanie wszedł Komissarow, szacowano na dwadzieścia milionów dolarów.

Wielu ludzi, wykazując się zbytnią ufnością, znalazło się przez Komissarowa w głupiej sytuacji.

Pewnego dnia Fiodor Aleksandrowicz zajechał na jakieś wesele do Torbikały i przywazał tam młodego chłopaka, który świetnie tańczył i szastał pieniędzmi na prawo i lewo. „Kto to jest?” – spytał Komissarow. Powiedziano mu, że to siostrzeniec mera. Do owego siostrzeńca należały w Torbikale dwa duże bazary i ze dwadzieścia placów budowy. „Przyprowadź go do mnie – powiedział Komissarow. – Chciałbym go poznać”.

Przyprowadzony siostrzeniec był w siódmym niebie, że dostąpił zaszczytu zawarcia znajomości z szefem komitetu nadzwyczajnego. Sam już nie wiedząc, jak mu to okazać, przez cały czas powtarzał, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł



wyświadczyć mu jakąś przysługę. „Właśnie nadarza się okazja – powiedział Fiodor Komissarow. – Widzisz, przyjechałem na wesele i chciałem podarować panu młodemu zegarek, tylko nie zdążyłem go odebrać z waszego Jachontu. Tam jest już wszystko przygotowane, trzeba tylko podjechać i zabrać zegarek. Bądź tak dobry i podjedź...”. Siostrzeniec mera pojechał po zegarek, a w salonie powitano go z ukłonami i wszelkim szacunkiem. Faktycznie, zegarek dla Fiodora Komissarowa już czekał, z tym że z dołączonym rachunkiem na sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Siostrzeniec zrozumiał, że nieźle wdepnął – nie miał przy sobie takiej sumy. Przyjaciele podwieźli mu pieniądze, chłopak uregulował rachunek i przywiózł zegarek szefowi komitetu na wesele.

Jednak od tego momentu wyraźnie przygasł, starał się nie wchodzić Komissarowowi w oczy, a pół godziny później wyszedł z wesela. A zastępca prokuratora generalnego obejrzał zegarek i przywołał do siebie innego biznesmena. „Kupiłem tu u was zegarek – powiedział – ale coś mi nie podoba. Wyświadczyć mi przysługę, oddaj go do sklepu i przywieź pieniądze”.

W jeszcze gorszej sytuacji znalazł się naczelnik milicji rejonu chalińskiego. Usłyszał, że szefa MSW republiki Mahometa Czabakowa zdejmują ze stanowiska z powodu nie dość efektywnej walki z terroryzmem i w godzinach przyjęć przyszedł do Fiodora Komissarowa, razem z niewielką walizeczką, zawierającą pół miliona dolarów.

Porozmawiali o tym i o owym, w końcu naczelnik milicji położył walizeczkę na stole i zagaił:

– Słyszałem, że Mahometa Mahometowicza zdejmują ze stanowiska. Nie mógłbym zająć jego miejsca? – I ruchem głowy wskazał walizeczkę.

Fiodor Komissarow otworzył szafę i pokazał inną walizkę, stojącą pod skórzanym płaszczem.

– Spóźniłeś się. Mahomet Mahometowicz był tutaj wcześniej.

– Mówi się trudno – westchnął naczelnik, wziął walizeczkę i ruszył do wyjścia.

A Fiodor Komissarow zawołał za nim:

– A co, mój drogi, w chalińskiej milicji nie chce pan już pracować?

I chcąc, nie chcąc, naczelnik musiał walizkę zostawić.

Jednak zasadniczo potęgą Fiodora Komissarowa opierała się na czym innym: cała republika wiedziała, że jest bliskim przyjacielem samego prezydenta. Było na to wiele dowodów. Na ścianie w gabinecie Komissarowa wisiały zdjęcia, na których stał z prezydentem, sekretarka co rusz przerywała rozmowy szefa z petentami, oznajmiając: „Prezydent na linii”. Ale najmocniejszy dowód tej bliskości pojawił się w związku z uhonorowaniem ministra finansów republiki. Z okazji pięćdziesięciolecia miał on zostać odznaczony Orderem Zasług dla Ojczyzny. Ten order miał cztery stopnie, które dostaje się po kolei, a ponieważ minister dostał już order czwartego stopnia, powinien był dostać trzeciego. A on bardzo, ale to bardzo chciał dostać order pierwszego stopnia.

W poszukiwaniu rozwiązania minister finansów podarował Fiodorowi Komissarowowi pancernego mercedesa. Jak tylko to zrobił, Komissarow, jeszcze przy nim, wybrał numer na komórce i powiedział: „Wowik, tu pewien porządny człowiek ma dostać Zasługi dla Ojczyzny trzeciego stopnia. Dalibyśmy mu pierwszego...”.

No i co powiecie? Dwie godziny później w czasie wręczania odznaczeń ministra uhonorowano orderem pierwszego stopnia!

Wtedy już cała republika upewniła się ostatecznie, że Fiodor Komissarow może rozwiązać każdą kwestię i każdy problem, i wszyscy powtarzali, że studiował z prezydentem na jednym wydziale. Ten pogląd próbowała obalić grupka dysydentów, utrzymując, że Komissarow co najwyżej mógł chodzić z prezydentem do jednej szkoły albo do żłobka.

Od tamtej soboty, kiedy to Taszow spotkał Dianę w bazie lotniczej w Besztoju i pomógł jej przewieźć rzeczy, nabrał przyzwyczajenia zaglądania do jej sklepiku, a raz nawet zdobył się na odwagę i zaprosił ją z przyjaciółką do restauracji.

Diana razem z bratem wynajmowała pokój w dwupokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze, w starym czteropiętrowym bloku. Pokój był przedzielony zasłoną. W drugim mieszkała wiekowa Rosjanka, właścicielka, o którą Diana dbała jak o matkę.

Nikogo więcej Diana i Alichan nie mieli, co jak na Czeczenów było bardzo

nietypowe. Nie tylko bliska rodzina, ale niemal wszyscy ich krewni zginęli w czasie wojny. Żył tylko cioteczny wujek, od którego Diana dostała pieniądze na sklep. O wujku Diana wolała nie opowiadać i Taszow, który mniej więcej orientował się, kto to jest, dziwił się tylko, że ten człowiek żyje. Myślał, że zginął w 2002 roku.

Jeszcze bardziej niezwykle były losy Alichana. Chłopiec miał lat czternaście, a w roku 2000, gdy liczył osiem, dostał odłamkiem w kręgosłup. Taszow nie tyle się domyślał, co wiedział, że tym odłamkiem dostał w walce, w Groznm. W nocy wyszedł z kanału ściekowego między dwoma rosyjskimi stanowiskami, ciągnąc za sobą granatnik dwa razy większy od siebie, i walnął z tego granatnika w BTR. Ośmioletni chłopcy są kompletnie pozbawieni strachu przed śmiercią i takie historie zdarzały się częściej, niż można by przypuszczać. O tej było wiadomo właśnie z powodu nazwiska wujka.

Diana trzykrotnie wozila chłopca do Moskwy i kiedyś wspomniała Taszowowi o rosyjskiej lekarce, która miesiąc pracowała nad Alichanem i obiecała postawić go na nogi. Pewnego dnia spytała go, co będzie robił, gdy wyzdrowieje. „Będę zabijał Rosjan” – odparł chłopiec. Lekarka długo płakała, a gdy Alichana wyrzucono ze szpitala, umieściła go z Dianą w swoim domu. Mieszkali tam dwa tygodnie, dopóki Alichan nie kazał siostrze opuścić tego miejsca.

Lekarze w Besztoju również uznali, że chłopca można wyleczyć. Pewien austriacki szpital chciał za to czterdzieści tysięcy dolarów i Diana twardo postanowiła zarobić te pieniądze.

Dziewczyna miała dziewiętnaście lat, ale gdy Taszow z nią rozmawiał, odnosił wrażenie, że rozmawia ze swoją matką. Diana nigdy nie zdejmowała czarnej chustki i dopiero po trzech tygodniach ich znajomości, gdy Taszow namówił ją, żeby pojechała z nim i Kiryłem Władimirowiczem do Torbikały, usłyszał jej śmiech.

Tego wieczoru Taszow poprosił ją o rękę. Oczywiście wedle wszelkich prawideł powinien był zwrócić się do jej starszego krewnego, ale ponieważ najbliższym starszym krewnym był ów cioteczny wujek, którego oprócz Taszowa szukało wiele osób, problem trzeba było rozwiązać inaczej.

Wesele wyznaczono na dwudziestego siódmego kwietnia. Dżamałudin pochwalił wybór Taszową, a z chłopaki z jego oddziału w ciągu dwóch dni wykupiły wszystko,

co było w sklepiku.

Trzeciego kwietnia o piątej popołudniu Dżamałudin i Hagen podeszli ukradkiem do ogrodzenia bogatej willi stojącej dwie ulice od merostwa. Równie dobrze mogliby tam podjechać, a ochroniarze pewnie by otworzyli, jednak woleli zostawić dżipa dwie ulice od domu i nie stukać do bramy.

Po prostu przeskoczyli wysoki, dwumetrowy płot, pozbawiony jednak drutu kolczastego i kamer, a następnie przeszli przez podwórko wyłożone zielonymi płytkami. Dżamałudin wszedł na ganek i pchnął drzwi domu, które z powodu wczesnej pory nie były zamknięte.

Ciemnowłosa Dżamałudin i jasnowłosa Hagen byli jednakowo ubrani: mieli na sobie spodnie o sportowym kroju i skórzane kurtki, tak cienkie, że nie skrywały wsuniętych za pasek pistoletów.

Przyjaciele znaleźli się w przestronnym przedpokoju. Schody przed nimi prowadziły na pierwsze piętro, po prawej było przejście do kuchni. Na dźwięk kroków wyszedł stamtąd wysoki starszy mężczyzna – naczelny chirurg miejskiego szpitala Dżabraił Alijew. Miał na sobie zielony fartuch, z jego umytych rąk ściekała woda. Na widok Dżamałudina Alijew zamarł, rumieniec spęłzył z jego twarzy

– Gdzie ona jest? – spytał Dżamałudin.

Alijew nie odpowiedział. Kemirow odsunął go jak krzesło i wszedł po schodach na piętro. W pierwszym pokoju znalazł to, czego szukał: jasno świecąca lampę i ustawiony w poprzek pokoju stary fotel ginekologiczny, przy którym rozłożono narzędzia chirurgiczne.

Dżabraił pospieszył za nim po schodach i gdy Dżamałudin obejrzał się, chirurg stał na progu, blady jak ściana. Kemirow bez zbędnych ceregieli wyjął pistolet.

– Mamy przeszukać cały dom? – spytał.

Wtedy skrzyknęły drzwi sąsiedniego pokoju i na progu stanęła Diana. Miała na sobie tę samą czarną spódnicę i bluzkę, a zawiązana pod brodą chustka tak samo starannie zakrywała jej włosy. Nie uśmiechała się już. Gdy podniosła na Dżamałudina czarne oczy, było w nich tyle przerażenia i smutku, że nawet stojący za jego plecami Hagen drgnął i wyszeptał kilka słów z Koranu.

– Widzę, że dorabiasz sobie w domu? – zwrócił się Dżamałudin do chirurga.  
Czeczen nie odpowiedział.

Diana stała wyprostowana i nie patrzyła już ani na Kemirowa, ani na Aryjczyka.  
Patrzyła gdzieś poza ściany.

Nadal trzymając pistolet, Dżamałudin drugą ręką wyjął z cynkowej miseczki zagięte lustro, obrócił je w rękach i powiedział:

– Prawdziwy z ciebie czarodziej, Dżabraile Alijewiczu. Każdy mężczyzna może przemienić dziewczynę w kobietę, ale żeby z kobiety na powrót uczynić dziewczynę, trzeba zaiste pomocy Allaha – albo szajtana.

I znów nikt się nie odezwał. Dżamałudin rzucił lustro i cicho, wyraźnie wycodził:

– Chcę wiedzieć, jak to się stało. I nie radzę kłamać.

Chirurg nadal milczał, a Diana nagle podniosła wzrok i odparła spokojnie:

– To się dzieje co tydzień. W każdy poniedziałek samolot leci do Turcji. Gdy wsiadam na pokład, nie mam w kieszeni nawet dziesięciu dolarów – a w piątek wracam z towarem za tysiąc. Żeby zarobić na ten towar, właściciel kramu wynajmuje mnie na trzy dni, a w piątek pozwala mi wybrać w swoim sklepie towar za pieniądze, które zarobiłam.

Dżamałudin zrobił się blady jak śmierć. Wymienił spojrzenia z Hagenem i zapytał:

– A co z twoim wujkiem Izmailem?

– Zginął cztery lata temu. Nikt nie dał mi pieniędzy na sklep, a potrzebuję czterdziestu tysięcy, żeby postawić brata na nogi.

– Czy któraś z twoich przyjaciółek wie, jak zarabiasz pieniądze?

– Nie bądź naiwny – odparła Czeczenka. – Połowa kobiet w tym samolocie robi to samo. Ich mężów zupełnie nie interesuje, jakim cudem kobieta, która wyjechała z trzema setkami dolarów, przywiozła towar za trzy tysiące. Mąż mojej przyjaciółki jest majorem milicji, sam czeka na nią w bazie, pomaga wyładować torby, a jeszcze nigdy nie dał jej na drogę więcej niż pięćdziesiąt dolarów. Mąż drugiej przez pięć lat walczył z federalami, nie ma prawej nerki, a jego nogi są sparaliżowane. On świetnie wie, w jaki sposób zarabia jego żona i żeby o tym zapomnieć, wydaje na heroinę

wszystko, co zarobiła.

– I po czymś takim chciałaś wyjść za mąż za mojego przyjaciela? – zapytał Dżamałudin. – A może zapomniałaś, że na tamtym świecie to twój mąż będzie odpowiadał za twoje czyny? Chcesz, żeby Taszow trafił do piekła?!

Diana znów łysnęła oczami i odparła półgłosem:

– Nie wiem, jak wygląda piekło, ale na pewno nie jest tam gorzej niż tu. Ty jesteś panem miasta, a twój brat najbogatszym człowiekiem w republice – lecz czy nie widzisz, jak wokół żyją ludzie? W samolocie pełno jest Czeczenek i wśród nich nie ma takiej, która nie straciłaby na wojnie męża czy ojca. Gdzie my znajdziemy pracę? Komu jesteśmy potrzebne? Mój brat ma czternaście lat i żeby go ratować, sprzedam nie tylko ciało, ale i duszę. A jeśli on dowie się, co robię, zabije mnie pierwszy. Oto i prawda, Dżamałudynie, bracie Zaura, a teraz zrób z nią, co chcesz, bo jeśli myślisz, że się ciebie boję, to się mylisz.

Dżamałudin powoli potrząsnął głową, jakby próbował uwolnić się od złego uroku. Przyszedł do tego domu, by poznać prawdę, ale nie spodziewał się czegoś takiego! Nawet stojący pod drzwiami Hagen wydawał się kompletnie ogłuszony. Dżamałudin pomilczał chwilę, w końcu spytał:

– Jak się nazywa ten major, który czeka na żonę?

Czeczenka nie odpowiedziała.

Dżamałudin uśmiechnął się krzywo, wsunął pistolet za pas i wyszedł z pokoju. Chwilę później z parteru dobiegł łoskot zamykanych drzwi. Dopiero wtedy Diana, zupełnie bez sił, padła na fotel i zasłoniła twarz rękami. Stary chirurg podszedł do niej, nie mając pojęcia, co teraz robić i jak się to wszystko skończy.

Dziesięć minut później Dżamałudin Kemirow wpadł do gabinetu naczelnika milicji rejonu besztojskiego Szapiego Czarachowa. W gabinecie trwała jakaś narada, ale na widok Dżamałudina gliniarzy wymiotło.

– Wiedziałaś o tym – stwierdził Dżamałudin.

– O czym? – zdumiał się szczerze Szapi.

– O czarterach do Turcji. Wiedziałaś, jak handlarki z targowiska płacą tam za towar. Jesteś starym czekistą, a twój major wysyła żonę po to samo. To niemożliwe,

żebyś o tym nie wiedział!

Szapi milczał przez kilka sekund i jego pełna, żółtawa twarz jakoś tak przygasła, jakby wyłączono w nim światło.

– Założmy, że wiedziałem. I co to zmienia?

– Przecież...

– Czyżby łamały kodeks karny?

– Przecież to nasze siostry i żony! – wrzasnął Dżamałudin.

– A co innego mogą zrobić? Przejrzyj na oczy! W republice na jedno miejsce pracy jest siedmiuset bezrobotnych. Nasi mężczyźni nie chcą handlować na bazarach, a w Czeczenii na jednego dwudziestoletniego chłopaka przypadają trzy kobiety, najczęściej wdowy. Gdzie one znajdą pracę? Tam? Tutaj? A może w Moskwie? Myślisz, że jak zamknąłeś domy publiczne w Besztoju, to ułatwiłeś życie tym kobietom?

– Zamkniesz wszystkie kramy, które się tym zajmują – oznajmił Dżamałudin.

– Albo pojutrze je spalę.

– A co powiesz Taszowowi?

– Znajdziemy mu inną dziewczynę. A ta dziwka niech się wynosi dokąd chce, póki jeszcze żyje.

– Taszow dopiero co stracił matkę. Chcesz, żeby teraz jeszcze stracił narzeczoną?

– On nie ma narzeczonej – odparł Dżamałudin, odwrócił się i wyszedł.

Naczelnik besztojskiej milicji patrzył na drzwi, w milczeniu kręcąc głową. Wiedział, że to dopiero początek.

Następnym, którego nawiedził Dżamałudin, był jego brat Zaur. Jak zawsze o tej porze był w merostwie i właśnie słuchał trzech starców w barankowych czapkach, opowiadających o jakimś wodociągu w sąsiedniej wsi. Zasadniczo kwestie związane z wodociągami nie leżały w gestii Zaura, ale ci trzej mężczyźni byli ludźmi szanowanymi, a Zaur zawsze przyjmował ludzi po siedemdziesiątce, bez względu na to, jakie bzdury opowiadali.

Dżamałudin poczekał cierpliwie, aż starcy wyjdą, a ponieważ gdy jechał do

merostwa, Szapi zdążył zadzwonić do Zaura, mer wiedział już, z czym przyszedł jego brat.

– Wszystkiemu winne są te twoje bazy! – naskoczył na niego Dżamałudin.  
– Ten twój handel! Gdy diabeł wymyślał pieniądze, powiedział: „Pójdę zapalić”.

– To nie moje bazy i nie mój handel – odparł Zaur. – To jest coś, z czego żyje miasto. Bazy to nasz ratunek: mamy niższe ceny niż w Torbikale i pół Kaukazu przyjeżdża do nas po towar.

– Komu potrzebny bazar, który z naszych kobiet robi prostytutki? – zawołał Dżamałudin.

– To co proponujesz?

– Trzeba sprawdzić wszystkie handlarki i wyjaśnić, skąd mają pieniądze!

Zaur poruszył ustami, ale nim zdążył zaprotestować, drzwi do gabinetu otworzyły się i na progu stanął Kirył Wodrow. Moskwanin był jak zawsze nienagannie ubrany, niebieski krawat wisiał pod białym kołnierzykiem niczym znak jakości. Zielonawe oczy Kiryła patrzyły surowo i spokojnie, pierwsze zmarszczki na czole podkreślały wczesną siwiznę.

Dżamałudin odwrócił się gwałtownie, pochylił głowę i tyle go widzieli.

– Co się stało? – zapytał Kirył.

– Nic – odparł Zaur.

Słowo „nic” w górach znaczy zdumiewająco wiele. Pod tym pojęciem może się kryć zleczone zabójstwo, masowa bijatyka, a nawet wystrzelona w prezydencki bunkier rakiet balistyczna ziemia-ziemia. Kirył nie znał drugiego miejsca w Rosji, gdzie to słowo miałoby tak dużo różnych znaczeń. Jednak teraz nie zajmował się lingwistyką stosowaną, dlatego podszedł do mera i oznajmił:

– Skończyłem już swój raport. Jutro lecę do Moskwy, a dziś wieczorem jadę do Torbikały. Fiodor Aleksandrowicz Komissarow prosił, żeby pojechał pan ze mną. Będzie tam jakaś uroczystość w klubie golfowym. Ciągle pyta, czemu pan go jeszcze nie odwiedził.

– Nie chcę – odparł Zaur.

– To może być duży błąd.

Mer miasta uśmiechnął się krzywo.



– Kiryle Władimirowiczu... Naprawdę myśli pan, że pański szef przyjechał do republiki przeprowadzać transakcje związane z własną osobą? On przyjechał handlować nami wszystkimi. Urządził tu sobie aukcję i na tej aukcji sprzedaje się wszystko, włącznie z organizatorem i nabywcami.

Po dłuższej chwili milczenia Kirył spytał:

– Zaurze Ahmedowiczu, naprawdę sądzi pan, że w Moskwie nie ma ludzi, którym nie jest obojętne to, co dzieje się na Kaukazie?

– Był taki jeden. Teraz twój komitet próbuje wyjaśnić, czemu najlepsi ludzie republiki wsadzili mu kulkę w łeb.

Kirył zacisnął zęby i już miał spytać, czemu wobec tego Kemirowowie nie przyłączyli się do tych „najlepszych ludzi”, lecz się powstrzymał. I tak znał odpowiedź: Kemirowowie byli skoligaceni z Hadżijewami, a Arzo wziął w tym starciu stronę federalów. Poza tym Dżamałudin i nieboszczyk Nijazbek nie przepadali za sobą: dwa rewolwery nie wejdą do jednej kabury.

Prorok Mahomet, niech będzie błogosławione jego imię, zakazał ludziom pić wino, a kobietom pokazywać się publicznie półnago, i to było bardzo rozsądne z jego strony.

Być może jacyś tam Francuzi czy inni Szwedzi mogą pić alkohol w towarzystwie półnagich kobiet i nic strasznego się nie dzieje. Ale gdy chłopcy, którzy urodzili się w małej górskiej wiosce dwa tysiące kilometrów od Moskwy i sto kilometrów od Wedeno czy Guniba, zaczynają pić alkohol, nic dobrego z tego nie wychodzi.

Mogą wtedy, na przykład, powiedzieć przyjacielowi coś o jego matce czy jego tyłku, a żaden góral nie zniesie, żeby przy nim obrażano matkę. Jak już wspominaliśmy, gdy przy Saparczim Tiełajewie obrażono jego matkę, on poszedł do domu, wziął strzelbę i strzelił do krzywdzicieli, chociaż miał zaledwie trzynaście lat.

Wieczorem trzeciego kwietnia w klubie golfowym nad brzegiem morza zebrała się cała śmietanka towarzyska.

Wśród zaproszonych był oczywiście drogi zięć i najbliższy przyjaciel Gamzata Adam Tiełajew oraz wysoko postawiony moskiewski gość Fiodor Komissarow.

Przybył też mer Torbikały, dwóch ministrów, przewodniczący Sądu Najwyższego republiki, dyrektor portu morskiego, Mahomet-Husajn Sulejmanow i jeszcze ze dwadzieścia innych osób, do których Gamzat zwracał się: „Ej ty! Przenieś no!”.

My też będziemy się tak do nich zwracać.

Jako pierwszy za stołem wygłosił toast mer miasta Szarapudin Atajew. Był liderem kumyckiej opozycji i bardzo odważnym człowiekiem. Dwa lata temu jechał przez góry i natknął się na wahabitów. Przerazona ochrona uciekła w krzaki, a mer miasta wyjął karabin i otworzył ogień. Skończyło się tym, że wahabici wystrzelali ochronę, a mer wystrzelał wahabitów.

– Chciałbym wygłosić toast – rzekł mer Torbikały – na cześć słońca naszego narodu, prezydenta Asłanowa. Co rano zaczynam dzień modlitwą o jego zdrowie i co wieczór kończę dzień taką modlitwą. Co byśmy zrobili bez naszego prezydenta?

Mer osuszył kielich i usiadł. A potem nachylił się do Fiodora Komissarowa, który siedział po jego lewej stronie, i zapytał:

– No i jak tam?

Mer Torbikały dogadał się z Komissarowem, że za dwadzieścia milionów dolarów zostanie mianowany prezydentem republiki. Milion już uiścił w charakterze przedpłaty.

– Proszę posłuchać... Z Ahmednabim jest już bardzo źle, poczekajmy jeszcze ze dwa miesiące.

– E, tam! Wy będziecie czekać, aż ten stary baran umrze, a tymczasem republika się rozpadnie.

Drugi toast wygłosił minister finansów republiki Daud Kazichanow. Był liderem lezgińskiej opozycji i również bardzo dzielny człowiekiem. Dwa lata temu, jadąc przez góry zupełnie sam, natknął się na oddział bojowników. Bojownicy zatrzymali samochód, ich przywódca otworzył drzwi od strony kierowcy i postawił nogę na progu. Bojownik i Daud popatrzyli na siebie i Daud poznał Basajewa, a Basajew poznał Dauda. Wtedy bojownicy zmienili zdanie i nie zabrali Daudowi samochodu. Basajew i Daud pogawędzili z pół godziny i rozstali się jak starzy przyjaciele.

– Chciałbym wznieść toast – rzekł – za Gamzata Ahmednabijewicza. W tym trudnym dla republiki okresie stanął za sterem i twardą ręką pochwycił sztandar

naszej państwowości. Gdyby nie on, republika ugrzęzłaby w terroryzmie i korupcji!

Daud Kazichanow wypił, siadł, przechylił się do Fiodora Komissarowa i zapytał:

– No i jak tam?

Daud dogadał się z Komissarowem, że za piętnaście milionów zostanie mianowany nowym prezydentem i już przesłał dwa miliony w charakterze przedpłaty.

– Zostały jeszcze pewne kwestie – odparł Komissarow.

Trzeci toast wygłosił szef urzędu kontroli rybołówstwa Saitbek Mirzabekow. Był bardzo dzielny człowiekiem i liderem demokratycznej opozycji. Miał bardzo dobre stosunki z Arzem Hadżijewem. Ich przyjaźń zaczęła się dziewięć lat temu, gdy ludzie Hadżijewa porwali Saitbeka i wsadzili go do piwnicy. Kiedy jego wujek odmówił zapłacenia wykupu, bojownicy nawet odcięli Saitbekowi palec. Gdy w końcu Arzo zrozumiał, że nie dostanie pieniędzy za tego muzułmanina, po prostu go wypuścił, a Saitbek pozostał u Hadżijewa i jeszcze przez dwa lata biegał z nim po górach.

– Ja również chciałbym wznieść toast za naszego prezydenta – oznajmił Saitbek.

– Pod jego rządami nasza republika rozkwitła niczym sad! Niech nam żyje długie lata!

Następnie Saitbek usiadł i zwrócił się do swojego wuja, przewodniczącego Sądu Najwyższego:

– Kiedy wreszcie zdejmą Ahmednabiego? Wysłałem już do Moskwy ze dwieście kilo kawioru. Jeszcze trochę, a ryby im się w brzuchach zalęgna, a oni ciągle nie mianują mnie prezydentem!

Jeśli chodzi o Gamzata Aślanowa, to niemal nie zwracał uwagi na całe to zamieszanie. Pił i śmiał się, a jego ruchliwa, ożywiona twarz wydawałaby się przystojna, gdyby nie mały, przekrzywiony podbródek. Gamzat siedział w rozpiętej koszuli z krótkimi rękawami. Jego czarne, wyraziste oczy były rozbiegane po kokainie i wódce.

W przerwie między toastami Gamzat przechylił się przez stół i spytał Kiryła:

– A co z Kemirowami?

– Zaur Ahmedowicz zachorował – wyjaśnił Kirył. – Bardzo prosił, żeby mu

wybaczyć. Jego brat został przy nim.

Gamzat nie skomentował, a twarz Komissarowa, siedzącego obok syna prezydenta, nabrała nieprzyjemnego wyrazu i szef komitetu powiedział ostro:

– Widać nami gardzą, nie lubią podawać ręki kafirom. A może mamy tu niekoszerne mięso? – I wbił widelec w kawałek złocistego od tłuszczu indyka.

Tymczasem toasty się skończyły i rozpoczęły tańce. Jako pierwsi, dla rozruszania gości, wystąpili tancerze z ogniem. Nabierali do ust benzyny, wydmuchiwali ją mocno i podpalali, a zebrani w tym czasie pili i jedli. Tancerzom podziękowano brawami, Gamzat wyjął nawet pistolet i zaczął strzelać w powietrze.

Ale gwoździem programu były walki kobiet. Gamzat od niedawna upodobał sobie tę rozrywkę. Zgodnie z ustaleniami dziewczyny walczyły w kostiumach kąpielowych, w błocie, a wśród uczestniczek często trafiały się nie tylko prostytutki, ale i studentki miejscowych uczelni.

Trzeba powiedzieć, że co najmniej połowę zaproszonych gości stanowili mistrzowie i medaliści rozlicznych rozgrywek wschodniego mordobicia, którzy do walk dziewcząt odnosili się ze wzgardą. Nikt nie rozumiał, co Gamzat w tym widzi. Ponieważ jednak Asłanow był wszechpotężnym synem prezydenta, większość tych ludzi gotowa była nie tylko oglądać walki razem z nim, ale i całować go przy tym w tyłek, choć każdy z nich mógłby rozerwać mu ten tyłek na osiem kawałków i nawet się przy tym nie spocić.

Walki trwały prawie godzinę i szczerze mówiąc, nie było to apetyczne widowisko. Dziewczyny tarzały się w błocie, piszczwały i wyrywały sobie włosy. Ponieważ żadna z nich nie miała pojęcia o walce, zwyciężyła największa i najcięższa. W zapamiętaniu dosiadła swoją rywalkę, chwyciła ją za uszy i zaczęła walić jej głową o podłogę. Gamzat i Adam śmiali się, a szef ochrony szybko rozdzielił dziewczyny, żeby nie doszło do zabójstwa.

Dziewczynę, która straciła przytomność, wyniesiono, a zwyciężczyni zaczęła podskakiwać na ringu i wymachiwać rękami, imitując bokerskie ciosy. Podchmieleni mężczyźni śmiali się, Adam Tielajew zaś krzyknął głośno:

– Ej, podejdź no tu! Ja ci pokażę, jak wyprowadzić cios!

Dziewczyna przeszła przez liny i niepewnie zbliżyła się do zastawionego stołu.

Była smagła, przy kości, a teraz dyszała ciężko jak zagonione zwierzę. Jej wielkie piersi wylewały się z kostiumu, całe ciało było wysmarowane krwią i błotem. Nie wzbudzała żadnego pożądania, co najwyżej żądzę jak najszybszego wysłania ją pod prysznic. Miała rozczochrane białe włosy, gdy podeszła bliżej, stało się jasne, że są farbowane.

– Jak ci na imię? – spytał Adam.

– Ajzanat – odparła.

Adam ściągnął brwi. Jakoś tak się przyjęło, że w takich walkach brały udział głównie Rosjanki. Co prawda obyczaje w Torbikale nie były aż tak surowe jak w górskich wioskach czy patriarchalnym Besztoju, a jednak awarska czy lezgińska studentka trzy razy by się zastanowiła, zanim wzięłaby udział w takiej walce. Po czymś takim miała niewielkie szanse na małżeństwo.

Gamzat, rzecz jasna, świetnie o tym wiedział. Jeździł na Kreml, całował tam ręce i kłaniał się, a potem z perwersyjną przyjemnością siedział wieczorem w klubie golfowym i patrzył na piszczące Rosjanki, turlające się w błocie. Jeśli razem z nim widowisko oglądali Rosjanie, przyjemność była jeszcze większa.

– Kim jesteś? – spytał Adam.

– Laczka.

Adam sposepniał jeszcze bardziej, jego czarne brwi zbiegły się nad rozbitym nosem, a brązowe oczy zwęziły niebezpiecznie. Oślepiające światło wiszących pod sufitem żyrandoli odbijało się od jego ogolonego karku i ufarbowanej na wojskowe kolory kurtki ze skóry iguany.

– Skąd jesteś? – zapytał szef centrum „T”.

Dziewczyna spuściła głowę i odparła:

– Z rejonu chabielskiego. Z Nowopietrowska.

Sam Adam pochodził co prawda z rejonu kelebskiego, ale Laków w republice w ogóle było niewielu. Odwrócił się do Gamzata i spytał ponuro:

– Czemu ponizas mój naród?

Gamzat stropił się, to nie on wybierał dziewczęta.

– Co za różnica, skąd ona jest? Co, źle się bije?

Adam wstał i jego czerwona, zuchwała twarz pociemniała z gniewu. Był wyższy

od syna prezydenta o pół głowy i miał pięści wielkości futbolówki.

– W moim narodzie wszyscy się dobrze biją – rzekł. – Nikt nie bije się lepiej od nas. A już ja na pewno biję się lepiej od ciebie. No, przeproś tę Laczkę!

– Mam przepraszać jakąś gołą dziwkę? – zdumiał się Gamzat.

Chwilę później Adam strzelił go w twarz.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy naczelny tępicieł terroryzmu przytył na darmowym wikcie i trochę stracił formę. Ale przecież nie był na zawodach, a już kto jak kto, ale Gamzat nigdy nie był sportowcem. Gdy kilogramowa pięść Adama uderzyła w nos Asłanowa, rozległ się suchy trzask, jakby ktoś rozdeptał wafelek. Goście krzyknęli, a Gamzat upadł tam, gdzie stał.

W mgnieniu oka w sali zapanował chaos. Ochroniarze Gamzata i Adama wzięli się za łby, a Komissarow biegał wokół nich i wołał:

– Natychmiast przestańcie!

Bójka skończyła się trzy minuty później. Adam Tielajew otrząsnął się, wytarł dłonią kark i zszedł z pola walki jako zwycięzca. Syna prezydenta zawieziono białym opancerzonym mercedesem do szpitala – ze wstrząsem mózgu i złamanym nosem.

Było wpół do ósmej rano i wiosenne słońce właśnie wznosiło się nad ocukrowanymi górami, gdy Dżamałudin Kemirow i dziesięciu ludzi z jego oddziału podjechali do rozwidlenia szosy, gdzie znajdował się posterunek, wkopany przed nim BTR i napis „Besztoj-10 – 1,5 km”.

Hagen podszedł do posterunku, żeby pogadać z żołnierzami, a Dżamałudin stanął na poboczu szosy z karabinem w jednej i krótkofalówką w drugiej ręce i zaczął się przechadzać tam i z powrotem, od czasu do czasu podnosząc krótkofalówkę do ust. Ta w końcu ożyła, wypluwając w eter kilka słów po awarasku. Dżamałudin machnął ręką i dwa mercedesy, którymi przybyli jego ludzie, powoli zjechały z pobocza i stanęły w poprzek jezdni, dziesięć metrów przed BTR-em.

Minutę później na drodze pojawiło się białe żiguli, tak stare, że wydawało się pasiaste od rdzy. Na widok zagrodzonej drogi żiguli stanęło. Dżamałudin podszedł do samochodu.

Za kierownicą siedział starszawy Kumyk, z tyłu były dwie kobiety. Dżamałudin sposepniał, widząc, że młodsza jest w chustce i minispódniczce.

– Dokąd jedziecie? – zapytał.

– Do bazy, Dżamałudynie Ahmedowiczu – wyjaśnił uprzejmie Kumyk, który rzecz jasna rozpoznał brata mera. – Kobiety lecą do Turcji po towar, a ja je odwożę. A co, jakieś problemy?

– Żadnych – odparł Kemirow. – Niech pokażą pieniądze, za które chcą kupić towar, a spokojnie was przepuścimy.

Kumyk osłupiał, ale co ciekawe nawet mu do głowy nie przyszło, żeby protestować. Jedna z kobiet rozpięła torebkę, druga ukradkiem podciągnęła sukienkę i sięgnęła do pończochy. Pierwsza pokazała Dżamałudinowi pięć tysięcy dolarów, druga cztery i pół.

Dżamałudin długo liczył pieniądze, aż w końcu oddał je kobietom i mruknął:

– Możecie jechać.

Czarne mercedesy zjechały z drogi i żiguli, z jego zdumionymi pasażerami i kierowcą, potoczyło się dalej.

Następny samochód pojawił się na rozwidleniu dwie minuty później. To był zdezelowany zachodni wóz, w kolorze wiśni. I znów za kierownicą siedział mężczyzna, z wyglądu Azerbejdżanin, a na tylnym siedzeniu były dwie dziewczyny. Dziewczyny od razu nie spodobały się Dżamałudinowi. Miały jaskrawo pomalowane usta i głębokie dekolty w koronkowych bluzkach. Paznokcie jednej były pomalowane na zielono, drugiej – na perłowo.

Ludzie Dżamałudina otoczyli samochód i wrogość Kemirowa tylko wzrosła, gdy ujrzał, że jego bojownicy przyglądają się dziewczynom z wyraźnym zainteresowaniem. Szahid odsłownie pozerął wzrokiem tę „zieloną”.

– Wsiądźcie z samochodu – polecił Dżamałudin.

Dziewczyny stropiły się, a Hagen otworzył gwałtownie tylne drzwi i szarpnął jedną z nich. Krzyknęła cicho i wyskoczyła z wnętrza, w przeciwnym razie Hagen podarłby jej ubranie.

Dziewczyna stanęła na poboczu, z trudem utrzymując równowagę w odkrytych pantoflach na wysokim obcasie. Okazało się, że zielony lakier ma tylko na

paznokciach rąk, te u nóg są pomalowane na bordowo. Jej koleżanka nadal siedziała w samochodzie.

– Do Turcji? – zapytał Dżamałudin.

– Tak – odparła bordowo-zielona.

– Po towar?

– No.

– Pokaż pieniądze, za które chcesz go kupić.

Dziewczyna zbladła, cofnęła się o krok. Zbyt wysokie obcasy zahaczyły o kępkę trawy. Dziewczyna upadłaby, gdyby Szahid nie złapał jej za nadgarstek, obwieszony cienkimi melchiorowymi bransoletkami.

Twarz Dżamałudina stężała w gipsową maskę.

– Kim on dla ciebie jest? – warknął Awar, pokazując kierowcę. – Bratem? Mężem?

Kierowca siedział zdrętwiały, nerwowo oblizując pot z górnej wargi. Wtedy z samochodu wysiadła druga dziewczyna, z perłowymi paznokciami. Wychodziła długo, prychając jak kotka, wysuwając na zewnątrz opiętą różowymi spodniami pupę. Miała bujne włosy z bależadem, a na bluzce kokieterijną aplikację. Uśmiechając się do stojących wokół uzbrojonych mężczyzn, rozpięła torebkę, wyjęła portfel i podała Dżamałudinowi prostokątny kawałek plastiku.

– Co to ma być? – spytał Awar.

– Karta mastercard. Mam na niej wszystkie pieniądze. Myśli pan, że woziłabym gotówkę? Przez to wszystko?

I perłowe paznokietki zatoczyły półokrąg – od wkopanego w ziemię BTR-a do pancernych merców na tle odległych zaśnieżonych szczytów.

Dżamałudin otworzył i zamknął usta. On sam nie lubił i nie używał kart – w górach bankomatów nie było i do rozliczeń, prócz gotówki, używało się serii z karabinu. Szczerze mówiąc, Dżamałudin miał niejasne pojęcie o takiej formie przechowywania pieniędzy jak konto w banku. Obrócił kartę w rękach, jakby w nadziei, że ukaże się na niej stan konta, ale oczywiście nic takiego nie było. Dżamałudin znieruchomiał, niepewny.

Czuł przez skórę, że dziewczyna kłamie. Na karcie nie było grosza, a jeśli nawet



był, to nie tym właścicielka chciała płacić za towar. Ale jak według szariatu walczyć z kartami kredytowymi, tego Dżamałudin nie wiedział.

– A twoja przyjaciółka? – zapytał. – Gdzie ma pieniądze?

– Obie mamy na jednej karcie – zareagowała szybko dziewczyna.

Dżamałudin na przemian bladł i czerwieniał.

I wtedy na rozwidleniu szosy pojawił się zasapany żółty autobus. Bojownicy Dżamałudina znów wysypali się na drogę, a autobus ciężko wyhamował metr od mercedesów.

Drzwi otworzyły się i Dżamałudin z Abrekiem weszli do środka. Wewnątrz pachniało benzyną, biedą i strachem. Pasażerami autobusu były niemal wyłącznie kobiety. Niektóre były stare, inne młode. Najbliżej Dżamałudina, w pierwszym rzędzie, siedziała okutana w czerń starucha, tak wielka, że ledwie mieściła się na siedzeniu, za nią była trzydziestolatka, z jasnymi, farbowanymi włosami i pełnymi biodrami.

– Niech wszyscy przygotowują pieniądze! – polecił Dżamałudin.

Kobiety zaczęły piszczeć przeraźliwie. Awar pomyślał, że mu bębunki zaraz popękają. Walnął kolbą karabinu w ściankę i wrzasnął, przekrzykując harmider:

– Cicho! Nie mamy złych zamiarów! Te, które mają pieniądze, puścimy dalej, a te, które jadą do burdelu, wychłostamy na miejscu!

Wtedy czarna starucha zerwała się z siedzenia, chwyciła Dżamałudina sękatymi palcami i zaczęła się drzeć, mieszając rosyjskie i awarskie słowa:

– Co to się wyrabia! Rozbój, rozbój w biały dzień! Aaaa! Na pomoc!

W autobusie rozpętało się piekło. Kobiety darły się tak, jakby to nie był autobus, lecz szpital położniczy. Dżamałudina i Abreka szczypano ze wszystkich stron, a oni, oszołomieni, bronili się, jak mogli. Dżamałudin nie miał zielonego pojęcia, co robić. Gdyby znajdowało się przed nim trzydziestu mężczyzn, załatwiłby sprawę szybko, ale nie mógł przecież strzelać do kobiet! Nierówna walka trwała trzy minuty i jak tylko kobiety poczuły, że przeciwnik się wycofuje, rozochociły się jeszcze bardziej. Niektóre zrywały się z miejsc, żeby boleśnie przejechać paznokciami po twarzy Dżamałudina, rzucały monetami, ogryzkami. Za kołnierz Kemirowa wpadł zgnieciony pomidor. Awar w końcu dał za wygraną i wysiadł z autobusu. Za nim

wypadł oszołomiony Abrek.

Drzwi autobusu zatrzasnęły się, a z otwartych okien dobiegało:

– Złodzieje! Zbóje! Dzwonście po milicję!

Dżamałudin i jego ludzie stali na poboczu jak opluci. Abrek wycierał z karabinu jajko. Twarz Dżamałudina płonęła ze wstydu i od podrapań. Wiedział już, że cała ta historia skończy się niczym. Jeśli choć jedna z tych furii w autobusie ma kartę kredytową, wszystkie powiedzą, że trzymają pieniądze na jej koncie. Dziewczyny przy wiśniowym wozie śmiały się jak opętane. Co gorsza, Szahid nadal trzymał jedną z nich za goły łokieć.

Kemirow machnął ręką i mercedesy zjechały z drogi, przepuszczając autobus.

Dziesięć minut później samochody Dżamałudina podjechały do posterunku przy wjeździe do Besztoju. Awar ścisnął kierownicę tak mocno, jakby chciał ją złamać. Przez ostatnie dwa lata żadna operacja bojowa Kemirowa nie skończyła się takim wstydem jak ta. Pochwycenie w górach wroga krwi, żywcem, byłoby łatwiejsze, niż ustalenie, jak i za jakie pieniądze kobiety kupują na tych cholernych bazarach swój cholerny towar! Dżamałudin wiedział, że do wieczora ludzie będą opowiadać o tej historii w całej republice, i pożałował, że nie spalił autobusu doszczętnie.

Przed posterunkiem stała kolejka ciężarówek i jak to zwykle bywało w porannych godzinach, jeden z tirów, widocznie spiesząc się na rynek, wjechał na pas rozdzielający i teraz stał tam, dotykając maską szlabanu i blokując przejazd wozom Dżamałudina. Kemirow wyhamował, wyskoczył z mercedesa i ruszył do tira.

Kierowca, wychylony z wysokiej kabiny, właśnie odbierał dokumenty z rąk milicjanta.

– Odjedź – polecił Dżamałudin.

– Czekał no – odparł kierowca. – Zara przejadę.

– Odjedź stąd – wycedził Dżamałudin przez zęby.

– Coś ty, chłopie, chory?

Najwyraźniej był nietutejszy. Rankiem na besztojskie bazyry zjeżdżali się kierowcy z całego południa.

– Co masz na pace? – zapytał nagle Dżamałudin.

Kierowca osłupiał, a milicjant powiedział szybko:

– Proszek ma, proszek do prania, Dżamałudinie Ahmedowiczu.

Ale Awar już szedł wzdłuż tira, w biegu wyciągając pistolet. Kierowca pognał za nim. Trzymając pistolet w obu rękach, Dżamałudin dwoma strzałami rozwalił zamek na drzwiach ciężarówki. Drzwi otworzyły się: tir do dwóch trzecich wysokości wypełniały kartonowe pudła bez etykietek. Dżamałudin rozerwał twarde karton z taką łatwością, jakby to był papier toaletowy i na asfalt jedna po drugiej pospadały półkilogramowe paczki proszku do prania.

Dżamałudin podniósł jedną z nich. Proszek nazywał się Dosia i z opakowania uśmiechała się różowa świnka.

– Twoją mać! – wrzasnął kierowca. – Co ty wyprawiasz?!

Niewysoki, szczupły mężczyzna w starannie wypranym kamuflażu odwrócił się do kierowcy i ten urwał, widząc pistolet przy swoim czole.

– Odjeżdżaj – polecił Dżamałudin.

Kierowca był w takim szoku, że nawet przestał kląć. Chciał tylko powiedzieć, że skoro ma odjechać, to musi wsiąść za kierownicę, a jak może wsiąść za kierownicę, skoro celują do niego z pistoletu, a wyjazd tirowi zastawiają dwa mercedesy?

Ale mercedesy właśnie się cofały. Dżamałudin odepchnął kierowcę i sam wskoczył do szoferki. Ciężarówka ruszyła powoli na wstecznym i zjechała w pole, łomocząc nie zamkniętymi drzwiami, na asfalt spadały kolejne opakowania proszku.

Kompletnie osłupiały kierowca biegł za samochodem, za nim polecili gliniarze z posterunku. Jeszcze nigdy nie widzieli Dżamałudina w takim stanie. Kemirow zeskoczył na ziemię.

Kierowca klął tak, że ludzie wysiadali z czekających w kolejce samochodów, żeby posłuchać. Później kierowcy powiedziano, że Dżamałudin najwidoczniej go nie słyszał – gdyby słyszał i rozumiał, co facet mówi, zapewne zabiłby go na miejscu.

Awar pochylił się, podniósł z ziemi rozerwany proszek do prania i podszedł do kierowcy.

– Co to ma być? – spytał, podtykając mu kartonowe pudełko pod nos.

– Co co ma być?

– Przecież to świnka! – wrzasnął Dżamałudin. – Jaki szajtan kazał ci przywieźć świnię do mojego miasta? Widziałeś, co jest napisane przy wjeździe? Chcesz, żeby

nasze kobiety prały bieliznę twoim nieczystym zwierzęciem? Żebym nosił koszulę, którą uprano świnia? U siebie myj się świnia i żryj świnie, rozumiesz? Rozumiesz?!

Kierowca już nic nie mówił. Już wiedział, że lepiej się nie odzywać.

Dżamałudin odwrócił się, wyciągnął zza pasa pistolet i zaczął strzelać do prawie pustego baku. Tir stanął w ogniu po siódmym strzale.

Kirył przyleciał do Moskwy o dziewiątej rano. Wiosna rozplynęła się po jezdniach atramentowymi kałużami. Zamiast zalanych słońcem i śniegiem gór po obu stronach prospektu Kutuzowskiego z topniejących zasp wystawały szare bryły domów. Wycieraczki czarnego audi wiozącego Kiryła na plac Stary sunęły po szybie, pokrytej lepką czarną mazią, jak skrzydła kaczki zanurzonej w mazucie.

Kirył przesiedział w poczekalni prawie godzinę.

Mężczyzna, który przyjął go za dwuskrzydłowymi drzwiami z rzeźbionego buku, miał koło pięćdziesiątki. Był szczupły, średniego wzrostu, z głęboką łysiną i prostą, wiejską twarzą. Spuchnięty nos i szeroko otwarte błękitne oczy mogły świadczyć o zamiłowaniu ich posiadacza do łaźni, wódki i prostych męskich rozrywek, jednak każdy, kto zaglądał w te oczy głębiej, czuł się jak motyl, który wleciał do zamrażarki.

Mimo niedawno otrzymanego stanowiska wicepremiera właściciel błękitnych oczu i prostej twarzy wolał siedzieć w swoim starym kremlowskim gabinecie. Ponieważ Iwan Witaljewicz Ugłow szybko wspinał się po szczeblach kariery, miał wielu pochlebców i niewielu przyjaciół. Jednym z przyjaciół był szkolny kolega z Petersburga, ojciec Kiryła.

W lśniącej powierzchni stołu, przy którym siedział Iwan Witaljewicz, odbijał się globus z kamieni półszlachetnych i opadające na niego fałdy trójkolorowej flagi rosyjskiej. Obok globusa leżał raport Kiryła o sytuacji w Republice Awarii Północnej – Dargo. Wodrow spostrzegł na marginesie wiele uwag, zapisanych drobniutkim charakterem pisma.

Jednak o raporcie Ugłow nie wspomniał ani słowem. Przekartkował notes, zamówił przez interkom dwie filiżanki kawy, a potem utkwiał w Kiryle bladoniebieskie oczy i zapytał:

– Co to za historia z tym autobusem i tirem?

– Jakim autobusem i tirem? – zdumiał się Kirył.

– Dziś rano w Besztoju grupa uzbrojonych bandytów zatrzymała autobus jadący do bazy lotniczej. Dwadzieścia minut później ci sami ludzie przy wjeździe do miasta spalili tir z proszkiem do prania. Wszystko dlatego, jak twierdzili, że proszek nazywał się Dosia i na opakowaniach widniała świnia.

Kirył bezgłośnie poruszył ustami. „No czemu, czemu, do cholery, musiał wyciąć ten numer właśnie dzisiaj?” – pomyślał ze smutkiem Wodrow. Że to sprawka Dżamałudina, nie miał najmniejszych wątpliwości. Nikt inny nie mógłby spalić tira przy posterunku i nie dostać od Dżamałudina upomnienia z kałasznikowa. Kirył zwiesił głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– A skoro już mowa o świni i innych atrybutach niewiernych... – podjął Iwan Witaljewicz. – Co się stało z pomnikiem generała Lisaniewicza?

– Przed merostwem stał pomnik Lisaniewicza, jako założyciela miasta – zaczął ostrożnie Kirył. – W dziewięćdziesiątym szóstym roku zniknął. Wersja oficjalna głosiła, że skradziono go na złom. Gdy doszło do zamachu terrorystycznego w szpitalu położniczym, mer Besztoju ogłosił konkurs na projekt pomnika. Wtedy rząd federalny przypomniał sobie o założycielu i przysłał Lisaniewicza – wojskowym samolotem transportowym.

– I cóż?

Kirył odpowiedział po chwili.

– Generał Lisaniewicz nie jest założycielem miasta, Besztoj powstał tysiąc sto lat przed generałem. Lisaniewicz został jednak zabity nieopodal Besztoju. Pewnego razu ściągnął do swojego garnizonu trzy tysiące kumyckich cywilów, a następnie wraz z towarzyszącym mu generałem Grekowem zaczął obrzucać wyzwiskami mułłę, który przyszedł z Kumykami. Mułła wyciągnął kindżał i pchnął najpierw Grekova, a potem Lisaniewicza. Ten ostatni zmarł kilka minut później na rękach swoich adiutantów, zdążywszy jednak wydać rozkaz: „Tnij!”. Wszyscy zgromadzeni w garnizonie Kumycy zostali zamordowani. Narzucanie miastu tego pomnika było dużym błędem.

– No dobrze, ale co się z nim stało? – zapytał Ugłow.

– Ponownie zniknął.

Wicepremier prychnął, znów patrząc badawczo na Kiryła, jakby próbował stwierdzić, po czyjej stronie jego młody protegowany opowiada się w tej historii: zarżniętego generała czy wymordowanych Kumyków. Następnie wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Kirył siedział ze spuszczonego wzrokiem. W wypolerowanym blacie stołu płonęły dwa punkty: odbicie spinek śnieżnobiałych mankietów. Nieco dalej leżała teczka z raportem Kiryła. Wodrow zauważył, że spod niej wystaje jeszcze jedna. Bóg jeden wie, co to mogło być. Może raport o łapówkach przyjętych przez Komissarowa? Albo doniesienie o wyprawach Kiryła w góry? Kirył nie wykluczał, że w oddziale Dżamałudina byli informatorzy – skoro Iwan Witaljewicz wiedział o takich szczegółach jak podpalona Dosi, o których nie miał pojęcia nawet Kirył, to pewnie doskonale zdawał sobie również sprawę, czym tak naprawdę zajmują się ludzie Dżamałudina w czasie wolnym od Dosi.

Wicepremier odwrócił się gwałtownie i Kirył pojął, że nie wiedziałyby, co odpowiedzieć na pytania o Komissarowa czy Dżamałudina. Nie mógł przecież donosić na tych ludzi za ich plecami.

– Powiedz no mi taką rzecz, Kiriusza – zapytał nagle Ugłow. – Gdybyś miał jutro mianować prezydenta tej republiki, kogoś byś wskazał?

– Zaura Kemirowa – odparł Kirył.

Jasnobłękitne oczy zwęziły się.

– Dlaczego?

– Zaur to człowiek bogaty, nie będzie sprzedawał stanowisk i okradał budżetu. Zdaje sobie sprawę, że zamożności nie przysporzy mu wyprowadzanie pieniędzy z budżetu, ale stworzenie stabilnego rynku zbytu towarów wytwarzanych w jego fabrykach.

Ugłow bez uśmiechu wzięto krzesło i usiadł naprzeciw Kiryła.

– Członek Rady Federacji Ahmed Ahmedow też jest bogatym człowiekiem. Jego nazwisko widnieje na szóstym miejscu wśród najbogatszych ludzi według „Forbesa”. Z całą pewnością jest bogatszy od Zaura. Czemu nie mielibyśmy mianować prezydentem republiki właśnie jego?

– Ponieważ Ahmedow nie ma dźwigni, by kontrolować sytuację na miejscu, a Zaur ma. Mówię o ludziach jego brata.

– Tego, który nie lubi pomnika Lisaniewicza?

– Tak.

Ugłow odwrócił głowę w stronę przezroczystej plastikowej teczki leżącej na stole i Kirył pomyślał, że tam faktycznie są informacje o Dżamałudinie. Ugłow wiedział znacznie więcej, niż chciał powiedzieć.

Wicepremier pomilczał chwilę i spytał:

– A co zrobimy, jeśli pewnego pięknego dnia jego brat uzna, że ma awersję nie tylko do Lisaniewicza?

Kirył nie odpowiedział.

– Bardzo ładnie wytłumaczyłeś – kontynuował Ugłow – jak Kemirowowie mogą kontrolować republikę. A teraz wyjaśnij mi jeszcze, jak Moskwa ma kontrolować Kemirowów.

Kirył nie miał nic do powiedzenia.

Wąska, sucha ręka wicepremiera, opięta śnieżnobiałym mankietem, spod którego wyglądało białe złoto patek-philippe'a, sięgnęła do interkomu.

– Jewgienicz? Przyjdź tutaj – polecił Ugłow.

Minutę później drzwi otworzyły się i na progu stanął wyprostowany oficer, mniej więcej czterdziestopięcioletni. Jakiś czas temu służył w Alfie, teraz był szefem ochrony Ugłowa.

– Jewgienicz, którego lecimy do Awarii Północnej?

– Siedemnastego.

– Zaplanuj, proszę, na ten sam dzień wizytę w Besztoju. Całą delegacją – zadysponował Ugłow i odwrócił się do Kiryła. – Przekaż Zaurowi, że przyjadę do Besztoju, żeby odsłonić pomnik Lisaniewicza.

– Ale pomnika nie ma...

Wicepremier popatrzył uważnie na swojego młodego protegowanego przejrzystymi, twardymi jak beryl oczami i rzekł:

– A to już problem Zaura Ahmedowicza. Do przylotu delegacji pomnik ma być na miejscu.

Po wyjściu Kiryła wicepremier Ugłow rozsiadł się w fotelu i jeszcze raz przestudiował raport o sytuacji w Besztoju. W zasadzie nie musiał tego robić – jego błękitne oczy o twardym spojrzeniu miały właściwości mikroczipa. A potem przeczytał ponownie te dokumenty, które leżały w teczce pod raportem. Niektóre z nich na pewno zdumiałyby Kiryła. Wśród nich był, na przykład, meldunek o wizycie Kiryła w dotkniętej powodzią nogajskiej wsi i o jego spotkaniu z młodym Ahmedem.

Ugłow siedział nad papierami długo, do jedenastej w nocy. Wtedy nacisnął guzik interkomu i polecił swojemu pomocnikowi:

– Ściągnijcie tu Gamzata Asłanowa. Jak najszybciej.

O wpół do pierwszej wicepremier Ugłow kazał sobie postawić samochód i pojechał do domu, do foksteriera Marka i dwóch kotek Mani i Katii, które bardzo kochał.

Syn prezydenta Republiki Awarii Północnej – Dargo Gamzat Asłanow przyleciał do Moskwy następnego dnia zwykłym samolotem rejsowym.

Jego ojciec zawsze latał prywatnym samolotem, ale samolot Gamzata stał nieużywany. Jego właściciel bał się, że jeśli będzie leciał sam, to maszynę z nim na pokładzie po prostu wysadzą w powietrze. Dlatego latał zwykłym rejsowym samolotem i dla jego ochrony rezerwowano całą pierwszą klasę.

Gamzat i towarzyszący mu Fiodor Komissarow przybyli do tego samego kremlofskiego gabinetu, w którym niedawno siedział Kirył. Iwan Witaljewicz uważnie obejrzał zaklejony plastrami nos Gamzata, garnitur od Zegna w kolorze piasku oraz szczupłe palce, wysuwające się z mankietów, zapiętych dużymi szmaragdowymi spinkami. Na jednym z palców błysnął duży brylant, otoczony czterema platynowymi kłami. Gamzat łyskał oczami znad plastrów jak wilk z klatki.

Iwan Witaljewicz zainteresował się zdrowiem swojego rozmówcy i jego ojca, a potem rzekł:

– Chciałbym usłyszeć pana opinię na temat sytuacji w republice.

– Sytuacja poprawia się z każdym dniem – odparł Gamzat Asłanow. –



Zbudowaliśmy dwa miliony metrów kwadratowych mieszkań, między innymi całkowicie odbudowaliśmy nogajską wieś Dżarli, w ubiegłym roku zniszczoną przez powódź.

Z tymi słowami Gamzat położył przed pierwszym wicepremierem zdjęcie całej ulicy ładnych jednakowych domków. Zbudował je dla swoich synów Arsamak Aślanow, który nadzorował w ministerstwie finansów wypłatę pieniędzy za zniszczone mieszkania.

– Poza tym – mówił dalej Gamzat – w ciągu ostatnich dwóch lat w republice oddano do użytku sześćdziesiąt siedem dużych kompleksów sportowych, w tym stadiony, baseny, a nawet pola golfowe, umożliwiające harmonijny rozwój fizyczny mieszkańców republiki.

Z tymi słowami Aślanow położył przed pierwszym wicepremierem fotografię pola golfowego, na którym angielski lord grał w parze z premierem Kazachstanu.

Gamzat zamilkł, żeby kremlowski urzędnik mógł w spokoju ocenić rozmach gospodarczego wzrostu w republice, a Fiodor Komissarow odchrząknął i rzekł:

– Niestety właśnie te oczywiste sukcesy wzbudzają wściekłość sługusów obcych wywiadów i wszystkich, którzy chcą oderwać Kaukaz od Rosji. Nasz komitet udaremnił dwieście siedemnaście zamachów terrorystycznych. Ataki nasiliły się od czasu, gdy Ahmednabi Ahmedowicz Aślanow znalazł się w szpitalu. Jego syna w ciągu ostatniego półrocza próbowano zabić trzykrotnie. To wyraźnie świadczy o tym, kogo separatyści uważają za najgroźniejszego dla nich człowieka i kto powinien być ostoją Rosji.

Z tymi słowami Fiodor Komissarow położył przed wicepremierem list z faksymile podpisu Ahmednabiego Aślanowa. W liście chory prezydent prosi, by mianować syna na swoje miejsce.

Wicepremier przeczytał dokument i zapytał:

– I co pan na to, Gamzacie Ahmednabijewiczu?

– Iwanie Witaljewiczu – powiedział młodszy syn prezydenta Aślanowa – potrzeby Rosji stawiam ponad wszystkim, ale nie ponad synowską powinnością. Mój ojciec jest prezydentem – jakże mógłbym odebrać mu stanowisko, skoro żyje? Kim jestem, synem czy gadziną, by robić coś takiego? Przysięgam na Allaha, Władcę

Światów, że nigdy nie zostanę prezydentem za życia ojca! *Inszallah*<sup>5</sup>, on jeszcze wyzdrowieje!

– Ale de facto republika nie ma prezydenta! Nikt nią nie rządzi! – zawołał Fiodor Komissarow. – Doszło do tego, że w Besztoju na drodze grabi się autobusy! Pali ciężarówki!

– Iwanie Witaljewiczu, niech mnie pan o to nie prosi – zawołał Gamzat.

– To nie ja pana proszę, lecz pański ojciec – rzekł Ugłow.

– W takim razie nie mogę nie posłuchać ojca – odparł Gamzat.

– Ale co mamy zrobić – westchnął Fiodor Komissarow – skoro republika pogrąża się w chaosie, a jedyny człowiek godzien władzy rezygnuje odmawia jej objęcia z powodów etycznych?

Wicepremier Ugłow uśmiechnął się swoimi zdumiewającymi oczami, błękitnymi i twardymi jak diamentowe wiertło, i powiedział:

– Chwileczkę, Gamzacie Ahmednabijewiczu. A kto według konstytucji republiki pełni obowiązki prezydenta w czasie jego choroby?

– Przewodniczący parlamentu – odparł Komissarow.

–No więc w czym problem? Gamzat Ahmednabijewicz jest narodowym deputowanym. Niech parlament wybierze go na marszałka, a prezydent mianuje go pełniącym obowiązki. To zagwarantuje kontynuację władzy i zdejmie z nas zarzut, że mianujemy prezydentem syna po ojcu. Jak się to panu podoba, Gamzacie Ahmednabijewiczu?

Gamzat chrząknął i powiedział:

– Chciałbym... omówić szczegóły...

– Po szczegóły to do Fiodora – przerwał mu wicepremier.

Audiencja była skończona.

Gamzat Asłanow wyszedł do poczekalni, ocierając pot z czoła. Gdy tak stanowczo odmówił przyjęcia fotela prezydenta, najbardziej bał się, że to podpucha, że Ugłow złapie go za słowo i powie: nie, to nie. Kto ich tam wie, tych kafirów na Kremlu! W republice krążyły najbardziej niewiarygodne plotki o ich wiarołomstwie. Ale nie było żadnego podstępu, wszystko przebiegło zgodnie z ustalonym planem.

Nawet pomysł wybrania go marszałkiem pochodził od wicepremiera.

Gamzat wyszedł za Komissarowem na korytarz i chwilę później obaj zeszli do znajdującego się piętro niżej gabinetu szefa komitetu nadzwyczajnego Fiodora Aleksandrowicza.

– No więc, co do szczegółów – zaczął Gamzat, siadając naprzeciw Komissarowa przy szklanym stoliku.

– Przewodniczący parlamentu? – uściślił Komissarow.

– Przewodniczący parlamentu i pełniący obowiązki prezydenta w przypadku, gdyby mój ojciec okazał się czasowo niezdolny do pracy – powiedział twardo Gamzat.

Fiodor Aleksandrowicz niespiesznie wyciągnął z paczki lucky strike'a, wsunął go do ust i przybliżył do siebie kartkę papieru. A potem dużym, wyraźnym pismem zanotował: „100 mln \$”.

Następnie wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę. Prawą ręką pokazał Gamzatowi kartkę, lewą pstryknął zapalniczką. Papier zapłonął, Komissarow zaczekał, aż kartka się zajmie, i upuścił ją do sporej kryształowej popielniczki, z ledwie widoczną obwódką sadzy na górze. W powietrzu zapachniało dymem. Komissarow, nie opuszczając zapalniczki, przypalił papierosa.

Nawet Gamzat Asłanow był zszokowany wysokością prowizji.

– Ale... a... – wykrztusił.

Fiodor Aleksandrowicz przestał się uśmiechać. Było jasne, że tym razem nie jest w nastroju do wysłuchiwania historyjki o dwóch milionach metrów kwadratowych mieszkań i stu czterdziestu przedsiębiorstwach.

– Oczywiście – pospieszył z zapewnieniem Gamzat.

1. Toczka – radziecki taktyczny zestaw rakietowy 9K79 klasy ziemia-ziemia z pociskami balistycznymi 9M79F, 9M79K lub 9M79B na lądowej platformie samochodowej z wyrzutnią typu TEL, przeznaczony do rażenia celów punktowych. [\[wróć\]](#)
2. Hadisy – krótka opowieść przytaczająca słowa lub czyny [proroka Mahometa](#). Hadisy tworzą [sunnę](#) (tradycję) – najważniejsze po [Koranie](#) źródło [muzułmańskiego prawa szariatu](#). [\[wróć\]](#)
3. Umar ibn al-Chattab (ur. ok. 591 r., zm. 3 listopada 644 r. w Medynie) – od 634 r. drugi kalif, drugi z czterech zwanych później „sprawiedliwymi”, jeden z twórców potęgi imperium arabsko-muzułmańskiego. [\[wróć\]](#)
4. Kurban Bajram – Święto Ofiarowania, najważniejsze święto muzułmańskie; zaczyna się dziesiątego

dnia miesiąca zu al-hidżdża i trwa 3–4 dni. Jego początek wypada w trzeci lub czwarty dzień pielgrzymki do Mekki, ale obchodzone jest przez cały świat muzułmański, nie tylko przez pielgrzymów. [\[wróć\]](#)

5. Inszallah – w imię boże, z boską pomocą, w imię Allaha. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 7

*W którym terroryści odwiedzają gabinet szefa centrum „T”, a federalowie – nielegalną wytwórnię wódek, należącą do szefa grupy specjalnej Południe, i w którym okazuje się, że pies słucha się kija, a Kaukaz – siły.*

**K**irył Wodrow wracał do republiki nazajutrz po rozmowie z wicepremierem. Ponieważ Gamzat Asłanow leciał z Moskwy rejsowym samolotem, wpadli na siebie na lotnisku.

Kirył nie przydał większego znaczenia temu spotkaniu. Porozmawiał chwilę z synem prezydenta, a potem wsiadł do czarnego mercedesa, w którym czekał wysłany na lotnisko Taszow.

Wbrew swoim zwyczajom Taszow niczego nie jadł. Odkąd Wodrow pamiętał, Taszow wiecznie chrupał jakieś chipsy czy orzeszki w samochodzie. Nie, żeby był żarłokiem, po prostu ten wielki piec wymagał dużo opału.

Kirył przyjrzał się uważnie mistrzowi świata i zapytał:

– Co się stało, Taszow?

Ten odwrócił do niego głowę i Rosjanin zobaczył w czarnej grzywie dwudziestopięcioletniego dzina kilka siwych włosów. Oczy Taszowa miały barwę mazutu, worki pod oczami również.

– Nic, Kiryle Władimirowiczu.

Włączył silnik i ruszył.

Na skrzyżowaniu przy ulicy szejka Mansura stał spory tłum, zza niego wзираł pysk transportera. Droga był zamknięta. Taszow, trąbiąc, torował sobie drogę przez kordon, aż dotarł do BTR-a. Przy wozie stał minister spraw wewnętrznych republiki Czebakow, z przodu rozlegały się strzały.

– Co się dzieje? – zapytał Kirył.

– Terroryści. Dwóch Kumyków i dwóch Nogajów. Nogaj to szycha, siedem lat nauki w Arabii Saudyjskiej, Koran zna na pamięć.

Urzędnik z Moskwy spojrzał na ministra, a potem wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Ahmed? – zapytał. – Stoję na ulicy szejka Mansura, pod domem numer sześć.

Czy to czasem nie ty strzelasz z drugiego piętra?

– Ja – usłyszał w słuchawce.

– Chcesz się poddać?

– Chcę umrzeć na ścieżce Allaha.

Kirył ścisnął telefon tak, że plastik omal nie pękł i po chwili ciszy zapytał:

– Posłuchaj, a co mi wtedy wciskałeś o dużym dżihadzie?

– Okłamywanie niewiernych jest dozwolone – rozległ się w słuchawce spokojny, życzliwy głos. – Należy ich zabijać, żeby ziemia wojny stała się ziemią islamu.

Kirył poczuł, że kipi w nim wściekłość. Wyzwał się w duchu od najgorszych. O, do cholery! Ten chłopak w wieku dwudziestu siedmiu lat został przewodnikiem duchowym całej wsi i Kirył rzeczywiście uwierzył w głoszoną przez niego prawdę, że islam jest wolnością?!

– To czemu mnie nie zabiłeś? – spytał. – Gdy jechaliśmy razem trzy godziny dżipem?

– Był z tobą muzułmanin. To dobry człowiek, wszyscy go podziwiamy. Poza tym niełatwo go zabić.

Szef MSW obserwował Moskwianina z uprzejmym zaciekawieniem. Kirył rozłączył się i otarł pot z czoła.

Przesiedział w samochodzie jeszcze godzinę, obserwując szturm. Gdy już było po wszystkim, podszedł do milicjantów w kordonie. Długo przypatrywał się ich twarzom, w końcu przywołał jednego z nich:

– Jesteś Nogajem?

Ten skinął głową. Miał płaską twarz i czarne oczy. W kamizelce taktycznej założonej na kamizelkę kuloodporną sprawiał wrażenie grubego.

– I co powiesz? – zapytał Kirył.

Milicjant zawahał się, przestąpił z nogi na nogę i zapytał:

– Towarzyszu inspektorze, a nie wydaliby nam nowych butów? Całą zimę w letnich przechodziliśmy. O, czubki się rozkleiły. A takie coś to prawie co tydzień mamy, po osiem godzin stoimy, czasem dwanaście...

Kirył spojrzał na buty i zobaczył, że faktycznie zupełnie się rozpadły.

Trzy godziny później Wodrow przyjechał do Besztoju.

Taszow zawiózł go do domu Kemirowów. Tak się złożyło, że na kolacji byli wszyscy mężczyźni członkowie rodziny. Kiryła posadzono pomiędzy Mahometem-Rasulem i Mahometem-Husajnem. Rosjanin nigdy przedtem ich nie widział, słyszał tylko, że Mahomet-Husajn jest dobrym inżynierem.

Jedzenie było miejscowe: ugotowane, a potem podpieczone kukurydziane pierożki z pokrzywą (*kurze*), placki (*czudu*) z ziemniakami, mięso i oczywiście *hinkał*<sup>1</sup>. Kirył, chociaż przygnębiony historią z Ahmedem, nie mógł nie zauważyć przygniatającej atmosfery przy stole. Rozmówcy co chwila przechodzili na awarski, na co zwykle przy Kiryle sobie nie pozwalano. Taszow nadal nic nie jadł.

Korzystając z okazji, Kirył zwrócił się do Zaura:

– Zaurze Ahmedowiczu, nie jest mi przyjemnie to przekazywać, ale natknąłem się dziś na lotnisku na Gamzata Aślanowa i on bardzo pana prosił o spotkanie. Powiedział: „Wiem, że Kemirowowie sądzą, że moja rodzina ma coś wspólnego z tragedią w szpitalu, ale przysięgam na Allaha, że jest inaczej”. Powiedział, że jeśli pan, Zaurze Ahmedowiczu, jest bardzo zajęty, to chciałby porozmawiać z Dżamałudinem.

– Nigdzie nie dzwoń – powiedział od razu Zaur do Dżamałudina. – I nie jedź. Im dalej trzymamy się od kałuży, tym mniej będziemy ochlapani.

Dżamałudin przyjrzał się uważnie Rosjaninowi i powiedział:

– To jeszcze nie wszystko. Mów dalej.

– Siedemnastego do republiki przylatuje delegacja z wicepremierem Ugłowem na czele – powiedział Kirył. – Iwan Witaljewicz zaplanował podróż do Besztoju. Prosił, żebym przekazał panu gorące pozdrowienia. Powiedział również, że przyjedzie odsłonić pomnik założyciela Besztoju generała Lisaniewicza.

Przy stole zapanowała martwa cisza.

Po kolacji mer zszedł na otwarty taras wychodzący na niewielkie, obsadzone drzewami podwórko. Górę tarasu oplatały gałązki winorośli, ale liście jeszcze się nie rozwinęły. Za to róże, wsadzone do czarnej, spulchnionej ziemi, kwitły na białą, żółto i czerwono.

Kirył wyszedł za nim.

Ścieżka zaczynająca się przy tarasie prowadziła przez ogród do nieodległej sztucznej groty, z której latem spadał wodospad – tam zwykle pieczono szaszłyki. Teraz na szaszłyki było jeszcze za wcześnie, a zamiast wodospadu grotę straszyla cementowymi łatami. W parowie przed nią stała szara, brudna woda, grupka dzieci skakała przez nią tam i z powrotem.

W domu było dużo dzieci, a po zamachu w szpitalu Zaur wziął na wychowanie jeszcze dwójkę.

– Co to za historia z proszkiem do prania? – zapytał Kirył.

– Już zdążyli panu opowiedzieć? – skrzywił się mer.

– Już zdążyli mnie o to spytać. Na Kremlu. To prawda, że w sprawie tira wszczęto postępowanie karne?

Zaur odwrócił się gwałtownie i spojrzał Rosjaninowi w oczy. Mer Besztoju miał niewielką łysinę i worki pod ciemnymi, przenikliwymi oczami. Teraz, w domu, w wygodnym, schludnym dresie wyglądał na zmęczonego i niewyspanego.

– Tak – powiedział Zaur. – Trzeba zamknąć tę sprawę.

W głosie mera Besztoju zadźwięczało chłodne przekonanie, Kirył wkurzył się. Powiedzmy sobie szczerze, że historia z tirem była skończoną grandą. Kirył wyobraził sobie, na ile lat odsiadki skazaliby w Stanach Zjednoczonych człowieka, który, stojąc na czele uzbrojonej bandy, pozwoliłby sobie grozić kierowcy tira pistoletem, wyjechać tą ciężarówką w pole i tam spalić ją na oczach dwudziestu gliniarzy. A jednak... mer miał rację. „Lepiej będzie, jeśli zamknę tę sprawę – pomyślał Kirył – nim Dżamałudin zacznie ukrecać jądra świadkom”.

– Niech pan znajdzie pomnik – powiedział Kirył – a ja zamknę sprawę.

Wstał i poszedł do swojego pokoju. On też był zmęczony.

Zaur Kemirow został na tarasie. Siedział, patrząc na bawiące się dzieci i na ostatnie rozbłyski słońca zsuwającego się za góry. Jak zwykle na południu noc zapadła nagle. Zaur patrzył na księżyc wschodzący nad Jałyk-tau i myślał o Dżamałudinie. Nigdy nie przypuszczał, że jego młodszy brat wyjdzie na człowieka. I nie chodziło już o samą zuchwałość Dżamałudina czy jego wysoki. Zaur uważał, że żaden człowiek nie ma prawa odbierać życia innym. To było główne



przekonanie Zaura – i z przerażeniem patrzył na swojego brata, który sądził inaczej.

Gdy w 1996 roku bracia znów się spotkali, Zaur ujrzał innego Dżamałudina. Najbardziej w tym nowym bracie spodobała się Zaurowi owa głęboka, szczera wiara w Allaha. Na wojnie ten, kto nie zbliża się do diabła, często zbliża się do Boga.

Zaur nie wiedział, jak to się stało, ale fakt pozostawał faktem: zamiast wyniosłego chuligana, który najbardziej wierzył w swoje pięści, przed Zaurem stał zupełnie inny człowiek. Jego dusza zyskała stalowy kręgosłup wiary i dlatego nie mogła dłużej czołgać się czy kłaniać. Nowy Dżamałudin był groźniejszy i okrutniejszy od dawnego – ale stary Dżamałudin nie bał się niczego prócz śmierci, a nowy bał się Allaha.

W Dżamałudynie było wiele rzeczy, które przerażały Zaura. Jego wiara była wyjątkowo naiwna i bardziej wykształcony, świecki Zaur czasem wzdrygał się, słysząc jakąś zupełnie już naiwną głupotę. Wiedział jednak, że bez wiary jego brat stałby się zwykłym bandziorem i dlatego każdego wieczoru dziękował Allahowi, że Dżamałudin modli się i przestrzega postu, *urazy*.

Jednak po wydarzeniach w szpitalu Dżamałudin stał się innym człowiekiem, który wierzył w innego Allaha. Już wcześniej modlił się pięć razy dziennie, ale prawie nigdy nie wstawał na poranną modlitwę i nie chodził do meczetu. Teraz, bez względu na to, o której się położył, budzik zrywał go o świcie, a gdy nastawał czas modlitwy, przerywał dowolne spotkanie. Już przedtem w miarę możliwości przestrzegał postu – po zamachu w szpitalu pościł przez cały ramadan. Potem przestrzegał postu przez dwa miesiące, a w zeszłym roku przez trzy, i jeszcze w czwartki.

Dżamałudin nigdy zbytnio nie grzeszył, jeśli nie liczyć pychy, bójek i wojny, jednak teraz jego pojęcie grzechu rozszerzyło się niepomniernie. Zaur wiedział, że jego brat przez ostatnie cztery lata ani razu nie przespał się z prostytutką i nie wypił grama wódki. Gdy pewnego razu w Moskwie zaproszono ich do restauracji, gdzie na barze między zapalonymi ogniami tańczyły dziewczyny, Dżamałudin odwrócił się na pięcie i powiedział po awarsku: „Poczekam w samochodzie”. I rzeczywiście przesiedział w wozie całe trzy godziny spotkania. Urzędnik, z którym Zaur jadł kolację, uznał, że to kierowca.

Dżamałudin nie tylko sam nie pił, ale praktycznie zmusił Zaura, żeby ten sprzedał biznes spirytusowy. Prawdę powiedziawszy, Zaur w sumie nie protestował. Do tego czasu wódką zajmowali się wszyscy, z synami prezydenta na czele, deficytu spirytusu już nie było i należało albo zainwestować i zorganizować biznes inaczej, albo go sprzedać.

Potem były prostytutki: ludzie Dżamałudina zaczęli wyciągać „dziewczynki” i ich klientów z wozów, a samochody palić. prostytutkami „opiekowali się” dwaj Grecy, którzy zaczęli protestować. Zginęli od strzałów i prostytutka w Besztoju praktycznie przestała istnieć.

Później była bijatyka przed meczetem. Dżamałudin przyjechał ze swoimi ludźmi do Torbikały i wieczorem poszli się modlić. Przed meczetem stali jacyś studenci. Jedna z dziewcząt miała, zdaniem Dżamałudina, zbyt krótką spódniczkę i Kemirow zwrócił dziewczynie uwagę. Z Dżamałudinem pojawiło się dwóch ludzi, studentów było piętnastu i chłopak owej dziewczyny nieopatrznie uznał, że ma przewagę. Poza tym był kandydatem na mistrza w boksie. Ale boks mu nie pomógł. Konsekwencje bójki regulowała potem połączona komisja, składająca się z Zaura, rektora uczelni, prezydenta sąsiedniej republiki i dwóch bandytów z autorytetem.

Dwa miesiące temu Dżamałudin jechał przez Besztoj i nie spodobała mu się reklama sieci komórkowej: dziewczyna na plakacie była półnaga. Przyjechał do biura reklamodawcy i zrobił właścicielowi wykład o estetyce. Mężczyzna zaczął się śmiać – i musiał przełknąć ten śmiech razem z zębami. Reklamę zdjęto pół godziny później.

Następne było kasyno. O to już Zaur miał duży żal do brata. Granica z Czeczenią przebiegała dziesięć kilometrów dalej. Czeczeńska elita pękała od federalnych pieniędzy i żyła ze świadomością kogoś, komu przystawiono lufę do skroni – kasyno było klubem dla VIP-ów, do którego zjeżdżano się ze wszystkich krańców Kaukazu, jak wcześniej do restauracji Zaura. Nadawało to merowi prowincjonalnego Besztoju ponadregionalny status, którego mu brakowało.

Zaur wiedział, co kieruje Dżamałudinem. Jego brat wierzył, że zamach w szpitalu Allah zesłał mu jako karę za grzechy i że on, Dżamałudin, przeżył tylko po to, by te grzechy odkupić. Zaur cieszył się, że jego brat ze swoimi ludźmi siedzi

w górach, polując na dziczy, z której potem przyrządzą danie zemsty na płytach besztojskiego cementarza. Ale wiedział też, że prędzej czy później Dżamałudin zejdzie z tych gór i odkryje, że Allah żąda od niego jeszcze wielu rzeczy.

Najbardziej niepokojące w historii z tirem i autobusem było to, że Dżamał w ogóle nie czuł się winny. Nie słuchał starszego brata, gdy ten klarował mu, że jeszcze kilka takich akcji i Dżamałudin własnymi rękami doprowadzi do tego, o czym zawsze marzyli Aślanowowie: do gospodarczego upadku Besztoju. Zaparł się jak muł. I tylko to, że cała republika pękała ze śmiechu, opowiadając sobie, jak to elitarne wilki Besztoju uciekły z autobusu z babami, powstrzymało Dżamałudina od kolejnych działań.

O tym, co może być następne po kasynie i Dosi, Zaur wołał nie myśleć. Rozumiał, że lista tego, co jego brat uważa za grzech, jest niewiele krótsza od analogicznej listy bin Ladena.

O jednym Zaur myślał z ulgą: wiedział, że Dżamałudin nigdy nie przyłączy się do ludzi Arsajewa. Za bardzo różniły ich poglądy odnośnie szpitala.

Od czasu utworzenia centrum antyterrorystycznego zarówno budynek owego centrum, jak i samego Adama Tielajewa bardzo dobrze chroniono. Byłoby dziwne nie chronić centrum antyterrorystycznego w republice, w której raz w tygodniu ostrzeliwują jakiś posterunek czy wysadzają gazik.

Budynek centrum „T” otaczały aż trzy linie obrony. Pierwszą był posterunek z workami z piaskiem i wkopanym wozem opancerzonym. Drugą, biuro ochrony prezydenta. Trzecią, pracownicy centrum, czyli regionalny SOBR.

Nazajutrz po tym, jak Adam rozkwaśił nos Gamzatowi, służba ochrony prezydenta przestała chronić centrum „T”. Dwa dni później z rozkazu ministra spraw wewnętrznych Czebakowa SOBR trafił na powrót pod bezpośredni zarząd MSW republiki

Adamowi bardzo się to nie spodobało. Obdzwonił swoich nowych przyjaciół i zażądał, żeby przysłali ochroniarzy, ale nowi przyjaciele Adama, którzy tak gromadnie chodzili za nim od chwili, gdy został szefem resortu antyterrorystycznego, nagle gdzieś zniknęli. Dzwonił do starych przyjaciół, ale nie

odbierali telefonów. Miał podobno dzwonić i do Dżamałudina Kemirowa z propozycją, żeby ten stanął na czele nowego SOBR-u republiki, ale Dżamałudin tylko roześmiał się w słuchawkę. Za to z całą pewnością zadzwonił do swego dawnego towarzysza Szamila Salimchanowa, tym razem obiecując mu nie tylko amnestię, ale i pagony. Szamil odpowiedział:

– Przyjadę razem z bratem i łeb ci ukręcę.

Minęły jeszcze dwa dni i dziewiątego kwietnia do budynku centrum antyterrorystycznego, stojącego w sercu Torbikały, podjechał dżip i autobus z uzbrojonymi ludźmi.

Ludzie z autobusu otoczyli budynek, a z dżipa wysiadł mężczyzna w garniturze i ruszył do środka. Ochroniarzom przedstawił nakaz rewizji, podpisany przez szefa komitetu nadzwyczajnego Fiodora Komissarowa, a gdy ci nie chcieli wpuścić go do środka, z autobusu wypadli jeszcze ludzie w kominiarkach i położyli ochronę na ziemi.

W tym czasie nazwisko Komissarowa budziło już w republice strach, poza tym w centrum „T” niemal nie było już ochrony, jeśli nie liczyć BTR-a i żołnierza na wieży. A co może BTR przeciw nakazowi rewizji?

Dlatego śledczy komitetu nadzwyczajnego, niepowstrzymywany przez nikogo, wszedł na piętro centrum i wparował do gabinetu Adama, gdzie właśnie trwała narada. Kiedy okazał Adamowi nakaz zatrzymania, Tielajew był tak zaskoczony, że nawet nie zaczął strzelać. Poza tym nawet Adam wiedział, że strzelanie do śledczych Komissarowa nie ma sensu. Po co strzelać do ludzi, których można kupić?

Dlatego kazał swoim zastępcom opuścić gabinet. Zostali tylko dwaj, którym śledczy pozwolił uczestniczyć w tym spotkaniu w charakterze świadków. Do gabinetu weszło dwóch sobrowców w maskach i urzędnik zaczął rewizję

Tu trzeba przyznać, że Adam był człowiekiem prostodusznym i nie znał się na różnych tam zagranicznych kontaktach i tym podobnych wymysłach. On zasadniczo nie ufał bankom i dlatego wszystkie pieniądze, które dostał za akcję z komórkami i inne historie, trzymał w domu i w pracy.

Najpierw przechowywał je w małym sejfie pod portretem imama Szamila, a potem, gdy pieniędzy zrobiło się za dużo, zaczął je składać w wielkiej szafie ze

stali nierdzewnej, stojącej w gabinecie naprzeciw okna. Potem machnął ręką i zaczął upychać bezpośrednio w szufladach biurka.

Pewnego razu stary przyjaciel wstąpił do Adama i poprosił go o dokument dotyczący anulowania wyroku skazującego. Adam zaczął szukać. Wysunął pierwszą szufladę ze słowami: „No, gdzie ten papier?”, ale żadnego dokumentu tam nie było, szuflada była pełna pieniędzy. Potem wyciągnął drugą, mówiąc: „Gdzież ten papier?”, ale tam również nie było dokumentów, tylko same pieniądze. Gdy to samo powtórzyło się przy trzeciej i czwartej szufladzie, przyjaciel uznał, że Adam chce od niego łapówkę i się obraził.

Tiełajew wcale nie miał zamiaru brać od niego łapówki. Po prostu dostawał więcej pieniędzy, niż podpisywał dokumentów i dokumenty zawieruszyły się wśród forsy.

Gdy więc śledczy zaczął przeszukiwać szuflady biurka i wysypał z nich stertę dolarów, Adam powiedział:

– Słuchaj, weź sobie forszę i spadaj.

Ale śledczy nawet nie spojrzął na amerykańskie pieniądze, tylko zażądał kluczy od sejfu. Wtedy Adam zrozumiał, że sytuacja wygląda gorzej, niż mu się zdawało. Obejrzał się na zastępców i powiedział:

– Właściwie po co nam świadkowie?

– Klucze od sejfu – powiedział śledczy – albo porozmawiamy w areszcie.

– Po co od razu w areszcie? Chodźmy do pokoju wypoczynkowego.

I Adam znów obejrzał się na zastępców.

– Dobrze – zgodził się śledczy.

Ruszyli do pokoju, śledczy szedł za Adamem. Gdy Adam zamknął drzwi, śledczy wyjął pistolet z tłumikiem i strzelił mu w głowę.

Następnie wrócił do gabinetu, trzymając klucze od sejfu w jednej ręce, a pistolet w drugiej. Jak tylko się pojawił, sobrowcy w maskach zwalili z nóg zastępców Adama i przystawili im lufy karabinów do karku.

Śledczy otworzył przyniesione ze sobą torby i szybko wrzucił do nich zawartość sejfu, szuflad i szafy. Oprócz pieniędzy zabrał dokumenty i kasety wideo z sejfu. Dwaj zastępcy Adama w tym czasie leżeli na podłodze pod lufami karabinów

i myśleli, że zaraz zginą. Śledczy i dwaj sobrowcy wynieśli torby i wrzucili do autobusu.

Ciało Adama i dwóch nieprzytomnych zastępców leżących na podłodze znaleziono dwadzieścia minut później. Pracownicy centrum zajrzeli do gabinetu, zaciekawieni, czemu nie wychodzą świadkowie i sam Tielajew.

Spalony autobus znaleziono dwie godziny później na plaży, dziesięć kilometrów od Torbikały. Pieniądze, dżipy i sobrowcy zniknęli bez śladu.

Kirył Wodrow przyjechał do centrum „T” pół godziny po śmierci Adama. W mieście ogłoszono operację „Pochwycić winnego”. Pracownicy centrum biegali jak mrówki po rozgrzebanym mrowisku. Adam Tielajew leżał tam, gdzie go zastrzelono, twarzą do dywanu w pokoju odpoczynku. Niebiesko-czerwony dywan wchłonął całą krew, jaka z niego wyciekła.

Kirył przykucnął obok ciała i ostrożnie pomacał ręką ciepły jeszcze, ogolony kark. Trzy dni temu ten człowiek na oczach Kiryła żartował, śmiał się i pił drogi koniak. Teraz leżał na dywanie z rozwaloną skronią. Nawet nie zdążył zrozumieć, że zginął.

W tym momencie drzwi do pokoju wypoczynkowego otworzyły się i wpadł dyżurny:

– Kiryle Władimirowiczu! – zawołał. – W efekcie operacji „Pochwycić winnego” zatrzymano jednego z zamachowców! Jest w trzecim komisariacie!

Kirył przyjechał tam pięć minut później. Gliniarze z plastikowymi tarczami tłoczyli się pod bramą, jakby nie wiedzieli, czy strzelać, czy uciekać.

Przed gliniarzami stało kilkadziesiąt ludzi: sami mężczyźni, krzepcy, smagli, w jednakowych czarnych czapczkach, spod których wystawały takie same ciemne włosy. Kirył jeszcze nigdy nie widział nic podobnego – zwykle na Kaukazie tłoczyły się kobiety, to one pierwsze zaczynały krzyczeć.

Wodrow wysiadł z samochodu i tłum od razu zamruczał na widok szczupłego federala w białej koszuli i z krawatem, starannie dobranym pod kolor garnituru. Za Kiryłem wysiadł Taszow, wznosząc się nad Rosjaninem jak nowofundlandczyk nad

ufryzowanym pudlem.

– O co chodzi? – zapytał Kirył.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie w pięciu językach i Kirył podniósł rękę.

– Cisza! Niech on mówi! – I wskazał osiemdziesięcioletniego starca o zdumiewająco prostych plecach, w barankowej białej czapce, pod którą płonęły czarne, żywe oczy.

Stary odchrząknął, przygładził brodę i rzekł:

– Przyszliśmy z powodu człowieka, którego aresztowano przed meczetem Primorskim. Chcemy opowiedzieć, jak było.

Kirył milczał wyczekująco. Tłum rozstał się i wyszło jeszcze dwóch mężczyzn w barankowych czapkach. Trzecim był czterdziestolatek, bardzo wysoki, ze smagłą, dumną twarzą, w białym turbanie. Kirył pomyślał, że to pewnie imam meczetu.

– Gdy piątkowa modlitwa dobiegła końca – mówił starzec – wyszliśmy na ulicę i zobaczyliśmy, że przed meczetem stoi patrol i sprawdza wszystkim dokumenty. Kiedy przyszła moja kolej, zapytałem, co się stało, i usłyszałem, że właśnie zastrzelono szefa centrum antyterrorystycznego Adama Tiełajewa i szukają terrorystów. Zapytałem ich: „Skąd jesteście?”. Odpowiedzieli, że z Rostowa. Powiedziałem wtedy: „To widać, że z Rostowa. Każdy z tu zebranych spędził ostatnią godzinę z Allahem. Ale w Rostowie ludzie tego nie wiedzą”.

Z tymi słowami starzec spojrzał na imama, jakby proponował, by ten mówił dalej, ale imam milczał. Starzec w barankowej czapce był najstarszy.

– Potem obejrzałem się i zobaczyłem, że milicjanci przesłuchują tego człowieka, miał na imię Mahomet. Mahomet pokazał dowód, a oni spytali, po co przyjechał do Torbikały z Piatigorska. Powiedział, że w interesach i że prawie co tydzień bywa w Torbikale. Poprosili go o dowód rejestracyjny i prawo jazdy, a on dał im wszystko. Potem wzięli od niego komórkę i zaczęli sprawdzać, czy nie ma na niej zakazanych nagrań. Miał drogą, nową komórkę i słyszałem, jak jeden z milicjantów mówi do drugiego: „Ładna zabawka”.

Zaczęli sprawdzać telefon i znaleźli tam nagranie z waszym pełnomocnym przedstawicielem. Milicjant włożył komórkę do kieszeni, a Mahomet powiedział: „Oddaj telefon”. Milicjant na to: „Razem z nim posiedzisz dwadzieścia lat”.

Mahomet na to: „Nic z tego”. Wtedy milicjant zaczął kląć. U nas się tak nie przeklina. Złapał Mahometa za kołnierz i zaczął wykrzykiwać brzydkie słowa o jego matce. Potem powiedział mu, że to wszystko zrobią z nim w areszcie.

Wtedy Mahomet powiedział milicjantowi: „Ja nie będę w areszcie, a ty trafisz do piekła”. Z tymi słowami wyrwał pistolet, który milicjant miał na pasie, i strzelił mu w ramię, a potem zaczął uciekać. Ale jeden z milicjantów postrzelił go, a inni zaczęli okładać. Zabiliby człowieka, ale bali się nas, więc zaciągnęli go do gazika i przywieźli tutaj. My przyszliśmy za nimi, bo przez radio powiedzieli, że Mahometa oskarżają o zabójstwo tego szajtana Adama, a to nieprawda.

Kirył powiódł wzrokiem po przycichłym tłumie i powiedział:

– Czy tak było?

Ludzie pokiwali głowami, a imam skłonił się grzecznie i rzekł:

– Strasznie go pobili i przywieźli tu, zamiast do szpitala. Jeśli on umrze, zrzucą na niego wszystko, co będą chcieli. To niesprawiedliwe, żeby człowiek umarł tylko dlatego, że z powodu pracy przyjechał do Torbikały i poszedł do meczetu.

Kirył wskazał starca i imama i powiedział:

– Pójdziecie ze mną.

Na podwórzu trzeciego komisariatu na Kiryła czekał szef posterunku i kilku gliniarzy. Na widok towarzyszy Kiryła naczelnik wyraźnie się spiął.

– Gdzie jest człowiek zatrzymany w sprawie zabójstwa Tielajewa? – zapytał Wodrow.

– Ee... on...

– Chcę go zobaczyć. W tej chwili.

Kilka minut później Kirył stał w celi, w piwnicy, w której wisiał zapach stęchlizny i potu. Prycz w celi nie było, ludzie leżeli na podłodze jak szprotki w puszcze z olejem.

Człowiek, który strzelił do milicjanta przed meczetem Primorskim, leżał nieprzytomny na kolanach jakiegoś mężczyzny. Inny aresztant, młody chłopak, pochylał się nad nim, opatrując mu tors białym bandażem.

Kirył przykucnął i pomógł wiązać bandaż. Aresztowany był bardzo chudy, ale



skóra nie opinała jego żeber, przeciwnie, wisiała fałdami jak bukłak, z którego wylano wodę. Na tej obwisłej skórze widać było świeże rany i siniaki. Podczas zawiązywania bandaża Kirył zwrócił uwagę na ręce chłopaka, któremu pomagał. Jego palce kończyły się różowymi półokręgami z wyrostkami paznokci.

– Za co siedzisz? – spytał Kirył chłopaka.

– Za zamach na Gamzata Aślanowa – odpowiedział ten.

– A ty? – zwrócił się do mężczyzny, któremu na kolanach leżał Mahomet.

– Za zamach na Gamzata Aślanowa.

Kirył powiódł wzrokiem po celi i zobaczył, że na piętnastu więźniów nieprzytomnych było jeszcze trzech. Kiryłowi rzucił się w oczy ten, który leżał twarzą do podłogi. Jego plecy przypominały zrytą wiejską drogę, jakby ktoś kawałkami wydzierał z nich mięso. Drugi miał całą lewą stronę w brzdach od szczypiec, prawa była nietknięta. Dopiero później Kirył się dowiedział, że prawą połowę ciała miał sparaliżowaną, więc nie było sensu torturować go z tej strony.

– A ty za co siedzisz? – spytał trzeciego aresztowanego.

Bił od niego odór gnijącego mięsa, na czole widniały czerwone ślady. Aresztant milczał. Odpowiedział za niego chłopak z wyrwanymi paznokciami:

– On też siedzi za zamach na Gamzata Aślanowa. W tej celi wszyscy za to siedzą, prócz Sulejmana, Sulejman zabił szwagra.

Drzwi za plecami Kiryła zamknęły się z hukiem. Wodrow odwrócił się: na progu stał szef MSW Mahomet Czebakow, a za nim Taszow i imam z meczetu. Nalana, żółta twarz Czebakowa była stężała i zła, ale głos miał słodki jak miód:

– *Salam alejkum*, Kiryle Władimirowiczu! Przyjechał nam pan pogratulować? Wie pan, rzadko się zdarza, żeby pół godziny po napadzie złapać sprawcę zamachu z dowodami...

Kirył wstał gwałtownie. Gdy otworzył usta, zrozumiał, że cała cela patrzy na niego i słucha, ale było już za późno.

– I na jakiej podstawie uważacie tego człowieka za zamachowca?

– Przeszukaliśmy jego samochód. Były tam dokumenty, które napastnicy zabrali z centrum. Mało tego, Kiryle Władimirowiczu, były tam zdjęcia centrum, zrobione polaroidem, z angielskimi napisami na odwrocie. To dowodzi, że akcja bandytów

została zlecona z zagranicy!

- Mam nadzieję, że wzięliście te dokumenty przy świadkach? – zapytał Kirył.
- Oczywiście – odparł szef MSW. – Oto oni.

I wskazał dwóch grubych posterunkowych, którzy wcisnęli się za nim do piwnicy.

Kirył poczuł, że twarz zalewa mu gorąca fala wściekłości. Był na Kaukazie już dwa miesiące i myślał, że zobaczył już wszystko, włączając obrazy podczas tej strasznej nocy na cmentarzu, ale tego jeszcze nie widział. A przecież wiedział, że to się dzieje.

– Ten człowiek potrzebuje pomocy lekarskiej – powiedział. – Zabieram go do szpitala, bo inaczej umrze.

Jeden z aresztowanych parsknął głośno, w oczach ministra zapłonęła wściekłość. Zrobił krok do przodu, ale opanował się i cofnął. Taszow podniósł aresztowanego jak piórko i zaniósł do wyjścia.

Pięć minut później Kirył palił nerwowo na podwórku, strzepując popiół na spękany asfalt. Nosze z Mahometem Eminowem ładowano już do karetki. Kirył nie był pewien, czy ten człowiek przeżyje. Gliniarzom wcale na tym nie zależało. Na trupa można zwalić więcej niż na żywego.

Obok Kiryła stał Taszow i imam meczetu, za betonowym murem szemrał tłum. Mahomet Czebakow opuścił posterunek i podszedł do Kiryła.

– Niech się pan nie łudzi, Kiryle Władimirowiczu. Ten człowiek strzelał do pracownika organów ścigania.

- I odpowie za to, co zrobił – rzekł Kirył. – Przed ławą przysięgłych.

Minister odwrócił się i poszedł do opancerzonego mercedesa, a Kirył rzucił za nim:

- Mahomecie Mahometowiczu, chodzi pan do meczetu?

Minister odwrócił się.

- No... tego... o tyle, o ile...

– Niech pan zacznie – poradził mu Kirył. – Może spotka pan tam porządných ludzi?

Chwilę potem karetka ruszyła z podwórka w otoczeniu trzech milicyjnych ład.

Pięć minut później odjechał stamtąd również Kirył. Wiózł ze sobą dokumenty i zdjęcia z angielskimi napisami, jakże przezornie zabrane z bagażnika Mahometa Eminowa. Zdjęcia faktycznie były i żeby nikt nie miał wątpliwości, że zrobili je terroryści, pod obrazem centrum biegł angielski napis. Z zachowaniem autorskiej ortografii brzmiał on: „A next object of a terrorist attack”.

Czterdziestoletni handlowiec z Piatigorska, przez którego zaczęło się to całe zamieszanie, nie odzyskał przytomności. Zupełnie jakby już umarł.

Arzo Hadżijew był w odległej wsi na stypie, gdy powiadomiono go, że do tarkienckiej wytwórni wódek znowu przyszła inspekcja.

Działo się to miesiąc po tym, jak Komissarow, siedząc w łaźni z Hadżijewem, wykrzyknął: „Mój Boże, więc to była twoja fabryka?”.

Gdy Arzo podjechał do wytwórni, zobaczył, że tym razem śledczy nie przyszli sami. Wokół zakładu stał rzadki kordon karabinierów, na klombie przed bramą ustawiono BTR.

Hadżijew zawrócił i pojechał szukać Komissarowa.

Znalazł go w nadmorskiej willi. Wartownik przed bramą oznajmił, że Komissarowa nie ma, ale w tym momencie do willi podjechała kolumna samochodów ministra finansów i brama otworzyła się, żeby je wpuścić.

Hadżijew odsunął wartownika i wszedł za samochodami.

W poczekalni Komissarowa było mnóstwo ludzi. Arzo rozpoznał dwóch ministrów i jednego handlarza narkotykami. Zresztą jeden z ministrów też sprzedawał dragi. Siedzący przy stole asystent skoczył do drzwi gabinetu, ale Arzo powiedział:

– Sam mu zamelduję. – Otworzył drzwi i wszedł.

Fiodor Aleksandrowicz zajmował miejsce przy wielkim, połyskliwym biurku pod rosyjską flagą. Na ścianie po jego prawej stronie wisiał portret prezydenta Rosji, po lewej zdjęcie samego Komissarowa z patriarchą Aleksiejem i muftim Rawilem Gajnutdinem. Przed inspektorem z Moskwy, z minami egzaminowanych uczniów, siedziało dwóch pułkowników FSB. Na widok gościa, który w milczeniu stanął na progu, Komissarow gestem odesłał obu federalów. Ci spojrzeli niepewnie na Arza,

ale wyszli.

W gabinecie zostały tylko dwie osoby: szef komitetu nadzwyczajnego i były komendant połowy.

Obaj byli w kamuflażu, który wydawał się nie na miejscu wśród tego politurowanego drewna bukowego i lustrzanych szaf z pozłotą. Na siwych włosach Arza siedział bordowy beret, szeroki pas z przypiętym nożem desantowym opinał talię razem z pustym rękawem. Prawa połowa twarzy, poorana zmarszczkami, była równie nieruchoma co zastygła na zawsze lewa, stanowiąca maskę różowych blizn i oparzeń. Na piersi Hadżijewa wisiała jedna ozdoba, gwiazda Bohatera Rosji, którą dostał tam, gdzie zostawił połowę twarzy: podczas szturmowania budynku rządowego w ubiegłym roku, w tej krwawej rzezi, której Rosjanie nigdy by nie wygrali, gdyby nie batalion Południe.

Komissarow poprawił okulary na mięsistej twarzy i wstał z fotela. Był niższy od Czeczena, ale w wojskowych butach na wysokim obcasie wydawał się równy. On też był w kamuflażu, przepasanym oficerskim pasem. Ponieważ obwód talii generała wynosił półtora metra, pas robiono mu na specjalne zamówienie. Wielka biała twarz Komissarowa tonęła w fałdach i fałdkach, na jego piersi lśnił cały ikonostas medali, a na pasie, z wielkiej mahoniowej kabury wystawał steczek.

– Co mi powiesz tym razem? – zapytał Arzo.

– Dwa miliony dolarów i połowa zysków.

– Nie udławisz się przypadkiem? – spytał spokojnie Czeczen, a w jego oczach zapłonął mroczny czerwony ogień.

– Z wami inaczej się nie da. Do psa trzeba z kijem, do Kaukazu bez siły nie podchodzić – odparł Komissarow.

Czeczen milczał przez kilka sekund, a potem czerwone światło w jego oczach zgasło i Arzo niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze. Jutro przyślę pieniądze.

I wyciągnął do Rosjanina zdrową rękę.

Dwa dni po tej rozmowie Arzo Hadżijew wyszedł na podwórko własnego domu. Basen był pusty, a letnie plastikowe krzesła w rzeźbionej altance stały w stercie

jedno na drugim.

Górski wąż, w którym znajdowała się wieś, biegł ze wschodu na zachód i mimo wiosennej pory śnieg wciąż jeszcze schodził do wsi z północnych zboczy gór, chociaż na przeciwległej, oświetlonej słońcem stronie już stopniał. Między skałami łążyły owce, szczypiąc twarde, zwiędłe źdźbła traw.

Na podwórku Arza nie było ani śniegu, ani śmieci. Pod wysokim dachem obok bramy stały dwa czyste BTR-y, obok znajdował się biały pancerny hummer. Tego hummera Arzo kochał nie mniej niż jego pradziadek swego białego konia, gdy służył pod wielkim Szamilem. Kiedyś, gdy hummer stał przy chodniku i przejeżdżający gazik ochlapał go błotem, Arzo dogonił gazik i wyciągnął z niego kierowcę. Gazik został ostrzelany, a kierowca pobity do nieprzytomności.

Jednak tym razem Arzo nie wsiadł ani do hummera, ani do żadnego z cruiserów moknących na cementowych płytach za domem, lecz do białej niwy, gdzie za kierownicą siedział jego siostrzeniec Buławdi. I Arzo, i Buławdi byli w cywilnych ciuchach. Gdy obaj znaleźli się w samochodzie, Arzo wyjął z pasa pistolet, położył obok go skrzyni biegów i przykrył czystym białym ręcznikiem.

Potem włożył protezę ręki, której nie lubił, uważając noszenie takich dodatków za babskie fanaberie. Z daleka można by pomyśleć, że pasażer w samochodzie ma dwie zdrowe ręce. Z pokiereszowaną twarzą nic nie mógł zrobić, postawił więc tylko kołnierz kurtki, żeby szramy nie rzucały się w oczy.

I tak we dwóch białą niwą wyjechali ze wsi w stronę Czeczenii. Na posterunku na końcu wsi żołnierze poznali samochód Buławdiego i tylko machnęli ręką: jedź. Pasażera drzemiącego na przednim siedzeniu nie oglądali.

Pół godziny później niwa dogoniła kolumnę wozów, przed którą, z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, włókł się rosyjski BTR. Transporter sunął tak ze dwadzieścia minut, w końcu zatrzymał się i wysiedli z niego żołnierze. Oznajmili oni, że dalsza droga jest zaminowana i że w związku z tym BTR będzie jechał przodem. Każdy, kto chce wyprzedzić BTR, płaci sto rubli.

Arzo oczywiście mógłby wyprzedzić transporter za darmo, ale mimo to niwa zatrzymała się na poboczu razem ze wszystkimi, Buławdi wysiadł i dał Rosjanom sto rubli.

Później jeszcze dwa razy płacili po sto rubli: na stacjonarnym posterunku obok Argunu i trzydzieści kilometrów dalej, załodze przyczajonego obok krzaka BTR-a. Federalaowie siedzieli w kręgu i piekli na ognisku warchlaka – rozplenili się w lasach w czasie wojny i czasem wybuchały na minach.

Za każdym razem milicjanci prosili Buławdiego, żeby otworzył bagażnik, ale ani razu nie zajrzeli pod ręcznik w samochodzie i nie sprawdzili zawartości worków leżących w bagażniku. Było widać, że gliniarze bardzo chcą dostać sto rubli i bardzo nie chcą narobić sobie kłopotów. Widząc, że pasażer niwy zakrywa twarz kołnierzem, nie sprawdzili go. Skoro człowiek ukrywa twarz, to znaczy, że ma ku temu powód. Jeśli poproszą go, żeby pokazał dokumenty czy chociaż twarz, to zamiast dokumentów mogą dostać kulkę. A jeśli nie poproszą, tylko ostrzegą następny posterunek, to ten człowiek lub jego ocaleli towarzysze domyślą się, kto ostrzegął, i ludzie tego człowieka przyjdą pewnej nocy i wyrzną całą rodzinę.

Dlatego gliniarze nie prosili Arza o dokumenty, a tylko o sto rubli i mężczyznę, którego twarz znała cała Czeczenia, przejechał dwa posterunki nierozpoznany.

Droga była rozryta ciężkimi samochodami i minami, mżący deszcz przemienił się w mgłę, zaczęły się przedgórza. Posterunków było teraz mniej, ale samochód ślizgał się na zjedzonym przez czas asfalcie. Reflektory dawały słabe światło.

Godzinę później niwa wjechała do długiej, bogatej wsi, a po kolejnych dziesięciu minutach stanęła przed wysoką, pomalowaną na czerwono bramą.

Za bramą zaszczekał pies, potem coś stuknęło, brzęknęło i po jakichś trzech minutach jedno ze skrzydeł bramy uchyliło się i wyszedł, bardzo powoli, wyprostowany staruszek.

– *Salam alejkum*, wasza Ibrahimie – powiedział Arzo.

– *Wa’alejkum assalam*, Arzo – odparł Ibrahim.

Ibrahim nie był bratem Hadżijewa, lecz jego krewnym, i to tak dalekim, że nawet wedle czeczeńskiej miary można by tego pokrewieństwa nie uznawać. Ale za czasów władzy radzieckiej ojciec Arza nie tylko je uznawał, ale również podkreślał na każdym kroku – Ibrahim Hasanow był trzecim sekretarzem partii komunistycznej republiki, a Andi Hadżijew zwykłym kierownikiem spółdzielni rejonowej. Co wieczór, gdy Hasanow wracał z pracy, Andi czekał pod jego drzwiami z ciepłą

kolacją.

W czasie wojny Hasanow pozostał szanowanym człowiekiem, w pewnym okresie był nawet zastępcą przewodniczącego sądu szariackiego. Gdy skończyła się pierwsza wojna, Arzo wyjechał się uczyć do Moskwy, do Akademii Sztabu Generalnego, a jeden z komendantów polowych, który razem z Arzem porywał ludzi i który był zły, że do sztabu wysłano nie jego, spreparował donos do FSB opisujący niektóre szeroko znane w Czeczenii wyczyny Arza. Gdy Hadżijewa wyrzucono z Akademii, wrócił do Groznego i po zastanowieniu doniósł na donosiciela do sądu szariackiego. Chodziło o to, że jego rywal nie powinien był donosić kafirom na człowieka tej samej wiary. Sąd „przejechał się” po nich obu: Arzowi dostało się za Akademię, a donosicielowi za donos. A ponieważ wyrok ogłosił Ibrahim Hasanow, Arzo bardzo się na niego obraził.

Ostatni raz widział się z Hasanowem dwa lata temu. Wtedy już służył federalom i Hasanow przyjechał wstawić się za siostrzeńca, którego zabrali do Chankały.

– Dwadzieścia tysięcy – powiedział Arzo. – I to wcale nie dla mnie, lecz dla Rosjan.

– Wiesz przecież, nie mam takich pieniędzy. I wiesz, że mój brat też ich nie ma – a ty masz.

– Gdyby to był twój syn – rzekł Arzo – zapłaciłbym. A tak... wszystkich nie wykupię.

– Gdy byłem trzecim sekretarzem – rzekł stary – twój ojciec czekał na mnie pod drzwiami z kotletami i zupą. Szkoda, że nie jesteś do niego podobny.

Wtedy Arzo przypomniał sobie o sądzie szariatu i powiedział:

– Zostań prezydentem Iczkerii, a nie tylko przyjdę do ciebie z zupą, ale nawet zatańczę.

I oto teraz Arzo przyjechał do Ibrahima Hasanowa brudną białą niwą i starzec w milczeniu otworzył mu bramę.

Niwa wjechała na podwórko, doturlała się pod ganek. Siostrzeniec Arza otworzył bagażnik i zaczął wyjmować worki.

– Przywiozłem ci mąkę i cukier – oznajmił Arzo – to niewiele, ale zostałeś bez wnuków i pomyślałem, że zapasy mogą ci się przydać.

– Nie wezmę od ciebie nic – rzekł Ibrahim Hasanow. – Odjedź, zanim zobaczą cię sąsiedzi.

– Dlaczego, taki jestem brzydki?

– Jeśli chcesz zobaczyć swoją duszę – powiedział starzec po chwili milczenia – obejrzyj się w lustrze. Z lewej strony.

Hasanow odwrócił się i poszedł do domu, a Arzo rzucił za nim półgłosem:

– Pod workami są ciała Ali i Diany. Tylko radziłbym pochować je bez wielkiego szumu. I pamiętaj, nie są świeże. Lodówki nie włączali od dwóch tygodni. Potem włączyli, ale lepiej, żeby odtajały już w grobie.

Ibrahim Hasanow, były trzeci sekretarz partii komunistycznej republiki, patrzył to na siwego, czterdziestoletniego mężczyznę, z rękawem zatkniętym za pas, to na otwarty bagażnik i łzy płynęły mu po twarzy. Arzo uśmiechnął się do niego połową ust i wszedł do domu. Jedną ręką i tak byłoby mu ciężko wyładować ciała, zwłaszcza nieświeże.

W pokoju stołowym, zastawionym radzieckimi meblami, w szklanym kredensie stały naczynia. Arzo długo przyglądał się podarunkowemu kompletowi porcelany, wypuszczonemu z okazji dziesięciolecia istnienia Czeceńsko-Inguskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na talerzach widnieli chłopcy w papachach i komsomolcy z czerwonymi flagami. Za porcelanowym serwisem, w wypolerowanej tylnej ścianie, odbijał się Arzo. Ścianka nie odbijała tak dobrze jak lustro, ale twarz była widoczna. Arzo siadł na kanapie i czekał.

Dopiero po dwudziestu minutach drzwi za jego plecami skrzypnęły cicho. Arzo odwrócił się niespiesznie. Do pokoju wszedł Ibrahim Hasanow, już bez palta, ale nadal w papasze i w starym, ale czystym swetrze. Za jego plecami stał Waha Arsajew.

Arzo patrzył w milczeniu na głównego terrorystę sąsiedniej republiki i twarz mu nawet nie drgnęła. Może z powodu uszkodzonych nerwów?

Waha, nie witając się, podszedł do stołu, wyszarpnął spod niego stołek tak gwałtownie, jakby wyrwał pistolet z kabury i usiadł naprzeciw Arza.

– Chcę usłyszeć – powiedział – jak umarła moja żona.

Arzo patrzył mu prosto w oczy, co okazało się zaskakująco łatwe. Gdy patrzysz



śmierci w oczy po raz setny, to staje się jakby nałogiem. Bardzo szkodliwym – prędzej czy później prowadzącym do zgonu.

– Otoczyliśmy dom – zaczął. – Tam były dwa mieszkania, na parterze i na trzecim piętrze. Zaspawaliśmy drzwi, a potem zaproponowaliśmy twoim ludziom, żeby się poddali. Gliniarze do dziś piszą, że tam zginąłeś. Nie mam pojęcia, kto się za ciebie podał.

– Tałgat.

Arzo skinął głową.

– Wszystko jasne. Ostatecznie Tałgat zgodził się wypuścić kobiety. Przecież była tam twoja żona i córka, nie chciał brać na siebie śmierci półtorarocznego dziecka. Wtedy Czebakow rozkazał, żeby kobiety wyszły na balkon nago, bo w przeciwnym razie na pewno owiną się dynamitem i wysadzą. Tałgat oczywiście odmówił, ale Andżela i Diana i tak wybiegły na balkon. Wówczas nie rozumiałem, czemu im pozwoliłeś, a teraz już wiem – ciebie tam nie było. Gdybyś był, prędzej zabiłbyś żonę własnymi rękami, niż pozwolił jej pokazać się w samej koszuli setce gliniarzy.

Arzo zamilkł na chwilę.

– Wyskoczyły na balkon, ale obiecany wóz strażacki z wysięgnikiem nie podjechał. Andżela zeskoczyła na drugie piętro i Diana podała jej dziewczynkę – wtedy je zastrzelili, wszystkie trzy. Najpierw dziecko, potem Andżelę. Zaczął się szturm. Do tej pory nie wiem, czemu Czebakowowi tak zależało na śmierci kobiet. Przecież były cennymi świadkami, mogłyby niejedno opowiedzieć...

– Czebakow zlecał mi zabójstwa – wyjaśnił Waha. – I myślę, że to były zlecenia od Gamzata. Raz nadał mi swojego zastępcę. Potrzebowałem pieniędzy. Co za różnica, kto płaci za śmierć kafirów? Dlatego zabił kobiety, żeby nie mogły o tym opowiedzieć.

– Coś w tym stylu podejrzewałem... – powiedział Hadżijew. Przechylił się, żeby nalać wody z butelki stojącej na drugim końcu drewnianego stołu, i kątem oka spostrzegł, że wraz z nim w sąsiednim pokoju poruszył się jakiś cień. Arzo zastanowił się i opadł na krzesło.

Z miejsca, gdzie mignął cień, wyszło dwóch ludzi, podobnych do siebie tak jak

stieczkiny w ich dłoniach. Obaj byli wysocy, ciemnowłosi i ciemnoocy.

Starszy nazywał się Aszuruław Jazajew i był Awarem, a w przeszłości bardzo znanym sportowcem, a nawet mistrzem świata w boksie. Na początku pierestrojki Aszuruław zajął się biznesem. Intelaktu miał mniej niż siły i w krótkim czasie zadłużył się na dwieście tysięcy dolarów. Kwestię długów załatwił, wsadzając kredytodawcy kulkę w łeb, jednak sprawa wypłynęła i w końcu musiał wiać. Mówili, że nadal pije wódkę i handluje porwanymi ludźmi, ale separatyści bardzo go cenili za siłę i męstwo.

Drugi, młodszy, nazywał się Abdurahman Mahometow. Był Rutulem i wsławił się tym, że w wieku piętnastu lat nauczył się Koranu na pamięć. Takich ludzi nazywali hafizami. Abdurahman pięć lat uczył się w Syrii i nigdy nie brał do ręki nic ostrzejszego od widelca. Nikt się nie spodziewał, że zostanie bojownikiem, zwłaszcza że jako człowiek bardzo uczony zawsze mówił, że prawdziwy dżihad człowiek prowadzi przeciwko sobie. Mówił, że trzeba zabijać nie niewiernych na zewnątrz, lecz niewierność w swej duszy.

Mówił tak dość długo, potem przepadł, a dwa miesiące później do MSW podrzuciono kasetę. Na tej kasecie Abdurahman jedzie łądą przez Torbikałę, wystawiając karabin przez okno, a na siedzeniu obok niego stoi plastikowe wiaderko, przykryte szmatą.

– Ten, kto zabije niewiernego, trafi do raju – mówi Abdurahman, zwracając się do przyszłych widzów. – A robić to trzeba tak.

Z tymi słowami wyrzuca wiadro na zewnątrz. Wiadro spada pod koła jadącego z wieczornego apelu autobusu PAZ. Autobus rozrywa na kawałki, bojownicy wciskają pedał gazu, a Abdurahman kontynuuje swoje kazanie.

Arzo podejrzewał, że Arsajew żyje, ale nie przypuszczał, że dziś wdepnie w takie gówno. Każdy człowiek, który stał przed nim, mógł wystawić Arzowi astronomiczny rachunek i Hadżijew wiedział, że wszystkim od razu się nie wypłaci. Dlatego siedział bez ruchu, dopóki do stołu nie podszedł Abdurahman i nie nalał mu wody.

– Po co przyjechałeś? – spytał. – Nie wiesz, że samobójstwo to grzech w oczach Allaha?

– Zmarł mój ojciec – wyjaśnił Arzo.

Abdurahman i wszyscy obecni w pokoju czekali w milczeniu, aż skazaniec wygłosi ostatnie słowo.

– Zmarł trzy tygodnie temu – mówił dalej Arzo. – Gdy mnie pojмали, przywieźli go do Moskwy. Przyszedł do mnie do szpitala i mówi: „Proszę cię, rzuć to, co robisz. Stało się wedle woli Allaha i teraz jesteś z Rosjanami. Iczkeria zapłaciła za swoją wolność straszną cenę, a straciła ją z powodu ciebie i takich jak ty, którzy nie mogli się uspokoić. Miej litość nad swoją rodziną i pozwól mnie i swojej własnej matce umrzeć spokojnie w łóżku”.

Hadżijew zamilkł na chwilę.

– Mój ojciec był mądrym człowiekiem. Dotrzymałem obietnicy, on umarł w swoim łóżku, a mnie zostało pięciuset bojowników i więcej broni, niż ty masz, Waha.

– I czego chcesz?

– Siedemnastego kwietnia do Besztoju przylatuje delegacja rządowa, z wicepremierem Ugłowem na czele. Chcę go wziąć na zakładnika.

Trzej mężczyźni naprzeciwko Arza spokojnie czekali, co powie dalej. Jeden z nich stracił przez Hadżijewa żonę i półtoraroczną córeczkę. Drugiemu Arzo wziął na zakładnika młodszego brata i gdy ten splunął mu twarz, rozwścieczony Arzo strzelił chłopakowi prosto w czoło. Trzeciemu Arzo nikogo nie zabił, za to trzeci dwa miesiące temu wsadził w koszary batalionu Południe granat z RSzG-2. Dwunastu chłopaków spłonęło jak świece. Trzech było krewniakami Arza, pozostali pochodzili z jego wsi.

– Wszyscy, którzy brali zakładników – mówił dalej Arzo – byli skończonymi idiotami. Brali dzieci, chorych, a nawet ciężarne kobiety, jak ty, Waha. Brali zwykłych ludzi, a u Rosjan zwykli ludzie nie są nikomu potrzebni. U Rosjan gliniarze zabijają ich sami. Trudno się spodziewać, że przejmą się, gdy to samo zrobią Czeczeni.

Arzo uśmiechnął się krzywo.

– Chcesz wziąć Ugłowa? – spytał Waha.

– Gdybym miał wybór, wziąłbym na zakładnika prezydenckiego labradora –

rzekł łagodnie Hadżijew. – A ponieważ nie mam, muszę zadowolić się wicepremierem.

– Wczoraj utworzono sztab do spraw zapewnienia bezpieczeństwa wicepremierowi – mówił dalej. – Jest w nim jeden naczelnik i pięciu zastępców. Jeden z FSB, jeden z FSO<sup>2</sup>, jeden z MSW i jeden z MCzS<sup>3</sup>. Ja też jestem zastępcą, będę znał trasę przejazdu, liczbę ochroniarzy, rozmieszczenie snajperów i częstotliwości robocze.

Waha wstał, rozsunął firanki i wyjrzał na podwórko. Coś, co tam zobaczył, uspokoiło go. Dał komuś znak ręką i wrócił do stołu.

– Prócz Ugłowa – mówił Hadżijew – w delegacji będzie kupa ludzi. Na pewno przyjedzie nasz stary znajomy Komissarow, wicemarszałek parlamentu, zastępca ministra gospodarki, dwóch senatorów, ktoś z administracji prezydenta. Nawet burzuje z Europarlamentu. Przylecą prosto na Besztoj-10. Rzecz jasna, będą na cmentarzu. Zapewne będą też na koncercie. Przygotują im kilka tras, być może odwiedzą jakąś szkołę czy przedszkole.

Przy słowie „przedszkole” szczęka Arsajewa drgnęła.

– Tak naprawdę Ugłow przyjeżdża w jednym jedynym celu: zorganizować przetarg na stanowisko prezydenta republiki. Uczestnicy przetargu: Gamzat, Zaur i Saporczy. Cała reszta to blotki. I dlatego dokładnie wiem, dokąd przyjadą wieczorem, z babami i wódką. I z odważnikami, żeby ważyć złoto. Przyjadą do „Czerwonego Zbocza”.

Arzo przeciągnął się swobodniej i natychmiast przystąpił do sporządzania szkicu polowego na kartce papieru. Arsajew zdumiał się w duchu wyrazistością rysunku. Arzo zawsze nieźle walczył, ale żeby rysował mapy sztabowe? Widać nie tracił czasu w tej Akademii Sztabu Generalnego.

– To jest hotel – mówił Hadżijew. – Prowadzi do niego jedna droga. Plus jest taki, że można podejść ścieżkami, tutaj, tutaj i tutaj. Za tydzień rozwiną się liście i góry przemienią się w labirynt. Na razie „Czerwone Zbocze” nie znajduje się na głównej trasie delegacji, która rzekomo wyjeżdża wieczorem do Toribkały. To znaczy, że do ochrony hotelu wyślą z piętnastu ludzi, rozstawią snajperów na najbliższych punktach. Ale jak tylko okaże się, że Ugłow jedzie na „Czerwone

Zbocze”, GRU rzuci w górach czujki, z helikoptera. Pięć albo dziesięć, po trzech, czterech ludzi i grupy wsparcia. Grupy zamkną najbliższe ścieżki, helikoptery zawisną nad Czerwonym Zboczem. Jeśli będziemy mieli szczęście i Ugłow powie o wizycie za późno, GRU nie zdąży dać nic prócz patroli.

– I co proponujesz? – spytał Arsajew.

– Twoi ludzie ukryją się w górach znacznie wcześniej. Wskażę im pozycje, z których zdołają wyśledzić i desant, i snajperów i zdjąć ich we właściwym momencie.

– A gdzie w tym czasie będą twoi ludzie?

– Nie wspominałem? – zdumiał się Arzo. – Będą ochraniać Ugłowa.

W pokoju zapanowała ciężka cisza. Aszuruław i Abdurahman siedzieli bez ruchu. Waha patrzył na dowódcę grupy specjalnej FSB nieprzeniknionymi czarnymi oczami z fioletowymi błyskami.

– Jednym słowem – zaczął przymilnie – proponujesz mi, Abdurahmanowi i naszym ludziom, żebyśmy zebrali się w górach w jednym miejscu, o którym będziesz wiedział tylko ty. I żebyśmy czekali na rosyjskie helikoptery, które z powietrza rozpieprzą to, co zostanie z nas po tym, jak trafimy w twoją zasadzkę.

– Boisz się? – spytał Arzo.

– Ja boję się tylko Allaha – padła natychmiastowa odpowiedź. – A tobie nie ufam. Co takiego zrobiłeś w tym życiu, żeby ci ufać? Czy jest chociaż jeden człowiek, który ci zaufał i przeżył?

Arzo wstał gwałtownie.

– Wrócę jutro – powiedział. – Tu albo do dowolnego miejsca, jakie wskażesz. Chcesz, zaryzykuj, nie chcesz, przez resztę życia wysadzaj gaziki.

Drzwi za Arzem zamknęły się z hukiem, gdy wyszedł na ganek. Zapadał wieczór. Był kwiecień, ale w górach panował jeszcze chłód. Hadżijew poczuł woń siana i nawozu, która zawsze kojarzyła mu się z dzieciństwem.

W dzieciństwie została duża wieś z meczetem na głównej ulicy, do której w piątki przyjeżdżała biała wołga sekretarza partii, dzwoneczki owiec i rosyjscy turyści. Obok wsi przebiegała piesza trasa turystyczna z Torbikały do górskiego jeziora z granatową wodą, tak przejrzystą, że w tej wodzie można było zobaczyć

każdą rybę i każde ziarenko piasku na głębokości pięćdziesięciu metrów. Do wsi często wstępowały grupy roześmianych studentów. Czasem młodzi zostawali się przespać, jeśli noc była chłodna. Zawsze karmiono ich i kładziono w najlepszym miejscu i przez te wszystkie lata żadnych drzwi we wsi nie zamykano na klucz. Zaraz za domem Arza zaczynały się kołchozowe ogrody z niskimi, krzepkimi jabłonkami, posadzone w porządku szachowym, z ogromnymi, wielkości główki dziecka, bladożółtymi jabłkami, które zbierało się we wrześniu.

Arzo nadal mieszkał w tej wsi, lecz na jego podwórku nie pachniało już nawozem i sianem. Pachniało olejem napędowym i smarem do broni, a dawny sad kołchozowy został bezlitośnie wycięty na sto metrów w głąb i bojownik na wieży patrzył, czy ktoś nie zbliża się po gołej ziemi do domu Hadżijewów.

Arzo stał chwilę na progu, wdychając górskie powietrze, a potem przeszedł przez podwórko i zastukał do okna białej niwy. Drzemiący za kierownicą Buławdi wzdrygnął się i włączył silnik. Niwa stała przy kurniku w głębi podwórka i może przypadkiem, a może specjalnie, wyjazd do bramy zastawiała łąda szóstka, przy której stało dwóch szczupłych, na pierwszy rzut oka nieuzbrojonych chłopaków. Arzo podeszedł do nich i polecił:

– Odjedźcie.

Nie odpowiedzieli, nadal patrząc na niego spode łba. Spojrzenie było szkliste, jakby zamiast oczu mieli paciorki, które wstawia się wypchanym ptakom. Na pewno wiedzieli, kim jest Arzo oraz to, że Arzo jest nikim wobec Allaha. Po karku Hadżijewa przebiegł dreszcz. „Z kim ja się związałem?” – pomyślał. Chłopaki stały bez ruchu, a za plecami Hadżijewa trzasnęły drzwi i oni, posłuszni bezgłośnemu rozkazowi człowieka, który pojawił się na ganku, wsiedli do samochodu. Szóstka zamruczała silnikiem i odjechała powoli.

Arzo wszedł do niwy bez słowa. Brama nadal była zamknięta, ale Arzo nie spieszył się z odjazdem. Opuścił szybę i siedział. Żeby czymś zająć ręce, bawił się pistoletem, to wsuwał, to wysuwał pusty magazynek. Minęły dwie minuty, zanim przez szum silnika usłyszał chrzęst kroków po żwirze i miękki baryton za jego plecami zapytał:

– Jak mnie znalazłeś?

Arzo niespiesznie wsunął rękę za pazuchę i wyjął zdjęcie. Na zdjęciu widniał siedemnastoletni chłopak. Pod okiem miał dużego siniaka, a na czole, jak się dobrze przyjrzeć, można było dostrzec czerwone punkty od rażenia prądem. Ludzie Arza porwali tego chłopaka dwa dni temu.

– On nam powiedział – wyjaśnił Arzo.

Arsajew patrzył na zdjęcie przez kilka sekund.

– Długo go przepytywałeś?

– Pięć minut.

Arsajew oddał mu zdjęcie i polecił półgłosem:

– Zabij go.

Brama otworzyła się z przeciągłym skrzypieniem, ukazując brudną, rozjeżdżoną BTR-ami drogę, i Arzo już wiedział, że dostał to, po co przyjechał.

Więcej nawet. W całej opowieści o tym, po co Arzowi potrzebna jest pomoc Arsajewa, była potężna luka. I tej luki Waha nie zauważył.

Pułkownik Argunow, weteran Alfy i nowy szef biura ochrony pierwszego wicepremiera Ugłowa, siedł po szerokiej koleinie, odcisniętej w żyznej glebie przedgórzy. Pochylające się nad nią gałęzie nabrzmiewały pączkami, wyglądającymi jak maleńkie granaty.

Trzydzieści metrów przed Argunowem tą samą koleiną siedł chudy mężczyzna, z karabinem przerzuconym przez lewe ramię i wsuniętym za pas pustym rękawem, a przed nim, w odległości sześćdziesięciu metrów, siedł jeszcze jeden, również chudy, zwinny i szybki jak gotowa do skoku żmija lewantyńska. Na głowie miał czarną czapkę, spod niej wysuwał się pałąk krótkofalówki.

Byli to Arzo Hadżijew i Dżamałudin Kemirow.

Pułkownik nigdy nie sądził, że zobaczy ich razem, i ponownie zadał sobie pytanie, czy słusznie postąpił wtedy, siedem lat temu, gdy udał, że wierzy w historię o oddaniu się Hadżijewa do niewoli.

Wilka nie przyzwyczaisz do kaszy manny, a dobry Czeczen to martwy Czeczen. Pułkownik Argunow trzymał się tej prostej zasady i trzeba przyznać, że przez całą karierę w Czeczenii ani razu go nie zawiodła. Takie są prawa natury: skoro zesłałeś

cały górski naród i połowa wymarła w wagonach bydłych czy na zesłaniu, już nigdy go nie poskromisz i nigdy nie kupisz jego przebaczenia. To był już zupełnie inny naród. Wyróżnić, wyróżnić wszystkich w cholere, jak robił Jermołow, i posiać tam łopian.

Ludzie z oddziału szli w odległości trzydziestu, czterdziestu metrów od siebie – żeby puszczone z zasadki seria nie ścięła więcej niż jednego człowieka. Prócz tych, którzy przemieszczali się koleiną, były jeszcze dwie grupy w odległości pięćdziesięciu metrów po prawej i lewej stronie. Dodatkowo jedna grupa zwiadowców szła ścieżką nieco wyżej. W niewielkim oddziale było tylko pięciu Czeczenów i Rosjan, resztę stanowili ludzie Dżamałudina. Dziś rano Argunow przeżył wstrząs, widząc, jak szybko – w ciągu dwudziestu dwóch sekund – ci chłopcy wybiegli z koszar i ustawili się na rozkaz dowódcy, w pełni gotowi do walki. Argunow dobrze pamiętał, jak ci ludzie walczyli w 1999 i 2002 roku. Bili się dzielnie, ale to była zbieranina. A teraz to był specnaz.

Droga ostro skręcała w prawo, las urwał się i Argunow wyszedł za Dżamałudinem na skalną półkę. Daleko w przedzie rozpościerał się ogromny wąwóz z pionowymi ścianami. Koniec wąwozu miał kształt podkowy i biegł również pionowo w górę, do miejsca, w którym stali. Wyglądało to tak, jakby gigantyczne kopyto nastąpiło na góry i odcisnęło w granicie ślad głębokości połowy wieży telewizyjnej Ostankino. Dziesięć metrów pod Argunowem ze ściany wąwozu tryskała podziemna rzeczka i spadała w dół pienistym wodospadem. Góra po lewej stronie wąwozu przypominała kształtem mysz.

Przeszli dwanaście kilometrów bez obciążenia, plecak Argunowa był prawie pusty. Pułkownik chętnie by odpoczął, ale nie poskarżył się ani słowem, gdy Dżamałudin postać chwilę, odwrócił się i ruszył z powrotem do lasu.

Oddział znów się rozdzielił i zaczął omijać wąwóz, wędrując przypominającą zającą górą, gdy Dżamałudin stanął i podniósł rękę. Argunow spiął się. Radiostacja pisnęła cicho i wymruczała kilka słów. Pułkownik, już rozluźniony, ruszył z innymi do biegnącej górą ścieżki.

Wkrótce doszedł do tego miejsca, które znaleźli zwiadowcy. Pośrodku gęstego lasu znajdowało się miejsce po ognisku, palonym kilka dni temu. W pierwszej



chwili trudno było ocenić, kto tu nocował.

– Nasi czy bojownicy? – spytał Argunow.

Dżamałudin wskazał palcem puszkę po mielonce.

– Bojownicy, wieprzowiny nie jedli.

Jasnowłosy Hagen długo szukał czegoś w krzakach, wreszcie przyszedł do miejsca po ognisku. Trzymał w dwóch palcach coś tak cienkiego, że Argunow z odległości metra nie mógł nic zobaczyć. Dopiero gdy Dżamałudin wziął to „nic” z rąk Aryjczyka, pułkownik dojrzał, że to cienka polimerowa nić, nie grubsza od pajęczej.

– Widziałeś to już? – zapytał Dżamałudin.

– Tylko o tym słyszałem – odparł były alfowiec.

– Właśnie czymś takim – powiedział Dżamałudin – oplątują cały obóz. W odległości pięciuset, sześciuset metrów. Nitka na obwodzie, bojownik ma w uchu odbiornik. Gdy ktoś ją zerwie, odbiornik piszczy.

Dżamałudin wyrzucił nitkę, przycisnął ją obcasem i dodał:

– Święte miejsce splugawili. Co to, już nie ma innych miejsc?

Zrobili postój w obozowisku bojowników. Argunow z ulgą usiadł pod drzewem, a Dżamałudin zebrał swoich ludzi na salat.

Nie był zadowolony z przyjazdu Argunowa, a jeszcze mniej z tego, że Argunow nie był jedynym federalą, który zjawił się w Besztoju przed wizytą wicepremiera.

Przysłali tych federalów do diabła i trochę, najpierw pięćdziesięciu ludzi, potem setkę, potem jeszcze dwustu. Najpierw OMON z Penzy, potem weweszników<sup>4</sup>, potem jeszcze chłopaków ze Stawropola. Teraz co sto metrów w mieście stał patrol i na patrolach wcale się nie kończyło.

Następnego dnia po przyjeździe stawropolanie podeszli do całodobowego kiosku i poprosili o wódkę. „A pieniądze?” – spytał sprzedawca, ci zaś zamiast zapłacić, ostrzelali kiosk. Trzy dni później OMON po pijanemu pojechał w nocy na cmentarz, na znak szacunku wobec tych, którzy zginęli w szpitalu położniczym. Szacunek wyrazili, napili się wódki na grobie, a potem wzięli z grobu pluszowego misia i zaczęli nim grać w piłkę nożną. Ludzie Dżamałudina zjawili się tam akurat w trakcie pierwszej połowy: cud, że cała sytuacja nie skończyła się rzezią.

Ale najbardziej nieprzyjemna historia zdarzyła się cztery dni temu. Ludzie Dżamałudina siedzieli w górach, w zasadzce, i dostali cynk, że w tym miejscu przejdzie Arsajew. Wkrótce potem zwiadowcy zameldowali o przesuwaniu się dwudziestu zbrojnych ludzi. Kemirow już miał wydać rozkaz, gdy w ostatniej chwili przez krótkofalówkę ostrzeżono go, że to grupa specnazu GRU. Specnazowcy przeszli, nie zauważając Awarów.

Dżamałudinowi nie spodobał się ten zbieg okoliczności. Rozstrzelania rosyjskiego specnazu pewnie by mu nie wybaczone.

Dżamałudin zakończył salat i widząc, że rosyjski pułkownik jest naprawdę zmęczony, zarządził postój. Usiedli tam, gdzie pięć dni temu siedzieli bojownicy, a konserwa, którą jedli, też nie była wieprzowa.

To było piękne miejsce. Na przełęczy między górami panowała wilgoć i wydawało się, że pnie drzew porastających zbocze sięgają aż do nieba. Gałęzie jeszcze nie pokryły się zielenią i promienie słońca, przebijające przez zielone pączki, były jak struny harfy naciągniętej pomiędzy niebem a szczytami. W oddali widać było górę podobną do myszy, na jej pyszczku właśnie przysiadła chmurka.

– Czemu to święte miejsce? – spytał Argunow.

– Dawno, dawno temu żył tutaj pewien *ustaz*, mistrz – odparł Dżamałudin.

– Na górze?

– Góry jeszcze wtedy nie było – odezwał się Arzo.

Argunow przekręcił głowę. Czeczen pił wodę z manierki małymi łykami. Mimo że miał tylko jedną rękę, szybko uporał się z jedzeniem.

– Mistrz, który tu mieszkał, był tak świętym człowiekiem, że nie tylko ludzie, ale i zwierzęta byli jego uczniami, a on przekazywał im wiedzę na temat życia zgodnie z nakazami Allaha. Pewnego dnia przydreptała do niego mysz i poprosiła, żeby uczynić ją bardzo dużą. „Jestem malutka – powiedziała – i kot ciągle mnie goni. Chcę być taka duża, żeby nikt nie mógł mnie zjeść”. Nauczyciel odpowiedział, że on jedynie naprowadza na ścieżkę Allaha i że to nie leży w jego mocy, by uczynić kogoś wielkim czy małym. Jednak mysz ciągle mu się naprzykrzała. Nauczycielowi obrzydło to i powiedział: „Idź jutro do podziemnej rzeki, która płynie nieopodal mojego domostwa, i gdy słońce wzejdzie ponad szczytami gór, wypij tam łyk wody,

a potem przyjdź do mnie i zostań moim uczniem. Tylko pamiętaj: wypij nie więcej niż jeden łyk”. Mysz uczyniła tak, jak kazał jej sprawiedliwy mąż: przyszła o świcie nad rzekę do miejsca, w którym wypływa ona ze skały, i upiła łyk.

Popatrzyła na siebie i zobaczyła, że stała się dużo większa, wielkości zająca. „No tak, jestem teraz większa, pomyślała, ale przecież na zająca poluje lis. Lepiej będzie, jak się jeszcze napiję”. Wypiła jeszcze jeden łyk i stała się wielkości barana. „To dobrze, że jestem teraz duża jak baran – pomyślała – ale przecież barana może porwać wilk. Może napiję się jeszcze?”. Upiła jeszcze jeden łyk i znowu urosła. Teraz była już wielkości potężnej krowy. „No pewnie, że krowa to duże zwierzę – pomyślała – ale i krowa może się stać łatwym łupem rysia, gdy ten wczepi się jej w gardło. Stanę się jeszcze większa”. I upiła jeszcze jeden łyk, potem jeszcze jeden i jeszcze, i w końcu wypiła tyle, że zrobiła się wielkości góry.

Teraz już nie mogła się ruszyć i leżała pyszczkiem na zachód. Gdy słońce wspięło się na środek nieba, podszedł do niej mistrz i mówi: „Gdy stałaś się wielkości barana, wystraszyłaś się, że porwie cię wilk, mniejszy od barana. Gdy stałaś się wielkości krowy, wystraszyłaś się górskiego rysia, trochę tylko większego od domowego kota. Teraz nikt już nie może cię porwać, ale każdy może cię bezkarnie deptać, a ty nie będziesz mogła się ruszyć. Nie jest ci pisane być moim uczniem – a więc leż tutaj, by wszyscy pamiętali, że odwaga ważniejsza jest od rozmiarów”.

– Czy mam rozumieć, że mysz wielkości góry to Rosja? – spytał Argunow.

Czeczen zaśmiał się wesoło i wstał.

– To bardzo stara opowieść – powiedział Dżamałudin.

– Ty, Arzo, też jesteś teraz myszką – dodał Argunow. – Jesteś federalą.

– To w Moskwie jestem federalą – odparł Arzo. – W górach jestem Czeczenem. Ruszajmy.

Oddział wyszedł z lasu pięć godzin później. Chmury na niebie wyglądały jak cienka przędza nawinięta między rogami gór, zachodzące słońce barwiło je na purpurowo. Las skończył się białą skałą. Otwierał się stąd wspaniały widok na dawne sanatorium KC, a w dole, pod skałą, na drodze, stały dżipy na milicyjnych

numerach, z kogutem na dachu. Przy drodze rósł krzew kaliny i ci członkowie oddziału, który pierwsi schodzili ze skały, zrywali z niego owoce.

– No i widzisz – powiedział Dżamałudin – jaki tu u nas spokój w górach. Cały dzień chodziliśmy i znaleźliśmy tylko jedno legowisko. A wy siejecie panikę. Gdybym tak cały dzień chodził po Moskwie, spotkałbym więcej bandytów niż wśród naszych wzgórz! A co dopiero, jakbym wszedł do ministerstwa – co gabinet, to bandyta!

Argunow nie odpowiedział. W milczeniu zbiegł ze skały po wąskiej ścieżce usłanej kłującą trawą i również podszedł do kaliny. Owoce, które przetrwały zimę, były gorzkie i kwaśne.

Pułkownik nie sądził, że będzie aż tak zmęczony. W walce wręcz na pewno pokonałby każdego człowieka z oddziału Dżamałudina, z wyjątkiem, rzecz jasna, Taszowa i Hagena, ale w konkurencji „marszobieg” przegrał. Stał, zrywając owoce i łapczywie wrzucając je do ust, i patrzył, jak jeden z ludzi, którzy witali ich na drodze, chyba naczelnik besztojskiej milicji, wkłada do bagażnika karabin maszynowy DSzK.

Podszedł do nich mężczyzna w dżinsach i marynarce z pomiętego lnu. Ku swemu zaskoczeniu Argunow poznał w nim Kiryła Wodrowa i nie był to dla niego miły widok. Wodrow był cywilem i reprezentował władzę federalną. Trzymał się blisko Kemirowów, ale pułkownik nie widział powodów, dla których miałby się on objadać kaliną trzy kilometry od twierdzy Śmiałej, razem z uzbrojonymi ludźmi, którzy wyszli z lasu.

– *Salam*, Dżamałudinie – powiedział Kirył. – Jak widzisz, nadłożyłem trochę drogi. Przynajmniej pooddycham świeżym powietrzem.

Dżamałudin przywitał się z nim i zwrócił do swojego towarzysza z Alfy:

– Właśnie, pytałeś o zabójstwo Adama. Kirył prowadzi śledztwo.

Na dźwięk imienia „Adam” ludzie, którzy wyszli z lasu, zostawili w spokoju krzak i podeszli bliżej. Wszyscy chcieli posłuchać o zabójstwie Tiełajewa.

Po pierwsze, ostatnio był to najbardziej popularny temat dyskusji w republice. W Anglii, gdy chce się podtrzymać rozmowę, mówi się o pogodzie, na Kaukazie, gdy ludzie nie mają o czym mówić, zwykle dywagują, kto kogo zabił.

Po drugie, wszyscy faktycznie gubili się w domysłach, kto za tym stał. W stosunkowo krótkim czasie Adam narobił sobie tylu wrogów, że po jego kłótni z Gamzatem pod drzwiami centrum powinna się ustawić kolejka chętnych. Niektórzy sądzili nawet, że zabił go sam Saparczi, obawiając się, że Adam skłóci go z całą republiką. Ale większość ludzi, uważając, że Saparczi i tak już był skłócony z całą republiką, podejrzewała, że to ktoś inny.

– I czego się dowiedzieliście? – spytał Argunow.

– Raczej nie zrobili tego bojownicy – odparł Kirył.

– To prawda, że z gabinetu wyniesiono pięćdziesiąt milionów? – zapytał Hagen, a jego niebieskie oczy błysnęły chciwie. Chyba sejf Adama Tielajewa uosabiał dla niego złoto Nibelungów.

– Nie – odparł Kirył – najwyżej cztery. Był za głupi, żeby zebrać więcej.

Pułkownik Argunow zdumiał się. Z jego informacji wynikało, że terroryści przeprowadzili tę rozpaczliwą akcję, by zawładnąć dokumentacją zawierającą szczegóły na temat ich baz i spotkań. O tym, że w całej tej sprawie były w ogóle jakieś pieniądze, pułkownik FSO słyszał po raz pierwszy. Nie podejrzewał nawet, że centrum „T” było magazynem banku.

– Słyszałem, że kogoś w tej sprawie aresztowali? – wtrącił Argunow.

– Owszem – rzekł Kirył. – Ogłosili operację „Pochwycić winnego” i zatrzymywali wszystkich jak leci. Jakiś rostowski OMON stał przed meczetem, sprawdzając dokumenty i komórki. Z meczetu po piątkowej modlitwie wyszedł chłopak z Piatigorska i na jego komórce znaleźli film z zabójstwem Pankowa. Gliniarz zabrał mu komórkę i zwyzywał go, a chłopak wziął i strzelił do gliniarza.

– I zabił go?

– Tak.

Argunow gwizdnął, a jego zastępca, Nikita Azjamow, który często biegał maratony i wyglądał teraz, jakby trzydziestokilometrowy marszobieg był dla niego zaledwie rozgrzewką, ściągnął brwi i powiedział:

– Ale podobno znaleźli tam jakieś zdjęcia z angielskimi dopiskami?

– Owszem – przyznał Kirył – z bardzo wyczerpującymi informacjami. Angielski napis brzmiał: „Następny obiekt ataku terrorystycznego”. W słowach „atak

terrorystyczny” naliczyłem trzy błędy ortograficzne. Z daleka wyczuwa się cholerny styl agentów CIA.

– A skąd ten gość w ogóle miał broń? – spytał Argunow.

– Wyrwał gliniarzowi.

– Nieźle... – rzucił Nikita.

Ktoś dotknął ramienia Argunowa, Rosjanin obejrzał się i zobaczył Arza. Pułkownik FSB i bohater Rosji stał za nim. Rozgniecione owoce kaliny na jego ręku wyglądały jak plamy świeżej krwi.

– Gdzie mam ustawić snajperów? – zapytał Arzo, wskazując białą skałę, na szczycie porośniętą lasem. Tam rzeczywiście był idealny punkt dla stanowiska osłaniającego twierdzę Śmiałą na wypadek, gdyby cokolwiek miało się wydarzyć. Poza tym należało kontrolować również drogę gruntową.

Argunow poczuł nagle, że tego już za wiele. Nie wzruszały go ani zasługi Arza, ani brat w Radzie Federacji, ani pełna ognia przemowa siwego pułkownika na ostatnim zjeździe, zawierająca ostrą krytykę imperialistycznego wtargnięcia do czeczeńskiej republiki. Argunow po prostu nie mógł pozwolić, by człowiek o nazwisku Hadżijew brał udział w ochronie Ugłowa.

– Snajperów rozmieści FSO – oznajmił – a twierdzę jak ochraniać, tak niech dalej ochraniają. Według mnie Dżamałudin świetnie sobie radził z tym zadaniem. Nie masz nic przeciwko, Arzo?

– Nie mam – odparł niewzruszenie Czeczen.

Już wsiadali do samochodu, gdy Kirył podszedł do Hageny i powiedział powoli:

– Byłem w trzecim komisariacie. W piwnicy siedzi ze trzydziestu ludzi – wszyscy za zamach na Gamzata Aślanowa. Jednym wyrwali paznokcie, innym przebili rzepki.

– Do licha z nimi – odezwał się Dżamałudin. – I tak połowa to wahabici.

– Ci, którzy organizują coś przeciwko Gamzatowi – powiedział powoli Szapi Czarachow – powinni albo lepiej pomyśleć, albo celniej strzelać.

Z tymi słowami Szapi popatrzył na Hageny. Gdy do Argunowa dotarło, co sugeruje szef milicji, poczuł, że zaraz opadnie mu szczęka.

Dziesięć minut później przyjechali do byłego sanatorium KC. Gdy zmęczony Argunow wyszedł z samochodu, poczuł niebiański zapach smażonego mięsa. Na ich przybycie przygotowano się po królewsku.

Biesiada trwała do późnej nocy. Obfite jedzenie, ciepło i alkohol zrobiły swoje i wkrótce Rosjanie, Czeczeni i Awarowie zaczęli coraz częściej klepać się po ramieniu, a lekko wstawiony Argunow roześmiał się z dowcipu, który opowiedział Hadżijew.

Ludzi z FSO umieszczono w najlepszych pokojach.

Była już północ, gdy Kirył dał znak Dżamałudinowi, wstał zza zastawionego stołu i razem wyszli na taras. Zrobiło się chłodno. Szczyt góry, oświetlony reflektorami, wznosił się niemal do gwiazd. Zza pleców Kemirowa i Wodrowa, z otwartych okien pierwszego piętra dolatywały śmiechy i muzyka.

– Chcę z tobą porozmawiać. O Taszowie – powiedział Kirył.

Chudy Awar stał rozluźniony, jego głos, zupełnie bez akcentu, nawet nie drgnął.

– Jesteś z niego niezadowolony?

– Nie udawaj. Mówi o tym całe miasto.

– O czym? – W głosie Dżamałudina dźwięczało szczere zdumienie.

– O tym, że zabroniłeś mu się żenić z Czeczenką, bo jest krewną terrorysty, i że swatasz mu inną dziewczynę. Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

– Wiem – odparł Dżamałudin. – Będzie miał dobrą żonę i dobre dzieci.

– Posłuchaj mnie. Kiedy wyszedłem wczoraj z budynku rządowego, Taszow czekał na mnie w samochodzie. I wiesz, co robił? Płakał! Płakał jak dziecko! Dżamału, co ty wyprawiasz? Nastawiałeś wszędzie tabliczek z imionami Allaha, zburzyłeś pomnik rosyjskiego generała, sprawdzasz handlarki na bazaru i jeszcze ci mało! Wchodzisz z butami w życie osobiste swoich ludzi! Wiesz, czym się to skończy?

Dżamałudin milczał przez chwilę, w końcu powiedział:

– Ten człowiek, którego zgarnęli za zabójstwo Adama, jest teraz w szpitalu?

– Co? Co to ma do rzeczy?

– Jest w szpitalu?

– Tak. Zabił milicjanta. Do tej pory w głowie mi się nie mieści: zastrzelił

człowieka, bo ten zabrał mu komórkę.

– Ochraniają go?

– Tak. Nawrzeszczałem na Czebakowa w obecności trzydziestu aresztantów. Dla niego wsadzenie tego człowieka to kwestia zasady.

– Chcę, żebyś go zabrał ze szpitala – oznajmił Dżamałudin.

– Jak to zabrał?

– Przecież ty go tam umieściłeś? To go zabierz. Napisz papier, weź go stamtąd i przekaz moim ludziom.

Kirył zaśmiał się sztucznie.

– To niemożliwe. Ten Mahomet...

– To nie Mahomet. To Ashab Hasanow.

Kirył odwrócił głowę. Dżamałudin stał oparty o balustradę, w czarnej puchowej kurtce i czarnej wełnianej czapce zsuniętej na kark. Na piętrze śpiewali przy gitarze chłopcy z Federalnej Służby Ochrony.

Kirył próbował połączyć twarz człowieka, który bez powodu strzelił do gliniarza przed meczetem, z grubym kędzierzawym gościem na zdjęciu. Twarze nie pasowały. Ale przecież z Kiryłem był wtedy Taszow, a on znał Ashaba znacznie lepiej.

– Dobrze cię zrozumiałem? – zapytał.

– Tak.

– Nie zdziwisz się, jeśli odmówię?

– Nie – odparł Awar. – Po zamachu w szpitalu obeszliliśmy wszystkich mężczyzn, którym zginęły żony i dzieci. Powiedziałem, co będzie robił mój oddział, i zaproponowałem, by poszli ze mną. Wiesz, ile osób zginęło? Sto siedemdziesiąt cztery. Wiesz, ilu przyszło do mojego oddziału? Dwóch. Jeśli na sto górskich rodzin znalazło się dwóch prawdziwych mężczyzn, to miałbym się dziwić, że rosyjski urzędnik nie chce być mężczyzną?

Kirył milczał przez chwilę.

– Czy to prawda, że byłeś wtedy w szpitalu? Razem z żołnierzami?

Chudy Awar odwrócił się gwałtownie do Rosjanina i Kirył zajrzał w oczy pod czarną czapkę. Oczu nie było. Zamiast nich były dwa kawałki nocy. Kirył poczuł nagle przejmujący chłód.



– Tam nie było żołnierzy. Wasi generałowie nie zdążyli nawet zrozumieć, co się dzieje. Tam była Alfa. Argunow też tam był.

– Ale... czemu nigdy o tym nie mówisz? Czemu nie chcesz przypomnieć Moskwie...

– O czym? – spytał Dżamałudin i w głosie jego zabrzmiała taka męka, że Kirył się wzdrygnął. Wydawało się, że to nie słowa człowieka, lecz wycie wilka. – Nikogo tam nie uratowałem, Kiryle, nie uratowałem żadnego dziecka! Ja tylko zabijałem.

Szczyty spowitych nocą gór były tak wysoko, że gwiazdy wydawały się dziurkami zrobionymi przez góry w nieboskłonie.

– Nie możesz mi rozkazywać, Dżamałudynie – powiedział Kirył. – Nie jestem Taszowem.

Góral przez jakiś czas patrzył mu w oczy, a potem odwrócił się na pięcie i opuścił taras. Poryw wiatru znów przyniósł muzykę i śmiech federalów. Księżyc zawinął się w chmurę jak muzulmanka w chustę i na górę napłynął gęsty cień.

—

1. Hinkał – tradycyjne danie kuchni dagestańskiej: ugotowane w mięsnym bulionie kawałki ciasta, podawane z bulionem, gotowanym mięsem i sosem. [\[wróć\]](#)
2. FSO – Federalna Służba Ochrony. [\[wróć\]](#)
3. MCzS – Ministerstwo do spraw Sytuacji Nadzwyczajnych. [\[wróć\]](#)
4. Od WW – Wojska Wewnętrzne MSW. [\[wróć\]](#)

# ROZDZIAŁ 8

*O tym, jak Waha Arsajew zajął szpital położniczy w Besztoju.*

**...kwiecień 2002 roku...**

**M**inął już ponad rok od czasu, gdy Arzo przeszedł na stronę federacji. Pewnego dnia Dżamałudin i jego ludzie natknęli się w górach na rosyjskiego żołnierza. Krył się za skałą jak jaszczurka i nawet nie próbował uciekać, a gdy otoczyło go siedmiu konnych w kamuflażach i z karabinami, padł na ziemię i się rozpłakał.

– Proszę, nie zabijajcie mnie!

Najwyraźniej wziął oddział Dżamałudina za Czeczenów.

Żołnierz nie miał karabinu, jego bose stopy były sine, na prawej widniała wielka rana. Obok żołnierza stały buty ze sztucznej skóry. Przez te kilka dni, gdy chodził po górach, nogi się zaparzyły. Tak właściwie ludzie Dżamałudina najpierw poczuli żołnierza, dopiero potem go zobaczyli.

– Co ty tu robisz i gdzie masz broń? – zapytał Dżamałudin.

Żołnierz rozpłakał się jeszcze bardziej.

– Stałem na warcie i upuściłem karabin w wąwóz. Postanowiłem uciec, bo za broń rozerwaliby mnie na kawałki, ale obtarłem nogi i nie mogę już chodzić.

Dżamałudinowi zrobiło się żal Rosjanina i powiedział:

– Radżab, zbij numer ze swojego gnata i daj chłopakowi.

Tydzień po tej historii z żołnierzem szef zarządu FSB poprosił Dżamałudina, żeby ten przyjechał do Torbikały. Dżamałudin pojawił się z bratem – okazało się, że w gabinecie szefa zarządu czeka na niego niezły tłumek. Siedział tam minister spraw wewnętrznych z dwoma zastępcami, Gamzat Aślanow, dowódca Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego i jeszcze jakiś człowiek z Moskwy, który był zastępcą dyrektora FSB i nazywał się Fiodor Komissarow.

Wszyscy bardzo uprzejmie przywitali się z Dżamałudinem, a potem dowódca Okręgu powiedział:

– Dżamałudynie, słyszałem, że nie rozpuściłeś jeszcze ochotników? Twoi ludzie chodzą po górach i już dwa razy tylko cudem obyło się bez strzelaniny pomiędzy nimi a żołnierzami ochrony pogranicza.

– Moi ludzie patrolują granice – oznajmił Kemirow.

– Posłuchaj, Dżamałudynie – rzekł szef zarządu. – Granicę patrolują federalowie. I nie potrzebują twojej pomocy.

– Federalowie nie patrolują granicy – sprzeciwił się Dżamałudin. – Oni tylko stoją na drogach, po których wozi się ropę, i biorą opłatę za przejazd. Po tych drogach, którymi dostają się tu bojownicy, ropy się nie wozi, a skoro się nie wozi, federalowie tam nie stoją. Przyjedź, to pokażę ci trzy drogi na tamtą stronę gór, po których przeszłoby nawet dziecko. Czeczeni przez pięć lat przeprowadzali ludzi przez granicę i federalowie nie potrafili nic z tym zrobić. Wystarczy, że ścigany przez nich człowiek skręci w krzaki, a zakończą pościg i zameldują, że uciekł.

– Posłuchaj, Dżamalu – powiedział minister spraw wewnętrznych. – Nie ty jeden walczyłeś z Czeczenami. Nijazbek bił się nie gorzej, a Saparczi stracił tam brata. I oni wszyscy zwolnili swoich ludzi.

– Nijazbek mieszka w Torbikale – odparł Dżamałudin – a ja na granicy. Moi bojownicy będą patrolować granicę, bo całkiem mi obrzydło, że ludzi z mojego rejonu kradną jak siano w kołchozie.

Szef zarządu uśmiechnął się.

– Dobrze, Dżamałudynie Ahmedowiczu, rób, co chcesz, ale znaj miarę. Ty i twój brat i tak jesteście panami Besztoju. Zapiszesz swoich ludzi do SOBR-u, zrobimy cię dowódcą i biegaj sobie po górach, ile ci się żywnie podoba.

– Coś ty, proponujesz mi, żebym został mendą? – zaśmiał się Dżamałudin i wszyscy obecni również się roześmiali, chociaż połowę zebranych stanowili generałowie majorzy, a drugą połowę generałowie lejtnanci.

Niczego w efekcie nie postanowiono, jednak gdy wszyscy się rozchodzili, do Dżamałudina podszedł człowiek o nazwisku Komissarow. Był szefem departamentu FSB zajmującego się walką z terroryzmem i teraz stał na czele komisji działającej

w Nalczyku. Przyjechał do Torbikały specjalnie, żeby poznać Dżamałudina.

– Nie zwracaj uwagi na tych typów – powiedział Komissarow. – Pomogłeś Rosji i Rosja ci tego nie zapomni. Chciałbym z tobą pogadać...

Tego dnia Dżamałudin zjadł obiad z Komissarowem. Obiad płynnie przeszedł w kolację, a kolacja przerodziła się w śniadanie. Potem Komissarow przyjechał do Besztoju i tam też spędził pięć dni. Niemal nie rozstawał się z Dżamałudinem i nalegał, żeby zjechali na nartach z Jałyk-tau. Wyciąg przeniósł ich na wysokość trzech tysięcy metrów, potem przejechali jeszcze pięćset metrów ratrakami. Był kwiecień, w dolinach już na całego szalała wiosna, a tu, na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, szklana glazura lodu jeszcze oblewała grzbiety i szczyty. Powietrze było tak przejrzyste, że w dali, w odległości trzystu kilometrów, widać było niebieskozielone Morze Kaspijskie.

Miesiąc później Komissarow znowu przyjechał do Besztoju. Przywiózł pistolet będący nagrodą od samego prezydenta Federacji Rosyjskiej, wręczył go Kemirowowi i powiedział:

– Dżamałudynie, złożyłem papiery, żeby przyznano ci Order Męstwa. I chciałbym, żeby twoi ludzie stworzyli oddzielną specgrupę, taką jak specgrupa Południe.

Dżamałudin nie miał ochoty na order wręczony przez FSB – już widział, jak jego starszy syn znajduje to odznaczenie i pyta, co to za organizacja mu je przyznała. Ale ponieważ nie chciał urazić Komissarowa, powiedział grzecznie:

– Nie chcę wypełniać niczyich rozkazów.

– A twój teść, Arzo, wypełnia – zaprotestował Komissarow. – I nie uważa tego za poniżenie.

– Arzo oddał się do niewoli, a ja nie.

Fiodor Komissarow był bardzo zły po tej rozmowie. Wrócił do siebie, do Nalczyka, a papiery na order gdzieś mu się zawieruszyły.

Dżamałudin nadal chodził po górach. Na zachodzie jego oddziały docierały do Baraniego Tunelu, który łączył Awarię Północną z Południową. Tym tunelem przewożono spirytus i ludzie Dżamałudina nabrali złego nawyku zabierania cudzych cystern – potem zajeżdżali nimi do zakładów Kemirowa, który z cudzego spirytusu

robił własną wódkę. Ta działalność nie podobała się właścicielom cystern, a byli to bardzo wpływowi ludzie.

Minęło pół roku od rozmowy Komissarowa z Dżamałudinem i Zaura Kemirowa wezwano do Moskwy. Tam, w kremlowskim gabinecie powitało go dwóch mężczyzn: zastępca szefa administracji prezydenta, o którym mówiono, że to prawa ręka samego prezydenta, i Fiodor Komissarow, uważany za szkolnego kolegę i niemalże pobratymca zastępcy szefa administracji.

Zaura przyjęto bardzo uprzejmie. Choć w poczekalni siedział cały tłum, Kemirowa od razu wprowadzono do gabinetu: wielkiego pomieszczenia z lśniącem parkietem i ciężkimi dębowymi meblami.

W cieniu trójkolorowej flagi siedział niepozorny mężczyzna, który od razu wstał zza biurka i mocno uściśnął rękę Zaurowi, a następnie zaproponował, żeby usiedli przy małym stoliku, otoczonym trzema wyściełanymi fotelami. Nawet wyjął z sejfu butelkę znakomitego koniaku.

– Jesteśmy bardzo zaniepokojeni sytuacją w republice – oznajmił szef administracji. – Dostałem właśnie od Fiodora zestawienia, z których wynika, że od czasu odparcia Czeczenów pomoc finansowa dla republiki wzrosła trzykrotnie, sięgając dwóch miliardów dolarów. Ile z tego otrzymał Besztoj?

Zamiast Zaura odpowiedział Komissarow:

– Nic.

– Jak to się dziwnie układa? – zauważył zastępca. – Z Czeczenami walczyli ludzie pańskiego brata, a pieniądze dostaje prezydent Asłanow.

Zaur już miał powiedzieć, że walczyli z Czeczenami nie dla pieniędzy, ale Komissarow go uprzedził, ostro reagując:

– Co on sobie myśli, że w Moskwie siedzą sami idioci? Że nie wiemy, komu zawdzięczamy zwycięstwo? Gdyby nie pański brat, stracilibyśmy republikę! Gdyby pański brat posłuchał tego tępaka prezydenta, nasi pogranicznicy staliby teraz w Kraju Krasnodarskim!

Zaurowi przyjemnie było tego słuchać, nieczęsto zdarzało się, żeby Moskwa ganiła prezydenta Asłanowa.

– Jak w ogóle udaje wam się przeżyć?

Zaur westchnął. W tym czasie biznes bazarowy w Besztoju był jeszcze w powijakach i miasto żyło z dość wysokich podatków przekazywanych przez Zaura. Poza tym Zaur z zemsty nie płacił ani grosza do republikańskiego budżetu. Nie był jednak aż tak bogaty, żeby utrzymywać całe miasto i dwustu ludzi Dżamałudina na dokładkę, którzy nic innego nie robili, tylko biegali po górach i trenowali. Już sama broń dla nich kosztowała milion dolarów! Zaur płacił za wszystko z własnej kieszeni – nie było sensu robić tego okreśną drogą, ciągnąc pieniądze z budżetu republiki.

– Jakoś sobie radzimy – powiedział Zaur. – Zbudowaliśmy nowy szpital, dwie nowe szkoły...

– A nie myślał pan, żeby zasilić miejski budżet wpływami z rozwoju turystyki, na przykład narciarskiej?

Zaur wzruszył ramionami. Dwugarbną górę Jałyk-tau, u której podnóża leżał Besztoj, uważano za jedną z najpiękniejszych na Kaukazie Północnym. Wprawdzie była tysiąc metrów niższa od Elbrusu i latem śnieg schodził z niej prawie zupełnie – utrzymywał się tylko jeden biały pędzelek na wschodnim, wyższym szczycie – ale tę stosunkową wadę (kto by tam zjeżdżał z samego szczytu pięciotysięcznika!) rekompensowała długość tras i obfitość tak lubianych przez narciarzy łagodnych zboczy. Z Jałyk-tau można było zjeżdżać przez cały dzień i ani razu nie znaleźć się w tym samym miejscu.

W odróżnieniu od innych popularnych kurortów Kaukazu, takich jak Elbrus, Dombaj czy Archyz, KC KPZR zatrzymało Jałyk-tau dla siebie, urządzając tam czasowy rezerwat i sanatorium w twierdzy Śmiałej. Nielicznych miłośników narciarstwa wnoszono na jej zbocze helikopterami. Wyciągów prawie nie było, za to komuniści nie pożałowali środków i doprowadzili do dawnej twierdzy iście kapitalistyczną infrastrukturę: gaz, wodę i linie wysokiego napięcia.

Na początku pierestrojki sanatorium sprywatyzowali jacyś moskwianie i próbowali urządzić w nim kurort, ale bez powodzenia. Miejscowa ludność uparcie nie chciała dorównać europejskim standardom obsługi hotelowej i wyrażała głębokie przekonanie, że jeśli pijana rosyjska dziewczyna chichocze z trzema chłopakami przy barze, to potem wszyscy trzej mogą tę dziewczynę zerznąć w pokoju hotelowym. Z powodu takich rozbieżności kulturowych miejscowi chłopcy zaczęli

uważać rosyjskie dziewczęta za dziwki, a rosyjskie dziewczęta uznały miejscowych chłopaków za gwałcicieli i wszystko skończyło się kilkoma bardzo nieprzyjemnymi sprawami karnymi.

Ostateczny upadek miejscowej turystyki hotelowej nastąpił w 1998 roku, kiedy to wielodzietna rodzina spod Woroneża wyruszyła na Jałyk-tau tą samą trasą, na której niegdyś ojciec rodziny poznał swą przyszłą żonę. Starsze pokolenie żyło nostalgicznym wspomnieniem tutejszych patriarchalnych obyczajów i wiejskiej gościnności. Podczas wędrówki rodzina natknęła się na letnie obozowisko Arsajewa – i w ramach konspiracji wszystkich wyróżnięto.

W tym samym roku sanatorium przeszło na własność Zaura Kemirowa. Przez jakiś czas Zaur myślał o turystyce, potem policzył koszty niezbędnej infrastruktury (wyciągi, drogi, hotele, lotnisko), wyobraził sobie swojego brata i jego ludzi przy stoliku w pięciogwiazdkowym hotelu obok starszego francuskiego małżeństwa, wahającego się, co zamówić, chablis czy chardonnay, i machnął ręką. W rachunku zysków i strat przeważały te drugie.

– Nie myślałem – powiedział sucho Zaur.

Wtedy Fiodor Komissarow wyjął ze stojącej obok aktówki teczkę i w milczeniu położył przed Zaurem. Kemirow zajrzał do środka i zaparło mu dech w piersiach.

Na wierzchu leżały fotografie przedstawiające Jałyk-tau, możliwe, że robił je sam Komissarow. Na cyfrowo obrobionych w photoshopie zdjęciach zbocza Jałyk-tau ozdobiono wyciągami i gdzieniegdzie nawet oświetlonymi trasami. Pod szczyt prowadziła czteropasmowa droga, a na wysokości dwóch tysięcy metrów zamiast murów twierdzy wznosiła się szklana igła.

– Prezydent Rosji – rzekł zastępca szefa administracji – lubi jeździć na nartach i kancelaria prezydenta szuka miejsca na kurort narciarski z prawdziwego zdarzenia. Chyba zgodzi się pan ze mną, że w Rosji nie ma miejsca piękniejszego niż Jałyk-tau.

Zaurowi Kemirowowi zaschło w gardle. Kwota projektu zamigotała mu przed oczami jak cyfry w okienku kalkulatora. Co najmniej miliard dolarów na samą budowę. Z tego miliarda połowę pewnie ukradną, ale cała sprawa w tym, że będą kraść w Besztoju i z Besztojem. Drugi miliard wyłożą oligarchowie i przemysłowcy, którzy dla prestiżu będą chcieli zbudować sobie willę obok prezydenckiej

rezydencji. Zniknie Besztoj-10 z wiecznie pijanymi żołnierzami, których wreszcie wyrzucą w diabły, a w jego miejscu powstanie międzynarodowy port lotniczy.

– Ten projekt jest nieopłacalny komercyjnie – zauważył zastępca szefa administracji – ale do licha, wyczuwa pan konsekwencje polityczne? Prezydent Rosji buduje swoją rezydencję na Kaukazie! A wasze miasto dostaje przy tym więcej pieniędzy niż cała republika.

Zaur Kemirow przełknął ślinę. Wydawało mu się, że śni.

– Prezydent Aślanow zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić – powiedział.

– W takim razie nie dajcie mu pretekstu – powiedział zastępca z zauważalnym naciskiem.

Zaur Kemirow jeździł do Moskwy jeszcze dwukrotnie. Zorganizowano mu spotkanie z poważnym kremlowskim bankierem. Zdjęcia Jałyk-tau przechodziły z rąk do rąk, ludzie węszyli tu i tam, określając rozmach przyszłych podziałów. Do Besztoju nagle zaczęli przyjeżdżać inspektorzy – oglądali sklepy, szkoły, przedszkola.

Wieści o tych wizytach doszły do Torbikały i prezydent Aślanow zażądał znalezienia przyczyny. Dwa dni później przyszedł do niego syn Gamzat i zacierając rękę, powiedział:

– Wiem, czemu tam taki ruch. Gość z wydziału walki z terroryzmem wysłał do centrali szyfrogram, że w Besztoju może dojść do zamachu terrorystycznego na wielką skalę.

– Idiota – odparł Ahmednabi Aślanow. – Oni się szykują do wizyty prezydenta Rosji. Ma tam przyjechać na narty.

Trzy dni po tej rozmowie Dżamałudina wezwano do prezydenta republiki. Przyjechał razem z Zaurem i po wejściu do gabinetu ujrzał, że prócz prezydenta jest tam cała siłowa wierchuszka. Prokurator republiki położył przed nim jakiś dokument i oznajmił:

– Oto postanowienie o rozbrojeniu. Do wieczora masz zdać całą broń i rozpuścić ludzi.

– Nigdy – odparł Dżamałudin.



– To rozbroją cię siłą – powiedział Gamzat.

– Spróbujcie – wzruszył ramionami Awar.

Zaur wziął go na bok:

– Pogadajmy.

Wyszli na korytarz i Zaur powiedział:

– Nie rozumiesz, co tu się dzieje? Chcą pogrzebać nasz projekt! Wiesz, co to dla nas znaczy, jeśli Besztoj dostanie z Moskwy więcej pieniędzy niż Torbikała? Jeden strzał do ich żołnierzy i te trasy zbudują w Soczi!

– Nie złożę broni – odparł Dżamałudin. – I gwizdź na twoją forszę.

– Bez mojej forsy jesteś nikim. Umiesz zarobić własną? Czy potrafisz tylko biegać z chłopakami po górach?

Dżamałudin i Zaur wrócili do gabinetu prezydenta pięć minut później. Chudy, smagły Awar powiódł wzrokiem po obecnych i prezydent Asłanow odniósł wrażenie, że patrzy w lufę karabinu snajperskiego.

– Oddam broń – oznajmił Dżamałudin, odwrócił się i wyszedł.

Broń wywożono trzema kamazami, przysłanymi specjalnie z Rostowa. Ludzie Dżamałudina stali przy ciężarówkach niczym jeńcy wojenni. Gdy kamazy ruszyły, drogę zagroził im kilkutysięczny tłum. Dżamałudin wyszedł do ludzi i długo namawiał ich, żeby się rozeszli.

Złe języki mówiły, że oddał tylko jedną trzecią posiadanej broni, ale i tak nie chodziło o ilość. Chodziło o to, że zbrojni awarscy ochotnicy przestali istnieć jako struktura bojowa, zdolna do natychmiastowej mobilizacji.

Gamzat Asłanow nie posiadał się ze szczęścia, że Dżamałudin zdał broń, i ciągle prosił, żeby mu opowiedzieć, jaką miał przy tym minę.

– No i z czego się cieszysz? – zgasił go prezydent. – Teraz zbudują tę swoją trasę. A rok później Zaur Kemirow zostanie prezydentem Awarii.

Minęły dwa miesiące. Znow była połowa kwietnia i Dżamałudin siedział ze swoimi ludźmi w tej samej twierdzy Śmiałej, od której zaczął się cały prezydencki projekt. Dżamałudin często bywał teraz w tym miejscu, którego główną zaletą był brak zasięgu.

W dolinach kwitły już róże, ale tu, na wysokości dwóch tysięcy stu metrów, szalała zamieć. Nic nie było widać na pięć metrów, światło to rozpalało się, to gasło, gdy podmuchy silnego wiatru zderzały linie wysokiego napięcia. Dżamałudin i Hagen grali w szachy, dwóch chłopaków na podwórzu próbowało przyrządzić baranie mięso przywiezione z doliny. Wiatr gasił ogień, szaszłyki nie chciały się upiec, a do holu wciskał się tylko smród spalonego mięsa.

Była już piąta popołudniu, gdy Dżamałudinowi zameldowano, że do twierdzy podjechał dżip i człowiek o nazwisku Argunow pyta o Dżamałudina.

Argunow był tym samym pułkownikiem Alfy, który walczył z Dżamałudinem pod Kurszami. Kemirow wyszedł mu na spotkanie.

Razem z Argunowem pod bramą marzło jeszcze kilku oficerów. Wszyscy zaczęli się obejmować, mężczyźni klepali się po byczych karkach, Dżamałudin roześmiał się z jakiegoś żartu.

Zmarzniętych gości wprowadzono do środka, gdzie już nakryto do stołu. Między szklarniowymi pomidorami i wczesną zieleniną na białym obrusie pojawiły się butelki wódki, Dżamałudin sam nie pił, ale wiedział, że rosyjscy oficerowie bez alkoholu nie mogą.

– Skąd się tu wzięliście? – zapytał, gdy usiedli przy stole.

Argunow zawahał się. Formalnie nikt w oddziale nie wiedział, po co właściwie przyjechali do Besztoju.

– Wysyłają nas do Czeczenii – powiedział tylko.

– No, no... Drugi tydzień tu u nas po szkołach łążą, w szpitalach rewizja, położniczy sprawdzali... Chcesz obejrzeć twierdzę?

Pułkownik zamrugał. Powinien nie tylko obejrzeć budynek, ale również obejść góry, zamknąć przełęcze i wysadzić co najmniej dwadzieścia mobilnych grup.

Obeszli wszystkie pokoje. Argunow przyglądał się szczególnie uważnie górnemu, trzypokojowemu apartamentowi, w którym niegdyś zamontowano błękitny jugosłowiański sedes dla Leonida Breżniewa. Breżniewa od dawna nie było, a sedes stał do tej pory.

Potem zajrzeli do sali bilardowej, do sauny i auli. W tej ostatniej była szeroka scena z aksamitną kurtyną i skomplikowanymi mechanizmami pod podłogą.

Argunow zerknął pod scenę i zrobił wielkie oczy: stały tam mocne drewniane skrzynki, pomalowane zieloną wojskową farbą. Uważnie przeliczył skrzynki, obejrzał się na Dżamałudina, ale nic nie powiedział. Wyszedł, nie zamknąwszy drzwi, zostawiając klucz w zamku.

Następnie obeszli cały teren i wspięli się na mury. Do tego czasu zamieć ustała, niebo wypogodziło się i nad światem zawisł wielki żółty księżyc. Na dole, pod soczewką zimnego powietrza, podwójne światła pasa startowego wskazywały małe miasteczko z tonącymi we mgle domami i kwitnącymi wiśniami. Na pasie paliła się co druga żarówka, żołnierze kradli je razem ze słupkami.

Wrócili do sali, zmarznięty Argunow od razu chlapnął szklanekę wódki.

– To prawda, że omal cię nie aresztowali? – spytał. – Za nielegalną formację zbrojną?

– Zdałem broń – odparł Dżamałudin.

Argunow wskazał palcem w górę, w stronę sali kinowej:

– Za dwa dni będzie tu FSO. Musi być czysto.

I dodał po zastanowieniu:

– To się tyczy również stojaka na karabiny przed wejściem.

Dżamałudin nie odezwał się, a Rosjanin po raz pierwszy zwrócił uwagę na dwie głębokie zmarszczki przy skrzydełkach nosa i worki pod oczami. Trzy lata temu ich nie było.

– Rozumiesz, że mamy rację? – spytał pułkownik Alfy.

Kemirow uśmiechnął się krzywo.

– Może i macie. Tylko zobacz, ciekawa rzecz: Arzo, który walczył przeciwko Rosji, ma pięciuset ludzi i BTR. A ja walczyłem dla was i wyrzucili mnie jak pijanego z baru. Z tego można by wyciągnąć niesłuszne wnioski.

– Arzo przyjął naszą propozycję, a ty odmówiłeś – odpowiedział Argunow.

Dżamałudin nie skomentował, a federal nał jedną szklanekę sobie, drugą Awarowi i powiedział:

– Za Rosję!

Argunow spodziewał się, że góral odmówi. Nigdy nie widział, żeby Dżamal pił. Ale ten niespodziewanie uśmiechnął się krzywo i chwycił szklanekę całą dłonią.

Hagen i Szapi patrzyli na niego wstrząśnięci. Wychylił pół szklanki, zaczął kasłać i omal nie przewrócił się razem z krzesłem.

– Co za gówno... – powiedział, gdy już złapał dech. – Jak możecie to pić?!

W tym czasie do sali weszło nowe towarzystwo: dziewczyna i trzech chłopaków, studenci, którzy przyjechali pojeźdzać na snowboardzie. Chłopcy byli w dżinsach i bluzach, dziewczyna miała na sobie podkoszulek na ramiączkach i postrzępione szorty, spod których wyłaniały się zgrabne nogi w czarnych pończochach.

Argunow na ten widok otworzył usta, a Dżamałudinowi zupełnie opadła szczęka. Kiedy indziej na pewno zrobiłby dziewczynie uwagę odnośnie stroju, ale będąc człowiekiem sprawiedliwym, musiał uznać, że jak się wychlało szklankę wódki, to nie ma się prawa dyskutować o za krótkich szortach.

Po wódce nastąpił szaszłyk, a po szaszłyku znów była wódka. Dżamałudin rozweselił się. Argunow obserwował go przerażony. Góral wypił dwieście gramów – niby niewiele, ale jako że nie był przyzwyczajony do picia, rozebrało go jak kurę, której nalali wódki na spodeczek.

Dziewczyna w szortach gdzieś zniknęła i Argunow dziękował za to niebiosom. Nie podobało mu się spojrzenie, jakim jego awarski przyjaciel obrzucał Rosjanę, a jeszcze mniej wzrok, jakim dziewczyna patrzyła na Awara. Siedziała przy stoliku w towarzystwie trzech bezbrodych młodzieńców i powoli, jakby specjalnie,ssała wisienkę wyjętą z drinka.

O północy Argunow i Szapi wyszli zapalić. Stali na podwórku gospodarczym pomiędzy twierdzą a murem. Gwiazdy były niczym zastygła salwa, wysoko nad górami wisiała blada czaszka księżyca. Czarny dżip, którym przyjechali alfowcy, dotykał zderzakiem podniszczonego granitowego fundamentu.

Argunow przechylił się przez fundament i przesunął palcami po jego zewnętrznej stronie, pokrytej szczerbami zbyt głębokimi, by mogły je zrobić miękkie ołowiane kule, wypuszczone z gładkolufowych strzelb czasów imama Szamila.

– Kiedy tu tak strzelali? – spytał.

– W dziewiętnastym roku – odparł Szapi. – Była tu rzeź między Kozakami a czerwonymi.

– A kto dowodził czerwonymi?

– Amirchan Kemirow, cioteczny dziad Dżamałudina. Był po stronie bolszewików, tylko mówił, że nie można ich dopuszczać do samorządów terytorialnych, bo samorzady powinny opierać się na szariacie.

Argunow wzdrygnął się, wyobrażając sobie brodatego bolszewika pod czerwonym sztandarem dżihadu.

– I co, wielu się z nim zgadzało? – spytał rosyjski pułkownik.

– Dziadek Dżamałudina ciągle się z nim spierał. Mówił, że bolszewicy są nie lepsi od kozaków. Gdy poszedł w góry, Amirchana za to rozstrzelali.

Wrócili z podwórka. Szapi pierwszy usłyszał łoskot muzyki. Weszli do oranżerii i Argunow zastygł na progu.

Dziewczyna powróciła – lecz już nie w szortach. Zdążyła się przebrać i teraz miała na sobie lejącą się sukienkę z odsłoniętymi ramionami i srebrne pantofle na wysokiej platformie. I w tej sukience tańczyła na drewnianym stole, między butelkami wódki i miseczkami z hinkałem, na oczach Dżamałudina i dwudziestu uzbrojonych górali.

Argunow pomyślał, że pewnie pod tą sukienką nic nie ma, i wtedy właśnie dziewczyna jednym ruchem ręki rozpięła suwak i lejący się materiał, podniesiony zgrabną nóżką, wylądował na twarzy Dżamałudina. Pod sukienką były jednak i majtki, i stanik, również srebrzyste.

Dziewczyna zeskoczyła ze stołu, rozrzuciła nogi w szpagacie, przeokoziółkowała, uniosła głowę i powiedziała, zwracając się do Dżamałudina:

– Mam na imię Nadia, a ty?

Dziewczyna w srebrzystej sukni tak naprawdę nie była prostytutką. Była studentką jednej ze stołecznych uczelni, która dorabiała sobie, tańcząc na rurze w klubie „Zmierzch Bogów”. Na Jałyk-tau wyruszyła z jednym ze swoich chłopców. Ale chłopak szybko poszedł w odstawkę, a jej uwagę przykuł chudy, ciemnooki mężczyzna, wiecznie otoczony zbrojną świtą, który często pojawiał się w sanatorium.

Mężczyzna traktował Nadię jak powietrze i dziewczynę strasznie to drażniło. Faceci nigdy nie traktowali jej jak powietrze, zawsze biegali za nią jak kot za

whiskasem.

Nadia już dawno planowała zainteresować sobą chudego mężczyznę i ostatecznie wybrała ten właśnie wieczór. Przebrała się w strój do występów, a barmanowi wcisnęła sto rubli i kasetę z muzyką do swojego numeru.

Zręcznie przeokoziółkowała po dywanie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Resztę zatańczę tylko dla ciebie.

Stojący metr od niej Dżamałudin lekko zmrużył ciemne oczy i dziewczyna ujrzała w nich dziwny ogień. Nadia często widziała ogień w oczach patrzących na nią mężczyzn, ale tym razem coś było nie tak. To nie było spojrzenie samca. To był wzrok zabójcy.

Uśmiechnęła się niepewnie i wyciągnęła dłoń po swoją suknię. Rozmyśliła się, już nie chciała się rozbierać na oczach tych wszystkich ludzi. Złapała brzeg srebrzystego materiału i pociągnęła, ale Dżamałudin nie miał zamiaru oddawać jej sukienki. Nadia szarpnęła mocniej i Awar złapał ją za nadgarstek. Dziewczyna krzyknęła, nie podejrzewała, że ten suchy mężczyzna może być aż tak silny.

– Puść! – zawołała. – Narobisz mi siniaków!

Dżamałudin puścił jej rękę i Nadia znów szarpnęła suknię. Awar pociągnął do siebie i delikatny materiał rozerwał się z trzaskiem na dwa srebrne pasy. Muzyka urwała się nagle, Nadia złapała połowę sukienki i obejrzała się wokół siebie.

Górale obstąpili ją ze wszystkich stron, patrząc na nią tak samo, jak ich przywódca. Wielu z nich miało na ramionach karabiny i Nadii po raz pierwszy przyszło do głowy, że gdy na ramieniu mężczyzny wisi automat, to może być nie tylko seksowne. To może być również bardzo niebezpieczne.

Dziewczyna zapragnęła nagle zasłonić się czymkolwiek, choćby połową przejrzystej sukni. Zrobiła jeszcze krok do tyłu i omal nie wpadła na młodego chłopaka, z brodą i w kamuflażu.

Dżamałudin uśmiechnął się jak pijany, wyjął zza pasa pistolet i strzelił w powietrze.

– Tańcz! – polecił dziewczynie.

Nadia krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Jakimś cudem udało jej się prześliznąć między dwoma czarnowłosymi drabami i z rozpędu wpadła na smagłego, brodatego

grubasa, który obserwował całą scenę z progu jadalni.

Nadia krzyknęła znowu, a brodacz złapał ją jak lalkę i pociągnął za sobą. Dziewczyna z całej siły kopnęła go w krocze, brodacz zaklął i puścił ją.

Nadia obejrzała się i zobaczyła, że z drzwi jadalni wysuwają się czarne gęby. Krzyknęła i pognała na pierwsze piętro. Przebiegła przez pustą salę bilardową i bibliotekę i zobaczyła otwarte drzwi do sali kinowej, z kluczem w zamku. Wpadła do sali, przekręciła klucz, a potem wbiegła na scenę i skoczyła gdzieś w dół, pod czarne fałdy kurtyny, na której wisiał biały ekran.

Tam dostrzegła szczelinę po wyrwanej desce, zbyt wąską, żeby mógł się przez nią przecisnąć dorosły mężczyzna, ale wystarczającą dla zgrabnej ślicznotki. Wśliznęła się w tę szczelinę i znalazła pod sceną, wśród skrzyń i kurzu.

Chwilę później drzwi od sali kinowej otworzyły się z hukiem i do środka wbiegło trzech mężczyzn. Jednym z nich był ten, w którym Nadia chciała wzburzyć krew. W ręce nadal trzymał pistolet, kilka razy wystrzelił w sufit, a potem wrzasnął:

– Gdzie jesteś, suko! Znajdę, to zabiję!

Nadia patrzyła na górali przed dziurę w sęku, półprzytomna, a potem jej oczy rozszerzyły się z przerażenia: za plecami mężczyzn, powoli, ze skrzypieniem, zamykały się otwarte drzwi, a w ich zamku, pod mosiężną klamką z lwimi łapkami tkwił mosiężny klucz. Nadia zapomniała go wyjąć – i jeśli teraz ktoś go zobaczy, od razu zrozumie, że ofiara ukrywa się w tej sali.

Mężczyzna jeszcze raz strzelił w sufit, potem znowu, aż w końcu jego towarzysz powiedział:

– Chodźmy, Dżamal, tej suczki tu nie ma.

Mężczyźni wyszli i Nadia odetchnęła z ulgą. Teraz dopiero zwróciła uwagę na skrzynki stojące obok niej. Długie, zielone skrzynie z wojskowym oznakowaniem, od których płynęła niepokojąca woń smaru do broni.

Nadia siedziała tak z piętnaście minut, słuchając tupotu nóg na kolejnych piętrach, a potem drzwi skrzypnęły cicho i zobaczyła na progu szczupłą sylwetkę swojego chłopaka Nikołaja.

Gwizdnęła cicho, zaskoczony Nikołaj klasnął w ręce, wbiegł na scenę i pomógł jej się wydostać. Szczelina była tak wąska, że Nadia nie mogła teraz zrozumieć, jak

udało jej się przez nią przecisnąć. Gdy Nikołaj wyciągnął ją spod sceny, nie przypominała już tamtej ślicznotki w srebrzystej sukni, tańczącej na stole między szklankami i półmiskami. Utyłana pajęczynami i smarem, miała połamane paznokcie, podrapane ręce, zapłakaną twarz.

Zostawiła srebrne buty pod sceną, bo i tak nie dało się w nich chodzić. W bosą piętę od razu wbiła się drzazga. Nikołaj otrzepał dziewczynę i pociągnął za sobą, ale gdy wyszli z za kulis ujrzeni, że nie są sami.

Przy schodkach prowadzących ze sceny, obok fortepianu, stał smagły grubawy mężczyzna w skórzanej kurtce i czarnej czapce, ten sam, którego Nadia kopnęła w krocze. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej kluczyki od samochodu. Nadia przypomniała sobie długie zielone skrzynie pod sceną i zrozumiała, że już po niej. Nie wypuszczą jej z tego hotelu. Najpierw ją zgwałcą, wszyscy razem, a potem zabiją.

Góral rzucił Nikołajowi klucze i swoją kurtkę, wskazał pistoletem drzwi i polecił:

- Zjeżdżajcie stąd, szybko.
- Dokąd?
- Na posterunek. Przenocujecie tam.

Nadia szlochała, Nikołaj trząsł się, gdy zakładał jej kurtkę.

– Ja tego tak nie zostawię – oznajmił. – Ja się poskarżę! Złożę skargę naczelnikowi milicji!

– Ja jestem naczelnikiem milicji – powiedział Szapi. – Jeśli chcecie przeżyć, to wynoście się stąd szybko, oboje.

Była już czwarta rano, gdy Dżamałudin i Argunow wyszli do samochodów. Dżamałudin trochę przetrzeźwiał. Na jego twarzy widniał pokaźny siniak – poszarpał się z Szapim, gdy się dowiedział, że dziewczyna odjechała. Gdyby Dżamałudin był trzeźwy, nie zarobiłby tego siniaka, ale był pijany i gdy Szapi wykręcił mu rękę, Awar uderzył twarzą o róg stołu.

Niebo nadal było czarne, ale ośnieżona krawędź wschodniego szczytu bielą w ciemności perłowym, przedświtowym blaskiem. Światła pasa startowego



zgaszono i baza utonęła we mgle, miejscami pokreślonej reflektorami z wież.

I nagle tam, gdzie dwie wieże przy bramie zlewały się w jedną dużą plamę, zapłonęły żółte rozbłyśki strzałów, a sześć sekund później rozległ się terkot karabinów. A na drugim końcu bazy, na początku pasa startowego, bezgłośnie wybuchła kula ognia.

Mężczyźni skoczyli do samochodów. W tamtej chwili żaden z nich nie wiedział, że to, co się właśnie dzieje, przełamie życie miasta na dwie połowy: PRZED szpitalem i PO nim. Mało tego, nie wiedzieli o tym nawet sami terroryści.

Oddział, który zaatakował bazę Besztoj-10, liczył osiemdziesięciu ludzi. Trzydziestu z nich należało do ugrupowania Wahy Arsajewa, bardziej znanego jako džamaat Ichwan as-Safa, czyli Bracia Czystości. Arsajew był znawcą Koranu i etnicznym Czeczenem, ale tak właściwie jego džamaat stanowił resztki oddziału Giełajewa, a cały jego islam reprezentował wyłącznie szkołę wojskowo-polową.

Arsajew pochodził z Awarii, jednak jego ludzie, wraz z innym komendantem, Wahą Hunkarowem, przyjechali trzema uralami z Czeczenii.

Takie kolumny bez przerwy pojawiały się w Besztoju-10. Federałowie przywozili kolumnami nagrabione „dobra”, a z Besztoju-10 te „dobra” transportowano drogą powietrzną do Moskwy. Terroryści liczyli, że wartownicy przy bramie wezmą urale za jedną z takich kolumn i nie będą sprawdzać – konwój rzadko miał dokumenty i denerwował się, gdy wartownicy zaglądali do środka.

W konwoju jechali zwykle starzy wyjadacze, którzy bez mrugnięcia okiem mogli rozstrzelać człowieka czy rozebrać go na kawałki, a wartownicy w bazie byli żółtodziobami, którzy robili wszystko, żeby wymigać się od walki. Jeszcze kilka lat temu zdarzało się, że jedni żołnierze z Besztoju-10 sprzedawali Czeczenom innych, żeby zdobyć pieniądze i zapłacić przełożonemu za niewysyłanie do Czeczenii.

Grupa Hunkarowa miała wjechać za bramę i tam otworzyć huraganowy ogień, wywołując wrażenie, że terroryści próbują zająć bazę. Jednym z zadań grupy było dotarcie do hangarów B-1 i B-2. Stało tam sześć samolotów Su, z których, jak dokładnie wiedzieli bojownicy, nigdy nie zdejmowano bomb.

Żeby wysadzić FAB-100, nie trzeba było żadnego dodatkowego materiału

wybuchowego, wystarczyło wyciągnąć dwie zawlecзки z zapalnika i dywersant miał dokładnie sześćdziesiąt sekund, żeby odbiec na bezpieczną odległość.

Jednak bojownicy nie planowali zajęcia bazy – grupa Hunkarowa miała ściągnąć na siebie Rosjan, żeby Arsajew i Ashab mogli uderzyć półtora kilometra na prawo, gdzie jedna z zapasowych dróg kołowania podchodziła do ogrodzenia: wystarczyło przejechać dwieście metrów tą drogą, żeby dotrzeć do baraków przesłuchań. W tym miejscu była zwykła siatka, co prawda znajdowało się przed nią pole minowe, ale poprzedniej nocy Ashab z dwoma bojownikami zrobili w nim przejście. Dwa potężne urale miały wpaść na drogę kołowania, zabrać jeńców z baraków i zniknąć w górach, nim Rosjanie poradzą sobie z pierwszą grupą.

Później po republice krążyły najróżniejsze pogłoski, jedna bardziej niewiarygodna od drugiej. Że terroryści planowali wywieźć jeńców samolotem, że jeden z pilotów za dwa miliony dolarów czekał na nich na pasie, w samolocie gotowym do startu. Że wśród bojowników był pilot, Czeczen, który miał porwać samolot szturmowy i zbombardować Kreml. Najbardziej popularna plotka, usilnie propagowana przez FSB, głosiła, że sprzedajny pilot w rzeczywistości był agentem służb specjalnych i zwabił Czeczenów w pułapkę, w krzyżowy ogień specnazu.

Oczywiście były to wymysły czystej wody. Nie czekał tam żaden pilot Czeczen, ani pilot zdrajca, samoloty spokojnie rdzewiały sobie w hangarach i nikt w bazie nie czekał na terrorystów. Wartownik na wieży niezmaczenie spał, wbrew regulaminowi i zgodnie z naturą.

Plan Arsajewa dałoby się spokojnie wykonać – gdyby nie Alfa, która poprzedniego dnia przyleciała do Besztoju, by sprawdzić miasto przed przyjazdem prezydenta. Wyruszając na Czerwone Zbocze, pułkownik Argunow kazał wystawić dodatkowe patrole.

I jeden z takich właśnie patroli zatrzymał kolumnę dwieście metrów od bramy. Dwóm majorom z Alfy wystarczył ułamek sekundy, by zrozumieć, że to, co mają przed sobą, to nie są ciężarówki z łupami. Ludzie Hunkarowa równie szybko zorientowali się, że przed nimi nie stoją żółtodzioby z bazy.

Sekundę później alfowcy zostali zastrzeleni, a ural płonął na środku drogi.

Cały plan wziął w łeb. Hunkarowowi nie udało się wjechać na teren bazy,

powitał go zaporowy ogień karabinowy. Druga grupa miała więcej szczęścia: staranowali ogrodzenie i dotarli do baraków, ale przekłęci alfowcy już rozsypali się po terenie i grupa utknęła w beznadziejnej walce. Trzej zdeterminowani zuchwalcy, z młodszym bratem Arsajewa na czele, nawet zbliżyli się do klatek z jeńcami, ale tam obrzucono ich granatami. Grupa straciła dwudziestu ludzi i nie wykonała zadania.

Wtedy Arsajew pojął, że dalsza walka nie ma sensu. Jego ludzie wskoczyli do ocalałego urala i popędzili z powrotem. Przodem jechały dwie niwy.

Na drodze wychodzącej z Besztoju-10 płonął ural, uniemożliwiając alfowcom wszczęcie pościgu, i bojownicy odjechali bez przeszkód.

Na rozwidleniu „Besztoj – Torbikała” Arsajew kazał skrócić do miasta. Wojskowa ciężarówka przemknęła po zaspanych porannych ulicach, otulonych w białą mgłę. Na skrzyżowaniu przed starym meczetem Ashab i Arsajew, jadący przodem białą niwą, zobaczyli kilka czarnych dżipów pędzących z dziką prędkością z naprzeciwka, ulicą Tumanowa. Niwa terrorystów skręciła w prawo, ural za nią, a z dżipów puszczono długą serię. Druga niwa, która jechała za uralem, wbiła się pierwszemu dżipowi prosto w maskę. Samochody sunęły potem ulicą jak dwaj szczepieni ze sobą zapaśnicy, po chwili wjechał w nie trzeci dżip.

– W prawo! – wrzasnął Ashab i niwa skręciła w prawo, w jakiś brudny zaułek, z obu stron zastawiony rozpadającymi się drewnianymi ogrodzeniami. Ural jechał za nią jak przyklejony.

– W lewo! – zawołał Ashab.

Niwa skręciła w lewo, a potem jeszcze raz w prawo i maską staranowała drewnianą, przegniłą bramę. Ciężarówka wpadła za nią.

Znaleźli się na skwerze z dwoma dwupiętrowymi budynkami po prawej i lewej stronie. Budynki, pomalowane tą samą szarą farbą, różniły się tylko tym, że ten po prawej nie miał żadnych drzwi, a w tym po lewej były drzwi pomalowane na białą, tuż przy cokole. Ashab wyskoczył z niwy i zwałił się na ziemię, oberwał jeszcze na skrzyżowaniu.

– Tutaj! – zawołał.

Dwie sekundy później bojownicy wyważyli białe drzwi i wpadli do środka – na

cuchnący karbolem korytarz. Arsajew kopnął szpitalny wózek. Hałas ściągnął lekarza w zielonym fartuchu – wyskoczył zaniepokojony na korytarz, powiedział „Och!” i zaczął się osuwać po ścianie.

Z ulicy dobiegło wycie silnika i bezładna strzelanina. Na korytarz wniesiono siostrzeńca Wahy, postrzelonego pół godziny temu. Dwóch bojowników usadziło go na wózku, Arsajew zgarnął z podłogi zielonego lekarza, rąbnął go w twarz i rzucił:

– Do operacyjnej! Ruchy!

Lekarz stał przywarty do ściany, mrugając oczami.

Arsajew pobiegł na piętro, jego bojownicy lecieli przez korytarz, wybijając okna, i strzelali w dół, próbując dosięgnąć kryjących się za ogrodzeniem ludzi.

Waha kopnął drzwi jakiejś sali i wpadł do środka. W pierwszej chwili nie dostrzegł nic dziwnego, zwykła szpitalna sala z białymi ścianami, drewnianą podłogą i nieznośnym zapachem chloru. W sali leżało sześć pacjentek. Obudziła je strzelania, jedna zapaliła światło i cztery rozbudzone kobiety gapiły się na zachlapanego krwią brodacza w kamuflażu.

O dziwo, żadna nie krzyknęła. Waha patrzył na nie w milczeniu i zaczęło do niego docierać, że coś w tej historii jest potwornie nie tak. Podeszedł do jednej ze śpiących kobiet i lufą karabinu podniósł wznoszącą się na jej brzuchu kołdrę.

Pod kołdrą była koszula, a pod nią sinawy brzuch, cały w żyłkach, tak wielki, jakby miał zaraz pęknąć.

Waha stał z otwartymi ustami i gapił się na kobietę. Nogi ugięły się pod nim z przerażenia. Dopiero teraz zrozumiał, jaki budynek zajęli.

I wtedy jedna z kobiet za jego plecami wrzasnęła przenikliwie po czeczeńsku.

Gdy Dżamałudin i Argunow podbiegli do skwerku, ural z terrorystami już był w środku. Hagen, wyciągnięty za kamienną podmurówką żeliwnego ogrodzenia, walił krótkimi seriami po oknach pierwszego piętra. Dżip, z którego wytoczył się Aryjczyk, zadarł koło nad drogą tak, jakby chciał się wysikać, i wyglądał jak sito.

– Przerwać ogień! – wrzasnął Argunow. – Tam są zakładnicy!

Kula podbiła w górę suche liście pod nogami Dżamałudina i Awar dał nura za ogrodzenie. Poczłogał się do przodu, przeturlał się przez ostrzeliwaną przestrzeń zwalonej bramy, boleśnie uderzył w uchwyt włazu kanalizacyjnego i skoczył

w lewo, tam, gdzie skręcające pod kątem ogrodzenie oddzielało jeden dwupiętrowy budynek od drugiego.

Argunow i jeszcze jeden alfowiec podążyli za nim.

Dżamałudin dotarł do miejsca, w którym żeliwna krata dochodziła do małego żółtego domku, oparł się o ścianę i powiedział:

– Ashab.

– Co?

– Ashab Hasanow. Omal nie rozwaliło mu kręgosłupa w Groznm. Jest dyrektorem finansowym szpitala.

Argunow spojrział na niego spode łba. Miał chęć zapytać, po jaką cholere w tej republice dyrektorem szpitala mianuje się bojownika, ale postanowił się nie narażać.

Dżamałudin z pół minuty siedział nieruchomo. Argunow kopniakiem wybił drzwi w żółtym domku, wsunął tam karabin i zawołał:

– Jest tam kto? Wychodzić!

Odpowiedzią była kompletna cisza. W nozdrza alfowca uderzył nieprzyjemny zapach. Pułkownik zapalił światło i zobaczył, że stoi na progu sutereny, kończącej się dużymi żelaznymi drzwiami. Podszedł do drzwi i szarpnął je na siebie.

Za drzwiami była lodówka – a w niej nagie martwe ciała. Zgodnie ze starym rosyjskim zwyczajem nie umieszczono ich w oddzielnych workach, leżały na sobie, jak zmarzniete kury na ladzie. „No, ładna wróżba” – przemknęło federalowi przez głowę, a potem szybko wyszedł na świeże powietrze. Przynajmniej teraz było jasne, że przebywających w żółtym domku nie trzeba ewakuować.

Dżamałudin nadal siedział oparty plecami o kostnicę. Alkohol już z niego wywietrzał, ale głowę miał ciężką i każda myśl poruszała się w niej jak gwóźdź w ranie. Drżały mu ręce. Wypił szklankę wódki – duża dawka dla chudego mężczyzny, który ostatni raz pił przed wojną abchaską. Dżamałudin miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje i powstrzymywał się siłą woli, nie chcąc robić z siebie pośmiewiska.

– Chodźmy – powiedział, gdy Argunow wyszedł z kostnicy.

– Dokąd? – nie zrozumiał pułkownik.

– Ja tam, przez okno. A ty będziesz mnie osłaniał.

Argunow poruszył ustami. W szalonym rozkazie Awara było sporo sensu. Im więcej czasu dadzą terrorystom na umocnienie się w budynku, tym cięższy będzie potem szturm. Jeśli wpadną do szpitala zaraz za bojownikami, ryzykują bardziej własną skórą niż życiem zakładników. Argunow był dzielnym człowiekiem i nie bał się śmierci, ale przerażała go myśl o tym, co z nim zrobią za nieprzemyślany szturm szpitala, bez planu i rozkazu.

– Zwariowałeś?! Tam jest co najmniej czterdziestu bojowników.

– A jak rozmieszczą materiały wybuchowe, będzie tam dwustu zakładników. Chodźmy. Ja rozkazuję.

– Nie jestem twoim szeregowym – odparł Argunow.

Z fasady zaterkotały strzały, Argunow zobaczył tam trzech chłopaków w swetrach i spodniach, biegnących wzdłuż ogrodzenia po ich stronie. Najwidoczniej miejscowi.

Ktoś puścił serię do urala, którym przyjechali terroryści. Zabrzęczały rozbite szyby kabiny, potem jedna z kul weszła w bak z benzyną i ciężarówka stanęła w ogniu.

– Dobrze – powiedział Dżamałudin. – To idź, wyprowadź ludzi ze szpitala. Szapi, zadzwoń w sprawie karettek.

Żeby znaleźć wejście do tego cholernego budynku, Argunow musiał kluczyć między drzewami. Na szczęście bojownicy już prawie nie strzelali. Pułkownik obszedł ścianę szczytową, wpadł na ganek i znalazł się na długim białym korytarzu, już od wejścia zastawionym wózkami i łózkami. Z sal wyglądały zaniepokojone twarze, Argunow zapamiętał jedną: osiemdziesięcioletniego starca z białą jak wata brodą i gładką czaszką. Pułkownik poczuł nagły chłód. Spojrzał na mosiężną tabliczkę przybitą przy wejściu i prędeż zrozumiał, niż przeczytał napis: „Szpital miejski nr 1”. „Jeśli to jest szpital miejski, to co zajęli bojownicy?” – przemknęło mu błyskawicą przez głowę.

I jakby w odpowiedzi na to pytanie, po drugiej stronie budynku rozbito szybę i ochryply męski głos wrzasnął głośno, nie wiadomo dlaczego po rosyjsku:

– Nie strzelać! Bo wysadzimy w cholerę wszystkie wasze baby i szczeniaki!

Argunow spojrział na zegarek. Od chwili zderzenia na skrzyżowaniu minęły cztery i pół minuty.

Półtorej godziny później Dżamałudin i Argunow leżeli na dachu czteropiętrowego bloku, graniczącego ze szpitalem położniczym od lewej strony.

Świtało. Słońce wysuwało się zza gór, wielkie i czerwone, jak kawał wołowiny. Delikatny szron na zakurzonej dachu topniał w oczach. Wszystkie przyległe ulice były wypełnione ludźmi i samochodami. Dżamałudin za radą Argunowa wysłał dziesięciu swoich chłopaków, żeby wytyczyli dwa korytarze: jeden, żeby samochody mogły podjechać, gdy zacznie się szturm, i drugi, by wyjechały.

Uzbrojeni ludzie otoczyli szpital położniczy potrójnym kręgiem, ale trudno było nazwać to kordonem. Tylko niewielką część stanowili żołnierze Alfy, pozostałymi byli miejscowi, jedni uzbrojeni w obrzyny, inni w karabiny Mosina. Bojownicy Dżamałudina wyróżniali się dobrą bronią i zdyscyplinowaniem.

Najbliższy samolot ze specnazem miał wylądować w Besztoju za godzinę, ale Argunow nie wątpił, że podczas jakiegokolwiek próby odsunięcia tłumu od szpitala ci ludzie zaczną strzelać do specnazu. I prośenie Dżamałudina o interwencję nie miało w tym wypadku najmniejszego sensu: tłum słuchał go nie bardziej niż pułkownika Alfę.

Starania, aby nawiązać kontakt z terrorystami, na razie spełzły na niczym. Godzinę temu Dżamałudin z białą szmatą w ręku wszedł ostrożnie przez bramę i ruszył dalej, jednak dwoma strzałami pod nogi uzmysłowiono mu, że nie jest tu mile widziany. Dzwonili do gabinetu dyrektora, ale nikt nie podnosił słuchawki, dzwonili na komórkę Hasanowa, ale była wyłączona. Pół godziny temu przyleciał Szapi i przyniósł numer, który miał być numerem komórki Wahy Arsajewa. Pułkownik Argunow był lekko wstrząśnięty taką operatywnością.

Dżamałudin wybrał numer i na ekranie od razu pojawiła się otwarta kłódka, zarząd FSB już przyłożył do eteru swoje wielkie ucho, wszystkie rozmowy w republice szły tego dnia bez kodowania. W słuchawce rozległ się sygnał, a potem sympatyczny kobiecy głos zaproponował, by zostawić abonentowi wiadomość. Czy rzeczywiście był to telefon Arsajewa, czy dajmy na to, salonu fryzjerskiego, tego

z głosu automatycznej sekretarki nie dało się wywnioskować.

Dżamałudin przez lornetkę obserwował snajpera, który siedział w odległości trzystu metrów w okienku strychu, i starał się o niczym nie myśleć. Był pewien, że tak duża grupa bojowników mogła się zebrać wyłącznie na terenie Czeczenii – a to znaczy, że gdyby nie rozpuścił ochotników, ci ludzie zwyczajnie nie dotarliby do szpitala.

To tylko federalny patrol można oszukać, udając kolumnę maruderów. Miejscowych tak się oszukać nie da. To federalne patrole stoją jedynie na dużych drogach, po których wożą ropę i spirytus. Miejscowi stoją wszędzie.

Dżamałudin zdawał sobie sprawę, że gdyby nie był pijany w chwili zamachu, nie pomyliłby fasady z tyłem budynku i wiedziałby, że terroryści zajęli szpital położniczy, a nie miejski. Co dałaby mu ta wiedza, nie miał pojęcia. Fakt pozostawał faktem: Allah przez tyle lat uczył Dżamałudina walczyć, żeby mógł bronić swego narodu, a tego dnia, w którym bóg wezwał go na egzamin, Dżamałudin był pijany jak kafir i zamiast pomóc swojemu narodowi, ganiał za dziewczyną bez spódnicy.

Awar żałował, że jej jednak nie dorwał: na pewno był to odmieniec, wysłany przez szajtana na pokuszenie.

Komórka leżąca obok karabinu zadzwoniła i zatłukła się w pyle. Wyświetlał się numer, który Dżamałudin wybrał dziesięć minut temu. Awar przyłożył telefon do ucha.

– Salam – rozległ się w telefonie miękki baryton, niemal bez czeczeńskiego akcentu. – Dzwoniłeś?

– Kim jesteś?

W słuchawce zapanowała cisza.

– Nazywali mnie Waha. Teraz mówią na mnie Rasuł.

– Tak, dzwoniłem – powiedział Awar. – Nazywam się Dżamałudin. A mówią na mnie Abchaz.

– Wejdz na podwórze – powiedział Waha. – Pogadamy. Tylko bez głupstw.

Komórka Wahy miała dobry mikrofon, Dżamałudin słyszał, jak w tle zanosi się płaczem niemowlę.



Było pięć po dziewiątej, gdy Dżamałudin Kemirow, bez broni, z telefonem w ręku, podszedł do budynku szpitala i został wpuszczony do środka.

Na korytarzu stał Waha Arsajew, za nim Ashab i Rudy Maga.

W środku Waha czuł się tak, jakby oblano go kwasem solnym, ale nie dawał tego po sobie poznać. Plan przejęcia bazy lotniczej padł, plan awaryjny również. Ten drugi polegał na tym, żeby zająć jakiś budynek publiczny (Ashab zaproponował szpital miejski) i zażądać stworzenia korytarza do Czeczenii dla jeńców z bazy w zamian za uwolnienie zakładników.

Ale w zamieszaniu zamiast do szpitala miejskiego wpadli do położniczego i Waha już wiedział, że ten plan również runął. Szpital otoczyli miejscowi. Ci z nich, którzy kogokolwiek słuchali, słuchali Dżamałudina Kemirowa, a Kemirow nie mógł wymienić kobiet ze szpitala na jeńców z rosyjskiej bazy. Arsajew wiedział jednak, że ma większe szanse dogadać się z Kemirowem niż z federalami i chciał się stąd wynieść jak najszybciej.

Poza tym w grę wchodziła jeszcze jedna sprawa. Besztoj był miastem wielonarodowościowym, mieszkali w nim Awarowie, Czeczeni, Kumycy, Grecy, ale jedną trzecią ludności nadal stanowili Rosjanie. To oznaczało, że gdyby Arsajew zajął szpital, to jedną trzecią pacjentów byłiby Rosjanie – większość rosyjskiej ludności miasta stanowili emeryci, którzy rzadko podróżowali i często chorowali.

Ale Arsajew zajął szpital położniczy. Muzułmańskie kobiety rodziły częściej, nie mówiąc już o tym, że młode Rosjanki wrywały się z Besztoju, gdy tylko mogły. W szpitalu było może pięć procent rosyjskich kobiet. Gdyby znajdowali się w Moskwie, Waha mógłby się jeszcze targować. Ale byli w Besztoju i nie było się czym targować. Można było tylko blefować.

– Chodźmy – powiedział.

Zeszli do piwnicy i Dżamałudin zobaczył cztery czerwone butle z gazem, ustawione w rzędzie pod ścianą. Do dwóch przy wentylu przyklepiono kawałki plastiku i bezpośrednio w plastik wetknięto detonatory elektryczne. Kable od nich zniknęły w otworze wentylacyjnym. Oba mechanizmy detonujące, najprawdopodobniej działające osobno, były uruchamiane za pomocą kabli. Chyba mogło je zdetonować dwóch różnych ludzi. Dżamałudin nie zauważył śladu

detonatorów radiowych.

Kiedy stał i patrzył obojętnie na butle z gazem, odezwał się Waha:

– To ściana nośna. Wystarczy ją wysadzić, a cała reszta runie sama.

Dżamałudin nie skomentował.

– Jeśli taka będzie wola Allaha, wszyscy tu umrzemy. Ale przysięgam na wszystko, co mi drogie, że nie chcieliśmy tego, co się stało. Nie chciałem walczyć z tobą, walczyłem z federalami. Pomóż nam wydostać się stąd, a włos nie spadnie z głowy zakładników.

– Dobrze – powiedział Dżamałudin. – Oto moje warunki. Wypuścisz wszystkie kobiety i dzieci. Zrobisz to od razu, natychmiast. Gdy kobiety i dzieci odjadą, podstawię autobusy i wsiądziemy do nich wszyscy razem, twoi ludzie i moi ludzie. Ja i moi ludzie będziemy bez broni. Dojedziemy do granicy z Czeczenią i tam ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją.

Arsajew milczał przez kilka sekund. Rozumiał, że decydować trzeba szybko, w przeciwnym razie za wszystkich zdecydują federalowie. Poza tym nie miał zamiaru brać na zakładników dzieci urodzonych trzy godziny temu i kobiet w połogu. Gdyby były niewiernymi, to jeszcze jak cię mogę, ale większość stanowiły prawowierne muzułmanki i Arsajew nie był pewien, czy Allah pochwaliłby jego czyn.

– Dobrze – powiedział – ale wypuszczę kobiety i dzieci dopiero wtedy, gdy zobaczę autobusy. Najpierw autobusy zajadą na podwórko, potem sprawdzą je moi bojownicy, potem wsiądą do nich twoi ludzie i dopiero wtedy wypuszczę kobiety i dzieci, i pojedziemy.

– Ile jest teraz noworodków w szpitalu? – spytał Dżamałudin.

– Sześćdziesiąt osiem. I nie oddam ani jednego, dopóki nie zobaczę autobusów.

– Wszystko będzie gotowe za dwie godziny.

Przy wyjściu ze skweru na Dżamałudina czekali Hagen, Szapi i pułkownik Argunow. Weszli do ewakuowanego budynku szpitala miejskiego, Dżamałudin rozłożył na parapecie mapę rejonu i powiedział:

– Do wejścia podjadą dwa ikarusy. Waha je sprawdzi, potem ja tam wsiądę, ze

mną jeszcze dwudziestu ludzi. Potem Waha wypuści kobiety i dzieci, a my pojedziemy z nim do Czeczenii.

– Jadę z tobą – zgłosił się Hagen.

– Nie – odparł Dżamałudin. – Ty odjedziesz teraz i będziesz na nas czekać tutaj, przed Mesken-Jurtem, za tą samą skałą, pod którą w zeszłym roku rozbił się Islam. Gdy autobusy zrównają się ze skałą, rozwalisz je.

Nawet Argunow był wstrząśnięty.

– Ale...

Dżamałudin odwrócił się do niego i pułkownik zobaczył, że Awar z najwyższym trudem powstrzymuje wściekłość.

– Żadnych „ale” – uciął. – Kogo oni wzięli na zakładników? Nasze kobiety i dzieci. Jeśli choć jeden z nich zostanie przy życiu, żaden z nas nie będzie mógł się uważać za mężczyznę. Jeśli taka będzie wola Allaha, część z tych, którzy pojedą z Wahą, ocaleje.

Argunow miał duże wątpliwości, czy Allah zdoła podzielić pasażerów autobusu, w który wsadzą „trzmiela”. Pojechał z Hagenem kwadrans później, wzięli ze sobą pięciu najlepszych ludzi Dżamałudina i piętnastu wyborowych bojowników Alfę.

Gdy Dżamałudin opuścił szpital, Waha Arsajew znowu zszedł do piwnicy. Starannie obejrzał detonatory i już ruszył do drzwi, ale zawrócił i znowu zaczął się przyglądać butlom.

Rozmowa z Dżamałudinem wytrąciła go z równowagi. Awar nie mógł w żaden sposób przeszkodzić Arsajewowi, ale Waha coraz mocniej czuł dziki, irracjonalny strach przed tym, w co się wpakował. I ten strach domagał się od niego jakichś działań. Waha już żałował, że pokazał Awarowi sposób zaminowania budynku.

Wreszcie wezwał do siebie dwóch pozostałych specjalistów: Rustama i Isę.

– Zanieś tę butlę do sali i zaminuj ją oddzielnie – polecił Isie, wskazując palcem sufit.

Rozkaz był pozbawiony logiki, ale nikt nie odważył się protestować. Waha popełnił tego dnia wiele błędów – jak się w efekcie okazało, ten był fatalny w skutkach.

Dwadzieścia minut później Waha zadzwonił znowu.

– Co z autobusami? – zapytał.

– Będą za półtorej godziny.

Autobusy mogły podjechać wcześniej, ale Dżamałudin chciał dać Alfie czas na przygotowania.

– Dobrze. W całym budynku nie ma ani kawałka chleba, baby drą się jak poparzone. Przynieście nam jedzenie.

Czeczen mówił prawdę: szpital położniczy i szpital miejski miały wspólną kuchnię, znajdującą się w miejskim.

– Chcę na wymianę dziesięcioro dzieci – odparł Dżamałudin.

Arsajewa zatkało.

– Posłuchaj, i tak robię ci przysługę! Jeszcze miałbym dawać ci dzieci za żarcie? To przecież nie moje dzieci, tylko twoje!

– Każde dziecko jest dzieckiem Allaha – odparł na to Dżamałudin. – Nie wiem jak twój, ale mój dziad zawsze wstawał, gdy do pokoju wchodziło dziecko. A on dwadzieścia lat spędził w obozach i zarznął tam dwudziestu siedmiu ludzi. Jeśli choć włos spadnie z głowy tych dzieci, sprawdzisz osobiście, do kogo należą.

Waha nie miał wyjścia. Zresztą wiedział, że racja leży po stronie Dżamałudina.

– Dobra, oddam ci dziesięcioro dzieci.

Dziesięć minut później Dżamałudin podszedł ścieżką do szpitala. Za nim postępowało dwóch chłopaków, każdy niósł po dwa worki z jedzeniem. Dżamałudin również niósł worek. Wszedł ze swoim workiem do środka i postawił go przed Wahą Arsajewem.

Worek zabrano i na znak Arsajewa Dżamałudinowi oddano dwa niemowlaki. Awar wyszedł na ganek i oddał je chłopakowi, a sam wziął kolejny worek. Chłopak pobiegł z dziećmi do bramy, skąd zabrała je podjeżdżająca karetka, i wrócił do szpitala.

Tymczasem Dżamałudin oddał drugi worek i dostał w zamian kolejne dwa noworodki. Znowy wyniósł je za drzwi i oddał drugiemu chłopakowi, ten również

pobiegł do bramy.

W ten sposób Dżamałudin przeniósł cztery worki, dostając w zamian osiem niemowlaków. Gdy przyniósł piąty, zobaczył, że Waha stoi na korytarzu z rękami złożonymi na piersi i się uśmiecha.

– Na co czekasz? – zapytał Kemirowa. – Idź i wróć z autobusami.

– Jeszcze dwoje.

– A nie wystarczy ci?

– Bez nich nie odejdę.

Arsajew odwrócił się i poszedł korytarzem. Wrócił trzy minuty później z dwoma piszczącymi zawiniątkami. Niósł dzieci po jednym w każdej ręce, a ponieważ nie da się trzymać w ręku jednocześnie i dzieci, i karabinu, jego kałach wisiał na ramieniu.

Szedł w stronę Dżamałudina szpitalnym korytarzem, tak starym, że przez zrudziałe linoleum widać było przegnite drewno, a Dżamałudin czekał na niego, oparty o futrynę szklanych drzwi, prowadzących z krytego ganku na korytarz.

Gdy dzieliło ich dziesięć metrów, Dżamałudin oderwał się od drzwi i ruszył w stronę Wahy.

W kolejnej sekundzie nastąpił wybuch.

W szpitalu były dwa skrzydła: jedno stare, zbudowane w tym samym czasie co szpital miejski, z trwałego budulca, i drugie – nowe, z wielkiej płyty. Skrzydła łączyły się przy wejściu, obok którego stał Dżamałudin. Arsajew z niemowlakami szedł nowym skrzydłem, a dwóch bojowników, Ali i Rusłan, siedziało z karabinami przy stoliku rejestracji, znajdującym się w starym skrzydle.

Wybuch rąbnął pod nowym skrzydłem. W oknach parteru przemknął pomarańczowy rozbłysk i chwilę później szyby wyleciały na zewnątrz razem z ramami oraz kawałkami ludzkiego mięsa. Budynek zaczął się składać i Dżamałudin widział, jak za plecami Arsajewa fala wybuchu rozrywa ściany jak tapety.

Wahę rzuciło do przodu, Dżamałudina wymiotło wraz z odłamkami szklanych drzwi i cisnęło plecami na potężny zbiornik do gotowania wody, stojący przy wejściu.

Jeszcze upadając, wyciągnął pistolet zza pasa i strzelił do Wahy. Fala wybuchu

poderwała ich obu i Dżamałudin, nie dolatując do ziemi, zobaczył, jak cios powietrznej pięści odwraca Wahę i jak małe krzyczące zawiniątko, trzymane w prawej ręce, pojawia się na torze lotu pocisku. Dziewięciomilimetrowa kula z makarowa trafiła dziecko prosto w czoło, rozbryzgując krew i kawałki miękkich kości, przebiła głowę na wylot i weszła w ramię Wahy.

Topór drugiego wybuchu wbił w ziemię nowe skrzydło i zrzucił na głowę Dżamałudina ciężką tabliczkę z napisem: „Najlepszy szpital położniczy republiki”, a na dokładkę – zbutwiałe belki ganku.

Kemirow nie zapamiętał nic z tego, co działo się przez następne pół godziny.

Jego ludzie opowiadali mu, że wydostał się spod belek kilka minut po wybuchu i ruszył do szturmowania ze swoimi bojownikami i Alfą. Wpadli do starego skrzydła, gdzie już zaczynał się pożar, ale jeszcze byli żywi, i część jego ludzi zaczęła wyciągać zakładników, a sam Dżamałudin pobiegł dalej, do ocalałych pomieszczeń.

W jednej z sal, do której wpadli, runął sufit i łóżka, które stały na pierwszym piętrze, spadły na te, stojące na parterze. W kącie sali bojownik Wahy przebierał się w fartuch lekarski – widać liczył, że uda mu się wyśliznąć z budynku w ogólnym zamieszaniu. Lekarz leżał obok, z kulą w głowie. Dżamałudin i jego ludzie zastrzelili bojownika, zanim ten zdążył chwycić za broń.

Gdy przebiegali obok gabinetu dyrektora, ktoś zahaczył o rozciągniętą linkę i tylko cudem odłamki granatu nie trafiły Dżamałudina. Potem była krótka, zaciekle walczyła przy schodach frontowych. Gdy się skończyła, ściana poryta była dziurami od kul, a przez poręcz przewieszały się dwa trupy. Jednym z nich był cioteczny wujek Dżamałudina.

Do gabinetu ordynatora wrzucili dwa granaty, jeden po drugim, a potem przeszli szafy i wielką lodówkę seriami z automatu. W szafach nie było nic, a z lodówki, razem z krwią dawców, wypadł bojownik. Krwi było tyle, że Dżamałudinowi nasiąkły spodnie.

Wpadli do sali operacyjnej i zobaczyli tam lekarza, który stał nad rozciętym brzuchem rodzącej kobiety oraz Czeczena w kamuflażu, trzymającego w rękach dziecko, zachłystujące się pierwszym krzykiem. Czeczen podniósł wzrok na Dżamałudina i bardzo spokojnie, nie spiesząc się, przeciął noworodkowi pępowinę

lśniącym nożem chirurgicznym. Potem podał dziecko Dżamałudinowi i powiedział:

– Weź.

Dziecko wziął Taszow, a Dżamałudin przystawił lufę do głowy bojownika i nacisnął spust. Strzał cisnął bojownika na ścianę. Dżamałudin podszedł do stołu operacyjnego i zobaczył, że chirurgowi drżą ręce.

– Czego się trzęsiesz? Zasztywaj – powiedział Dżamałudin.

Wszystko to śniło mu się potem wiele razy, ale na jawie tego nie pamiętał. Zapamiętał tylko to, co działo się po upływie pół godziny.

Wyszedł z budynku, cały w cudzej krwi, z powodu niezrozumiałego kaprysu losu nawet niedrażnięty. Kamuflaż został przebity w dwóch miejscach, ale Awar nie miał ani zadrapania, nie miał nawet urazu po wybuchach, które zawaliły mu dach na głowę. Bolał go tylko nadgarstek lewej ręki – gdy spojrział na zegarek, spostrzegł, że pośrodku roztrzaskanego cyferblatu tkwi kula, a na skórze maluje się wielki siniak.

Dżamałudin wyszedł na ganek i zobaczył, że część korytarza ocalała. Ściana z płyty wystawała z fundamentów jak zjedzony przez próchnicę ząb, podłoga z przegniłych desek, przykrytych zrudziałym linoleum, zapadła się. Dżamałudin zeskoczył z fundamentu na ziemię i zobaczył leżące tam ciało. Trącił je nogą i upewnił się, że to nie Arsajew. Skąd ono się tu wzięło? Może bojownik wybiegł z ocalałego skrzydła? Tak czy inaczej, wybrał złą drogę ucieczki.

Dżamałudin odciągnął trupa na bok i zobaczył pod nim czerwone zawiniątko. Dziecko w zasadzie nie miało głowy, strzał z makarowa z bliskiej odległości oderwał połowę czaszki. Drugiego niemowlęcia nie było. Dżamałudinowi później powiedziano, że wyniósł je jeden z bojowników. Niemowlę strasznie krzyczało, co właściwie uratowało mu życie. Zapadło się razem z podłogą i wyszło z tego ze zwichniętym paluszkiem.

Dżamałudin usiadł na ziemi, podniósł zawiniątko z martwym dzieckiem i przycisnął je do piersi. W budynku jeszcze terkotały strzały, saperzy przeczesywali odległe korytarze w poszukiwaniu rozciągniętych linek min, wozy straży pożarnej polewały dymiące ruiny białą pianą.

Wtedy do miasta wrócili Hagen i Argunow. Właściwie nie było już do kogo strzelać i Hagen, widząc Dżamałudina, podszedł do niego po rozkazy. W ogólnym

chaosie nie było dokładnie wiadomo, co Awar robi. Dopiero gdy Hagen znalazł się bardzo blisko, zobaczył, że Kemirow zmienia niemowlęciu pieluszkę.

Dżamałudin chyba nigdy wcześniej nie przewijał dziecka, a teraz był to wyjątkowo upiorny widok: wysmarowany krwią i sadzą człowiek, przewijający dziewczynkę z odstrzeloną głową.

Zaura Kemirowa nie było w mieście w chwili zamachu. Przyleciał pierwszym samolotem i wylądował w bazie wojskowej dwanaście minut po katastrofie. Schodząc do lądowania, samolot robił glisadę nad szpitalem położniczym.

Zaur długo nie mógł sobie znaleźć miejsca, jednak biznes to biznes, więc dwa miesiące po zamachu zadzwonił do Kremla, do zastępcy szefa administracji i ostrożnie zapytał o przyjazd prezydenta i całą resztę.

– Zaurze Ahmedowiczu... – powiedział ciepły baryton w słuchawce. – Sam pan rozumie, w republice odebrano by to jak policzek, gdyby w mieście, które przeżyło taką tragedię, prezydent Rosji urządził sobie kurort.

Zaur odezwał się po chwili milczenia.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności, Iwanie Witaljewiczu. Ahmednabi Aślanow gotów był zrobić wszystko, żeby udaremnić nasz projekt i projekt padł.

– Zaurze Ahmedowiczu, niech pan szuka! Jeśli znajdzie pan dowody, ja osobiście obiecuję panu, że Moskwa się tym zajmie! Co tam odwołamy – ukrzyżujemy! Jednak fakt pozostaje faktem... Wyobraża pan sobie, co powiedziałyby Federalna Służba Ochrony? O jakim bezpieczeństwie pierwszej głowy państwa w waszym rejonie może być mowa?

Jak się później dowiedział Zaur Kemirow, prezydent Rosji jeździł na nartach dwa dni po zamachu terrorystycznym. Wybrał Czerwoną Polanę pod Soczi. Miesiąc po jego wizycie kancelaria prezydenta zatwierdziła projekt rozwoju Czerwonej Polany – na miliard dolarów.

Biznes wahabitów w Besztoju zmieciono w pył. Kilka prywatnych domów spalono wraz z mieszkańcami.

Dżamałudin znów zebrał swoich bojowników. I nikt nie ośmielił się protestować.



## ROZDZIAŁ 9

*W którym mowa jest o tym, jak Saparczi Tielajew dogadał się w sprawie mianowania go prezydentem republiki, i o tym, jak minister finansów i szef funduszu emerytalnego uzgodnili to samo. I w którym wreszcie dowiadujemy się, dlaczego dwunastoletni Szapi z wysokogórskiej wioski został oficerem KGB ZSRR.*

**Z**ycie to życie, ale śmierć to już zupełnie inna sprawa. Na stypę po śmierci Adama Tielajewa do Saparczego przybyli wszyscy ministrowie i wszyscy bandyci, a nawet wszyscy właściciele tych telefonów, które Adam niegdyś skonfiskował. Przyjechali Kemirowowie, a z nimi Kirył Wodrow, przyjechał Szapi Czarachow, a wieczorem do luksusowej willi Saparczego, zbudowanej nad brzegiem morza pięć kilometrów od Torbikały, zajechał szef komitetu nadzwyczajnego i zastępca prokuratora generalnego Fiodor Komissarow.

Fiodor Aleksandrowicz często zaglądał do Saparczego od czasu, gdy poszedł mu na rękę w sprawie zamachu, i chociaż był bardzo bogatym człowiekiem i przyjacielem prezydenta Rosji, nigdy nie tracił okazji, żeby najeść się za darmo w restauracji Saparczego, i nie odrzucił przysłanego mu w prezencie porsche cayenne.

Fiodor Komissarow najpierw pokręcił się w tłumie, a potem usiadł z Saparczim w altance i wyraził swoje oburzenie, że Gamzat Aślanow do tej pory nie przybył z kondolencjami. Saparczemu też się to nie podobało, a jeszcze mniej podobały mu się plotki, że Gamzat jeździł do Moskwy, gdzie dogadał się w sprawie prezydentury. I teraz ostrożnie o te plotki spytał.

– A kto tak mówi? – zapytał niezadowolony Komissarow.

– Sam Gamzat o tym opowiada. Wszędzie się chwali, jak to pojechał do Moskwy i tam się dogadał za dwieście milionów dolarów.

Komissarow aż klasnął w dłonie.

– Wierutne kłamstwo! – zawołał. – Rzeczywiście przyleciał do Moskwy, ale na pytanie, jak jest realizowany federalny program „Przemysł Kaukazu”, pokazał zdjęcia zakładów Kemirowa. Czy on ma nas za idiotów?

– To kto zostanie prezydentem?

Komissarow odpowiedział z uśmiechem:

– Potrzebujemy silnego człowieka, który nienawidzi wahabitów. Ja poleciłem pana, a mój zastępca Kirył Wodrow polecił Zaura Kemirowa. I właśnie Zaur zostanie prezydentem.

– Czyżby o takich sprawach decydował pana zastępca?

– O takich sprawach decyduje Iwan Witaljewicz – wyjaśnił Komissarow.

– A ojciec Kiryła jest szkolnym kolegą Iwana. Iwan ufa Kiryłowi we wszystkim, powierzył mu śledztwo w sprawie zabójstwa Adama, a Wodrow zameldował, że zabił go wujek, żeby kwestia Adama nie skłóciła go z całą republiką.

– Chyba może pan zadzwonić na Kreml i powiedzieć prezydentowi, jak było naprawdę!

– A co ja mogę powiedzieć, jeśli śledztwo prowadzi Wodrow? – zdumiał się Komissarow, a potem dodał z uśmiechem: – Podobno za tę wersję Wodrow już dostał od Kemirowów dziesięć milionów, a jeszcze obiecali mu Awartransfłot.

Minęły trzy dni i Saparczi zaprosił szefa komitetu nadzwyczajnego do ośrodka wypoczynkowego Awartransfłotu.

Wypoczynek udał się wyśmienicie. Gdy Fiodor Komissarow obudził się koło południa i wszedł w szlafroku do salonu, obok srebrnego ekspresu do kawy zobaczył kasetę VHS.

– Co to ma być? – zapytał.

– Zeznania łajdaka, który brał udział w zabójstwie szef centrum „T” – odparł Saparczi.

– I kto jest zleceniodawcą? Terrorysty?

Tiełajew westchnął.

– Skomplikowana sprawa... Zabójstwo zlecili terroryści, a ich zamysł był iście diabelski. Zleceniodawcą zabójstwa jest szef milicji Besztoju Szapi Czarachow, jego syn Hadżimurat osobiście dowodził tą akcją. Ale najbardziej niepokojące jest to, że nie chodzi tu porachunki o osobiste. Po śmierci Adama Szapi liczył, że zostanie szefem antyterrorystycznego centrum republiki. Wie pan, co mówił wykonawcom? „Teraz Awaria będzie nasza!”. I wcale nie chodziło mu o pieniądze czy stanowiska!

Szapi Czarachow to wahabita ideologiczny! Jego ludzie ochraniają terrorystów! Żaden terrorysta nie został aresztowany na terenie rejonu besztojskiego i wahabici odpłacają Szapiemu tym samym: nie przeprowadzili tam ani jednego zamachu!

Moskiewski urzędnik uśmiechnął się chłodno.

– Szapi to człowiek Kemirowów.

– Otóż to! A kim są Kemirowowie? Jawni separatyści! Ludzie, którzy otwarcie zbroją i szkolą całą bandę, żeby obalić legalny ustrój w republice! Dlatego właśnie chcieli mianować Szapiego szefem centrum!

Po śniadaniu moskiewski urzędnik obejrzał taśmę i rzeczywiście, zobaczył na niej młodego człowieka opowiadającego o swoim udziale w zabójstwie Adama Tiełajewa. Twierdził, że instrukcje dostał od Szapiego Czarachowa, który powoływał się na Dżamałudina Kemirowa i obiecywał, że uśmiercenie tego sługusa kafirów, psa Adama, będzie pierwszym krokiem na drodze do wprowadzenia kaukaskiego kalifatu na terytorium republiki. Potem młody człowiek oznajmił, że boi się zlikwidowania przez swoich wspólników i że nie podziela ich antyrosyjskich nastrojów, i prosił, żeby uznać tę kasetę za oświadczenie dla organów ścigania, w razie gdyby nagle zniknął albo zginął.

– No i co to za człowiek? – spytał Komissarow.

– Andi Szadojew. Zginął trzy dni temu. Taśmę przysłano mi listem poleconym wczoraj. Rzecz jasna, nie mogłem zlekceważyć...

– Przecież to lipa – burknął Komissarow.

Tiełajew osłupiał.

– Jak to „lipa”? – zaprotestował z godnością. – Zaszczuty człowiek ze strachu o swoje życie demaskuje...

Twarz Komissarowa nabrała niemal zwierzęcego wyrazu. Nachylił się do swojego rozmówcy tak bardzo, że omal nie przewrócił jego wózka inwalidzkiego, i cicho, groźnie powiedział:

– Demaskuje kandydata na prezydenta republiki? Na podstawie zeznań, których nie sposób sprawdzić, złożonych przez człowieka o nieznanym tożsamości, który oddalił się w nieznanym kierunku? Za kogo ty nas masz?

– Klnę się na Allaha, że mojego siostrzeńca zabili Szapi i Hadżimurat! Ja tego

tak nie zostawię!

– Potrzebuję bardziej ważkich dowodów.

– No to przecież tutaj!... – zawołał Saparci i podsunął Komissarowowi niewielką walizeczkę.

Komissarow uchylił wieko i zobaczył w środku tęczowe pięćsetki ze znakiem euro. Na oczach Saparczego wziął komórkę i wybrał numer.

– Halo? Tu Fiedia. Właśnie otrzymałem wstrząsającą informację o prawdziwych zleceniodawcach i motywach zabójstwa szefa centrum „T” w Republice Awarii Północnej –Dargo.

Dwa dni później Szapi Czarachow pojechał do Torbikały na naradę. Zameldował ministrowi spraw wewnętrznych o przygotowaniach do wizyty pierwszego wicepremiera i zjadł obiad z Arzem. W czasie obiadu klął na omonowców, którzy dosłownie zalali miasto – było ich ponad pięciuset i na za dużo sobie pozwalali.

Pożegnali się koło czternastej i Szapi pojechał do Besztoju. Sam prowadził srebrnego land cruisera. Oprócz niego w samochodzie był jego syn Hadżimurat i siostrzeniec Wali.

Land cruiser Szapiego nie był opancerzony – Czarachow był człowiekiem odważnym. Ciągłe mówił, że gliny go nie ruszą, bo jest czerwony, a bandyci dadzą mu spokój, bo jest czerwonym z autorytetem. A z pozostałymi jak z gołębiami: krzywdy nie zrobią, co najwyżej nasrają. Wszystko to brzmiało bardzo logicznie, ale myśleć w ten sposób mógł tylko dzielny człowiek, bo dzielny zawsze znajdzie powody dla swej odwagi, a tchórz – dla tchórzostwa.

Arzowi nie podobała się ta beztroska i chciał wysłać z Czarachowem swoich ludzi. „Jeszcze czego – odparł na to Szapi. – Na twoich ludzi polują bardziej niż na mnie”. Mimo wszystko bojownicy Arza jechali za Szapim do Tunelu Kurszyńskiego, dopiero tam zawrócili.

Na obrzeżach Besztoju, przy rozjeździe do miasta i bazy lotniczej, był przystanek autobusowy, na którym zawsze stało sporo ludzi. Zbliżając się do przystanku, Szapi wyhamował, zobaczył tam dwóch znajomych.

W tym momencie wyminął go czarny nissan bez tablic i zatrzymał się na

poboczu. Z dżipa twardym krokiem wyszło czterech ze stieczkinami i zaczęło strzelać do samochodu Szapiego. Pierwszy strzał zabił Walego, siedzącego na tylnym siedzeniu. Drugi trafił Szapiego w ramię, Czarachow zawrócił i ruszył w poprzek drogi, przewrócił barierkę i wjechał na potężny, łagodny głaz, przypominający gomułkę sera. Za głazem zaczynał się wąwóz. Land cruiser zakołysał się na głazie, a potem runął, ale nie do wąwozu, lecz na drogę. Uderzył dachem o asfalt, a następnie przewrócił się na bok i tak już został.

Mężczyźni z dżipa podbiegli do cruisera, ale obok leżącego na boku samochodu od razu zebrał się tłum z przystanku. Widząc to, napastnicy wskoczyli do nissana i odjechali.

Ludzie, którzy przybiegli z przystanku, najpierw zobaczyli syna Szapiego, Hadżimurata. Siedział z przodu, nie był przypięty i gdy cruiser uderzył o głaz, chłopaka rzuciło do przodu z taką siłą, że głową wybił szybę i do połowy wypadł z samochodu. Wybito resztki szyby i wyciągnięto go na drogę. Na skrzyżowanie podjechał właśnie jakiś moskwicz, kierowca pomógł ułożyć Hadżimurata na tylnym siedzeniu.

Następnie zaczęto wyciągać Walego, ale jeden ze starców zauważył dziurkę na jego czole i krzyknął, że z nim nie ma pośpiechu. Najtrudniej było wydobyć Szapiego: wóz leżał na lewym boku i Szapi miał rękę przyciśniętą do asfaltu bokiem karoserii. Widocznie był przytomny, gdy dżip spadał z głazu, i próbował wyskoczyć z samochodu.

Wspólnym wysiłkiem rozbujano wóz, podniesiono go i postawiono na kołach. Szapi siedział z zamkniętymi oczami, odchylony na oparcie fotela, wciśnięty między siedzenie i przesuniętą kolumnę kierownicy.

I wtedy znów pojawił się nissan. Ludzie byli tak zajęci uwalnianiem Szapiego, że nie zauważono, skąd nadjechał. Później niektórzy mówili nawet, że dżipy były dwa: ten pierwszy pojechał w stronę Besztoju, a drugi przeciwnie, nadjechał od tunelu. Tak czy inaczej, drugi również był czarnym nissanem bez tablic i z niego też wyskoczyło czterech ludzi, tylko ci nie mieli stieczkinów, lecz karabiny. Zaczęli strzelać w powietrze, tłum się rozbiegł, a kierowca moskwicza, w którym leżał nieprzytomny Hadżimurat, z całej siły wdepnął gaz.

Karabinierzy z nissana podbiegli do dżipa, strzałami rozwalili kolumnę kierownicy, wyciągnęli Szapiego jak rzepkę z grządki, wrzucili do swojego wozu i odjechali.

Walego zostawili na asfalcie. Oni też byli ludźmi bystrymi i spostrzegli dziurkę na jego czole.

Dżamałudin dowiedział się o aresztowaniu Szapiego – jeśli tę historię można w ogóle nazwać aresztowaniem – siedem minut po całym wydarzeniu. Wziął swoich ludzi i podjechał do nieszczęsnego przystanku. W połowie drogi zadzwonił do niego Arzo Hadżijew.

– To nie ja – oznajmił.

– Mam tylko nadzieję, że nie kłamiesz – rzucił Dżamałudin.

To był prawdziwy skandal: w końcu porwano nie kogoś tam, tylko szefa milicji drugiego co do wielkości miasta republiki! Prokuratura nabrała wody w usta. W mieście, pełnym wojska, huczało jak w ulu, ale Szapiego nie przywieziono ani do aresztu w Torbikale, ani do żadnego innego.

Po republice rozeszły się najbardziej niesamowite plotki. Opowiadano, że Szapiego porwali bojownicy. Że zrobił to Arzo Hadżijew. Że to sprawka Dżamałudina Kemirowa, który pokłócił się z szefem milicji.

Trzeciego dnia wszystko się wyjaśniło: któryś ze śledczych Komissarowa wygadał się, że Szapiego trzymają w bazie lotniczej w Besztoju.

Mer miasta Zaur Kemirow dowiedział się o tym jako jeden z pierwszych, o jedenastej rano. Zastanawiał się przez kilka minut, a potem nacisnął przycisk interkomu i sucho oznajmił, że potrzebny mu samochód do Torbikały. Gdy dziesięć minut później wsiadał do opancerzonego merca, na podwórko wjechały wozy Dżamałudina.

– Jadę z tobą – oznajmił Dżamal.

Zaur pokręcił głową:

– Jeśli nie chcesz, żeby Szapiego zabili, zostaniesz tutaj. Posłuchaj mnie chociaż raz.

Szapi Czarachow, szef besztojskiej milicji, miał rangę pułkownika KGB w rezerwie.

Urodził się w bogatej wysokogórskiej wsi Ahmedkała. Jej mieszkańcy w pierwszej chwili nie uwierzyli, że Szapi wstąpił do KGB, bo pochodził z bardzo religijnej rodziny. Nawet wedle miar Ahmedkały, gdzie ludzie modlili się prawie bez przerwy i gdzie przewodniczący kołchozu w piątki jeździł do meczetu służbową wołgą, Bagaudin Czarachow, dziadek Szapiego, uważany był za wyjątkowo religijnego człowieka.

Bagaudin miał ośmiu synów i wielu wnuków, i wszystkich ich wychował w czci wobec Allaha, szczególne nadzieje pokładając w małym Szapim. Zaczął go uczyć, gdy ten skończył sześć lat. W dwunastym roku życia Szapi znał Koran na pamięć i mówił po arabsku tak czysto, że gdy później przyjechał do Kairu, profesorowie kairskiego uniwersytetu teologicznego przychodzili specjalnie, żeby posłuchać jego wymowy.

Gdy Szapi miał trzynaście lat, Bagaudin pojechał z nim w swoich sprawach do Szamchalska. Droga biegła wzdłuż głębokiego wąwozu, na którego dnie płynęła Kara-Angu, a za wsią Narkient po zaporze przechodziła na drugi brzeg. W tym miejscu Bagaudin poprosił kierowcę (on i Szapi zabrali się okazją), by się zatrzymał, a następnie razem z wnukiem wysiadł z ciężarówki i zszedł na dół. Zbliżał się czas salatu, a przy zaporze można było zejść do rzeki i się obmyć. Kierowca był nietutejszy i wydało mu się podejrzane, że dwóch ludzi wysiadło na środku pustej drogi. To, że ci dwaj mogli po prostu chcieć się pomodlić, nawet nie przyszło mu do głowy. Gdy dojechał do Narkientu, zobaczył przy wjeździe samochód pograniczników, zatrzymał się i powiedział wojskowym, że przy zaporze z jego samochodu wysiadło dwóch ludzi, jeden młody, a drugi stary.

Patrol stał tu dlatego, że w owym czasie okoliczne sklepy okradała pewna banda. Dwa dni temu okradła sklep w wojskowym miasteczku. W tej bandzie było dwóch ludzi, jeden młody, a drugi stary, i porucznik z patrolu uznał, że ci dwaj wyszli z ciężarówki przy zaporze po to, by ścieżką przejść do Narkientu i tam ograbić sklep.

Stary Bagaudin i jego wnuk Szapi skończyli obmycie i znienacka Bagaudin

zwrócił się do Szapiego:

– Szapi, a kto tam jest w górze rzeki? Idź no, ten ktoś chce z tobą porozmawiać.

Szapi zdumiał się, bo nikogo nie widział, ale wstał i poszedł, gdzie kazał mu Bagaudin. Bagaudin rozłożył dywanik i zaczął salat, a w tym czasie na górze osypiska zjawił się patrol. Szapi akurat skrył się za zakrętem i żołnierze zobaczyli tylko jednego człowieka, klęczącego plecami do nich.

– Stój, bo strzelam! – zawołał porucznik.

Wtedy Bagaudin pochylił się do przodu, a porucznik pomyślał, że on wyjmuje ukrytą między kamieniami broń, i strzelił: kula weszła staremu między łopatki i rzuciła go w strumień.

Ten wypadek narobił mnóstwo hałasu. Pograniczników od razu przeniesiono do Ussuryjska. Obawiając się zemsty krewnych, ich nazwiska utajniono. Kierowca ciężarówki zaś wkrótce po rozmowie w KGB wyjechał z republiki.

Tak więc krewni nie odnaleźli nikogo: ani porucznika, ani kierowcy, ani drugiego żołnierza z patrolu.

Pięć lat po tym wypadku Szapi Czarachow, wnuk Bagaudina Czarachowa, zastrzelonego przez pograniczników, przyjechał do Moskwy i za pierwszym razem dostał się na studia do Instytutu Państw Azji i Afryki. Głównym atutem Szapiego była biegła znajomość arabskiego oraz wyjątkowa gorliwość i oddanie ideom komunizmu. Mimo kaukaskiego pochodzenia (w instytucie mimo wszystko nie przepadali za „czurkami”), najpierw został sekretarzem komsomołu na swoim roku, a potem jako pierwszy z roku został przyjęty do partii. Po studiach wyjechał jako tłumacz do Syrii, a wróciwszy stamtąd, z wyróżnieniem ukończył wyższą szkołę KGB.

W 1989 roku, niespodziewanie dla wszystkich, młody, błyskotliwy Szapi Czarachow poprosił o przeniesienie do służby wewnętrznej. Umieszczono go w Torbikale z zadaniem obserwowania wzrostu islamskiego ekstremizmu w republice.

Na Kaukazie generalnie lubią odstawiać pokazówkę przed zwierzchnikami, ale nawet w oczach kolegów z pracy Szapi Czarachow był na tym stanowisku wyjątkowym bydlęciem. Regularnie odwiedzał wszystkie meczety, pisał



sprawozdania z każdej rozmowy z każdym mułą i co miesiąc wysyłał do Moskwy raport, z którego wynikało, że w republice działa siatka islamskiej organizacji szpiegowskiej, kierowanej z zagranicy.

Zwierzchnikom było to bardzo na rękę: im więcej w republice zagranicznych szpiegów, tym większa rola KGB w zachowaniu państwowości.

Po upływie pół roku w jednym ze swoich meldunków Szapi zasugerował, że szpiedzy przedostający się z Turcji mogli wykorzystać jako „kontakty” tych, którzy w latach siedemdziesiątych pracowali przy budowie morskiego portu Torbikały, zwłaszcza kierowców samochodów ciężarowych, mających możliwość swobodnego jeżdżenia po republice. Poprosił o ustalenie imion i nazwisk wszystkich kierowców, ze zwróceniem szczególnej uwagi na tych, którzy nagle się zwolnili lub z niezrozumiałych przyczyn zmienili miejsce pracy.

Szapi był tak dociekliwy, że poprosił również o nazwiska wszystkich żołnierzy z posterunków granicznych, nawet tych, którzy już się zwolnili. Uważał, że osobista rozmowa z pogranicznikami będzie bezcenna w kontekście podzielenia się doświadczeniem w walce z zagranicznymi wywiadami.

Na początku roku 1991 podpułkownik Szapi Czarachow, naczelnik agencji kontrwywiadowczej KGB w Republice Awarii Północnej – Dargo, wziął urlop i oznajmił, że wyjeżdża do rodzinnej wsi.

Trzy dni później ten obiecujący oficer wstąpił do zakładu fotograficznego na ulicy Lermontowa. Oficjalnie zakład specjalizował się w wykonywaniu zdjęć do dokumentów, nieoficjalnie wyrabiał również same dokumenty. Właściciel robił to dla wybranych klientów, których od czasu do czasu wydawał KGB.

Podpułkownik Czarachow poprosił właściciela atelier o dokumenty na inne nazwisko. Fotograf nie był zaskoczony prośbą, raz na jakiś czas realizował podobne zlecenia. Zdumiało go tylko to, że Czarachow prosił o dokumenty na rosyjskie nazwisko. Nazwisko nietrudno było znaleźć, znacznie trudniej było zrobić coś z twarzą Czarachowa, ze smagłą cerą i włosami w kolorze jeżyny. Włosy w końcu ufarbowano na brązowo, zrosnięte nad nosem brwi wyregulowano i również ufarbowano. Obmyta specjalnym roztworem skóra nabrała szarego odcienia, pod oczami młodego podpułkownika pojawiły się ciężkie worki.

Po tych zabiegach Szapi Czarachow rzeczywiście pojechał do rodzinnej wsi, skąd przez góry dostał się do sąsiedniej Gruzji. Następnego dnia wyleciał z Tbilisi do Moskwy jako Aleksander Iwanienko. Kolejnego Iwanienko, trzydziestoletni inżynier o typowej słowiańskiej urodzie, z szarą, przepitą cerą, wyszedł z lotniska w Krasnojarsku.

Stamtąd kazał się zawieźć na dworzec kolejowy, bardzo się przy tym denerwując, bez przerwy zerkając na zegarek i pytając taksówkarza, czy zdąży na ostatni pociąg do Aczyńska. Na dworcu Iwanienko rzeczywiście kupił bilet do Aczyńska, ale potem zmienił zdanie. Poczekał na dalekobieżny z Władywostoku, wtopił się w tłum wysiadających i na mieście wynajął u jakiejś starowinki pokój za dwa ruble.

Siergiej Kanyszew, niemłody, mocno pijący kierowca po pięćdziesiątce, przez ostatnie sześć lat pracujący w Krasnojarskich Zakładach Metalurgicznych, wracał z daczy pustawym pociągiem podmiejskim, gdy na siedzenie naprzeciwko klapnął niewysoki chłopak w brudnym waciaku.

Z jednej kieszeni waciaka wyjął zawinięty w szmatkę ser, z drugiej pół litra wódki. Kanyszew obserwował mężczyznę chciwym wzrokiem. Zdążył już obciągnąć pół litra w sklepie i miał ochotę kontynuować – tylko nie miał co. Wszystkie pieniądze, za które można by „kontynuować”, Kanyszew przepił już dwa dni temu.

Tymczasem facet otworzył butelkę, a z wewnętrznej kieszeni wyjął musztardówkę. Ta szklanka szczególnie spodobała się Kanyszewowi. Człowiek, który nosi ze sobą nie tylko zakąskę, ale i szklankę, to z pewnością ktoś bardzo akuratywny.

Mężczyzna nalał wódki do szklanki, połamał ser na nierówne, grube kawałki, podniósł rękę do ust i nagle zapytał:

– Sierioga, to ty?

– Czego? – zdziwił się Kanyszew.

– To ja, Alocha, no, Alocha! – zawołał facet. – Razem ześmy w Mińsku most budowali! Gałkę wtedy podrywałeś!

Siergiej rzeczywiście pracował w Mińsku i rzeczywiście podrywał Gałkę, z którą

o mało co się nie ożenił. Alochy co prawda nie pamiętał, ale generalnie wielu rzeczy nie pamiętał. Prawdę mówiąc, najlepiej pamiętał to, że chce się napić.

Jadąc tym pociągiem podmiejskim Sierioğa i Alocha „zrobili” to pół litra i jakoś tak wyszło, że na dworcu wzięli jeszcze jedną butelkę wódki i porto. Porto wypili od razu, na klatce, z kumplami Sierioği, którzy jakoś tak szybko odpadli, a potem Siergiej i Alocha poszli do mieszkania Sierioği i zaczęli wspominać Mińsk i Gałkę. Wytrąbili kolejną butelkę, poprawili porto, a potem okazało się, że Alocha ma jeszcze pół literka w wewnętrznej kieszeni waciaka. Gdy zaczynali trzecią półlitrowkę, Sierioğa czuł się tak, jakby znał Alochę całe życie. Gdy napoczęli czwartą, Alocha opowiedział, że wyjechał z Mińska po pewnej przykrew historii. Wiózł żwir z kamieniołomu. W drodze powrotnej zatrzymało go dwóch typów i poprosiło o podwózkę. No i co powiecie? Okazało się, że to byli złodzieje, którzy właśnie ograbili spółdzielnię. Alocha wyczuł, że z tymi dwoma coś jest nie tak, ale postanowił się nie wychylać, a potem gliniarze długo go męczyli, uznali za współnika. O mało co, a zarobiłby odsiadkę – a tamci dwaj się zmyli.

– No popatrz – odpowiedział na to Sierioğa. – Ja też miałem taką historię. Pracowałem wtedy w porcie, na Kaukazie. Wiozłem żwir i zabrałem do ciężarówki dwóch, młodego i starego. Stary wilkiem patrzy, coś pod nosem mamrocze nie po naszymu, od razu mi się nie spodobał. Poprosili, żeby ich wysadzić na środku drogi, a tam ani skrzyżowania, ani domów, w ogóle nic, tylko rzeka. No to przejechałem jeszcze kawałek, patrzę, patrol. Pomyślałem sobie, powiem im, niech się sami rozpatrzą.

– I co, rozpatrzyli się?

– A nie wiem! Skąd mam wiedzieć. Potem już na innym odcinku pracowałem.

Sierioğę znaleziono w domu tydzień później, gdy już zaczął cuchnąć. Kierownika budowy naszły podejrzenia, że coś jest nie tak, gdy Siergiej nie przyszedł po wypłatę. Znaleziono go w wannie, ze złamaną podstawą czaszki, obok leżała rozbita butelka wódki. Nic z mieszkania nie zginęło, przeciwnie, w kuchni na widoku leżało pięć rubli. Milicja, nie chcąc sobie psuć statystyk, napisała w raporcie, że nieboszczyk po pijanemu wyrzwał karkiem o brzeg wanny. O przypadkowym znajomym nikt nawet nie pamiętał.

Po siedmiu dniach w Krasnojarsku wojskowy emeryt, major Klinyszkin, który jako porucznik służył w narkienckim posterunku granicznym, spadł w Moskwie po pijanemu z Wielkiego Mostu Kamiennego i rozbił się na amen o nabrzeże.

Dziesięć dni później, w Karagandzie, w przypadkowej bójce pchnięto nożem Aloszę Antonowa, młodego inżyniera Karagandyjskiego Kombinatoru Metalurgicznego, któremu młoda żona urodziła dziecko i który z tej okazji dostał dwupokojowe mieszkanie w czteropiętrowym bloku. Alosza Antonow był kiedyś towarzyszem Klinyszkina w tym nieszczęsnym narkienckim patrolu.

Podpułkownik KGB Szapi Czarachow wykorzystał cały należny mu urlop, wrócił do pracy i przedstawił szefostwu kolejny raport o sposobach umocnienia praworządności socjalistycznej. Dwa miesiące później złożył podanie o zwolnienie ze służby.

Szef besztojskiej milicji, oficer czynnej rezerwy FSB, kawaler Orderu Męstwa Szapi Czarachow ocknął się na betonowej podłodze w pojedynczej celi. Było ciemno i zimno, nadgarstki zdrętwiały Szapiemu od kajdanek.

Czarachow nie miał żadnych złudzeń odnośnie tego, co się z nim stanie.

Szapiego uczono przesłuchiwać ludzi i on swoje umiejętności przekazał Dżamałudinowi, który okazał się pojętym uczniem. Przez ostatnie pół roku na oczach Szapiego przesłuchano ośmiu ludzi, bardzo różnych. Jedni byli zagorzałymi fanatykami, ludźmi o szklanych oczach, którzy myśleli, że ich dusza należy wyłącznie do Allaha i którzy traktowali swoje ciało jak worek z kośćmi, dający się w każdej chwili porzucić, by odejść wolnym. Inni byli zwykłymi zjadaczami chleba, zagarniętymi przez wir wojny, jeden był nawet płotką FSB.

Żaden nie wytrzymał dłużej niż pięć minut.

Przez ostatnie trzynaście lat Szapi żył w kraju, w którym pojęcie przesłuchania nie istniało. Przesłuchania nie było: ludzi po prostu zabijano, powoli i po kawałku, a oni zaczęli mówić, żeby zabito ich w całości i szybko.

Szapi Czarachow wiedział, że przyzna się do wszystkiego, czego od niego zażądają. Wielu z tych, których w obecności Szapiego przesłuchiwał Dżamałudin, chciało umrzeć i trafić do raju. Wiedzieli, że trzeba żyć tak, by w każdej chwili być

gotowym na śmierć – i żaden z nich nie wytrzymał przesłuchania.

Szapi nie był takim fanatykiem jak ci, których torturowano na jego oczach. Szczerze powiedziawszy, nie był przekonany, czy w raju będą na niego czekać hurysy, ani nawet nie miał pewności, czy w ogóle jest jakiś raj. Praca w KGB mocno go wypaczyła, cała religijność Szapiego już dawno ograniczała się do niejedzenia wieprzowiny i wstępowania w piątki do meczetu.

I teraz, w tej zimnej piwnicy bazy wojskowej Besztoj-10 pułkownik FSB w rezerwie nie mógł znaleźć pociechy ani w słowach proroka, ani w hadisach, ani w komentarzach imama Al-Nawawiego, z których niegdyś bronił pracy doktorskiej – bo nic nie pamiętał. Pamiętał tylko słowa swojego młodszego towarzysza: żyj tak, jakbyś już był martwy.

Była godzina czternasta, gdy orszak wozów mera Besztoju zajechał na podwórko wspaniałej willi, w której spędził ostatnie dwa miesiące życia pełnomocny przedstawiciel Pankow i w której teraz mieszkał i pracował Fiodor Komissarow.

Szef komitetu nadzwyczajnego powitał mera na progu gabinetu przypominającego salę tronową.

– *Salam alejkum*, Zaurze Ahmedowiczu – powiedział, otwierając szeroko ramiona w nietypowym dla moskwianina geście. – Tak się cieszę, że pana widzę! Jestem tu już trzy miesiące, a pan ciągle unika spotkania ze mną! Wszyscy bez przerwy opowiadają mi o panu i pańskim bracie!

Zaurowi Kemirowowi nie pozostało nic innego, jak tylko uśmiechnąć się uprzejmie i przywitać z moskiewskim naczelnikiem. Gdy się obejmowali, uśmiech na chwilę zniknął z twarzy Komissarowa – Rosjanin wyczuł za pasem mera pistolet i cały się napiął. Nie przywykł do tego, żeby ludzie przychodzili do niego z bronią. Zazwyczaj przychodzili do niego z pieniędzmi.

Powitanie dobiegło końca i Komissarow serdecznie zaprosił Zaura do stolika, tego samego, przy którym tak niewygodnie siedziało się Saparcziemmu.

– Herbaty, kawy? A może koniaczku? – zapytał Komissarow, uśmiechając się dobrotliwie.

Mer Besztoju wybrał kawę.

– A ja jednak koniaczek – powiedział szef komitetu, wyjmując z sejfu z dokumentami drogi francuski koniak. – I muszę przyznać, że zagraniczny. No nie umięją u was robić koniaku, co tu kryć. Nie umięją w krajach muzułmańskich robić koniaku, zupełnie nie umięją.

Major, w kamuflażu i pasie z kaburą, przyniósł na srebrnej tacy kawę i miseczkę z cukierkami, a szef komitetu osobiście wziął z tacy porcelanową filiżankę i postawił przed Zaurem. Kawa była aromatyczna, z kremową pianką, zbierającą się przy melchiorowej łyżeczce.

– Szczerze panu powiem – rzekł Komissarow, patrząc Zaurowi prosto w oczy – że sytuacja w republice jest katastrofalna. Prezydent to złodziej, teraz w dodatku chory. Jego syn to też złodziej, który myśli tylko o tym, jak zatrzymać to, co nakradli. Biega po Moskwie, wciska pieniądze, żeby tylko mianować go prezydentem. A sam pan wie, jak wygląda dzisiejsza Moskwa.

– Nie, nie bywam tam.

– I bardzo słusznie! – zawołał Komissarow. – Ma pan absolutną rację, po co tam bywać! To my powinniśmy bywać u was! Pan stworzył coś unikalnego w tej republice – działające zakłady! Swoim przykładem dowodzi pan, że na Kaukazie można nie tylko kraść. Powinniśmy przysyłać do was tych wszystkich, którzy myślą, że na Kaukazie panuje chaos i zamęt!

Zaur Kemirow w milczeniu pił kawę, świetnie zaparzoną.

– Szczerze powiem – ciągnął Komissarow – że żaden człowiek nie budzi w Gamzacie takiej złości jak pan. Już samo istnienie pańskich zakładów Gamzat odbiera jako zagrożenie. Wie pan, że to on wysłał do was Kiryła Wodrowa? Wziął i kupił mojego własnego zastępcę za dwieście tysięcy dolarów. Gdy zobaczyłem raport Kiryła, zwyczajnie osłupiałem! Własnoręcznie wszystko z niego powykreślałem, a pan nawet nie zadzwonił z podziękowaniem!

Komissarow zrobił przerwę, żeby mer Besztoju mógł skorzystać i podziękować, ale Zaur był w tym momencie bardzo zajęty, widocznie kawa była zbyt gorąca. Gdy szef komitetu nadzwyczajnego zrozumiał, że nie będą mu dziękować za poprawki w raporcie, mówił dalej:

– Jest jeszcze jeden człowiek, który źle się do pana odnosi – Arzo Hadżijew. To

przecież Czeczeń, a w rejonie jest dużo Czeczeńów. Cały czas mówi, że pan nęka Czeczeńów, że odebrał im pan biznes... Jeszcze by tylko brakowało, żeby Czeczeni dowodzili w pogranicznych rejonach Awarii! Tak więc, bardzo się cieszę, Zaurze Ahmedowiczu, że w końcu przyszedł pan do mojego gabinetu. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł coś dla pana zrobić...

– Może pan. Mam bliskiego przyjaciela, nazywa się Szapi Czarachow. Chciałbym się dowiedzieć, co mu się zarzuca i czy można mu jakoś pomóc.

– Czarachow? Co za Czarachow? – zdumiał się Komissarow.

– Naczelnik milicji Besztoju i kawaler Orderu Męstwa, który w swoim czasie ukończył szkołę wyższą KGB. Musiał paść ofiarą ukrytych wahabitów – za jego rządów w naszym mieście nie było ani jednego zamachu terrorystycznego, a teraz trzymają go w bazie Besztoj-10. To bardzo nierozsądna prowokacja... No niech pan sobie wyobrazi, że podwładni Czarachowa – lub jego przyjaciele – urządzają zamieszki. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ludzi broniących pułkownika KGB oskarżono o wahabizm i sprawa zaszłaby na tyle daleko, że żadna ze stron nie mogłaby się wycofać.

– Co też pan mówi! – Komissarow klasnął w dłonie, nacisnął przycisk interkomu i spytał głośno: – Macie takiego zatrzymanego, Szapiego Czarachowa? Dobrze. Sprawdźcie i zameldujcie.

A potem uśmiechnął się do mera i powiedział:

– Teraz mam naradę, ale... Co pan na to, żebyśmy spotkali się dziś wieczorem? Akurat zdążę się czegoś dowiedzieć o tym pańskim Czarachowie... Proszę przyjechać do rezydencji przed dziewiątą.

Gdy Zaur wyszedł z gabinetu, uśmiech spęzł z twarzy federalnego urzędnika. Komissarow podniósł słuchawkę telefonu.

– Ten wasz Szapi złożył już zeznania przeciwko Kemirowom?

– Jeszcze nie.

– To co ty tam robisz przez trzy dni? Trzymasz u siebie zajadłego terrorystę, i co, tyłek mu podcierasz, czy co? Mam tam do was przyjechać i sam się tym zająć?

Za pierwszym razem Szapiego przesłuchiwali o pierwszej w nocy. A raczej

zaciągnęli do pokoju i tam zaczęli bić. Ludzie, którzy go bili, robili to z dużą znajomością rzeczy. Wiedzieli, jak zadać ból. I o nic nie pytali. Byli w wełnianych kominiarkach z wycięciami na oczy, Szapi nie mógł ich poznać.

Za drugim razem przesłuchiwali go nad ranem. Zaprowadzili go do gabinetu. Siedziało tam dwóch majorów, których Szapi pierwszy raz widział. Trzecią osobą w tym pokoju był asystent Komissarowa Misza Sliwoczkin.

– Ty dałeś zlecenie na Adama? – spytał Sliwoczkin.

– Nie – odparł Szapi.

Wtedy go rozebrali i przymocowali do urządzenia zrobionego z przewodów i starego detonatora. Jeden z przewodów wsunięto Szapiemu w ranę. Torturowali go dwie godziny i na każde pytanie Sliwoczkina Szapi odpowiadał „nie”. Dwie godziny później stracił przytomność i śledczy poszli coś zjeść.

Za trzecim razem przyszli po niego o piątej popołudniu. Wsadzili go do samochodu i zawieźli do opuszczonych baraków. Za barakami był wielki dół z nieczystościami. Zmusili Szapiego do ukłęknięcia na brzegu dołu, a Misza przytknął mu do karku karabin i zapytał:

– Ty dałeś zlecenie na Adama?

– Nie.

Szapiemu wydawało się, że Sliwoczkin strzelił, ale czekista zaśmiał się tylko i pchnął jeńca tak, że ten spadł do dołu. Dół miał głębokość ponad półtora metra, Szapiemu udało się jakoś nie utonąć i zadrzeć podbródek nad powierzchnią. Sliwoczkin znowu podniósł karabin i zapytał:

– Ty dałeś zlecenie na Adama?

– Co robisz, skurwysynu?! – zawołał Szapi.

– Topię terrorystę w kiblu <sup>1</sup>.

Czekiści zarechotali, a Sliwoczkin strzelił serię nad dołem. Żeby nie dostać kulki, Szapi musiał zanurzyć się w gównie. Tak go topili w kiblu ze dwie godziny. Gdy Szapi zaczął tracić przytomność, wzięli bosak i wyłowili go z szamba.

Ani pierwszego, ani drugiego dnia Szapi nie złożył wymaganych zeznań, a na trzeci dzień do Miszy Sliwoczkina zadzwonił Komissarow i zjechał go z góry na dół.

Sliwoczkin dostał szału. Nie miał zielonego pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.



Zwykle w takich sytuacjach przywożono do bazy żonę albo córkę aresztowanego i postępowano z nią tak samo, jak z nim. Ale tego nie dało się zrobić: cała rodzina Szapiego siedziała po ochroną Dżamałudina. Poza tym Sliwoczkin w końcu uznał, że trzymanie Szapiego tak blisko Dżamałudina jest niebezpieczne.

Dlatego przewieziono Czarachowa helikopterem do Torbikały, do aresztu FSB. Dostarczono go do gabinetu z meblami przykręconymi do podłogi i przywiązano do krzesła z wybitym siedzeniem. Misza Sliwoczkin położył przed nim kartkę papieru i powiedział:

– Posłuchaj, Szapi, tu są twoje zeznania. Ty i twój syn zabiliście Adama Tielajewa. Zrobiłeś to na polecenie Zaura Kemirowa. Zaur Kemirow chciał zostać prezydentem republiki, a wtedy ty zostałbyś szefem centrum „T”, a wszystko to było wam potrzebne, żeby stworzyć kalifat. Adam Tielajew zdemaskował wasz spisek i postanowiliście go zlikwidować. Podpisz to, a ja dam ci spokój.

– Adam nie potrafiłby włożyć spodni dwiema rękami, a co dopiero wykryć spisek.

Wtedy na polecenie Sliwoczkina postawiono pod krzesłem kuchenkę elektryczną, a na niej rondel na mleko. Sliwoczkin podszedł do Szapiego ze słojem, w którym siedział szczur i powiedział:

– Radzę ci podpisać ten papier, zanim to bydlę wyjdzie ci przez usta.

Z tymi słowami wrzucił szczura do rondla i włączył kuchenkę. Szczura zaczęło przypiekać, zwierzę kręciło się i podskakiwało, i w końcu wlaźło w jedyną dziurę, która była na górze. Szapi krzyczał przez kilkanaście minut, wreszcie stracił przytomność.

Sliwoczkin kłął na czym świat stoi. Kazał wezwać lekarza, a pod protokołem jakoś podpisał się sam.

W tym czasie, gdy Zaur Kemirow pojechał do Torbikały, mistrz świata w kickboxingu, Taszow Alibajew zwany Cetnarem, zatrzymał swojego lincolna navigatora na parkingu przed rynkiem Wolnym.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Dżamałudin zabronił mu żenić się z Dianą. W ciągu tych dwóch tygodni Taszow schudł dwadzieścia kilo i przespał w sumie z dziesięć godzin. Nawet po śmierci matki było mu łatwiej, bo wtedy przynajmniej

wiedział, co robić, a we wszystkich swoich działaniach miał wsparcie przyjaciół i jednomyślną aprobatę całego Besztoju.

Co zrobić w takiej sytuacji, nie miał pojęcia. Rzecz jasna, małżeństwo z Dianą było niemożliwe. W żadnym wypadku Taszow nie mógł ryzykować, że jego dzieci nazwą kiedyś dziećmi kurwy.

Mimo to przez owe dwa tygodnie schudł dwadzieścia kilo i dwa razy w nocy wyszedł do przedpokoju, wyciągnął z kurtki makarowa i wsunął lufę do ust. Ponieważ wiedział, że jeśli zabije się z powodu kobiety, to nigdy nie znajdzie się w raju, ostatecznie nie pociągnął za cyngiel. Był pewien, że matka czeka tam na niego, i nie mógł dopuścić, żeby czekała na próżno.

A jednak po dwóch tygodniach Taszow przyjechał na rynek Wolny, przecisnął się przez tłum i dotarł do małego sklepiku, gdzie przed wejściem stały dwie wielkie donice z fikusami. Długo stał, zbierając się na odwagę, a potem zdecydowanie pchnął drzwi i wszedł do środka.

Kupujących nie było. Za ladą siedział Alichan.

Na widok Awara oderwał wzrok od książki i cała krew odpłynęła z jego delikatnej, smagłej twarzy.

– Gdzie Diana? – zapytał Taszow.

Chłopak siedział bez ruchu i Taszow nagle zrozumiał, jaka będzie odpowiedź. „Zabił ją – pomyślał. – O Allahu, zabił ją! Zrobił to, co ja powinienem był zrobić!”.

– W Turcji – odpowiedział spokojnie Alichan.

Taszow poruszył ustami. Już miał się odwrócić i wyjść, gdy Alichan zamknął książkę, odsunął ją od siebie i dodał:

– Zabiję cię. Jak tylko wyzdrowieję, zabiję.

– Za co?

– Jesteś szmata, a nie góral. Twój pan zabronił ci się żenić z Czeczenką, siostrzenicą Izmaïła, a ty pobiegłeś za nim, machając ogonem jak kundel. Wy, *Siujli*, jesteście gorsi niż psy. Jeśli twój Dżamal każe ci się ożenić z owczarkiem, to pewnie weźmiesz go do łóżka zamiast żony. Tak sobie pomyślałem, że będziesz pewnie prac mu portki, jak to robiłeś matce?

Taszow był błąd jak ściana. Gdyby coś takiego mówił mu prezydent republiki,

nie zdążyłby dokończyć zdania. A tu mówił mu to prosto w twarz brat prostytutki. Taszow odwrócił się i wybiegł ze sklepiku.

Mer Besztoju Zaur Kemirow spotkał się z szefem komitetu nadzwyczajnego o dziewiątej wieczorem.

W Torbikale było już ciepło i gdy Zaur przyjechał do rezydencji, zobaczył, że do kolacji z szaszłykami nakryto nad brzegiem morza. Komissarow i jeszcze dwaj Rosjanie siedzieli w altance. Był tam również szef MSW i dowódca specgrupy Południe Arzo Hadżijew.

Wszyscy obecni po przyjacielsku objęli się z przybyłym. Komissarow posadził Zaura obok siebie i powiedział:

– Nie zapomniał pan, Zaurze Ahmedowiczu, że jutro mamy bardzo napięty harmonogram? W południe przylatujemy do Besztoju, o dwunastej trzydzieści kładziemy wieńce na cmentarzu, o trzynastej pomnik, a potem Ugłow podpisuje dokumenty dotyczące rekonstrukcji bazy i odlatuje.

– Nie zapomniałem. Ale chciałbym z panem porozmawiać na osobności.

Fiodor Komissarow wysłał baranią kostkę, wytarł usta serwetką i powiedział:

– Zasięgnąłem informacji, Zaurze Ahmedowiczu. Niepotrzebnie się pan wstawia za tym Czarachowem. Wychodzi na to, że to straszny łajdak. Po pierwsze, rzeczywiście zlecił zabójstwo szefa centrum „T”, a to, jak sam pan rozumie, atak terrorystyczny na najwyższego dostojnika państwowego. Po drugie, twierdził, że zrobiono to dlatego, żeby jego syn dostał to stanowisko. A po trzecie, zeznał, że to wszystko było potrzebne pańskiemu bratu w celu stworzeniu na Kaukazie islamskiego kalifatu. Wie pan, są tacy ludzie, którzy, zapędzeni w kozi róg, zaczynają wszystkich oczerniać. Taka już ich podła natura.

– Właśnie dlatego Szapi Czarachow powinien wyjść – oznajmił Zaur. – Jak tylko wyjdzie, zniknie bodziec skłaniający go do oczerniania ludzi.

Komissarow uśmiechnął się.

– Jak mogę wypuścić człowieka, który twierdzi, że razem z pańskim bratem chciał stworzyć kalifat na Kaukazie?

Mer Besztoju opuścił wzrok i powiedział:

– Gotów jestem ręczyć, że jest inaczej.

Komissarow znów się uśmiechnął.

– Nie radzę ręczyć za brata, Zaurze Ahmedowiczu. Zbyt wielu rzeczy pan o nim nie wie.

Zaur nie odezwał się. Nie miał najmniejszego zamiaru dyskutować o swoim bracie w towarzystwie obcych ludzi.

– Nadal pan myśli, że brat wyrwał pana z czeczeńskiej niewoli? I nigdy się pan nie zastanawiał, że w efekcie tego porwania Dżamałudin, którego pan przeklął i wypędził z domu, został nagle pańską prawą ręką? I że Czeczeni, którzy pana porwali, przez pięć lat przyjaźnili się z Dżamałudinem?

Mer Besztoju uśmiechnął się uprzejmie.

– Powiedz mu, Arzo – mówił dalej Komissarow. – Powiedz mu, że Dżamałudin nie musiał się dowiadywać, kto porwał jego brata – wiedział o tym od samego początku. Dogadali się, wszyscy trzej, Dżamałudin, Arzo i Buwadi. Tylko Dżamałudin obiecał Buwadiemu, że się podzielią, a potem się rozmyślił i rozwalił mu łeb, zanim ten zdążył coś powiedzieć.

Zaur zbladł śmiertelnie i obejrzał się na Czeczena. Twarz Arza niczego nie wyrażała, ani jej lewa połowa, ani prawa.

– Powiedz mu, Arzo – naciskał Komissarow. – Powiedz mu to, co mówiłeś mnie. Mnie nie wierzy, a tobie, kunakowi, uwierzy.

Mer wstał gwałtownie.

– Nie uwierzę. Zbyt wiele razy kłamałeś, Arzo.

I wyszedł z altanki.

Na podwórku czekały na Zaura dwa czarne dżipy, pełne ludzi Dżamałudina ubranych w jednakowe kamuflaże, jednakowe brązowe buty. Tylko magazynki przy karabinach mieli różne: niektóre były owinięte niebieską taśmą izolacyjną, inne czarną. Byli też tacy, którzy w ogóle nie lubili sparowanych magazynków.

Zaur bez słowa wsiadł na tylne siedzenie jednego z dżipów i orszak wyjechał z Torbikały.

Kemirow milczał przez całą drogę do Besztoju. Powiedział Rosjaninowi, że nie

wierzy – ale było inaczej. Słowa Komissarowa upadły na zbyt żyzną glebę. Na gwałtowność Dżamałudina, na kolejne skandale, spalony tir, wieczny strach Zaura, że jego brat za chwilę wywinie coś takiego, że nawet obojętni na wszystko federalowicze uznają to za przesadę.

I teraz, odchylając się na skórzane poduszki i patrząc na jednakowe czarne czapeczki na jednakowych głowach Szahida i Abreka, Zaur przypomniał sobie to wszystko, co wydarzyło się dziesięć lat temu. Brudny gumowy dywanik żiguli, w który wciśnięto mu twarz. Trzask łamanego przedramienia. Zimną piwnicę i kajdanki, na których go podwiesili – co, jak na ironię, pomogło kościom zrosnąć się prawidłowo. Pięć razy dziennie modlił się do Allaha, żeby ten pozwolił mu się zemścić. Śniła mu się zemsta i poderżnięte gardła oprawców. Przez te wszystkie dni nawet na chwilę nie pogodził się z niewolą ani z wykupem, udawał tylko, że jest spokojny i otwarty na negocjacje. Najszczęśliwszą minutą jego życia była ta, w której ujrzał krew bryzgającą z rozerwanego gardła Buwadiego Hangerijewa i swojego brata wsadzającego w Czeczena kulę za kulą.

Ani własne wesele, ani narodziny syna, ani pierwszy zarobiony milion – nic nie mogło się równać z tamtą chwilą. Gdyby Zaura, spokojnego, opanowanego Zaura w dniu Sądu Ostatecznego zapytano, czym jest szczęście, odpowiedziałby: szczęście to śmierć twojego wroga. To widzieć, jak płonie jego dom i płynie jego krew. Szczęście jest wtedy, gdy zabijasz jego dzieci i gwałcisz jego żonę.

Czy to możliwe, że tamta chwila była tylko częścią spektaklu? Że Dżamałudin od początku wiedział, kto porwał jego brata, i że wszystkie poszukiwania i trupy były jedynie na pokaz? A może były konieczne tylko dlatego, że porywacz też chciał wykiwać Dżamałudina i nie ujawnił mu wszystkich szczegółów? Czy to możliwe, że gdyby kula Dżamałudina weszła chwilę później, Buwadi zdążyłby krzyknąć: „Co ty robisz? Mieliśmy umowę!”.

I wtedy kulę dostałby nie tylko Buwadi, ale i Zaur. A Dżamałudin wróciłby do domu, powiedział, że jego brat zginął razem z porywaczami, i przejąłby cały biznes.

Zaur sądził, że zna swojego brata. Ale czy jeden człowiek może w ogóle znać drugiego? Albo nawet samego siebie? Lepiej niż ktokolwiek inny Zaur wiedział, że każdy człowiek to tylko zestaw wariantów. Nie ma człowieka wyłącznie odważnego

czy tylko tchórzliwego, wyłącznie szczodrego albo tylko skąpego, zupełnie lojalnego czy wiarołomnego. W najbardziej zdeterminowanym zuchwalcu jest odrobina tchórza. Najbardziej oddany sprawie człowiek jest zdolny do zdrady. Nawet w miłości: mężczyzna, nawet jeśli wielbi swoją kobietę i marzy, by została matką jego dzieci, chwilę później myśli o niej jak o dziwce, którą chce zerznąć, a potem zaczyna jeść zupę i myśli tylko o zupie, i dopiero po chwili przypomina sobie, że bez tej kobiety nie może i nie chce żyć.

Dlatego ważne jest nie to, co człowiek myśli, ale to, co robi. A co zrobił Dżamałudin?

I Zaur pojął, że nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Była już jedenasta wieczorem, gdy Zaur Kemirow wrócił do Besztoju. Mimo późnej pory kazał się wieźć do merostwa. Tam długo stał w otwartym oknie i patrzył na pusty cokół po pomniku Lisaniewicza, a potem nacisnął guzik interkomu i dowiedział się, że jego młodszy brat siedzi w bazie wypoczynkowej.

– Niech tu przyjedzie – zarządził Zaur.

Dżamałudin zjawił się w merostwie dwadzieścia minut później. Jak zawsze spokojny i wyprężony jak struna, miał w ruchach tę szczególną zwinność, typową dla sportowców, wilków i specnazowców. Ciemne włosy były lekko wilgotne po salacie. Widząc, że Zaur siedzi za biurkiem i w skupieniu przekłada papiery, Dżamałudin zrozumiał, że rozmowa będzie nieprzyjemna, i zmartwił się – zawsze przeżywał, gdy brat miał do niego pretensje.

Zaur podniósł głowę znad papierów i zapytał:

– Jak wygląda sytuacja z pomnikiem Lisaniewicza?

Dżamałudin bardzo się zdziwił, ale odpowiedział spokojnie:

– Nijak.

– Delegacja będzie w merostwie jutro w południe. Gdy tu przybędzie, pomnik ma być na miejscu.

Twarz Dżamałudina nie drgnęła, przełknął tylko nerwowo ślinę i powiedział:

– Coś jeszcze?

– Zwolnisz swoich ludzi.

– Zwolnię ich, jak skończymy.

– Zwolnisz ich teraz! Wszyscy o nas mówią! Mówią o tobie jako o przyszłym Basajewie! Pytają, jak to możliwe, żebym ja, mer rosyjskiego miasta, finansował nielegalną formację zbrojną! Chcesz, żebyśmy wszystko stracili? Żeby nasze zakłady wpadły w łapy Gamzata?

– Nie dopuszczę do tego.

– Jak? Z dwiema setkami zbirów? Wystarczy ich, żeby biegać po górach i palić kasyna, ale co, jeśli przyjdą rosyjskie czołgi?

– Niech przychodzą. Szamil też miał tylu ludzi, jak bronił Groznego.

– I w co przemienił się Grozny?

Dżamałudin nie odpowiedział.

– Tak się wszystko potoczyło – mówił dalej Zaur – że będę musiał zostać prezydentem republiki. Allah świadkiem, nie chciałem tego, ale ty sprawiłeś, że lecimy jak wieprzek przez pole: albo ja zostanę prezydentem, albo następny prezydent przejmie mój biznes. A nie zdołam zostać prezydentem, jeśli na Kremlu obok mojego życiorysu położą zdjęcia twoich bandytów.

– Nie.

– Dżamałudynie... Wiem, że byłeś w zмовie z Hangerijewem. Wiem to od dawna i wybaczyłem ci, bo jesteś moim bratem. Ale nie zmuszaj mnie, żebym wypowiadał to na głos jako powód powstania przepaści między nami.

Dżamałudin milczał przez kilka sekund i patrzył na brata, jakby nie wierząc własnym uszom. Chciał zaprotestować, ale słowa uwięzły mu w gardle, jak przekrzywiony pocisk grzęźnie w rozgrzanej lufie. Dziwnie poruszył rękami, jakby chronił się przed urokiem albo ocierał nieistniejący pot, a potem odwrócił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

—

1. Aluzja do wypowiedzi Władimira Putina. [\[wróć\]](#)

# ROZDZIAŁ 10

*W którym pierwszy wicepremier przyjeżdża do republiki, żeby mianować prezydenta, a Kirył Władimirowicz Wodrow zostaje kaukaskim terrorystą i stronnikiem kalifatu.*

**R**ządowa delegacja miała przylecieć do Torbikały o dziewiątej rano, Kirył zjawił się w willi Komissarowa o wpół do ósmej. Na podwórku, lśniąc czarną karoserią, stała już kawalkada merców.. Na ciemnych pancernych szybach rozłożono cały pasjans przepustek. Obok mercedesów biegali funkcjonariusze FSO i służby bezpieczeństwa Aślanowa.

Dzień wcześniej szef wysłał go do Czeczenii. Kirył do piątej rano siedział w Gudermesie. Gdy wszedł do samochodu, zobaczył na telefonie kilkanaście nieodebranych połączeń od Dżamałudina i Zaura. Przespał się z godzinę w samochodzie, umył, przebrał w garnitur i pojechał do Komissarowa.

Gdy wszedł na pierwsze piętro, zobaczył, że Komissarow pije poranną herbatę w jadalni, rozmiarami przypominającej lądowisko dla helikopterów. Przez rozsunięte rolety do pokoju wpadało słońce, niczym strumień dojrzałego ziarna wysypujący się ze spichlerza. Słoneczne światło zalewało wszystko: drogie dywany, telewizor plazmowy, sztywny od krochmalu obrus ze srebrnymi zaciskami do serwetek, przyrumienione tosty na porcelanowym talerzyku, górkę czarnego kawioru w zawijasach masła śmietankowego i ciemnowiśniowe konfitury w kryształowej miseczce.

– Siadaj – polecił Komissarow.

Kirył usiadł, jemu również przyniesiono porcelanową filiżankę z kawą i tacę z chrupiącymi grzankami, konfiturą i kawiozem.

Wodrow nie miał ochoty na jedzenie, ale kawy napił się z przyjemnością.

– Jak posuwa się śledztwo w sprawie zabójstwa Tiełajewa? – zapytał Komissarow.

– Nijak – odparł szczerze Kirył.

Komissarow wziął teczkę ze stojącego obok krzesła, podał ją Kiryłowi i polecił:

– Zapoznaj się.



Kirył otworzył teczkę i zobaczył, że to protokół przesłuchania szefa milicji Besztoju Szapiego Czarachowa. Zaczął czytać. Gdy skończył i podniósł głowę, wydawało mu się, że w oknach ktoś wyłączył słońce. Wzruszył ramionami i powiedział:

– To kłamstwo od pierwszego do ostatniego słowa, zeznania wymuszono torturami. Chcę porozmawiać z Szapim Dżamałowiczem.

– Jesteś pewien, że to kłamstwo?

Kirył zacisnął zęby. Nie był pewien, czy Szapi nie zorganizował zabójstwa Adama. Miał motyw, miał możliwości, poza tym Tielajewowie urazili jego dumę, a Szapi takich rzeczy nie wybaczał.

Mało tego, tak właściwie Kirył nie mógł być niczego ani nikogo pewien. Dżamałudin nigdy nie był do końca szczery z Rosjanami. Kto go tam wie, o czym mówił w wąskim kręgu człowiek, który zabronił w mieście sprzedaży alkoholu i na oczach wszystkich spalił tir z proszkiem do prania, tylko dlatego, że na pudełku była świnka? Historia Nogaja Ahmeda pokazała Kiryłowi, że między tymi, którzy wierzą w Allaha, a tymi, którzy nie wierzą, znajduje się przepaść. I nie da się jej zapełnić obustronnym szacunkiem.

Kirył utkwiał wzrok w wykrochmalonym obrusie, a Komissarow wrzucił do ust ostatni kawałek tostu, wstał z krzesła i zawisł nad Kiryłem jak skała.

– Zagalopowałeś się, Kiryle Władimirowiczu – powiedział. – Ty, syn oficera od pokoleń, zobacz, kim byłeś i kim się stałeś! Przez osiem lat wysługiwał się tobą oligarcha, a teraz upadłeś tak nisko, że służysz terroryście! Myślisz, że nie wiem o tym, jak to pchasz Zaura Kemirowa na prezydenta republiki? Pozostaje tylko wierzyć, że robisz to z głupoty albo za radą swoich prawdziwych panów! Myślisz, że nie wiem, jakie masz układy z tym człowiekiem? – Wskazał teczkę Szapiego. – Specjalnie hamowałeś śledztwo! Miałeś w rękach drugiego sprawcę zamachu, Mahometa Eminowa, i co zrobiłeś? Omal mu pieluszek nie zmieniałeś! Człowiekowi, który zastrzelił milicjanta! Czy choć raz go przesłuchali? Nie, ty zasłoniłeś go przed ciosem! Dlaczego?

Kirył zbladł. Zapach świeżych tostów drażnił mu nozdrza, w kryształowej miseczce z kawiolem tańczyły słoneczne zajaczki.

– Z szacunku dla twojego ojca dam ci ostatnią szansę – rzekł Komissarow. – Idź i wydobądź zeznania z Eminowa.

– Jak? – spytał głucho Kirył.

– Tak jak wszyscy! Możesz w lesie, możesz w piwnicy. To terrorysta, Kiryle, to wróg Rosji! W jego samochodzie znaleziono dowody na kontakty z obcym wywiadem! Nie mamy zobowiązań wobec wrogów, lecz wobec własnego kraju!

Wysokie czoło Kiryła zmarszczyło się, zielone jak jaspis oczy patrzyły prosto w oczy zwierzchnika. Twarz Kiryła nie wyrażała niczego.

– To wszystko? – zapytał.

– Nie, nie wszystko. Przez trzy miesiące kręciłeś się przy Dżamałudinie Kemirowie. Mogę cię osłaniać i powiedzieć, że wkręciłeś się w jego otoczenie na mój rozkaz. Ale w tym celu musisz pisemnie dowieść, że służyłeś tam naszej ojczyźnie.

Do swojego gabinetu Kirył wszedł o ósmej rano. Długo siedział przy pustym biurku, palił papierosa za papierosem i strzepywał popiół na kartki z zeznaniami Szapiego.

Do zeznań, jak zwykle przy sprawie karnej, dołączono dwa zdjęcia aresztowanego, z profilu i z przodu. W tych fotografiach najbardziej zszokowały Kiryła oczy Szapiego. Wyglądały tak samo jak oczy tego rosyjskiego inżyniera, którego dziesięć lat temu Kirył widział w niewoli u Arza. Wodrow nigdy by nie pomyślał, że wesoły, żywy jak rtęć Szapi, człowiek, który nawet po gabinecie skakał jak piłeczka tenisowa, może mieć takie oczy.

Kirył spędził wystarczająco dużo czasu na Kaukazie, by zrozumieć, że tu życie przypomina góry. Pamiętał Adama Tiełajewa, wszechpotężnego szefa centrum „T”, który śmiał się i pił, a trzy dni później leżał z rozwalonym karkiem. Pamiętał Ahmeda ze wsi Dżarli, który w jego samochodzie mówił o islamie i wolności, a potem to mieszkanie, w którym siedział Ahmed, na oczach Kiryła rozwalono „trzmielem”.

Ale jeszcze nigdy coś takiego nie zdarzyło się człowiekowi, który był jego przyjacielem. Tu już kula przeszła zbyt blisko. Kirył świetnie rozumiał, że groźba

Komissarowa to nie bief. Jeśli na Kremlu ustalono, że prezydentem ma zostać Gamzat Asłanow, to będą potrzebne nie tylko zeznania o miejscowych. Nie tylko *pidgin English* na odwrocie zdjęć z polaroidu. Że będą chcieli dobrać się do Władkowskiego – za pośrednictwem Kiryła.

Wodrow nie miał złudzeń co do tego, że przyzna się do wszystkiego, czego sobie zażyczą. Jeśli Szapi zeznał, że Dżamałudin jest międzynarodowym terrorystą po trzech dniach tortur, to on, Kirył, złoży zeznania o kontaktach nieszczęsnego oligarchy z międzynarodowym terroryzmem przed upływem doby.

„W takim razie, jaki jest sens oporu? – przemknęło przez mózg Kiryła. – No co, stracisz do siebie szacunek, jeśli napiszesz na czystej kartce papieru, że Dżamałudin jest zabójcą, fanatykiem i zwierzęciem? Założmy, że tak. A gdy przyznasz się do tego samego, tylko z wyrwanymi paznokciami, zdychając w trzydziestoosobowej celi, to co, wtedy będziesz się bardziej szanował?”

Gdy minęła dziewiąta, Kirył włączył wiadomości.

Pokazywano delegację rządową. Iwan Ugłow schodził po trapie samolotu z jakąś damą z Komisji Europejskiej. Przy czerwonym dywanie witał ich Gamzat Asłanow i Fiodor Komissarow.

Ugłow był ostatnią deską ratunku Kiryła.

Ale Wodrow wcale nie był pewien, że to wszystko, co wydarzyło się godzinę temu, nie stało się na rozkaz Ugłowa. Iwan Witaljewicz miał umysł ostry jak brzytwa. To nie był umysł biznesmena czy urzędnika, to był umysł czekisty. To nie był umysł człowieka kierującego państwem, lecz człowieka przeprowadzającego operacje specjalne.

Trzeba było przyznać – jego, Kiryła Wodrowa, byłego pracownika Władkowskiego, podłożono Dżamałudinowi jak śliczną dziewczynę. Wiedzieli, że fanatycznego, zamkniętego w sobie ascety ładną dziewczyną nie podejda. A bojowy, niechby tylko przelotny towarzysz? No, to już co innego. I nie było sensu się łudzić, że wzięli go do załogi dlatego, że jego ojciec był przyjacielem Ugłowa. Ugłow nie znał słowa „przyjaźń”. On znał słowo „kontakty”.

Pięć po dziesiątej Kirył wziął komórkę i wybrał numer Dżamałudina. Wiedział, że telefon jest podsłuchiwany, ale było mu wszystko jedno. Aparat Dżamała był

wyłączony.

Kirył wypalił jeszcze jednego papierosa, a potem wyjął z szuflady czystą kartkę, ozdobioną logo komitetu nadzwyczajnego, i zaczął ją zapełniać drobnym pismem. A potem poszedł piętro wyżej, gdzie w poczekalni Komissarowa, uśmiechając się do swoich myśli, siedział Misza Sliwoczkin. Misza przeczytał kartkę, podpisał, przybił pieczętkę i zapytał:

– Czyli co, jedziesz przesłuchać Eminowa?

– Tak.

– Najwyższa pora. Mamy dokumenty świadczące o jego kontaktach z zachodnim wywiadem, a ty się cackasz z tym terrorystą. Co się szczerzysz?

– Nie szczerzę się. Faktycznie jest terrorystą.

Po tej krótkiej wymianie zdań, z której Misza wysnuł niewłaściwe wnioski, Kirył zszedł na dół, wezwał dwóch miejscowych gliniarzy nudzących się przed wejściem i polecił im jechać ze sobą.

Minęła dziewiąta trzydzieści. Sala posiedzeń parlamentu Republiki Awarii Północnej – Dargo była pełna ludzi i kamer telewizyjnych, a plac przed domem na wzgórzu został zastawiony BTR-ami i otoczony kordonem.

Wszyscy czekali na przyjazd wicepremiera Ugłowa. Wszyscy mówili o tym, że dzisiaj wicepremier przedstawi parlamentowi republiki kandydaturę przyszłego prezydenta.

Lider opozycji lackiej i szef Awartransfłotu Saparczy Tiełajew siedział w prezydium jako pierwszy z prawej strony. Sądził, że dziś zostanie prezydentem – zapłacił za to dziesięć milionów dolarów.

Po lewej stronie siedział lider kumyckiej opozycji i mer Torbikały Szarapudin Atajew. On też uważał, że zostanie dziś prezydentem: przez cały tydzień karmił i zabawiał komisję z FSB i przekazał jej pięć milionów dolarów.

Po lewej od Atajewa siedział lider opozycji demokratycznej i wicemarszałek parlamentu Saitbek Mirzabekow. Był pewien, że mianują go dzisiaj prezydentem, ponieważ odstąpił Komissarowowi udział w nielegalnej wytwórni koniaku i studiował na jednym wydziale z obecnym ministrem finansów.

Saparczi, tryskając entuzjazmem, nachylił się do mera miasta i powiedział:

– Hej, Szarapudinie! Dziś mianują mnie prezydentem! Może oddasz mi port morski już teraz?

– To mnie mianują dziś prezydentem – odparł mer. – I wyrwę ci ten port razem z zębami.

W tym momencie otworzyły się boczne drzwi i w nich, w oślepiających rozbłyskach fleszy ukazał się pierwszy wicepremier Ugłow. Obok niego, w białym garniturze i białych krokodylich butach, stał ludowy deputowany Gamzat Aślanow.

Ale nie byli sami.

Przed nimi, niczym kryształową kulę do przepowiadania przyszłości, ochrona prowadziła wózek inwalidzki. Na tym wózku, w eleganckim czarnym garniturze, gładko ogolony i starannie ostrzyżony, siedział prosto prezydent Republiki Awarii Północnej – Dargo Ahmednabi Aślanow.

Wszystkich obecnych zatkąło. Saparczi Tiełajew klasnął w dłonie i w przypiływie szczerości zwrócił się do mera:

– A mnie powiedzieli, że ten stary baran już zdechł!

W tym momencie prezydent zrównał się z prezydium, flesze zlały się w jedną strugę światła, a Saparczi obróciwszy swój wózek tak, że omal nie wpadł na ochroniarzy, zawołał:

– Ahmednabi Ahmedowiczu! Wszyscy się za pana modliliśmy! – I urwał.

Prezydent Aślanow patrzył niewidzącymi oczami.

Ahmednabi Aślanow, wielki prezydent, dziesięć lat sterujący republiką, zonglujący wszystkimi: wahabitami i tarikatystami<sup>1</sup>, radykałami i umiarkowanymi, Awarami i Lakami, Kumykami i Czeczenami, polityk o żelaznej woli i brązowym sumieniu, człowiek, który odmówił rezygnacji ze swojego stanowiska, gdy w tej właśnie sali okupujący budynek rządowy buntownicy grozili, że zarzną jego synów jak barany – ten człowiek był martwy.

Wyschnięty staruszek z rzadkimi włosami na głowie i spojrzeniem pustym jak zbombardowany dom, to było truchło Ahmednabiego. Oto, co zostaje z człowieka, gdy jego dusza umiera, a ciało dostają do swojej dyspozycji taksydermiści najlepszych klinik świata.

Z bliska Saparczi widział to tak samo wyraźnie jak wskazówkę sekundnika na zegarku, ale sala z daleka widziała jedynie majestatycznego starca na wózku.

Gwar i szum cichły powoli. Członkowie prezydium usiedli, a wicepremier Ugłow wszedł na mównicę. Za jego plecami krzyżowały się drzewce dwóch trójkolorowych flag: rosyjskiej i republikańskiej, w której niebieski pas zastąpiono zielonym.

– Szanowni deputowani oraz członkowie rządu! – zaczął wicepremier Ugłow. – Jak widzicie, prezydent Asłanow znowu jest z nami! Wrogowie Rosji nie doczekali się jego odejścia. I właśnie dlatego, że prezydent Asłanow był, jest i pozostaje prezydentem, z całą wyrazistością pojawia się kwestia umocnienia innych elementów pionu władzy, w szczególności parlamentu i rządu. Parlament republiki jest rozchwiany, niektórzy deputowani zachowują się tak, jakby przy tym stole, w tym prezydium, nadal siedzieli przywódcy buntowników i deputowani znaleźli się tu wbrew swojej woli! Czas położyć temu kres. Odbyliśmy w Moskwie naradę z prezydentem i postanowiliśmy zaproponować na stanowisko przewodniczącego parlamentu republiki ludowego deputowanego z rejonu szebeskiego Gamzata Ahmednabijewicza Asłanowa!

Saparczi Tielajew wymienił spojrzenia z merem Torbikały. W jednej chwili zrozumiał, co się teraz stanie. Prezydent Asłanow był niezdolny do pracy. Zgodnie z konstytucją republiki w takim przypadku obowiązki prezydenta pełnił marszałek. Gamzata wybiorą na przewodniczącego parlamentu i to on będzie de facto sprawował funkcję swojego ojca, dopóki ten nie umrze. I nie było żadnego sposobu, żeby do temu zapobiec. Nie można było odmówić prośbie nad trumną nieboszczyka – zwłaszcza, że nieboszczyk prosił osobiście.

W chwilę później Saparczi wyjechał swoim wózkiem nieco do przodu, wziął mikrofon i powiedział:

– Iwanie Witaljewiczu, to ze wszech miar słuszna decyzja. Gamzat Ahmednabijewicz dał się poznać jako doświadczony polityk, człowiek o niezłomnej woli, jasnym umyśle i wyjątkowym uroku osobistym. Nasza republika znajdzie się w pewnych rękach!

– Nadzwyczaj słuszna decyzja! – zawołał mer Torbikały Szarapudin Atajew.

– To nie decyzja, a czyn! – poprawił lider opozycji Saitbek Mirzabekow.  
– Wreszcie zakończy się pasmo nieszczęść, których doświadcza republika!  
A wszystko dzięki dalekowzroczej decyzji Kremla!

Gamzat Asłanow siedział w prezydium wyprostowany, jego opięte białymi skórkowymi rękawiczkami palce stukały o powierzchnię stołu. Rozbłyśki fleszy raziły go w oczy, niczym światło Przemienienia Pańskiego na górze Tabor. Siedział na tym samym miejscu, gdzie pół roku temu Nijazbekowi Malikowowi wsadzono w kark kulę ze stieczkina.

Nijazbek był martwy, a on, Gamzat, żył, albowiem Allah zawsze pomaga sprawiedliwym.

Czarne audi Kiryła zatrzymało się przed szpitalem miejskim za kwadrans dziesiąta.

Kierowca został w samochodzie, a Kirył, w towarzystwie dwóch potężnych gliniarzy, wszedł na drugie piętro. Tam, wśród piszczących dźwięków oscylografu, pod czujnym okiem dwóch milicjantów, w oddzielnej sali trzymano człowieka mającego paszport na nazwisko Eminowa.

Tym razem Mahomet był przytomny. Leżał w poźółkłej ze starości pościeli, a jego ręce przypominały kleszcze raka pustelnika, chuda po lewej, a wielka, zagipsowana, po prawej. Czarne oczy obojętnie patrzyły w biały sufit, żylasta szyja wystawała z rozpiętego kołnierza pasiastej piżamy. Przy chorym krzątał się lekarz. Na widok Kiryła uśmiechnął się uprzejmie.

– Poznajcie się. Mahomecie – powiedział. – To Kirył Wodrow, śledczy z Moskwy. Ten sam, który uratował ci życie.

Czarne oczy oderwały się od sufitu i spojrzały na Kiryła. Wodrow był wstrząśnięty tym, jak bardzo wiedza o człowieku zmienia podejście do niego. Tydzień temu widział przed sobą bezradnego, złamanego życiem, wcześniej posiwiąłego mężczyznę, który w rozpaczliwym porywie popełnił głupie i straszne przestępstwo, mające jeszcze straszniejszą cenę. Teraz widział przed sobą siwego wilka. Człowieka, który bronił Groznego w styczniu 1995 roku i zdobywał go w sierpniu 1996. Człowieka, który uciekł po śniegu z Pierwomajki i ocalał w piekle

szpitala położniczego.

Ten człowiek przeżył tam, gdzie Kirył nie przeżyłby nigdy, i Wodrow musiał pamiętać, że w walce jeden na jednego ten fanatyk raczej by go pokonał, mimo gipsowych kleszczy i rany w boku.

– Niech pan go wypisze – polecił Kirył. – Zabieramy go.

– Ale...

– Zabierzcie go – polecił Kirył i patrzył wstrząśnięty, z jaką gorliwością gliniarze wyciągnęli chorego z łóżka.

Kiedy jeden z milicjantów rzucił go na kolana, lekarz zawołał:

– Tak nie wolno! Ma skomplikowane złamanie!

Chwilę później kajdanki zatrzasnęły się na rękach za plecami aresztowanego i Kirył zobaczył jego oczy: szklane, jak u wypchanego zwierzęcia. Z ust jeńca nie wydobył się ani jeden dźwięk. Lekarz rzucił Kiryłowi takie spojrzenie, jakby go oblewał kubłem pomyj.

– Poczekajcie! – krzyknął rozpaczliwie. – Dajcie mu chociaż jakąś kurtkę, jakieś ubranie!

Aresztowany był boso, miał na sobie pasiastą piżamę, z trudem schodzącą się na piersi, rękawy kończyły się nad łokciami. Na dworze było piętnaście stopni, ale w takim stroju na pewno byłoby mu chłodno. Lekarz wyskoczył na korytarz i chwilę później wrócił z brązową zamszową kurtką. Sądząc po kluczach i zwitku pieniędzy, które wytrząsnął na stół, kurtka należała do niego. Klucze wrzucił do kieszeni, a z pieniędzmi się zawahał. Widać zdawał sobie sprawę, że aresztowanemu odbiorą, a dla moskiewskiego śledczego to za mało.

– Zostaw sobie – poradził Kirył. – Jemu się nie przydadzą.

Lekarz narzucił choremu kurtkę na ramiona, gliniarze wzięli go pod łokcie i sprowadzili na dół. Kirył odwrócił się, żeby pójść za nimi, a lekarz rzucił półgłosem:

– Wie pan, Kiryle Władimirowiczu, czym różni się Kaukaz od Moskwy? Tu o ludziach sądzą po czynach, a nie po wystąpieniach w telewizji. A każdy czyn wylatuje muchą, a ląduje słoniem. Przez ostatni miesiąc bardzo dobrze tu o panu mówili. Kiedyś tak samo mówili o Pankowie.



Kirył wyszedł.

Wylot delegacji rządowej do Besztoju wyznaczono na dziesiątą i wszyscy pojechali ją odprowadzić. Na lotnisku zjawił się również Saparczi Tiełajew, ale czekała go tam przykra niespodzianka. Gdy dojechał pod salę dla VIP-ów i przesiadł się ze swojego jedyne go na świecie hummera z ręcznym sterowaniem na wózek inwalidzki, funkcjonariusze FSO i ochrony Gamzata odmówili mu wejścia do helikopterów.

– Nie wolno – oznajmił szef ochrony Ahmed.

Smągła twarz Saparczego lekko pobladła, inwalida położył dłoń na poręczy wózka takim gestem, jak kowboje kładli rękę na kaburze.

– Co ty pleciesz? – zapytał szef państwowej spółki akcyjnej.

Ahmed skłonił się lekko Saparczemu.

– Polecono nam dziś zastosować wzmożone środki bezpieczeństwa. Nie możemy wpuścić na pole startowe niczego, na co reaguje wykrywacz metalu. Ale może pan oczywiście zostawić wózek i przejść się na lądowisko, Saparczi Ahmedowiczu.

Stropiony Saparczi nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Dawno temu w podobnej sytuacji poszedł do domu, wziął strzelbę i zastrzelił tego, który go obraził. Ale od tego czasu minęło czterdzieści lat, poza tym w tamtej historii nie pojawiali się oficerowie FSO. Saparczi miał świadomość różnic kulturowych i wiedział, że strzelanina w obecności FSO nie podniesie jego autorytetu w oczach wicepremiera.

Saparczi zawahał się i w tej chwili w sali zjawił się Gamzat Asłanow, odprowadzający wicepremiera. Wszyscy obecni poderwali się, jedni podbiegli do Gamzata, żeby uścisnąć mu dłoń, inni zaczęli bić brawo. A Gamzat odwrócił się do Saparczego, który rzecz jasna nadal siedział na wózku inwalidzkim, zmierzył go wzrokiem, uśmiechnął się i powiedział:

– Hej, Saparczi! Popatrz no, wszyscy stoją, tylko ty siedzisz! Może boisz się wstać, żeby ci pampers nie wypadł?

Krew odpłynęła ze smągłej twarzy Saparczego Tiełajewa, wszyscy obecni zamarli. A Gamzat odwrócił się i powędrował na lądowisko przez bramkę

wykrywacza metalu, przytrzymując ręką odstającą białą marynarkę tak, żeby wszyscy widzieli rękojeść złotego stieczkina z cytatem z Koranu.

Za nim poszła ochrona.

Po dziesiątej czarne audi Kiryła wjechało do garażu willi, którą zajmował komitet nadzwyczajny. Jeniec siedział z tyłu między dwoma gliniarzami, jak kotlet w hamburgerze. Kirył wysiadł, gliny wyciągnęły jeńca. Kierowca, który chyba miał na imię Igor, też wysiadł z samochodu i wyjął papierosy.

– Dokąd go? – spytał gliniarz.

– Do bagażnika – odparł Kirył.

Na twarzy gliniarza odbiło się zaskoczenie. Popatrzył na swojego towarzysza i zapytał:

– A my?

– Chcesz dotrzymać mu towarzystwa? – zapytał ze zjadliwym uśmiechem Kirył.

– Zapraszam.

Na kwadratowej gębie odbił się intensywny wysiłek intelektualny i gliniarz zrobił krok w tył. W republice nikt, oprócz świrów z Besztoju-10, nie lubił uczestniczyć w operacjach o nazwie „Wywóz do lasu”. Do gliniarzy strzelali nie tylko wahabici: jak pokazywał przykład człowieka, który stał przed nimi w pasiastej piżamie, tu do gliniarza mógł strzelić zwykły człowiek. Ci, którzy bez kominiarki na twarzy wyrywali więźniom paznokcie czy bawili się lutownicą, źle kończyli. Cała poprzednia załoga szóstego posterunku pracowała z odsłoniętymi twarzami. Po upływie półtora roku nikt nie został żywy.

Ci dwaj wiedzieli, że nie mają na sobie tabliczek z napisem „tylko dla wahabitów”. A kretyn, który na oczach wszystkich strzelał do gliniarza, tylko dlatego, że ten go zwyzywał, ma przypuszczalnie bardzo niemiłych krewnych.

Jeńca wrzucono do bagażnika i gliniarze szybko się oddalili.

Kirył jeszcze przez chwilę stał w garażu, dopalając papierosa. Potem usiadł za kierownicą i zapuścił silnik.

Gdy później FSB zażądało ustalenia trasy pojazdu, okazało się, że o 10.40 zastępca szefa komitetu nadzwyczajnego Kirył Wodrow przejechał przez posterunek

przy zachodnim wyjeździe z Torbikały, a o 11.50 audi minęło Szamchalsk. Do Tunelu Kurszyńskiego zostało siedemdziesiąt kilometrów, do Besztoju – dziewięćdziesiąt.

Delegacja z wicepremierem Ugłowem przyleciała do bazy Besztoj-10 koło południa.

Przy trapie przykrytym czerwonym dywanem czekały trzy opancerzone mercedesy, zespół dziecięcy i funkcjonariusze FSO. Był tam również mer Besztoju, uśmiechnięty, w dobrze skrojonym szarym garniturze z sierści merynosa i w lekkim płaszczu.

Jego brat Dżamałudin stał trzy metry za nim przy wypucowanym ikarusie, przeznaczonym dla szeregowych członków delegacji. Miał na sobie beżowy garnitur w prążki. Ponieważ ostatni raz zakładał go pięć lat temu, a od tamtego czasu bardzo schudł, garnitur wisiał na nim jak na wieszaku. Do garnituru włożył różową koszulę i cytrynowy krawat.

Dżamałudin stał i patrzył, jak wicepremier Ugłow schodzi po trapie. Oczy Kemirowa miały kolor ściętych mrozem pączków, obok niego nie było nikogo. Na brzegu płyty lotniska, w dżinsach i czystych podkoszulkach, stali Hagen i Taszow. Ktoś dotknął ramienia Dżamałudina, ten odwrócił się i zobaczył Komissarowa.

Szef komitetu nadzwyczajnego miał na sobie nowiutki kamuflaż, na jego szerokiej piersi widniały wszystkie odznaczenia, jakie Komissarow dostał w czasie swojej kariery: od Orderu Męstwa za uratowanie syna Władkowskiego do Bohatera Rosji za operację zlikwidowania czeczeńskich bojowników przy wyjściu z Groznego zimą 2000 roku. W kamuflażu Komissarow przypominał nadnaturalnych rozmiarów pajaka, z okrągłym brzuchem i cienkimi łapkami. Jego mięsista twarz lekko obwisła, lecz granitowe oczy patrzyły prosto i pewnie.

– Co zaszło między tobą a bratem? – spytał.

– Nic. Brat to ja, a ja to brat. Jak między braćmi może się coś wydarzyć? Co my, Cyganie?

– A ja myślę, że jednak coś się stało. I myślę, że to wina Arza. Powiedział mi, że porwanie Zaura to był twój pomysł. Że mieliście udział w trzech, on, ty, i Hangerijew. Wtedy o mały włos mu nie uwierzyłem, a teraz zrozumiałem, czemu

kłamał.

– I czemu kłamał?

– Wiesz, że Czeczeni uważają tę ziemię za swoją, prawda? Mówią: przed wojną rejon besztojski był częścią Czeczenii, przed wojną Czeczenia miała dostęp do morza. Arzo ma pewność, że jeśli ty i brat się pokłócicie, on będzie najważniejszy w rejonie. A gdy tak się stanie, wzmocni się jego pozycja w Czeczenii. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby Arzo jednak przyłączył Besztoj do Czeczenii?

Komissarow uśmiechnął się.

– Śmieszne, prawda? Kiedyś Arzo przyszedł w te góry, żeby wziąć je imieniem Allaha. Teraz dostanie to samo – tylko w prezencie od nas.

Dżamałudin stał, wsuwając ręce do kieszeni swojego zbyt luźnego garnituru, i patrzył w milczeniu, jak jego brat ściska dłoń wicepremierowi

Saparci Tiełajew wsiadł do samochodu, gotując się z wściekłości.

Minęło czterdzieści lat od chwili, gdy jako trzynastoletni chłopak strzelił do mężczyzn, którzy go obrazili, strzelił, nie myśląc o konsekwencjach. Przez ten czas Saparci bardzo się zmienił. Z biedaka stał się milionerem, z bojownika kaleką, z kryminalisty biznesmenem, członkiem Jednej Rosji i przewodniczącym wszechkaukaskiego związku zapaśniczego. Myliłby się ten, kto by uznał, że jest biznesmenem tylko z nazwy. Nigdzie nie uczysz się biznesu tak szybko jak tam, gdzie błąd równa się kulce w łeb.

I teraz Saparci Tiełajew uświadamiał sobie, jak bezczelnie go wykołowano. Gdyby od początku wiedział, że Gamzat zostanie przywódcą republiki, miałby jeszcze możliwość ruchu. Mógłby się dogadać z Gamzatem. Mógłby się zjednoczyć z Kemirowami.

Ale Saparcziemu powiedzieli, że prezydentem republiki będzie Zaur, i poszczuli go na Kemirowa, załatwili go jak frajera... Więcej! Zmusili go do zapłacenia za to, żeby przemienić w śmiertelnego wroga człowieka, który mógłby zostać jego jedynym sprzymierzeńcem. I zrobili to z premedytacją: żeby rozbić potencjalną koalicję wrogów Gamzata.

Saparci mógł podejrzewać, że coś zrobią Szapiemu Czarachowowi. Ale nie miał

pojęcia, że sprawa przybierze taki obrót! Myślał, że może go zwolnią, wytoczą sprawę karną... Ale że Szapiego, kawalera Orderu Męstwa wrzucą do piwnicy jak jakiegoś wahabite? Że omal go nie zastrzelą podczas zatrzymania? Że go złamią – szczurem?

Saparczi siedział za kierownicą swojego hummera i w milczeniu patrzył, jak helikoptery wznoszą się w powietrze. Nie miał wątpliwości, że Ugłow jedzie do Besztoju, by na miejscu rozprawić się z Kemirowami.

Co do tego nikt w republice nie miał wątpliwości. Do Torbikały z okazji wizyty wicepremiera przysłano stu żołnierzy. Do Besztoju – ośmiuset, w BTR-ach i czołgach. Już tylko T-82 mógłby zmieść całą „armię” Dżamałudina jednym strzałem.

I on, Saparczi Tielajew, za własne pieniądze wykupił sobie bilet na jeden pociąg z Kemirowami!

Gdy opadł kurz, podniesiony przez konwój Gamzata Aślanowa, Saparczi Tielajew z całej siły wrzucił bieg i pomknął swoim białym hummerem w prawo, tam, gdzie na skrzyżowaniu w kierunku przeciwnym do Torbikały, stał drogowskaz: „Besztoj – 264 km, Grozny – 350 km”.

Przez te czterdzieści lat Saparczi Tielajew nauczył się kłamstwa i zdrady. Ale nie oduczył się zabijania.

W Torbikale było brudno i słonecznie. Piasek, który pozostał po stopniałym śniegu, leciał na szybę audi Kiryła spod kół wielkich ciężarówek. Na klombach walały się nieprzetrawione resztki zimy: puste plastikowe butelki, pudełka po papierosach, papierki po cukierkach.

Za miastem, od razu za przełęczą, droga była bardziej sucha i twarda. Góry tonęły w słonecznym blasku, drzewa na zboczach otulała zielona mgiełka.

Posterunek przed Szamchalskiem zbudowano z worków z piaskiem, przed nimi niczym tarcza stała tablica z napisem: „Tych ludzi poszukuje milicja”. Tydzień temu na posterunku doszło do kłopotliwej sytuacji: gdy żołnierze spali, z przejeżdżającego samochodu pod tablicę rzucono bukiet czerwonych róż.

Nieco z boku drogi znajdował się niewielki bazar, na którym kobiety

sprzedawały różne przedmioty domowego użytku. Kirył zastanowił się, czy nie kupić jeńcowi kołdry, ale w końcu uznał, że wystarczy mu zamszowa kurtka.

Za Szamchalskiem posterunki zniknęły. Na szczytach odległych gór pojawiły się barankowe czapki śniegu i droga zaczęła się wspinać w górę, obrywając się na zakrętach z pogiętymi blaszanymi poręczami. Komputer audi oznajmił, że temperatura za oknem spadła o trzy stopnie.

Za Tunelem Kurszyńskim obok baru ktoś piekł szaszłyki, zielona tablica witała wjeżdżających na terytorium rejonu besztojskiego wielkim napisem „Allah akbar”. Na przełęczy było znacznie chłodniej, z nieba spadały płatki śniegu i wąski pasek między górami a jezdnią był cały w białym puchu.

Kirył zatrzymał się przed tablicą, opuścił szybę i długo palił, patrząc na góry. Były tak strome i nagie, że nawet mech nie mógł się utrzymać na ich zboczach. Od razu za tunelem droga skręcała pod takim kątem, że wjazd do tunelu został z trzech stron wzięty pod straż przez skały. Gdzieś z prawej powinny być stare wyrobiska, przez które Arzo próbował dostać się do tunelu. Kirył patrzył na góry i próbował wyobrazić sobie, co czuł wtedy, siedem lat temu, uwięziony w pułapce komendant polowy, którego wystawiło dowództwo i który musiał albo umrzeć, albo zdradzić swoich.

Kirył nie przepadał za Arzem. Nie lubił, gdy ktoś zdradzał swoich.

Zjechał z szosy dwa kilometry za przełęczą. W tym miejscu odbijała w górę stara objazdowa droga prowadząca do kanału obwodowego ahmadkalińskiej elektrowni wodnej. Na drodze nie było żadnych drogowskazów, jeśli nie liczyć zielonej tabliczki z imieniem Allaha Miłościwego i Miłosiernego, ale Kirył wiedział, dokąd ona prowadzi. Zdążył dobrze poznać te okolice.

Ahmadkalińska elektrownia była drugą pod względem wielkości w republice, lustro wody w zbiorniku wynosiło dziesięć tysięcy metrów kwadratowych. Gdyby zapora Ahmadkały została zniszczona, zatoniłyby trzy górskie wioski, ucierpiałyby piętnaście tysięcy ludzi.

I mimo to zapory nikt nie ochraniał. Gliniarze bali się, a Dżamałudin wiedział, że nie ma takiej potrzeby. Żaden bojownik nie zatapiałby górskich wiosek.

Droga, która prowadziła do podstacji, była dość wygodna, ale niedawno spadły

śnieg omal nie pokrzyżował planów Kiryła. Samochód nie chciał piąć się w górę, jak tylko Kirył wciskał gaz, koła zaczynały buksować. Do chwili, gdy Kirył wyjechał na szeroki betonowy plac, przypominający umocowane między dwoma pagórkami siodło, spociał się tak, jakby niósł samochód na własnych barkach.

Zaparkował pomiędzy skałą a jakimś rozwalonym hangarem, upewnił się, że z drogi go nie widać, i wysiadł, biorąc karabin i kamerę.

Przymocował kamerę do trójnogu, sprawdził, czy jest ustawiona w dobrym miejscu, i wcisnął nagrywanie. Nie chciał majstrować przy kamerze na oczach Ashaba. Byli tu sami, Ashab był górą, a Kirył moskwianinem. Odbezpieczył karabin, otworzył bagażnik i powiedział:

– Wyłącz.

Jeniec leżał w bagażniku i pierwsze, co rzuciło się Kiryłowi w oczy, to jego posiniała skóra z fioletowymi tatuażami żył. Kiryłowi przemknęło przez myśl, że mężczyzna jest nieprzytomny, ale wtedy on odwrócił głowę i na samym dnie jego czarnych, szklanych oczu coś plusnęło i od razu skryło się w głębi.

– Wyłącz – powtórzył Kirył.

Ashab długo gramolił się z bagażnika, potem upadł na beton i już nie próbował wstać.

Szybko robiło się zimno i Kirył ponieważ nie miał, że jednak nie kupił kołdry w Szamchalsku.

– Wstań, Ashabie – polecił półgłosem.

Nadal bał się podejść do jeńca, a tym bardziej go uderzyć. To był irracjonalny strach, ale Kirył nic nie mógł na to poradzić. A jeśli ten człowiek udaje?

Jeniec znów przymknął oczy i Kirył spostrzegł, że z kącika jego warg spływa krwawa ślina.

– Nazywam się Mahomet.

– Nazywasz się Ashab Hasanow. Urodziłeś się we wsi Chosoł 6 września 1965 roku, walczyłeś razem z Dżamałudinem w Abchazji i z Arzem w pierwszej wojnie czeczeńskiej. Szturmowałeś Grozny w 1996 roku i wyszedłeś z niego przez pola minowe w roku 2000. Resztę wojny przesiedziałeś jako dyrektor finansowy w szpitalu położniczym. To ty wprowadziłeś Arsajewa do szpitala.

Ashab milczał. To dziwne, ale Kirył nie postrzegał tego skostniałego z zimna mężczyzny, siedzącego w pasiastych spodniach na przysypanym śniegiem betonie, jako rannego czy chorego. To był trup. Chodzący trup, który jednak mógł mówić i zabijać.

– Możemy się dogadać? – spytał bojownik.

– Tak – odpowiedział Kirył. – Możemy. Nazywam się Kirył Wodrow i jestem członkiem komitetu nadzwyczajnego do spraw wykrycia zabójstwa pełnomocnego przedstawiciela Federacji Rosyjskiej Pankowa. Mam przyjaciela, nazywa się Dżamałudin Kemirow. Zdajesz sobie na pewno sprawę, co on robi z tymi, którzy byli w szpitalu. Powiedz mi wszystko, co wiesz, a ja obiecuję, że zastrzelę cię tutaj i nie zawiozę do Dżamałudina.

Ashab milczał tak długo, że Kirył uznał, iż mężczyzna stracił przytomność albo nie zrozumiał, co się do niego mówi. Ale w końcu jeniec podniósł głowę, jego powieki uniosły się powoli i czarne oczy spojrzały na Kiryła z jakimś przerażającym wyrazem.

– Jesteś członkiem komitetu?

– Tak.

Niezrozumiały uśmiech zatańczył na wargach jeńca i Ashab powiedział:

– Zawieź mnie do Dżamałudina.

Wicepremier Ugłow złożył kwiaty na cmentarzu i razem z merem Besztoju Zaurem Kemirowem pojechał odsłonić pomnik generała Lisaniewicza. Pomnik od dłuższego czasu był restaurowany i dopiero poprzedniej nocy wrócił na swoje miejsce przed merostwem

Ugłow i Kemirow razem weszli na granitowe płyty i pod ostrzałem kamer telewizyjnych wspólnie przecięli wstęgę, którą był obwiązany posąg.

Wicepremier Ugłow powiedział:

– Pomnik generała Lisaniewicza to pomnik męstwa i heroizmu rosyjskich wojowników! To pomnik tego wszystkiego, czego dokonali na Kaukazie.

W czasie odsłonięcia pomnika wokół pierwszego wicepremiera stali funkcjonariusze FSO w nienagannych szarych garniturach, ze słuchawką w uchu.



Nieco dalej znajdowała się ochrona Zaura i kordon miejscowej milicji, a za kordonem ludzie wymachiwali transparentami i wołali „hura!”. Ludzi wpuszczano na plac za okazaniem przepustek, które przez cały tydzień wydawano w zakładach Zaura. Tym, którym wręczano przepustki, mówiono, że jeśli nie przyjdą na plac z rodzinami i plakatami, zostaną zwolnieni.

Dlatego mężczyźni i kobiety wymachiwali pięknymi transparentami i puszczali baloniki, a gdy operatorzy kierowali kamery na tłum, nawet dzieci zaczynały krzyczeć z taką mocą, jakby się zgubiły w górach.

Za zebranyimi wokół placu stało jeszcze dwustu ludzi z OMON-u i SOBR-u, a za kordonem na podwórku meczetu parkowały urale z żołnierzami wojsk wewnętrznych.

Pomnik Lisaniewicza stał dokładnie naprzeciwko merostwa, a po drugiej stronie placu niedawno zbudowano meczet, cztery razy większy od merostwa, nader wielki jak na prowincjonalną świątynię muzułmańską. Budynek był taki duży dlatego, że dzielił się na dwie części. Prawą połowę stanowił meczet z kopułą wznoszącą się na trzydzieści metrów, błękitnymi kafelkami, nisko zawieszonymi żyrandolami i dywanem pociętym na modlitewne prostokąty. Lewą połowę, okalającą podwórze z fontanną, oddano miejscowemu instytutowi islamskiemu.

I na to właśnie podwórko wjechały wojskowe ciężarówki: na całym placu nie było innego miejsca, na którym mogłyby stanąć tak, by nie widziały ich kamery. Gdy trzystu studentów instytutu przyszło w ten piątek studiować Koran, nie wpuszczono ich na podwórko: stały tam urale. Studenci zostali za kordonem razem z innymi ludźmi, którzy również pracowali w zakładach Zaura, ale nie dostali przepustek. Oni nie wznosili okrzyków i nie machali transparentami, ale od strony pomnika, z miejsca, w którym stał Ugłow i Zaur, nie byli widoczni.

Zwykłemu obserwatorowi, stojącemu obok pomnika, trudno byłoby uwierzyć, że mieszkańcy Besztoju mają w ogóle jakieś inne uczucia prócz wszechogarniającej radości z przyjazdu do miasta ważnego federalnego urzędnika. Gdyby ktoś zasugerował coś innego, ów obserwator uznałby to za herezję i wrogą propagandę. Zresztą nawet gdyby pośród stojących pod pomnikiem znalazł się jakiś niedowiarek, który nie ufałby swoim sześcioręczym zmysłom, to i on musiałby się poddać po obejrzeniu

transmisji w telewizji: kamery pokazywały tylko to, co było widać z pierścienia kordonu.

Co się zaś tyczy brata mera, to Dżamałudin siedział z drugiej strony kordonu pod ścianą meczetu, tam, gdzie z cegieł wystawał równy rząd kranów do obmycia.

Zbliżał się czas dziennego salatu i Dżamałudin przyszedł na plac, by się pomodlić. Gdy zobaczył na podwórku meczetu urale z żołnierzami, wyszedł na zewnątrz. Trzystu uczniów instytutu islamskiego bardzo uważnie przyglądało się temu, co robi. A gdy usiadł przed kranami, jeden ze studentów podszedł do niego i zapytał, co będzie z piątkową modlitwą. „Czy ktoś przeszkadza ci się modlić? – zapytał Dżamałudin. – A więc idź i się pomódl”.

Dżamałudin przysiadł na kamiennym murku, podsunął ręce pod kran. Struga wody przelatywała między palcami i uderzała w nadgarstek z platynowym patek philippe'em. Zegarek podarował mu Zaur, wkrótce po uwolnieniu. Cztery lata temu rozwalila go kula w szpitalu, wskazówki na zawsze zastygły na godzinie dziewiętej trzydzieści siedem. Od tamtej pory Dżamałudin nie nosił innego zegarka.

Ktoś dotknął jego ramienia. Kemirow odwrócił się, sądząc, że to kolejny student, i zobaczył Kiryła Wodrowa. Federał nachylił się do niego.

– Chodźmy, jest sprawa.

– Poczekaj ze swoją sprawą do końca salatu.

– To nie moja sprawa, lecz twoja – odpowiedział półgłosem Kirył. – Leży w moim bagażniku. Nawiasem mówiąc, omal nie narobiłem w spodnie, jak go wiozłem przez wszystkie posterunki.

W domu stojącym na górze jednak była piwnica. Na środku podłogi widniał potężny stalowy uchwyt, od którego biegł gruby łańcuch. Materac w kącie cuchnął, i to na pewno nie rozbitym słoikiem z marynatą.

Nieprzytomnego Ashaba rzucono na materac. Przykryto go dwiema kołdrami i Hagen władował jeńcowi końską dawkę jakiegoś stymulatora. Strzykawkę rzucił na podłogę i piwnica od razu zaczęła przypominać norę narkomana. Ashab nie ruszał się przez piętnaście minut. Hagen nawet chciał go uderzyć, żeby sprawdzić, czy jeniec nie udaje, ale Dżamałudin powstrzymał go gestem. Trzy minuty później

daleki krewny Kemirowów otworzył szeroko oczy.

– *Salam alejkum*, Dżamalu – powiedział. – Już dawno powinienem był z tobą pogadać. Ale za bardzo chciałem żyć.

Nikt nie odpowiedział, a Ashab podniósł się i usiadł. Hagen znów ruszył do niego, zaciskając pięści, a Dżamałudin znów podniósł rękę. Aryjczyk zatrzymał się, jakby wpadł na szklaną ścianę.

Ashab siedział z chorą nogą wyciągniętą przed siebie. Opierał się o cementową ścianę wysmarowaną czymś brunatnym. Czarne oczy przesunęły się po ludziach, którzy zeszli do piwnicy, i zatrzymały na jedynym Rosjaninie, siedzącym na krześle za Dżamałudinem.

– Rzeczywiście jesteś podwładnym Komissarowa? – zapytał jeniec.

– Tak.

– W takim razie wyświadczyłeś swojemu szefowi niedźwiedzią przysługę. Bo to na jego polecenie wprowadziłem Wagę do szpitala.

Do Kiryła sens tych słów dotarł dopiero po chwili – i wtedy drgnął, jak wzdryga się ziemia od gromu, kilka sekund po wyładowaniu elektrycznym między chmurami.

– To kłamstwo! – zawołał Kirył. – To niemo...

Dżamałudin podniósł rękę i Wodrow urwał.

– Mów dalej – polecił Awar.

– To nie jest kłamstwo – powiedział Ashab i po jego fioletowych wargach przemknął uśmiech. – Szpital położniczy wysadził w powietrze nie Waha Arsajew, lecz Fiodor Komissarow. A ja tylko wykonałem jego polecenie.

– Jesteś agentem FSB? – spytał Dżamałudin.

Ashab skrzywił się.

– Wiesz, jak to bywa. Agent, nie agent, kto się tam rozezna... Każda strona gra w pokera z szatanem i liczy na wygraną.

Kirył znów chciał się wtrącić, ale Hagen położył mu rękę na ramieniu i Rosjanin uznał, że na to będzie czas potem.

– Kiedy cię zwerbowali? – indagował Dżamałudin.

– Jeszcze w Chankale. Ale wiesz, że to nic nie znaczyło. Stamtąd nikogo nie wypuszczali bez podpisu, tyle że ten podpis nie był wart papieru, na którym go

postawiono.

– A kiedy zdrożał?

– Gdy zaczęli wykupywać zakładników. Komissarow miał duży procent, to on mówił, kogo zwinąć. Pamiętasz tego Francuza, którego sprzedałem w Szali? Tego, który handlował pomocą humanitarną?

– Pewnie, że pamiętam – przyznał Dżamałudin. – Mój brat do dziś uważa, że byłem na procencie.

– Namiar na niego dał mi właśnie Fiodor. Myślę, że Francuz zalał im za skórę. Nie chcieli, żeby obcokrajowcy pętali się po Czeczenii i opowiadali, co się tam dzieje. Chodziło o to, żeby przestali wścibiać nos w nieswoje sprawy.

Kirył zacisnął zęby. Z tego, co pamiętał, „Francuza, którego sprzedano w Szali”, w końcu nie wykupiono. Przetzymujący go ludzie zaśpiewali za wysoką cenę, potem Francuz chorował, a w końcu bandyci odcięli mu głowę i przysłali taśmę z nagraniem do ambasady francuskiej. Nawet jeśli porwano go na podstawie informacji od rosyjskich służb specjalnych, na pewno nie była to samodzielna akcja służb.

– Za tego Francuza – mówił dalej Ashab – Szamil się potem po nas przejechał. Nawet szukał chłopaków, którzy ścięli mu głowę. W sumie nie mógłby im nic zrobić, to był ich towar i ich sprawa, ale gdyby się dowiedział, że Francuza porwałem na podstawie danych z FSB, rozerwałby mnie na kawałki. A ja go złowiłem razem z jednym majorem i ten sukinkot wszystko nagrywał.

Ashab zamilkł i kilka chwil siedział z zamkniętymi oczami. Cuchnął i Kirył z satysfakcją pomyślał, że ten cholerny terrorysta narobił pod siebie jeszcze w samochodzie. Ale po chwili przypomniał sobie, że ten człowiek spędził w bagażniku cztery godziny i mógł się załatwić bynajmniej nie ze strachu.

– Daj no coś zjeść – odezwał się nagle jeniec. – Od rana nic w ustach nie miałem.

Dżamałudin skinął głową i Taszow, obecny podczas przesłuchania, cicho wyszedł za drzwi.

– Potem – podjął opowieść Ashab – po zajęciu szpitala zostałem pojmany. Gliniarze mnie wzięli i bili tak, jak nawet ty nie bijesz. Myślałem, że ty mnie wykupiłeś, a tak naprawdę wyciągnął mnie Komissarow, przebywał wtedy

w Nalczyku. Wywieźli mnie do Piatigorska i zmusili, żebym nagadał na ludzi.

– Na kogo?

– Na wszystkich, których znałem. Na Arza, na ciebie. Komissarow sprytnie wszystko rozegrał. Mówi do mnie: „Widzisz, Arzo jest teraz po naszej stronie. Jak myślisz, można mu ufać czy nie?”. A mnie nie było żal Arza, to on wprowadził nas wszystkich w tę pułapkę, a sam przeszedł do kafirów. Gdyby niewierni przestali ufać Arzowi, tym lepiej.

– Dżamałudina też obciążylesz? – zapytał ze swojego krzesła Kirył.

Ashab wyprostował się.

– To wszystko zdarzyło się przez niego. Gdyby nie on, byłbym imamem Besztoju. Rosjanie mnie pytają, czy można ufać Kemirowowi – myślisz, że przegapiłbym okazję skłócenia go z Rosjanami?

Drzwi do piwnicy otworzyły się cicho i stanął w nich Taszow z głęboką miską. Słodki zapach bulionu z kury zmieszał się z wonią moczu. Kirył odruchowo sięgnął po papierosa, ale wtedy Dżamałudin wyrwał mu go, rozdeptał, a potem zabrał mu całą paczkę i przydeptał obcasem. Trzask pękającego opakowania kartonowego zabrzmiał w piwnicy jak wystrzał.

– Co było dalej? – spytał Dżamałudin, gdy Ashab zjadł już bulion.

– Złożyłem zeznania, oni mnie wypuścili, a ty załatwiłeś mi posadę dyrektora szpitala położniczego. Pomyślałem wtedy, że tanio się wykpiłem. Przecież nikogo nie wydałem, nie napisałem ani słowa na korzyść kafirów. Leczyli się u mnie różni poszukiwani ludzie, a ja nie wydałem ani jednego. A potem przyjechał Waha z tą swoją sprawą bazy lotniczej.

– I wydałeś go Komissarowowi?

– Nie. Ja... Pojechałem do Piatigorska, w interesach, a tam mnie wygarnęli z hotelu i przywieźli do Komissarowa. Zaczął od czego innego, zapytał o sytuację w republice, o Zaura, o prezydenta, a potem nagle spytał, czemu nie powiedziałem o szykowanym ataku na Besztoj-10.

– A skąd o nim wiedział?

– Pojęcia nie mam. Widocznie miał jeszcze innych donosicieli, bo wiedział wszystko, nawet to, gdzie jest Waha, a przecież to ja wynająłem mu mieszkanie.

A potem nagle mówi: „Posłuchaj, Ashabie, zawsze sobie pomagaliśmy. Nic z tego, co nam mówiłeś, nie było dla ciebie niewygodne. Nic z tego, o co prosiliśmy, nie wyrządzało krzywdy tobie i twoim ludziom. Jaki jest twój stosunek do prezydenta republiki?”.

Kirył aż drgnął. Co miał z tym wspólnego prezydent Asłanow?

– Ja mu na to: „Mój stosunek? Przez niego wsadzają ludzi na butelkę i wrywają im paznokcie!”. Wtedy on mówi: „Wiesz przecież, że nie zajmiecie bazy lotniczej. Ty, jako tutejszy, będziesz kierował operacją na miejscu. Gdy was odepchną od bazy, zawieź Wahę do szpitala. Posiedzicie tam ze dwa dni, a potem otworzymy wam korytarz. Potrzebuję pretekstu, żeby usunąć waszego prezydenta. Ty pomożesz mnie, a ja tobie”. Tu już się przestraszyłem i powiedziałem, że nie mogę na to pójść. A Komissarow: „Jeśli tego nie zrobisz, powiemy, że to ty zdradziłeś plan operacji”.

– I zgodziłeś się? – zapytał Dżamałudin.

– Przysięgam na Allaha, Dżamałudynie – skąd mogłem wiedzieć, że szpital wyleci w powietrze?! Komissarow powiedział, że potrzebuje całej tej akcji, żeby zdjąć prezydenta Asłanowa, obiecał, że nawet włos nie spadnie z głowy dzieci. Co by w tym było złego, gdyby zdjęli prezydenta?!

Ashab nagle zamilkł, powiódł po ludziach złym spojrzeniem.

– Myślisz, że oni mają mało kapusiów? Myślisz, że federalowie nie wiedzą, po co łazisz po górach? Przysięgam na Allaha, że w tej piwnicy siedzi dwóch donosicieli, a nawet trzech, nie licząc tego Rosjanina! Myślisz, że on się z tobą zakumplował ot, tak sobie? A ja ci mówię, że oni znają każdy twój krok! Na dwa miesiące przed naszym atakiem służby specjalne łąziły po całym Besztoju, a ty do dziś myślisz, że Alfa przypadkiem znalazła się w bazie!

Kirył spojrzał na Dżamałudina spode łba. Awar stał wyprostowany, zakładając ręce za plecy i w świetle tej żarówki jego skóra wydawała się szara i zapadnięta. Kirył nie widział wyrazu jego twarzy, ale zauważył na skroni Dżamałudina, poniżej linii czarnych, twardych włosów, kilka kropli potu.

– A teraz – powiedział Ashab – jak już ci wszystko powiedziałem, zrób ze mną, co chcesz. Tylko nie zapomnij zrobić tego samego z Rosjaninem, bo to taki sam agent Komissarowa jak i ja i robi z tobą to, czego chcą federalowie.

Dżamałudin odwrócił się i zmierzył Kiryła wzrokiem od stóp do głów.

– To przecież kłamstwo! – zawołał Kirył. – On to wszystko zmyślił, Dżamałudynie, od początku do końca, z wyjątkiem swoich donosów! Nie ma żadnego potwierdzenia jego słów! Uciekał przed tobą, wiedział, co robisz z terrorystami, i dopracowywał tę historię przez całe lata! Wahabici gotowi są zrobić wszystko, żeby skłócić cię z federalami!

Dżamałudin uśmiechnął się krzywo.

– Jeśli faktycznie to wymyślił, to pożałuje.

Kirył spojrział mu w oczy i z przerażeniem zobaczył, że są szkliste.

– Posłuchaj, Dżamałudynie – powiedział Rosjanin – w tej historii wszystko zbyt dobrze się składa. Nienawidzisz Komissarowa, on krzywdzi ciebie i twoją rodzinę, a tu nagle pojawia się człowiek i mówi, że Komissarow nie jest lepszy od Wahy Arsajewa!

– No pewnie, że nie lepszy – odpowiedział spokojnie Dżamałudin. – Nawet Waha nie chciał wysadzić szpitala położniczego, chciał tylko uciec. A twój szef spokojnie poświęcił kobiety i dzieci. Wiesz, że w sytuacji, gdy jest zawarte porozumienie, za zabitą kobietę płaci się dwa razy więcej? Za jedną kobietę zabijają dwóch mężczyzn! A twój szef zamordował sto pięć kobiet.

– To i tak jest inaczej! – zawołał Kirył. – Nawet jeśli Komissarow... Nawet jeśli to prawda... To czemu Komissarow jest winien? Temu, że chciał zdjąć prezydenta Aślanowa? On też nie wiedział, że...

W następnej chwili Dżamałudin złapał Kiryła za kołnierz. Ciemne, pełne szaleństwa oczy Awara patrzyły przez Rosjanina jak przez szybę.

– On nie chciał zdjąć prezydenta Aślanowa – powiedział głuchym głosem Kemirow. – W tym czasie spotykał się ze mną i z Zaurem raz w tygodniu, mówił, że nie może odwołać Aślanowa, ale że zbuduje w Besztoju kurort narciarski z rezydencją prezydenta Federacji Rosyjskiej. Człowiek nie może jednocześnie obiecywać budowy filii Kremla i umieszczać w szpitalu terrorystów!

Kiryłowi wszystkie słowa wypadły z głowy, jakby korek wyskoczył z butelki od szampana. Pewnie straciłby równowagę i upadł, gdyby Dżamałudin nie trzymał go jak kociaka. Dlatego tylko się zachwiał, zaszurał butami po cemencie i cofnął

szybko, opadając na krzesło.

– To nieprawda... Po co?... O Boże, Dżamałudinie, jeśli on to zrobił, to dlaczego?

– O to spytam go osobiście – odparł spokojnie Dżamałudin. – Hagen, ilu naszych ochrania „Czerwone Zbocze”?

Była druga w nocy, gdy biały hummer Arza Hadżijewa zniknął we wlocie do Tunelu Kurszyńskiego. Przejechał półtora kilometra, zahamował i wyskoczyły z niego dwie ciemne postacie, które od razu rozplynęły się w wilgotnym mroku szybu wentylacyjnego.

Gdy pięć minut później hummer wyjechał z tunelu, na posterunku przy wyjeździe nikt nie zorientował się, że w środku zrobiono krótki postój.

Starszy z tych dwóch ludzi, którzy wyskoczyli z dżipa, nazywał się Abdurahman Mahometow.

Dwudziestosiedmioletni Abdurahman nie lubił broni. Wolał Koran i był najlepszym uczniem starego imama w jednym z meczetów Torbikały. Potem dostał stypendium Zaura Kemirowa i na pięć lat wyjechał do Syrii. Gdy wrócił, został imamem-chatybem meczetu na miejsce swego zmarłego nauczyciela.

Mahometow dość często pojawiał się w telewizji, jego artykuły publikowano w prasie. Pisał w nich o konieczności prowadzenia dżihadu przeciwko sobie, a nie przeciw wrogom, i nie można było powiedzieć, żeby nie myślał tego, co pisał.

Pewnej nocy Mahometow, wracając do domu piechotą (był raczej biedny i nie mógł sobie pozwolić na samochód), spostrzegł, że na podwórku obok kubłów ze śmieciami stoi szary hummer, a o jego maskę opiera się chudy, nieco wyższy od Mahometowa człowiek w czarnych spodniach i czarnej koszuli, z gładką smagłą twarzą i oczami w kolorze smoły. Tak Abdurahman poznał Dżamałudina Kemirowa.

– *Salam*, Abdurahmanie.

– *Wa’alejkum assalam*.

– Mówią, że wczoraj rozsądzałeś spór między mężczyzną a jego byłą żoną...

– To prawda.

– Mówią, że w czasie wydawania sądu powiedziałaś, że Waha Arsajew zasłużył



swoimi czynami na raj...

Imam przeraził się, ale nie dał po sobie tego poznać.

– Dżamałudinie Ahmedowiczu – powiedział – nie jestem wojownikiem, lecz uczonym człowiekiem. Powiedziałem, że Waha nie znajdzie się w piekle, jeśli wyrazi szczerą skruchę i będzie żałował swoich czynów. Przecież szpital nie wyleciał w powietrze dlatego, że Waha tak chciał, tylko dlatego, że było to przesądzone z góry. To jak Allah może zmusić człowieka, żeby odpowiadał za coś, co było z góry przesądzone?

Dżamałudin w milczeniu wysłuchał tego wyjaśnienia, a potem pochylił głowę i uderzył Abdurahmana w brzuch. Ten odleciał na trzy metry i rąbnął o asfalt tak, że złamał rękę. Dżamałudin podszedł do niego i kopnął go w nerki.

– To również było przesądzone z góry – oznajmił.

Od tego czasu Abdurahman nie miał życia. Dżamałudin czytał każdy jego artykuł, oglądał każdy program i jeśli uznał, że w jego wypowiedzi było coś nie tak, wysyłał swoich chłopaków i oni objaśniali Abdurahmanowi sunnę pięściami, a ponieważ z Dżamałudina był kiepski teolog, to nieporozumienia zdarzały się często. Raz Abdurahmanowi wybili trzy zęby, a raz złapali go przed studium telewizyjnym i ostrzygli na zero.

Abdurahmana bardzo frustrowało, że jemu, człowiekowi, który z wyróżnieniem ukończył uniwersytet w Damaszku, Koran objaśniają tacy ludzie, jak Hagen czy Szahid, jednak nikt nie chciał stanąć w obronie Abdurahmana w tym sporze teologicznym. Gdyby Abdurahman był łapówkarzem czy bandytą, miałyby całe tłumy sprzymierzeńców przeciwko Dżamałudinowi, ale on pięć lat studiował w Syrii, a na takich ludzi patrzono podejrzliwie. Uważało się, że diabli wiedzą czym oni tam w tej Syrii przesiąkli. Jeden taki przyjechał z Syrii i mówił, że tam, jak chowają nieboszczyka, to jego bliscy nawet o tym nie wiedzą. Wielu rzeczy nauczył się w tej Syrii, a tego jednego nie zrozumiał: że Syria to Syria, a Kaukaz to Kaukaz.

Abdurahman miał coraz mniej przyjaciół i coraz więcej kłopotów i w końcu nikt nie chciał go chronić przed Dżamałudinem, prócz Arsajewa. Arsajew z kolei miał taki niemiły zwyczaj: przyjmował człowieka dopiero wtedy, gdy ten zabił gliniarza. To było coś na kształt testu. Abdurahman zdał go na piątkę, załatwiając cały gazik,

i szczerze powiedziawszy, zrobił to bez większej nieśmiałości. Nie spodziewał się jednak, że trzy dni później taśmę z gazikiem podrzucą do MSW. Zrozumiał wtedy, że zrobiono to specjalnie, żeby nie miał odwrotu.

Co się tyczy drugiego człowieka, który był z Abdurahmanem, to o nim nie dało się powiedzieć nic szczególnego, prócz jednego zdania, które ten wygłosił, żądając okupu za porwaną kobietę. Kobieta była w trzecim miesiącu ciąży i gdy porywacz się o tym dowiedział, to podwoił sumę wykupu. „No przecież wyszło na to, że ukradłem dwie osoby” – wyjaśnił.

I oto teraz dwóch członków Ihwan al-Safa, Braci Czystości, jeden z granatnikiem, drugi ze snajperką, wdrapywało się przez wąski szyb wentylacyjny, wychodzący na stanowisko obserwacyjne nad tunelem, które uznano za położone zbyt daleko od miasta, żeby umieścić na nim posterunek.

Tylko Abdurahman znał ogólny plan operacji, drugi mężczyzna nie miał o niczym pojęcia. Po prostu wezwali go godzinę temu umówionym telefonem na umówione miejsce i wcisnęli w rękę granatnik. Gdy zobaczył, kto siedzi za kierownicą białego hummera, zupełnie zbaraniał.

Abdurahman bardzo się denerwował. Tylko raz w życiu brał udział w strzelaninie i bał się, że się zhańbi w oczach Allaha.

Pierwszy wicepremier Ugłow zasiadał w prezydium komisji, która podczas uroczystego posiedzenia miała przyznać nagrody dla bohaterskich pograniczników z besztojskiej bazy lotniczej. Po jego prawej ręce siedział zastępca prokuratora generalnego Fiodor Komissarow, po lewej mer Besztoju Zaur Kemirow.

Zaur towarzyszył delegacji od rana. Powitał ją w bazie lotniczej, złożył wspólnie z wicepremierem kwiaty na cmentarzu, odsłonił pomnik Lisaniewicza i odwiedził razem z delegatami przedszkole.

Jeszcze przez przylotem delegacji Zaur Kemirow dowiedział się o wybraniu Gamzata Asłanowa na marszałka i doskonale wiedział, co to oznacza. On też czytał konstytucję republiki. Kreml dogadał się z Gamzatem, a to znaczyło, że na Kemirowów wydano wyrok. Stary prezydent Asłanow, mimo swego zamiłowania do władzy, wolał wykorzystywać ludzi niż ich likwidować. Przymykał oczy na

faktyczną niezależność Kemirowów, tak jak przymykał je na wybryki Nijazbeka czy Saparczego.

Gamzat nie tolerował innych. Kokaina, paranoja i czternaście zamachów na jego życie, włączając historię z rakieta balistyczną, stworzyły mieszankę termojądrową. Nie mówiąc już o tym, że Kemirowowie oznaczali nie tylko niezależną siłę, którą należało zlikwidować, ale również pieniądze, które należało odebrać.

Zaur Kemirow zerknął ukradkiem na wicepremiera. Nie rozstawał się z delegacją od kilku godzin, ale nie zamienił jeszcze z Ugłowem nawet dwóch zdań. Po odsłonięciu pomnika Ugłow tylko uśmiechnął się uprzejmie i powiedział półgłosem: „Potem, Zaurze Ahmedowiczu, potem”. Zaur pomyślał wtedy, że równie dobrze mógł kazać rozpirzyć ten cholerny pomnik z BTR-a. Przynajmniej zachowałyby twarz. Całą resztę i tak utraci.

Ceremonia dobiegła końca. Chłopcy w czarnych czerkieskach z miejscowego zespołu Besztoj zatańczyli przed ważnymi gośćmi lezginkę. Ugłow wstał.

– No to co, Iwanie Witaljewiczu – spytał Komissarow – lecimy z powrotem do Torbikały? Gamzat już się szykuje... Czy zajedziemy na Czerwone Zbocze?

– Myślę, że zajedziemy – rzekł Ugłow.

W tym momencie pomiędzy dwoma federalnymi urzędnikami pojawił się staruszek w czerkiesce i papasze. To był dziewięćdziesięcioletni kierownik zespołu dziecięcego Szamil Atakajew.

– Ależ te dzieci tańczą, co? – powiedział z dumą. – To wszystko nasze dzieci, tamten z brzegu to siostrzeniec Zaura Ahmedowicza. A temu w szpitalu zginęli i mama, i braciszek.

Besztoj był oczywiście zespołem amatorskim. Tańczące w nim dzieci pochodziły z okolicy, a w mieście wszyscy się znali.

– Wspaniałe dzieci – powiedział Ugłow. – Jedźmy, Zaurze Ahmedowiczu.

Już wsiadali do samochodu, gdy Ugłow zniemacka zaproponował:

– Wie pan co, Zaurze Ahmedowiczu, wstąpmy obejrzyć pański zakład.

Było dziesięć po trzeciej, gdy siostrzeniec Arza Hadżijewa, Buławdi, podjechał do posterunku stojącego na zjeździe do bazy Besztoj-10, wysiadł z dżipa i podszedł

do kapitana Jewsiejewa, który z okazji tak ważnego dnia osobiście pełnił służbę na posterunku.

To był dobrze pomyślany punkt wojskowy. Cały obłożony workami z piaskiem, między którymi umieszczono stanowisko dla cekaemisty. Przed posterunkiem, osłonięty grubymi betonowymi płytami, stał BTR, a na szczycie niewysokiej skały, do której przylegało stanowisko, w gnieździe z worków siedział jeszcze jeden cekaemista. Wąwóz w tym miejscu mocno się zwęzał, naprzeciw cekaemisty była pionowa ruda skała.

W wizycie Buławdiego nie było nic dziwnego. Jewsiejew sądził, że są przyjaciółmi, ponieważ Buławdi często prowadził go do łaźni i poił wódką, i co miesiąc odpalał mu pięć tysięcy dolarów ze wspólnego interesu: kontrabandy z Turcji.

Buławdi miał dwadzieścia siedem lat, był wysoki, zgrabny, miał smagłą twarz o regularnych rysach i czarne węgle oczu.

Gdyby ktoś chciał jak najkrócej opisać świat, w którym żył kadrowy major FSB i dowódca pododdziału specgrupy Południe Buławdi Hadżijew, sprowadzałoby się to do zaledwie kilku słów: nienawiść do Rosjan.

Buławdi nienawidził Rosjan za wszystko: za śmierć rodziców i siostry, za zniszczony Grozny, za ciotecznego brata, którego ciało sprzedano im w Chankale za dziesięć tysięcy dolarów, za brak wiary w Allaha i za pociski, które pijani żołnierze wymieniali na wódkę. Ale najbardziej nienawidził ich za podeptaną, splugawioną duszę narodu. Czy kiedykolwiek było tak, żeby Czeczen poniżał Czeczena, żeby jeden Czeczen rozkazywał wszystkim innym?

Buławdi mógłby im wszystko wybaczyć: i krew, i rodzinę, i nawet obcych żołnierzy na swojej ziemi, ale tego osinowego kołka, wbitego w duszę narodu, wbitego na zawsze, nieodwracalnie, tego nie potrafił wybaczyć. Rosjanie zmusili Czeczenów do walki przeciwko Czeczenom, to przez nich jedni Czeczeni sprzedawali innych, a fakt, że kupili przy tym samego Buławdiego, niczego nie zmieniał.

Buławdi urodził się w Groznym, i tego miasta już nie było. Nie było przyjaciół, z których połowę stanowili Rosjanie, dwie trzecie z nich zginęło. Jednego z tych,

którzy przeżyli, Buławdi spotkał niedawno w Moskwie, na ulicy, i ten odskoczył od Buławdiego, jakby zobaczył diabła.

Buławdi pamiętał, jak na początku wojny jego dowódcy z tym specyficznym góralskim nadęciem wypuszczali jego rówieśników, rosyjskich żołnierzy i mówili: „Co oni takich chłopaczków wysyłają na ubój?”. A potem na jego oczach w Buddionowsku Szamil rozstrzelał takich samych chłopaczków i o pozerstwie nie było już mowy: wszystkim z oczu patrzyła śmierć. Później zaś, jak się już wszystko skończyło i byli w Czeczenii, Szamil podszedł do zakładników i powiedział: wybaczcie nam, jeśli możecie. Po Buddionowsku popłynęło wiele krwi i Buławdi nie pamiętał, żeby Szamil potem przeproszał.

Tak się złożyło, że Buławdi też był w szpitalu położniczym. Przyleciał tam w godzinę po wybuchu, razem z wujem, bo Arzowi powiedzieli, że jego córka Madina znalazła się wśród zakładniczek (co nie było prawdą, ale po wybuchu słyszało się nie takie rzeczy), i gdy Buławdi zobaczył poukładane na podwórzu ciała, maleńkie, jak ciała spalonych kociąt, padł na kolana i płakał. Płakał i nie mógł zrozumieć, jak do tego doszło. Jak ludzie, którzy walczyli o Czeczenię i o Allaha, zdołali przejść w ciągu zaledwie siedmiu lat od jednego do drugiego – od wypuszczanych ochotników do spalonych noworodków. I o to, że tę drogę przeszli, Buławdi obwinał wyłącznie Rosjan, albowiem nigdy, w żadnych okolicznościach, Buławdi Hadzijew nie przyznałby, że Czeczen może być czemuś winny.

Stosunek Buławdiego odzwierciedlał podejście tych ludzi z oddziału Południe, którzy w ogóle się zastanawiali nad tym, co robią i komu służą. Bo wielu z nich nie myślało, po prostu szło za dowódcą: postanowił Arzo przejść na stronę Rosjan, to poszli za nim do Rosjan. Postanowiłby pójść do piekła, poleciliby z karabinami do piekła, zwłaszcza że piekło i tak było lepsze niż Rosjanie.

A teraz Buławdi nakładał uśmiech na twarz i poklepywał serdecznie Jewsiejewa po ramieniu, a jego bojownicy już wyjmowali z tylnego siedzenia dzipa wódkę i zakąskę. Jewsiejew chciał się poradzić odnośnie biznesu, planował kupić od kogoś miejsce na bazarze.

Jewsiejew coś mówił, Buławdi kiwał głową i przez szklaną ścianę posterunku spoglądał w dół, na swojego dzipa stojącego obok rosyjskiego BTR-a.

Jak już powiedzieliśmy, był to bardzo dobrze pomyślany posterunek. Utworzono go po nalocie Wahy Arsajewa. Teraz blokował jedyny dojazd do bazy lotniczej.

Biorąc pod uwagę pola minowe rozciągające się wokół Besztoju-10 blokował również jedyny wyjazd.

Zwiedzanie zakładu zajęło pół godziny. Byli tu prawie zupełnie sami, reszta delegacji pojechała już na Czerwone Zbocze, i wicepremierowi towarzyszyli jedynie dwaj asystenci i ochrona, z Zaurem był tylko Hadżimurat Czarachow.

Ugłow przeszedł się, zajrzał do dyspozytorni i na chwilę zatrzymał na korytarzu, przed pokojami modlitewnymi, damskim i męskim. „Zastanawia się, czy wywołam zamieszki, jeśli Gamzat zacznie mnie niszczyć – pomyślał Zaur. – I wie, że tego nie zrobię. Ludzie z takimi zakładami nie wywołują zamieszek, z troski o swój majątek idą na kompromisy, dopóki nie stracą wszystkiego”.

Potem wicepremier poprosił, żeby zawieźć go do zakładu produkującego wodę mineralną. To zajęło kolejne piętnaście minut, a potem Ugłow zniechęca zaproponował jeszcze obejrzenie fabryki mebli.

– Dzisiaj jest piątek – powiedział Zaur. – I już trzecia.

Przyjechali do zakładu, gdzie nadal praca szła pełną parą. Z zakładów Zaura nikt nie wychodził przed czasem.

– A bazar? – zapytał wicepremier, gdy wyszli na zewnątrz, na jasne słońce i odległe góry, zwieńczone śnieżnobiałym turbanem śniegu.

– Nie mam udziału z bazarów, dla zasady. Tak postanowiłem. Jeśli w mieście jest siedem bazarów i jeden z nich należy do mera, to taka sytuacja wystawia mera na niepotrzebną pokusę.

Wicepremier zakołysał się na butach, spojrział na Zaura, a potem na ciemne tiry z logo firmy Kemir, zaparkowane na fabrycznym dziedzińcu i powiedział:

– Zajrzyjmy do merostwa.

Dziesięć minut później kawalkada zatrzymała się przed dwupiętrowym budynkiem. Na dworze zrobiło się niemal gorąco, wiosenne słońce płonęło na czterech minaretach i na brązowej głowie siedzącego w siodle generała.

Na placu nadal było pełno ludzi – a to dlatego, że właśnie skończył się piątkowy salat. Ugłow założył jednak, że wciąż są tu ci ludzie, którzy krzyczeli „hura!” w czasie odsłonięcia pomnika. Zresztą, w pewnej mierze miał rację.

Obaj mężczyźni przeszli do gabinetu mera. Wicepremier stał kilka minut, patrząc na białe ściany, gładką podłogę i dwie flagi: rosyjską, z trzema pasami, i flagę z herbem miasta, czarnym wilkiem na zielonym tle.

Po prawej stronie wisiał wielki, zajmujący pół ściany obraz zatytułowany *Zdobycie twierdzy Śmiałej*. Na obrazie ludzie z czerwoną flagą, ozdobioną arabskimi zawijasami, szturmowali mury pod kulami kozaków. Ugłow nie znał tego epizodu z historii Besztoju i przyjął, że czerwona flaga z imieniem Allaha jest wyrazem wizji artysty.

Szczupły, wysoki wicepremier gestem odesłał asystentów, położył na stole narad niewielką białą teczkę, odsunął krzesło i siadł. Zaur Kemirow zajął miejsce naprzeciw niego.

– Ma pan skromnie urządzone gabinet – powiedział Ugłow, przypatrując się zielonej fladze z czarnym wilkiem.

– Nie lubię luksusu.

Jasnoniebieskie oczy gościa się zwężyły.

– No tak, murid nie powinien przywiązywać wagi do spraw doczesnych – powiedział. – Bo przecież jest pan muridem? No... Zahir efendi, tak?

– Murid to po prostu uczeń. Zahir efendi ma ponad tysiąc muridów. Nie jestem godzien tego miana.

Wtedy wicepremier podsunął leżącą przed nim teczkę Zaurowi i powiedział:

– Są świadkowie, którzy sądzą inaczej.

Zaur otworzył teczkę i zaczął czytać zeznania Szapiego Czarachowa. Krew odpłynęła mu z twarzy, gdy wyobraził sobie, co skłoniło Szapiego do ich złożenia. Ale doczytał do końca, potem odsunął teczkę od siebie i powiedział:

– Dwa dni temu pańska ochrona jeździła z moim bratem po mieście i wybierała miejsca dla snajperów. Nie przypuszczam, by pozwolił pan na to, gdyby te zeznania były prawdą. To kłamstwo i świetnie pan o tym wie.

Po białej, niewyraźnej twarzy wicepremiera przemknął nikły uśmiech.

– Ile kosztowała pana rekonstrukcja fabryki, Zaurze Ahmedowiczu?

– Czterdzieści milionów dolarów.

– Spłacił pan kredyt?

– Nie brałem.

– Ile zarobił pan w ciągu ostatniego roku?

– Zbyt wiele, żeby zostać muridem Zahira efendiego, Iwanie Witaljewiczu.

Odpowiedź nie spodobała się wicepremierowi. Jego palce niemal bezszelestnie przebierały kartki w białej teczce. Gdy w końcu wyjął jedną z nich, Zaur pomyślał, że to znów będą czyjeś zeznania. Ale się mylił.

– Moi przyjaciele – rzekł wicepremier – postanowili sprzedać w Moskwie dwa kompleksy handlowe o łącznej powierzchni stu dwudziestu tysięcy metrów kwadratowych. Jeden znajduje się przy obwodnicy, drugi to pasaż przy Sadowej. Jeden wart jest dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, drugi pięćset. To dobrze ustawiony biznes z porządnym kierownikiem, nie ma potrzeby doglądać go codziennie. Chciałbym, żeby wykupił pan te kompleksy.

Zaur uśmiechnął się oszołomiony.

– Nie mam tyle gotówki.

– Ma pan pięćdziesiąt milionów?

Zaur nie odpowiedział, a wicepremier położył przed nim jeszcze jeden papier.

– Umowa kredytowa – oznajmił. – Na siedemset milionów dolarów. Wniesztorgbank gotów jest udzielić pańskim firmom kredytu na zakup tych kompleksów.

– A jakie są dodatkowe warunki?

– Bardzo proste, Zaurze Ahmedowiczu. Jak tylko dostanie pan ten kredyt, zostanie pan prezydentem republiki.

Kemirow odpowiedział po dłuższej chwili:

– Przyznam się, że kompletnie nie rozumiem tej transakcji. W naszej republice wiele osób zapłaciło za to, żeby zostać prezydentem – a mnie za to samo proponuje się pieniądze. Od kiedy to supermarket płaci klientom za kiełbasę?

– Naprawdę myśli pan, Zaurze Ahmedowiczu, że Kreml mianuje prezydenta za pieniądze?



– Tego nie wiem, wiem za to, że przynajmniej pięciu ludzi w republice zapłaciło za to stanowisko Fiodorowi Komissarowowi.

– I co, czy któryś z nich został prezydentem?

Zaur milczał. Od dziesiątej rano był przekonany, że Gamzat Asłanow zostanie prezydentem republiki. Cała republika, w tym Gamzat, podzielała to przekonanie.

Moskiewski gość uśmiechnął się samymi wargami. Jego podłużna twarz z wysokim czołem i kwadratową szczęką pozostała nieruchoma.

– Niech pan zapamięta, Zaurze Ahmedowiczu: prezydenta tej republiki nie mianuje Fiodor. Mianuję go ja. Jeśli jakiś idiota dał za to Fiodorowi pieniądze, to już jego problem. Ja nie potrzebuję pieniędzy. Ja potrzebuję stabilizacji. Poza tym, Zaurze Ahmedowiczu, potrzebuję prezydenta, który na niezależności republiki więcej straci niż zyska. Moje warunki są proste: wyklada pan pięćdziesiąt swoich milionów, siedemset z kredytu i dostaje pan dwa kompleksy handlowe, jeden na Sadowej, drugi obok obwodnicy. Plus stanowisko prezydenta.

Zaur przyglądał się uważnie swojemu rozmówcy. Doświadczenie podpowiadało mu, że nie wszystko będzie takie proste, jak przedstawia się w obietnicach, i to nie tylko ze względu na konieczność spłaty kredytu. Jego rozmówca zaś z pewnością nie zostanie bez pieniędzy – więcej nawet, w ostatecznym rozrachunku Ugłow wyjdzie na tym znacznie lepiej niż Komissarow.

Jeśli Zaur dobrze liczył, to przez te dwa miesiące obietnic, gierek i jawnych kłamstw Fiodor Komissarow zdarł z urzędników republiki dwadzieścia, może dwadzieścia pięć milionów dolarów. Siedzący przed nim człowiek z transakcji na siedemset milionów dostanie albo siedemdziesiąt milionów prowizji, albo udział w kompleksach handlowych. To wyjdzie jakby samo z siebie, mimochodem. W ramach umocnienia pionu władzy i zacieśniania więzi między federalnym centrum a prezydentem republiki kaukaskiej.

Ale jednocześnie Zaur wiedział, że to nie jest podpucha. Ugłow dokonał swojego wyboru, nie kierując się zresztą ową kwotą siedemdziesięciu milionów. Taką sumę w obecnych warunkach mógłby dostać od dowolnego pretendenta. A może nie?... Zaur Kemirow nie znał finansowych zwyczajów Wniesztorgbanku, ale podejrzewał, że nawet z protekcją Ugłowa bank nie zaryzykowałby udzielenia takiego kredytu

firmie Gamzata Asłanowa. Wszyscy świetnie wiedzieli, że u Gamzata pieniądze umieją latać bez skrzydeł – i nic więcej.

– A Gamzat? – zapytał Zaur.

Ugłow uśmiechnął się i Kemirow w jednej chwili przejrzał cały jego sprytny plan. No co Gamzat? Gamzat zostanie marszałkiem, a wtedy jego wrogowie ustawią się w kolejce, by go odstrzelić, przyjaciele zdradzą go, żeby nie oberwać rykoszetem, a ci nieliczni, którzy pozostaną mu wierni, zaczną odstrzeliwać tych, którzy mogą go zdradzić. Gamzat będzie się kurczowo trzymał swojego stołka, i ten stołek, jak kula, jak zakład przemysłu ciężkiego, pozbawi go zwrotności i sprawi, że będzie się bał gwałtownych ruchów. To się właśnie nazywa ciągłość władzy: gdy zdradzają cię przyjaciele.

– Jest tylko jeden problem – odezwał się Zaur.

– Jaki?

Zaur postukał palcami w zeznania Czarachowa.

– Człowiekowi, którego obciąża się takimi zeznaniami, nikt nie udzieli kredytu na siedemset milionów – powiedział uprzejmie Zaur. – Mój przyjaciel Szapi musi wyjść na wolność.

– Ludzie, którzy składają takie zeznania, przestają być przyjaciółmi.

– Jestem pewien, że nie składał ich tak długo, jak tylko mógł.

Bładobłękitne oczy premiera obiegły, jak promień radaru, ciężkawego, niewysokiego Awara o spokojnej, żółtawej jak melon twarzy, pokrytej siateczką zmarszczek, ubranego w elegancki garnitur, teraz już nieco pomięty.

Ugłow znał w Rosji bardzo niewielu ludzi, którzy po usłyszeniu propozycji otrzymania stanowiska prezydenta republiki i siedmiuset milionów na dokładkę, poprosiliby, żeby wypuścić na wolność człowieka, który obciążył ich zeznaniami. W otoczeniu premiera nie przyjęło się wstawiać za tych, którzy wylądowali w więzieniu, uważając, że jeśli człowiek znalazł się w za kratkami, to znaczy, że sam jest sobie winien. Wicepremier zadał sobie pytanie, czy nie pomylił się względem Zaura Kemirowa, a potem uśmiechnął się łagodnie i powiedział:

– Gdy dzisiaj rano zobaczyłem pomnik, zrozumiałem, że dokonał pan słusznego wyboru, Zaurze Ahmedowiczu. Te zeznania nie mają żadnego znaczenia i temu

człowiekowi nic się nie stanie.

– Ale...

Wicepremier gwałtownie wstał, obciągnął marynarkę.

– Jedźmy na Czerwone Zbocze, Zaurze Ahmedowiczu. Zasłużyliśmy na odpoczynek.

Dżamałudin pojawił się w bazie o piętnastej trzydzieści. Dwadzieścia dwie sekundy po jego przyjeździe trzydziestu sześciu dyżurujących bojowników ustawiło się w pełnej gotowości.

Po kolejnych pięciu sekundach zaczęli podjeżdżać ci, którzy byli w mieście. W tym czasie pełniąca dyżur kompania już ładowała zielone skrzynie do wojskowego urala.

Dwadzieścia minut po ogłoszeniu zbiórki na placu apelowym stało stu pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy byli w jednakowych kamuflażach i jednakowych natowskich butach, każdy miał AK-74, prawie połowa była wyposażona w granatniki albo snajperki.

Cztery lata temu ludzie Dżamałudina nie zdołali włączyć się do walki trzydzieści sekund po rozkazie i ceną za to było życie 174 mieszkańców Besztoju. Dżamałudin wyciągnął z tego wnioski.

Kirył siedział na ławce na odległym końcu placu. Zdawał sobie sprawę, że oto właśnie uczestniczy w przygotowaniach do zamachu – bo porwania delegacji rządowej przez setkę uzbrojonych mieszkańców Kaukazu raczej nikt nigdy nie nazwie inaczej. Zwłaszcza że ci mieszkańcy mają zwyczaj modlić się pięć razy dziennie, bić studentki za zbyt krótkie spódniczki i palić tiry z proszkiem Dosia. Cały świat Kiryła rozpadał się na kawałki, a on siedział, stukając kijkiem o asfalt, i w milczeniu patrzył w górę. Słońce sunęło po niebie jak żółtko po gorącym maśle. Nad białym szczytem Jałyk-tau widniał półksiężyc, blady i niewyraźny, jak obwódka odciśniętej nad światem pieczęci.

W tym momencie dał się słyszeć warkot silnika i na plac wyjechał drugi ural. Zza kierownicy wysunął się Dżamałudin. Nie miał już na sobie dziwaczного brązowego garnituru, przebrał się w czarne wygodne spodnie i czarny sweter, pod

którym można było łatwo ukryć broń. Dżamałudin nigdy nie lubił szpanerskich gnatów. Wojna abchaska nauczyła go szacunku do prostego, lekkiego i niezawodnego makarowa, do którego nigdy nie brakowało pocisków. I teraz jeden makarow spoczywał za paskiem spodni, drugi Dżamałudin trzymał w ręku.

– *Allah akbar!* – zakrzyknął Dżamałudin.

– *Allah akbar!* – ryknęło sto pięćdziesiąt gardeł.

Dżamałudin odwrócił się do Kiryła. Jego smagła twarz była starannie ogolona, pod czarnymi skałami brwi lśniły oczy niczym dwa górskie jeziora, w których nawet latem pływa lód. Był tak chudy, że można go było wziąć za wyczerpanego więźnia – dopóki nie zaczął się ruszać. Bo poruszał się jak górski ryś, niewielki kot, który zabija krowę w kilka sekund, wgrzyzając jej się prosto w tętnicę szyjną.

– Jedziesz z nami czy zostajesz tutaj? – zapytał Awar.

– Pojadę z wami.

Kemirow bez słowa podał mu broń.

Było po siedemnastej, gdy Dżamałudin Kemirow podjechał czarnym hummerem do pobliskiego posterunku, stojącego na rozwidleniu dróg, z których jedna prowadziła do wysokogórskiego hotelu, a druga do bazy lotniczej.

Po prawej ręce Dżamałudina siedział zastępca szefa komitetu nadzwyczajnego Kirył Wodrow. Był w tym samym eleganckim stroju, w którym rano miał witać wicepremiera: biała koszula, czarny garnitur i bordowy jedwabny krawat za trzysta dolarów – do eleganckich czarnych pantofli przykleiło się jakieś świństwo. Moskwianin patrzył prosto przed siebie i od czasu do czasu uśmiechał się do swoich myśli.

Z tyłu siedzieli Taszow i Hagen, w kamuflażach i z karabinami. Kolejni ochroniarze jechali za hummerem.

Pojazd poruszał się dość wolno, ponieważ toczyły się za nim dwa urale z opuszczonymi plandekami, z trudem mieszczące się na górskiej drodze. Załoga posterunku przy rozwidleniu oddała hummerowi honory: w mieście było pełno żołnierzy i wojskowe ciężarówki, przed którymi jechał hummer pana miasta, budziły tyle wątpliwości co liście w lesie.

Pół godziny później hummer i urale zatrzymały się przed starą twierdzą z wbudowaną nową bramą. Brama odsunęła się i do Dżamałudina wyszedł major OMON-u z Penzy. Penziuki bały się Dżamałudina od czasów nocnej bijatyki na cmentarzu, ale gdy major zobaczył w wozie ważnego federala, od razu się rozluźnił. Tymczasem kilku ubranych w kamuflaż bojowników wyskoczyło z pierwszej ciężarówki.

– Co to za ludzie? – zapytał major.

– Centrum „T”, z Torbikały – odparł Dżamałudin. – Przysłali wzmocnienie, mówią, że macie tu bardzo ważnych gości.

Dżamałudin odwrócił się i wszedł za majorem do budki strażników, za nimi poszło jeszcze dwóch w kamuflażach. Minutę później Dżamałudin wyszedł z domku sam. Wsiadł za kierownicę hummera, a z urala wyskoczyło jeszcze trzech ludzi.

Trzy minuty później dzipy Dżamałudina wjechały na plac przed głównym budynkiem sanatorium, urale gdzieś skręciły. Tu, na wysokości dwóch tysięcy metrów, było znacznie chłodniej niż w mieście, wiosna dopiero się zaczynała. Dawna cytadela wisiała nad skałą jak dziób Titanica nad arktycznymi wodami i słońce, rozpoczynające właśnie glisadę przed lądowaniem, biło przez ambrazury gór prosto w klomb, na którym kwitły krokusy w kolorach flagi rosyjskiej, tworzące pasy biały, niebieski i czerwony.

Na placu stały dwa wielkie ikarusy i z piętnaście wozów osobowych. Dżamałudin spostrzegł samochód przewodniczącego funduszu emerytalnego, który był jednym z pretendentów do fotela prezydenta republiki, i wóz ministra finansów, który pretendentem nie był, ale jak najbardziej się za takiego uważał.

Najważniejsze było to, że samochody Zaura, zgodnie z wiedzą Dżamałudina, do tej pory nie wyjechały z miasta. Dżamałudin nie chciał wciągać we wszystko brata – gdyby Zaur przejął dowodzenie, młodszy Kemirow musiałby go słuchać.

Dżamałudin zdawał sobie jednak sprawę, że Zaur siłą rzeczy będzie wplątany w akcję. Gdy jesteś merem miasta, w którym twój brat porywa delegację rządową, nie możesz pozostać z boku.

Dżamałudin wyszedł z samochodu i zaczął się wspinać po schodkach, Kirył szedł razem z nim, Taszow i Hagen podążali krok za nimi. Przed portykiem stało ośmiu

uzbrojonych mężczyzn, dwóch było krewnymi ministra finansów, pozostali funkcjonariuszami FSO. Przed drzwiami Dżamałudin spostrzegł pułkownika Argunowa.

Argunow, w porządnej dwurzędowej marynarce i wyglansowanych butach, zdecydowanie wyróżniał się na tle miejscowych gliniarzy. Szef MSW Mahomet Czebakow wiecznie chodził w kamuflażu. Powstawało wrażenie, że w tym stroju nawet się upija i korzysta z łaźni, zwłaszcza że te dwa zajęcia zajmowały mu większość czasu. Gamzat Aślanow również często chodził w kamuflażu. Wybierając się na dowolną uroczystość organizowaną w republice, miało się pewność, że wśród honorowych gości będzie ktoś w kamuflażu. I ten ktoś od razu zaczynie cię obejmować i powie: „O, a ja właśnie ukończyłem Akademię Wojskową Frunzego”.

Dżamałudin zawsze uważał, że w kamuflażu się walczy, a chodzi się w tym, w czym chodzą ludzie. W swoim czasie nauczył go tego Arzo.

Argunow podszedł do Dżamałudina i objęli się po przyjacielsku. Kiedy Kemirow położył dłoń na klamce, Argunow dotknął ramienia Kiryła i powiedział:

– Odejdźmy na chwilę.

Taszow i Hagen popatrzyli na siebie, Dżamałudin zastygł przed drzwiami. Potem puścił klamkę i zrobił krok do przodu. Kirył podążył za pułkownikiem FSO, a kiedy znaleźli się przy balustradzie, Argunow spytał półgłosem:

– Co się stało Dżamałudinowi?

Kirył nerwowo oblizwał wargi.

– W jakim sensie?

– Jest zupełnie nieswój, ty zresztą też. Co się tam u was wydarzyło?

Kirył wahał się ułamek sekundy.

– Pamięta pan Szapiego, szefa milicji, jeszcze tydzień temu z nami siedział?

Argunow pamiętał Szapiego jeszcze ze szpitala. Co prawda wtedy w końcu nie miał pewności, czy Czarachow był naczelnikiem milicji, czy może bandytą z autorytetem, ale tak czy inaczej wspominał go jak najlepiej.

– Oczywiście.

– Aresztowali go cztery dni temu, oskarżając o zabójstwo szefa centrum antyterrorystycznego Adama Tielajewa. Wczoraj się do tego przyznał. Tam

wcześniej była nieciekawa historia, Adam i syn Szapiego kochali się w jednej dziewczynie.

– A po jaką cholere się przyznawał? – spytał Argunow.

– Podobno posadzili go nad rondlem, w którym był szczur. Rondel zaczęli podgrzewać i po jakimś czasie Szapi potwierdził, że jest sprawcą zabójstwa. Przedtem się nie przyznawał.

Argunow milczał. Przesłuchiwał w swoim życiu wielu ludzi, ale jakoś nigdy nie doszło do rondla ze szczurem. W górach dało się odczuć poważne braki w rondlach i szczurach. Rondle i szczury to była domena tych, którzy działali na tyłach.

– Psiakrew – zaklął były alfowiec. – Twoja mać.

Kirył odwrócił się i podszedł do Dżamałudina, który cierpliwie czekał przy drzwiach. Razem weszli do środka.

Szef komitetu nadzwyczajnego Fiodor Komissarow siedział przy stole bankietowym. Po jego prawej ręce zasiadał wicemarszałek Dumy, po lewej – lady Hilda Stapleherst, członek Izby Lordów Wielkiej Brytanii i przewodnicząca Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Dwa miejsca pośrodku nadal były wolne, czekały na wicepremiera i mera Besztoju.

Ze względów bezpieczeństwa bankiet urządzono nie w oszklonej jadalni z oknami do sufitu, lecz w auli na trzecim piętrze. Aula była jednym z pomieszczeń dobudowanych później – w czasach swojej świetności cytadela twierdzy miała zaledwie jedno piętro, nie licząc podziemnych kazamat, a jej półtorametrowej grubości ściany nadal mogły wytrzymać bezpośrednie trafienie pociskiem 155 mm. Aulę zbudowano niedawno: dwa rzędy cegieł i plastikowe okna wychodzące na przepaść.

Salę udekorowano kwiatami, nakryte białymi obrusami stoły ustawiono w kształcie litery U, otwartą częścią w stronę wysokiej sceny. Na scenie tańczył miejscowy zespół Besztoj, chłopców i dziewczynki w wieku od sześciu do czternastu lat nagrywała zagraniczna ekipa telewizyjna. Miejscowych dziennikarzy odesłano już do Torbikały helikopterem dla prasy, zagraniczni zostali na osobistą prośbę damy z instytucji europejskiej.

Tuż przed Komissarowem z gąszczu koperku i spod sterty oliwek wyłaniał się potężny jesiotr. Biała powierzchnia stołu niemal zupełnie nikła pod dwupiętrową kompozycją zakąsek i marynat. Góralki w białych fartuszkach krążyły między gośćmi, roznosząc na melchiorowych tacach góry baraniego mięsa.

Komissarow wbił widelec w różowy kawałek łososa na swoim talerzu i przełknął go z apetytem. Ugłow i Zaur spóźniali się już godzinę, co oznaczało, że się dogadali.

Tak w sumie Komissarow zupełnie się tym nie przejmował. Przecież żaden z zainteresowanych, którzy dawali mu pieniądze, nie płacił za samo stanowisko, płacił za umieszczenie go na liście. I chyba żaden nie będzie na tyle głupi, by zażądać zwrotu pieniędzy, wtedy ryzykowałyby utratą obecnego stanowiska.

Tego, że mógłby oberwać kulkę, Fiodor Aleksandrowicz również się nie bał. Ci ludzie strzelali do siebie nie z powodu pieniędzy, lecz dla „szpanu”. Moskiewski urzędnik nie należał do tej społeczności i dlatego nie podlegał oskarżeniu czy karze.

Komissarow świetnie wiedział, za co zabili Pankowa. Pankow przekroczył granicę: stał się swojakiem. Przyjaźnił się z tymi ludźmi, próbował ich zrozumieć, śmiał się na ich weselach i składał kondolencje na pogrzebach. A potem ich zdradził, bo zdradzić mogą wyłącznie swoi. Komissarow nigdy nie zamierzał stać się swojakiem – zawsze miał być federalą.

Dlatego Fiodor Aleksandrowicz, który jeszcze rano zażądał od swojego podwładnego dowodów na kontakty Zaura Kemirowa ze wszystkimi wahabitami i wszystkimi wywiadami świata, zupełnie nie przejmował się tym, że Zaura mianują prezydentem. To zwyczajnie nie miało z nim nic wspólnego.

Na ukos od Komissarowa, jakieś pięć metrów od niego, siedział minister finansów republiki, a obok niego przewodniczący funduszu emerytalnego. Obaj przyjechali bardzo późno, dwadzieścia minut temu, i teraz wyraźnie szukali okazji, żeby porozmawiać z Komissarowem. Fiodor Aleksandrowicz nawet się zdziwił, że nie ma z nimi Saparczego. Dużo był dał, żeby zobaczyć teraz twarz kaleki, po uwadze Gamzata o pampersie...

Wszyscy ludzie Kaukazu byli tacy sami. Przechwalali się swoimi wyczynami, opowiadali, kto kogo zarznął w wieku piętnastu lat, a potem wstępowali do Jednej



Rosji, przesiadywali w poczekalniach i pisali na siebie donosy, żeby jako pierwsi dopchać się do federalnego koryta. Fiodor Komissarow lubił pokazywać tym ludziom, gdzie jest ich miejsce. Wszystko, co robił, robił nie tylko z powodu pieniędzy, ale i dlatego, żeby dowieść miejscowym, co tak naprawdę są warte ich przechwałki oraz ich duma.

Lady Hilda, siedząca obok szefa komitetu, odchrząknęła i spytała Fiodora Aleksandrowicza całkiem niezłym rosyjskim:

– Proszę powiedzieć, jak posuwa się śledztwo w sprawie zamachu terrorystycznego w besztojskim szpitalu położniczym?

– Sprawa została zamknięta. Wszyscy terroryści zginęli w czasie szturmie – odparł Komissarow.

– Ale przecież to powinno być... *independent investigation*. Jak rozumiem, miejscowe organy ścigania kontynuują śledztwo? – nie ustępowała starszawa Angielka.

Fiodor Komissarow spojrzał jej w oczy. „Żebyś ty widziała te organa, psiakrew” – pomyślał.

Gamzat Asłanow po raz pierwszy zaniepokoił się o godzinie trzynastej, gdy w NTV pokazano wizytę wicepremiera Ugłowa w republice. W trzyminutowym materiale mówiło się o posiedzeniu parlamentu, a przez drugie półtorej minuty była bezpośrednia transmisja z odsłonięcia pomnika w mieście Besztoj, gdzie mer i wicepremier razem przecinali niebieską wstęgę.

Kolejne wątpliwości naszły Gamzata o czternastej, gdy na drugim programie telewizji państwowej poszedł jeszcze jeden materiał o przyjeździe wicepremiera. Trwał dwie i pół minuty i był poświęcony wyłącznie pomnikowi.

O czternastej trzydzieści Gamzatowi zameldowano, że Saporczy Tielajew wyruszył do Besztoju. Gamzat prychnął wzgardliwie: „Wolno mu przecież biegać pod karabiny Dżamala”.

Ale gdy dowiedział się, że mer Zaur Kemirow i wicepremier odłączyli się od delegacji i nikogo się do nich nie dopuszcza, pojechał na lotnisko i kazał się odstawić do Besztoju.

– Proszę wybaczyć, Gamzacie Ahmednabijewiczu – powiedział szef lotniska – ale baza odmawia przyjęcia pana. Mówią, że to niebezpieczne.

Gamzat zbladł śmiertelnie. Zbliżał się wieczór, a do Besztoju było sto czterdzieści kilometrów autostrady i sto górskiej szosy. Z placyku nad tunelem besztojskim dwa tygodnie temu strzelano do samochodu szefa administracji rejonu karskiego, i fakt, że robiono to na rozkaz Gamzata, nie poprawiał sytuacji. Przecież tego stanowiska nikt nie zamykał na klucz, przedstawiciele władzy państwowej nie mieli doń wyłącznego dostępu.

Gamzat bał się jeździć jeszcze bardziej, niż latać. Ale najbardziej bał się przegrywać. Dlatego wsiadł do swojego opancerzonego merca i polecił szefowi ochrony:

– Do Besztoju.

Dżamałudin i Wodrow razem weszli do sal, w których unosiły się smakowite zapachy i płatki śniegu, wpadające przez szeroko otwarte okna.

Pierwsze, co rzuciło się Awarowi w oczy, to dzieci.

Kierownik zespołu Szamil Atakajew jednak przywłókł swoich podopiecznych do starej twierdzy i teraz dwadzieścioro pięcioro chłopców i dziewczynek w czarnych czerkieskach i niebieskich sukienkach tańczyło na drewnianej scenie. Najmłodszy miał sześć lat, jego matka i siostra zginęły w szpitalu. Dżamałudin dobrze znał jego rodzinę, w Besztoju w ogóle wszyscy się znali. Dżamałudin bez słowa skinął Taszowowi i ten poszedł za scenę.

Kemirow zatrzymał się przy drzwiach, powoli przesuwając wzrokiem po obecnych. Rzadko oglądał telewizję, z powodu nadmiaru krótkich spódniczek i muzyki zakazanej przez Allaha, a jeszcze rzadziej bywał w moskiewskich klubach. Z siedzących za stołem poznał tylko szefa funduszu emerytalnego republiki, ministra finansów i może z pięciu ich krewnych. I jeszcze jednego człowieka, który cztery lata temu kręcił się przy Zaurze w Moskwie. Teraz ten człowiek kierował Rosimuszczestwem <sup>2</sup>.

Kirył, który wszedł za nim, również poznał tego człowieka. A oprócz niego także swojego dawnego znajomego, który obecnie wybił się na wicemarszałka parlamentu,

człowieka z administracji prezydenta, zastępcę ministra spraw wewnętrznych, dwóch urzędników ministerstwa finansów, z pięciu deputowanych i senatorów, dwóch biznesmenów z piątej dziesiątki rosyjskiego „Forbesa”. Jeden z nich, jak doniesiono Kiryłowi, rok temu został nawet kochankiem jego byłej żony.

Kirył wiedział, że się władują. Ale nie miał pojęcia, że aż tak.

Ze swojego miejsca wstał Fiodor Komissarow.

– Drodzy przyjaciele! Pozwólcie, że przedstawię wam naszych nowych gości! Oto mój zastępca Kirył Wodrow, rosyjski oficer i oddany towarzysz, człowiek, nie boję się użyć tych słowa, o najwyższych wyobrażeniach na temat honoru. I Dżamałudin Kemirow, brat mera miasta i gospodarz tego gościnnego miejsca.

Wszyscy zaklaskali, a siedzący wśród delegatów marszałek pomachał Kiryłowi ręką. Kirył uśmiechnął się i usiadł między nim a Komissarowem. Kątem oka obserwował, jak do sali, jeden po drugim, wchodzą przyjaciele Dżamałudina. Rozproszyli się po auli i obejmowali ze znajomymi.

Taszow tymczasem wszedł za scenę i znalazł za kulisami kierownika zespołu. Pochylił się do niego i powiedział po awarsku:

– Zabierz stąd dzieci, szybko.

Szamil Atakajew podniósł głowę. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata i wiele widział w swoim życiu. W czterdziestym pierwszym zdecydował się wstąpić do armii na ochotnika, ale trafił do niewoli razem z pociągiem, który jechał do punktu mobilizacyjnego. Szamil zabił trzech Niemców i uciekł do swoich. Myślał, że zgodnie z górskimi zwyczajami dostanie za dokonany czyn nagrodę. Na dowód prawdziwości swojej historii zabrał nawet ze sobą głowę starszego Niemca. Ale zamiast nagrody Szamila wsadzili do obozu i trzymali tam przez dwadzieścia pięć lat.

Ta sprawa odcisnęła na Szamilu swoje piętno. Atakajew nauczył się bać nieprzewidywalnego toku rozumowania Rosjan.

– Co? – spytał teraz.

– Wywieź stąd dzieci. Już.

Szamil spojrzał w oczy młodego sportowca i o nic już nie zapytał. Dwie minuty później taniec się skończył i Taszow patrzył, jak dzieci przez kulisy wychodzą na

korytarz.

Tymczasem Komissarow z orderami na kamuflażu i wódką w ręku wyglądał jak prawdziwy bojowy generał.

– Bardzo się cieszę – powiedział – że zebraliśmy się tu, w tym pięknym miejscu, w samym w sercu kaukaskich gór, ale jeszcze bardziej mnie cieszy, że widzę mojego przyjaciela Dżamałudina. Chciałbym powiedzieć o nim kilka słów. Dżamałudin nie lubi, gdy dużo się o nim mówi, i pod tym względem jest podobny do nas, tych, którzy bronią Rosji przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi, unikając rozgłosu. Dżamałudin podobnie jak ja jest wojownikiem. W ciągu ostatnich pięciu lat brał udział we wszystkich wojnach Kaukazu. Walczył w Abchazji i Czeczenii, był wśród ludzi, którzy odparli Czeczenów, gdy ci wtargnęli do tej republiki, i razem z oficerami Alfy jako pierwszy wszedł do szpitala położniczego, tu, w Besztoju, po tej strasznej tragedii, która już zawsze będzie tkwić cierniem w naszych sercach. I przez cały ten czas Dżamałudin Kemirow walczył po stronie Rosji. Chciałbym wypić za mojego przyjaciela: dopóki tacy jak Dżamałudin są razem z Rosją, nasza pozycja na Kaukazie jest niezachwiana.

Wszyscy podnieśli szklanki i wypili za Dżamałudina, Kemirow spełnił toast wodą.

Kirył zwrócił uwagę na Argunowa. Ten wszedł do sali i zaczął chodzić pod ścianami. Przypominał kota rozgorączkowanego zapachem myszy. Dzieci na scenie już nie było, zniknęły gdzieś w trakcie przemowy Komissarowa.

Tymczasem Dżamałudin wypił wodę i ruszył wokół stołu. Kirył patrzył, jak chudy, ubrany w czarny sweter i czarne spodnie mężczyzna obejmuje się z innymi i żartuje, i nagle przypomniał sobie, co wydarzyło się w czasie wyprawy w góry.

To było na trzeci dzień. Zrobili postój i rozsiodłali konie, a ponieważ obok było zbocze, z którego zszedł już śnieg, puścili konie na popas. Jakieś pół godziny później Kirył skoczył za górkę wysikać się i zobaczył, że obok kilka koni szczypie trawę, a nieopodal bawi się wielki szary pies. W pierwszej chwili Kirył pomyślał, że to wilk, ale potem uznał, że pies – zwierzę zachowywał się bardzo przyjaźnie. Turlał się po suchej trawie, machał ogonem, a potem położył na brzuchu i zaczął przysuwać do koni. Konie nie reagowały, a Kirył zawsze uważał, że konie boją się

wilków. Jedna z klaczy, piękna, lśniaca trzylatka, niepewnie podeszła do psa, a ten znów zaczął się tarzać w trawie. Koń jeszcze się doń zbliżył.

I wtedy pies z niewiarygodną szybkością skoczył.

Suchy odgłos strzału – i pies padł na mokrą trawę, pół metra od kopyt. Koń zarżał spanikowany i odbiegł. Kirył obejrzał się i zobaczył Dżamałudina. Ten stał z makarowem w ręku, twarz miał czerwoną od gniewu.

– Czemuś nie strzelał? – spytał ostro. – To przecież wilk!

– To dlaczego klacz się nie bała? – z pretensją w głosie zapytał Kirył.

– Bo głupia. Siedzi w gospodarstwie z psami, wilków nigdy nie widziała. Gdy trzylatki idą w góry, najbardziej parszywe jest to, że biorą wilki za psy.

– I co, taki wilk poradzi sobie z koniem? – nie dowierzał Kirył. Koń wydawał mu się bardzo duży, a wilk, rozciągnięty na ziemi, znacznie mniejszy.

– He-he! – odpowiedział góral. – Jeszcze jak! Przecież on ma zupełnie inny pysk, rozwiera się na sto stopni. Skoczy pod brzuch, rozerwie kiszki i po wszystkim!

Dżamałudin podszedł do wilka i wsunął mu lufę w pysk, żeby pokazać, jak wilkowi rozwiera się paszcza.

Teraz, siedząc w tej auli, zagubionej w górach na wysokości dwóch tysięcy metrów, Wodrow patrzył, jak Dżamałudin obejmuje się z gośćmi – dokładnie tak samo, jak tamten wilk turlał się na grzbiecie przed kobyłami, podczołgując się coraz bliżej. „Co z wami, nie widzicie, że to nie jest pies? Że to wilk? Że jego paszcza rozwiera się na sto stopni?!” – miał ochotę zawołać Kirył, ale oczywiście nie zrobił tego. Bo jeśli Dżamałudin był wilkiem, a delegacja głupimi kobyłami, które dorastały w stajni i nie potrafiły odróżnić kaukaskiego wilka od owczarka, to kim w takim razie był on, Kirył?

Tymczasem w auli wzniesiono drugi i trzeci toast, a potem Fiodor Komissarow wstał i powiedział, że następny toast powinien wygłosić sam Dżamałudin.

Dżamałudin wziął w ręce kielich i się podniósł. Wydawał się niewysoki i raczej kruchy w czarnych spodniach i luźnym swetrze, ukrywającym wsunięty za pas pistolet, ale płynęła od niego ta sama spokojna pewność siebie, która tak zdumiała Kiryła dziewięć lat temu w luksusowym gabinecie na dwudziestym szóstym piętrze.

– Chciałbym opowiedzieć wam o pewnym wydarzeniu, które nastąpiło w Abchazji – powiedział niegłośno Dżamałudin swoim zdumiewająco czystym, niemal pozbawionym akcentu głosem, a podchmieleni goście od razu zamilkli, uważnie słuchając. – Obok naszego blindażu była szopa z prosiakami. Nie wiem, do kogo należały, bo właściciele uciekli, ale były to bardzo śmieszne prosiaki. Każdego rana biegly w trzciny, żeby sobie podjeść, a wieczorem same wracały do szopy. Gdy budowaliśmy blindaż i nasz okop zagroził im drogę, kazałem zrobić dla nich pomost. Rano kładliśmy deskę i one biegly do trzciny, a wieczorem kładliśmy ją znowu, by mogły wrócić. Gdyby to były baranki, to byśmy je zjedli, ale ponieważ w moim oddziale nikt nie jadł wieprzowiny, pomyślałem sobie, a, niech bieglą.

Zamilkł.

– No i te prosięta... – podsunął Komissarow z uśmiechem.

– Właśnie – podjął Dżamałudin. – No więc one biegląy sobie tam i z powrotem, a my w tym czasie podjęliśmy próbę przedarcia się do morza. Dotarliśmy na plażę, ale do nas strzelali, i zawróciliśmy. Następnego dnia zajęliśmy jednak gruzińskie okopy i wtedy znów zobaczyłem tamte prosięta. Biegląy po plaży i żarły trupy naszych towarzyszy.

Dżamałudin przerwał i dokończył:

– Wyciągnąłem z tego wniosek, że nigdy nie należy pomagać świniom.

Argunow stał pod ścianą ze ściągniętymi brwiami. Niemal cała ochrona towarzyszyła w mieście wicepremierowi. W starej twierdzy na dziesięciu omonowców z Penzy i czterech funkcjonariuszy FSO było piętnastu ludzi Dżamałudina. Argunow nie planował takiego rozkładu sił.

– Cieszę się – zwrócił się Dżamałudin do Komissarowa – że wspomniałeś o szpitalu położniczym. Powiedziałeś, że wszyscy terroryści są martwi, chociaż powszechnie wiadomo, że jest inaczej. Piętnastu łajdaków uciekło ze szpitala i poprzysiągłem, że umrą śmiercią, na którą zasłużyli. Cieszę się, że nazwałeś mnie przyjacielem. Dzisiaj jest dzień przyjaźni – i dlatego przyprowadziłem ci jeszcze jednego dobrego znajomego.

Drzwi do sali otworzyły się. Na progu stał Ashab Hasanow.

Ashab był bardzo blady. Nadal bosy, miał na sobie niebieski sweter. Bojownik w kamuflażu trzymał go za skute z przodu ręce.

Argunow jednym susem znalazł się przy tylnym wyjściu, ale tam już stał Hagen. Lufa niemal dotknęła piersi pułkownika.

– Nie rób głupstw – ostrzegł Aryjczyk – a obejdziemy się bez trupów.

Zmusił Argunowa do ukłęknięcia plecami do niego. Drugi bojownik wyjął stieczkina spod marynarki pułkownika.

Ludzie, którzy przyszli z Dżamałudinem, wstali od stołu, w rękach trzymali pistolety.

– Wszyscy, którzy nie są z nami, mają siedzieć – rozkazał Hagen.

Ashaba pchnęli tak, że padł na kolana. Oszołomiony operator kamery podniósł ręce, ale jeden z bojowników dotknął jego ramienia, dając mu znak, żeby kontynuował nagrywanie.

Do sali wpadło trzech mężczyzn w kamuflażu i z karabinami. Gdzieś na parterze zabrzmiała seria trzech strzałów. Dżamałudin wyjął spod swetra makarowa.

– Wiem – powiedział Dżamałudin, nadal zwracając się do Komissarowa – że polowałeś na taśmy, te, na których zabijam ludzi Wahy. Mógłbym dostać za nie niezły wyrok, prawda? Dzisiaj dostaniesz swój film – o tym, co robię z ludźmi, którzy wysadzili szpital w Besztoju.

I Dżamałudin odwrócił się, i strzelił do Ashaba.

Pierwsza kula trafiła go w kolano, Hasanow wrzasnął i padł na podłogę. Druga rozwalila kość nad stopą, Ashab zatłukł się na podłodze, jak ryba wśród szkła rozbitego akwarium. Dżamałudin spokojnie opuścił pistolet i strzelił mu w drugie kolano. Ashab stracił przytomność.

Siedząca obok Komissarowa Angielka zerwała się z miejsca.

Karabin w rękach Hageny ożył i strzelił w sufit, kilka perlistych sznurów żyrandola opadło w dół jak letni grad.

– Siedzieć! – zawołał. – Wszyscy mają siedzieć!

Stół znieruchomiał.

– A teraz – powiedział Dżamałudin, odwracając się do Komissarowa – opowiedz mi, komu poleciłeś wnieść materiały wybuchowe do szpitala i dlaczego kazałeś go

wysadzić.

Komissarow był szary na twarzy. Sprawiał wrażenie tubki, z której wyciśnięto pastę. Kirył, który nadal siedział po jego prawej stronie, pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział, żeby człowiek złamał się tak szybko. Gdyby ze strachu dało się schudnąć, Komissarow straciłby z pięćdziesiąt kilo.

Do sali weszły jeszcze dwie osoby, niosąc między sobą torbę z karabinami. Dżamałudin wsunął pistolet za pas i wyjął z torby kałasznikowa.

Kirył w końcu się zdecydował. Wstał, podszedł do Komissarowa i jedną ręką przystawił mu pistolet do skroni, a drugą rozpiął kaburę i wyjął broń. I odszedł od stołu. Tak się złożyło, że znalazł się dwa metry od klęczącego Argunowa. Pułkownik FSO podniósł na Kiryła oczy pełne czarnej nienawiści i rzucił:

– Łajdak.

Dla Komissarowa to było jak sygnał do natarcia.

– Wszystko zostało ukartowane! – zawołał. – To agent obcego wywiadu! Mamy dowody! – Gruby paluch wskazał Kiryła. – To on! Był w zмовie z terrorystami! Do dziś ma kontakt z Władkowskim! Chcieli cię wykorzystać, Dżamałudinie!

Dżamałudin uśmiechnął się krzywo i podniósł karabin, Komissarow z przerażeniem pomyślał, że ten człowiek zaraz do niego strzeli, tak jak przed chwilą strzelił do swojego krewnego.

I wtedy za ścianami zabrzmiały strzały. W pierwszej chwili można było pomyśleć, że to pojedyncza seria, ale strzały odezwały się znowu i znowu. Karabiny były niczym wiejskie psy: gdy zaszczekał jeden, po chwili dołączały do niego inne. Dżamałudin wyjął z kieszeni krótkofalówkę, która trzeszczała i chrypiała po awarsku.

W chwilę później Kemirow podniósł karabin i przejechał serią po ścianie nad głowami gości.

– Wszyscy na podłogę! – wrzasnął. Wskazał palcem Taszowa i polecił: – Twój zostanie tutaj, reszta za mną. Jak się ktoś ruszy, strzelaj.

Kiryłowi nikt nie powiedział, co ma robić, więc pobiegł za Dżamałudinem.

Zbiegli w dół po szerokich marmurowych schodach. Na pierwszym piętrze Kirył



omal nie wpadł na kelnerkę, która przecięła mu drogę.

– Gdzie lecis? Kryj się! – wrzasnął.

W tym momencie okno w holu zostało rozbite i wraz z odległym terkotem serii do środka wpadł jakiś obcy bojownik z karabinem.

Dżamałudin i Hagen już byli na dole, a Kirył stał przy szerokiej marmurowej balustradzie i patrzył, jak człowiek w kamuflażu, przekoziółkowawszy przez hol, kieruje karabin w jego stronę, niczym kij, gotów uderzyć w bilę.

Bojowe doświadczenie Kiryła równało się zeru. Co prawda zdarzyło mu się być w różnych sytuacjach – sam leżał z nosem w błocie i sam kładł ludzi w błoto. Kiedyś, w czasach wczesnego Władkowskiego, razem z gliniarzami odbijał przetrzymywanego menadżera. Władkowski dał wtedy jasno do zrozumienia, że bandyci mają zginąć w czasie szturm. I bandyci zginęli.

Ale jeszcze nigdy nie uczestniczył w prawdziwej walce. Dlatego nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie działo. Miał wrażenie, że śni mu się sen, a on jest w nim szybą, obok której przelatują kamienie.

W holu tuż obok schodów stał stolik do szachów, przy nim szerokie fotele. Kirył pchnął kelnerkę tak, że wpadła za fotel.

Bojownik strzelił. Strzelił nie w Kiryła, lecz bardziej w lewo i od razu zabrzmiała inna seria, i Wodrow zobaczył, jak ze stolika spadają ścięte kulami figurki. Bojownik padł na podłogę. Wtedy Kirył podniósł pistolet i nacisnął spust. Napastnik dostał w bok, a mimo to znów otworzył ogień. Kirył ponownie miał wrażenie, że śni: tylko we śnie człowiek może dostać w nerkę i dalej walczyć.

Z lewej strony nagle wyłonił się Dżamałudin, krótka seria trzech strzałów rozwalila napastnikowi głowę. Coś rzuciło Kiryła do przodu i upadając, Wodrow nagle pojął, dlaczego jeszcze żyje. Napastnik uznał, że człowiek w garniturze i białej koszuli jest celem drugorzędym.

Dżamałudin przeskoczył przez marmurową poręcz, z bliska wsadził serię w drugą postać, która pokazała się w oknie, i wyskoczył przez to okno na zewnątrz.

Kirył wstał, złapał karabin martwego bojownika i pobiegł za Dżamałudinem. W dole, na drodze, rozległ się potworny huk.

Za oknem pierwszego piętra zaczynał się płaski dach oficyny, na którym już

nikogo nie było. Dżamałudin rzucił krótki rozkaz i trzech ludzi padło plackiem na brzegu dachu, a sam Kemirow przebiegł po dachu i zeskoczył na podwórze.

Podwórze gospodarcze wbijało się klinem między parterową oficynę a mur twierdzy, przy wejściu ogrodzone tylko zardzewiałą, rozdartą siatką. Na szczęście dla broniących się, nie zawsze tak było – niegdyś stara cytadela odchodziła od muru pod kątem prostym, dlatego przed zardzewiałą siatką z ziemi wystawały fragmenty starego muru, to zniżając się do poziomu ziemi, to wznosząc się do połowy wzrostu człowieka. Pod murem siedziało trzech mężczyzn i strzelało w przystrzyżone gęste krzewy.

Ogień prowadzony z krzaków przypominał migającą neonową reklamę. Kirył przez chwilę patrzył na zarośla, potem przysiadł w kucki za murem, wysunął karabin nad głowę, nie wiedzieć czemu zamknął oczy i nacisnął na spust.

W tym momencie strzelanina przycichła i Dżamałudin krzyknął z całej siły:

– Hej, Arzo, czego ty chcesz?

Odpowiedź, która dobiegła z zarośli, była zdumiewająco lakoniczna:

– Komissarowa!

Dżamałudin uśmiechnął się i odkrzyknął:

– Ustaw się więc w kolejce!

Kirył nadal siedział w kucki, wysuwając karabin nad wyszczerbionymi kamieniami. W pewnym momencie zrobiło mu się słabo. Miał wrażenie, że traci przytomność, w każdym razie głosy wokół niego jakby przycichły. Kirył zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, leżał na ziemi. Nad nim stał Hagen i kłął. Z jego słów Kirył zrozumiał, że Czeczenom udało się potajemnie przeniknąć do twierdzy, Bóg wie, ilu przeszło przez mury. Awarowie natrafili na grupę uderzeniową, gdy wystawiali posterunki przed szopą.

– Oberwałem – poskarżył się Kirył.

Hagen przekręcił go na brzuch, obmacał i mocno szarpnął. Gdyby na ramieniu rosły zęby, Kirył pomyślałby, że właśnie wyrwano mu ząb bez znieczulenia.

– Masz swoją kulę – powiedział Hagen. – Weź ją.

Kirył odwrócił się: Hagen trzymał w ręku marmurowy odłamek, długi i ostry jak gwóźdź. Widocznie pocisk trafił w kolumnę i Kirył doznał wątpliwego zaszczytu

zranienia kamiennym grotem w karabinowej strzelaninie. Wodrow zalał się mocnym rumieńcem.

– Przebrałbyś się lepiej – rzucił Hagen. – Zabiją cię i co, będziesz tak leżał w brudnej koszuli?

Była siedemnasta piętnaście, gdy pancerne bmw „siódemka”, w którym siedział mer Besztoju i pierwszy wicepremier Rosji, podjechało do posterunku przy wyjeździe z miasta. Przed bmw leciały dwa milicyjne dżipy, za nim jechało osiem wozów ochrony.

Obok posterunku, żółtego dwupiętrowego budynku, stał jedyny na świecie hummer z ręcznym sterowaniem. Przy nim, na wózku inwalidzkim, siedział Saparczi Tielajew.

Orszak zatrzymał się, Zaur i Ugłow, nie zwracając uwagi na niezadowolenie ochroniarzy, wyszli na zewnątrz

– Czego chcesz? – spytał Zaur.

– Dogadać się – odparł Tielajew.

– Nie będę się z tobą dogadywał – oznajmił Zaur. – Za każdym razem, jak się z kimś dogadujesz, robisz to po to, żeby zdradzić tych, z którymi się dogadałeś.

Wtedy na pogrążonym w przedwieczornym półmroku zboczu Jałyk-tau pojawił się słaby rozbłysk, jeden, drugi, a po kilku sekundach powietrze przyniosło dudnienie wystrzałów.

Ochrona chciała zaciągnąć pierwszego wicepremiera do samochodu, ale ten dalej stał przy posterunku i przez całe pięć czy sześć minut wpatrywał się w ledwie widoczne błyski na Czerwonym Zboczu. Gdy strzelanina ustała, Ugłow odwrócił się do zastępcy szefa ochrony Nikity Azjamowa i zapytał:

– Ilu ludzi ochrania Czerwone Zbocze?

– Trzydziestu, głównie miejscowi.

– To niemożliwe. W żadnych warunkach trzydziestu ludzi nie mogłoby odpowiedzieć przeciwnikowi takim ogniem huraganowym.

I odwrócił się do Kemirowa:

– Gdzie jest pański brat, Zaurze Ahmedowiczu?

Dżamałudin wszedł do auli dwie minuty po skończonej strzelaninie. Zakładnicy nadal siedzieli przy dużym stole, ustawionym w literę U, ale obrus ściągnięto wraz z zawartością. Jedyną osobą, która stała, był kamerzysta.

Gdy Dżamałudin pojawił się w sali, operator odwrócił się do niego z kamerą. Nikt mu tego nie zabraniał, Dżamałudin zasadniczo nie protestował, gdy go nagrywano. Nie chciał tylko, żeby go pokazywać.

Awar popatrzył na zakładników, wyjął krótkofalówkę i zapytał:

– Arzo, słyszysz mnie?

– Słyszę – padła odpowiedź.

Członkowie delegacji rządowej siedzieli w absolutnej ciszy. Argunow lekko odwrócił głowę, słuchając dialogu między Czeczenem a Awarem.

– Co ci strzeliło do głowy, Arzo? – zapytał Dżamałudin.

– A tobie?

Szczęki Kemirowa zacisnęły się jak pułapka, odpowiedział dopiero po chwili:

– To Komissarow urządził zamach w szpitalu. Chcieli wzniecić pożar między Czeczenią i Awarią, żeby Rosja mogła się ogrzać przy ogniu. Przyszedłem go zapytać, kto podsunął mu taki pomysł.

– No to w czym problem? – zabrzmiało w eterze. – Z przyjemnością przyłączę się do twoich pytań. I tak uznają, że jesteśmy razem, czemu nie mielibyśmy zewrzeć szyków?

– Pytania Czeczena to pytania Czeczena. A pytania Awara to pytania Awara. Nie wydaje mi się, żeby miały wiele wspólnego.

– Posłuchaj, Dżamalu – powiedział Arzo. – Przygotowałem się do tej operacji lepiej od ciebie. Moi ludzie kontrolują góry nad wami, nie ma tam już ani jednego rosyjskiego stanowiska. Zamknęliśmy wyjście z Besztoju-10. Jeśli ktoś spróbuje stamtąd wystartować, oberwie „igłą”. Jak bym się uparł, zająłbym ten twój domek i nikt by mnie nie powstrzymał.

– Przysięgam na Allaha – odparł Dżamałudin – że jeśli znów będziesz chciał tu wtargnąć, to po prostu wysadzę wszystko w powietrze, a wtedy federalowcy palną w ciebie „gradem” i później powiedzą, że tak już było. Bez zakładników nic nie

zrobisz, a zakładników mam ja. Dogadamy się albo nie, ale nie radzę pchać się tu na siłę. Jeszcze nigdy mnie nie pokonałeś.

Z tymi słowami rozłączył się i wsunął krótkofalówkę do kieszeni.

– Radzabie – zwrócił się do Aryjczyka – jak stoimy z materiałami wybuchowymi?

– Słabo – odparł Hagen. – Ale w piwnicy stoją butle gazowe.

– Idź i się nimi zajmij – polecił Dżamałudin. – Słyszałeś, co powiedziałem Arzowi: jak znów zaczniesz się tu pchać, dostanie uszy zdechłego osła. Zadbaj o to.

Hagen skinął głową, odwrócił się i wyszedł z sali. Za nim poszli bliźniacy Abrek i Szahid. Kirył Wodrow pozostał na krześle przy scenie. Ashab Hasanow, który odzyskał przytomność w trakcie strzelaniny, leżał oparty o ścianę. Operator nagrywał zbliżenie jego twarzy, szklanych oczu i wielkich kropli potu.

Dżamałudin odwrócił się do Komissarowa:

– Nie dokończyliśmy rozmowy.

Generał Komissarow nadal siedział u szczytu stołu, nienaturalnie blady, z wielkim siniakiem na prawym policzku.

– To przecież zupełnie brednie – powiedział Komissarow. – Skończony idiotyzm! Nawet nie znam tego człowieka...

Kirył dopiero teraz zauważył, że Angielka szybko wybiera numer na telefonie, nawet nie próbując ukryć tego, co robi.

Dżamałudin podszedł i wyrwał jej komórkę z ręki.

– Na co ty sobie pozwalasz?! – spytał.

Zawód terrorysty bardzo psuje człowieka... Kirył dotychczas nie słyszał, żeby jakikolwiek Awar zwrócił się do nieznanym kobiecie na ty. Skoro już o tym mowa, Kirył nie widział też, żeby Dżamałudin dotknął bez konieczności kobietę albo psa.

– Świat ma prawo wiedzieć, co się tu dzieje – powiedziała Angielka, zaskakująco opanowanym tonem.

Dżamałudin rzucił telefon na podłogę i walnął w niego kolbą tak, że odłamki trysnęły na wszystkie strony.

– To nie *Mam talent* – powiedział. – Nie potrzebuję reklamy.

– Pozwól jej się połączyć! – rozległ się przenikliwy krzyk Komissarowa.

– Coś ty powiedział?

– Pozwól jej się połączyć – powtórzył Komissarow. – Są tutaj dziennikarze, mają antenę satelitarną, niech się połączą! W przeciwnym razie za chwilę powiedzą w telewizji, że nas przysypała lawina!

Zakładnicy zaszemrali, Dżamałudin podniósł rękę i zapanowała martwa cisza.

– Powtórz, co powiedziałeś – zażądał Dżamałudin.

– Nikt nie będzie prowadził z tobą rozmów, ogłoszą, że nie żyjesz i po krzyku!

– I któż taki spośród federalistów nauczył cię rozwiązywać problem w ten sposób?

– zapytał Dżamałudin. – Załatwić zakładników razem z terrorystami i mówić, że tak wyszło?

Komissarow milczał.

– No?

Lufa w rękach Dżamałudina zjechała w dół. Teraz celowała Komissarowowi w krocze.

– Iwan Ugłow – powiedział Komissarow.

Kirył zagryzł wargi do krwi. Spojrzał na pułkownika Argunowa, jego twarz była w kolorze ściany. Angielka słuchała jak zahipnotyzowana. Niestety znała rosyjski i wszystko rozumiała.

– Mów dalej – powiedział Dżamałudin z dziwnym uśmiechem. – Skoro już zacząłeś.

– To był pomysł Ugłowa! – zawołał Komissarow. – Przysięgam ci, Dżamałudynie, to nie ja! Protestowałem jak mogłem! Mówiłem, że nigdy nam tego nie wybaczą!

– Kto i jak wniósł do szpitala materiały wybuchowe? – spytał Dżamałudin.

Szef komitetu nadzwyczajnego obejrzał się. Ze wszystkich stron patrzyło na niego czterdzieści twarzy, terrorystów i zakładników. I na żadnej nie było nawet cienia współczucia. Szef funduszu emerytalnego i jego siostrzeniec siedzieli trzy metry od Komissarowa i przyglądali mu się ciemnobrązowymi oczami, w kolorze zakrzepłej krwi. To spojrzenie przypomniało Komissarowowi, że przewodniczący miejscowego funduszu emerytalnego nie zawsze był przewodniczącym. Jak już wspomnieliśmy, niegdyś porwali go ludzie Hadżijewa i po tym, jak Arzo już go uwolnił, przyszedł szef funduszu jeszcze przez dwa lata biegał z nim po górach.

Pułkownik Argunow siedział oparty o ścianę, jego spojrzenie było obojętnie spokojne.

– Terkijew – odparł Komissarow.

Arsen Terkijew był zastępcą naczelnika wydziału do walki z terroryzmem w zarządzie FSB republiki. Ponieważ zajmował się rejonem besztojskim, po zamachu przenieśli go do Piatigorska, później do Moskwy. Pół roku temu znaleziono go martwego w mieszkaniu służbowym. Krążyły słuchy, że popełnił samobójstwo.

– Skontaktowałem się z Terkijewem i poleciłem mu znaleźć odpowiedni obiekt do zaminowania. Jakiś czas potem zaproponował szpital położniczy.

– Powtarzam – jak to zostało zrobione?

– Spontanicznie. Terkijew i jego ludzie po prostu zatrzymali na kontrolę ciężarówkę wiozącą butle do szpitala. Powiedzieli, że muszą obejrzeć wóz na okoliczność materiałów wybuchowych, i gdy go oglądali, podmienili butle. Terkijew nie wiedział wtedy, czemu to ma służyć. Sądził, że podkładają butle po to, żeby potem FSB mogła je wykryć i zabezpieczyć. Był przekonany, że to operacja mająca na celu aresztowanie Ashaba Hasanowa

– Skoro Terkijew nie wiedział, że szpital zostanie wysadzony, kto nacisnął guzik?

– Pułkownik Argunow – odparł Komissarow.

Dżamałudin odwrócił się gwałtownie. Argunow wyprostował się i pochylił do przodu. Już miał coś krzyknąć, ale w tym momencie rozległ się głos Komissarowa:

– Tylko że on o tym nie wiedział. Nie było żadnego „guzika”. Jak miałyby użyć detonatora radiowego, skoro pierwsze, co się robi w sytuacji wzięcia zakładników, to wstrzymanie łączności radiowej? W sąsiednim budynku stał przyrząd, który co pół godziny wysyłał do detonatora złożony sygnał modulowany. Detonator zadziałał, gdy sygnał został puszczone cztery razy. A rozkaz o blokadzie radiowej wydał, zdaje się, Argunow. A może ty to zrobiłeś?

Argunow zasłonił twarz rękami.

– Co zrobiliście z Terkijewem?

– Obiecaliśmy mu awans i przewieźliśmy do Moskwy. Potem już rozkazy wydawał Ugłow, nie wiem.

– Kto wydawał rozkazy Ugłowowi?

– Nie wiem.

– Czy w tę historię jest zamieszany prezydent Asłanow?

– Jeśli Ugłow z nim rozmawiał, to tak, ale nie sądzę. Do takiej operacji nie wciąga się osób postronnych.

Dżamałudin odwrócił się do okna i przywołał ręką kamerzystę. Minutę później wyszli na korytarz, za nimi wyprowadzono również korespondenta.

– Antena jest twoja?

– Tak.

– Możesz połączyć się z CNN?

Dziennikarz wyglądał tak, jakby udało mu się zrobić wywiad z Lucyferem.

– Pan... Pan nam pozwoli... wyemitować to wszystko, co nakręciliśmy?

– Czy ja wyglądam na bojownika o wolność słowa? Przekażesz, że delegacja rządowa na Czerwonym Zboczu została przejęta przez terrorystów, którzy o swoich żądaniach poinformują później. Jeśli powiesz coś więcej, urwę ci głowę.

Orszak mera miasta i pierwszego wicepremiera zawrócił i opuścił stanowisko, za nim pojechał hummer Tielajewa i na posterunku zapanowała panika.

To był bardzo solidny posterunek, można powiedzieć, pięciogwiazdkowy – piętrowy budynek z jednej strony drogi i szklane pomieszczenie z drugiej, z komputerami, szerokimi oknami i nawet toaletą na parterze. Niegdyś służył do celów prywatnych, zbudował go i wynajął jeden z zastępców mera Szawłuchowa. Gdy do władzy doszedł Zaur, posterunek zyskał państwowy charakter.

Teraz dyżurowało tam trzech miejscowych gliniarzy, pięciu omonowców z Krasnojarska i sześciu poborowych z 104. Dywizji Wojsk Wewnętrznych, i wszyscy oni próbowali dodzwonić się do zwierzchników, żeby zapytać, co się stało. Zwierzchnicy z kolei próbowali dodzwonić się do nich z tym samym pytaniem.

Szeregowy żołnierz wojsk wewnętrznych Pieńkiewicz stał przy posterunku z granatnikiem na ramieniu, gdy okno otworzyło się i któryś z miejscowych gliniarzy zawołał:

– Zajęli posterunek przy bazie!



W tej chwili Pieńkiewicz zobaczył kawalkadę wyjeżdżającą z za zakrętu. Było w niej sześć albo siedem wozów, jako pierwszy jechał biały mercedes na numerach Torbikały, z kogutem na dachu.

Nikt w Besztoju nie miał białego mercedesa z takimi numerami. Żadna kawalkada samochodów nie mogła jechać w tym czasie i w tym kierunku do miasta. Jedyny, o którym Pieńkiewiczza uprzedzono, to orszak wicepremiera Rosji, który na oczach szeregowego zawrócił i pojechał z powrotem do Besztoju.

Szeregowy wojsk wewnętrznych wycelował naładowany granatnik i strzelił.

Pieńkiewicz pierwszy raz w życiu strzelał z granatnika w warunkach bojowych i od razu złamał dwie zasady, które wbijano mu do głowy codziennie w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Po pierwsze, tuż za nim, w odległości pół metra, było otwarte okno posterunku. Po drugie, półtora metra od szeregowego, przy stole pod oknem, siedział człowiek.

Trzymetrowy język płomienia częściowo wpadł do pomieszczenia, a częściowo odbił się od rozpadającej się ramy okna. Pieńkiewiczza odrzuciło do przodu, ubranie na nim zapłonęło jak pochodnia. Zabrzęczała wypadająca szyba, człowiekowi siedzącemu przy stole fala wybuchu wypaliła oczy.

Granat kumulacyjny chybił celu i wybuchł metr przed samochodem zamykającym kawalkadę. Kolumna pomknęła dalej, a z ostatniego wozu wyskoczyli ludzie w kamuflażu, wpadli do rowu i zalali posterunek ogniem karabinowym.

Ci, którzy przeżyli, odpowiadali ogniem. Na pierwszym piętrze posterunku kapitan Sosnowski rozpaczliwie naciskał guzik krótkofalówki:

– Piąty, tu siódmy! – krzyczał. – Terrorysty w mieście! Powtarzam, jesteśmy pod ostrzałem!

—

1. Tarikat – metoda duchowego wywyższenia i mistycznego poznania Koranu. Muzułmańscy asceci, krocący początkowo samotnie drogą walki z własnymi namiętnościami, w XI w. skupili się wokół duchowych przewodników w tarikaty, praktykujące ascetyzm i głoszące drogę duchowego oczyszczenia i oddanego służenia Allahowi. [\[wróć\]](#)
2. Rosimuszczestwo – w Federacji Rosyjskiej: Federalna Agencja ds. Zarządzania Majątkiem Państwa. [\[wróć\]](#)

# ROZDZIAŁ 11

*W którym Dżamałudin Kemirow stawia swoje warunki Rosji i w którym okazuje się, że społeczność Besztoju również ma swoją opinię w kwestii szpitala położniczego.*

**K**awalkada Gamzata Asłanowa wpadła na podwórze merostwa dziesięć minut po tym, jak CNN podało informacje o porwaniu zakładników. Drzwi między poczekalnią a gabinetem były otwarte na oścież. Asystenci Ugłowa latali od ochrony do zwierzchnika i z powrotem. Sam wicepremier stał z rękami skrzyżowanymi na piersi przy otwartym oknie wychodzącym na Jałyk-tau i kompletnie ignorował niezadowolenie ochrony. Zaur Kemirow rozpaczliwie naciskał przycisk aparatu. Próbował dodzwonić się do Dżamałudina, ale łączność bez przerwy siadała.

Połowa miasta widziała strzelaninę i dzwoniła do drugiej połowy, żeby się dowiedzieć, co się stało. Telewizor w pokoju był włączony na cały regulator, ale ponieważ to było ORT, pokazywano tylko ceremonię odsłonięcia pomnika.

Gamzat wpadł do gabinetu, wicepremier odwrócił się i zobaczył jego szalone, rozbiegane oczy i źrenice wielkości łebka od szpilki.

– Strzelali do mnie! – zawołał Gamzat. – Z posterunku! Są w mieście!

Do gabinetu wbiegł jeden z asystentów premiera.

– Iwanie Witaljewiczu! Dodzwonił się do nas deputowany Markow, z delegacji! Potwierdza, że Czerwone Zbocze zajęli terroryści! Poszedł do toalety i teraz ciągle tam siedzi i płacze, żeby przysłać po niego pociąg pancerny. Mówi, że wszędzie strzelają.

– Kto strzela?

– Batalion Hadżijewa opuścił koszary – zameldował major Raczkowski. – Według niepotwierdzonych doniesień posterunek przy wjeździe do miasta został ostrzelany przez terrorystów.

– Z placyku obserwacyjnego nad Tunelem Kurszyńskim otworzono ogień do samochodu milicyjnego!

– Posterunek Fala-1 zajęty przez terrorystów! Strzelali do kawalkady

wyjeżdżającej z bazy lotniczej!

– Witamy w Besztoju – mieście dobra i pokoju!

Ośłupiały wicepremier odwrócił się, słysząc ostatnie zdanie, i zobaczył, że wygłasza je dorodna dziewczyna na ekranie telewizora. Za dziewczyną widniał rozradowany tłum i Lisaniewicz z brązu.

– Wyłączcie to cholerstwo! – ryknął Ugłow.

W tej chwili interkom na biurku mera zabrzączał, asystent Ugłowa podniósł słuchawkę i oznajmił:

– To Wodrow!

Mer Besztoju wcisnął przycisk trybu głośnomówiącego. Telewizor wyłączono, w gabinecie zrobiło się bardzo cicho.

– Kiryle, to ty? – zapytał Ugłow.

– Ja.

– Gdzie jesteś?

– Na Czerwonym Zboczu.

– O Boże! Jesteś zakładnikiem?

W eterze rozległ się krótki śmieszek.

– Tak właściwie to jestem po drugiej stronie.

Ludzie w gabinecie popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Potem zapanowała chwila ciszy, jakby przy słuchawce zmieniał się rozmówca, i nowy głos, stonowany i wyraźny, niemal zupełnie pozbawiony akcentu, powiedział:

– *Salam alejkum*, Iwanie Witaljewiczu. Mówi Dżamal Kemirow.

– *Salam*, Dżamałudinie, co się tam u was dzieje?

– Arzo Hadżijew wpadł na pomysł, żeby wziąć na zakładników pańską delegację. Dobrze się przygotował, jego ludzie zdjęli w górach wszystkich waszych snajperów i zablokowali wyjazd z Besztoju-10. Całkowicie kontrolują zbocze nad hotelem i drogę do niego. Ja kontroluję tylko starą twierdzę.

– To nie jest tak źle – powiedział Ugłow. – Dostaniesz wsparcie.

– Nie sądzę – odparł Dżamałudin. – Besztoju-10 jest zamknięty, a nie wydaje mi się, żebyście mogli szybko przerzucić wojska przez tunel. To sprawa pomiędzy mną a Arzem, nie zdążycie się wtrącić. Jak będzie chciał, zetrze mnie na proch. Myślę, że

ma mniej więcej czterystu bojowników, do tego dochodzą ludzie Arsajewa. Ja nie mam tu nawet jednej trzeciej.

Mimo tego niewesołego podsumowania Ugłow poczuł, jak schodzi z niego straszne napięcie. Mogło być znacznie gorzej... Arzo jeszcze nie ma zakładników. Stu pięćdziesięciu awarskich awanturników ochraniających tę cholerną delegację to całkiem nieźle. Chociaż... Stu pięćdziesięciu?...

Wicepremier nie zdążył dokończyć myśli, gdy brat Dżamałudina Kemirowa nachylił się gwałtownie do interkomu i zapytał:

– Czegoś szukał na tej górze z takim tabunem ludzi, Dżamalu?

W eterze rozległ się śmiech i Dżamałudin odpowiedział:

– Dobry pomysł przyszedł do głowy dwóm różnym ludziom jednocześnie. Ty, Zaurze, wiesz, a Iwan Witaljewicz na pewno się domyślał, co robiłem przez te wszystkie lata. Polowałem na tych, którzy wysadzili w powietrze szpital położniczy w Besztoju. Ponieważ okazało się, że akcję ze szpitalem wymyślił Komissarow, więc przyjechałem na Czerwone Zbocze, żeby zapytać go o szczegóły. Początkowo się wzdragał, ale potem mówił dość chętnie. Opowiedział mi, jak zwerbowali Ashaba i jak namieszali w głowie Terkijewowi. Mówił o tym, jak konkretnie wnieśli tam materiały wybuchowe i jak zrobili detonator, a zrobili go bardzo sprytnie. Wyobraźcie sobie, detonator aktywował się dwie godziny po rozpoczęciu blokady radiowej. To była bardzo interesująca opowieść, słuchała go cała delegacja, razem z cudzoziemką i wicemarszałkiem. A na koniec powiedział, że rozkaz wysadzenia szpitala położniczego wydał Iwan Ugłow.

W trakcie opowieści Dżamałudina Ugłow bladł powoli, jakby zanurzano go w wybielaczu, pod koniec jego twarz miała kolor śmietany. W gabinecie znajdowało się siedem osób, i żadna z nich nie miała rosyjskiego pochodzenia. Dwie były Awarami.

– To kłamstwo – oznajmił twardo Ugłow. – Przysięgam na wszystko, co jest mi drogie, że nie mam nic wspólnego z wybuchem w szpitalu położniczym.

– Podjedź tu do nas – padła odpowiedź. – Omówimy tę kwestię na miejscu.

– Jak mam podjechać? Przecież twierdzą zablokowano.

– Poproszę mojego teścia, to cię przepuści.

– Posłuchaj, Dżamałudinie, powiem ci coś. Zawsze podejrzewałem, że z wybuchem w Besztoju coś jest nie tak, trzykrotnie otwierałem sprawę karną i nigdy nie udało mi się doprowadzić do normalnego śledztwa. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to obiecuję ci sąd nad Komissarowem i wszystkimi jego współnikami. Przysięgam ci, że dotrzemy do prawdy! Wiesz, co powiedział Dostojewski o łzie jednego dziecka? A tu...

– Iwanie Witaljewiczu – przerwał mu spokojnie Dżamałudin – jestem na tej wojnie czternaście lat i tak się złożyło, że przez cały ten czas walczyłem po stronie Rosji. Krytykowali mnie, że jestem głupi, że zdradzam własny naród... A więc jeśli chce pan, żebym teraz walczył przeciwko Arzowi, musicie spełnić trzy żądania. Po pierwsze, uwolnicie Szapiego Czarachowa, od razu. Po drugie, mianujecie mojego brata prezydentem republiki. I po trzecie, przyjedziesz na Czerwone Zbocze, Iwanie Witaljewiczu. Chcę z tobą porozmawiać osobiście.

– Posłuchaj, Dżamałudinie, przysięgam ci, że cała historyjka Komissarowa to kłamstwo, od początku do końca! Jeśli to rzeczywiście on stoi za tym zamachem... Boże, Dżamałudinie, daję ci słowo, że pójdzie pod sąd, niezależnie od wszystkiego! Jeśli naprawdę wymyślił coś takiego... Przysięgam ci na wszystko, że o niczym nie wiedziałem! On po prostu szuka kozła ofiarnego!

– Właśnie dlatego chcę z tobą porozmawiać sam na sam – odparł Kemirow.

– Dżamałudinie, nie zapominaj się! Możesz wyrównywać rachunki z terrorystami czy zdrajcami, ale nie z Rosją!

– Albo spełnicie moje warunki, albo będzie wam je dyktował Arzo.

I po tych słowach łączność została przerwana.

Premier Ugłow odłożył słuchawkę.

Zaur Kemirow, pięćdziesięcioletni mer Besztoju, jedyny miliarder republiki, potomek ludzi, którzy zajęli twierdzę w 1919 roku, i brat człowieka, który zajął ją teraz, stał po prawej stronie wicepremiera i patrzył na niego oczami pozbawionymi wyrazu. Gamzat siedział bokiem na stole narad i jego oczy nie tyle się śmiały, co tańczyły na nieruchomej, bladej twarzy.

Prócz Zaura i Gamzata rozmowę słyszały cztery osoby: asystenci Ugłowa

i major wojsk wewnętrznych Raczkowski.

Gamzat odchylił głowę, tknął Zaura palcem i zawołał:

– Mówiłem panu, Iwanie Witaljewiczu! Ci dwaj to terroryści! Wrogowie Rosji!

Głos Gamzata przeszedł w triumfalny wizg. Jego ręka zanurkowała do pasa i wynurzyła się ze złotym stieczkinem.

– Już jesteś trupem, sukinsynu! Już jesteś trupem!

Pierwszy wicepremier zrobił krok w stronę nowego przewodniczącego parlamentu i niemal bez zamachu trzasnął go w szczękę.

Szczerze powiedziawszy, bokser był Ugłowa taki sobie, mistrzostwa Besztoju nie zdobyłby na pewno. Ale Gamzatowi to wystarczyło: syn prezydenta zachwiał się i próbując utrzymać równowagę, załapał za róg stołu. Ręka przejechała po pliku dokumentów, czubki szpanerskich butów zaszurały po podłodze, Gamzat plasnął w ręce i upadł. Huknął strzał i kula ze smętnym brzękiem weszła w pancerne okno, które od razu pokryło się siateczką pęknięć.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wpadła ochrona Ugłowa.

Wszyscy, którzy byli w gabinecie, znieruchomieli, jedynie Gamzat sapał na podłodze, trzymając się za potłuczone kolano. Stieczkin, który wypadł mu z ręki, uderzył o stół i spadł pod nogi Ugłowa. Pierwszy wicepremier podniósł ciężki pistolet, wsunął go do kieszeni i powiedział:

– Zbierzcie dowódców pododdziałów. Tworzymy w mieście sztab antyterrorystyczny, ja będę dowódcą.

Wtedy major Raczkowski zaśmiał się dziwnie i powiedział:

– Uprzedzałem go, humanistę... Będiesz współczuł wilkom, wyrośnie ci ogon.

Gdy Dżamałudin rozmawiał przez telefon, jego ludzie nie tracili czasu. Taszow i Hagen przynieśli z piwnicy sześć butli z gazem i postawili je w otwartej przestrzeni stołów ustawionych w literę U. Taszow przeciągnął przez całą scenę zwykły przewód elektryczny.

Hagen w tym czasie przysiadł w kucki przed budką suflera i rozebrał F-1, przygotowując się do zrobienia z niego detonatora. Najpierw owinał granat taśmą izolacyjną, żeby przypadkiem nie doszło do wybuchu, następnie wykręcił z granatu

zapalnik i rozbił niewielką rurkę, pełniącą funkcję spowalniacza. Teraz granat miał wybuchnąć od razu.

Hagen zakręcił granat z powrotem, wyjął zawleczkę, odgiął jeden z wąsów i przymocował do zawlecзки przerzucony przez scenę przewód. Następnie umieścił zawleczkę na swoim miejscu, ale jednym tylko wąsem, tak, żeby przewód trzymał się niepewnie i wyskakiwał przy najlżejszym pociągnięciu. Przywiązał granat do butli i na koniec nożem desantowym naciął taśmę, uwalniając bezpiecznik.

Hagen robił dokładnie to samo, co ludzie Arsajewa zrobili cztery lata temu w szpitalu położniczym. Zakładnicy nie odrywali od niego wzroku.

Gdy Aryjczyk zajmował się butlami, Taszow przydźwigał skądś potężną starą szafę, ważącą chyba ze sto kilo, i położył ją na scenie. Cioteczny siostrzeniec Dżamałudina Amirchan kilkoma uderzeniami młotka wbił gwoździe w plecy szafy, na stałe przybijając ją do podłogi, a potem Taszow podał mu pierwsze lepsze krzesło i bojownik tak samo przybił oparcie krzesła do szafy.

Następnie Taszow na chwilę wyszedł i wrócił z maszynką elektryczną w jednej ręce i rondlem w drugiej. Rondel postawił na maszynie, a maszynkę pod krzesłem. Okazało się, że sznur od maszynki jest za krótki i jeden z bojowników skoczył po przedłużacz.

Fiodor Komissarow, zastępca prokuratora generalnego Rosji i przez ostatnie trzy miesiące najpotężniejszy człowiek w republice, patrzył na maszynkę oraz rondel i narastały w nim złe przeczucia. Inni zakładnicy również zaczęli podejrzewać, co się święci. Nadal siedzieli przy stołach, tak jak kazali im terroryści, i chociaż nikt nie wstał i nikt się nie poruszył, wokół Komissarowa jakimś cudem zrobiło się pusto.

Dżamałudin w tym czasie skończył rozmawiać przez telefon i zaczął w milczeniu chodzić tam i z powrotem przed zakładnikami, najwyraźniej na coś czekając. Chodził jak wahadło, to w jedną, to w drugą stronę. Gdy skręcał na zachód, patrzył w podłogę, kiedy skręcał na wschód, patrzył na wielki portret swojego przodka Amirchana, przedstawionego na tle gór i ubranego w czarną czerkieskę z chabrowymi pagonami.

Fiodor Komissarow wiedział, co się stało z kozakami w twierdzy Śmiałej. Ludzi

z rodu Kemirowów cechował obniżony humanitaryzm.

Do sali wszedł Szahid. W prawej ręce trzymał sznurek, jego koniec był przywiązany do ogona wielkiego szczura. Zakładnicy poruszyli się. Dżamałudin usiadł na stole przed Komissarowem.

– Fiodorze Aleksandrowiczu – zaczął Dżamałudin swoim cichym, wyraźnym głosem, który słyszała cała sala – czy to prawda, że na twój rozkaz mojego przyjaciela Szapiego posadzono nad rondlem stojącym na maszynie, a w tym rondlu był szczur?

– To nie ja – wychrypiał Komissarow – Przysięgam, nic nie wiedziałem! To on! To Sliwoczkin!

– Czego łżesz! – wrzasnął Misza. – To ty wydałeś rozkaz! Ty!

– O szczurze?! Przecież ja...

Dżamałudin uderzył Komissarowa na odlew rękojęcią pistoletu

– Słyszałeś, co powiedziałem Ugłowowi? – zapytał. – To teraz zadzwoń do prezydenta i przekaz mu naszą rozmowę. Bo jeszcze Ugłow coś przekreśli.

W tym momencie jeden z zakładników, wicemarszałek parlamentu, odchrząknął z godnością i powiedział:

– Dżamałudynie Ahmedowiczu, jest pan bardzo dzielnym człowiekiem. Niech mi pan wierzy, świetnie rozumiem pańskie uczucia. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, słysząc opowieść Komissarowa. Ja ze swej strony gotów jestem obiecać panu publiczne, parlamentarne śledztwo w celu wyjaśnienia okoliczności zamachu terrorystycznego w szpitalu położniczym. Utworzymy komisję...

Góral spojrzał na sługę narodu ciężkim, niewyrażającym niczego wzrokiem. Potem wyjął z kieszeni krótkofalówkę, nacisnął guzik i spytał:

– Arzo?

– Jestem, bracie.

– Jesteś sam czy z Wahą?

– A jak myślisz?

Dżamałudin uśmiechnął się krzywo.

– Dobrze. Mam trzy warunki. Po pierwsze, z Torbikały wkrótce wyleci helikopter, przetransportują nim Szapiego. Nic z tym helikopterem nie zrobisz. Po



drugie, jeśli od Rosjan przyjedzie Ugłow, przepuścisz go. Po trzecie, Arsajew ma tutaj przyjść, sam.

– I co stanie się po tym, jak już spełnię twoje warunki?

– Odejdę i zostawię ci Rosjan.

Zakładnicy patrzyli na Kemirowa oczami rozszerzonymi przerażeniem. Rzecz jasna żadnemu członkowi delegacji nie podobało się to, że w ich obecności chcą nakarmić szczura zastępcą prokuratora generalnego, i to jeszcze w taki haniebny sposób. Ale zdawali sobie sprawę, że jeśli Awarowie odejdą, następna fala „gości” nakarmi szczury nie tylko Komissarowem.

– Niechże pan zaczeka! – zawołał zastępca ministra finansów, wysoki, gruby mężczyzna w okularach, rządowy specjalista do spraw przyznawania pieniędzy rejonom. – Dżamałudinie Ahmedowiczu, to nie w porządku! Jesteśmy gotowi zwiększyć miastu finansowanie! Jesteśmy gotowi...

Dżamałudin rzucił na stół przed Komissarowem komórkę.

– Dzwon!

Komissarow łączywie łykał powietrze. Po jego twarzy płynął już nie pot, ale jakby białe kuleczki tłuszczu. Twarz miał sinoczerwoną, dyszał jak koń po wyścigu.

– To niemożliwe! – krzyknął w końcu.

– Fiodorze Aleksandrowiczu, nie rozśmieszaj mnie. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dzwoniłeś do prezydenta na oczach trzech moich przyjaciół. Rozwiązywałeś ich problemy od ręki, przez telefon. Teraz rozwiąż swój.

– Ja... ja nie mogę!

Twarz Dżamałudina wykrzywiła się. Nad ramieniem szefa komitetu nadzwyczajnego Szahid szarpnął za sznurek, szczur miotał się i piszczał w powietrzu.

– On naprawdę nie może – rozległ się spokojny głos pułkownika Argunowa. – Nikt nie może zadzwonić do prezydenta Rosji na komórkę. Po prostu nie ma numeru, pod który można by dzwonić. Do tego potrzebna jest specjalna łączność, a tutaj nie ma odpowiedniej aparatury.

Dżamałudin zdumiony odwrócił głowę, a w sali rozległ się oburzony krzyk przewodniczącego funduszu emerytalnego:

– Ach ty sukinsynu! Za ten telefon wzięłeś ode mnie dwa miliony! A teraz wychodzi na to, że nigdzie nie zadzwoniłeś?!

– I ode mnie wziął milion! – wrzasnął minister finansów. – I jeszcze mówi: ja rozwiązałbym tę kwestię za darmo, ale na Kremlu za takie rzeczy płaci się milion!

– Ode mnie wziął czterdzieści tysięcy! – zawołał jeszcze jeden zakładnik, Nasruła Szamchojew. – Powiedział, że może zadzwonić do Condoleezy Rice, żeby mojej córce od ręki dali wizę do Stanów!

Mimo butli, szczura na sznurku i bojowników w kamuflażu któryś z członków rosyjskiej delegacji roześmiał się histerycznie.

– Dzwon! – wrzasnął Dżamałudin.

Fiodor Komissarow wciągnął powietrze... i już go nie wypuścił. Wywrócił oczami, krzyknął głucho i zaczął się osuwać z krzesła. Zaskoczony Hagen puścił szczura i zwierzątko wskoczyło Komissarowowi za kołnierz koszuli. Fiodor Aleksandrowicz spadł na podłogę, szczur, piszcząc rozpaczliwie, prześlizgnął się do spodni, wyskoczył z szerokiej nogawki i uciekł w przerażeniu przez zwały obrusa, który bojownicy rzucili na pustą przestrzeń między stołami, razem z ogonem jesiotra, szklankami i sztućcami. Lady Hilda zerwała się z miejsca.

– Nie udawaj! – wrzasnął Dżamałudin.

Komissarow charczał, jego dłonie próbowały rozpiąć kołnierz koszuli. Hagen podbiegł, chciał go uderzyć, ale Dżamałudin podniósł rękę i bojownicy w milczeniu patrzyli, jak wszechpotężny szef komitetu nadzwyczajnego tłucze się na podłodze, niczym wyrzucony z morza wieloryb.

– Nie udawaj – powtórzył Dżamałudin i wyciągnął dłoń z pistoletem.

– On nie udaje! – krzyknęła lady Hilda. – Dostał ataku!

Ale to było coś więcej niż atak. Komissarow charczał coraz rzadziej, teraz drgała połowa jego ciała. Dżamałudin opuścił broń i patrzył w milczeniu, jak u jego stóp miota się zastępca prokuratora. Nikt z zakładników nie odważył się udzielić mu pomocy. Pod wzrokiem Dżamałudina Angielka usiadła na swoje miejsce. Gdy Komissarow w końcu ucichł, Dżamałudin zwrócił się do reszty zakładników:

– Bardzo dobrze. Skoro ten bydlak nie miał dostępu do prezydenta, kto z was ma?

Posiedzenie sztabu antyterrorystycznego zaczęło się w merostwie o siedemnastej czterdzieści. Oprócz wicepremiera Ugłowa byli obecni pułkownik wojsk wewnętrznych Lepieszkin, szefowie wszystkich przebywających w mieście SOBR-ów, w tym krasnojarskiego, rostowskiego i besztojskiego, oraz oficjalni przedstawiciele lokalnych władz: Gamzat Asłanow i Zaur Kemirow.

Na posiedzeniu był również obecny Saparczi Tielajew. Jako dyrektor Awartransfłotu nie mógł być uważany za szefa struktury siłowej, ale Ugłow zerknął na jego ochroniarzy i postanowił nie wdawać się biurokratyczne niuansy.

W gabinecie mera na stole, pod zieloną flagą z czarnym wilkiem leżała mapa rejonu, a na niej czerwonymi i zielonymi pinezkami oznaczono pozycje federalistów i zbuntowanego batalionu Południe. Pierwszy wicepremier oznajmił sucho, że delegacja na Czerwonym Zboczku została wzięta do niewoli przez separatystów i że ci sami ludzie zablokowali Tunel Kurszyński i wyjazdy z bazy lotniczej.

– Chciałbym usłyszeć wasze propozycje przewyciężenia kryzysu – oznajmił.

– Trzeba rzucić wojska na Czerwone Zbocze – oznajmił dowódca krasnojarskiego SOBR-u Jeżykow – i wykończyć terrorystów jednym uderzeniem! W mieście jest półtora tysiąca milicjantów i żołnierzy. O, major Raczkowski ma nawet czołgi!

– Trzeba ściągnąć helikoptery i „grad” – dodał dowódca rostowskiego SOBR-u, pułkownik Lepieszkin. – I rozwalić tych bydlaków z powietrza! Bojowników przy tunelu załatwimy jedną salwą rakietową!

– Należy koniecznie poinformować społeczeństwo o współnikach i pomocnikach Hadżijewa! – odezwał się przewodniczący parlamentu republiki Gamzat Asłanow.

– Nie doszłoby do tego zamachu, gdyby Arzo nie miał wsparcia swojego zięcia, największego bandyty Besztoju Dżamałudina Kemirowa!

Wszyscy obecni na posiedzeniu popatrzyli na mera. Zaur siedział po prawej ręce wicepremiera. Jego żółtawa nalana twarz z wysokim czołem i wianuszkami sztywnych, przerzedzonych włosów była spokojna i zmęczona. Oczy mera Besztoju zwęziły się lekko, gdy powiedział:

– Porządek w mieście może przywrócić tylko jeden człowiek: Szapi

Dżamałowicz Czarachow. Udzielanie wywiadu nie ma sensu. Jeśli zacznie pan, Iwanie Witaljewiczu, dawać wywiady mediom, mój brat zrobi wywiad z Fiodorem Komissarowem i puści go w CNN. A Dżamałudin umie robić niesamowite wywiady, mógłby panu kilka pokazać.

Pierwszy wicepremier milczał przez kilka sekund i jego wydłużona jak halabarda twarz niczego nie wyrażała. Iwan Ugłow najbardziej żałował, że nie ma z nim pułkownika Argunowa. Argunow był starym wyjadaczem, a jego zastępca Azjamow, po prostu dzielnym człowiekiem o kurzym mózdzku i niedźwiedzich pięściach.

– Jako szef sztabu rozkazuję sformować do walki z terrorystami grupę bojową Besztoj – oznajmił. – Dowódcą tej grupy mianuję podpułkownika Azjamowa. Podpułkowniku, proszę otoczyć merostwo kordonem, wzmocnionym czołgami i BTR-ami. Czołgi niech pan ściągnie z posterunków. Macie ochraniać areszt i inne budynki publiczne, które mogą być celem terrorystów. I jeszcze jedno: proszę natychmiast uwolnić Czarachowa. Nie do pomyślenia, żeby pułkownik czynnej rezerwy FSB, kawaler Orderu Męstwa został aresztowany na podstawie tak bzdurnych oskarżeń! To jawna prowokacja tych, którzy odpowiadają za obecne zamieszki!

Narada skończyła się o osiemnastej. Gdy członkowie sztabu opuścili gabinet, Iwan Ugłow jednym haustem wypił szklankę wody i podszedł do pancernego okna.

Prawdę powiedziawszy, warunki Dżamałudina Kemirowa wcale nie były ciężkie. Szapi Czarachow to w ogóle był drobiazg. W Moskwie nie mieli pojęcia o żadnym Czarachowie, takich Szapich było tu na pęczki. Zaur na prezydenta? Przecież Ugłow właśnie po to przyjechał, żeby zrobić z Zaura prezydenta! I nawet fakt, że jego brat przy okazji zgarnął rosyjską delegację, niczego nie zmieniał. No co, nie wiedzieli, jakiego Zaur ma brata? Trzeci warunek również był drobnostką – dla wszystkich prócz samego Ugłowa.

Jak na ironię, zarówno Kreml, jak i Dżamałudin najbardziej nie lubili publiczności. Dżamałudin podrzynał gardła terrorystom i Kremlowi bardzo to odpowiadało, a w każdym razie znacznie bardziej, niż gdyby Dżamałudin nikogo nie zarzynał, za to głośno domagał się śledztwa. I teraz Dżamałudin chciał tego samego

co zawsze: poderznąć jeszcze jedno gardło. Kremlowi takie stanowisko odpowiadało bardziej, niż gdyby Dżamałudin Ahmedowicz nagle zapragnął jawności, jak jakiś stronnik zachodnich demokratów.

A Ugłow? No co, Ugłow?

Iwan Witaljewicz znał na Kremlu mnóstwo ludzi, którzy jeszcze dopłaciliby kaukaskim dzikusom za poderżnięte gardło wicepremiera Ugłowa.

Jednym słowem, gdyby Iwan Ugłow był na miejscu każdego innego człowieka, przyjąłby warunki Dżamałudina bez wahania. Ale on był na swoim miejscu i nie chciał ich przyjmować.

Odwrócił się do interkomu i wybrał numer. Ku jego zdumieniu telefon odebrano po drugim sygnale.

– *Salam*, Iwanie Witaljewiczu – powiedział niegłośny, pewny siebie głos, nieco ślizgający się na głosce „w” z powodu uszkodzonych mięśni twarzy.

– Co ci strzeliło do głowy, Arzo? – zapytał zimno Ugłow.

– Obrzydło mi oglądanie siebie w lustrze.

– Komissarow załazł ci za skórę?

– To też.

– Dni Komissarowa są policzone – oznajmił wicepremier. – Gdybyście ty i twój zięć nie pobiegli na wypródki po jego głowę, to po moim powrocie do Moskwy trafiłby do Lefortowa. Ale Bóg z nim... Mam dla ciebie propozycję. Chcesz zostać prezydentem Czeczenii?

– I co miałbym za to zrobić?

– Uwolnić parlamentarną delegację z łap terrorystów.

– Jest ze mną emir Rasuł. Jego ludzie nie łykną tego.

– Ludzie Arsajewa to terroryści. Przeprowadziłeś wspaniałą operację – wywabiłeś ich z kryjówek i zlikwidowałeś.

– Stanowisko prezydenta Czeczenii za coś takiego to trochę mało.

– A czego byś jeszcze chciał?

W słuchawce rozległ się cichy śmiech.

– Wiesz – powiedział Arzo, – siedem lat temu, gdy omal mnie nie zabili w tych okolicach, widziałem raj... Widziałem jabłka większe od piłki i zdumiewające

granaty z czerwonymi ziarenkami, i brzoskwinie, gładkie jak buzia niemowlaka. Widziałem dziewczęta, które szły do mnie, nie dotykając ziemi. Wyobrażasz sobie, siedemdziesiąt dwie dziewice na twoje usługi i każdego ranka one znowu są dziewicami, ponieważ ich błona zrasta się co noc. Byłem w tym miejscu, Iwanie Witaljewiczu, w którym ty nigdy się nie znajdziesz i które śni mi się po każdej walce. Śni mi się, że mam trzydzieści lat, obie ręce i twarz człowieka, a nie krokodyla. Mam wiele grzechów i nie chcę, żeby mi je wypomniano w dniu Sądu Ostatecznego. Ja potrzebuję raju, kafirze, a ty mi proponujesz prezydenta Czeczenii.

I w telefonie rozległ się urywany sygnał.

Wściekły Ugłow trzasnął słuchawką w stół.

Jak tylko w górach nad miastem rozległa się strzelanina, ludzie zaczęli wyglądać przez okna i dzwonić do siebie na komórki, a gdy liczba połączeń wzrosła do sześćdziesięciu procent, sieć zaczęła padać i wydłużyły się przerwy w łączności.

Kiedy sieć zaczęła padać, ludzie wyszli na ulicę i pobiegli do meczetu na głównym placu. A gdy pojawili się obok meczetu, pierwsze, co zobaczyli, to nie urale na dziedzińcu meczetu, nie linia kordonu w poprzek placu. Pierwsze, co zobaczyli, to pomnik generała Lisaniewicza.

Jak już mówiliśmy, prócz Zaura było bardzo wielu ludzi niezadowolonych z pomnika Lisaniewicza. Zamiast wymieniać ich po kolei, prościej będzie powiedzieć, że byli to wszyscy mieszkańcy miasta.

Oprócz pomnika było jeszcze kilka rzeczy, z których ludzie byli niezadowoleni. Na przykład, z wojska, które zalało całe miasto, i z plotek o odsunięciu mera. Byli też niezadowoleni z tego, że w republice należało płacić każdemu gliniarzowi, lekarzowi czy urzędnikowi. Mieszkańcy Besztoju dobrze wiedzieli, że lekarzowi należy płacić dlatego, że ten płaci ordynatorowi, a ów z kolei szefowi departamentu, szef ministrowi, minister prezydentowi republiki, a prezydent republiki zapewne prezydentowi Rosji. To byli prości ludzie i nie rozumieli, po co prezydent Rosji trzymałby prezydenta republiki, gdyby ten mu nie płacił.

Ale najbardziej mieszkańcy miasta byli niezadowoleni z wybuchu w szpitalu położniczym. O tym nieczęsto mówiono na ulicach i można by odnieść wrażenie, że

miasto zapomniało o zamachu terrorystycznym. To błędne wrażenie brało się stąd, że do każdego mężczyzny, który zaczynał się głośno skarżyć i proponował rozprawić się z terrorystami, przychodzili ludzie Dżamałudina i mówili: „Chcesz policzyć się z terrorystami? Chodź do nas!”. Jeśli człowiek odmawiał wstąpienia do oddziału Dżamałudina i przy tym nadal obnażał zbrodniczą niemoc władzy, mógł mieć kłopoty. Jednemu nawet połamali żebra i ten przypadek wszedł do kronik organów ścigania jako przykład plugawych działań sługusów miejscowych satrapów, kneblujących usta demokratycznie nastrojonej społeczności.

Besztoj leżał na Kaukazie, w szpitalu straciło życie prawie dwieście osób i drugie tyle zostało rannych. Nie było rodziny, której krewni czy znajomi nie zginęliby w szpitalu. A skoro już o tym mowa, w Besztoju nie było też rodziny, która nie miałaby krewnych czy znajomych wśród tych, którzy uwięzili w starej twierdzy delegację rządową.

Dlatego wiadomość o tym, co konkretnie wydarzyło się na Czerwonym Zboczu, rozchodziła się wśród mieszkańców bardzo szybko i przed godziną osiemną cały tłum, który zebrał się na placu przed merostwem, wiedział, że Dżamałudin Kemirow wreszcie znalazł tych, którzy zabili ich dzieci, i jeden z morderców siedzi pod lufą jego karabinu na Czerwonym Zboczu, a drugi pod ochroną kordonu sto metrów od tłumy

O wpół do siódmej Dżamałudin wszedł do gabinetu dyrektora sanatorium. Tam, przy białym pękatym telefonie, siedział wicemarszałek Dumy Państwowej. Biały telefon stał w tym miejscu od czasów KC i miał bezpośrednie moskiewski numer. Wicepremier rozmawiał teraz, usiłując nadać swoim wypowiedziom bardzo przekonujący charakter. Karabin na kolanach siedzącego naprzeciw Kiryła sprzyjał krasomówstwu.

Dżamałudin posłuchał wicemarszałka, a potem przywołał Kiryła.

– Chodź porozmawiać – powiedział.

Kirył wyszedł za nim do holu, dużej przestrzeni otoczonej marmurowymi kolumnami. Na podłodze, w kałuży krwi, leżał szachowy goniec, a nieopodal, w rogu, bliźniacy Szahid i Abrek przykrywali prześcieradłem ciało zabitego

bojownika.

Dżamałudin dał znak ręką i podszedł do trupa, Kirył podążył za nim. Nieboszczyk miał czarną kędzierzawą brodę i szerokie spodnie do kolan. Dżamałudin odciągnął gumkę spodni, pod spodem nie było slipów. Wahabici nie nosili slipów, ponieważ w Awarii czasów Proroka ten element męskiej odzieży nie był w użyciu. Granatników w czasach Proroka również nie było, ale z jakiegoś powodu nikt na to nie zwracał uwagi.

Dżamałudin odwrócił się od trupa i siadł w fotelu. Już się przebrał, teraz miał na sobie dopasowany kamuflaż. Ciemne oczy Kemirowa płonęły gorączkowo na smagłej twarzy z wysokim czołem. Po prawej stronie za plecami Dżamałudina stał jasnowłosy Hagen, po lewej wielki, wymazany czyjąś krwią i zarośnięty czarną kędzierzawą brodą Taszow.

– Co powiesz? – zapytał Dżamałudin Kiryła.

– Żaden z nich donikąd się nie dodzwoni – powiedział Kirył. – Wszystkie decyzje, które muszą zostać podjęte, zapadną dzisiaj. I żaden z zakładników nie dodzwoni się do nikogo, kto mógłby je podjąć. A to oznacza, że o wszystkim będzie decydował Ugłow.

Dżamałudin nic nie powiedział, ale w jego oczach w kolorze kory imbiru zapłonęły i zgasły czerwone iskry.

– To już nie jest zemsta na winowajcach, Dżamałudynie – mówił dalej Kirył.  
– To jest bunt. Masz pojęcie, kim są twoi zakładnicy? Rozumiesz, kim jest Ugłow? Czego ty chcesz?

– Chcę, żebyś przyjął islam – odpowiedział spokojnie Dżamałudin.

Kirył osłupiał.

– Dlaczego?

– Bo my znajdziemy się dzisiaj w raju – wyjaśnił Awar. – A ty nie. I będzie mi cię brakowało.

Z tymi słowami górale odwrócili się i wyszli, a Kirył został pośrodku podłogi zasypanej gilzami i figurami szachowymi, z ciałem bojownika przykrytym prześcieradłem.



W Besztoju mieszkał pewien człowiek, Kurban-Ali Kuramahometow, który w szpitalu położniczym stracił żonę i córkę. Handlował używanymi samochodami i miał trzech braci. Wybuch w szpitalu zmienił go w zdziwaczałego odludka. Nie mył się i nie golił przez pół roku, czasem widywano go przy besztojskich bazarach. Był pijany i wszczynał kłótnie z Czeczenami. Sąsiedzi uważali, że kompletnie zwariował.

Upłynęło pół roku i na drodze do Besztoju zaginął Czeczen. Jechał z Gudermesu na bazar razem z młodszym synem i tak się zdarzyło, że Czeczen zginął, a jego uszy się znalazły: przybito je do drzewa obok szpitala.

Wkrótce po zaginięciu Czeczena sąsiedzi Kurban-Alego zauważyli go pijącego herbatę w ogrodzie, umytego i ogolonego.

Minął kolejny miesiąc i na szosie do Besztoju znowu zaginął Czeczen – tym razem z żoną i dwudziestoma tysiącami dolarów, które wiozł, żeby kupić na giełdzie samochód. Potem zaginął jeszcze jeden Czeczen i kolejny, z czego Zaur Kemirow był bardzo niezadowolony. Uważał, że im więcej Czeczenów ginie na drogach, tym mniej pieniędzy dostają besztojskie bazy. Zaur wezwał swojego brata i urządził mu przesłuchanie, ale Dżamałudin przysięgał, że to nie on porywa Czeczenów. „Ten, kto to robi, jest chorym człowiekiem – powiedział Dżamałudin. – Po co mi coś takiego?”.

Zaur nie mógł się z tym nie zgodzić. Przecież zaginięcia ludzi, na których polował jego brat, nikt nigdy nie zgłaszał, a dodatkowo to zaginięcie nie wpływało na ogół zysków.

Trzy miesiące po tej rozmowie na wjeździe do Torbikały patrol zatrzymał ładę „szóstkę”.

Mężczyźni siedzący w samochodzie wcisnęli patrolowi pieniądze i już mieli odjechać, gdy z bagażnika dały się słyszeć łomot i krzyki, a potem leżący tam człowiek wybił nogami klapę i wypadł na jezdnię. Mężczyźni z łady wystrzelali cały magazynek w patrolowego i odjechali, a Czeczen z bagażnika sturlał się do rowu i przeżył.

Minęły dwa dni i do domu Dżamałudina przyszedł Kurban-Ali, któremu w owym czasie powodziło się całkiem dobrze: kupił dwa miejsca na bazarze i nową żonę.

– Dżamałudinie – powiedział – dwa dni temu moi bracia w Torbikale wieźli w bagażniku Czeczena, bo był im winien pieniądze. Czeczenowi udało się wydostać z bagażnika, nałgał glinom jak się patrzy i teraz oni wysłali za moimi braćmi list gończy i mówią, że to myśmy zabijali Czeczenów na drogach! Przysięgam na Allaha, nie mam z tym nic wspólnego!

Dżamałudin wziął Kurban-Alego i pojechał z nim do Torbikały. Tam poszedł do szefa MSW Czebakowa i zapytał:

– Słyszałem, że szukacie Zezowatego Kurban-Alego?

– Jak najbardziej! To on zabijał Czeczenów na drogach!

– Przysięga na Allaha, że nic takiego nie robił.

– Robił czy nie robił, już my to wyjaśnimy – odparł Czebakow. – Bardzo dobrze, że go przyprowadziłeś.

– Ejże, nie przyprowadziłem go tu po to, żeby wydać glinom! Przyszedł ze mną sam i sam odejdzie, a jak chcecie go łapać, to łapcie gdzie indziej.

Dżamałudin i Kurban-Ali wyszli i nikt nie odważył się im przeszkodzić. Jednak miesiąc później Kurban-Alego i jego braci jednak zatrzymano i oni przyznali się do jedenastu zabójstw, w tym dwóch, o których nikt nie wiedział. Gdy Dżamałudin o tym usłyszał, przyjechał zły do aresztu i spytał Kurban-Alego:

– Jak śmiałeś mnie okłamać?

Kurban-Ali odburknął coś. Wtedy Dżamałudin dał mu w zęby, a potem zapłacił strażnikom i ci wynieśli Kurban-Alego i włożyli do bagażnika. Ludzie Dżamałudina zawieźli go do lasu i zmusili do ukłęknięcia. Dżamałudin uderzył go ręką pistoletu w skroń i zapytał:

– Czemu zabijałeś ludzi na drogach?

– Chciałem pomścić dziecko i żonę – odpowiedział Kurban-Ali.

– Nie myl zemsty z zarobkiem – poprawił go Dżamałudin.

Pobił Kurban-Alego, a potem wrzucił do bagażnika i polecił Hagenowi:

– Zawieź go do Arza, niech z nim zrobi, co uzna za stosowne.

Ale tak się stało, że Hagen nie wykonał rozkazu Dżamałudina. Trudno powiedzieć, co mu odbiło. Uznał chyba, że Kurban-Ali rzeczywiście zwariował, a robienie krzywdy szaleńcowi uważał za grzech. Dlatego wypuścił Kurban-Alego

i kazał mu zjeżdżać. Gdy Dżamałudin się o tym dowiedział, nie odzywał się do Hagena przez cały miesiąc, a Zaur, Szapi i Arzo dosłownie wpadli w szal – myśleli, że Hagen puścił zabójcę na rozkaz Dżamałudina.

W efekcie Kurban-Ali znalazł się na wolności, a jego bracia nadal siedzieli w besztojskim areszcie, co oczywiście bardzo go martwiło.

Co dzień przychodził do aresztu i rozmawiał ze ścianą, za którą siedzieli jego bracia, czasem karmił tę ścianę kanapkami i polewał ją wodą. Bał się nosić braciom paczki, bo wiedział, że szukają go i władze, i Czeczeni.

I kiedy tłum wyszedł na ulice, Kurban-Ali również wybiegł z domu, ale nie poleciał do merostwa, lecz do miejskiego aresztu.

O siódmej wieczorem Dżamałudin Kemirow zszedł z marmurowego ganku sanatorium i niemal w tym samym czasie po drugiej stronie dawnego placu apelowego twierdzy pojawił się chudy człowiek z rękawem zatkniętym za pas, w bordowym, nasuniętym krzywo berecie.

Słońce zachodziło za Jałyk-tau, niebo ponad skałami płonęło różem i czerwienią, białe obłoki po tamtej stronie nieba wyglądały jak konie, zaprzężone do rydwanu półksiężyca. Pożegnalne światło dnia zalewało purpurą marmurowe kolumny fasady, krzaki, zza których wystawał przekrzywiony podbródek BTR-a, i wielką pustą przestrzeń między krzewami a fasadą, z asfaltowanymi ścieżkami i klombem z żyzną, czarną ziemią, obsadzonym białymi, czerwonymi i niebieskimi krokusami. O tym klombie opowiadano, że ziemia tam jest tak żyzna dlatego, że w tym miejscu Amirchan Kemirow kazał ułożyć ciała kozaków i zagroził, że rozstrzela każdego, kto po nie przyjdzie.

Minęły dwie godziny od chwili, gdy ucichła strzelanina, ale Dżamałudin nie stracił ani minuty.

Stara twierdza i tak była nieźle broniona. Z dwóch stron mury spadały w przepaść, plac przed fasadą można było ostrzeliwać na wylot, a sam budynek, jeśli nie liczyć nadbudówki na drugim piętrze i drewnianej oficyny, miał kamienne ściany półtorametrowej grubości, z wąskimi oknami i stropami, które mogłyby przebić najwyżej pocisk 122 mm.

Twierdzę Śmiałą budowano w czasach Jermołowa, licząc się z możliwością ataku jądrowego. Gdy ludzie Amirchana Kemirowa zdobyli twierdzę, kozacy bronili cytadeli jeszcze przez dwa dni, i tak nie mieli już nic do stracenia.

Parterowa drewniana oficyna z przylegającym do niej podwórkiem gospodarczym była najbardziej wystawiona na ciosy. Krzaki i zabudowania znajdowały się w odległości dziesięciu metrów i kipiały od Czeczenów. Po namyśle Dżamałudin postanowił w ogóle jej nie ochraniać. Pustą oficynę zaminowano, nad dochodzącym do niej murem umieszczono dwóch z „trzmielami”. Z korytarzy i sal pozdzierano wszystko, co mogłoby się zapalić, i część wyniesiono na podwórze, a część do auli z zakładnikami.

Gdy Arzo i Dżamałudin spotkali się na środku klombu, Arzo powiedział:

– Posłuchaj, bracie, mam dla ciebie propozycję. Pojedziemy razem do Besztoju i przytargamy tu tego wicepremiera.

– I co potem?

– Potem ogłosimy Besztoj rejonem wolnym od niewiernych. Ja mam pięciuset ludzi, ty stu pięćdziesięciu, gliny będą po naszej stronie, mieszkańcy miasta również. To kto nam może przeszkodzić, OMON z Penzy?

Dżamałudin milczał. Zza spalonego ikarusa w słońcu błysnęła optyka snajperki, wiatr szarpał wiszący nad ikarusem powitalny baner z napisem: „Witamy w spokojnym Besztoju”.

– Zrobimy to – mówił dalej Arzo – co należało zrobić siedem lat temu. Czy nie zrozumieliśmy przez ten czas, że walczyłeś po niewłaściwej stronie? Czy nie to wyjaśnił ci dziś Komissarow? Dżamałudynie, na siedem lat oddałeś swój naród pod jarzmo niewiernych! Przez siedem lat patrzyłeś, jak oni biorą łapówki i torturują ludzi, ale tego im było mało i żeby wbić klin pomiędzy dwa muzułmańskie narody, urządzili szpital położniczy! Chcesz, żeby twoja ziemia nadal był ziemią wojny? Czy żeby stała się ziemią islamu?

– I kto miałby rządzić na tej ziemi?

– Zwołamy szurę alimów<sup>1</sup>, żeby wybrała imama. A do tego czasu będzie tak, jak powiesz. Zechcesz, oddam ci władzę. Zechcesz, będziemy razem, jak w Abchazji. Nie tęsknisz za tamtą wojną, kunaku?

Dżamałudin patrzył gdzieś w dal i zamiast zalanych purpurą gór widział słońce abchaskiej wojny i nowiutki BWP na podwórku przedszkola, i młodego, beztroskiego Arza, roześmianego, z figurką plastikowego wilka w ręku.

– Rosjanie nigdy ci tego nie wybaczą – dodał Arzo. – Bo oni wybaczą tylko tym, którzy są ich wrogami, nie tym, którzy współdziałają. Dżamalu, ja przyszedłem tu umrzeć. Siedem lata temu stałem na progu rajy i teraz przyszedłem, aby do niego wrócić. Gdy zobaczyłem cię tutaj, zrozumiałem, że i mną, i tobą kierował Allah. Nie schodź z drogi, na którą wszedłeś, nie działaj wbrew przeznaczeniu Pana Światów!

Światło zachodu płonęło na smagłej skórze Arza i jego twarz z profilu wydawała się czysta i piękna, oczy błyszczały jak dwa czerwone węgle. Lider besztojskich ochotników i cioteczny wnuk założyciela władzy radzieckiej w Besztoju, zajadły muzułmanin Dżamałudin Kemirow stał przed pułkownikiem FSB i Bohaterem Rosji Arzem Hadżijewem, który uczył go walczyć w tym czasie, gdy razem mieli jakieś czterdzieści lat, i w jego oczach pluskało morze pod Gagrą. Ale do tego morza nie da się wejść dwa razy.

– Czemu powiedziałaś mojemu bratu, że brałem udział w jego porwaniu? – zapytał Dżamałudin.

– Komissarow to chlapanął – wyjaśnił Arzo. – A ja wiedziałem, że on w ten sposób sprawdza moją lojalność wobec federalów. Nie chciałem zaprzeczać jego słowom przy wszystkich, a gdy potem telefonowałem do Zaura, nie mogłem się dodzwonić.

Dżamałudin uśmiechnął się nikle i Arzo poczuł się nieswojo. Wiedział, że gdyby wczoraj się odezwał, dziś by mu bardziej wierzono. I wiedział, że właśnie to powie mu za chwilę Awar.

– Daj mi Wahę i będziemy kontynuować tę rozmowę – rzucił Dżamałudin i poszedł do marmurowego portyku, wdeptując w czarną, żyzną ziemię kwiaty w kolorach rosyjskiej flagi.

Na schodkach portyku Taszow podał mu krótkofalówkę.

– Dżamałudinie? – dobiegł zimny głos. – Tu Ugłow. Śmigłowiec z Czarachowem wylądował za dziesięć minut. Nawiasem mówiąc, włączyliśmy go do sztabu.

Szapi Czarachow miał piękny sen. Śniło mu się, że gdzieś leciał w białym jak

śnieg helikopterze, mającym łopaty niczym skrzydła motyla. Wokół placu, na którym wylądował, rosły piękne jabłka, między nimi chodziły jelenie ze złożonymi różkami, a ze wszystkich stron lądowiska zbliżali się do Szapiego martwi ludzie – przyjaciele, Idris i Anton, i jego stary dziad Bagaudin, który nagle odmłodził i stał się trzydziestoletnim mężczyzną.

Potem Szapi otworzył oczy i zobaczył, że sen nie był marą. Leżał na noszach pod gołym niebem, a nad nim wisiały łopaty śmigłowca i twarz mera Besztoju.

– Szapi – powiedział cicho Zaur, a jego słowa delikatnie muskały uszy Szapiego, jak wiewiórczy pędzelek zamoczony w akwareli muska papier. – Co oni ci zrobili?

Szapi uśmiechnął i powiedział zaskakująco wyraźnie:

– Niczego nie podpisałem. Zaurze, chcę, żebyś wiedział, że niczego nie podpisałem.

Później zamknął oczy i biały helikopter poniósł go dalej.

Helikopter z Szapim Czarachowem wylądował na placu przed merostwem o wpół do ósmej, a pięć minut później odjechała stamtąd karetka pogotowia, wyjąc i migając niebieskim światłem. Za pogotowiem ruszyła kawalkada czarnych mercedesów na moskiewskich i besztojskich numerach.

Ugłow siedział w jednym z mercedesów z Zaurem i nie odrywał wzroku od okna. Zbierający się na skrzyżowaniach mieszkańcy miasta przypominali rój, który wyleciał z ula.

Samochody pędziły, skręcając z jednego szerokiego prospektu na drugi, przed oczami Ugłowa mignęło żółte, dwumetrowe ogrodzenie z szerokimi słupami i kutymi żeliwnymi kratami i chwilę później karetka wpadła na dziedziniec szpitala miejskiego numer trzy, zalany czarnym asfaltem, z wysepkami klombów z czarną tłustą ziemią i krzakami róż.

Dwaj sanitariusze podnieśli nosze i pobiegli z nimi do budynku szpitala. Gdy Ugłow wpadł na pierwsze piętro, dojrzał już tylko skrawek zielonego fartucha, który zniknął za drzwiami sali operacyjnej, i zobaczył białą jak kłacz szparaga twarz Zaura.

Szpitalny korytarz pachniał niedawnym remontem i śmiercią. Między szerokimi oknami stały wygodne kanapy, na ścianie wisiały dziecięce rysunki. Zaur Kemirow

usiadł na kanapie i zamknął oczy. Pierwszy wicepremier zrozumiał, że ten człowiek będzie tu siedział dopóty, dopóki gliniarz, który obciążył go zeznaniami, będzie w sali operacyjnej. Wicepremier wzruszył ramionami i podszedł do okna.

Z tej strony okna wychodziły nie na ulicę, którą przyjechali, lecz na plac wyłożony szarymi kwadratami płytek. Plac oddzielało od szpitala niskie ogrodzenie, na którym nie wiedzieć czemu przywiązano mnóstwo wstążeczek. Choć było jeszcze dość jasno, przy placu paliły się gazowe latarnie na niskich słupkach. Płonęły niczym wieczny ogień, w dzień i w nocy, i było ich sto siedemdziesiąt cztery, tyle, ilu zabitych w tym miejscu cztery lata temu.

Ze zburzonego skrzydła szpitala nie zostało nic prócz ruin oficyny w odległym rogu placu. Ruiny nakryto szklanym dachem, za nimi stał niewielki meczet z minaretem przypominającym raketę balistyczną na wyrzutni. Pod dachem leżały wieńce, które Ugłow i Kemirow złożyli kilka godzin temu. Podpułkownik Azjamow już ustawiał kordon, odpychając poza latarnie nieduży, może pięćdziesięcioosobowy tłum.

Pierwszy wicepremier przez jakiś czas patrzył na latarnie i na dach, który uznał za ciekawe rozwiązanie architektoniczne. Potem podszedł do Zaura, siadł naprzeciwko, podał mu krótkofalówkę i powiedział:

– Połącz się z bratem.

– Po co?

– To twój młodszy brat. Zrobi to, czego zażadasz. Choćbyś zażądał pomnika Lisaniewicza. Przy okazji, skąd on go wzięł?

– Z wysypiska. Mamy tu przemysłowe wysypisko, pięć kilometrów od miasta, w wąwozie. Usunięty pomnik zabrano początkowo do bazy, ale tam ludzie Dżamala zaczęli do niego strzelać. Dżamalowi się to nie spodobało i kazał go wyrzucić. A wczoraj w nocy go wykopali. Musieli przekopać pięć metrów gnijących odpadków.

– Kto kopał? Robotnicy?

– Nie, Dżamal i jego ludzie. Całą noc.

Ugłow przełknął ślinę. Wyobraził sobie, co musiało czuć kilkudziesięciu uzbrojonych Awarów, wykopujących spod odpadów pomnik zdobywcy Kaukazu.

I teraz za te nocne wykopaliska Dżamał żądał zapłaty wedle carskiego cennika. Gdyby Ugłow wiedział, jaka będzie cena, nie upierałby się tak przy tym cholernym Lisaniewicz.

W tym momencie drzwi od sali operacyjnej otworzyły się i na progu stanął główny chirurg szpitala miejskiego Dżabraił Alijew.

Zaur odwrócił się do niego i resztki krwi odpłynęły mu z twarzy.

– Co z Szapim? – zapytał ostro wicepremier. – Jest nam pilnie potrzebny!

Alijew kompletnie zignorował Rosjanina i przez kilka sekund patrzył Zaurowi prosto w oczy, a potem spuścił wzrok i powiedział:

– On umarł, Zaurze Ahmedowiczu. On... umarł, zanim przywieziono go do szpitala.

– To niemożliwe! Ja... przed chwilą z nim rozmawiałem!

– Nie miał żadnych szans, Zaurze Ahmedowiczu. Miał... dziurę w żołądku.

Zaur poszarzał i nie wiadomo dlaczego zapytał:

– Od czego?...

Chirurg obrzucił wzrokiem członków sztabu antyterrorystycznego i ich ochroniarzy, stłoczonych na korytarzu.

– Wyglądała, jakby wygryzł ją szczur – powiedział twardo Czecen. – Od środka.

A potem odwrócił się i poszedł do sali operacyjnej.

Wtedy w kompletnej ciszy rozległ się pisk wywołania.

– Zaur? – usłyszeli w krótkofalówce głos Dżamałudina. – Zaurze, słyszysz mnie? Co z Szapim?

Kirył i Hagen weszli do auli razem z ostatnią grupą rozbrojonych funkcjonariuszy FSO. Jeden z nich miał poharatane udo. Gdy go wnieśli do sali, Hagen zajął się raną razem z wicemarszałkiem Dumy. Iwan Sołonihin był biznesmenem i członkiem Lideralno-Demokratycznej Partii Rosji, ale piętnaście lat temu pracował jako lekarz pogotowia i z tego względu był bardzo użytecznym zakładnikiem. Żadnego innego pożytku z niego nie było, jego telefony odbierali wyłącznie asystenci.

Wicemarszałek skończył opatrunek, Hagen odciął kawałek bandaża nożem



desantowym i zapytał:

– Słuchaj no, to prawda, że jesteś wydawcą?

Wicemarszałek się napiął. Rok temu kupił sobie kawałek imperium kolorowych pism. Cycki, jachty i bikini, publikowane w pismach dla mężczyzn, przynosiły mu dwadzieścia milionów rocznie. Wicemarszałek nie był pewien, jak białowłosa bestia z zieloną opaską na włosach odniesie się do zawartości jego prasy.

– Wydajemy kolorowe czasopisma – przyznał oględnie Sołonihin. – Pismo „Lizańka”.

– Dobre pismo – pochwalił Hagen. – Moja żona czyta je od deski do deski, nigdy nie wyrzuca... – I dodał po chwili zastanowienia: – Ale mimo wszystko w tym waszym piśmie dużo jest niesłusznych rzeczy. Różne tam minispódniczki... Może powinniście wydawać pismo dla muzułmanek? Mój szwagier to porządny chłop, studiował w Syrii. Mógłby wam pomóc w przygotowywaniu materiałów.

Sołonihin postarał się w żaden sposób nie oceniać tego pomysłu marketingowego. Hagen wsunął nóż za cholewkę buta, potrząsnął białymi włosami i powiedział po chwili wahania:

– Nie myśl sobie, że ja mam coś przeciwko Rosjanom. Ja tego... przeciwko Żydom. Tak sobie myślę, że ten Komissarow to Żyd.

– Źle trafiłeś.

– Co?

– Nie wiem jak Komissarow, ale ja jestem Żydem – wyznał odważnie wicemarszałek.

Hagen speszył się, poprawił karabin na ramieniu i powiedział:

– O kurczę. Wybacz.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do sali wszedł Dżamałudin. Rozmowy wśród zakładników ustały w jednej chwili, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Kemirow w milczeniu powiódł wzrokiem po Rosjanach i podszedł do Komissarowa. Ten jeszcze żył. Każdy średnio doświadczony lekarz od razu postawiłby diagnozę: rozległy udar. Dżamałudin nie był lekarzem, ale nawet on wiedział, że Komissarow długo nie pociągnie.

Wówczas jeden z członków delegacji wstał z krzesła.

– Dżamałudinie Ahmedowiczu – powiedział uprzejmie – niech mi pan wierzy, ja osobiście i cała nasza wspólnota jesteśmy głęboko wstrząśnięci tragedią pańskiego miasta. Zło to straszna rzecz, która wydarza się za każdym razem, gdy następuje degradacja dharmy i zaczyna dominować pozór. Chcę powiedzieć, że zło i śmierć to pozór, a pozór to zło i śmierć...

– Coś ty, odszczepieniec? – zainteresował się Dżamałudin.

„O cholera, tylko nie to!” – przemknęło przez głowę Kiryła.

– Jestem członkiem Towarzystwa Świadomości Kryszny – odpowiedział z godnością zakładnik. – I przybyłem do waszego miasta z propozycją zbudowania mandiru... to znaczy, świątyni...

– Ja ci dam świątynię! – wrzasnął Dżamałudin. – Zaraz wylecisz stąd na kopach, łajdaku, i będziesz tak leciał aż do samej Moskwy, bez przerwy! Mało nam wahabitów, jeszcze jakiegoś Krysznę tu przywlekli!

– Dżamałudnie Ahmedowiczu – wtrącił się życzliwie jeden z zakładników – my wszyscy zgadzamy się biec na kopach aż do samej Moskwy, bez przerwy. Niech pan tylko da znać, bo jeśli wygania pan stąd krysznaitów, to wszyscy zostaniemy krysznaitami!

Kilku bojowników parsknęło śmiechem, Dżamałudin poczerwieniał jak rak, splunął i wyszedł z sali.

Kirył odwrócił się, żeby iść za nim i nagle spotkał się wzrokiem z tym deputowanym, który w zeszłym roku przyjechał do Courchevel z jego byłą żoną. Ten człowiek robił kiedyś interesy z Władkowskim, a teraz wchodził do pierwszej czterdziestki czy pięćdziesiątki „Forbesa”, miał dużą sieć supermarketów. W tej chwili patrzył na Kiryła niezdecydowany, jakby się zastanawiał, czy przypominać mu o tej znajomości, a nawet, w jakimś sensie, bliskości.

– I co, Siergieju Aleksandrowiczu – zagaił Kirył – przyjechał pan do Besztoju otwierać sklepy?

– Nie, miałem problemy z prokuraturą. Atakowali moją sieć.

– A na czym konkretnie polegały te problemy? – zapytał Hagen.

Zakładnik spojrzał na nieprzytomnego Komissarowa i powiedział:

– Myślę, że już je rozwiązaliście.

Dżamałudin poszedł do sali bilardowej, w której okna wycięte w grubym kamieniu zapewniały lepszą łączność, wziął krótkofalówkę i powiedział:

– Zaurze? Co z Szapim?

Na szpitalnym korytarzu, pachnącym śmiercią i farbą, mer Besztoju i pierwszy wicepremier Rosji patrzyli na czarne pudełko krótkofalówki jak na odbezpieczony granat. Trzech osobistych ochroniarzy Ugłowa stało przy wyjściu z korytarza, na zielonej sofie pod oknem siedział miejscowy gliniarz, który, zdaje się, dowodził SOBR-em. W każdy razie to właśnie on umożliwił przejazd kawalkady.

– Zaurze? Co z Szapim? – powtórzył Dżamałudin.

W tym momencie coś uderzyło w okno. Szyba brzęknęła i spadła na korytarz, obsypując sobrowca deszczem szkła. Ugłow, zbity z nóg przez własnego ochroniarza, znalazł się na podłodze, a dwóch funkcjonariuszy FSO podbiegło do okna i wysunęło karabiny.

Zaur nadal stał między oknami, z krótkofalówką w ręku. Metr przed nim, wśród kawałeczków szkła, leżał duży kamień. Widocznie rzuciły go dzieci, dorośli użyliby strzelb.

– To kamień – powiedział Zaur.

– Jaki kamień? – nie zrozumiał Dżamałudin. – Co z Szapim?

Ugłow wstał z podłogi i od razu przysiadł na wyściełanej ławeczce, nogi się pod nim ugiwały. Przez rozbite okno wpadał wiatr i krzyki ludzi stojących za linią kordonu:

– Dża-ma-łu-din, Dża-ma-łu-din!

Zaur spojrział uważnie na Ugłowa i podniósł krótkofalówkę do ust.

– Szapi jest w szpitalu. Rozmawiałem z nim. Powiedział, że niczego nie podpisał. Podrobili jego podpis.

Dżamałudin milczał. Ugłow wziął od Zaura krótkofalówkę.

– Jak widzisz, spełniłem twój warunek. Teraz ty spełnij swój.

– Oczywiście, Iwanie Witaljewiczu. Jak tylko spełnisz pozostałe dwa.

– Posłuchaj, Dżamałudynie, co ci powiem – odezwał się wicepremier. – Proponuję ci, żebyś się zastanowił razem ze mną, bardzo poważnie i głęboko.

Zawsze byłem pewien, że z zamachem w szpitalu coś jest nie tak. Dlatego poleciłem, żeby nie ruszać ciebie i twoich ludzi. To prawda, Moskwa oficjalnie ogłosiła, że wszyscy terroryści zginęli i ja nie mogłem powiedzieć nic innego. A wiesz, dlaczego tak się stało?

– Dlatego, że przywykliście łąć.

– Nie. Dlatego, że gdy wojska wewnętrzne wchodzą do wsi, żeby aresztować jakiegoś szczeniaka, pojawiają się w liczbie dwustu ludzi, wywalają BTR-em ścianę szkoły, demolują sklep, kradną kilka żiguli i zdejmują z połowy kobiet złote pierścionki. Jak sądzisz, co by się stało z waszą republiką, gdyby te wojska nie polowały na jakiegoś szczeniaka, lecz na groźnego terrorystę?

Krótkofalówka milczała.

– Powiem ci: w republice zaczęłaby się wojna domowa. Między ludnością z jednej i organami z drugiej strony. Nie mogę kontrolować MSW, ale mogę przynajmniej nie dopuścić do tej wojny. Oto dlaczego nie szukaliśmy terrorystów i zostawiliśmy tę sprawę tobie. Naprawdę myślisz, że nie wiedziałem, co robisz? Mogę ci dokładnie powiedzieć, kiedy, gdzie i kogo zabiłeś.

Gdy Ugłow zaczął rozmawiać z Dżamałudinem, młody milicjant dowodzący SOBR-em i major Azjamow wyszli na zewnątrz. Wyglądając przez rozbite okno, Ugłow widział, jak biegają, tworząc kordon przed czarnym kutym ogrodzeniem i jak besztojski sobrowiec stoi w otwartej bramie i krzyczy do tłumu. Krzyczał po awarsku, a potem machnął ręką i dwóch miejscowych gliniarzy zaczęło się przeciskać przez tłum. Nikt ich nie kopał i nie bił.

– Chcę ci coś wyjaśnić, Dżamałudynie – mówił dalej Ugłow. – Doszły do mnie pogłoski o tym, co Fiodor Komissarow robi w republice. Że bierze pieniądze za mianowanie prezydenta. Przyleciałem tu z dwóch powodów: po pierwsze, żeby osobiście sprawdzić, co robi Komissarow, i po drugie, żeby mianować prezydentem twojego brata.

– Nie wierzę.

– To prawda, bracie – wtrącił się Zaur. – Dziś wieczorem Iwan Witaljewicz zaproponował mi stanowisko prezydenta. A na dokładkę zaproponował też kredyt na siedemset milionów.

– Nie wątpię – mówił dalej Ugłow – że moi przeciwnicy na Kremlu wiedzieli, kogo planuję mianować prezydentem republiki. I komuś bardzo zależało, żeby brat mianowanego przeze mnie prezydenta wszczął bunt, dokładnie tak samo, jak ktoś cztery lata temu chciał skłócić ze sobą Czeczenów i Awarów. I mam wrażenie, że pragnęli tego ci sami ludzie.

– Kto?

– O to spytaj Kiryła Wodrowa.

– Co?!

– Nie zauważyłeś – zapytał poufale kremlowski urzędnik – że od chwili, gdy Kirył Wodrow pojawił się przy tobie, twoja wojna się zmieniła? Przedtem polowałeś na terrorystów. Teraz walczysz z Kremlem. Byłeś mścicielem, a zmieniłeś się w buntownika. Co się stało, Dżamałudinie? Nie wiem, skąd masz informacje, że za tym zamachem stali federalowie, ale jestem pewien, że Wodrow maczał we wszystkim palce.

– Chcesz powiedzieć, że to nie federalowie urządzili ten zamach?

– Chcę powiedzieć, że ktoś cię wykorzystał wtedy, w rozgrywkach na skalę federalną, a teraz chce powtórzyć swój sukces, działając przez Kiryła Wodrowa.

– Tak, tak, wiem. Międzynarodowi terroryści i ich zachodni panowie.

– Dżamałudinie, wiesz, kim ja jestem? Wskazują mnie jako jednego z możliwych następców prezydenta. Jak myślisz, ilu osobom zależałoby, żeby mnie zlikwidować twoimi rękami? Już raz zrobili wszystko, co potrzeba. Dżamałudinie, to nie jest scenariusz na twoją miarę! Nie masz pojęcia o rozgrywkach Kremla, tak jak ja nie mam pojęcia o waszych *tuhumach*<sup>2</sup>! Można ci wcisnąć wszystko i uznasz to za prawdę!

Po drugiej stronie panowało milczenie.

– Powiedz mi, Dżamałudinie – kontynuował Ugłow – czy nie zadawałeś sobie pytania, co robi w twoim oddziale Kirył Wodrow? Wiesz, że on jest milionerem? Wiesz, że dwa miesiące temu jeden z największych rosyjskich banków proponował mu stanowisko wiceprezesa? Kirył Władimirowicz wolał przyjąć skromną posadę zastępcy Komissarowa! Powiedz mi, czemu człowiek, który przywykł mieszkać w hotelu Ritz i wypoczywać w Courchevel, biegał z tobą po górach? Czy to jego

wojna? Czy to jego wiara? Kto i ile zapłacił mu, by zdobył twoje zaufanie?

– Nie uwierzę ci dopóty – odezwał się Dżamałudin – dopóki nie porozmawiam z tobą osobiście. Przyjedź i pomyślimy we trzech, kto mnie wkręca, Kirył czy ty.

– To niewykonalny warunek. Jak mogę przyjechać, skoro Arzo po drodze weźmie mnie na zakładnika?

Dżamałudin odpowiedział po chwili milczenia:

– Nie uwierzę, że chciałeś mianować Zaura prezydentem, dopóki nie usłyszę tego w telewizji.

I na tym łączność została przerwana.

Dżamałudin stał w sali bilardowej, pod koniec jego rozmowy przyszli tam Hagen, Szahid i Kirył.

Wbrew radzie Hageny Kirył tak właściwie się nie przebrał. Nadal miał na sobie czarne spodnie i białą koszulę, a na niej kamizelkę taktyczną z magazynkami, spod której wystawał jedwabny krawat. Wodrow usiadł w głębokim fotelu, stojącym obok umieszczonego w oknie DSzK. Kątem oka zerkał na swoje odbicie w lustrze. Widok był niepowtarzalny.

Awar skończył rozmowę, rzucił krótkofalówkę i odwrócił się do Kiryła. Po kręgosłupie Wodrowa spływał lepki pot.

Dżamałudin znalazł się w wysokogórskim hotelu, unikając myślenia o konsekwencjach, ale oto nastał czas, żeby nad nimi zastanowić. Szalony poryw przerodził się w bunt. A górską zemsta – w ultimatum, rzucone jednemu z najpotężniejszych ludzi Kremla.

Dżamałudin nie był sam. Miał rodzinę, miał ród i jego stu pięćdziesięciu ludzi też miało rodziny, żony i dzieci, i wszystkim tym ludziom Ugłow proponował wyjście z sytuacji. Oddawał im Komissarowa, stanowisko prezydenta, życie, przyjaciół, majątek i zwycięstwo. I jedyne, co trzeba było zrobić, to powiedzieć, że wszystkimu, co się stało, nie jest winien jeden z potężniejszych ludzi Kremla, lecz nikomu nieznany Kirył Wodrow, człowiek, który nie wiadomo dlaczego dołączył do Dżamałudina. Który nawet nie przyjął islamu.

Dżamałudin przysiadł w kucki przed Kiryłem. Jego ciemne oczy znalazły się pół

metra od twarzy Rosjanina.

– No i co, Kiryle – zapytał góral – nadal uważasz, że powinienem zawrzeć ugodę z Ugłowem? A może jednak przyjąć propozycję Arza?

Kirył w milczeniu zasłonił twarz rękami.

W tej chwili drzwi się otworzyły i na progu sali bilardowej stanął Taszow. W ręku miał angielską komórkę Wodrowa.

– Kiryle, do ciebie. Jakiś amerykański szpieg.

Już sam fakt, że ktoś w ogóle zdołał się dodzwonić mimo padającej sieci, zdumiał Kiryła niepomieranie. „W samą porę” – pomyślał Rosjanin i wziął telefon z miną skazańca.

– *Hi, Cyril!* – rozległ się w słuchawce wesoły głos. – *Are you busy?*

Kirył poznał rozmówcę, to był jego dawny kolega z ONZ. Teraz stał na czele dużej amerykańskiej firmy konsultingowej Bergstrom&Bergstrom.

– *Not really.*

– *Great! You know, I've learned from Andrew that you're available, and we've just decided to open a Russian branch. Would you care to head it?*

– Dziękuję, jeśli nadal będę żył, to z przyjemnością – odparł Kirył.

Po tamtej stronie kuli ziemskiej rozległo się chrząknięcie, oznaczające wyrozumiałość dla specyficznego poczucia humoru Rosjan.

– Przy okazji, Kiryle, jak tam twoje stosunki z tym waszym wicepremierem, macie kontakt?

– Tak – potwierdził Kirył. – Właśnie rozmawialiśmy, minutę temu.

– Doskonale. Od trzech dni jestem w Londynie. Przyleć, pogadamy.  
– I w słuchawce rozległ się przerywany sygnał.

Kirył złożył telefon, spojrzął na cekaem w oknie, na obwieszonych bronią ludzi z zielonymi opaskami na głowach i zaczął się śmiać. Śmiał się coraz głośniej, a potem złapał karabin i dalej się śmiał, odrzucając do tyłu głowę. Dopiero wtedy Dżamałudin pojął, co się dzieje, złapał Kiryła za krawat i zaczął nim potrząsać. Rosjanin najwyraźniej wpadł w histerię.

W pustym szpitalnym korytarzu Iwan Ugłow oddał Zaurowi krótkofalówkę

i zszedł na dziedziniec. Zaur poszedł za nim.

Na zewnątrz panował niezły bałagan. Miejscowi gliniarze, zasłonięci plastikowymi tarczami, ustawili się w długi szereg wzdłuż zburzonego szpitala położniczego. Gamzata i Saporcziego nigdzie nie było, widocznie zostali w merostwie. Gdy Ugłow się rozglądał, za rogiem dał się słyszeć ryk silnika, kordon rozstał się i na plac przed szpitalem położniczym wjechał T-72.

Szare płytki pękały pod gąsienicami czołgu jak skorupki jajek, ryk silnika zagłuszał krzyki tłumu. Za czołgiem jechał BTR, za nim jeszcze jeden czołg.

Za czołgiem szedł ten sobrowiec, który dowodził miejscowym kordonem. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej jakąś gumę. Gdy podszedł bliżej, Ugłow spostrzegł, że to proca. Wyciągnął dłoń, sobrowiec położył na niej procę.

– Dzieciaki – oznajmił. – Nic poważnego.

Ugłow spojrzał uważnie na swojego rozmówcę i polecił:

– Rozgońcie ten tłum.

– Nie da rady – odpowiedział spokojnie góral.

Ugłow zawrzał:

– Jaki masz stopień?

Mężczyzna, którego wicepremier wziął za pracownika organów, wzruszył ramionami i odparł:

– Nie mam stopnia. Nazywam się Hadżimurat Czarachow, syn Szapiego. Powiedziałem naszym ludziom, że dopóki nie pojawi się mój ojciec, mają słuchać mnie.

Ugłow chciał coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w krtani.

Wokół niego podwójnym klinem stała ochrona – piętnastu ludzi – maleńka armia, która w zwykłych warunkach wybawiłaby go z każdej opresji. Dalej znajdowało się sześciu ochroniarzy mera, którego brat niedawno wziął do niewoli delegację rządową. Jeszcze dalej był kordon milicji, który, jak się właśnie okazało, nie słuchał ministra spraw wewnętrznych, lecz mistrza zapaśniczego, będącego synem zmarłego przed chwilą człowieka.

Dopiero teraz Iwan Ugłow zrozumiał, że jego sytuacja różni się od sytuacji Komissarowa tylko tym, że Komissarow był zakładnikiem stu pięćdziesięciu ludzi,



a on, Ugłow, trzech tysięcy.

Pierwszy T-72 zatrzymał się z łoskotem pięć metrów przed Ugłowem. Z wjazdu wyskoczył podpułkownik Azjamow.

– Iwanie Witaljewiczu, jako człowiek odpowiadający za pana bezpieczeństwo nalegam, żeby opuścił pan miasto.

Pierwszy wicepremier milczał. Nigdy nie uważał się za szczególnie odważnego, ale myślał, że zna Kaukaz. Sądził, że zna go o wiele lepiej, niż ten chłopak Wodrow, który go zdradził dla wrogów Rosji.

Były porucznik wojsk pancernych, który w 1986 roku przeszedł do GRU, a stamtąd do polityki, pierwszy wicepremier Rosji Iwan Ugłow odwrócił się do Zaura Kemirowa. Jego oczy były jak ciekły hel.

– Nasz wspólny znajomy, Kirył – zaczął – opowiedział mi przy okazji, że Lisaniewicz, którego pomnik dzisiaj odsłanialiśmy, kazał swoim wojskom wyróżnić trzy tysiące Kumyków, niedaleko stąd. I w ten sposób stłumił bunt.

– To prawda.

– Musi pan stąd wyjechać! – powtórzył Azjamow. – Czołgi zapewnią eskortę.

– Zaryjcie je w ziemię – polecił Iwan Ugłow.

Saparczi Tiełajew postanowił jechać do szpitala za Zaurem i wicepremierem. Stracił jednak kilka cennych sekund, wsiadając za kierownicę swojego hummera, i gdy jego kawalkada ruszyła, tłum zdążył się już zamknąć za Zaurem i Ugłowem. Kiedy samochody Tiełajewa, z opuszczonymi szybami i wrzeszczącymi z nich karabinierami, wdarły się między ludzi, Saparczi zobaczył przed bramą szpitala dziesięciu milicjantów.

Saparczi był bystrym człowiekiem i w odróżnieniu od wicepremiera Ugłowa od razu zauważył, że z tych dziesięciu dwaj to siostrzeńcy Szapiego Czarachowa, a pozostali pochodzą z tej samej wioski. W zasadzie ciężko było się zorientować, kto pilnuje szpitala, gliniarze czy krewni. Saparczi podjechał do wjazdu na dziedziniec, wysunął się przez okno hummera i zwrócił do dowódcy kordonu:

– Ej, Chabib, co się tu dzieje? Przepuść mnie!

W odpowiedzi gliniarze wycelowali karabiny w stronę kawalkady, a Chabib,

który był mężem siostrzenicy Szapiego, zrobił krok do przodu i rzucił:

– Zjeżdżaj.

Saparcziemmu bardzo się to nie spodobało. Wiedział, że krewni Czarachowa mogą mieć do niego uzasadnione pretensje, a w taką niespokojną noc łatwo zabić człowieka. Saparcziemmu zdarzało się zabijać ludzi z bardziej błahych powodów.

Poza tym Tiełajew był niezadowolony z tego, że grał tutaj trzecie skrzypce. Ugłow nie zwracał na niego uwagi, bo to nie Saparczi porwał delegację, Gamzat zaś – dlatego że wciągał już drugą kreskę kokainy. A szef Awartransfłotu nie lubił, gdy ludzie nie zwracali na niego uwagi. W takiej sytuacji potrafił przyciągnąć ich zainteresowanie.

Dlatego Saparczi zawrócił do merostwa. Gdy dojechał do placu, zobaczył, że przez te dziesięć minut tłum zgęstniał niczym herbaciane fusy zalane wrzątkiem. Na placu robiło się coraz ciemniej i kilkudziesięciu gliniarzy z krasnojarskiego OMON-u bojaźliwie cisnęło się do pomnika Lisaniewicza. Dowodził nimi ten sam pułkownik, który jeszcze niedawno proponował rozgonić tłum.

Na widok Saparczego strasznie się ucieszył. Podbiegł do hummera i zawołał:

– Chwała Bogu, że chociaż pan się pojawił! Niech pan tylko zobaczy, co się dzieje! Trzeba osądzić terrorystów i namówić tłum, żeby się rozeszli!

– To ma być tłum? – zapytał Saparczi. – To żaden tłum, a zwykła popierdółka! Gdy w październiku zajęliśmy budynek rządowy, to dopiero był tłum! Kazałem im się rozejść, a oni pobiegli do domów, potulni jak owieczki. A gdy później zwołałem wiec przeciwko samowoli władzy, przyszło na niego sto tysięcy!

Wzmianka o zajęciu budynku rządowego nie spodobała się pułkownikowi, przygryzł wargi. A tymczasem Saparczi wysiadł z samochodu, jednak zamiast przesiąść się na wózek inwalidzki, zaczął się wspinać na BTR.

Jego cioteczny siostrzeniec, który z nim jechał, szybko wskoczył na pancerz i podał mu dłoń, a dowodzący kordonem pułkownik podparł go z dołu, jednak Saparczi sam świetnie sobie radził. Miał tak silne ręce, że nie tylko zdołałby się wciągnąć na BTR, ale nawet rozerwać go na kawałki. Saparczi dotarł na samą górę, złapał się rękami za lufę KPWT i przeciągnął swoje ciało do wjazdu. Zwiesił nogi z pancerza, wziął podany mu megafon i zawołał:

– Bracia i siostry! Wiecie, kim jestem! Wiecie, gdzie straciłem nogi! Rosjanie zabili nasze dzieci, a teraz chcą zabić nas wszystkich! Sprzedali republikę Gamzatowi Asłanowowi za dwieście milionów dolarów!

– Ej, Saparczi Ahmedowiczu! – zaprotestował zszokowany pułkownik. – Co pan najlepszego robi? Miał pan uspokoić naród!

– Milcz – odparł na to Saparczi. – Jak mam go uspokoić, jeśli nie stanę na jego czele?

Gamzat Asłanow nie pojechał do szpitala. Zamiast tego poszedł do pokoju modlitewnego z zamiarem wciągnięcia tam ścieżki kokainy. Rozsypał proszek na dywaniku modlitewnym i zaglądający do pokoju człowiek mógłby pomyśleć, że nowy przewodniczący parlamentu rzeczywiście się modli.

Ręce Gamzata trzęsły się lekko, gdy myślał o nowych dowodach przychylności Allaha. Pan Światów uratował go w tamten straszny ramadan, a teraz, gdy kafirowie już mieli mianować Zaura prezydentem, Allah skłonił Kemirowów do szalonego buntu. A skoro już drugi raz sprzyja Gamzatowi, to coś to chyba jednak znaczy...

Gdy Asłanow wstał z klęczek i wybrał numer telefonu, do lokalnych wiadomości o godzinie dwudziestej zostało dwadzieścia minut.

– Arsen? – zapytał Gamzat. – Słyszysz mnie?

– Gamzacie Ahmednabijewiczu! Właśnie miałem do pana dzwonić! Co za sytuacja! Zachodnie służby specjalne urządzają prowokację! W celu destabilizacji sytuacji w naszej spokojnej republice nadają oszczercze pogłoski, że...

– Powiesz w wiadomościach – przerwał mu Gamzat – że delegacja rządowa na Czerwonym Zboczu została porwana przez bandytów Dżamałudina Kemirowa. Jego warunek brzmi: mianować brata prezydentem republiki.

Asłanow uśmiechnął się zadowolony i wyszedł na korytarz.

Arsen Charchojew, minister do spraw łączności i środków masowego przekazu oraz przewodniczący zarządu państwowej kompanii telewizyjnej SAD właśnie osobiście ustalał plan wieczornych wiadomości, gdy jego komórka znów zadzwoniła.

– *Salam*, Arsenie – odezwał się głos w słuchawce. – Tu Dżamałudin.

Minister zbladł, jego wnętrzości zacisnęły się w twardey supeł. Arsen nigdy nie miał do czynienia z Dżamałudinem, ale miał z Hagenem. Jego brat kiedyś z głupoty pokłócił się z nim na koncercie.

– Słyszałem wiadomości o osiemnastej – mówił Dżamałudin. – O zachodnich oszczerstwach. Bardzo mi się spodobało. Radziłbym trzymać się tej linii.

– Co? Ee...

– Nie ma sensu wystawiać na pośmiewisko naszej republiki – mówił Dżamałudin, a dźwięczne głoski uderzały w uszy ministra jak kule. – Nie ma co prać brudów na oczach wszystkich. Jeśli w republice jest problem, to trzeba go rozwiązać, a nie pokazywać w telewizji. Co tak się uczepili tych zamachów terrorystycznych? Niech jadą do Iraku i tam sobie mówią o zamachach! A każdego sukinsyna, który w naszej spokojnej republice będzie plótł o zamachach czy samowoli, osobiście zastrzelę jak psa. Najpierw wyrwę mu nogi, a potem go zastrzelę! Jasne?

– Jasne – odpowiedział minister.

Głos w słuchawce zmienił się w urywany sygnał. Minister odłożył telefon i spojrzał na papiery, które trzymał w rękach. Na środku tekstu rozlewała się mokra plama. Gdy minister podniósł rękę do twarzy, zrozumiał, że to kapie z jego podbródka.

– Czyli tak... – zaczął. – Pierwszy temat: wybór Gamzata Ahmednabijewicza na marszałka. Drugi: spodziewany urodzaj upraw zbożowych. Nie będziemy iść na smyczy imperialistów, nie wystawimy na pośmiewisko naszej miłującej pokój republiki!

Kirył zszedł do pokoju stołowego koło dwudziestej.

Było tam głośno i tłoczno. Z otwartych drzwi kuchni dobiegał bulgot gotującej się zupy, dziarsko stukały noże szatkujące kapustę. Wspaniały aromat szaszłyków sprawił, że Kiryłowi napłynęła ślina do ust. Personelu nie wzięto na zakładników, a mimo to prawie połowa została na Czerwonym Zboczu. Prócz ludzi Dżamałudina Kirył zobaczył za stołem ministra finansów republiki i jego czterech siostrzeńców.

Minister trzymał w rękach ciężkiego stieczkina i używając go jak wskaźnika, opowiadał o jakiejś swojej rozmowie z Komissarowem. Z tej opowieści wynikało, że minister finansów przyjechał na Czerwone Zbocze ni mniej, ni więcej tylko po to, żeby zastrzelić Komissarowa, a Dżamałudin po prostu go uprzedził.

Na widok Kiryła minister wskazał pistoletem sufit i zawołał:

– Kirył Władimirowicz też przy tym był, przysięgam na Allaha, on potwierdzi!

Kirył usiadł przy stole i gruba kucharka w kolorowej chustce położyła przed nim całą górę baraniny.

Ostatni raz Wodrow jadł w Gudermesie i smaczny, ciepły posiłek zrobił swoje: Kirył poczuł senność. Poszedł do sali bilardowej, zwałił się na skórzaną kanapę i niemal od razu zasnął.

Obudził się godzinę później, dlatego że w bok uwierał go magazynek. Zrobiło się zupełnie się ciemno. Wiatr rozwiewał lekkie zasłony, przez rozbite okno w ciszy wyglądał ten sam gepard, którego Arzo miesiąc temu podarował swojemu zięciowi. Kirył leżał w milczeniu i myślał o tym, co będzie, jeśli Dżamałudin przyjmie propozycję Arza. Do ostatecznych wniosków jednak nie doszedł, jeśli nie liczyć myśli, że w tej sytuacji raczej nie stanie na czele rosyjskiej filii Bergstrom&Bergstrom.

Po chwili usłyszał sygnał przerwane połączenia. Odwrócił głowę i wypatrzył w ciemnościach obok geparda wielką czarną postać. Poznał Taszowa, raczej po gabarytach niż po rysach.

Nie spodobało mu się, że Taszow trzyma w ręku komórkę. Telefony zabrali wszystkim jeszcze przed rozpoczęciem operacji. Zadzwoić i tak się nie dało, a skoro znów zadziały, to znaczy, że działał również podsłuch, więc po co nosić w kieszeni przedmiot, który w czasie rzeczywistym pisze twoje przyszłe oskarżenie? Kirył zapytał ostro:

– Co ty robisz? Wyłącz to, zupełnie.

Taszow westchnął, wyjął baterię z komórki i wsypał wszystko do kieszeni. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, w końcu Taszow powiedział:

– Chciałem zadzwonić do Diany. Ale zrywa łączność.

Kirył nic nie powiedział.

– Pomyślałem sobie: jaka to teraz różnica? I tak już nas nie ma na tym świecie, to co, nie mogę do niej zadzwonić?

Za oknem niegłośnie huknęło, w niebo strzeliła rakietka. Po kilku sekundach Kirył zobaczył w jej świetle twarz Taszowa: nienaturalnie bladą, zapadniętą, z dołkiem przy skroni od niedawnego strzału.

– Kiryło Władimirowiczu... Jeśli tak się zdarzy, że ja zginę, a pan nie, to niech pan pójdzie do Diany. Niech jej pan powie, że ja...

Taszow zawahał się, nie mógł się przełamać i wymówić tych słów, których zgodnie z obyczajem nie mógł wymówić nawet przed kobietą, a co dopiero przed osobą postronną.

– Że tam wszystko będzie inaczej i że w raju będziemy mieli dzieci – dokończył Taszow.

Kirył długo milczał. Miał przed oczami twarz Szapiego Czarachowa w aktach sprawy, z profilu i *en face*. Szczur, dobry Boże, rondel i szczur... A przecież Szapi był pułkownikiem KGB i nie brał na zakładników delegacji rządowej.

– Nie wezmą mnie żywcem – powiedział.

Drzwi do sali bilardowej otworzyły się i w promieniu światła pojawił się nordycki profil Hagena.

– Kiryło, szukają cię.

Major wojsk wewnętrznych Siergiej Raczkowski od rana stał w kordonie wokół merostwa, a po naradzie sztabu dowódca grupy bojowej podpułkownik Azjamow wysłał go do ochrony aresztu.

Major Raczkowski potraktował to zadanie z zawodową gorliwością. Po pierwsze, odebrał żołnierzom kordonu magazynki ze specjalnymi pociskami łzawiącymi i wydał im ostrą amunicję, mówiąc, że mają strzelać tak, żeby zabić. Po drugie, umieścił dwóch snajperów na dachu aresztu, a kolejnych dwóch wysłał do czteropiętrowego bloku naprzeciwko, rozkazując im wygonić ludzi z mieszkań będących najlepszymi punktami obserwacyjnymi. Po trzecie, ustawił trzy posiadane BTR-y na obwodzie placu, a ponieważ nie było ani czasu, ani możliwości, żeby je wkopać, na jego polecenie żołnierze podciągnęli z sąsiedniej budowy betonowe

bloki i utworzyli z nich osłonę wozów z przodu i po bokach.

Teraz major Raczkowski siedział przy włączach dowódczego BTR-a i bawiąc się stieczkinem, obserwował, jak pod areszt napływa tłum. Rosjanin był pijany i spokojny.

Major Raczkowski był pijany przez ostatnie pięć lat, od czasu, gdy w Itumkale wsadził do gazika tę Czeczenkę, o której opowiadał Kiryłowi. Wiedząc o tym, że miejscowi wysadzają się w powietrze, nawet jeśli traktuje się ich po ludzku i próbuje im pomóc, major traktował wszystkich jak psy. To był bardzo dobry sposób, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Normalnemu człowiekowi ciężko zabijać innych ludzi, a psy znacznie łatwiej.

Drugim sposobem była wódka.

Kirył Wodrow niesłusznie podejrzewał, że major poluje na bojowników, ponieważ dostaje za to siedemdziesiąt tysięcy. Te siedemdziesiąt tysięcy rzeczywiście Raczkowskiemu przysługiwały. Jednak Moskwa powierzyła rozdzielanie żołdu szefowi MSW republiki, a ten oddawał pieniądze wujowi Gamzata Asłanowa. Szef MSW i wuj Asłanowa własnoręcznie opracowywali listy beneficjentów i wpisywali na nie wyłącznie swoich przyjaciół, do których Raczkowski się nie zaliczał.

Można było pójść do sądu i za jego pośrednictwem pobierać należną sumę, ale sędziowie szybko zaczęli od tej operacji pobierać prowizję w wysokości trzydziestu procent. Stało się to bardzo intratną formą zarobkowania, niemal tak intratną jak „oczyszczanie” kradzionych samochodów. Nawet Waha Arsajew, dowiedziawszy się o tej praktyce, wpisał kiedyś w pozwie trzech swoich ludzi i otrzymał na nich pieniądze.

Dlatego tacy jak Raczkowski nie dostawali żołdu. Pewnego dnia w bazie lotniczej postanowiono nawet urządzić pikietę w tej sprawie, lecz Raczkowski powiedział, że Besztoj-10 to nie Ameryka i nie pozwoli się hańbić. Co się tyczy handlu bojownikami, Raczkowski się tym nie zajmował – wszystkie pieniądze zabierał naczelnik bazy.

W ciągu pięciu lat, w czasie których wyjazdy służbowe Raczkowskiego na Kaukaz przeplatały się z ochroną kolonii karnej pod Penzą, dusza majora

stwardniała, a on sam nauczył się nie odróżniać ludzi, na których polował w górach, od jeńców, nad którymi znęcał się w więzieniu. Nauczył się zabijać ich z tą samą zimną krwią, z jaką zabijali górale, z tym że powody, którymi oni się kierowali, mogły zdawać się dziwne, ale prawie nigdy nie były przypadkowe, Raczkowski zaś zabijał bez powodu. Powody zastępowała mu wódka.

I oto teraz, pociągając od czasu do czasu z butelki i uśmiechając się krzywo, major Raczkowski obserwował, jak pod areszt napływają ludzie. Z początku było ich niewielu, dziesięciu ludzi przeciwko czterdziestu żołnierzom wojsk wewnętrznych. Potem zrobiło się ich więcej, czterdziestu na czterdziestu. Potem mieszkańców zebrało się stu, a jeszcze później – może i dwustu. Nawet kobiety przyniosły kije bejsbolowe, o mężczyznach nie wspominając.

Major siedział na panczeru dowódczego BTR-a i był absolutnie spokojny. Jedyne, co go martwiło, to sam BTR. Załoga złożyła się niedawno, żeby go pomalować, i majorowi byłoby bardzo przykro, gdyby farba poodpryskiwała pod kulami.

Hagen zaprowadził Kiryła do biblioteki. Światło było zgaszone, w otwartym oknie stał pułkownik Argunow i przyglądał się czemuś uważnie przez noktowizor. Dżamałudin stał z tyłu, nieco po prawej, niczym wilk gotowy rzucić się na owczarka.

Argunow opuścił noktowizor i odszedł od okna, Dżamałudin podał go Kiryłowi.

Noktowizor miał czterokrotne powiększenie i w jego zielonkawym świetle Kirył bez trudu ujrzał federalne BTR-y, które zastawiły drogę półtora kilometra w dole, oraz kilka ciemnych postaci, które obchodziły transportery po zboczu. Postacie były zasłonięte przez gęste, kolczaste zarośla i federalowie nie mogli ich zobaczyć, ale z góry były dobrze widoczne. Kirył pomyślał, że ludzie Arza chcą ostrzelać posterunek, ale postacie tylko zbiegły po zboczu i zniknęły daleko w dole.

– Co oni, odchodzą? – zapytał z nadzieją Kirył.

– W mieście są zamieszki – odparł Dżamałudin.

Wodrow był zbyt zmęczony, żeby od razu zrozumieć związek.

– No i co?



– W mieście są zamieszki – powtórzył Dżamał. – Jedna sprawa, gdy tłum stoi na placu i krzyczy, a zupełnie inna, gdy zabija federalów. Po co Arzo ma atakować nas, skoro może zaatakować areszt? Co, Walera?

Pytanie było skierowane do Argunowa, ale pułkownik milczał. Hagen pstryknął włącznikiem, zapaliło się światło i Kirył zobaczył oczy pułkownika. Gdyby ten wzrok miał ekwiwalent w trotylu, ich wszystkich zeszkrobywaliby ze ścian.

– Arzo marzył o tym przez siedem lat – powiedział Dżamałudin. – Żeby zabijać federalów razem z moim narodem. Teraz twój szef pomógł mu spełnić to marzenie.

Kirył milczał. Argunow stał, z nieco przechyloną głową i ręką za plecami. Kirył nagle zrozumiał, czemu Dżamałudin wezwał do siebie jego i pułkownika: obaj dobrze znali wicepremiera.

– W mieście jest półtora tysiąca sztyków i czterdzieści jednostek pancernych – powiedział Dżamałudin. – Powiedz mi, Kiryle, co zrobi Ugłow, gdy wybuchnie powstanie. Będzie strzelał do tłumy z czołgów?

– Tak – odparł Rosjanin bez namysłu.

Argunow splunął na podłogę.

– A co ty powiesz, Walera?

Pułkownik odpowiedział po chwili:

– Wiesz co, Dżamałudinie? Nie wysadziłem szpitala położniczego. Ale gdyby kazali mi to zrobić, wykonałbym polecenie. Rozkaz to rozkaz.

Na czole Dżamałudina nabrzmiała żyła, kąciki jego warg odruchowo podeszły do góry, jak u wilka odsłaniającego kły. Argunow nawet się nie cofnął, czekając na nieuchronny cios, ale Dżamałudin tylko mocno potrząsnął głową, jakby uwalniał się od uroku, i wyjął krótkofalówkę.

– Arzo, macie tam co jeść?

– Będziemy mieli. Przyjdziemy na kolację do twojej jadalni.

– Możesz przysłać kogoś po żarcie.

W oddziale Dżamałudina był chłopak o imieniu Imran, który miał narzeczoną Zarę. Pewnego dnia Imranowi doniesiono, że Zara pojechała do pensjonatu z wiceprezesem Awarskiego Banku Narodowego. Imran wziął samochód, pistolet

i wyruszył do pensjonatu. Samochód z włączonym silnikiem zostawił na placyku przed wejściem, a sam wszedł do środka i zaczął szukać Zary.

Przed drzwiami dyżurowało dwóch milicjantów z karabinami, ale gdy zrozumieli, że chłopak nie jest wahabitą, lecz przyszedł w sprawie prywatnej, schowali się za kontuarem i postanowili nie wtrącać. Imran chodził po wszystkich piętrach i stukał do wszystkich drzwi, aż w końcu za którymiś znalazł i Zarę, i prezesa.

Co ciekawe, w tym czasie w pensjonacie przebywało dwóch mężczyzn poszukiwanych za wysadzenie w powietrze patrolowego gazika. Obaj ukryli się przed Imranem w krzakach i leżeli tam z palcami na spustach. Gdy jednak zrozumieli, że chłopak nie ich szuka, zdecydowali, że nie będą wtykać nosa w nieswoje sprawy.

Kiedy w mieście zaczęto się szykować do wizyty Ugłowa, Dżamałudin wysłał Imrana do rodzinnej wsi. Listy gończe na Imrana były na wszystkich posterunkach, a posterunki stały teraz w mieście co parę przecznic.

Gdy Imran dowiedział się o Czerwonym Zboczku, wrzucił karabin do bagażnika, wsunął stieczkin za pasek i pojechał do Besztoju. Zabrał ze sobą dwóch ciotecznych braci, w ostatniej chwili załapał się z nimi chłopak z sąsiedztwa.

Jak tylko Imran dotarł do północnego wjazdu, zobaczył dwa BTR-y i grupę żołnierzy. Droga była zagrodzona szlabanem, za szlabanem stali federalowie z karabinami. Imran podjechał do szlabanu i gdy federalowie zobaczyli, że w żiguli siedzi czterech krzepkich chłopaków, wyglądających na terrorystów, mocno się spięli. Jeden z federalów, z naszywkami sierżanta, podszedł do samochodu z karabinem przewieszonym przez ramię i zwracając się do kierowcy, powiedział:

– Pańskie dokumenty.

Wtedy Imran przypomniał sobie, że w żadnym wypadku nie może pokazać dokumentów, bo poszukują go federalowie! Pogrzebał w saszetce leżącej obok i podał sierżantowi paszport ciotecznego brata, który siedział z tyłu. W środku było sto rubli.

Sierżant włożył sto rubli do kieszeni, wziął paszport i poszedł sprawdzić, czy jego właściciel jest na liście poszukiwanych. Okazało się, że właściciel jest czysty.

Sierżant oddał Imranowi dokument i poprosił o paszport jego towarzysza, który też okazał się czysty, a następnie tych dwóch, którzy siedzieli z tyłu. Co mieli zrobić, oni również podali swoje paszporty i oczywiście jednym z nich był ten, który sierżant sprawdził jako pierwszy.

Sierżant powymmował z paszportów pieniądze i już miał je oddać, gdy zauważył, że paszport, który podano mu jako pierwszy, i paszport, który oglądał jako ostatni, to ten sam dokument.

– Ejże! – zwrócił się do Imrana. – To przecież twój paszport! A gdzie jego dokumenty? A jeśli to jego paszport, to gdzie jest twój? Co to, macie jeden paszport na dwóch?

Imran powinien był powiedzieć, że właśnie zgubił swój czy coś w tym stylu, ale był tak zbity z tropu, że zamiast wykupić się u sierżanta, wsunął rękę za pasek i odciągnął bezpiecznik stieczkina. Ze względu na nocną porę dźwięk był doskonale słyszalny.

Sierżant wystraszył się. Stał całkiem sam przy żiguli i chociaż w środku były tylko cztery osoby, a na posterunku dziesięciu federalów, sierżantowi ta przewaga liczebna wcale nie pomagała. Zupełnie też nie pocieszała go myśl, że gdy terroryści go zabiją, jego towarzysze ostrzelają żiguli.

– Wjedźcie do boksu na rewizję – polecił.

Sierżant miał nadzieję, że zajeżdżając do boksu, wyrzucą pistolet i nic strasznego się nie stanie, ale Imrana cała ta sytuacja kompletnie skołowała i zupełnie nie wiedział, co robić. Bardzo chciał się dostać do miasta, a nie chciał przy tym zabijać sierżanta. Przecież sierżant nie zdradzał go z wiceprezesem banku.

W tym momencie za żiguli zatrzymał się dżip i wysiadł z niego Buławdi Hadżijew, w kamuflażu i z karabinem. To wszystko działo się pół godziny po tym, jak Arzo połączył się ze swoim siostrzeńcem przez krótkofalówkę i polecił mu zabrać tamtych pięciu, którzy przeszli nad posterunkiem.

Ale nawet Arzo nie podejrzewał, że jego siostrzeniec wykręci taki numer i wjedzie do miasta własnym dżipem na czeczeńskich tablicach, z niezdjętą z przedniej szyby przepustką specgrupy Południe.

Buławdi poznał Imrana, pomachał mu ręką i zawołał:

– Hej, Imranie, co tam, jakieś problemy?

Sierżant był przerażony już wtedy, gdy Imran odbezpieczył pistolet. A gdy zobaczył Czeczena z karabinem i przepustką grupy Południe, omal nie wyzionął ducha. Imran zauważył to i postanowił zażartować.

– A, nic takiego... Chciałem kupić od niego karabin i dałem mu sto dolarów, a on chce trzysta. Tyle nie mam.

Wtedy Buławdi podszedł do sierżanta i wcisnął mu dwieście dolarów, po czym zabrał karabin i podał go Imranowi.

– No, przepuść nas – powiedział.

Sierżant bez słowa podniósł szlaban i długo patrzył za odjeżdżającymi dwoma samochodami, a potem otrząsnął się i pobiegł do swoich, którzy patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. Sierżant był tak przerażony, jakby go już zastrzelili.

Imran i Buławdi odjechali od posterunku na czterysta metrów, wysiedli z samochodów i zaczęli się śmiać. Śmiali się i klepali po plecach, a Imran uderzył dłonią o dłoń i zawołał:

– A niech to, musimy zawrócić i poprosić, żeby sprzedali nam BTR!

Znów się pośmiali i w końcu Imran powiedział:

– Słuchaj, Buławdi, po co jedziesz do miasta?

– Słyszałeś, co się stało na Czerwonym Zboczu?

– Słyszałem, że są tam obaj, i Arzo, i Dżamałudin, i że się pokłócili jak zwykle

– odpowiedział Imran.

– Kłótnie między nimi zawsze kończyły się pokojem, a między tobą i mną w ogóle kłótni nie było. Dlaczego nie mielibyśmy się trzymać razem?

Imran uznał tę propozycję za rozsądną. Przesiadł się do hummera i dalej jechali razem, strzelając w powietrze od czasu od czasu. Planowali dotrzeć do merostwa, ale w połowie drogi zobaczyli tłum przed aresztem i w tym tłumie Buławdi wypatrzył Zezowatego Kurban-Alego.

Buławdi był bardzo zły na Kurban-Alego, podobnie jak wszyscy Czeczeni, i gdy tylko go zauważył, zatrzymał wóz i zaczął się przedzierać przez tłum, żeby go zabić. Lecz gdy do niego dotarł, zobaczył, że Kurban-Ali stoi przed linią kordonu i kłóci się z majorem wojsk wewnętrznych. Wtedy Buławdi postanowił odłożyć na bok

pretensje do Kurban-Alego, stanął obok niego i zawołał:

– Ej ty, ruski psie! Oddaj nam naszych braci, których trzymacie w areszcie!

Gdy major Raczkowski zobaczył, że do kordonu podchodzi pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn, nie wiedział jeszcze, czy to Czeczeni, czy Awarowie, ale już wiedział, że BTR jednak trzeba będzie pomalować na nowo.

Raczkowski miał umówione porozumiewawcze hasło „Irtysz”. Wymówił je, dodając, że wszyscy mają być w pełnej gotowości do otwarcia ognia na jego komendę. Następnie sięgnął do włazu, gdzie stała butelka wódki, ale tak się niezgrabnie przechylił, że z jego kamizelki taktycznej wypadł granat. Granat uderzył o krawędź włazu i spadł na kolana kierowcy. Wtedy oczy Raczkowskiego zrobiły się wielkie i przerażające: zobaczył, że granat upadł, ale zawleczka, odgięta pod wpływem wstrząsów, nadal wystaje ze starego materiału kamizelki.

Sekundę później granat wybuchł. Ekspłodował na kolanach kierowcy, rozrywając mu brzuch i podzuczając Raczkowskiego falą wybuchu. Sekundę później wybuchy w BTR-ze poszły jeden za drugim: rozrywały się cienkościennie granaty RGD, których trzy skrzynki stały w wozie na wszelki wypadek. A potem wybuchł bak paliwa.

BTR rozerwało jak szybkar, ale ponieważ znajdował się za betonowymi blokami, to one przyjęły na siebie główne uderzenie.

Buławdiego, który stał dwadzieścia metrów od kordonu, odrzuciło jak liść porwany przez huragan. Gdy zerwał się z ziemi, oszołomiony, zobaczył, że pod przewróconymi betonowymi blokami leży kilku żołnierzy, a pozostali rozbiegli się, jak barany pozbawione pastucha. BTR płonął w tej betonowej piaskownicy, a stojące dwa metry od niego płyty ogrodzenia zawały się jak domek z kart. Więźniowie wysuwali się z okien aresztu i machali tłumowi chusteczkami.

– *Allah akbar!* – zawołał Buławdi. – Oto wola Allaha!

Gamzat Aślanow i jego ochroniarze wybiegli z merostwa pięć minut po wiadomości o zajęciu aresztu. Pierwsze, co zobaczyli, to tłum. Tłum rozpląnął się po całym placu jak ciasto, które wyszło z dzieży. Na widok Gamzata ludzie zaczęli

krzyczeć i rzucać w niego ogryzkami.

Samochody Gamzata stały na podwórku, jego ludzie szybko wsiedli do środka i ruszyli, trąbiąc i gwizdząc. Kilka kamieni upadło na opancerzoną maskę mercedesa i Gamzat już miał kazać Ahmedowi zastrzelić sprawców, ale potem uznał, że tym można zająć się później.

Przejechali prawie sto metrów i tłum rozstąpił się przed mercedesem Gamzata i dżipami, z których wysuwali się karabinierzy. Gdy ludzie się odsunęli, Gamzat zobaczył, że przed samochodem leży betonowy blok, jakich zwykle używa się na posterunkach. Chciał skręcić w prawo, ale tam był pomnik Lisaniewicza. Chciał skręcić w lewo, ale tam stał BTR, na którym siedział Saparczi Tielajew, wymachując zieloną flagą.

– Ej, Gamzacie! – krzyknął Saparczi. – Wsiadaj albo przysięgam na Allaha, że upiekę cię z tej armaty!

Gamzat nie usłyszał słów Saparczego, ale mniej więcej zrozumiał, o co chodzi, gdy ludzie zaczęli wrzeszczeć. Ponieważ i tak nie dało się nic zrobić, bo wozy zostały zamknięte jak mysz w słoiku, Gamzat i jego ochroniarze wyszli na zewnątrz.

Asłanow nie bał się Saparczego. Tielajew przewodził jak do tej pory ze dwudziestu wiecom. Kiedyś, zebrawszy dwadzieścia tysięcy ludzi, wszedł na trybunę, by tak oto porozmawiać z narodem: „Kto zabił Chabiba?”, wołał Saparczi, a tłum odpowiadał: „Gamzat!”. „Kto zabił Machacza?” – „Gamzat!”. „Kto zabił własną żonę?”, wrzeszczał Saparczi, a tłum odpowiadał: „Gamzat!”. A gdy wiec się skończył, Saparczi przyjechał do Asłanowa i powiedział:

– Jak chcesz, żeby demonstracji więcej nie było, oddaj mi port morski.

Dlatego Gamzat wysiadł z samochodu, wziął się pod boki i zawołał:

– Ej, Saparczi, dogadajmy się!

Saparczi Tielajew pewnie nie miałby nic przeciwko temu, ale przecież nie mógł się dogadywać na oczach pięciu tysięcy ludzi. Dlatego zaśmiał się i powiedział:

– Hola, Gamzacie, dokąd to chcesz uciec? Przed piekłem nie uciekniesz! Powiedz lepiej, czy to prawda, że za stanowisko prezydenta zapłaciłeś dwieście milionów dolarów?

– A co! Ty za to samo zapłaciłeś dwadzieścia!

– Ja bym i trzydziestu nie pożałował, żeby tylko wygonić was, tłustych morderców! Powiedz, za jakie to zasługi ten, który wysadził szpital, mianował cię prezydentem? Widać musicie być starymi wspólnikami!

W przemowie Saparczego były pewne logiczne braki, ale tłum nie miał już głowy do logiki. Słyszając słowa Tielajewa, zaryczał jak silnik na jałowym biegu i wydawało się, że z każdym nowym zdaniem Saparczi coraz mocniej naciska gaz.

- Morderca! – rozległy się krzyki.
- Powiesić go na pomniku!
- Kto zabił Chabiba?! – zawołał Saparczi.
- Gamzat! – odpowiedział tłum.
- Kto zabił Machacza?! – wołał Saparczi.
- Gamzat!
- Kto polecił szpital federalom?!
- Gamzat!

W tym momencie jeden z ochroniarzy Gamzata rzucił karabin na ziemię i zaczął się przeciskać przez tłum. Co najciekawsze, ten człowiek pochodził z tej samej wsi co Asłanow.

- A ty dokąd, łajdaku! – zawołał za nim Gamzat.

Ochroniarz odwrócił i krzyknął:

– A czemu ja mam cię bronić? Trzymasz w szafach dwa tysiące butów, a jak poprosiłem o pieniądze na operację matki, to powiedziałaś: „Chcesz zarobić, to idź i zabij Adama!”.

Po tych słowach Saparczi zmienił się na twarzy, a jeden z jego ochroniarzy, Osman, zeskoczył z BTR-a, złapał zbiega i zażądał:

- Mów, jak było!

Ale ochroniarz Gamzata nic już nie mówił: albo sprawa nie wyszła poza rozmowy, albo zrozumiał, że wspomnianie przy Saparczim o śmierci siostrzeńca nie było mądre. Widząc, że ten milczy, Osman strzelił go w zęby i chłopak poleciał jak szyszka z gałęzi.

W tym momencie do Gamzata podbiegła stara kobieta w czarnej spódnicy, z żelaznym prętem w dłoniach. Naczelnik ochrony zastąpił jej drogę, a wtedy ona

zamachnęła się, by go uderzyć. Ahmed złapał pręt, kobieta puściła i upadła na ziemię, ale od razu się poderwała i zaczęła wrzeszczeć. Krasnojarski pułkownik patrzył na cały ten burdel, ale nie odważył się wtrącić, bo rozumiał, że wtedy zamiast za Gamzata wzięliby się za nich.

Wówczas następny ochroniarz też cisnął broń i rzucił się w tłum, a Gamzat odwrócił się do Saparczego i wrzasnął:

– Przepuść mnie!

– Ej, Gamzacie! – zawołał na to Tielajew. – Pewnie zaraz narobisz w spodnie? Może dać ci pampersa?

Gamzat dostał szału i wrzasnął do ochroniarzy:

– Zabić go!

I wtedy tłum się na niego rzucił.

Naród wylał się na ulice wieczornego miasta, jak górską rzeką wylewa się przez zerwaną tamę.

Przed merostwem ludzie odebrali żołnierzom broń i dwa BTR-y. Jeden z głupoty od razu spalili, a do drugiego przywiązali stalową linę. Pomnik Lisaniewicza ściągnięto z postumentu. Do Lisaniewicza tłum przywiązał Gamzata i tak pojechali, z Lisaniewiczem i Gamzatem na linie, miażdżąc kramy z wódką i zrywając z przystanków autobusowych reklamy z frywolnymi dziewczętami.

Nad ulicą wisiały banery z napisem „Witajcie w spokojnym Besztoju!”, białe na zielonym tle. Ludzie zaczęli je zrywać i drzeć na paski, a paski wiązać sobie na głowach.

Następnie tłum pod przywództwem Saparczego pobiegł do domu Arsena Terkijewa, byłego szefa oddziału do walki z terroryzmem (tego samego, którego Ugłow i Komissarow wciągnęli do akcji ze szpitalem położniczym), i przed tym domem spotkał się z drugim tłumem, któremu przewodził Buławdi.

W domu Terkijewa mieszkała rodzina jego młodszego brata i tak się złożyło, że rodzina zdążyła uciec do sąsiadów, a samego brata złapali i przywlekli do Buławdiego.

– To on, to zabójca! – wrzeszczał tłum.



– Nic nie zrobiłem! – wołał nieszczęśnik.

Buławdi przystawił mu lufę do czoła i powiedział:

– No to co się martwisz? Za chwilę będziesz w raju!

Po tym, jak podpułkownik Azjamow zaproponował Ugłowskiemu wyjazd z miasta, wicepremier odsunął go od dowodzenia grupą bojową i sam objął dowództwo.

Na placu przed szpitalem położniczym na rozkaz Ugłowa postawiono trzy czołgi, a ponieważ zdjęcie szarych płytek nie było trudne, czołgi zakopano aż po wieżyczkę. Wykopaną ziemię napchano do worków, worki polano wodą i ubito, a następnie obłożono nimi wieżyczki. Wykopano również okopy dookoła. Działo jednego z czołgów celowało w ruiny szpitala i plac przed nimi, dwa pozostałe osłaniały podejście od obu boków istniejącego budynku.

Tył szpitala był słabiej broniony. Tam budynek wychodził na szeroką ulicę Lenina. Na rozkaz Ugłowa pozostały czołg stanął pośrodku ulicy, zwracając działo w stronę merostwa. Czołg aż po gaśienice obłożono betonowymi blokami i workami z ubitą ziemią, z worków zbudowano też barykadę wokół czołgu, żeby krasnojarscy sobrowcy mieli się gdzie ukryć przed ostrzałem. Sobrowcy byli gliniarzami, nie żołnierzami i Ugłow osobiście wyjaśnił im, co się z nimi stanie, gdy się znajdą na linii strzału.

Jego wyjaśnienia były krótkie i dosadne. Udzielając ich, Ugłow przypomniał sobie czasy, gdy on sam jako młody porucznik dowodził plutonem pancernym na ulicach Pragi. Wtedy, w 1968 roku, wydawało mu się, że czołg na ulicach miasta jest absolutnie nietykalny.

Na rozkaz wicepremiera wszystkie obecne w mieście patrole zaczęły ściągać do szpitala. Większość z nich uniknęła starcia z tłumem. Według wyliczeń Ugłowa stracili pięć BTR-ów: dwa pod aresztem i dwa przed merostwem, jeszcze jeden wbił się w jakąś barykadę i tam utknął. Ktoś nagrał komórką, jak z tego BTR-a wyciągają żołnierzy i jak rozwścieczony tłum tłucze ich metalowymi prętami.

Tłum sunął przez miasto, rozlewając się coraz bardziej. Cofnął się od szpitala niczym morska woda od brzegu przed tsunami i teraz huczał gdzieś z dala od czołgów, rosnąc w siłę i szaleństwo.

Najbardziej irytujące było to, że zaledwie dziesięć kilometrów dalej, w Besztoju-

10, tkwiło pięć tysięcy żołnierzy i setka pojazdów pancernych, uziemionych jedną jedyną blokadą. Wszystkie rozkazy Ugłowa o rozminowaniu otaczającego bazę terenu natrafiały na odpowiedź, że w bazie właśnie szukają mapy pól minowych. A takiej mapy nie było i być nie mogło, ponieważ miny od wielu lat rozmieszczał kto chciał i gdzie chciał. Czy można odnaleźć mapę jutrzejszych korków ulicznych? Na podobnej zasadzie mapy pól minowych wokół bazy też znaleźć się nie dało.

Miejscowi gliniarze nadal stali w kordonie, Zaur Kemirow i Hadżimurat Czarachow patrzyli w milczeniu, jak wokół szpitala rośnie linia obrony i jak z budynku wyprowadzają chorych. Ugłow nie protestował, pacjenci nie byli dla tłumu ani pomocą, ani zawadą. Wicepremier nie zadawał już pytań młodemu Czarachowowi, a Czarachow o nic nie pytał jego.

Była dwudziesta trzecia, gdy Ugłow, zmęczony i brudny, wszedł do gabinetu dyrektorskiego. Siedzieli tam członkowie sztabu. Stojący w rogu telewizor był włączony na CNN, gdzie pokazywano wleczony przez plac pomnik Lisaniewicza. Film, ściągnięty z telefonu komórkowego, drgał i obraz był momentami nieostry. Komentarz głosił, że porwanie rosyjskiej delegacji rządowej na Czerwonym Zboczu to bez wątpienia część starannie zaplanowanego buntu. W charakterze przywódcy buntu CNN pokazywało Saporczyego Tielajewa, siedzącego na BTR-ze. Saporczy strzelał w powietrze ze stieczkina i krzyczał, że stracił nogi w Czeczenii.

ORT również pokazywało pomnik Lisaniewicza: w chwili odsłonięcia.

Iwan Ugłow wyłączył telewizor i zasiadł u szczytu stołu. Po jego prawej stronie siedzieli dwaj pułkownicy wojsk wewnętrznych, dowódca krasnojarskiego SOBR-u i jeszcze kilku rosyjskich oficerów. Po lewej znajdowali się Zaur Kemirow i Hadżimurat Czarachow. Patrząc na ich twarze, trudno było stwierdzić, czy uważają się za członków sztabu, czy za zakładników.

– Straciliśmy kolejny BTR – oznajmił Ugłow. – Trafili go z „muchy” przed meczetem na Północnym. Raczej nie zrobiły tego gospodynie domowe, tylko ludzie Arza. Albo pańskiego brata, Zaurze Ahmedowiczu.

– Od początku działali razem! – wykrzyknął podpułkownik Azjamow. – I robili z nas idiotów! Siedzą sobie obaj na Czerwonym Zboczu, a nam mącą w głowie!

– To nie tak – odezwał się Zaur i wszystkie oczy zwróciły się na niego.

– Jeśli nie tak – podjął Ugłow – to czemu tłum jest uzbrojony w pręty? To zaostrome pręty, Zaurze Ahmedowiczu, zaostrome w pańskim zakładzie! Szykowaliście się do mojego przyjazdu, ostrząc pręty?

– Są tam moi robotnicy i tego nie neguję.

– Jeśli to twoi robotnicy – oznajmił Ugłow – to każ im się rozejść.

– Coś jeszcze?

– Musisz się połączyć z Dżamałudinem. Powiedz mu, żeby zrobił z Komissarowem, co zechce, a potem ma walczyć z Arzem.

– Dlaczego? – zapytał Zaur z zimną krwią.

– Dlatego że wtedy twój brat będzie bohaterem broniącym rosyjskich parlamentarzystów przed buntownikiem. A ty zostaniesz prezydentem republiki.

– Już to gdzieś słyszałem. Spraw, żeby twój brat zwolnił ochotników, a dostaniesz miliard dolarów na inwestycje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zapłata z góry.

Iwan Ugłow patrzył na swojego rozmówcę przez kilka sekund. Wtedy drzwi się otworzyły, do środka wpadł major wojsk wewnętrznych i zawołał:

– Idą tu! To Saparczi!

BTR Saparczego z przyczepioną do niego czarną flagą wtoczył się na plac przed szpitalem razem z rozwścieczonym tłumem. Pierwsze, co zobaczył Tielajew, to tarcze milicyjnego kordonu. Gdy na widok tłumy kordon ustąpił i zszedł na bok, w jasnym świetle latarni gazowych Saparczi ujrzął okopy z ukrywającymi się tam generałami i wieżyczkę zakopanego czołgu, mierzącą mu prosto w czoło.

– Dża-ma-łu-din! Dża-ma-łu-din! – wrzeszczał tłum za plecami Saparczego.

Tielajew był człowiekiem, który dawał się łatwo ponieść nastrojom, więc do tego czasu przestał się już czuć szefem Awartransfłotu, a stał się bojownikiem walczącym z niewiernymi, który stracił nogi w Czeczenii. I tenże Saparczi bardzo by się zdziwił, gdyby mu przypomniano, że stracił je wtedy, gdy pojechał sprzedać bojownikom partię konserw. Uznałby to za oszczerstwa wrogów.

Poza tym Saparcziem było nie w smak, że tłum za nim przez cały czas krzyczał

„Dżamałudin”. W sumie było to dość naturalne, skoro połowa tego tłumu pracowała w fabrykach Kemirowa, a druga połowa żyła z bazarów, ale mimo wszystko Tielajew miał ludziom za złe, że ani razu nie zawołali „Saparczi”. Przecież to w końcu on stracił nogi w Czeczenii, a Dżamałudin miał obie kończyny całe.

Tielajew spojrział w prawo, na czteropiętrowe bloki stojące po skosie od szpitala, a ponieważ był człowiekiem spostrzegawczym, zauważył za przewodami kominowymi sylwetki z rurami w rękach. Następnie spojrział prosto, na szpital, i spostrzegł, że w oknach szpitala nie ma chorych. W każdym razie Saparczi jeszcze nigdy nie widział chorych z SWD.

Na widok wycelowanej w niego wieżyczki czołgu, Tielajew omal nie spadł z BTR-a, ale wtedy tłum za nim krzyknął:

– Naprzód! Trzeba odbić Zaura! Za-ur! Za-ur!

Saparczi podniósł ściskanego w rękę stieczkina i też krzyknął:

– Zaur, Zaur!

W tym momencie drzwi szpitala otworzyły się i pojawił się w nich grubawy mężczyzna w pomiętym niebieskim garniturze, otoczony czarnowłosymi ochroniarzami. Mężczyzna podniósł rękę i podszedł do ludzi, a gdy dotarł do placu, tłum poruszył się i zahuczał: poznał Zaura Kemirowa.

Mer zatrzymał się i tłum zamarł razem z nim.

– Hej, Saparczi! – zawołał Zaur. – Czego ty chcesz?

– Hej, Zaurze! – odpowiedział Saparczi. – Dotarły do nas pogłoski, że federalowie wzięli cię na zakładnika! Przyszliśmy poprzeć ciebie i twojego brata!

– Dzięki za wsparcie! Właśnie przed chwilą mianowano mnie prezydentem republiki!

Gdy ludzie to usłyszeli, zaczęli strzelać, ale nie do federalów, tylko w powietrze.

– Za-ur! Za-ur! – skandował tłum.

Saparczi Tielajaw, strasznie zirytowany, że znów krzyczą „Zaur”, a nie „Saparczi”, wystrzelił w powietrze i krzyknął, najgłośniej ze wszystkich:

– Zaur!

Zaur Kemirow wrócił do szpitala dziesięć minut później. Ugłow, kończąc

w gabinecie dyrektora rozmowę z Kreml, wydawał się całkiem niewzruszony – tak było zresztą przez wszystkie poprzednie godziny. Zaur nagle uprzytomnił sobie, że przez cały ten czas, od początku buntu, Ugłow ani razu na jego oczach nic nie jadł i ani razu nie udał się za potrzebą. Ten człowiek najwyraźniej nie miał żadnych potrzeb fizjologicznych, oprócz potrzeby władzy.

Sądząc z portretu Zaura, pokazywanego w niemych telewizorze, wiadomość już dotarła do CNN.

Ugłow skończył rozmowę i oddał ochronie aparat do łączności specjalnej.

– Wszyscy won – powiedział wicepremier. – Ochrona również.

Ochroniarze Zaura i wicepremiera zawahali się, ale opuścili gabinet. Jako ostatni wyszedł zastępca naczelnika ochrony Ugłowa Nikita Azjamow.

Mer miasta i wicepremier zostali sami.

Ugłow wziął ze stołu biały telefon, czy raczej interkom z dużą ilością przycisków i systemem głośnomówiącym, i po wypolerowanym blacie przesunął go do Zaura.

– Dzwon – powiedział.

Nowy prezydent Republiki Awarii Północnej – Dargo patrzył na wicepremiera ciężkim, nieruchomym wzrokiem. Właśnie w tym momencie z bezlitosną jasnością Zaur Kemirow zrozumiał, że za historią z wybuchem w szpitalu rzeczywiście stał Iwan Ugłow. Śmieszne wydały mu się nagle przypuszczenia, że to drobny łapówkarz Komissarow zaplanował akcję o takim rozmachu i na taką skalę. Wziąć pieniądze od Kemirowów za kurort narciarski – to owszem. Wyłudzić forszę od Asłanowów, żeby tego kurortu nie było – ależ oczywiście. Na podstawie donosów połowy republiki wszcząć sprawy karne przeciwko drugiej połowie. Wziąć pieniądze za wszczęcie tych spraw od jednych i za ich zamknięcie od drugich – proszę bardzo.

Ale wbić klin między dwa narody? Z premedytacją postawić dwie republiki na granicy wzajemnego mordy tylko dlatego, że istniało niebezpieczeństwo ich zjednoczenia? W porę zrozumieć, jak bardzo rejon jest niezadowolony z postępowania Rosji, i doprowadzić do takiej sytuacji, w której ten rejon nigdy, w żadnych okolicznościach nie wybaczy sąsiadom tego, co się stało? O, to nie na głowę Komissarowa! On nawet nie umiał grać w szachy.

On mógł tylko grać w pokera.

– Dzwon – powtórzył Ugłow. – To twój młodszy brat. Posłucha cię.

– Zadzwoń, jak mi wyjaśnisz, czemu to zrobiłeś.

– O czym ty mówisz?

Zaur patrzył w milczeniu na siedzącego przed nim człowieka. Pięćdziesięcioletniego, zadbanego, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i rozluźnionym węzłem drogiego krawata. Iwan Ugłow pachniał wodą kolońską i potem, pod oczami miał szare worki. Zaur nie wyobrażał sobie, że człowiek, który okaleczył jego miasto, może wyglądać właśnie tak. Zawsze myślał, że ten człowiek ma siwe włosy i niebieskie oczy Wahy Arsajewa. I jeszcze Zaur miał nadzieję, że nie będzie musiał się tym zajmować. Ten obowiązek wziął na siebie Dżamałudin i Zaurowi bardzo to odpowiadało.

– O szpitalu położniczym – odpowiedział nowy prezydent republiki.

– Brednie. Twojemu bratu zrobili gówno z mózgu. To potworna zмова moich wrogów na Kremlu i waszych w republice. Ale dowiemy się, kto skłonił Komissarowa do tego kłamstwa.

Zaur uśmiechnął się i odsunął od siebie telefon.

– Nie ośmielisz się stawiać żądań Rosji. Ani ty, ani twój brat.

Zaur patrzył na pierwszego wicepremiera ciemnym, nieruchomym wzrokiem i Ugłow nagle zrozumiał, że ten człowiek rzeczywiście nigdzie nie zadzwoni. Będzie się tak uśmiechał i czekał, a później w tłumie stojącym przed budynkiem znów coś się stanie i ludzie wpadną do środka. Potem zaś Arzo i Dżamałudin na powrót się połączą, niezależnie od tego, kto wygra, czołgi czy tłum. Dlatego że człowiek, który porwał rosyjską delegację, nie będzie jej bronił po tym, jak szef tej delegacji strzelał do jego narodu z czołgów.

– Rzeczywiście chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? – zapytał Ugłow. – Dobrze, oto cała prawda, Zaurze Ahmedowiczu! Wiesz doskonale, że Rosja traciła kontrolę nad tą republiką. Tak, chciałem rozbroić twojego brata, ale nie chodziło tylko o niego. Chodziło o samą Rosję. O to, że mój kraj zachowuje się jednakowo, czy w Iwanowie, czy w Besztoju. Wszędzie biorą łapówki i wszędzie wsadzają bez sądu i śledztwa. Wszędzie odbierają ludziom biznes, a gdy twoja matka lub córka wpadną

pod koła samochodu pijanego generała, to ten generał, jak już wytrzeźwieje, wytoczy ci sprawę karną, żebyś się nie ciskał. Różnica polega na tym, że w Iwanowie to przejdzie, a w Besztoju nie. W Iwanowie człowiek, któremu przejechali matkę, bierze butelkę wódki i upija się na ławce, żaląc sąsiadom. U was on się nie żali, tylko bierze karabin. A jak się skarży sąsiadom, patrzą na niego jak na wariata.

Takie podejście wzbudza w Rosji lęk przed Kaukazem. I ten z butelką patrzy na tego z karabinem i mówi: „Ale z nich dzikusy”. Chociaż to się przekłada na: „Ale z nas tchórze”. Rosjanin z butelką patrzy na tego z Kaukazu z karabinem i stwierdza: „My jesteśmy stolicą. A oni kolonią”.

Ale porządek w koloniach utrzymuje się armią, a Rosja armii nie ma. Ta armia spłonęła w Groznm, jako noworoczny fajerwerk dla Allaha. Byłem tam owej nocy. Widziałeś kiedykolwiek coś straszniejszego niż to, jak na twoich oczach żółtodziobów, których przywieźli prosto z komisji wojskowej, wsadzają do BTR-ów, a godzinę później te BTR-y przypominają pęknięty szybkar? A ja widziałem. Widziałem tych żołnierzy, którzy wydostali się z BTR-ów i chodzili całymi tabunami po czeczeńskich tyłach. Ich nawet nie brali do niewoli, oni nie byli nikomu potrzebni. Czeczeni wzywali matki i oddawali żołnierzy matkom. Byłem na takiej wymianie, Zaurze Ahmedowiczu. Omal mnie nie rozstrzelali. Ja, kadrowy oficer, stałem i patrzyłem, jak gromada pijanych Czeczenów oddaje matce jej jasnowłosego synka. Matka płakała i całowała im ręce, a oni wcisnęli jeszcze synkowi pieniądze na drogę. A potem dali pieniądze mnie, bo ja też nie miałem. I wtedy zrozumiałem, że rosyjska armia umarła.

Zaur milczał.

– Wówczas uratowało nas jedno: Czeczeni szybko załapali, że jeńcy są towarem. Przestali dawać pieniądze na drogę. Zaczęli obcinać uszy. Wtedy doszedłem do wniosku, że jeśli państwo nie ma już dzielnych żołnierzy, uczciwych urzędników i rozsądnych polityków, to może przetrwać tylko dzięki oszustwu. Tylko dzięki fortelom. Nie możemy już rządzić. Możemy tylko dzielić. Widziałem, jak powstaliście przeciwko Czeczenom. Widziałem, co było potem. Myślisz, że nie wiem, że Arzo nam się nie poddał, że on nikomu się nie poddawał? To twój brat

wepchnął mu życie z powrotem do gardła, a wiesz dlaczego?

– Bo są kunakami – powiedział głucho Zaur.

– Bzdura! Gdyby to się stało na początku inwazji, twój brat zabiłby Arza, nie mrugnawszy powieką. Ale to było pod koniec i on już wiedział, że walczy po niewłaściwej stronie. Oto dlaczego darował mu życie! Chciałeś usłyszeć prawdę, Zaurze Ahmedowiczu? Oto i ona: prezydent Rosji nigdy nie miał zamiaru budować rezydencji na Kaukazie. Wszystkie opowieści stanowiły tylko przykrywkę dla prawdziwych działań. Pod tym pretekstem wprowadziliśmy w te rejony ludzi, znaleźliśmy wykonawców i obiekt, pod tym pretekstem znalazła się tutaj Alfa. Zrobiłem to, co musiałem zrobić, ponieważ dzięki temu twój brat przez cztery lata łapał terrorystów, zamiast walczyć po ich stronie. Po tej historii dwie połówki waszej bomby termojądrowej nigdy się już nie połączą.

– Z kim to zostało uzgodnione?

Ugłow wybuchnął śmiechem.

– Uzgodnione? Zaurze Ahmedowiczu, naprawdę myślisz, że ktokolwiek na Kremlu wzięłby na siebie taką odpowiedzialność? Nie wpadaj w paranoję! Na Kremlu nikt nie podejmie takich decyzji, ponieważ nikt nawet nie podejrzewa, że takie decyzje trzeba podjąć! Dzwon, Zaurze. Wszystko skończone. Ten tłum zaraz się rozejdzie albo ja każę go rozstrzelać. A potem nie będziesz już prezydentem. I biznesmenem też już nigdy nie będziesz, ja ci to obiecuję.

Nowy prezydent republiki przez kilka sekund patrzył w oczy przyszłemu prezydentowi Rosji. A potem wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni.

Ugłow uśmiechnął się i odchylił na oparcie fotela.

Zaur Kemirow wyjął rękę z kieszeni, ale zamiast komórki był w niej pistolet. Oczy Ugłowa rozszerzyły się, nie przypuszczał, że Zaur w ogóle ma broń. Jakoś mu umknęło, że ten człowiek, mer miasta Besztoj, członek partii Jedna Rosja i właściciel holdingu wartego co najmniej pół miliarda dolarów, również nosi nazwisko Kemirow.

Wicepremier sięgnął do interkomu. A Zaur strzelił mu prosto w czoło. Dźwięk strzału w zamkniętym pomieszczeniu zabrzmiał ogłuszająco.

Drzwi się nie otworzyły: zerwano je z zawiasów. Podpułkownik Azjamow i szef



krasnojarskiego SOBR-u wpadli do środka z pistoletami w rękach.

Zaur Kemirow trzymał broń w ręku. Pół metra od niego, z twarzą na stole, leżał Iwan Ugłow. Kula, który wyszła z karku wicepremiera, rozorała łysinę krwawym lejem.

Wbiegło jeszcze dwóch ludzi z FSO, za nimi Hadżimurat.

– Co się stało?! – zawołał Azjamow.

Zaur Kemirow wyjął serwetkę i wytarł nią rękojeść broni. Potem przechylił się przez stół i położył pistolet obok dłoni Ugłowa.

– Zastrzelił się – wyjaśnił Zaur.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił. Potem podpułkownik FSO obrzucił wzrokiem nieruchome ciało, wszystkich znajdujących się w gabinecie, w milczeniu skłonił głowę i wyszedł.

Kirył Wodrow stał przy oknie w auli.

Była północ. Przez otwarte okna do sali wlewała się cisza nocy, ta szczególna cisza, jaka zdarza się tylko w górach. Wydawało się niewiarygodne, że z drugiej strony budynku przyczaiło się kilkuset gotowych do ataku Czeczenów. Gwiazdy, wielkie jak gilzy cekaemu, były rozsypane po nieboskłonie, wyciągał się do nich dwugarbny wielbłąd góry.

Ludziom Arza dwukrotnie przekazywano jedzenie. Czeczeni, bez broni, przychodzili po nie do schodów portyku i długo śmiali się i obejmowali z ludźmi Dżamałudina. Śmiech w tej nocnej ciszy niósł się nie gorzej niż strzały. Kirył słuchał tego śmiechu i rozmyślał, czym się to wszystko skończy. Jakoś nie planował kończyć życia jako kaukaski terrorysta i stronnik kalifatu.

W pewnej chwili znudziło mu się patrzenie na przepaść w dole i odwrócił się gwałtownie, niezgrabnie zahaczając kolbą o skrzydło okna. Zakładnicy już dawno nie siedzieli na krzesłach, lecz na podłodze. Niektórzy płakali, dwóch spało. Pod ścianą ktoś wbił w deskę wielki zardzewiały pręt i tak się złożyło, że obok leżał zastępca prokuratora generalnego.

Pułkownik Argunow siedział oparty o ścianę i od czasu do czasu wyjmował z ust kawałki zębów. Z godzinę temu poprosił o możliwość skorzystania z toalety i tam

spróbował uciec. Hagen przewrócił go na podłogę, a Dżamałudin wsunął mu lufę w usta i zagroził: „Jeszcze raz się ruszysz i strzelam”. Kirył próbował pochwycić jego wzrok, Argunow spostrzegł to i splunął demonstracyjnie.

Minął kwadrans i do sali wszedł Dżamałudin. Był ogolony, jego oczy płonęły na szarej, zapadniętej twarzy. Nie spał drugą noc z rzędu. Gdy zdrzemnął się chwilę, śniło mu się podwórko w Gagrze.

Dżamałudin podszedł do Komissarowa i lekko trącił go czubkiem buta, jak kotka trąca łapą zdechłego kreta. Awar był wyraźnie niezadowolony, że jego główna ofiara mu się wymyka. Zastygł na kilka chwil, a potem splunął jeńcowi w twarz.

W tym momencie wicemarszałek Iwan Sołonihin odchrząknął i powiedział:

– Chcielibyśmy wiedzieć, co się dzieje, Dżamałudinie Ahmedowiczu. W końcu nie jesteśmy bydlętem... my... jesteśmy członkami rządu.

Dżamałudin spojrział na niego i po chwili milczenia powiedział:

– Mojego brata mianowano prezydentem republiki.

Przez kilka sekund w sali panowała cisza, a potem jeden z zakładników zerwał się na równe nogi. Chyba zastępca ministra spraw wewnętrznych.

– To wspaniała decyzja! – zawołał, klaszcząc w dłonie. – Głęboka i słuszna!

– Rozwiąże wszystkie problemy republiki! – dodał przewodniczący funduszu emerytalnego. – Wraz z nią nad naszym krajem wzeszło słońce! – I również zaklaskał.

Po nim zaczął bić brawo minister finansów i jego siostrzeńcy, wicemarszałek Sołonihin, a po kilku sekundach oklaski grzmiały w całej sali. Sołonihin nawet zerwał się z miejsca i od nadmiaru uczuć rzucił się do Dżamałudina, by go uściskać.

– Dżamałudinie Ahmedowiczu, osobiście panu obiecuję...

Twarz Dżamałudina wykrzywiła się i Sołonihin zastygł w odległości dwóch metrów, widząc wycelowaną w siebie broń.

– Siadaj! – polecił Dżamałudin.

– Ale dlaczego... pan... pan ma obowiązek nas bronić!

– Naprawdę? – zapytał Dżamałudin. – A niby przed kim?

Dżamałudin odwrócił się do zastępcy ministra spraw wewnętrznych i broń w jego ręku odwróciła się razem z nim.

– Dwa lata temu mojego ciotecznego siostrzeńca pobito w moskiewskim metrze. Wtedy jego młodszy brat kupił pistolet i zaczął jeździć tą linią metra, szukać tych, którzy pobili mu brata. Zatrzymali go gliniarze i sąd chciał go skazać. Moi ludzie byli na rozprawie i wykupili go za sześć tysięcy. Na tej rozprawie pani mecenas spytała: „Czemu zatrzymaliście tego człowieka?”. A gliniarze odpowiedzieli: „Mamy rozkaz zatrzymywać mieszkańców Kaukazu”. Czyżbyśmy nie byli obywatelami tego samego państwa? Czyżby u nas w Torbikale kazali zatrzymywać Rosjan? A może coś mi się pomyliło?

Zastępca ministra milczał.

– Dwukrotnie biłem się za Rosję – mówił Dżamałudin. – Biłem się za nią w Abchazji. Walczyłem razem z Szamilem i Dżochar był na nas tak zły, że gdy przyjechaliśmy do Groznego, to nas nie przyjął. Przyjechaliśmy do pałacu prezydenckiego, a na placu nie było ani jednego człowieka prócz Zelimchana. Szamil wpadł w szal. Gdyby to nie był Szamil, można byłoby powiedzieć, że płakał. Walczyliśmy o Rosję, Dżochar przez trzy lata nie mógł nam tego wybaczyć, a co powiedziała Rosja? Rosja powiedziała: „Tam walczyli jacyś kaukascy narkomani”. Gdy trwała wojna w Czeczenii, jeździłem tam i wyciągałem ludzi. Kto dostał za to medale?

Zrobił krok w tył i znalazł się nad leżącym Komissarowem. Lufa karabinu brzęknęła o Order Męstwa.

– Skąd masz ten order? Za uratowanie syna Władkowskiego? No, to opowiedz, jak go uratowałeś! A potem niech Kirył wam powie, jak było naprawdę!

Zastępca prokuratora milczał. Nie mógł niczego powiedzieć swoim dręczycielom, był nieprzytomny.

– Gdy Czeczeni przyszli na naszą ziemię, wszyscy poderwali się jak jeden mąż. Wasze czołgi stały w wąwozach, a my przejeżdżaliśmy obok nich na dżipach. Setki chłopaków przyjechało z Moskwy, z Petersburga, zewsząd, niektórzy przylecieli własnymi samolotami, i wszyscy wzięli broń do ręki i pojechali bronić swoich gór. Nie chciałem waszej wdzięczności. Nie potrzebowałem jej. Broniełem swojej ziemi. Ale myślicie, że nie śmieszyło mnie, gdy zobaczyłem, ilu rosyjskich generałów dostało medale za wzięcie do niewoli Arza Hadżijewa?

– Krytykowanie naszych sił zbrojnych jest niekonstruktywne – powiedział z godnością zastępca ministra spraw wewnętrznych. – Kto będzie bronił kraju następnym razem?

– Tak? – powiedział Dżamałudin. – To weź i mnie obroń.

Któryś z zakładników parsknął śmiechem, a Hagen zrobił zabawną minę i zapiszczał:

– Ojejku, boję się! Obrońcie mnie!

Wówczas Dżamałudin, stojący tyłem do wejścia, usłyszał, jak cicho skrzypnęły drzwi, i zobaczył, że twarz Hageny całkiem się zmienia – zamiast śmiesznej miny zastyga biała maska. Zakładnicy nie zrozumieli, co się dzieje, nadal patrzyli tylko na Dżamałudina.

– Chciałeś się ze mną widzieć? Przyszedłem.

Dżamałudin odwrócił się błyskawicznie.

W drzwiach stał Waha Arsajew.

Kirył poczuł, jak staje mu serce.

Wiele razy widział Waha Arsajewa na tym nieszczęsnym filmie, na którym Waha razem z dwoma współnikami strzela do pełnomocnego przedstawiciela prezydenta Rosji. Przez te siedem miesięcy Arsajew wcale się nie zmienił. Był tego samego wzrostu co Dżamałudin, tylko miał grubsze kości, był giętki i mocny jak żołnierski pas, miał wysokie czoło, szklane oczy i starannie, na centymetr, przystrzyżoną brodę. Czarna broda kontrastowała z siwymi włosami, wysuwającymi się spod czarnej opaski z arabskimi literami. Waha miał na sobie pasiaste getry, szerokie spodnie do kolan i podkoszulek z krótkimi rękawami.

Wszyscy w republice wiedzieli, że przez dwa ostatnie lata Waha chodził z saszetką, w jakiej handlarze na targu trzymają pieniądze, a w której on trzymał dwieście gramów plastiku. Arsajew przysiągł, że nie wezmą go żywcem. Kirył sądził dotychczas, że Waha boi się Dżamałudina nie mniej niż federalów. W każdym razie od federalów kiedyś się wykupił, z Dżamałudinem nie pomogłyby mu żadne pieniądze.

A teraz Waha nie miał nic, nawet scyzoryka. Abrek i Szahid, którzy wprowadzili

go do sali, stanęli na progu, złożyli ręce i w milczeniu patrzyli, jak człowiek, którego nie spodziewali się wziąć żywcem, idzie po skrzypiących deskach podłogi między osłupiałymi zakładnikami.

Waha podszedł do pręta wbitego w ścianę, dotknął go, odwrócił się i spokojnie zapytał:

– To dla mnie?

Cisza była ogłuszająca. Dżamałudin nie drgnął. Zakładnicy na podłodze chyba przestali oddychać. I w tej ogłuszającej ciszy w kieszeni Dżamałudina zadzwoniła komórka. Łączność wahała się na granicy słyszalności, dźwięk hulał w słuchawce jak wiatr w wąwozie.

– *Salam*, Dżamałudynie – powiedział nowy prezydent republiki. – Słyszałeś wiadomości?

– Tak.

– Twój warunek został spełniony.

– Czekam na Iwana Ugłowa.

– On nie przyjedzie. Nie żyje.

– Kto go zabił?

– Ja.

Dżamałudin milczał tak długo, że można by pomyśleć, iż łączność została zerwana. W końcu powiedział:

– Wybacz, bracie. Nie spełniście moich warunków.

– Posłuchaj...

– Znaliście moje żądania, nie spełniście ich.

– Dobrze, bracie. Zrobisz, jak zechcesz. Ale chciałbym cię prosić tylko o jedno.

– O co?

– O wybaczenie. Za te słowa, które powiedziałem wczoraj. Wiem, że było inaczej.

Dżamałudin milczał.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał Zaur.

– Tak.

– Jeszcze jedno. Przepraszam, okłamałem cię. Szapi nie żyje. Nie miał żadnych

szans. Ten szczur wygryzł mu żołądek, ale Szapi nic nie podpisał. Wyobrażasz sobie? To było kłamstwo! O szczurze mówili prawdę, a że podpisał – kłamali. Podrobili podpis.

Rozmowę, która szła przez otwarty kanał, podsłuchiwało pewnie z pięć różnych służb. Ale Zaurowi było wszystko jedno.

– Zapamiętaj to, gdy będziesz stawiał nowe żądania – powiedział Zaur.

– Jesteś ze mnie zadowolony, bracie? – zapytał Dżamałudin.

– Jestem z ciebie zadowolony.

Łączność została przerwana.

Dżamałudin wyłączył telefon i obrzucił wzrokiem otaczających go ludzi. Kirył Wodrow, w kamuflażu i eleganckich półbutach od Gucciego, przyglądał mu się tak, jakby nie wierzył własnym uszom. Jasnowłosy Hagen otwarcie się uśmiechał. Taszow przy cekaemie patrzył w okno i Dżamałudin nie był pewien, czy słyszał rozmowę. Dżamałudin w ogóle miał wrażenie, że Taszow niczego nie słyszał od chwili, gdy dostał polecenie, aby zerwać zaręczyny.

– Rosjanie mnie okłamali – powiedział Dżamałudin. – Ugłow nie żyje. Nie żyje, żeby nie mógł powiedzieć, kto zlecił mu zamach w szpitalu położniczym. Myślicie, że się wykupicie, mianując mojego brata prezydentem? Są rzeczy, za które nie można się wykupić.

Kirył Wodrow pomyślał przelotnie, że to już koniec. Jeśli mianuje się jednego brata prezydentem republiki, a drugi w tym czasie pojawia się w CNN jako czeczeński terrorysta, to już nawet nie jest katastrofa. To się nazywa inaczej.

– Jesteś ze mną, Kiryle Władimirowiczu?

Kirył zdjął z ramienia karabin i rzucił go pod nogi Dżamałudina. Potem zrobił dwa kroki w tył i siadł obok Argunowa.

– Nie – powiedział. – Jestem z zakładnikami.

W tym momencie Arsajew się roześmiał.

Dżamałudin odwrócił się do niego. Waha śmiał się, odchylając głowę, i jego śmiech przypominał Awarowi głos puchacza. Dżamałudin skoczył do Wahy i uderzył go na odlew rękojeścią noża desantowego w czoło. Przecięła je długa czerwona nitka, ale Waha jakby nie czuł bólu, nadal się śmiał. Dżamałudin kopnął

go krawędzią buta w rzepkę kolanową, a gdy Waha upadł, uderzył go w wątrobę. Dopiero wtedy Waha krzyknął, a Dżamałudin nadepnął kutym obcasem na jego dłoń, wbijając w podłogę długie palce i łamiąc kruche kości nadgarstka.

Waha ucichł.

Dżamałudin wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

– Arzo – powiedział. – Podjąłem decyzję. Będziesz musiał odejść.

– Ja spełniłem twój warunek – powiedział Arzo. – Rosjanie nie.

– Uciekaj. Masz ludzi, broń i góry. Dziękuję ci za to, że nauczyłeś mnie walczyć.

Szkoda, że od tamtej pory walczymy po dwóch różnych stronach.

– Popełniasz błąd, zięciu. W mieście jest bunt. Razem objęlibyśmy przywództwo nad nim.

– Uciekaj.

Dżamałudin wyłączył się.

Kirył podniósł rękę, żeby zetrzeć kroplę z brody, i zobaczył, że to nie kapie z dachu, lecz z jego czoła.

Waha Arsajew poruszył się na podłodze, jakoś podniósł i oparł o drewnianą scenę.

– On nie odejdzie – powiedział. – Bo chce do raju. Ja też. Wiesz, dlaczego on wziął mnie ze sobą? Bo od początku planował ci mnie oddać. Myślał, że mnie przechytrzył, ale ja miałem to gdzieś.

Kąciki warg Dżamałudina uniosły się, gdy Awar patrzył na Wagę.

– Nie trafisz do raju – powiedział. – Przysięgam na Allaha, raj nie jest dla morderców dzieci! Wysłałeś na tamten świat stu siedemdziesięciu czterech ludzi, zabiłeś tych, którzy nie mieli nawet dnia! Jak wytłumaczysz się przed Allahem z tych muzułmańskich dzieci?

– Zostały szahidami – odpowiedział Arsajew.

Dżamałudin bez słowa wyjął zza pasa makarowa i odbezpieczył go. Teraz stał trzy kroki od Arsajewa i pistolet w rękach Awara mierzył głównemu terrorystę republiki prosto w czoło.

– Dżamałudinie – powiedział Arsajew – ja za te dzieci odpowiem przed Allahem, ale kim ty jesteś, by o nie pytać? Nawet gdyby szpital wyleciał w powietrze

z powodu mojego niedbalstwa, to i wówczas nie znalazłbym się w wiecznym piekle, a sam powiedziałaś, że i tego na mnie nie ma! Nie jesteś ich krewnym i nie masz prawa się na mnie mścić! A gdybyś nawet był, to powinienesz sądzić nie według rodu, ale według szariatu, a każdy alim ci powie, że nie możesz pociągać mnie do odpowiedzialności za intrygi niewiernych!

– Leję na taki szariat – odparł Dżamałudin.

– Uważaj. To są słowa kafira.

– Jeśli nazwałeś mnie kafirem, to jeden z nas faktycznie się nim stał – rzekł z uśmiechem Dżamałudin.

– I udowodnię ci, że to nie ja! – odparł Arsajew. – Jestem emirem tego miasta. Biada temu, kto zabija tych, którzy weszli na drogę dżihadu! Tacy ludzie nieuchronnie i zasłużenie znajdują się w piekle!

– Dla tych, którzy zginęli w szpitalu, zgadzam się na piekło – powiedział Dżamałudin.

Dźwięk strzału w zamkniętym pomieszczeniu zabrzmiał jak grom. Pierwsza kula weszła Arsajewowi między oczy, druga nieco wyżej, rozbryzgując kawałki czaszki i mózgu. Kolana Wahy ugięły się powoli i Arsajew padł na wznak, na świeży, pachnący remontem i lakierem parkiet.

Trzecia kula weszła w głowę nieprzytomnemu Komissarowowi.

– Nie! – wrzasnął Misza Sliwoczkin. – Nie...

Nic więcej nie zdążył krzyknąć.

Piąty strzał w Ashaba Hasanowa złał się ze strasznym łoskotem wybuchającego w holu pocisku termobarycznego.

Była wiosna. Wieczne słońce zachodziło gdzieś nad Belgravią, w Hyde Parku pływały kaczki i kwitły róże, a przed Muzeum Historyczne w centrum Londynu zajeżdżały rolls-royce'y, mercedesy i taksówki przypominające wielkie żuki. Rosyjska elita biznesowa ścigała na wystawną kolację wydawaną podczas Londyńskiego Forum Gospodarczego.

Kirył Wodrow, niedawno mianowany szef rosyjskiego przedstawicielstwa firmy konsultingowej Bergstrom&Bergstrom, z muszką, w smokingu podkreślającym jego



szczupłość, wysiadł z szarego bentleya kierowanego przez uśmiechniętego Hindusa. Co prawda przyszło mu to z trudem. Dopiero jego szef, wesoły Kanadyjczyk Ronald Kaseri, pomógł mu stanąć na chodniku. W ręku Kirył trzymał lekką laseczkę z białą kościaną rączką. Ta laska, a także specyficzne pociąganie nogą i wczesna siwizna trzydziestosześcioletniego menadżera zwracały uwagę ludzi zebranych licznie w ten kwietniowy wieczór przed żeliwnym ogrodzeniem, za którym płonęły długie gazowe pochodnie, ustawione po obu stronach ścieżki prowadzącej do zamku.

W środku były tłumy. Żony ministrów i córki oligarchów olśniewały biżuterią i drogocennymi kamieniami. Obok nich do samotnych klientów uśmiechała się cała plejada dziewcząt od Pietii Listermana. Chociaż dziewczyny przegrywały w konkurencji noszonej przezeń biżuterii, bezsprzecznie były ozdobą tego forum. Kirył wziął z rąk jakiegoś sponsora kupon bezpłatnej loterii, w której główną wygraną była kolia warta sto dwadzieścia tysięcy dolarów, i przypomniał sobie, że w ostatnim czasie Rosjanie stali się największymi nabywcami brylantów na świecie. Jeśli wierzyć statystykom, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kupili brylantów za sto milionów dolarów.

Nienagannie wyglądający kamerdyner z manierami wartownika przed mauzoleum Lenina wskazał Kiryłowi przeznaczone dla niego miejsce, pięć metrów od sceny, na której szykował się do wystąpienia chór chłopców z Eton. Kirył z ulgą odsunął krzesło i bardziej padł, niż usiadł, a potem podniósł oczy i zamarł. Dokładnie naprzeciwko niego siedział prezydent Republiki Awarii Północnej – Dargo Zaur Kemirow i niepewnie oglądał całą baterię noży, widelców i widelczyków, umieszczonych po obu stronach białych i dużych jak tarcza talerzy.

A później Kirył spojrział w prawo i zobaczył, że jego sąsiadką jest lady Hilda Stapleherst.

Kirył nie widział Zaura od owej nocy z siedemnastego na osiemnastego kwietnia. Co prawda od tamtej pory w ogóle niewiele widział. Szturm zaczął się w tej samej chwili, gdy w sali grzmiąły wystrzały Dżamałudina. Kemirow odwrócił się do zakładników i powiedział: „Kto chce walczyć, niech bierze broń”. Na tę propozycję zareagowali Kirył, Argunow, funkcjonariusze FSO, a także szef funduszu emerytalnego z krewnymi i ochrona.

To była straszna rzeź. Zbuntowany batalion Południe miał pełną możliwość rozproszenia się w górach. Dżamałudin nie zacząłby pogoni, a federalowcy nie zdołaliby doścignąć ludzi Hadżijewa, ale Arzo wybrał szturm, i nie tylko dlatego, że tak bardzo pragnął dostać się do rajów. Po prostu ten, kto wygrałby walkę na Czerwonym Zboczu, zostałby panem zalanego powstaniem miasta.

Arzo atakował wedle tego samego scenariusza, który stosowały federalne BTR-y, rozwalając czteropiętrowe bloki z ukrytymi w nich terrorystami: niszcząc snajperskie punkty i cekaemy rakietami. W same tylko okna pierwszego piętra w ciągu trzydziestu sekund wpakowano osiem „trzmieł”. Każdy inny budynek rozpadłby się na kawałki. Jeden z tych strzałów Kirył widział na własne oczy: kula białego ognia trzydzieści metrów niżej, w holu. Z tej kuli wyskakiwali żywi, płonący ludzie. Gdy Kirył spojrział na swoje ręce, zobaczył, że one również płoną. Kirył potrząsnął rękami i ogień zgasł.

Na szczęście Arzowi skończyły się „trzmiele”. Pożar i wybuchy w auli zaczęły się pięć minut po tym, jak ostatnich członków delegacji sprowadzono do piwnic.

Arzo stracił dwustu ludzi jeszcze na podejściu do twierdzy, a gdy rozwścieczeni Czeczeni jednak wdarli się na parter, w dawnej twierdzy rozpoczęła się rzeź – pomiędzy dwoma grupami fanatyków, świetnie wyszkolonych i oddanych swoim dowódcom, z których połowa doskonale się znała i wspólnie bawiła na weselach braci, sióstr i dzieci.

Kirył został ranny trzy razy: raz w rękę, niezbyt groźnie, w pierwszych trzydziestu minutach walki, a drugi raz na marmurowych schodach, pomiędzy pierwszym a drugim piętrem. Kula z kałasznikowa przeszła z dołu do góry, rozorała śledzionę, ominęła o pół milimetra wątrobę i wyszła na zewnątrz między piątym a szóstym kręgiem, kierując się i przemieszczając, ale cudem nie uszkadzając delikatnego rdzenia kręgowego. Kirył padł od razu, stoczył się ze schodów i po nim pobiegły na górę czyjeś nogi. Wodrowa uratowało tylko to, że minutę później leżały na nim dwa trupy. Trzecia kula trafiła go, jak już był nieprzytomny, nieco powyżej kolana, uszkodziła ścięgno i ugrzęzła w kości.

Kirył ocknął się na krótko, gdy walka już się skończyła. Wyczołgał się spod trupów i zobaczył Dżamałudina. Biały hol był teraz czarny, przed szturmem

wyniesiono z niego wszystko, co mogło się palić, ale w czasie szturmu zapaliło się to, co się palić nie mogło. Awar szedł, cały i zdrowy, razem z pułkownikiem Argunowem i gdy widział człowieka w krótkich spodniach i z brodą, przystawiał mu do skroni pistolet i naciskał spust, nie sprawdzając, czy ten człowiek jest ranny czy już martwy. Potem Kiryłowi powiedziano, że ciała ludzi Arsajewa Dżamałudin kazał zostawić na dziedzińcu twierdzy i oznajmił, że zastrzeli każdego, kto się po nie zjawi. Spełnił swoją groźbę i ciała oddano dopiero dwa tygodnie później, gdy dziedziniec przesiąkł smrodem gnijących trupów, a do nowego prezydenta republiki przybyła połączona delegacja starszych z trzech wsi.

Kirył po raz drugi ocknął się dwa tygodnie później, w Moskwie, w szpitalu im. Burdenki, sparaliżowany, z wpiętą pępowiną kroplówki. Przy jego łóżku siedział pułkownik Argunow. Kirył nie był pewien, czy jest pacjentem, czy aresztantem, ale Argunow dość sucho poinformował go o oficjalnej wersji wydarzeń w Besztoju. Okazało się, że w Besztoju wybuchły zamieszki sprowokowane przez poprzednich skorumpowanych przywódców, którzy chcieli utrzymać się u władzy. Dzięki żelaznej woli nowego prezydenta republiki Zaura Kemirowa zamieszki zostały stłumione, a ochrona i członkowie delegacji rosyjskiej, porwani na Czerwonym Zboczu przez wspólnika korupcjonistów i najemnika międzynarodowych terrorystów Arza Hadżijwa, zdołali uwolnić siebie i swoich towarzyszy. Kiryłowi Wodrowowi, jako uczestnikowi operacji antyterrorystycznej demonstrującej nieugiętego ducha narodu rosyjskiego, przyznano Order Męstwa. Polegli w nierównej walce z terrorystami przewodniczący delegacji, pierwszy wicepremier Iwan Ugłow i szef komitetu nadzwyczajnego badającego akty terrorystyczne i dywersyjne na Kaukazie Północnym Fiodor Komissarow otrzymali rzecz jasna Gwiazdę Bohatera.

– Dżamałudin chociaż dostał medal? – zapytał Kirył.

– Odmówił przyjęcia – powiedział Argunow. – Nie radzę robić tego samego.

Kirył stanął na nogi dopiero dwa miesiące później, ale nadal męczyły go bóle w kręgosłupie. Ćwiczył minimum dwie godziny dziennie, lekarze uprzedzili go, że gdy zarzuci treningi, przemieszczone kręgi go unieruchomią. Trzy miesiące temu Kirył przyjął propozycję Bergstrom&Bergstrom i teraz w charakterze szefa rosyjskiej filii przybył na forum w Londynie. Białe ognie i czarne trupy śniły mu się

średnio raz w tygodniu.

– Witam pana, Zaurze Ahmedowiczu – powiedział Kirył. – Jak zdrowie?

– Doskonale. Jak kręgosłup?

– Chodzę i biegam.

– Panowie się znacie? – spytał uprzejmie siedzący przy stole mężczyzna. Po jego tabliczce z nazwiskiem Kirył zorientował się, że zarządzał w Merrill Lynch wszystkimi *equities* Europy Wschodniej.

– Zaur Ahmedowicz jest prezydentem Republiki Awarii Północnej – Dargo – odparł Kirył. – Mieliśmy okazję się spotkać.

– Czy to nie ta republika, gdzie czeczeńscy terroryści wystrzelali waszą delegację? A może to wasza delegacja wystrzelała terrorystów? – zapytał człowiek z Merrill Lynch ze śmiechem.

– Ależ tak! – zawołał radośnie Ronald. – I Kirył był w tej delegacji! Wiesz, co robił, gdy zadzwoniłem do niego i zaproponowałem mu pracę? Siedział tam w górach pod karabinami terrorystów i wyobraź sobie, odpowiedział: „Z przyjemnością, jeśli tylko przeżyję!”. Już wtedy zrozumiałem, że to idealny człowiek do rozmów o finansach.

I Ronald zaśmiał się swoim zaraźliwym śmiechem.

– Był pan wśród zakładników? – zapytał z zainteresowaniem Artur z Merrill Lynch.

– Tak się złożyło – odparł Kirył.

– Złożyło się! – zawołał Ronald. – Walczyli jak lwy! Odepchnęli terrorystów! Kirył pół roku przeleżał w szpitalu! Dostał Order Męstwa!

– Mój Boże – powiedział z emfazą bankier inwestycyjny. – To szalenie interesujące! Niech pan opowie, jak to było.

Zielone oczy lady Hildy przyglądały się Kiryłowi z nieukrywaną przyjemnością. Kirył nie miał pojęcia, dlaczego lady Hilda milczała. Podobno od tamtej pory dwa razy była w Besztoju.

– Zaur Ahmedowicz opowie o tym lepiej niż ja. On był w środku wydarzeń. A co ja, ja tam o niczym nie decydowałem.

Oczy wszystkich obecnych – a do tego czasu przy stole usiadły jeszcze dwie

osoby, prezes banku ze swoją czarującą małżonką – zwróciły się ku Zaurowi Kemirowowi.

– Nie ma o czym opowiadać – powiedział Zaur. – Zakładnicy nie ucierpieli, prócz tych, którzy sami rwali się do walki z Czeczenami. Kirył, jak wiecie, został ranny. Szef ochrony wicepremiera również był bardzo ciężko ranny, dostał Bohatera Rosji. Zastępca prokuratora generalnego Fiodor Komissarow i pierwszy wicepremier Iwan Ugłow też zostali uhonorowani tytułem Bohatera Rosji. Pośmiertnie.

– Oni również walczyli? – zapytał zdumiony Artur z Merrill Lynch.

– Walczyli jak lwy – odparł prezydent republiki bez cienia wahania w głosie.

Z twarzy lady Hildy nie dało się nic wyczytać.

– A czy to prawda, że w uwolnieniu zakładników brał udział pański brat?

– zwrócił się Ronald do Zaura.

– Nikomu się nie spodobało, gdy na zakładników wzięto naszych gości – powiedział Zaur. – Wszyscy mężczyźni żyjący w mieście rzucili się do walki.

W tym momencie zaczęli śpiewać chłopcy z Eton, a kelnerzy roznosić pierwsze danie. Przed Kemirowem postawiono duży talerz z szynką parmeńską i melonem. Kirył ukradkiem zerknął na prezydenta. Ten już wziął widelec do ręki, ale widząc, co mu przyniesiono, dyskretnie odłożył go na miejsce i zaczął smarować chleb masłem. Kirył pomyślał, że Dżamałudin w ogóle nic by nie zjadł na tym bankiecie. Ani wieprzowiny, ani baraniny, ani nawet chleba. „Skąd mam wiedzieć, jakimi rękami kroili ten chleb?” – spytałby Dżamałudin.

Rozmowa zeszała na inne tematy, a dziesięć minut później do Zaura Kemirowa podszedł zastępca dyrektora generalnego Wnieszorgbanku. Zaur przeprosił wszystkich i wyszedł z nim do holu.

– Wspaniały człowiek – powiedział Artur. – Kim był, zanim został prezydentem?

– To poważny biznesmen – odparł Kirył. – Prawdziwy kaukaski Henry Ford. Niesamowity człowiek. Jeszcze za czasów poprzedniego prezydenta Aślanowa stworzył holding, który przynosił dwie trzecie podatków płaconych w republice. Produkował połowę mebli na Kaukazie i sześćdziesiąt procent wody mineralnej. Mimo że był śmiertelnym wrogiem prezydenta.

– I co zrobił, jak został prezydentem? – spytał z zaciekawieniem Artur.

– Dość dużo. Z tego, co słyszałem, przez ostatnie pół roku ściągalność podatków wzrosła o dwieście siedemdziesiąt procent. Bezrobocie zmniejszyło się dwukrotnie. Zaczęli budować drogi, udzielać kredytów. Zaur z własnych pieniędzy wyłożył dwadzieścia milionów na rozwój małego biznesu.

Artur i lady Hilda wymienili spojrzenia.

– Wow – powiedział Artur. – To brzmi jak dobre miejsce na inwestycje. Jak pan myśli, Kiryle, można tam zainwestować pieniądze?

Kryształowe światło lśniło pod sufitem jaśniej niż kula ognia z „trzmieła”, w lustrach oprawionych w złoczone ramy odbijał się chór z Eton i Kiryłowi stanął przed oczami jak żywy chudy czarnowłosy mężczyzna z wysokim czołem i zapadniętymi policzkami, z oczami płonącymi jak węgle na popielatoszarej twarzy. Góral szedł po dywanie trupów, rozstrzeliwując rannych. Gdy pułkownik Argunow powiedział: „Przecież ten ma kulę w poprzek czoła”, Dżamałudin odparł: „Jak ma kulę w poprzek, przestrel go wzdłuż”.

Dżamałudin odwiedził Kiryła w szpitalu i gorąco zapraszał go na wesele Taszowa. Miało być w sierpniu. „Kto jest panną młodą?” – zapytał Kirył, a Dżamałudin odparł: „Moja cioteczna siostra”.

Kirył nie przyjechał na wesele.

Wodrow milczał, zbierając się do odpowiedzi. A gdy otworzył usta, zobaczył, że Artur rozmawia już z przedstawicielem Rosneftu, więc wstał i odszedł od stołu.

1. Szura – rada; alim – znawca islamu. [\[wróć\]](#)
2. Tuhum – grupa patronimiczna lub rodowa, której członkowie nie muszą być powiązani więzami krwi; czynnikiem decydującym jest w ich wypadku przynależność terytorialna. [\[wróć\]](#)